

WYZWOLONA

Róża Lewanowicz

Wszystko miało już być lepiej,
a było tylko gorzej.
Z dnia na dzień jego serce
ściskało się coraz mocniej
z niepokoju i bólu.


Replika

WYZWOLONA

Róża Lewanowicz



Copyright ©Róża Lewanowicz

Copyright © Wydawnictwo Replika 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja

Joanna Pawłowska

Korekta

Marta Akuszevska

Projekt okładki

Mikołaj Piotrowicz

Zdjęcia na okładce

Copyright © depositphotos.com/simbiothy

Copyright © istockphoto.com/tan4ikk

Skład

Maciej Martin

Wydanie I

ISBN 978-83-7674-394-3

Wydawnictwo Replika

ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo

tel./faks 061 868 25 37

replika@replika.eu

www.replika.eu

Trzy lata wcześniej

Atmosfera w samochodzie stawała się coraz bardziej napięta. Justyna jeszcze nigdy nie widziała, by Tomek Kotowicz tak się zachowywał, i to z powodu migającej kontrolki na desce rozdzielczej. Na pewno nie w obecności Ewy, jego żony, która zajmowała z nią tylne siedzenie. Ale najwyraźniej stare dobre volvo Kota znaczyło dla niego naprawdę wiele.

– Stary, zdążymy na ten mecz – uspokajał go Łukasz z miejsca pasażera.
– Wystarczy znaleźć warsztat.

– W dupie mam mecz! – wrzasnął Tomek. – Nie wiem, co się dzieje z moim akumulatorem. To się nigdy nie działo, ale musiało się spieprzyć, kiedy jestem z dala od Warszawy.

– Tomasz, nie jesteśmy na końcu świata. – Ewa walczyła z chęcią publicznego spoliczkowania męża. – To Katowice, samo centrum...

– Ale ja nie wiem, gdzie jestem.

– Na ulicy Warszawskiej – powiedziała Justyna.

– Nie wymądrzaj się!

– Kocie, uspokój się i spójrz na tabliczkę. – Łukasz wskazał budynek obok.
– Warszawska. Tu ma być warsztat.

Jechali powoli, rozglądając się za numerem kamienicy, jaki podano im w centrum serwisowym.

– To tutaj! – Justyna klepnęła Tomka w ramię. – Tak jak mówili: jest wjazd na podwórko.

Kotowicz westchnął ciężko, jakby ktoś bliski mu umierał, i włączył kierunkowskaz. Wjechał do bramy, za którą było nieduże podwórko i kolejny budynek.

– Co to, kurwa, jest?! – Tomek znów eksplodował.

– O, matko! – Ewa zaczęła się śmiać. – Justynka, widziałaś?

Justyna spojrzała na tablicę przy wejściu do budynku i zamarła.

– Ja pierdole! – rechotał Łukasz. – Centrum Kultury Islamu. Tu ci chyba nie zrobią tego akumulatora. Co najwyżej wysadzą w powietrze.

Tomek miotał się na swoim fotelu, ale Justyna położyła mu dłoń na plecach i nachyliła się do niego.

– Kocie, za tym budynkiem coś musi być, bo jest przejazd. Zobacz.

Tomek uspokoił się nieco i zwolnił hamulec.

– To sprawdzmy – mruknął i ruszył przed siebie.

– Ile oni mają tu tych podwórek? – Łukasz był zdumiony, widząc niewielki

placyk z warsztatem w starej szopie. Duży szyld wyraźnie informował, że naprawiają w nim akumulatory samochodowe.

Wysiedli z auta i właściciel volvo poszedł szukać mechanika. Po chwili wrócił z niskim, bardzo chudym staruszkiem, ubranym w granatowy fartuch do kostek. Mężczyzna uśmiechał się spod swojego naciśniętego na oczy kaszkietu, jakby był całkowicie wyluzowany. Trzymał dłonie w kieszeniach i kiwał się lekko w przód i w tył.

– Adaś! – zawołał skrzekliwym głosem. – Daj miernik uniwersalny.

Młody pomocnik, także w fartuchu, wypadł z szopy obok, z miernikiem pod pachą. Kłapa nad silnikiem była już otwarta.

– Czternaście i cztery volta – dziadek odczytał wynik, nie wyjmując rąk z kieszeni. – Działa.

– No to co, kurwa, się dzieje, że miga? – Tomek był zdesperowany. – Ta kontrolka nie może migać!

Łukasz zaczął rzucać kolejne możliwe przyczyny awarii, a Ewa proponowała szukanie innego warsztatu. W tym czasie Justyna była już przy wjeździe na podwórko numer jeden.

Nie wiedziała, dlaczego tam poszła, dopóki nie wyjrzała dyskretnie zza węgła. Pojęła, że gdy spoglądała na tablicę przy drzwiach, mignęła jej znajoma twarz, której widok obudził pewne wspomnienie.

Przed drzwiami stało dwóch mężczyzn – stary i młody. Twarz starszego widziała, ale ten drugi odwrócony był do niej plecami, a to właśnie jemu chciała się przyjrzeć. Rozmawiali o czymś szeptem, nachylając się do siebie. Po chwili zdecydowali się odejść od wejścia, być może po to, by nikt ich nie słyszał. Nagle młodszy obrócił głowę tak, że ujrzała jego rysy. Justyna poczuła, że nie może oddychać.

– Kurwa, kurwa, kurwa... – wyrzucała z siebie, przyklejona plecami do ściany. – To, kurwa, niemożliwe!

W tej samej chwili Kotowicz mówił niemal te same słowa, ale gdy się uspokoił, doszedł do wniosku, że chyba wie, gdzie jest problem.

– Ostatnio śmierdziało mi z lewego reflektora – usłyszała Justyna. – Nie śmiecie się. Mówię wam! Muszę go wykręcić.

– Adaś, daj narzędzia – zarządził dziadek.

Ja też muszę się uspokoić – pomyślała Justyna. – I zrobić, co trzeba.

Wsunęła dłoń do kieszeni kurtki i z ulgą stwierdziła, że ma w niej portfel i telefon. Z jednej z przegródek portfela wysunęła kartę SIM i drżącymi dłońmi umieściła ją w telefonie.

Pospiesz się! Oni zaraz mogą sobie pójść – poganiała siebie, zamykając pokrywę swojego supernowoczesnego aparatu, który mąż sprawił jej na urodziny. Przysunęła się do rogu budynku, uniosła telefon i zrobiła zdjęcie. Potem następane

i następne. Uścisk dłoni. Klepanie po ramieniu. Przekazywanie sobie świstków papieru. Uśmiechy. Wymiany spojrzeń.

– Gdybym cię nie znała, Malik, pomyślałabym, że jesteś gejem – mruknęła, szukając numeru. – Jak ty masz na nazwisko? Malik al Hassan... Hussein... Hassen... Pieprzyć to! Może się domyślą.

„Malik al Hassan, terrorysta. Centrum Kultury Islamu, Katowice. Rozmówca nieznany”.

Wyślij.

Najpierw wieki czekała na komunikat „wiadomość wysłana”, a potem na odpowiedź. Zerknęła w stronę warsztatu i po minie Kotowicza zorientowała się, że kryzys zażegnany, a jej mąż ma ubaw z dymiącego reflektora. Mniej zadowolona Ewa zaczęła naciskać, by jechać już w stronę Spodka, bo ona nie mogła doczekać się, by ujrzeć doskonale zbudowanych siatkarzy.

– Cholera! Odbierzcie tę wiadomość.

Nie zdążyła wymienić znów kart SIM, bo Łukasz zaczął interesować się jej losem.

– Co ty tam robisz? – zapytał, widząc, jak kuca przy ścianie. – Jedziemy.

Kiedy przejeżdżali przez pierwsze podwórko, mężczyzn już nie było. Łukasz wciąż żartował, a Kot właśnie uświadamiał sobie, że za swoje ekscesy czekają go ostre cięgi po powrocie do domu. Justyna, której zazwyczaj było go żal, nie miała głowy, by się nim przejmować.

Obiecywała sobie w duchu, że zniszczy tę kartę. Przecież nie jest już z nimi...

Po co ją w ogóle brałam od Krokodyla? – wyrzucała sobie.

Nieznany numer alarmowy, gdyby się coś działo – tak jej powiedział, jakby miał ją za idiotkę.

Bo miał. Nie zorientował się, że ona wie, dla kogo pracują i kto odbierze wiadomość. A „gdyby się coś działo” oznacza tak naprawdę „gdybyś chciała wrócić”...

Kiedy dojeżdżali do ulicy Chorzowskiej, zrobiło się bardzo głośno. Łukasz z Kotowiczem nagle stracili zainteresowanie samochodem i meczem, wpatrzeni w mijające ich na sygnale wozy policji i antyterrorystów.

– Ja pierdolę! – Kotowicz z szeroko otwartymi oczami oglądał spektakl niebieskich świateł. – Widziałeś to? Jakby na wojnę jechali.

– Chłopaki, helikopter! – Nawet Ewa była podekscytowana. – To musi być coś poważnego.

Na komórkę Justyny w końcu przyszła wiadomość zwrotna, a zaraz za nią kolejna:

„RGR. Zapłata wpłynęła na wskazane konto”.

– Nic się nie stało – powiedziała spokojnie. – To tylko ćwiczenia. Jedźmy na

mecz.

I

Dla Elżbiety Kowalskiej brak męża w nocy w ich małżeńskim łóżku mógł oznaczać tylko dwie rzeczy: jej ślubny albo był w pracy, albo leżał w kostnicy. Z racji tego, że Mariusz nie zapowiadał poprzedniego wieczora, by miał się wybierać na jakąś akcję, puste miejsce obok po prostu wybudziło ją z głębokiego snu. Nasłuchiwała przez chwilę, czy nie dochodzą z mieszkania jakieś odgłosy, ale, poza tykaniem zegara ściennego w kuchni, nie dotarł do jej uszu żaden dźwięk.

– Mariusz? – zawołała niepewnie, nie chcąc wszczynać niepotrzebnego alarmu, budząc przy tym dzieci śpiące za ścianą. Wstała, zawinęła się w szlafrok i poszła do salonu, gdzie znalazła męża stojącego przy oknie. Nie zareagował na jej głos nawet wówczas, gdy znalazła się za jego plecami. – Co ty robisz?

– Co? – Drgnął, kiedy poczuł jej dłoń na ramieniu. – Co jest, Ela? Idź spać.

– Mogłabym to samo powiedzieć tobie. Dlaczego tu stoisz? Jest trzecia w nocy.

– Nie mogłem spać.

Elżbieta parsknęła śmiechem.

– Ty? Nie mogłeś spać? Kotek, chory jesteś?

– Nie... – Pokręcił głową. Wyglądał na bardzo roztargnionego. – Nie, ja po prostu... coś nie daje mi spokoju.

– Coś z pracą? – Stała bliżej, żeby wyraźniej widzieć jego twarz.

– Tak. Muszę pogadać z Brennerem... to znaczy z Kotem.

– Ale kiedy chcesz to robić? Chyba nie teraz?

– W zasadzie... miałem zamiar wyjść. Powinienem jechać do pracy. To ważne...

Ela próbowała złapać go za rękaw koszulki, ale nie zdążyła. Odwrócił się na pięcie i poszedł do sypialni, gdzie otworzył szafę na ubrania. Chcąc nie chcąc, poszła za nim.

– Wyjaśnisz mi to? – szepnęła, stając naprzeciwko fotela, na którym Mariusz ubierał spodnie i skarpetki.

– Nie mogę... Eluś, nie teraz. Muszę jechać na Mokotów do Kotowicza.

– Do niego czy do Eweliny?

Kowalski przestał się ubierać i spojrzał w ciemnościach na żonę.

– Przestań! – powiedział cicho, ale bardzo stanowczo. – To nie jest dobry moment.

– A kiedy będzie? – Pierś Elżbiety uniosła się w nagłym przypływie emocji.

– Na pewno nie teraz... jeśli w ogóle. Jak chcesz, możemy omówić tę sprawę po moim powrocie, ale zastanów się, czy na pewno chcesz.

Ela przygryzła wargę, powstrzymując napływające do oczu łzy. Mariusz wstał z fotela, zerwał z wieszaka marynarkę i nachylił się nad nią, żeby pocałować ją w policzek. Uchyliła się lekko, odwracając wzrok.

– Zostaw to, dobrze? – Poglądził ją po ramieniu. – Daj sobie spokój, chyba że chcesz mnie zostawić... Idę. Wracaj do łóżka.

Wyszedł szybko z mieszkania, ale na schodach zatrzymał się na parę sekund, oddychając ciężko. Kiedy pomyślał o tym, żeby jechać do Kota, osoba Eweliny nawet nie pojawiła się w świadomości. W zasadzie prawie zapomniał o tym, że się z nią przespał, nic dla niego nie znaczyła... Ale dla Elżbiety to upokorzenie wracało każdego dnia i czasami przypominała mu o tym podczas różnych zdarzeń. Gdyby mógł cofnąć czas, nawet by nie dotknął tej smarkuli, byleby nie widzieć jej wzroku, nie słyszeć żalu w głosie i nie bać się, że naprawdę odejdzie.

Zbiegł po schodach, nie zapalając nawet światła. Sąsiedzki „monitoring” skrupulatnie notował wszelką aktywność przez wizjery i okna na podwórko. Kiedy szedł do auta, dobrze wiedział, że jest obserwowany, nie tylko przez przejętą żonę, która pewnie już tej nocy nie zaśnie.

Na osiedle, na którym tak naprawdę mieszkał Łukasz Meyer z żoną Justyną, wszedł tylko dlatego, że pokazał legitymację. Od dnia porwania Justyny wszyscy ochroniarze spełniali swoje obowiązki bardziej niż skrupulatnie. Dodatkowo wprowadzono kilka nowych zasad, jeszcze bardziej utrudniających intruzom wejście na teren blokowiska. Zerknął odruchowo w okna Meyerów i ze zdziwieniem zauważył, że w kuchni pali się światło. Rzeczywiście, kiedy nacisnął domofon, Kot odebrał po kilkunastu sekundach.

– Kogo niesie? – zapytał spokojnym tonem Tomek.

– Kowalski.

– Pierdolisz?! – Spokój zamienił się w rechot. – Włazić!

Tomek stał w drzwiach i śmiał się całą gębą do Mariusza, który był największym śpiochem, jakiego widziało całe CBS i policja w ogóle.

– Co jest z tobą, co? – śmiał się, wpuszczając Kowalskiego do środka.
– Masz guza mózgu, który nie pozwala ci spać?

– Nie, muszę pogadać. – Mariusz od razu pomaszerował do kuchni. – To ważne.

– Zapraszam więc. Zrobię ci kawy. Sobie też.

Kowalski zajął miejsce za stołem i rozejrzał się po pomieszczeniu. Meyerów od kilku miesięcy nie było w Polsce i teraz w tej kuchni niepodzielnie rządziła jego kuzynka Ewelina, która, nie wiedząc czemu, związała się ze starszym o prawie dwadzieścia lat Tomkiem Kotowiczem i mieszkała z nim jak gdyby nigdy nic, prowadząc mu dom i umilając smutne jak do tej pory życie.

– A ty czemu nie śpisz? – zapytał Mariusz, ściągając kurtkę. – To nie tylko dla mnie chora pora dnia.

– A, szkoda gadać. – Kot machnął ręką. – Zeszło się nam wczoraj, bo najpierw była u nas moja teściowa...

– Matka Ewki? – zdziwił się Mariusz.

– Tia... przyjechała się pożalić na życie. Potem był ojciec Meyera, żeby zapytać, czy wszystko w porządku i opowiedzieć o różnych pierdołach. Później siedziałem z Eweliną nad jakimś materiałem do kolokwium, bo od kiedy dostała stypendium, to się uczy bardziej niż trzeba.

– Sam sobie wyhodowałeś tę zmiję, Koteczku. Na własnej piersi w dodatku – roześmiał się Kowalski.

– Właśnie – mruknął Tomek, stawiając kubek z kawą przed Mariuszem.

– No, a potem się okazało, że jest strasznie późno, a ja mam ciągle robotę z Biura, więc do niej zasiadłem, a kiedy kończyłem, to zadzwoniłeś ty. I noc poszła się... Ale, ale! My nie o tym, zdaje się, prawda? Dawaj, co masz, bo mnie zaintrygowałaś swoją wizytą.

– Chodzi o Kowaliowa – wypalił Mariusz, zanim Kot skończył mówić.

– Nie! – Dłoń Tomka, którą miał zamiar sięgnąć po łyżeczkę cukru, opadła ciężko na stół. – Co znowu? Sprawa zamknięta.

– A mnie się wydaje, że nie powinna.

– Bo?

– Bo nie daje mi spokoju to, co powiedział nam Jakubowski na Mazurach. Pamiętasz?

– No, jak przez mgłę – skrzywił się Kot. – Szczegóły poproszę.

– Uważam, że po pierwsze, nie powiedział wszystkiego, a po drugie, oni ciągle wodzą nas za nos.

– Kto?

– Kowaliow.

– On siedzi. Tak jak prezes ze Słotwińskim, tyle że oni siedzą cicho w swoim wieżowcu, jak myszy pod miotłą, i wiesz, że nie wyściubią nosów ze strachu... więc nie wiem, czemu mieliby wodzić nas za nosy.

– Bo okłamali nas w kwestii tego porwania, przynajmniej Kowaliow.

– No... – Kot uniósł brwi i upił łyk kawy. – Słucham uważnie.

– Kocie, jak dla mnie te tłumaczenia, że porwali Justynę, żeby dowiedzieć się, czemu jest cenna dla Słotwińskiego i prezesa, są co najmniej naciągane.

– Rusek powiedział, że porwał, żeby nie odwodziła prezesa od układu z nimi.

– I my jesteśmy debilami, że w to uwierzyliśmy! To bez sensu.

– No to co ma sens?

– Porwanie Justyny dla Justyny.

Tomek chciał zripostować, ale zabrakło mu inwencji.

– Yy... – zacukał się na chwilę. – Musisz mi to wyjaśnić jak krowie na

miedzy, bo chyba nie nadażam.

– Widzisz, Jakubowski nie kłamał, mówiąc, że chcą przez Justynę dotrzeć do najemników, żeby sprzedawać im broń, ale myślę, że Kowaliow chciał tego samego.

Kotowicz zamarł. Słyszał, jak serce bije mu w klatce piersiowej, a po chwili w uszach usłyszał świst.

– Szefie? – Mariusz potrząsnął go za ramię. – Jesteś tu?

– Kurwa – szepnął Kot. – Ona... oni są ciągle w niebezpieczeństwie... jeśli masz rację.

– No! – Kowalski potrząsnął energicznie głową. – Ona i Meyer mają ciągle kogoś, kto się nimi interesuje, zwłaszcza że są w Afganii.

Kot westchnął i schował twarz w dłoniach.

– Czekaj... – Spojrzał po chwili znowu na Mariusza. – To trzeba dobrze przemyśleć.

– I pogadać z premierem.

– Jeszcze to! – Cmoknął zirytowany na dobre Tomek. – Będę się musiał zgłosić do Rasiaka... Ale najpierw chcę być pewien, że to, z czym do niego pójdę, będzie miało sens. Która godzina?

– Wpół do szóstej.

– Za wcześnie, żeby jechać do roboty i naradzać się z ludźmi...

– Lepiej nie – przerwał mu Kowalski. – Myślę, że nie powinno o tym wiedzieć wiele osób.

– To jaki masz pomysł?

– Nie wiem... – Mariusz podrapał się po uchu. – Myślałem... myślałem, że może trzeba by się starego zapytać.

– Kogo?

– No, Brennera.

– Ciągle mówicie na niego „stary”? – uśmiechnął się Kot. – Wydawało mi się, że teraz to mój przywilej.

– Jakoś ci nie pasuje. – Kowalski wyduł usta, przyglądając się uważnie Tomkowi.

– No, dobra. Powiedzmy, że pojedziemy do inspektora...

– Jedźmy teraz! – przerwał mu ponownie Mariusz.

Tomek westchnął ciężko, ale, sam nie wiedząc czemu, nie oponował. Skinął głową i wstał od stołu.

– Dobrze, tylko się przebiorę.

Zanim dotarli pod dom, w którym mieszkali Brennerowie, chciał kilka razy wycofać się z tego pomysłu i zawrócić, uważając, że były szef uzna ich za wariatów, ale że nie jechał w jednym aucie z Mariuszem, to nie miał jak mu tego powiedzieć; po telefon też mu się nie chciało sięgać.

Domofon był zepsuty, a drzwi do klatki otwarte, więc weszli od razu na górę. Nie musieli bardzo długo czekać, aż ktoś im otworzy, ale inspektor wyglądał na kogoś, kto został nagle obudzony. Próbował udawać, że się złości z powodu ich najścia, nie potrafił jednak ukryć zaniepokojenia widokiem byłych podwładnych.

– Co się stało? – wyszeptał, a jego twarz wyraźnie pobladła.

– Możemy? – uśmiechnął się niewyraźnie Kot. – Potrzebujemy rady. Dyskretnie.

Brenner odsunął się, robiąc im przejście. Najciszej, jak się dało, przeszli do kuchni i usiedli za stołem, nie zdejmując nawet kurtek.

– No i? – Brenner stanął przed nimi i rozłożył ręce. – Wyglądacie, jakby ktoś umarł.

Wtedy do Kota dotarło, że mógł pomyśleć, iż przyjechali w sprawie Łukasza i Justyny, bo rzeczywiście wyglądali na posłańców ze złymi wieściami.

– Niech pan usiądzie. Kowalski, może się rozbierzmy chociaż.

– Chcecie coś pić? – zapytał Brenner.

– Nie, dzięki.

– Zrobie wam. – Inspektor pokręcił głową i zamknął drzwi do kuchni.

– Moja władza najwyższa zaraz wstanie i mnie opieprzy, że was nie ugościłem. Ale wy w tym czasie mówcie.

Kot szturchnął Mariusza, żeby ten powiedział o swoich przemyśleniach. Brenner przygotowywał im herbatę, nie patrząc w ich stronę ani razu, ale gdy Kowalski skończył, spojrzał na niego w bardzo znaczący sposób.

– Miałeś słusność, żeby nie mówić o tym nikomu więcej. – Kiwnął łusą głową, po czym postawił przed ich nosami parujące kubki. Sam też sobie usiadł i popatrzył nad ich ramionami za okno. – Jest możliwe, że twoje przypuszczenia nie są słuszne... ale moja łysina śwędzi mnie za bardzo, żeby tego nie sprawdzić. W zasadzie... – roześmiał się nerwowo – w sumie to nie wiem, czemu na to nie wpadliśmy wcześniej.

– Bo my ciągle myślimy o Justynie jak o kimś, kogo pamiętamy sprzed porwania – stwierdził Kot. – Zapominamy, że inni tak o niej nie myślą. Mało tego: oni znają ją lepiej.

– Co masz na myśli? – Brenner zmarszczył czoło.

– A co my tak naprawdę wiemy, czym ona się tam zajmuje? Nawet Meyer tego nie wie do końca, chociaż jest na miejscu. Ostatnio, jak pojechała na akcję, to nie był w stanie powiedzieć, czy w ogóle jest w Afganistanie, czy może nie wyjechali do jakiegoś Pakistanu czy Iranu... Dla kogo oni pracują? Z kim? Za czyje pieniądze? – Tomek poczuł, że nagle i jemu to wszystko zaczyna układać się w nieco inną całość, niż to do tej pory im się wydawało. – Przyjeżdża do Polski jakiś Rusek... okazuje się, że ściga go cały Interpol i pewnie parę innych służb, ale on wcale nie robi wielkiego skoku na kasę, tylko porywa biedną dziewczynę

z korporacji, której szef też zaczyna dziwnie się zachowywać.

Inspektor pokiwał głową i wpadł na chwilę w zadumę.

– Tak... – powiedział cicho. – A Justyna skądś wie, że porwanie zlecał ktoś inny.

– Właśnie – przytaknął Mariusz. – Kowaliowowi jest na rękę, że łyknęliśmy jego wersję.

– Ale syf. – Brenner potarł palcami oczy. – Najgorsze jest to, że dopóki czegoś konkretnego się nie dowiemy, Meyerowie nie mają czego szukać w Warszawie.

– Tyle że tam też chyba nie są bezpieczni – zauważył Tomek. – Przyszło mi do głowy... choć sam nie wierzę, że to mówię... żeby pogadać z Mrozowskim.

Kowalski uśmiechnął się pod nosem.

– Gadaj waść. – Inspektor zerknął na Mariusza, pogładził glacę i chrząknął znacząco. – Jeśli uważasz, że się dogadasz.

– Oj, nie róbcie min – zirytował się Kot. – A z kim mam rozmawiać? Przecież nie z Justyną. I tak nie uwierzę w żadne jej słowo. Poza tym szczerze wątpię, żeby była w stanie nam pomóc.

– A Mrozowski pomoże? – Brenner oparł brodę na dłoni, a drugą mieszał kawę.

– Myślę, że tak – odpowiedział ponuro Kot. – Jeśli domysły Mariusza są słuszne, problem ma nie tylko Justyna, ale cała ich grupa. Może go w niej już nie ma, ale z tego, co wiem, zależy mu na reszcie ludzi... zwłaszcza na Justynie.

Inspektor poruszył się niespokojnie na krześle i odwrócił głowę w stronę drzwi, nasłuchując, czy od strony sypialni nie dochodzą jakieś dźwięki. Jego reakcja nie uszła uwadze Tomasza.

– Hm... dobrze. – Brenner mimo wszystko starał się zachować spokój. – To umów się z nim na spotkanie, a ja pogadam z Rasiakiem. I tak miałem u niego dziś być.

– Uff – westchnął Kotowicz. – Chociaż tyle mam z głowy. Kiedy pan wraca do służby?

– Najprędzej w czerwcu, ale i tak szarpiemy się z Łysiakiem i w prokuraturze jestem częściej niż kiedykolwiek. Menda ma dobrych adwokatów i czasami żałuję, że mnie na dobre nie wykończył na tym parkingu... Gdyby jeszcze na jaw wyszły te sprawy, o których rozmawiamy... – Pokręcił głową.

– A co z akcją na Pradze? – zapytał niemal szeptem Kot. – Wyrывał się coś z tym tematem?

– Cały czas się wyrывa. Próbował nas tym szantażować, ale Rasiak mu obiecał, że jak się będzie dalej upierał przy swoim, to nie ma co liczyć na jakąkolwiek ugodę. Jest szansa, że mu zmniejszą wyrok za chwilową niepoczytalność, ale musi być grzeczny.

– Rozumiem. – Tomasz kiwnął głową i zerknął na komórkę. – Będziemy się zbierać. Pojadę do domu na śniadanie i trzeba wracać do pracy. Dzięki, że nas pan przyjął o tej porze.

– To ja dziękuję, że mi powiedzieliście. Jeśli coś jest na rzeczy, premier musi o tym wiedzieć.

– Spotka się pan z nim?

– Nie wiem... Brzeziński robi, co sam chce. Jak będzie chciał się ze mną widzieć, to się z nim zobaczę.

Kot z Mariuszem zaczęli się podnosić z miejsc i ubierać, kiedy do kuchni weszła Grażyna Brennerowa. Stała w progu, oniemiała na ich widok.

– Co... co się stało?

– Nic – uśmiechnął się Brenner. – Moje dzieci się za mną stęskniły.

– O tej godzinie? Zrobiłeś im coś do picia?

– A nie mówiłem? – Brenner przewrócił oczami. – Zrobiłem. A teraz idę odprowadzić ich do drzwi.

– Do widzenia, pani Grażyno. – Mariusz uklonił się uprzejmie, wychodząc z kuchni.

– Do widzenia. – Tomasz uściskał jej dłoń.

– Do widzenia... – mruknęła. – Jak zwykle nie wiem, co się dzieje... i jeszcze muszę po wszystkich pozmywać.

Przy drzwiach coś się Brennerowi przypomniało.

– Kocie, nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli do was wpadnę? Do Biura znaczy się.

Kotowicz spojrział na Kowalskiego i obydwaj wybuchnęli śmiechem.

– Co to za pytanie? – rechotał. – Panie inspektorze, myślałem, że Łysiak postrzelił pana w klatę, a nie w głowę.

– Oj, nie bądź taki przemądrzały – uśmiechnął się Brenner. – Przyjdę. Jak tylko będę po rozmowie z generałem, wpadnę i pogadamy.

– Czekaamy. – Kot wyciągnął dłoń na pożegnanie, uściskał prawicę inspektora i razem z Kowalskim zniknęli w ciemnym korytarzu.

II

Widok zamieszania na parkingu przed budynkiem Biura wywołał szczerzy uśmiech na twarzy Kotowicza. Jego ludzie szykowali się do wielkiej akcji, robiąc przy tym więcej hałasu niż to było konieczne, ale nie miał im tego za złe. Sam dobrze wiedział, jakie to uczucie, kiedy zakłada się mundur, kamizelkę z napisem CBS, kominiarkę, a przy biodrze wisi broń. Nikt ani nic nie było w stanie odebrać tego dreszczu emocji i głębokiego przekonania o tym, że robi się coś naprawdę ważnego. Wówczas wszystkie marudzące żony, którym wiecznie było czegoś mało, czy dawni koledzy – prześladowcy ze szkoły – mogli co najwyżej im skoczyć i to też nie za wysoko... Zdawał sobie sprawę z tego, że największy niedorajda był w stanie w takiej chwili wyleczyć się ze wszystkich swoich kompleksów i przynajmniej w czasie brania udziału w akcji być twardzielem.

Wysiadł z samochodu i rozejrzał się po twarzach. Nikt tu nie był niedorajdą – przynajmniej nigdy by tego nie okazał. Znał ich dobrze, niektórych za dobrze, i miał świadomość, że pod względem zawodowym to doskonale dobrany zespół, nawet jeśli nie zawsze dogadujący się ze sobą w kwestiach osobistych...

– Co jest ze Słomkowskim? – zapytał, podając dłoń Piotrkowi Mzygłódowi, który stał przy wejściu i palił papierosa.

– A co ma być? – Pytany wzruszył ramionami.

– Widzę, że się dąsa. Jego foch jest większy niż ten budynek.

– A... – Mzygłód machnął ręką i wyrzucił peta do popielniczki. – Jak zawsze to samo: Malicki.

– O, Boże! – Kot przewrócił oczami. – Dalej?

– No. Chodzi podkurwiony, bo musi jechać jednym wozem z Michałem, a przecież nie gadają ze sobą. Tak to jest, jak chłopaki myślą swoimi dwoma mózgami... tymi w gaciach.

Tomek parsknął śmiechem i wszedł szybko do środka. Wolał nie wchodzić kolejny raz pomiędzy dwóch facetów bijących się o kobietę – ostatnio nie skończyło się to dobrze... dla nikogo. Uznał, że panowie muszą sami się dogadać, a jeśli im się to nie udało i zaczęłyby cierpieć na tym ich praca, był gotów załatwić któremuś przeniesienie. Tymczasem przyczyna sporu siedziała nadąsana przy swoim biurku, obserwując przez okno kolegów pakujących się do wozów.

– Nie smuć się, Iwonka. Przyjdzie czas i na ciebie. – Tomek stanął przed dziewczyną z pełnym zrozumienia wzrokiem.

– Kiedy? – mruknęła pod nosem. – Jak Rasiak kopnie w kalendarz?

– Nie, jak Brenner zajmie jego miejsce – śmiał się głośno Kot. – On nie ma nic przeciwko dziewczynom na akcjach.

– Jasne...

– Hej, nie można się tak załamywać. Głowa do góry.

– To nie tylko o to chodzi. – Iwona sięgnęła po jakąś kartkę i podała ją szefowi. – Kronika policyjna z Węgorzewa. Kolejne morderstwo.

– No i? Ktoś znajomy został zabity?

– Nie. Problem w tym, że od kiedy tu jestem, tam zaczęło się coś dziać.

– Chcesz wrócić? – Tomek uniósł brwi.

– Po co? Jak wrócę, to pewnie przestanie się dziać. Taki mój fart.

– To możliwe – uśmiechnął się Kot i oddał jej papier. – No... a jak sprawy tutaj? Wszystko dobrze?

– Nie mówmy o tym, OK? – Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem i znowu wyjrzała przez okno. – To mi wystarczy.

– Co to znaczy? – Kot zaniepokoił się nieco. – Ktoś ci sprawia przykrość, któryś z chłopaków?

Pokręciła smętnie głową i ciężko westchnęła.

– Nie... mój ślubny daje mi do pieca. Nie chce się przenieść do Warszawy. Ciągle mnie szantażuje... Dzwoni w środku nocy, gada coś godzinami, potem w ogóle nie dzwoni albo nie odbiera moich telefonów.

Tomek przysunął sobie fotel z sąsiedniego biurka i klapnął na nim, nie zdejmując nawet płaszcza.

– To dla niego trudna sytuacja – powiedział cicho.

– Co jest trudne? – uniosła się Iwona. – Co? Że chcę iść dalej? Robić coś więcej niż być tylko...

– Kim?

– A... nieważne. Po prostu chcę być tutaj, chcę to robić, zawsze chciałam...

A on... on jest...

– Zazdrosny.

– Właśnie. – Kiwnęła głową, powstrzymując łzy. – Gdyby to o niego chodziło, gdyby to on miał szansę wyjechać z tej zapyziałej dziury i robić coś nowego, to ja nie miałabym nic do gadania, musiałabym się spakować i lecieć za nim, choćby to miało kosztować mnie karierę. Tacy wy jesteście. Faceci.

– Ej – niby na serio obruszył się Tomek. – Nie generalizuj. Nie wszyscy są tacy...

– Yhy, oczywiście. A ten pana kumpel? Ten od żony-najemnika? Jak zareagował, kiedy się dowiedział...

– Wystarczy! – Kot uniósł dłoń. – Jesteś rozżalona, ale to nie powód, żeby jeździć po moim kumplu. On już dość przeszedł i za swoje odpokutował. Bierz się do pracy albo jedź do domu, jeśli masz zamiar dalej się mi tu mazać. Zrozumiano?

Pokiwała głową, przygryzając wargę.

Tomek wszedł do swojego gabinetu oddzielonego szklaną ścianą od open

space'u, ściągnął płaszcz i usiadł za biurkiem. Chwilę zastanawiał się nad czymś, pstrykając długopisem, po czym złapał za telefon i wybrał numer.

– Witam szefa – usłyszał po drugiej stronie niski głos z wyraźną chrypą, należący do komisarza Wiśniewskiego. – Czyżbym miał zrywać się z mojego łóżka bóleści i biec na akcję stulecia?

– Cześć, Wiśnia. Nie, kuruj się dalej. Chodzi mi o coś innego. Czy znasz kogoś ze stołecznej... kogoś bardzo zaufanego, kogo mógłbym poprosić o bardzo delikatną przysługę?

– Hm... znam – powiedział powoli Robert, jakby mocno zastanawiał się nad każdym słowem. – Ale wolałbym nie zdradzać...

– OK, nie musisz mówić nazwiska. Ale czy mógłbyś go... albo ją poprosić o sprawdzenie mi czegoś... kogoś na prowincji?

– No... mów. Zobaczą, co da się zrobić.

– Nasza Iwonka zostawiła męża w Węgorzewie, wiesz o tym, prawda?

– Wiem – roześmiał się Wiśniewski zachrypniętym głosem. – Malicki i Słomkowski wiedzą to nawet lepiej. Co z nim?

– Chciałbym dowiedzieć się o nim czegoś więcej. To znaczy, czy jest znany policji, czy ma z kimś na pieńku...

– Chcesz mieć na niego jakiegoś haka?

– Nie. Chcę wiedzieć, czy ma związek z dwoma morderstwami, do których ostatnio tam doszło.

– O... o, kurwa! Bezpośredni jesteś. Ale rozumiem, że to naprawdę delikatna sprawa... Dobra, Tomasz, postaram się to załatwić.

– Dzięki.

– Słuchaj, szefie... czy ty...

– Wiesz co, wiele razy położyłem sprawę, także porwania Justyny, bo zignorowałem jakąś „bzdurę”, która potem była kluczowa. Wolę teraz wyjść na durnia, byleby nie przyłożyć ręki do... innego syfu.

– Jasne. Zrobię, co będę mógł. Będziemy w kontakcie.

– No, na razie, Wiśnia.

– Na razie.

Tomek rzucił komórkę na blat i spojrzał na Iwonę, która wciąż gapiała się przez okno.

Jak się dowie, co zrobiłem, powiesi mnie na suchej gałęzi – pomyślał zrezygnowany. Wiedział jednak dobrze, że gdyby tego nie zrobił, nie mógłby później spać spokojnie. Ciągle miał w pamięci swoją wpadkę z Kowaliowem podszywającym się pod kolegę żony Meyera...

Podniósł się z miejsca, złapał za kubek i znowu stanął przed biurkiem Iwony.

– Kawy? – zapytał z uśmiechem.

– W sumie chętnie. – Dziewczyna też próbowała się uśmiechnąć, ale nie

bardzo jej to wyszło. Podreptała za nim do kuchni, gdzie zastali nieopisany bajzel.
– Oczywiście zaraz pan powie, że generalizuję... ale czy wy musicie zawsze tak syfić?

– A ty pewnie uznasz, że ich bronię, ale powiem to: jechali na ważną akcję. – Tomek zabrał się za napełnianie zbiornika na wodę od ekspresu. – Nic innego się nie liczyło. Na pewno nie porządek w kuchni.

Iwona uśmiechnęła się, tym razem szczerze, i usiadła na krześle. Tomek bez pytania wziął jej kubek i postawił na ekspresie.

– Nie musi pan... to znaczy sama sobie zrobię.

– To powiedz mi, Iwonko – zignorował jej cichy protest Kot – coś więcej o tym twoim mężu.

– Co tu mówić? – Wzruszyła ramionami.

– No, na przykład, w jaki sposób „daje ci do pieca”?

– Eh... wie pan, jak to jest. Zawsze mu się wydawało, że będzie tak, jak jest. Kiedy się pobieraliśmy, liczył na to, że będę taką żoną, jak jego matka: posłuszną, potulną, siedzącą przy garach, no i... co najważniejsze, że urodzę mu dziecko.

Tomek spojrział na nią przenikliwie.

– Długo jesteście razem? – zapytał, stawiając przed nią kubek z kawą i karton mleka.

– Od matury... to znaczy mojej matury, bo Marek nie ma średniego wykształcenia. Wiedziała, że może być ciężko, znałam go... Ale kochałam, to byłam ślepa.

– Kochałam? – Tomek usiadł ze swoją kawą naprzeciwko dziewczyny.

– Kocham. Kocham dalej i nie wyobrażam sobie mieć innego męża. Tylko że... jestem między młotem a kowadłem. Chcę tu być i strasznie chcę to robić, ale też chcę jego.

– Rozumiem. – Kot skinął głową. Z trudem powstrzymał się od opowiedzenia Iwonie swojej historii długiego i bolesnego małżeństwa z kobietą, którą też kochał i która też była tą „jedyną”. Podejrzewał, że jego podwładni już to zrobili, nie był jednak przekonany, czy dziewczyna przyjmie do wiadomości, że te dwie sprawy mogą być do siebie podobne. – No, a jak zareagował na to, że poszłaś do policji?

– A jak pan myśli? – Spojrzała na niego wymownie znad kubka. – To była katastrofa. Dopiero teściowa, jego matka, przekonała go, że to będzie dobre, bo pójdę szybko na emeryturę, że stała pensja, ubezpieczenie, a u nas to bezrobocie jest duże. Wie pan, jak ktoś do wojska się nie dostanie, to za wiele atrakcyjnych ofert nie ma do wyboru.

– Nie myślałaś o wojsku?

– Nie. – Pokręciła energicznie głową. – Zawsze chciałam być policjantką. Mój brat i kuzyni są w brygadzie w Węgorzewie kapralami, więc trochę

opowiadali... Jakoś mnie to nie zachęciło.

– A ten twój Marek... nigdy nie był agresywny?

Iwona wyprostowała się gwałtownie.

– Nie! Dlaczego miałby być?

– Tak pytam. Przepraszam, jeśli cię uraziłem, ale mówiłaś, że teraz jest uciążliwy, więc...

– Nie! Absolutnie nie! Jest narwany, ale nigdy by... nic nie zrobił. – Spuściła wzrok i zaczęła mieszać łyżeczką w kubku. – Taki charakter.

Tomek nie skomentował. Jako że był regularnie lany przez swoją ślubną w ciągu dwunastu lat pożycia, uważał, iż jest ekspertem w tym zagadnieniu, także w tym, że na pewnym etapie do bitych małżonków pewne fakty w ogóle nie docierają. Dzięki tej rozmowie jednak czuł się nieco mniej nieswojo na myśl o tym, że zadzwonił do Wiśniewskiego.

– No... a jak tutaj, z kolegami ci się układa?

– Dobrze. – Uśmiechnęła się, a na jej policzkach pojawiły się dwa rumieńce.

– Jakoś tak... miło jest.

– Hm... – Kot wydał usta. – To dobrze...

Nie dane mu było dokończyć, bo w drzwiach kuchni pojawiła się postać Brennera.

– No, proszę – cmoknął znacząco inspektor. – Ludzie na akcję jadą, dupy narażają, ojczyznę ratują, a pan szef sobie kawkę z piękną kobietą pije.

– Zrobić panu? – roześmiał się Tomek i zerknął na Iwonę, która tym razem zbladła. – Niech pan siada.

– Nie, Kocie – spoważniał Brenner. – Musimy jechać.

– Dokąd?

Inspektor wbił w niego zimne spojrzenie bandyty.

– Na spotkanie – wycedził.

Tomek pokiwał głową i z ciężkim westchnieniem, świadczącym o tym, że rozumie powagę sytuacji, zaczął się podnosić z miejsca.

– Iwonka, zostaniesz tu sama przez jakiś czas. Pilnuj gospodarstwa i nikogo nie wpuszczaj.

– Ale... coś się stało? – wyszeptała Iwona, spoglądając to na szefa, to na Brennera.

– Nie, pani funkcjonariusz – uśmiechnął się do niej inspektor. Kot w tym czasie wyszedł do swojego gabinetu. – Wszystko w porządku. A pani? Dlaczego nie na akcji?

– Generał Rasiak nie pozwala mi jeździć... nawet na obserwacje. – Naburmuszyła się znowu.

– Cóż... widocznie ma swoje powody. Każdy tylko na akcje by jeździł, a tego, co nie widać, to robić nikt nie chce. Proszę się nie martwić, na wszystko

przyjdzie pora.

– To jedźmy. – Kotowicz zjawił się ubrany w płaszcz.

– Jedźmy – westchnął Brenner. – Do widzenia, pani Iwono.

– Do widzenia, inspektorze.

Na parkingu już nikogo nie było, kiedy Kotowicz z Brennerem zajmowali miejsca z tyłu rządowego auta. Żegnało ich jedynie smutne spojrzenie Iwony, która z kubkiem kawy stała w oknie.

– Jak się sprawuje wasz rodzynek? – zapytał inspektor cicho.

– Rodzynek dobrze. Gorzej z resztą tego ciasta.

– To znaczy?

– Malicki ze Słomkowskim... Iwonka bardzo im się podoba i każdy próbuje swoich sił, a przy okazji drą koty na każdym kroku.

– A ona?

– Ona? – Kot spojrzał na Brennera wymownie. – Ona ma męża, który prawdopodobnie się nad nią znęca, ale nie widzi poza nim świata.

– Brzmi znajomo. – Brenner uniósł brwi.

– Właśnie. – Kot potarł dłonią zmęczone oczy. – Nie wiem, czy mam z nią o tym gadać... Chyba nie będę się wtrącał, nic to nie da. Gorzej z tymi dwoma kogutami. Jak się dalej będą dziobać, trzeba ich będzie rozdzielić.

– Co masz na myśli?

– Załatwię któremuś przeniesienie. Raczej będzie to Słomkowski, bo z Malickiego mam więcej pożytku.

– Nie możesz go wyrzucić. – Brenner nachylił się nad uchem Kota.

– Wszystkich, byle nie jego.

– A to czemu?

– Kocie, po co Słomkowski do nas przyszedł pracować?

Kotowicz przez chwilę nic nie odpowiedział, jakby szukał czegoś w pamięci.

– O, kurwa! – Przymknął oczy, gdy dotarło do niego, w czym rzecz.

– Zapomniałem zupełnie. No to mam problem. Będę musiał wymyśleć coś innego.

Brenner pokiwał łysiną i odwrócił wzrok w stronę okna.

– Meyerowie się odzywali? – zapytał po chwili, jakby od niechcenia.

– Tak. Rozmawiam z nimi raz w tygodniu. To znaczy z Meyerem, bo Justyny często nie ma... na miejscu.

– Rozumiem. A jak im się wiedzie?

– Chyba dobrze. Łukasz jakoś się odnajduje na tej budowie. Aha! Powiedział, że nie wróci do służby.

– Jak to?! – Brenner odwrócił się gwałtownie w stronę Kota.

– Nie wiem. – Tomek wzruszył ramionami. – Mówił, że ma coś innego w planach, a poza tym nie wyobraża sobie, że ja będę jego szefem.

Brennera to nie rozbawiło. Zmarszczył brwi i ściągnął usta.

– Nie musi wracać do was. Ja mogę mu znaleźć coś innego.

– Wie pan co? Jak tu zjadą z Justyną, to sam mu pan to powie.

– Tak zrobię – powiedział stanowczo inspektor, po czym westchnął i pogładził się po głacy, jakby zbierał się do powiedzenia jeszcze czegoś.
– A Justyna? Wszystko dobrze?

– Tak. – Tomek skinął głową, udając, że nie zrobiło na nim wrażenia to pytanie. – Ciągłe mi dokuczają i pyta, kiedy ogolę się na łyso.

– Dlaczego? – Brenner zamrugnął powiekami.

Tomek zerknął wymownie na głowę inspektora, który dopiero po chwili pojął, o co chodzi.

– Ach! – roześmiał się cicho i znowu przejechał dłonią po łysinie. – I co jej powiedziałaś?

– Że legendzie i tak nigdy nie dorównam. Dojeżdżamy. Mam się bać, panie inspektorze?

Brenner spojrział na budynek Urzędu Rady Ministrów i uniósł ramiona.

– Cholera wie. Reakcja na to, co mu przekazałem przez Rasiaka, jest, jak widać, błyskawiczna. Równie dobrze możemy spodziewać się zwolnienia, co awansu. Z nim nigdy nie wiadomo.

W milczeniu poszli za jednym z funkcjonariuszy BOR-u, który czekał na nich przed wejściem. Tomek czuł się bardziej niż nieswojo, zwłaszcza po ostatnich słowach byłego szefa. Nie chciał być wywalony na pysk, nie teraz, kiedy był tam, gdzie był, i gdy nawet jego osobiste sprawy zaczęły wyglądać całkiem nieźle. Zerkał co chwilę na Brennera, który wydawał się całkowicie nieobecny. Szedł, lekko pochylony, przez długi korytarz; jego krok był pewny, dopóki ze zdziwieniem nie skonstatował, że BOR-owiec prowadzi ich w innym kierunku, niż zazwyczaj chadzał na spotkania z Brzezińskim.

Pokój, w którym się znaleźli, nie wyglądał na gabinet. Na jednym z kilku krzeseł siedział już generał Rasiak, ubrany w mundur, co nie wróżyło dobrze, tak przynajmniej uważał Brenner. Premier stał przy oknie, odwrócony plecami, z rękami założonymi za siebie. Kiedy weszli do środka i zamknęły się za nimi drzwi, odwrócił się gwałtownie i zmierzył gości zimnym spojrzeniem. Doświadczony inspektor nie odezwał się słowem – czekał, aż Brzeziński coś powie.

– A ten, który to wymyślił? – padło pytanie spod okna.

– Yy... – Kot poczuł się zbity z tropu, ale Brenner ubiegł go z wyjaśnieniami:

– Komisarz wysłał go na akcję ze wszystkimi, żeby nie wzbudzać podejrzeń jego nagłym zniknięciem – odpowiedział spokojnym tonem.

Brzeziński skinął głową i wskazał dłonią na krzesła obok niewysokiego stolika.

– Panowie, to, co dziś usłyszałem... te przypuszczenia, gdyby okazały się być prawdą... – Zamilkł, odwracając się znowu do okna, czym wywołał niepokój na twarzy generała, który przyglądał mu się w napięciu. – Czy możecie mi wytłumaczyć, jak to się stało, że nikt do tej pory o tym nie pomyślał?

Brenner wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Rasiakiem i nabrał powietrza w płuca, tym razem jednak to Kot był pierwszy.

– Panie premierze, jeśli można...

– Trzeba! – Brzeziński odwrócił się i spojrzał na niego z gniewem, budząc tym większy przestach u pozostałych dwóch.

– Chodzi o to, że my... wszyscy bardzo pomyliliśmy się co do Justyny, to znaczy pani Meyer.

– Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że strasznie skupiliśmy się na porywaczach, Kowaliowie, wojsku, a... a najmniej na niej. My po prostu nic o niej nie wiemy – ostatnie słowa Kot wypowiedział bardzo cicho.

Brzeziński zacisnął pięści i wbił wzrok w podłogę, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Ustalmy fakty – wycedził po chwili. – Wciąż nie wiemy, czy porwanie Justyny Dąbek miało coś wspólnego z jej przeszłością w Afganistanie, poza tym, że ktoś nam wcisnął kit o porwaniu dla handlu bronią. Ja muszę wiedzieć dokładnie, dlaczego i przez kogo została porwana. Muszę! Rozmawiałem z nią wielokrotnie, niestety nie na ten temat, ale nie mieści mi się jakoś w głowie, żeby miała coś takiego przed nami zataić... to znaczy coś, co naprawdę miało związek z jej uprowadzeniem. I chcę wiedzieć, co wy o tym myślicie. Mało tego, chcę, żebyście coś z tym zrobili.

Tomek zagotował się w środku. Do szalu doprowadzała go myśl, że znowu mieliby zajmować się robotą dla Brzezińskiego, zamiast normalnymi zadaniami. Nie okazał jednak swojego gniewu.

– Justyna prawdopodobnie tego nie zataiła – powiedział, odwracając wzrok.

– Kilka razy mogliśmy się przekonać o tym, że powiedziała o pewnych faktach dopiero wówczas, gdy się ją o nie zapytaliśmy, jakby... jakby po prostu o nich wcześniej nie myślała.

– Czy pan wie, czym ona się tam zajmuje? – W głosie premiera słychać było lekką drwinę.

– Mniej więcej.

– Mniej więcej? To chyba pan nie jest do końca świadom tego, co mówi. Ona zawsze myśli o wszystkim naprzód, widzi sprawy z wyprzedzeniem... I pan uważa, że o takim wydarzeniu jak własne porwanie nie pomyślała tak samo, że nie zaczęła kojarzyć faktów, mieć własnych przypuszczeń co do motywów i osób?

– Właśnie tak uważam. – Kot patrzył premierowi prosto w oczy.

– Teraz ja coś powiem – odezwał się Brenner. – Jestem zdania, że komisarz ma rację.

Brzeziński odchylił nieco głowę i przeniósł wzrok na Rasiaka, który lekko wzruszył ramionami. Premier pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Więc co? W innych sprawach jest Bondem, a w tej jednej idiotką?

Kot podrapał się po głowie.

– No... tak to wygląda z naszej perspektywy.

– Więc co mamy wobec takich faktów uczynić, panowie? – Premier spojrzął po wszystkich trzech po kolei, jak srogi nauczyciel, który zadaje trudne pytanie całej klasie.

– Skoro Justyna okazała się idiotką w tej kwestii, to my powinniśmy pomyśleć za nią – powiedział Brenner.

Brzeziński odetchnął i pokiwał głową.

– Dobrze więc. Jakież propozycje?

– Myślałem, żeby porozmawiać z Mrozowskim – wypalił Kot szybciej, niż miał zamiar.

– Nie rozmawia pan. – Brzeziński usiadł w końcu na krześle i założył dłonie na brzuchu.

– A to czemu? – Tomasza już nawet nie dziwił fakt, że premier wie, kim jest Mrozowski.

– Bo on nie chce z nikim o tej sprawie rozmawiać. Myśli pan, że sam nie wpadłem na ten pomysł? Z tego, co mi wiadomo, z panią Dąbek też nie chce rozmawiać od... od czasu, gdy... coś się stało.

– Od czasu, gdy nie żyje jego przyjaciel – dopowiedział Kot.

Premier zrobił minę, w której można było znaleźć ślad uznania.

– Właśnie – mruknął, wykrzywiając usta. – Dzwoniłem dziś do niego, proponując, żeby pojechał do Kabulu porozmawiać z nią... Zmieszał mnie z błotem, zmieszał z błotem panią Dąbek, jakiś „system” i całą „pieprzoną policję”, i... „cały ten pojebany CBS”. – Spojrzął znacząco na Rasiaka. – Po czym zapowiedział mi, jakby tego było mało, że jeśli jeszcze raz usłyszysz o tej sprawie, to opowie o wszystkim, co robili w Afganistanie.

Tomek opuścił głowę, opierając łokcie na kolanach.

– To co? Będzie go pan teraz musiał zabić? – zapytał, wywołując lekkie spazmy u generała i inspektora.

Brzeziński roześmiał się.

– Chyba tak – chichotał, wyraźnie tym pomysłem ubawiony. – Nie pozostawił mi wyboru. Może nawet zatrudnię tego... jak mu było? Kumpla pani Dąbek ze słynnej akcji na Pradze.

Rasiak zmarszczył czoło, zerkając groźnie na czerwonego w tym momencie jak cegła Brennera.

– Na zimne zwłoki towarzysza Gierka... – Premier kręcił głową. – Do czego to doszło? Generale, nic się pan nie odzywa. Może z pana ust padnie dziś jakaś mądrość, która pomoże nam wyjść z tego gówna?

Rasiak chrząknął cicho, jakby poczuł się nieco zażenowany.

– Tak... hm... – Potarł dłonie i wyprostował się na krześle. – Nigdy nie byłem supersledczym... pan inspektor może potwierdzić, że nie mam na tym polu zbyt wielu osiągnięć, ale... uważam, że ktoś powinien tam jechać i z panią Meyer... yy... Dąbek porozmawiać. Koniecznie!

Premier uśmiechnął się z wyraźną satysfakcją i spojrzał na Brennera.

– I co pan na to powie?

– Nie mogę się nie zgodzić z szefem. – Brenner też się uśmiechnął. – Trzeba jedynie kogoś dobrze przygotować, bo z Justyną... może być ciężko. Ze mną, na przykład, nie chce się kontaktować.

– A to czemu? – zdziwił się Brzeziński. Kota też ten fakt bardzo zaintrygował.

– Nie mam pojęcia. Po prostu przestała i już.

– Kobiety – skrzywił się premier.

– Ale... – Brenner najwyraźniej nie skończył wypowiedzi. – Ja mogę spróbować porozmawiać z Mrozowskim.

– Dobrze – zgodził się premier po chwili namysłu. – Może ja mu to przedstawiłem z niewłaściwej perspektywy i coś go za bardzo uraziło. Z tego, co wiem, ci ludzie bywają drażliwi.

– Jacy ludzie? – zapytał cicho Rasiak, pochylając się w stronę Brzezińskiego.

– Najemnicy, panie generale.

– Aha... – wyszeptał, ale po jego minie widać było, że jest w wielkim szoku.

– Kończmy na dziś. – Brzeziński spojrzał na zegarek. – Generał musi zaraz być na jakichś uroczystościach, ja mam swoje obowiązki... Nie powiem, że bym był spokojniejszy niż przed tym spotkaniem, miałem nadzieję, że dowiem się od was czegoś więcej, ale... trudno. Nikt nie mówił, że życie jest proste. Będziemy w kontakcie.

Na te słowa Brenner z Kotowiczem podnieśli się na równe nogi, podali dłonie premierowi i Rasiakowi i czym prędzej opuścili pokój. Brzeziński spojrzał na generała, który wcale nie wyglądał na kogoś, komu się spieszy.

– Jak tam, panie-prawie-emerycie? – zapytał, poprawiając mankiety. – Mam wrażenie, że coś pana gryzie.

– Czuję się jak debil – prychnął Rasiak, kręcąc głową, na której pojawiły się drobne kropelki potu. – O co chodzi z tą akcją na Pradze?

– A musi pan to wiedzieć? – Brzeziński wyglądał na całkowicie wyluzowanego.

– Pan wie, a mnie nic łysy nie powiedział... Jaki kolega pani Dąbek? Jacy

najemnicy?

– Dobra, dobra. – Premier uniósł dłonie. – Wszystko mamy pod kontrolą.

– Jakie mamy... Panie premierze, ja mam na głowie pojebanego Łysiaka, który od miesiący pitoli o jakiejś akcji na Pradze. Staram się jak mogę go uciszyć, bo wydaje mi się, że mu się w mózgu coś pomieszało – zrobił gest wokół czoła – a dziś się dowiaduję, że...

– Panie generale. – Premier nachylił się nad twarzą Rasiaka, patrząc mu prosto w oczy. – Niech pan ucisza. A jak się panu nie uda, to ja mu pomogę być cicho. Rozumie mnie pan?

Rasiak westchnął ciężko i pokiwał głową.

– I niech się pan tak nie denerwuje, żeby nam pan się przed emeryturą nie wykończył. – Brzeziński wyprostował się z uśmiechem. – Chyba czas na pana.

– Tak. – Generał machnął ręką i wstał z krzesła. – Chociaż wolałbym, żeby podpisał mi się pan pod usprawiedliwieniem tej nieobecności. Nie lubię brać udziału w żadnych szopkach.

– Nie podpiszę. – Brzeziński podszedł do drzwi, które otworzył na oścież przed gościem. – Ktoś musi błaznować przed kamerami, żeby inni mogli w spokoju pracować.

III

– Czy może nas pan tu wysadzić? – zapytał Brenner kierowcę rządowej limuzyny, kiedy znaleźli się na wysokości ronda De Gaulle’a.

– W sumie nie powinienem – mruknął funkcjonariusz, zerkając w lusterko.
– Ale proszę bardzo.

– Dziękujemy. Kocie, wysiadaj.

– A to czemu niby? – Kotowicz był najwyraźniej nabzdyczony.

– Bo zapraszam cię na wódkę.

– Jestem w pracy...

– Tak, tak, wiem. Rusz dupę i wyskakuj! Jeszcze raz panu dziękuję.

Wysiedli przy przejściu dla pieszych i, chcąc nie chcąc, przeszli na drugą stronę ulicy, gdzie w odległości kilkunastu metrów była przytulna mordownia z wódeczką za cztery złote i chlebem smarowanym smalcem. Po minie Tomasza łatwo można było się zorientować, że wcale nie podoba mu się ten kierunek i rozmowa z Brennerem.

– Czego pan chce, co? – burknął, kiedy przeciskali się przez tłum na przystanku autobusowym.

– Poprawić ci nastrój. Wchodź do środka i nie marudź.

Mimo pory przedpołudniowej i środka tygodnia, lokal był pełen ludzi. Zajęte były nawet stoliki na zewnątrz, choć wiosna była raczej chłodna tego roku. Udało im się jednak znaleźć mały stoliczek, a Brenner od razu zamówił po cztery kolejki.

– Chyba pan zwariował – skrzywił się Kot. – Mam wrócić do biura pijany?

– Najwyżej nie wrócisz... albo coś wymyślisz. Musisz czasem wyluzować.

Kotowicz obdarzył Brennera pełnym wyrzutem spojrzeniem.

– Jakoś nie widziałem pana wyluzowanego, kiedy nam pan szefował.

– Zdziwiłbyś się – uśmiechnął się szelmowsko inspektor. – Poza tym chcę się napić, bo mam dość twojego mówienia mi na „pan”.

Chociaż tego nie chciał – Tomasz uśmiechnął się i pokręcił głową.

– To może być najtrudniejsze, wbrew pozorom.

– No, dawaj kielonka i nie marudź. – Brenner uniósł swój kieliszek w górę.
– Rafał.

Po drugiej kolejce i niezobowiązującym gadaniu o bzdetach nastąpiła chwila ciszy.

– Wybacz, że wyskoczyłem z tym Mrozowskim – zaczął w końcu Brenner.

– Wiem, że ty chciałeś się z nim rozmówić...

– Nie... spoko. W sumie to i lepiej, że nie muszę oglądać znowu jego gęby. Mam mu ciągle za złe tych kilka słów za dużo, które do mnie powiedział. Mógłby

mnie wyczuć.

– Też mi to przeszło przez myśl. Tyle że teraz mam obawy o jeszcze jedno: że po telefonie Brzezińskiego będzie się spodziewał kogoś w tej sprawie i że generalnie jest w bardzo bojowym nastroju. Myślę, że lepiej go zostawić przez kilka dni bez odzewu.

Tomek pokiwał głową, ale wydawał się nieobecny duchem.

– Hej! – Szturchnął go Brenner. – Co jest? Myślałem, żeś się obraził o Mrozowskiego, a widzę, że coś innego cię nęka.

– A... Chodzi o to, że znowu jestem w tym temacie, przez który zmarnowaliśmy dobry miesiąc, zamiast pracować jak normalni ludzie.

– Nie zmarnowaliście. Wykonaliście kawał dobrej roboty. Jak przyjdzie czas, dowody, które macie na niektórych... ludzi, pozwolą ich wsadzić do więzienia.

– Tak, żeby jakiś polityk mógł zostać premierem.

– Kocie... – Brenner nabrał powietrza w płuca. – Słuchaj, możesz mi wierzyć albo nie, ale mogło się wam trafić o wiele gorzej.

– To znaczy? Mogliśmy pracować dla obcego rządu? Wie pan, jak się czułem, kiedy robiliśmy to dla Brzezińskiego? Jak płatny najmita. To już Justyna jest w lepszej sytuacji, bo przynajmniej gra uczciwie, a poza tym... ma wybór.

– Hm... Nie wiem, co ci powiedzieć. Zgadzam się z twoim podejściem, ale z perspektywy czasu... także z perspektywy szpitalnego łóżka, widzę życie jako splot nieoczekiwanych zdarzeń, których bieg prowadzi nas w dziwne miejsca. Może nie ma się co złościć o to, co dziś wydaje się niewłaściwe, nie z naszego wyboru oczywiście, ale należy to przyjąć, zacisnąć zęby i... dać się awansować na inspektora.

Tomek uśmiechnął się.

– No co? – Brenner poklepał go po plecach. – Podoba ci się ta myśl, prawda?

– Nie narzekam.

– W ogóle chyba nie masz ostatnio powodów do narzekań, czyż nie? Jak tam proces z panią „eks”?

– Zakończony. Wygrany. Walczę jeszcze o mieszkanie, które mi zabrała.

– Niesamowite! – Brenner pokręcił głową. – Powiem ci, że w życiu nie zdobyłbym się na coś takiego, wiesz? Żaden facet nie ma chyba takich jaj. Ale co? Skazali ją na odsiadkę?

– Zawiasy.

– Fiu... – Rafał zagwizdał cicho. – Długo?

– Dwa lata zawieszony na pięć. Plus odszkodowanie dla mnie i dla matki.

– Pięknie. Moja Grażyna, jak jej o tym opowiadałem, śmiała się, że teraz musi uważać na to, co mówi i robi.

– Ewelina powiedziała to samo – uśmiechnął się pod nosem Kot.

– Cóż... miałem nie poruszać tego tematu, ale skoro sam to zrobiłeś...

– Jakiego? O mnie i Ewelinie? – Tomasz wzruszył ramionami. – Nie ma o czym rozmawiać. Na razie jest, jak jest. Mieszka ze mną, a w zasadzie mieszkamy u Meyerów, o dziwo się nam układa...

– Ale jako parze?

– No i to jest właśnie najdziwniejsze w tym wszystkim... – Kot wykrzywił usta.

– Kocie – Brenner nachylił się nad uchem Tomka – mam nadzieję, że nie spieprzysz tego, co dobre. Jeśli się układa, to nie szukaj dziury w całym, tylko łap byka za rogi i żyj w końcu normalnie.

Tomek pokiwał głową, ale nie wyglądał na przekonanego.

– Dawaj. – Brenner wskazał na kolejny kieliszek. – Bo się smutna atmosfera robi.

Kiedy mieli zamiar wypić ostatnią kolejkę, zadzwonił telefon Kota.

– O, Boże! – jęknął, sięgając do kieszeni. – Mam złe przeczucia. – Spojrzał na wyświetlacz. – Lenart dzwoni. To nie wróży nic dobrego.

Tomek przeprosił Brennera i wyszedł przed lokal, gdzie przez dobre pięć minut w skupieniu wysłuchiwał relacji Zbyszka, spacerując przed oknem w tę i z powrotem. Nie patrzył nawet w stronę Rafała, ale za to często przewracał oczami, które w końcu zasłonił wolną dłonią.

– No i? – zapytał spokojnie Brenner, kiedy Kotowicz wrócił do środka. – Coś nie poszło?

– Nawet nie wiem, od czego zacząć. – Tomek rzucił komórkę na stół i potarł twarz dłońmi. – Zanim dojechali na miejsce, Malicki ze Słomkowskim pokłócili się w wozie... podobno ostro. Nie dało się ich uspokoić, więc Lenart, który prowadził, zatrzymał się na moment, żeby coś z tym zrobić. Wtedy doszło do szarpaniny i Zbysz dostał w pysk...

Brenner zaczął się śmiać, chociaż wcale nie miał takiego zamiaru.

– Mów dalej. – Ze wszystkich sił próbował być poważny.

– Więc za kółkiem usiadł mistrz kierownicy...

– Mżygłód?

– Tak jest. Po drodze oczywiście „coś” wyskoczyło mu na jezdnię i był to tym razem kiosk z gazetami. Po chwili dojechał drugi wóz, który zabrał wszystkich, mimo że byli poobijani, oprócz Słomkowskiego, któremu kazali pilnować rozbitego auta. Na miejscu zaś okazało się, że AT nie czekali na naszych, tylko weszli do mieszkania, ale... to, kurwa, nie było to mieszkanie! W efekcie jakaś babcia i jej syn mają powybijane zęby i, co gorsza, pobite wszystkie – Lenart podkreślił to dwa razy – wszystkie butelki z browarem, więc nie ma chuja we wsi, żeby pokrzywdzeni nie zaczęli teraz AT ciągać po sądach i skarżyć się „Faktowi” albo i innemu pismackiemu ścierwu.

Brenner śmiał się już całkiem głośno, ściągając na siebie uwagę osób z sąsiedniego stolika.

– Naszych to jednak nie zniechęciło – kontynuował Tomek, który również zaczął się trochę śmiać. – Zostawili awanturę i pobiegli szybko pod wskazany adres, zastając mieszkanie puste, ponieważ, jak można było przypuszczać, towarzystwo ulotniło się przez okno, kiedy tylko zorientowali się, że „mischce” z AT wpadli nie do tej dziupli, co trzeba. Na szczęście Lenart, który sikał już wówczas posoką z nozdrzy na prawo i lewo, nie poszedł do mieszkania, tylko udał się za winkiel, żeby ogarnąć się nieco, bo wyglądał podobno jak nie człowiek. No i co się wówczas stało?

– Spotkał wasze ptaszki?

– Dokładnie! On za róg, a tam trzech bandziorów. Wyciągnął broń... – Kotowiczowi łzy ze śmiechu popłynęły w tym momencie wartkim strumieniem. – Wyciągnął broń... a oni, jak go... jak go zobaczyli z tą zakrwawioną gębą... to swoje gnaty rzucili na ziemię i... i od razu się poddali. O, matko! – jęknął, wycierając policzki. – Teraz ja się muszę doprowadzić do porządku.

– No i co dalej? – Brenner wciąż starał się trzymać pion.

– Dalej? Wszyscy moi ludzie ruszyli za budynek, żeby gonić przestępców, a tam Lenart sobie stoi przy jakimś trzepaku i ma ich skutych i na muszce.

– Z tą krwią?

– Tak. Powiedział, że z wrażenia zapomniał się powycierać. Na to wszystko w końcu dotarło AT, które jest oczywiście najbardziej niezadowolone, bo nie partycypowali w zatrzymaniu.

– Kocie – Brenner znowu poklepał Tomka po plecach, ale tym razem mocniej – to oznacza, że jest pełen sukces i pójście do wyróżnienia...

– Jak do wyróżnienia?! Żadne wyróżnienie! – obruszył się Kot, choć widać było, że żartuje. – Jak tylko wrócę, opierdolę ich i zabiorę premie.

– Za co? – Brenner zamrugął powiekami.

– Jak to za co? Spartolili całą akcję. I nie mówię tu o Słomkowskim czy Malickim, ale o tym, że nikt tego budynku nie poszedł obstawić od tyłu. Fuszerka i tyle. Gdyby nie przypadek, Lenarta by tam nie było i uciekliby bez problemu.

Brenner znowu się roześmiał.

– To musisz wyróżnić Słomkowskiego.

– Za co? Że przy jakimś kiosku został? Chociaż w sumie racja... za nieobecność też niektórych należy nagradzać.

– Nie! Za to, że rozwalił nos Lenartowi.

– A nie. – Kot pokiwał palcem. – Najpierw muszę ustalić, czy nie zrobił tego Malicki.

– Teraz każdy będzie tym, co walił Zbycha po mordzie – zauważył Brenner.

– Boże Miłosierny! – Kot schował twarz w dłoniach. – Co za katastrofa!

– Daj spokój. Grunt, że udało się załatwić najważniejsze.
– Ciekawe. – Kotowicz spojrział na Rafała, mrużąc oczy. – Za twoich czasów nigdy nie słyszałem takich uwag.

– Teraz mogę być sobą – westchnął Brenner, wyciągając się na krześle i uśmiechając z satysfakcją. – Nareszcie.

– Pogadamy, jak zasiądziesz w gabinecie Rasiaka.

– Ja nie mogę, Kotowicz! Ty to wiesz, jak zepsuć dobry humor. Pij tę wódkę i wracaj opierdalać ludzi. Należy im się. Całkowicie podzielam twoje zdanie, ale uważam, że trzeba się cieszyć ze zwycięstw, choćby... trochę przypadkowych.

Wrócili do biura taksówką. Brenner nie mógł odmówić sobie przyjemności wejścia do środka i zobaczenia na własne oczy ekipy przypadkowych bohaterów. Przywitały go niewesołe miny, poobijane twarze, zakrwawiony nos Lenarta i walczący przy swoim biurku ze snem Kowalski. Kotowicz energicznym krokiem wparował do open space'u, stanął na środku i oparł dłonie na biodrach, wodząc po wszystkich wściekłym wzrokiem.

– Czy wam wszystkim naraz mózgi wycięło? – zaczął bez żadnych wstępów.

– Co to, kurwa, za akcja była, co? I gdzie jest Mżygłód?

– Pojechał ze Słomkowskim do aresztu odstawić zatrzymanych – wyjaśnił Lenart, trzymając przy nosie chusteczkę. – Zaraz powinni być.

– A ty czemu nie pojechałeś na pogotowie? Mówiłem przez telefon, że macie się ogarnąć.

– Nie ma potrzeby...

– Nawet nie chcę tego słuchać! – Tomek zacisnął szczęki. – Wynocha mi z tym nosem. A reszta, jak nie ma poważniejszych obrażeń, ma się zabrać za papiery. Dziś mają być wypełnione. Wszystkie!

W pomieszczeniu rozległ się szmer niezadowolenia, nikt jednak nie śmiał zaprotestować głośno. Stojący za plecami Kota Brenner z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, dlaczego ten budynek nie był obstawiony od podwórka? – kontynuował Tomek. – Kto miał się tym zająć?

– Słomkowski z Kowalskim – powiedział cicho Mateusz Lewandowski, najnowszy i najmłodszy nabytek w grupie, który czasami wyglądał tak, jakby bał się własnego cienia. – Z kimś z AT mieli pójść na tył.

– Kowalski! – Tomasz spojrział groźnie na Mariusza.

– No co? – Mariusz wzruszył ramionami. – Przez pomyłkę „ateków” cały plan poszedł się jebać...

– Wystarczy! Jutro i pojutrze spędzacie cały dzień na strzelnicy, a od przyszłego tygodnia strzelanie w ruchu. Aha! O premiach możecie zapomnieć! – Po tych słowach Kotowicz ruszył do swojego gabinetu, zostawiając całe towarzystwo w beznadziejnych nastrojach. Brenner poszedł za nim, zamknął drzwi

i usiadł sobie na wolnym krześle.

– Jestem z ciebie dumny. – Rafał kiwał łysiną z uznaniem.

– Chcesz kawy? – zapytał Tomek, zdejmując płaszcz.

– Nie, dzięki... Wiesz, tylko zastanawiałem się, czy nie należałoby pogadać z Kowalskim.

– A, racja. – Tomek pacnął się dłonią w czoło, nie zdążył jednak nic więcej powiedzieć, bo do gabinetu nieśmiało zajrzał Malicki.

– Mogę, szefie?

– Włazić! Czego dusza pragnie?

– Chodzi o tego... no... Słomkowskiego...

– Że co? Że zachowaliście się jak dwa debile? Powiedz mi może coś, czego nie wiem.

– No, właśnie... wyszło... nie bardzo. – Michał drapał się po brodzie. – Ale ja...

– Malicki, nie będę cię okłamywał. Jeśli jeszcze raz dojdzie do takiej sytuacji, wylecisz z tej komórki.

– Ale dlaczego?! – Twarz Michała zrobiła się purpurowa. – Dlaczego ja? To on...

– Bo tak! Obydwaj macie się ogarnąć, i to jak najszybciej.

Malicki oddychał ciężko, walcząc ze sobą. Spojrzał na Brennera, który zrobił głupią minę.

– Musisz się ogarnąć, Malicki – powiedział inspektor, a w jego głosie słychać było lekką drwinę.

– Jest pan pijany? – wypalił komisarz, zanim zdążył pomyśleć.

– A nie wolno mi? – Brenner wzruszył ramionami. – Ale powiem ci, że nie spodziewałem się po tobie takiej postawy – żeby przez babę rozum tracić? Ja to co innego, na przykład.

– To nie przez żadną... my po prostu...

– Przestań! – Kotowicz był wyraźnie zirytowany. Zajął miejsce za biurkiem i spojrzał z powagą na Malickiego. – Michał, tak nie może być. Nie wiem, jak to zrobicie, ale musicie się uspokoić. Poza tym... ta wasza biegania za Iwoną jest daremna. Rozmawiałem z nią o jej mężu... w ogóle ją trochę podpytałem o różne sprawy i muszę powiedzieć, że dziewczyna nawet nie wie o waszym istnieniu, a wy rozpętujecie mi tu trzecią wojnę światową. I nawet nie próbuj mi wyjeżdżać ze mną i Ewelina, bo wiem, że to chcesz teraz zrobić. – Zawiesił na chwilę głos, obserwując, jak Malicki zaciska usta i odwraca wzrok. – Zaprosiłeś ją gdzieś na dziś?

– Na jutro... na pizzę – wycedził Michał przez zęby, nadal nie patrząc na szefa.

– To odwołaj to. Natychmiast.

– Ale...

– Natychmiast, powiedziałem. Ona przyjmuje te wasze oznaki dobroci, bo jest tu sama i trochę zagubiona, a nie dlatego, że na was leci. Myśli o was jak o świetnych kumplach z pracy, którzy pomagają jej się zaaklimatyzować... Ale jeśli tylko zorientuje się, w czym rzecz, albo wy... w końcu przyczaicie, jak się sprawy mają, ktoś będzie bardzo cierpiał... za bardzo. I co wtedy?

Michał pokiwał lekko głową na znak, że zrozumiał.

– Idź już – powiedział spokojnie Tomasz. – A jak zjawi się Marcin, powiedz, żeby do mnie przyszedł.

Po wyjściu Malickiego przez kilka chwil nic do siebie nie mówili. Brenner uśmiechał się pod nosem, a Kot zamyślił się nad czymś mocno. Kusiło go, żeby pociągnąć Rafała za język o tę wypowiedź na temat tracenia rozumu z powodu kobiet, skoro wciąż był pod wpływem i najwyraźniej nie krępował się, by o tym mówić. Czuł przez skórę, że chodzi o Justynę, ale ostatecznie pomyślał sobie, że nawet jeśli tak jest, to chyba niekoniecznie chce znać szczegóły.

– Więc nie skusisz się na kawę? – zapytał, włączając laptopa.

– Nie. Będę się zbierał. To znaczy zadzwonię do Grażyny, żeby po mnie przyjechała. O, cholera!

– Co się stało?

– Kompletnie zapomniałem, że jej nie ma. Pojechała rano do Radomia.

Tomek zmrugał oczy, szukając czegoś w pamięci.

– Do żony tego kolegi Justyny?

– Tak, do Kasi i jej dzieci. Chciała, żebym z nią jechał, ale, jak widzisz, tu ciągle coś się dzieje.

– Hm... – mruknął Kot.

– No co? Coś się stało?

– A, nie... Przez moment pomyślałem, żeby może ruszyć sprawę Justyny z tego kierunku.

– Ale że jak? – Brenner zmarszczył czoło. Najwyraźniej jasne myślenie nie przychodziło mu zbyt łatwo.

– No, wiesz – za pośrednictwem męża tej całej Kasi.

– W sumie... – Rafał postukał palcem o blat biurka. – Zastanowię się nad tym. Może to jest myśl. Tak czy inaczej nie zaszkodzi, jak pojedę pod ten Radom i zorientuję się w sytuacji. W tym czasie może głowa Mrozowskiego nieco ostygnie i sam do nas przyjdzie. Lecę, Kocie. Trzymaj się i trzymaj towarzystwo dalej za mordy, niech wiedzą, kto tu rządzi. – Podniósł się i podał dłoń Kotowiczowi.

– Powodzenia.

– Nie dziękuję. – Tomek się uśmiechnął.

IV

Przez dobrą minutę Łukasz nic nie powiedział, tylko rozglądał się wkoło, jakby ostatnie słowa Gogola w ogóle do niego nie dotarły.

– Ale jak to... zwymiotowała? – zapytał w końcu, krzywiąc się lekko.

– No, mówię ci – chichotał Kostek. – Haftnęła aż miło, prosto na tego martwego szuszaka.

Łukasz spojrział na niego z niesmakiem.

– Ona go zabiła?

– Nie! Już tam był, to znaczy taki martwy i... i trochę pokancerowany, chyba przez jakieś odłamki.

– O, ludzie! I to zrobiło na niej takie wrażenie? Trudno mi w to uwierzyć.

– No, nam właśnie też. – Gogol pokiwał głową. – To się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Coś przed wyjściem na czyszczenie tych budynków mówiła, że dziwnie się czuje, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Wczoraj była z tobą, więc podejrzewamy, że szamaliście jakieś paskudztwo.

– Ale mi nic nie jest. Jadłem to samo.

– To nie wiem. – Kostek wzruszył ramionami. – W każdym razie było to dość zabawne.

– Rzeczywiście – mruknął Łukasz i wrócił do rozglądania się po okolicy.

– Kobieta rzygająca na martwego taliba jest bardzo zabawna.

– Oj, tam, wyluzuj. Wiesz, jak jest z Malinką: zawsze jakieś niespodzianki.

Łukasz obdarzył Gogola morderczym spojrzeniem.

– No co? – uśmiechnął się Kostek przymilnie. – Mówię, jak jest. Nic nie ściemniam.

Meyer pokręcił głową z niedowierzaniem, nie przestając obserwować wejścia do budynku, będącego w centrum zainteresowania jego i Kostka.

– Kto to jest? To on? – Wskazał na młodego chłopaka o skośnych oczach, który pojawił się w drzwiach.

– Nie. – Kostek spojrział przez małą lornetkę i wydał usta. – To jeden z ich grupy, ale nie o niego nam chodzi.

– Ale jak się ten „właściwy” pojawi, to co chcesz z nim zrobić?

– Najpierw chcę, żebyś potwierdził, że to ten, który był u was na budowie, czego ty właśnie nie zrobiłeś, a potem go trzeba będzie ściągnąć... to znaczy powie się naszym, żeby go śledzili i zajęli się nim... odpowiednio.

– Aha... – Łukasz zerknął na wyświetlacz komórki. – Siedzimy w tym dziupie od pół godziny. Nikt się nami też nie „zainteresuje”?

– To możliwe. Ale w sumie o to też nam chodzi, robaczku. Jeśli się

zainteresuje, będziemy na stowę pewni, że jesteśmy we właściwym miejscu.

– To ktoś nas obstawia w ogóle? – Meyer rozejrzył się wkoło z wyraźną irytacją.

Gogol spojrział na niego z politowaniem.

– Nie, żabciu, normalnie siedzimy tu sobie samiutcy i nikt o nas nie wie. Oczywiście, że jesteśmy obstawieni.

– Chwilami żałuję, że się w ogóle odzywałem w tej sprawie – westchnął Łukasz.

– Ale jakiej niby?

– No, jak zobaczyłem te zdjęcia u Justyny i tego człowieka na nich.

– Dobrze się czujesz? – Kostek popukał palcem w czoło. – Twoja żona jest w grupie najemników, która śledzi typów spod ciemnej gwiazdy, a na twojej budowie zjawia się jeden z nich... Rzeczywiście, trzeba było nic nie mówić, bo to na pewno przypadek.

Łukasz uśmiechnął się.

– Wiem, wiem. Tak tylko mówię. Staram się nie myśleć, że jedno z drugim ma coś wspólnego, ale to naprawdę mało prawdopodobne, znając życie... Co to w ogóle za ludzie, co?

– Ot, takie tam łobuzy, które robią różne niemile rzeczy innym ludziom.

– Co na przykład?

– Malinka nie opowiadała?

Łukasz pokręcił głową.

– Hm... to dziwne, bo oni jej najbardziej chyba zapadli w pamięć, z tego, co zrozumiałem.

– Dlaczego?

– Bo mówiła, że tylko z nimi miała koszmary po wyjeździe stąd. Konkretnie z takim jednym przyjemniaczkiem, którego kiedyś ganiała po targu, po tym samym, na który szedłeś ze swoim świętej pamięci kolegą.

Meyer wyprostował się i spojrział na Kostka przenikliwie.

– On był w tej samej grupie?

– A więc coś mówiła – uśmiechnął się Gogol. – Tak, to ta sama grupa, która szkoli samobójców wysadzających się tu i ówdzie. Są dobrzy, wierz mi.

– Zamachowiec-samobójca może nie być dobry?

– Może. Może odstawić taką lipę, że nic, tylko na zmianę śmiać się i płakać, i przyznawać nagrodę Darwina. Jak ci w Ghazni, o których opowiadał kiedyś Żółw. Jeden jechał samochodem, takim półciężarowym, po dach wypełnionym saletrą i TNT. Miał plan, że wjedzie w bramę i się wysadzi, wtedy na dźwięk wybuchu czterech jego kolegów miało wyjść z jakichś kryjówek, wewnątrz bazy oczywiście, wpaść do czterech schronów i też się w nich nieco rozerwać.

– Ale po co do schronów?

– Bo po takiej eksplozji, kto tylko może, biegnie do schronu, głównie cywile i ci, co akurat nie są pod bronią. Rozumiesz? Chcieli zrobić sieczkę, mielonkę...

– No i co się stało?

– Ten od ciężarówki nie przewidział, że wóz nie udźwignie ładunku, no i mu się dwieście metrów od bramy rozkraczył na amen. Coś tam próbował walczyć z nim i był tym tak zajęty, że w tym czasie zdążył podjechać do niego „Rosiek” i przyłożyć mu serią z „trzydziechy” bez ostrzeżenia.

– A pozostali?

– Cóż, jak pech, to na całego. Pamiętasz tę akcję, z której wróciliśmy, a ty u nas czekałeś na Malinkę?

– Pamiętam.

– No, to wtedy Malinka domyśliła się, że tych miejsc, z których będą walić, jest pewnie więcej. Skontaktowała się z tymi „specjalsami”, co nam samolot pożyczyci, i oni naprawdę wyniuchali jeszcze ze trzy bazy w górach. No i jak ten szuszek z saletrą na bazę jechał, to nasze GWO akurat dostało gridy na jedną z nich i wypalili z „Dany”, więc ci czterej pomyśleli, że to ich kolega się wysadził. Wpadli do schronów i... bach.

– A w środku nikogo nie było? – roześmiał się Łukasz.

– Nie. I tylko szkoda tych, co musieli ich potem skrobać. Najlepsze było to, że jak się wysadzili, to ludzie nie wiedzieli, o co chodzi, i niektórzy pobiegli do tych schronów. Wtedy niejeden podobno haftował, jak nasza Malinka dziś rano, albo i lepiej. Więc, odpowiadając na pytanie: tak, samobójcy mogą spartolić robotę.

– No, a ta grupa? Ta, za którą biegacie?

– Nie, oni nie odstawiają fuszerki. Najgorsze jest to, że są nie do wytrzebienia. Zlikwiduje się jeden obóz, to powstają trzy następne. A ten koleś, którego rozpoznałeś na miejscu, zajmuje się werbowaniem młodego narybku.

– I co niby miałyby robić na naszej budowie? – Meyer ściągnął brwi. – Może naprawdę nie był tam z mojego powodu, tylko szukał młodych adeptów?

– Może...

– Oni znają Justynę? Wiedzą, kim jest?

– Podejrzewam. Nie pierwszy raz uganiamy się za ich ludźmi, żeby zapobiec ich wysadzeniu się. I my też jesteśmy skuteczni. Akcja z tym, jak Malinka zastrzeliła zamachowca na targu, była głośna na pół Kabulu, a wiesz... dla tych ludzi zginąć z rąk kobiety to gorzej niż wszystko inne.

– Ona go zastrzeliła?

– No, a co niby miała z nim zrobić? – chichotał Kostek. – Uciąć sobie pogawędkę przy herbatce? Gdyby go nie zabiła, nie miałbyś żony, nawet byś jej nigdy nie poznał.

– Boże – szepnął Łukasz, opierając głowę na dłoni. – To jakiś obłęd. To znaczy, że oni po prostu ścigają Justynę!

– E, bez przesady – skrzywił się Gogol. – Po pierwsze, trochę jej tu nie było, a po drugie, Malina to nie jedyna kobieta, która lata po Kabulu za złymi ludźmi. Moim zdaniem tu i tak jest bezpieczniejsza niż w tej całej Warszawie.

– Niestety, muszę się z tobą zgodzić – westchnął Meyer.

– A, właśnie... – Gogol chrząknął cicho, jakby zbierał się w sobie do powiedzenia czegoś trudnego. – Ptaszki ćwierkają, że nie ma już wśród nas dobrej przyjaciółki twojej ślubnej.

– Kogo znowu?!

– Angie.

– A gdzie niby miałyby być? Jak dla mnie jest jej o wiele za dużo w moim... naszym życiu. Mogłaby trochę zniknąć... na jakiś czas przynajmniej.

– Tyle że my słyszeliśmy... jakoby zniknęła bardziej permanentnie.

– Nie rozumiem.

– No... że ktoś ją... – Gogol zrobił gest na krtani niewidzialnym nożem.

– Kiedy niby?

– Jakiś tydzień temu. W południowej części miasta znaleziono zwłoki kobiety... białej, skróconej o głowę. Od tego czasu nasza słodka Angelina nigdzie się nie pojawiła.

– Daj spokój – prychnął Łukasz. – Narobiłeś mi nadziei.

– A co? Żyje?

– Żyje! Jeszcze dziś w nocy Justyna paplała z nią przez telefon z dobrą godzinę.

– Może to nie ona?

Meyer spojrzał na Gogola jak na idiotę.

– No co? – obruszył się Kostek.

– Ta kobieta na południu, ta z uciętą głową, to jakaś znajoma Angie. Sama nam mówiła o tym chyba ze trzy dni temu.

– Koleżanka z CIA?

– Nie mam pojęcia. Nie interesuje mnie to. Wiem jedynie, że wmieszała się w coś bardzo ryzykownego i nie zabezpieczyła się odpowiednio... No, zaufała nie temu, co potrzeba.

– Jasne.

– A tak poza tym to kobiety powinny zarabiać więcej od mężczyzn, skoro pracują w takim kraju.

– Przecież zarabiają... Przynajmniej Malina.

– Jak to? – Łukasz wyprostował się gwałtownie.

– No tak. Malinka zawsze kosiła najwięcej kapusty, z racji narażania się, oczywiście.

– Naprawdę?

– Aha. – Kostek pokiwał energicznie głową. – I nikt się u nas z tym nie

kłócił, dopóki nie zjawili się takich dwóch debili, z którymi chodziła do szkoły w Poznaniu, ale im to nic nie pasuje.

– Boże, ja tej mojej żony nie rozgryzę nigdy.

– Nie martw się, nie jesteś jedyny, mężu Maliny. Wiesz, jak się czuliśmy, kiedy okazało się, że Malina i Angie to przyjaciółki? Przecież za jej ostatnim pobytem De Soto była naszym największym wrogiem. Ile my żeśmy się przed jej ludźmi nauciekali! A potem ile oni uciekali przed nami! – Kostek roześmiał się i pokręcił głową na to wspomnienie. – Jak banda debili, wodzona za nosy przez dwie niepozorne baby. Musiały mieć z nas niezły ubaw.

– Justyna tłumaczyła mi to inaczej...

– Proszę cię, Łukasz... – Kostek spojrział na Meyera błagalnym wzrokiem.

– Ja oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że poniekąd chroniły w ten sposób obie grupy, bo gdyby doszło do konfrontacji, to nie wiem, kto by z tego żywy wyszedł, ale poza tym miały zabawę na całego, wierz mi.

– Ale na czym ten konflikt polegał?

– Konflikt interesów. Oni ścigali samobójców i my też. Dla nas likwidacja jednego przystojnego modela w pasie z kolekcji *haute couture* TNT przed wysadzeniem się, na przykład w porze lunchu jakiegoś ambasadora, to kupa szmalu. Dla nich – prestiż i dowód na to, że są potrzebni. Potem okazało się, że podzieliły „rynek” zamachowców między siebie, po równo.

– A mówią, że kobiety nie potrafią się dogadać.

– Nie znasz mojej żony i jej przyjaciółek.

– Poznałem twoją żonę, jestem w stanie to sobie wyobrazić.

– No właśnie. Wracając do głównego wątku – grupa Angie odkryła dwa obozy szkolące przyszłych rozrywkowych chłopaków... i dziewczyn też, niestety. My jeden. Więc, jak zapewne się domyślasz, nie mogło być po równo. No to zorganizowały to tak, że jednak było. Tak się składa, że ten, którego zlikwidowała Malina, był z grupy Angie, więc...

– Zaczęli was nienawidzić.

– Nienawidzić bardziej niż dotychczas. – Kostek uniósł palec wskazujący w górę, zaznaczając wagę swoich słów. – Nawymyślali na nas niestworzone historie... Normalnie byliśmy chodzącymi potworami. Szło o to, żeby zaczęły nas ścigać inne grupy, łapiące złych najemników...

– Zaczynam się gubić.

– Robaczku, ja nawet jeszcze nie zacząłem. Samo CIA też nas ścigało, i parę innych agencji różnej maści. A tymczasem Malinka i Angie wymieniały się informacjami i ani my ich, ani oni nas nie złapali. Mało tego – nigdy się nawet do siebie nie zbliżyliśmy. Kłopoty zaczęły się wówczas, gdy ktoś zorientował się, że De Soto prawdopodobnie pomaga nam w jakiś sposób i doniósł do Agencji. To było już po wyjeździe Maliny.

– Kto to był? Ktoś od was?

– Hm... my wtedy tego nie wiedzieliśmy, że dziewczyny tak sobie kolaborowały, więc trudno było podejrzewać kogokolwiek, ale dziś wydaje się nam, że był to ktoś z grupy innych najemników albo nawet od tych samobójców... to znaczy ich szefostwa. Chcieli pozbyć się De Soto i to im się udało. I to tak skutecznie, że CIA jest przekonane, iż Angie pracuje dla grupy werbującej samobójców. Wyobrażasz to sobie?

– To oni w tej Agencji jacyś idioci są? Chyba da się coś takiego sprawdzić.

– Właśnie... – Gogol zamyślił się na chwilę. – To jest bardzo dziwne. Malina z Jamalem uważają, że chodzi o coś więcej, ktoś załatwił w ten sposób jakieś wewnętrzne porachunki. Byli do tego stopnia zdesperowani, że w końcu przestali się czepiać nas, wmawiając nam, że De Soto działała na naszą szkodę. Maliny już nie było, nie było komu tego prostować...

– No, a teraz? Agencja dalej jej szuka?

– I to jak! Jak powiedziałaś, że ta skrócona o głowę pani to jej przyjaciółka i że Angie o jej śmierci wiedziała, od razu przyszło mi do głowy, że wykorzystwała ją po to, żeby udawać martwą. Taka okazja może się nie powtórzyć, bo myślę, że zyskała dobry miesiąc, zanim się połapią, że nic jej nie jest.

Łukasz nic już nie powiedział. Wpatrywał się w obserwowany budynek, a że zaczynało się ściemniać, co chwilę zerkał przez lornetkę z noktowizją. Po około dziesięciu minutach przed wejściem pojawiło się dwóch młodych chłopców, którzy postali chwilę i naradzali się ze sobą – tak to przynajmniej wyglądało z perspektywy dżipa – po czym weszli do środka.

– No i mamy kolejnych zombie – westchnął Gogol, sięgając pod kurtkę po broń.

– Kogo?

– Tak na nich mówimy: zombie. Idzie taki na ciebie tylko po to, żeby cię zabić, ale sam nie boi się śmierci, bo już czuje się martwy i tylko strzał prosto w głowę może go zatrzymać.

Łukasz zacisnął usta, czując, że robi mu się naprawdę nieprzyjemnie. Do tej pory, gdy spotykał przestępców, zawsze istniała ta cienka granica, której żaden, nawet największy bandzior, nie chciał przekraczać. Widział wiele razy, jak wielki, zły i zdesperowany facet łamie się w obliczu przystawionej mu do czoła broni. Jednak kogoś, kto idzie zabić, zabijając siebie, nie widział nigdy.

– Co się dzieje? – zapytał po chwili, wyczuwając, że Kostek jest gotowy, by gdzieś ruszać z pistoletem.

– Coś. Nie ma tego z budowy, ale jest jakiś ruch, sądząc po tym, że zmieniło się ustawienie naszych na budynku.

Łukasz rozejrzał się, ale nie widział, by na okolicznych dachach ktoś był.

– Mam coś zrobić? Iść za tobą?

– Jesteś policjantem – wyszczerzył się Kostek. – Działaj, jak umiesz najlepiej.

W tym momencie z budynku wyszedł jeden z widzianych przed chwilą chłopców. Odwrócił się w ich stronę i wymierzył, jak się zdawało, z jakiejś broni. Łukasz z Kostkiem nie widzieli, co to było, ale, nie czekając na nic, wyskoczyli z auta, chroniąc się na jego tyłach i ustawiając do strzału. Nie było to jednak konieczne, bo zanim przyjęli postawę, usłyszeli huk i gdy spojrzeli w stronę wejścia, chłopak leżał na ziemi, prawdopodobnie martwy.

– Bullet – wyjaśnił cicho Gogol. – Nasz snajper go zdjął. Zaraz pewnie się zacznie.

Rzeczywiście, z budynku wypadło kilku uzbrojonych w AK mężczyzn, którzy zaczęli walić na oślep i we wszystkich kierunkach. Meyer ze zdumieniem odkrył, że bardzo łatwo było w nich trafić i zanim się zorientował, położył przynajmniej dwóch ze swojej broni, którą dostał od Andrzeja w dniu przyjazdu.

– Pamiętaj – krzyknął Gogol – wal powyżej szyi. Jeśli mają na sobie pasy, to mogą je w każdej chwili zdetonować.

Łukasz skinął głową. Uważał jednak, że równie dobrze mogły być zdetonowane drogą radiową przez kogoś z budynku, dlatego był przekonany, że należy dostać się do środka i zlikwidować tych, którzy tam byli. Dał Gogolowi znak głową i zrobił pytającą minę. Kostek potwierdził, że rozumie i przebiegł za jego plecami na drugą stronę ulicy pod ścianę jakiegoś domu, przykląkł i skinął ręką na Meyera.

– Możemy podejść bliżej – powiedział, gdy Łukasz był przy nim. – Z okien nas nie trafią, a poza tym nasi chronią nas ogniem.

Ruszyli więc, przyklejeni do muru, w stronę wejścia. Wtedy Łukasz kątem oka zauważył dwie sylwetki, biegnące nisko na ugiętych nogach, zmierzające najwyraźniej w tym samym kierunku co oni, ale Gogol musiał ich znać, bo nie zatrzymał się ani na sekundę. Mężczyźni uzbrojeni byli w karabinki. Dopiero po kilkudziesięciu metrach Meyer rozpoznał w nich kolegów Justyny z grupy, choć nie mógł przypomnieć sobie ich imion.

We czterech zajęli pozycje przy drzwiach wejściowych. Do środka wchodzili, komunikując się tylko na migi, i Meyer czuł się zupełnie tak samo, jak podczas którejś z akcji w CBS. Później też było podobnie: szybkie przemieszczanie się na piętro, wchodzenie do kolejnych pomieszczeń, robienie zamieszania, obezwładnianie zatrzymanych... Tylko twarze ludzi, których tam znaleźli, zupełnie inne. Praktycznie nikt nie stawiał oporu. Młodzi mężczyźni, prawie dzieci, siedzieli wystraszeni na podłodze, nie wiedząc, co mają ze sobą zrobić w takiej sytuacji. Nikt nawet nie próbował chować rzeczy, które leżały wokół nich – pasów, skrzyń z metalowymi kulkami, kabli, środków wybuchowych, zapalników. Dla Łukasza taka sceneria była zupełnie nowa i nawet przez ułamek sekundy miał poczucie, że

to nie jest rzeczywistość, tylko jakiś film. Trzech najemników zajęło się krępowaniem i rozbijaniem ludzi, ale Meyerowi coś w tym wszystkim nie pasowało. Złapał Kostka za rękaw.

– Gogol, coś jest nie tak.

– To znaczy?

– Tu są same dzieci. A gdzie się podziali ci, co nimi dowodzą?

Oczy Gogola zrobiły się duże jak spodki. Rozejrzał się uważnie wokół, po czym spojrzął na sufit.

– Dach – szepnął. – Idziemy!

Łukasz przeskakiwał po trzy stopnie naraz. Gogol, przy swoich krótkich nóżkach i krępej budowie ciała, nie miał takiej możliwości, ale wcale nie był wolniejszy od Meyera. Dopadli do otwartego wjazdu na płaski dach i ostrożnie wyjrżeli na zewnątrz.

– Jest ich dwóch – powiedział szeptem Kostek. – Stoją przy krawędzi. Wchodzimy.

Łukasz chciał go zatrzymać, żeby powiedzieć, by ich nie zabijał, ale nie zdążył. Gogol wyskoczył z wjazdu i oddał strzał. Uciekający mężczyzna dostał w ramię, nie zdołał utrzymać równowagi i spadł z dachu, znikając im z pola widzenia.

– Gdzie drugi? – Kostek był wyraźnie pobudzony i gotowy do walki.

Meyer obejrzał się i zobaczył, że człowiek ów zmierza w stronę przeciwną, chcąc najwyraźniej przeskoczyć na dach kolejnego domu. Gogol też go dostrzegł, wymierzył, ale nie zdołał trafić, bo Łukasz w ostatniej chwili podrzucił jego ramię do góry.

– Co robisz? – syknął wściekły Kostek.

– Zostaw – powiedział spokojnie, ale stanowczo Łukasz, i podbiegł do ściganego, który upadł na kolana, gdy usłyszał huk strzału. Przygniótł szyję mężczyzny do ziemi stopą i zaczął go przeszukiwać.

– Zwariowałeś?! – Gogol dopadł do nich z przerażeniem w oczach. – Mógł być cały w ładunkach wybuchowych...

– Nie mógł być. – Łukasz po kolei opróżniał kieszenie człowieka, który coś próbował do niego mówić. – Skoro to ich dowódca, to sam się w życiu nie wysadzi. Poza tym to ten, co był na budowie. Nie możecie go zabić, jest wam podobno potrzebny.

– Serio? – Kostek nachylił się nad mężczyzną, złapał go za gęste czarne włosy i przekręcił i tak wykręconą głowę. Człowiek jęknął z bólu. – Rzeczywiście, wygląda jak ten ze zdjęcia. Podam chłopakom po radiu.

Po dziesięciu minutach zeszli na dół z zatrzymanym mężczyzną, którego nie tylko skrupowali, ale też założyli mu opaskę na oczy. Łukasz nie wiedział, po co to zrobili, ale nie dociekał. Zresztą, kiedy zajrzał do jednego z wozów, który nagle

pojawił się na miejscu zdarzeń, zauważył, że zrobiono tak ze wszystkimi dziećmiakami wyprowadzonymi z budynku.

– A co z ciałami? – zapytał Kostka.

– Też zabiorą.

– Naprawdę?

– Tak. Trzeba im porobić zdjęcia do identyfikacji. Musimy wiedzieć, kogo powykreślać z naszych „katalogów” – uśmiechnął się, choć wcale nie wyglądał, jakby było mu wesoło. – Jedźmy stąd. My się tu już do niczego nie przydamy.

– Mogłeś mnie uprzedzić, że będę częścią jakiejś większej akcji – powiedział Łukasz, kiedy zajęli miejsca w dziuple.

– Nikt nie wiedział, że będzie większa.

– No, ale przygotowaliście się jak na wojnę.

– Zawsze tak robimy – westchnął Kostek. – Nawet jeśli to tylko dmuchanie na zimne. Malina mówiła ci o tym, jak siedziała w sklepie?

– Mówiła.

– No, to jak ona tam siedzi z Alim, to jest obserwowana przez co najmniej kilka osób. Zawsze jesteśmy gotowi na najgorsze... przynajmniej staramy się.

– Rozumiem... Zawieszysz mnie?

– Oczywiście. – Gogol skinął głową. – Ale tylko pod warunkiem, że poczęstujesz mnie wódeczką.

Łukasz uśmiechnął się pod nosem i pokręcił głową. Justyna patrzyła niezbyt przychylnym wzrokiem na codzienne picie alkoholu, nawet jeśli wszyscy wokół tłumaczyli to ochroną przed skutkami obcego klimatu. Ale dziś wieczorem Justyny miało nie być, a Łukasz bardzo chciał się rozluźnić po dość zaskakującym dniu.

Jechali długo. Kostek kluczył po wąskich uliczkach, rozglądając się uważnie, czy nie są śledzeni. Miasto wyglądało gdzieniegdzie na opustoszałe, ale mieszkańcy po prostu siedzieli w swoich domach. Dopiero centrum, które musieli przejechać, przypominało w miarę normalną stolicę, z otwartymi do późna sklepami, restauracjami i kolorowymi reklamami. Meyer za każdym razem, gdy przejeżdżał przez skrzyżowanie, gdzie zginął Irek, odczuwał przygnębienie. Patrzył przez okno na grupę roześmianych młodych ludzi i myślał o tym, jak niewiele trzeba, żeby zamienić to miejsce w pole śmierci.

– No, to jesteśmy! – Wesoły głos Gogola rozproszył pochmurne wspomnienia. – Ale... albo zapomniałeś zgasić światło przed wyjściem, albo masz niespodziewanych gości.

– Co? – Łukasz zerknął w górę. Rzeczywiście, w oknach wynajmowanego przez niego mieszkania świeciło się światło. – Ale... może to Justyna?

– Chodźmy sprawdzić – stwierdził Kostek, wyłączając silnik.

W mieszkaniu zastali Jamala, który robił sobie herbatę, dzwoniąc metalową ręką o naczynia.

- A co ty tu robisz? – wypalił bez wstępów Kostek.
- Ciii... – Jamal przyłożył palec do ust. – DeeDee śpi.
- Jak to?

– Źle się czuła. Przywiozłem ją, bo nie chciała zostać u nas.

– Gogol? – Łukasz patrzył pytająco na kolegę.

– Mówi, że twoja ślubna źle się czuła. Śpi, więc możesz do niej zajrzeć.

Zaniepokojony nie na żarty Meyer poszedł do sypialni, tymczasem Gogol zaczął przeszukiwać półki kuchenne.

– Co ty robisz? – Jamal zmarszczył czarne czoło.

– Szukam czegoś do picia.

– Weź herbatę.

Kostek spojrział na Jamala z niesmakiem.

– Sam ją sobie pij. Chcę wódki. O, jest! – Ucieszył się na widok opróżnionej do połowy butelki Absolutu, po czym otworzył lodówkę. – Jeszcze tylko lód by się przydał. To o co chodzi z naszą królową? Chora jest?

– Nie wydaje mi się. – Jamal się skrzywił. – Jest... jakby to powiedzieć... w depresji.

– W czym?

– No... jest przybita mocno. Coś ją trapi... chyba. A jak wasza obserwacja?

– Człowieku! – Kostek machnął ręką. – Normalnie ja plus Łukasz możemy chodzić na akcje i żaden terrorysta się nam nie oprze. Złapaliśmy tego z budowy.

– O! – Jamal z wrażenia rozlał nieco herbaty. – Czyli że nasz informator miał rację co do miejsca, tak?

– Miał rację. – Kostek skinął głową. – Tam była mała wytwórnia pasów, kamizelek i może nawet innych ładunków. Wszystko było: zapalniki, TNT, kulki, nadajniki... No i kupa dzieciaków.

Jamal chciał coś powiedzieć, ale w kuchni zjawiła się bardzo blada Justyna.

– Co to znaczy, że byłeś na akcji z Łukaszem? – Spojrzała na Kostka, jakby chciała go zabić wzrokiem.

– O, masz! – Gogol przewrócił oczami.

– Co „o, masz”? On z nami nie pracuje, nie wolno ci go narażać. To są niebezpieczni ludzie.

– Malina, litości! Twój stary to maszyna, a ty go niańczysz jak dzidziusia.

– A gdyby mu się coś stało?

– To ja pójdę do pokoju – mruknął Jamal, przechodząc obok nich. Rozmowa była prowadzona po polsku, a poza tym wolał usunąć się z pola rażenia, gdy Justyna była w takim stanie ducha.

– Co by mu się stało? To stary glina, był na takich akcjach pewnie setki razy...

– Ale nie tutaj!

– Justynka... – Za jej plecami pojawił się Łukasz. – Może powinnaś się znowu położyć? Martwi mnie twoja bladeść...

– Odczep się! – Odskoczyła gwałtownie i, omijając Łukasza łukiem, poszła do pokoju, gdzie na kanapie siedział już Jamal.

– Masz babo placek. – Gogol spojrział na Łukasza z bardzo wymowną miną.
– Wszystko źle. Pij tę wódkę tutaj, żeby nie było znowu awantury.

Panowie wychylili po setce i również udali się do pokoju. Justyna nawet na nich nie spojrziała, tylko siedziała obok Jamala zawinięta w pled. Wyglądała, jakby miała zaraz umrzeć. Łukasz z Kostkiem usiedli naprzeciwko przy niskim stoliku. Jednoręki przyglądał się im z lekkim rozbawieniem, ale też nic się nie odzywał.

– Malinka – zaczął w końcu Kostek. – Czy wszystko w porządku? Z tobą znaczy się.

– Nie – burknęła, krzywiąc się. – Nie jest w porządku.

Spojrzała żałośnie na męża wielkimi, pełnymi łez oczami. Taki widok wywoływał zazwyczaj w Łukaszu wielkie emocje, ze ściskaniem się serca na czele. Miał wrażenie, że w takiej chwili niczego by jej nie odmówił. Podniósł się i podszedł do kanapy, a Jamal dyskretnie zajął jego miejsce obok Gogoła. Meyer usiadł, obejmując Justynę, która położyła mu głowę na kolanach i rozpłakała się całkiem głośno.

– Myślisz, że powinniśmy wyjść? – zapytał Jamal Kostka, ledwo ruszając ustami.

– Siedź! Bo nie wiadomo, jak zareaguje.

Łukasz głaskał Justynę po głowie i plecach, czekając, aż się nieco uspokoi.

– Justyś, co się dzieje?

– Nie chcę już tu być.

– Gdzie?

– W Afganistanie. Chcę do domu.

– Już nam dużo nie zostało. Przecież niedługo wracamy.

– Ale ja już nie chcę tego robić – chlipała, pociągając nosem.

– Czego? Pracować z nimi?

– No, tego... Nie chcę zabijać. W ogóle nie chcę na to patrzeć. To takie okropne. Ten martwy chłopak rano... Już mam dość.

Kostek dyskretnie tłumaczył Jamalowi przebieg rozmowy. B.B. zmarszczył czoło, gdy usłyszał ostatnią jej część. Łukasz spojrział na niego z miną świadcząca o tym, że sam nic z tego nie rozumie.

– Justynko... – Nachylił się znowu nad żonę. – Nie chcesz wracać do pracy?

– Nie. Nie chcę. To bez sensu. Nie nadaję się do tego. Powinnam być w domku, w ciepłe, i gotować obiady...

Gogol popatrzył na Meyera z wyrzutem.

– Ej! Dajesz jej jakieś prochy? Gada jak potłuczona. To nie nasza Malina.

Jamal złapał go za rękaw.

– Daj spokój – szepnął. – Trzeba ją zostawić. Niech dojdzie do siebie przez kilka dni i zobaczymy.

– No, dobra – mruknął Gogol. – Jak chcesz. To nie ma co tu siedzieć. Jedźmy.

Wyszli po cichu z mieszkania. Justyna zdawała się w ogóle tego nie zauważyć.

– Idź do łóżka. – Łukasz wytarł jej policzek. – Ja się wykąpię i też odpocznę, OK?

Pokiwała głową, wstała i poszła do sypialni. Nie spała, kiedy kładł się obok niej.

– Powiesz mi, co się tak naprawdę stało? – zapytał w ciemnościach.

– Nic. – Wzruszyła ramionami. – Po prostu już dłużej nie mogę. Coś... pękło we mnie i nie chcę nawet patrzeć na broń, na tych ludzi...

– W porządku. – Odgarnął jej z czoła grzywkę i pogładził ją po policzku.

– Naprawdę złapałeś tego z budowy?

– Naprawdę. Wiesz, co teraz z nim zrobią?

– Będą przesłuchiwać, dopóki im nie powie, po co tam był... i ogólnie wszystkiego.

– Zabiją go?

– Wydadzą po wszystkim policji. Afgańczycy go rozstrzelają albo powieszą. Pewnie zrobią z tego jakąś pokazówkę.

– Rozumiem. A ty... co ty myślisz o tej sprawie?

– Co mam myśleć?

– No... co on naprawdę u nas robił?

Justyna uniosła się na łokciu i spojrzała na Łukasza przenikliwie. W jej oczach odbijały się światła z ulicy.

– Myślę, że był przez Jasmine.

– Jak to?! – Tego Łukasz się nie spodziewał. – Ale jej od dawna nie ma.

– Ale wciąż jest ta szemrana grupa, z którą ona miała kontakty. Nikt tak naprawdę nie wie, po co się u Andrzeja zatrudniła, jak do niego trafiła, dlaczego w Kabulu... no i dlaczego zniknęła.

Łukasz pokiwał głową i wyciągnął ramię do Justyny, która położyła się na jego piersi, zasypiając niemal od razu.

V

Jeszcze zanim dojechał w okolice Radomia, wiedział, że próba podejścia Justyny od strony rodziny Bąków nie ma większego sensu. Postanowił więc w ogóle nie zaczynać tego tematu. Wjechał na podjazd, ale nie zdążył nawet wysiąść, bo drzwi jego auta otworzyły się gwałtownie i długie chude ramionka oplotły jego łysą głowę.

– Rafał! – cieszył się Kuba. – Przyjechałeś do mnie! Grażyna mówiła, że nie przyjedziesz.

Brenner złapał chłopaka i wysiadł z auta, trzymając go na rękach.

– Namyśliłem się – powiedział ze śmiechem. – Nie mogłem sobie odmówić takiej przyjemności.

Grażyna siedziała z Kasią w kuchni przy stole. Pochylały się nad jakąś wielką książką kucharską.

– Oho! Chyba coś dobrego będzie do jedzenia. – Rafał postawił Kubę na podłodze i wyciągnął dłoń do jego mamy.

– To się jeszcze okaże. – Puściła do niego oko. – Zależy, czy będziesz grzeczny.

Brenner zdjął płaszcz, powiesił go przy drzwiach i poszedł do łazienki. Grażyna przyglądała mu się uważnie kątem oka.

– Coś się stało – szepnęła do Kasi.

– Co niby?

– Nie wiem jeszcze, ale widzę po jego zachowaniu, że coś zaszło.

– Moim zdaniem wyglądał normalnie.

– Nie. – Grażyna się skrzywiła. – I ta nagła zmiana decyzji co do przyjazdu świadczy o tym najlepiej.

– Naprawdę?

– Tak. Pewnie nie będzie chciał mówić, ale gdyby ci się udało, podpytaj go dyskretnie, co u Justyny i Łukasza.

– Chyba wszystko w porządku. – Kasia przyglądała się Grażynie ze zdziwieniem. – Kostek nic ostatnio nie mówił.

– Nieważne. Zapytaj...

Rafał wyszedł z łazienki i dopiero wtedy zauważył stojący pod ścianą kojec, w którym siedziały bliźniaki, to znaczy jeden maluch leżał na pleckach i gaworzył do jakiejś zabawki, a drugi stał oparty na wyprostowanych nóżkach, usiłując wyjrzeć na zewnątrz. Brenner podszedł do niego, na co bobas zareagował drzeniem całego ciała, dając do zrozumienia, że natychmiast chce znaleźć się na rękach.

– Popatrz, Graza, jaki fajny. – Rafał nachylił się i wyciągnął dziecko z kojca.

– W ogóle się mnie nie boi.

– On by się nawet czarownicy nie wystraszył – mruknęła Kasia znad książki.

– Niczego się te dzieci nie boją.

– Jakie ma ładne oczka – zachwycił się Brenner, który zdawał się nie słyszeć uwagi Kasi. – Jakie małe łapki. Grażynka, pamiętasz, jaka nasza Martynka była? Też taka malutka i śliczna. Ależ szkoda, że tak szybko wyrosła.

– Brenner, a ty to dobrze się czujesz? – Grażyna spojrzała na męża z politowaniem. – Pamięć masz dobrą, ale krótką. Ile razy się użalałeś, że mogłaby wreszcie urosnąć i iść do szkoły, bo tylko te pieluchy, kupy, nocne wstawanie i na rękach trzeba nosić.

– Bez przesady. – Rafał wzruszył ramionami i uśmiechnął się do dziecka.

– Co ta ciocia opowiada za głupoty? To wszystko nieprawda. O, patrzcie, jak nóżki prostuje. Jak małe szpileczki.

Do kuchni wpadł z powrotem zdyszany Kuba, który stanął przed Rafałem.

– Pójdiesz do mnie? – Szarpnął go za rękaw. – Muszę ci coś pokazać.

– No to pójde, skoro musisz.

– Ale odłóż bliźniaka – zażądał chłopiec.

– Nie rozkazuj mi. – Rafał udawał groźnego. – Z bliźniakiem albo wcale.

– No, dobra – westchnął Kuba. – Niech będzie. Zawsze tylko te bliźniaki.

Do momentu, kiedy dzieci spały w swoich łóżkach, wszystko w domu kręciło się wokół nich. Kąpanie, karmienie, przebieranie, a w przypadku Kuby i małej Kasi, która wcale nie była taka mała – przygotowywanie lekcji i wyklócanie się o wybór stroju na następny dzień.

– Zawsze, gdy robi się w końcu cicho, odczuwam przez dobre pół godziny jakiś niepokój – uśmiechnęła się Kasia, siadając za stołem w kuchni. Była wyraźnie bardzo zmęczona. – No, ale panie inspektorze, pan tak z pustymi rękami do nas zawitał?

– Ależ pani Bąk, oczywiście, że nie z pustymi. – Rafał sięgnął do małej torby, z którą przyjechał. – Wino z najwyższej półki.

– Co to znaczy? – roześmiała się Grażyna. – Że stało na najwyższej półce w sklepie czy że kosztowało dziewięć dziewięćdziesiąt zamiast piątki?

– Nie. Dziewiętnaście dziewięćdziesiąt, moja droga.

– No, to rzeczywiście masz gest. Polej, skoro już taki uprzejmy jesteś.

Przez kolejną godzinę Brenner opowiadał o swoich wrażeniach z pobytu w biurze. O wizycie u Brzezińskiego nie wspominał ani słowem.

– A wiecie, po czym poznałem, że Kot jest dobrym szefem? Bo kiedy tam byłem, to nawet mnie nie zauważyli, wszyscy wpatrywali się w niego jak w święty obraz i słuchali go z największą czcią. Chłopak naprawdę daje radę. Oczywiście, wciąż ma skłonności do mazgajenia się i szukania dziury w całym, ale przynajmniej nie rozkleja się przy nich.

– A przy tobie się rozkleił? – Grażyna uśmiechnęła się pod nosem.
– Bo to raz!
– Ale czy dziś się rozkleił?
– Też. Gadałem z nim dość długo o... różnych rzeczach, między innymi o tej jego całej Ewelinie...

– Czekał! – przerwała mu Kasia. – Tej, co z mężem Justyny...
– Tak, tej samej. No więc są razem i nieźle im się układa, ale dla Kotowicza to oczywiście powód do zmartwienia, bo czuje się nieswojo, kiedy kobieta go nie bije i nie wyzywa.

– Boże – westchnęła Grażyna. – Koszmar. Ale ja mu się nie dziwię; tyle lat czekania, aż się wiedźma zamieni w księżniczkę... Więc jak dostał tę księżniczkę, to tylko czeka, aż zamieni się w wiedźmę.

– Żona, ty to jak poetka jakaś – roześmiał się cicho Rafał, uchylając się od razu przed pacnięciem w potylicę. – Ale to i tak nie jest najlepsze. Słuchajcie, chłopaki byli dziś na akcji, którą szykowali od dawna...

Brenner ze szczegółami opowiedział historię z porannych manewrów swojej dawnej komórki, doprowadzając obie panie do łez.

– To który w końcu dał z liścia Lenartowi? – Grażynie trudno było złapać oddech ze śmiechu.

– Nie ustalono, ale sprawa w toku. Poza tym to nie był „liść”, ale jakiś poważny cios, bo twarz Zbycha wyglądała naprawdę kiepsko. Podejrzewam Malickiego, ale Słomkowski już nie raz nas zaskoczył.

– Ale zaraz! – Kasi coś nie dawało spokoju. – O co im poszło tak naprawdę? Mówiłeś, że o kobietę.

– Szkoda gadać. – Brenner machnął ręką. – Kot ściągnął z Węgorzewa taką młodą policjantkę, Iwonę. Dziewczyna dopiero co wyszła z posterunkowej, którą była nieco za długo, ale okazało się, że jest zdolna i chętna do nauki, no i bardzo chciała być w tej grupie... A Malicki to stary kawaler, który wziął ślub ze służbą. Jako funkcjonariusz jest specjalistą i nikt mu nie podskoczy, ale jeśli chodzi o kobiety, to już nie za bardzo. Słomkowski... w zasadzie podobnie. Teraz, jak o tym pomyślę, to widzę, że obydwaj są do siebie podobni pod wieloma względami, tyle że Marcin dodatkowo jest mały i niepozorny, i czasem wygląda tak, jakby bał się własnego cienia.

– I co? I od razu się w niej zakochali? – zapytała Grażyna.

– Tak to wyglądało. – Brenner potarł dłońmi twarz. – Hm... wiecie, trochę z tymi facetami popracowałem, to nieco się orientuję, co im pod kopułami może siedzieć.

Grażynie łyk wina utknął w gardle i wiele wysiłku kosztowało ją, by nie zacząć śmiać się histerycznie.

– Tacy dwaj ciągle tylko w robocie przebywają – kontynuował Rafał.

– A jak nie w robocie, to w domu, bo muszą po tej robocie odpocząć, skoro siedzieli w niej dwadzieścia godzin. Kobiety się boją, więc nigdzie się nie ruszają, nikogo nie zapraszają, kompleksy leczą sukcesami w pracy... I zjawia się młoda dziewczyna, nieco zagubiona... Jeszcze zagubiona, bo jak się rozkręci, to będzie co innego...

– A oni wietrzą łatwy łup – odpowiedziała Kasia z figlarnym uśmiechem.

– Tak. Początkowo wydaje im się, że może wreszcie się uda, bo dziewczyna jest miła, chętnie wychodzi, spotyka się... A potem i tak nic z tego nie wychodzi, bo ona już nie jest obcą z prowincji, tylko odnajduje się i ma swoje życie. I dlatego uważam, że Kot rozegrał to dobrze.

– Brenner, a może wy to źle rozumiecie? – Grażyna zmrużyła oczy, patrząc przenikliwie na męża. – Może któryś jej się naprawdę podoba?

– Iwona jest zamężna.

– O... to... to zmienia postać rzeczy. – Grażyna pokiwała głową. – I co ten mąż robi?

– Został w domu i nie chce się przenosić, szantażując żonę na różne sposoby.

– Ale czemu?

– Bo chce, żeby wróciła i żeby koniecznie było jak wcześniej.

– No, ale taka praca to duża szansa – zauważyła Kasia. – Także finansowo. To chyba ważne.

– Nie wszyscy mężczyźni tak uważają, kochana – powiedziała z przekąsem Grażyna. – Gdybym ja dostała świetną ofertę gdzieś daleko, Brenner na stówę nie ruszyłby dupy z Warszawy.

– Ej! – Rafał spojrzał na nią z lekkim wyrzutem.

– No, co? Wiem, jak jest. Mogłabym miliony zarabiać, a nie zrobiłbyś tego dla mnie.

– Patrzcie, jaka pewna się znalazła – mruknął Rafał, sięgając po butelkę z winem.

– No, historia zna przypadki, że mąż za żoną pojechał... daleko. – Kasia spojrzała wymownie na Brennera. – I został.

Rafał uśmiechnął się krzywo, udając, że jej uwaga nie zrobiła na nim większego wrażenia.

– A, właśnie! – Grażyna postanowiła wykorzystać okazję. – Skoro o tym mowa. Zdaje się, że niedługo wracają, prawda?

– Kto wraca? – Brenner zmarszczył brwi.

– No, Justyna z Łukaszem. Kasiu, kiedy mają zjeżdżać?

– Za trzy tygodnie... – Kasia zaczęła szukać w pamięci. – Chyba coś koło tego.

– Cholera! – syknął Brenner, odwracając wzrok.

– Co się stało? – Grażyna zamrugła powiekami, patrząc wymownie na

Kasię. – Coś nie tak?

– Nie... – Rafał potarł dłonią łysinę. – To znaczy... oni nie powinni teraz wracać.

– Ale czy coś się stało? – Grażyna zaniepokoiła się całkiem na serio.

– Eh... miałem nic nie mówić... Są pewne komplikacje i musimy wyjaśnić niektóre sprawy.

– „Musimy”?! Rafał, o czym ty mówisz w ogóle? Śledztwo podobno zamknięte, a ty nawet tam nie pracujesz.

Brenner nie odpowiedział. Nachylił się nad kieliszkiem z winem i zaczął się nad czymś zastanawiać.

– Widziałem się dziś z Brzezińskim – powiedział w końcu cicho, jakby mówił to do trunku na dnie kieliszka.

– O, nie! – Grażyna opadła na oparcie krzesła. – Znowu to samo.

– Z premierem? – Kasi oczy zrobiły się duże jak dwa spodki. – W sprawie Justynki i jej męża?

Rafał pokiwał głową.

– Tak. I z Rasiakiem. Słuchajcie, oni naprawdę nie powinni teraz pojawiać się w Warszawie. Z tego całego Kabulu też mogliby gdzieś wyjechać. Kaśka, nie orientujesz się, czy można by ich jakoś zatrzymać tam albo przenieść?

– Nie mam pojęcia. – Kasia rozłożyła szeroko ręce.

– Niech Brzeziński to załatwia! – Grażyna była na serio oburzona. – To są jego polityczne rozgrywki.

– Ale życie Meyerów – odparł cicho. – Chodzi o to, że ktoś musi z nimi porozmawiać... Z Justyną, bo tu chodzi o jej przeszłość.

– To z nią porozmawiaj. – Dla Grażyny sprawa była oczywista. – Zadzwoń do niej.

Rafał spojrzał na nią tak, jakby zrobiło mu się bardzo przykro z powodu jej słów.

– No, co? Co się tak... A, racja! Zapomniałam. – Machnęła rękami.

– Co się stało? – Kasia była wyraźnie zdezorientowana. – O czym zapomniałaś?

– Justyna nie rozmawia z moim mężem – szepnęła Grażyna. – Odrzuciła go.

– Grażyna! – Rafał zrobił się purpurowy.

– Nic nie mówię. – Przewróciła oczami, po czym znowu pochyliła się w stronę Kasi. – Rafał się zakochał, a Justynka go nie chciała.

Kasia początkowo zdawała się nic nie rozumieć, ale po chwili zaczęła się śmiać.

– O, matko! Ależ wy jesteście zabawni – chichotała, trzymając się za brzuch. Brenner odwrócił wzrok i pokręcił głową.

– Czemu robisz ze mnie idiotę? – zrobił wyrzut żonie.

– Oj, przepraszam. – Poglądziła go po ramieniu. – Miałaś taką żalowaną minę, że nie mogłam się powstrzymać.

– Daj spokój, Rafał. – Kasia wycierała łzy z policzków. – Po prostu przypomniał mi się Kostek, jak się kiedyś zadurzył w jednej sąsiadce. Normalnie myślałam, że umrę ze śmiechu. Kiedy się tylko zjawiała na horyzoncie, wciągał brzuch i próbował być wyższy. O, tak. – Wciągnęła swój brzuch i uniosła głowę.

Brenner nie wytrzymał i też się roześmiał.

– Jesteście wieźmy. – Pokiwał groźnie palcem. – Kobiety...

– Wiem, wiem. – Grażyna głaskała go po głowie. – No, to powiedz, co z tą Justyną i co jej grozi.

– Sam nie wiem... My po prostu w ogóle tego śledztwa nie rozwiązaliśmy, a wszystko przez nią.

– Przez Justynę? Czemu niby?

– Bo nic nie wiemy o jej przeszłości. Ona... o, matko, jak wam to powiedzieć? Ona w pewnej kwestii zachowuje się irracjonalnie, bez sensu... Uważamy, że tak naprawdę porwano ją przez Afganistan, ten poprzedni pobyt, ale dopóki ona nie będzie łaskawa sobie przypomnieć, co się tam wtedy stało, to ten, kto zlecał, ciągle będzie chciał ją zabić.

– Boże! – Kasia zasłoniła dłonią usta. – Aż tak?

– No, ale podobno macie i porywaczy, i zleceniodawcę – argumentowała Grażyna. – Wszystko się poskładało do kupy. Sam mówiłeś. A teraz nagle twierdzisz, że to przez Afganistan.

– Problemem okazało się wojsko. Porwanie wyciągnęło na światło dzienne pozostały syf, zasłaniając nam widok na to, co najważniejsze. Byliśmy ciągle czymś rozproszeni: a to jej dowódcami, a to pamiętnikami, tą głupią firmą... bo każdy nagle zaczął się podejrzanie zachowywać, odgrażać się, chcieli stawiać ją przed sądem, powołać znowu do wojska... Cyrk, w którym umknęło sedno sprawy. I dlatego ktoś z głową na karku musi do niej pojechać i wyciągnąć to, co ona na pewno wie, tylko nam zapomniała powiedzieć.

– Wiem! – wyrwała się Kasia. – Niech Bambi jedzie.

– Kto? – Grażyna potrząsnęła głową.

– Nie pojedzie – westchnął Brenner. – Brzeziński już z nim rozmawiał.

– Oj, to szkoda. – Z Kasi jakby uleciało powietrze. – Ale zaraz! Dlaczego miałby nie jechać? To też jego sprawa, on też tam wtedy był.

– Poczekaj, nie denerwuj się. – Uspokoił ją Rafał. – Dajmy mu kilka dni. Jak zobaczy, że nikt się nie odzywa, to przyjdzie sam. Ja z nim wtedy porozmawiam.

– Nie wiem, kto to jest ów Bambi, ale dlaczego twój Kostek nie mógłby tego zrobić? – odezwała się Grażyna. – Jest na miejscu.

– Kostek? – Kasia popukała się palcem w czoło. – Sama słyszałaś: ktoś z głową na karku, a nie mały pajac. Mrozowski załatwi to lepiej, będzie wiedział,

o co pytać.

– Dobrze wiedzieć, że nie tylko moja żona ma swojego męża za bęcwałę. – Brenner wydał usta i postukał palcem o brzeg kieliszka.

– Widziałaś? – Grażyna spojrzała wymownie na Kasię. – Nie odpuści żadnej okazji.

– Widziałam – uśmiechnęła się Kasia. – Rafał, porozmawiaj z Bambim. Niech się nie wyglupia, a oni niech wreszcie bezpiecznie wracają.

===bl9qXzpfPg9uXzwFMgc0UjEAYwIwCWpZPF44WT8PbQk=

VI

Dzień rozpoczął się pięknie – czyste niebo, coraz wyżej stojące słońce, rześkie powietrze. Wszystko to, oprócz ciszy i spokoju, było najcenniejszym skarbem dla Józefa Nienackiego, który, bardzo zadowolony z siebie, wyszedł o godzinie dziewiątej trzydzieści ze stodoły i rozejrzał się po swoim wysprzątanim gospodarstwie. Jedyne, co mogło mu doskwierać, to brak najbliższego przyjaciela, Jacka, ale na tę niedogodność nie było innej rady, jak czynnie włączyć się w obecną działalność młodego księdza w postaci udzielania niekiedy gościny jego podopiecznym z Warszawy. Jeden z nich, siedemnastoletni Maciek, zwany także Robalem, kończył właśnie zamiatać wjazd na podwórko. Ziutek przyjrzał się mu uważnie, mrużąc oczy. Chłopak nie uwijał się zbyt spiesznie ani z wielką wprawą, co świadczyło dobitnie o tym, że nigdy nie dane mu było nauczyć się jakichkolwiek, najprostszych choćby prac domowych. Nienacki pokręcił lekko głową i cmoknął z dezaprobatą, ale nie zamierzał dzieciaka strofować, bowiem obiecał z całego serca Jackowi, że będzie dla gościa dobry i wyrozumiały z racji tego, że przyjechał na wieś z własnej woli, żeby zaznać wreszcie w życiu czegoś innego, niż mogła mu zaoferować ulica wielkiego miasta. W pewnej chwili chłopak przestał machać miotłą, wyprostował się i spojrzał na szosę, jakby zobaczył coś interesującego. Ziutek nie zamierzał dłużej się nad tym faktem zatrzymywać i chciał wrócić do domu, ale kątem oka dostrzegł, co przykuło uwagę Robala.

Przed bramą pojawiło się czarne auto. Nie wyglądało zbyt okazale – była to kilkuletnia KIA, z której wysiadło trzech mężczyzn. I dopiero ten widok sprawił, że serce Ziutka zabiło bardzo szybko. W trzech ruchach znalazł się przy furtce, zasłaniając sobą chłopaka.

– Idź do domu – wycedził przez ramię.

– Ale... kto to jest?

– Do domu – powtórzył Ziutek bardziej stanowczo. Maciek rzucił miotłę gniewnym ruchem, wsunął dłonie do kieszeni i poszedł w stronę budynku.

Nienacki oparł się o furtkę, mierząc groźnym wzrokiem przybyszów. Dwóch z nich – był tego pewien – stanowiło ochronę trzeciego. Ubrani byli w garnitury, drogie buty, okulary przeciwsłoneczne, a pod marynarkami na sto procent nosili broń. Ustawili się przy samochodzie tak, żeby mieć jak najlepszy widok na okolicę, tymczasem eskortowany przez nich człowiek prostował nogi, najwyraźniej zmęczone po długiej podróży, i poprawiał swoją zwykłą, znoszoną kurtkę, która może pasowała do używanego auta, ale na pewno nie do wymuskanych goryli, stanowiących jego obstawę.

– Dzień dobry – uśmiechnął się mężczyzna na widok Ziutka. – Pan Nienacki,

prawda?

– Może. – Ziutek zacisnął szczęki. – Zależy dla kogo.

– Romuald Brzeziński.

– Kto? – Skrzywił się.

– Pan nie wie, kim jestem?

– A skąd niby?

– No, nie wiem... – Brzeziński uniósł ramiona. – Może z telewizji albo coś w tym stylu?

– Panie, a kto ma czas, żeby to gównu oglądać? Co to – ja roboty innej nie mam? Mów pan, czego chcesz i spadaj. – Ziutek zrobił ruch, jakby chciał się wycofać.

– Muszę z panem porozmawiać. – Mina Brzezińskiego wyrażała prośbę, a nie żądanie. – W cztery oczy.

– To znaczy bez nich? – Ziutek wskazał głową na goryli.

– Bez nich – przytaknął gość. – Nikt nie może słyszeć naszej rozmowy.

Nienacki odwrócił na chwilę wzrok, zastanawiając się nad czymś. Czuł się zbity z tropu, bo przybysz wyglądał jak szef wielkiej mafii, który nie dość, że podróżuje starym złomem, to jeszcze go o coś prosi. Nic mu nie pasowało w tej układance i jedyne, co mógł zrobić, by ją rozwikłać, to spełnić prośbę i wysłuchać człowieka.

– Pan wejdzie. – Zdjął skobel i uchylił furtkę. – Ale oni niech tak nie sterczą jak debile, bo już pewnie cała wieś wie, że mam gości.

– Panowie. – Brzeziński spojrział na mężczyzn, którzy bez słowa zajęli miejsca w aucie i po prostu odjechali.

Nienacki z Brzezińskim weszli do domu, gdzie unosił się słodki zapach ciasta i powideł, które Maciek ze smakiem pałaszował w kuchni. Ziutek z ulgą stwierdził, że chłopak w końcu przestał domagać się chipsów i fanty zamiast posiłków. Robal spojrział na wchodzących znad talerzyka i pokiwał głową.

– Mam się pewnie wynieść? – stwierdził z nutką rozżalenia w głosie.

– Nie, nie trzeba – odezwał się Brzeziński, zanim Ziutek coś powiedział.

– Panie Nienacki, nie ma pan innego pomieszczenia?

– Mam, a co bym nie miał. Chodźmy na górę.

Usiedli przy stole przykrytym szydełkową serwetą w pokoju, gdzie jedynym słyszalnym dźwiękiem było ciche tykanie starego zegara. Brzeziński spojrział na Ziutka z uśmiechem.

– To może się przedstawię w końcu.

– Myślałem, że już żeś pan to zrobił – mruknął Ziutek.

– Panie Nienacki, od ponad roku jestem Prezesem Rady Ministrów tego kraju i mam do pana bardzo ważną sprawę.

Ziutek zmarszczył brwi, zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

– Prezesem czego?

– To bardzo trafne pytanie – parsknął premier, mocno ubawiony. – Sam je sobie zadaję każdego dnia. Jestem, inaczej to ujmując, premierem.

– Aha... – Ziutek zrozumiał. Pojął też, jaką gafę palnął. – To ja... ja przepraszam, ale nie wiedziałem...

– To nieistotne, czy pan wiedział, czy nie. – Brzeziński machnął ręką.

– Najważniejsze jest to, czy będzie pan w stanie mi pomóc.

– W czym? – Ziutek zamrugnął powiekami, zdumiony.

– W sprawie porwania Justyny Dąbek.

– Boże! Znowu ktoś ją porwał?

– Nie. – Brzeziński czuł, że to może być naprawdę zabawne spotkanie. – Na szczęście nie... chociaż nie wiem, czy dla niej, czy dla porywaczy.

– O, ja ich widziałem! – Na samo wspomnienie w Ziutku zagotowała się krew. – Gnoje! Zabiłbym i do jeziora wrzucił... Oj... – Zasłonił dłonią usta.

– Przepraszam.

– Nic się nie stało. Chodzi mi właśnie o to porwanie. To, którego sam pan był świadkiem.

– Ale że co? Przecież już są złapani, siedzą...

– A wie pan, kto zlecił?

– No... ten... ten Rusek. Chyba... – Spojrzał niepewnie na premiera, który pokiwał głową i wyjrzał przez okno na podwórko.

– Właśnie: chyba. To jest coś, co nie daje mi spokoju i nie da, dopóki nie będę wiedział na pewno.

– Ale... panie, co ja mam z tym wspólnego? I w ogóle jak pan tu trafił do mnie?

Brzeziński nachylił się nad stołem i spojrzał Ziutkowi prosto w oczy.

– Niech mi pan powie, panie Nienacki, jak to się stało, że nigdy wcześniej o panu nie słyszałem?

– Kiedy „wcześniej”? – Ziutek odczuł lekki niepokój.

– Chociażby cztery czy pięć lat temu.

– A czemu miałby pan słyszeć?

– Bo na przykład byłem szefem wywiadu.

Ziutka zatkało. W sekundę pojął, o czym premier do niego mówi. Zacisnął usta, zastanawiając się, jak ma z tego wybrnąć.

– Panie Nienacki, czy zna pan niejakiego Tomasza Mrozowskiego?

– Pierwsze słyszę.

– Pseudonim Bambi.

– A... to znam. Nie wiedziałem, że pan też go zna. Co z nim?

– Chcę, żeby jechał do Afganistanu porozmawiać z Justyną Dąbek o powodach jej porwania, ale on nie chce. I dlatego jestem tu dziś u pana.

– Nie rozumiem. – Ziutek naprawdę nie rozumiał.
– Bo pan też tam był.
Ziutek roześmiał się i pokręcił głową.
– Panie... yy... panie premierze – poprawił się szybko. – Byłem, ale nie wtedy, co Justynka, tylko trzydzieści lat temu.
– Nieistotne. Idzie o to, że pan wciąż zna ludzi związanych z tym miejscem. Moje doświadczenie podpowiada mi, że nie raz pani Dąbek ocierała się o osoby, które i pan znał.
– A, to całkiem możliwe.
– I nie rozmawialiście nigdy o tym?
– Nie. – Ziutek energicznie pokręcił głową. – Nawet nie było kiedy. Za mało czasu z nią spędziłem, poza tym Justynka niedługo po porwaniu pojechała. Z Bambim trochę gadałem, był tu nawet kiedyś na wódce u mnie...
– I?
– Nic, co by mi się kojarzyło. Naprawdę. Ale że co, myśli pan, że porwali ją przez Afgan?
Premier pokiwał głową.
– Hm... – Ziutek podrapał się po brodzie. – To byłoby bardzo niedobrze, pan wie o tym?
– Inaczej nie srałbym żarem i nie przyjeżdżał tu z rana – przyznał szczerze Brzeziński, ciężko wzdychając.
– A pan co ma z tym wspólnego? – Ziutek wyprostował się na krześle i spojrzał na premiera przenikliwie. – Pan też tam był czy jak?
– Pani Dąbek i jej grupa świadczyli dla mnie pewne usługi – powiedział cicho Brzeziński.
– O, w mordę! – Ziutek uderzył dłonią w stół. – Panie, to trzeba było tak od razu! Toż to kanał jakiś. Człowieku! Jezus Maria, idę po gorzałkę.
Brzeziński nie miał szans, żeby go zatrzymać. Ziutek wypadł jak strzała z pokoju i pognął na dół. Wrócił po kilku minutach z butelką i kieliszkami, a za nim człapał Maciek niosący ciasto i talerzyki, które postawił z brzękiem na stole.
– Zaraz przyniosę herbatę – zakomunikował ponuro, chowając dłonie w kieszeniach.
– Nie ma potrzeby – powiedział spokojnie Brzeziński.
– Ja się tu pana nie słucham – burknął chłopak i wyszedł z pokoju.
– To jakaś pana rodzina? – zapytał premier, sięgając po ciasto ze śliwkami.
– Myślałem, że jest pan sam.
– Coś słabutki ma pan ten wywiad – uśmiechnął się Ziutek, odkręcając butelkę. – Własnej roboty.
– W zasadzie nie piję alkoholu...
– W zasadzie... ja też. – Ziutek puścił oko i rozlał trunek do kieliszków.

– Ale nie wydaje mi się, żebyśmy byli ludźmi, którzy trzymają się wielu zasad, więc tę jedną też możemy przy tej okazji złamać.

Maciek przyniósł dzbanek z herbatą i dwie szklanki, po czym bez słowa wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– No więc ów młodzian jest podopiecznym mojego przyjaciela, księdza Jacka, który najbardziej chyba pomógł Justynce po porwaniu. A! I oczywiście ksiądz Damian. Oni dwaj są teraz w Warszawie i prowadzą na Pradze taką kameralną świetlicę dla zagubionych dzieci, które czasem do mnie przyjeżdżają, żeby się nieco odchamić.

– Do pana? – Dłoń premiera zawisła nad talerzykiem. – Na resocjalizację?

– Cóż... – uśmiechnął się pod nosem Ziutek. – Widzi pan premier, jaki ten los bywa przewrotny.

– Skoro już o tym mowa... Pan powie coś więcej o tej całej Pradze. To znaczy o akcji łapania porywaczy.

– Powiem, jak mi pan powie, kto panu powiedział. – Ziutek zarumienił się nieco.

– Inspektor Brenner.

– Aha... no tak... Ekhm... Troszkę pomogliśmy wtedy policji, bo to sytuacja dziwna była, wie pan.

– Czemu dziwna?

– Bo nie wiadomo było, kto jest kto, komu zaufać... Ktoś zdradzał – to wiedzieliśmy na pewno. Justynka domyśliła się jednego, ale było podejrzenie, że jest ich więcej. No i okazało się, że tak było. Ona wtedy wpadła na pomysł, że wystawi się jako przynęta...

– Ona?! Czytałem raport. Podobno to CBS wymyśliło.

– A skąd! – Ziutek przewrócił oczami. – Justynka. Jej... koledzy nie chcieli się zgodzić, ale uparła się i nie było na nią siły. Pomogła nam ta jej koleżanka z wojska, miła dziewczyna, Małgosia. Udawała Justynę.

– To dość ryzykowne, nie sądzi pan? – mruknął premier znad szklanki z herbatą.

– I to jak! Ale my z Justynką nad wszystkim czuwaliśmy. Ja obstawiałem jeden budynek, ona drugi.

– Tak, coś Brenner wspominał. No i co się stało?

– Przyjechali porywacze, a jednocześnie ten, co zdradzał, ale niech pan nie pyta o nazwisko, bo nie pamiętam. On chciał Justynę, to znaczy tę Gosię, zastrzelić. Wyciągnął broń i wtedy Justynka strzeliła do niego w nadgarstek.

Brzeziński spojrzął na Ziutka, jakby przez chwilę nie dowierzał w to, co słyszy.

– A niech pan powie, z czego ona strzelała?

– Z SAKO.

– Miała noktowizję?
– Nie. Ja miałem na moim SWD.
– I trafiła w nadgarstek?
– Nie inaczej.
– Trudno mi w to uwierzyć. Musiała kiedyś sporo strzelać.
– I strzelała. Jej kumple opowiadali, że przeszła w Tadżykistanie trening snajperski.

– A w jakiej była pozycji? Leżała?
– Nie. Siedziała. Przód broni miała na podpórcie z walizki. Siedziała w kucki, więc łokcie opierała na kolanach.

– To dość rzadkie.
– Podobno tak ją ktoś nauczył, kiedy okazało się, że nie może zbyt długo leżeć, bo ją kręgosłup bolał. Osobiście uważam, że to doskonała metoda.

– Próbował pan? – uśmiechnął się Brzeziński.
– Yy... – Ziutek podrapał się po głowie. – Próbowałem... raz, ale wie pan... ja generalnie już nie w zawodzie.

– Rozumiem, nie wnikać. No i co dalej? Ona strzeliła do kolegi męża, a pan, jak rozumiem, do porywacza?

– Tak. Porywacz chciał strzelić do Justyny, czyli znowu do Gosi, więc ja strzeliłem mu w plecy. Ale to było proste, bo po pierwsze, miałem noktowizję, a po drugie, on miał szerokie plecy. Strzeliłem o tu. – Ziutek pokazał miejsce nad łopatką. – Bo bałem się, że ma kamizelkę na sobie, a tu jeszcze mogłem mu przebić płuco.

– Z raportu wywnioskowałem, że się to panu udało – westchnął Brzeziński.
– Cóż, mogę tylko pogratulować dobrej roboty. Nikt nie zginął, a wszystko dało się jakoś rozpisnąć w papierach. Ta broń była pana, prawda?

– Moja. – Na policzkach Ziutka znów pojawił się rumieniec. – Ale już jej nie mam... Sprzedałem, bo Jacuś prosił.

– I co? Skończył pan z tym całkowicie?
Ziutek wykrzywił usta i przechylił lekko głowę.

– No to z czego pan strzela, skoro broni pan nie ma?
– Chyba nie sądzi pan, że strzelałem z tych zabawek? O, nie! Miałem całą stodołę różnych rzeczy... Sporo na tym zarobiłem u kolekcjonerów. Ale tutaj nigdy nie trzymałem narzędzi do pracy. Nigdy!

Brzeziński uniósł brwi, dając do zrozumienia, iż jest ciekaw, gdzie Ziutek trzymał broń.

– Panie premierze... sam pan powiedział, że o mnie nie słyssał. A ja nawet nie wiedziałem do dziś, że jest pan premierem...

Premier roześmiał się.
– Bo nie pracował pan w Polsce – powiedział, kiwając głową. – Wszystko

jasne. Czyli że... wracając do głównego wątku, miał pan i wciąż ma kontakty ze starymi znajomymi, bo zapewne to oni panu pomogli w „biznesie”.

– No... sam się w to nie wkręciłem.

– Hm... Działał pan w jakiejś grupie?

– Nigdy. To nie dla mnie. Jestem typem samotnego wilka, bo wataha najczęściej źle kończy.

– Ale ci znajomi...

– Nie, nie! – Ziutek wyprzedził pytanie. – Nic z tych rzeczy. Sami outsiderzy, wolni strzelcy... nomen omen.

– I teraz pan nie pracuje?

– Pracuję.

– Ale mówił pan, że pana przyjacielowi by się to nie spodobało.

– A kto powiedział, że strzelam do ludzi?

Brzeziński opadł na oparcie fotela i wypił duszkiem kieliszek słodkiego trunku. Zastanawiał się przez chwilę nad czymś, a Ziutek mu w tym nie przeszkadzał.

– Wie pan – zaczął w końcu – ja mam swoich ludzi...

– Domyślam się. Ci dwaj, którzy pana przywieźli, na pewno nie byli z BOR-u.

– No właśnie... Czy nie zechciałby pan czasem czegoś dla mnie zrobić? Żadnego strzelania! Od tego mam odpowiednie osoby. Ale właśnie chodzi mi o te inne rzeczy.

– Hm... nie bardzo. – Ziutek wyduł usta. – Nie w Polsce.

– O tym mówię.

– A co pan, jako premier, chce robić poza Polską?

– Jako premier nic, ale jeśli wypali mój plan, który – nie ukrywam – mogłem wcielić w życie dzięki pani Dąbek, to od następnych wyborów znowu będę miał pod sobą wywiad.

– No to wtedy niech pan się mnie zapyta – wyszczerzył się Ziutek.

– Na pewno to zrobię. Ale nie zostanę tym szefem wywiadu, jeśli porwanie pani Dąbek naprawdę miało coś wspólnego z jej pobytem w Afganistanie. Czy pan to rozumie?

– Oczywiście. Może wyglądam na głupiego, ale tyle rozumu mam, żeby pokojarzyć fakty. Znając realia... i znając naszą Justynkę, jeśli coś jej się znowu stanie, pewne sprawy ujrzą światło dzienne.

– Dokładnie. – Premier zacisnął pięści. – Niech pan jeszcze poleje.

Przez kilka minut nie rozmawiali ze sobą. Brzeziński znowu popadł w zadumę, a Ziutek delektował się swoim ciastem, także rozmyślając nad czymś bardzo intensywnie.

– Panie premierze – odezwał się, wciąż z pełnymi ustami. – Chciałbym panu

jakoś pomóc w tej sprawie, ale nie mam pomysłu jak. Proszę mi wierzyć.

– Umiem to sobie wyobrazić. – Brzeziński dolał sobie herbaty i nałożył kolejny kawałek ciasta. – Ale, mając pojęcie o tamtejszych warunkach i znając szczegóły porwania, czy jest pan w stanie połączyć jakoś te dwie sprawy?

– W zasadzie tylko jedno przychodzi mi do głowy...

– Ktoś chciał wyciągnąć od niej informacje na temat ich działań dla mnie?

– Ależ pan ma obsesję! – Ziutek cmoknął, odkładając widelczyk na talerz.

– Świat nie kręci się tylko wokół pana. Mogą też być inni, którzy są drażliwi na swoim punkcie.

– Nie rozumiem. – Brzeziński jeszcze nigdy nie czuł się jak idiota.

– Ktoś ją mógł porwać z zemsty.

– Czyli ktoś z wojska jednak?

– Nie. – Ziutek skrzywił się. – Właśnie w Afganistanie mogła komuś nadeprnąć na odcisk.

Brzeziński wyprostował się na krześle.

– Myśli pan?

– A co? Nie sądzi pan, że to możliwe? A skąd my wiemy, co ona tam nawyprawiała? Panie kochany, jak szykowaliśmy tę akcję, to jej kumple słówkiem nie pisnęli o szczegółach. Nic a nic. Same tylko niedomówienia i uśmieшки między sobą. „Było ciekawie” – to jedyne, co powtarzali, jak się ich pytałem. I jeszcze: „Z tobą, Malinka, to zawsze coś ciekawego się dzieje”. I tyle.

– Szkoda, że ten Mrozowski tak się zawziął. – Brzeziński stukał nerwowo palcem o blat. – Może on o czymś istotnym pamięta?

– Może. A może nie. Widzi pan, z kobietami zawsze jest tak, że mają jakieś tajemnice i te tajemnice są tak tajemne, że same o nich zapominają. Może właśnie zrobiła tam coś takiego, że normalnie wycięła to sobie z mózgu i żadna siła tego z niej nie wyciągnie.

– To by się nawet pokrywało z tym, o czym rozmawiałem wczoraj z Brennerem. – Brzeziński kiwał głową. – Tak, to może być dobry trop. Problem polega na tym, kto będzie w stanie z nią porozmawiać tak, żeby jej się ten mózg odblokował.

– Nie wiem. – Ziutek wzruszył ramionami. – Może wystarczy zapytać, czy nie zna przypadkiem kogoś, kto chciałby się na niej za coś zemścić? I a nuż sobie przypomni gościa, któremu zrobiła kuku.

Brzeziński uśmiechnął się i odetchnął, jakby mu ulżyło.

– Panie Nienacki, kładzie pan na głowę większość speców, z którymi muszę niestety pracować.

– W czym niby? – Ziutek spojrział na premiera zdumiony.

– W cieście śliwkowym i nalewce. Da mi pan trochę „na wynos”?

Nic nie mogło Ziutka bardziej ucieszyć.

– Złociutki, ile tylko dusza zapragnie!

VII

– *Zdrastvuj, moj drug.* – Wiktor uściskał dłoń Łukasza i zamknął za nim drzwi. – *A žena? Gde?*

– *Zaboliela* – wyjaśnił krótko Łukasz, wchodząc po schodach.

– *Wot, płocho.* – Ukraińiec pokręcił głową.

Zjawienie się Meyera nie wzbudziło sensacji, ale całe towarzystwo przyjęło jego obecność z zadowoleniem, tak dalekim od niechęci, jaką początkowo do niego żywiono. Zasypano go od razu pytaniami o Justynę i akcję z poprzedniego dnia. Jeśli pytano po angielsku bądź rosyjsku, był w stanie udzielać jednowyrazowych odpowiedzi. Z opresji wyratował go Gogol, który przegonił gawiedź, zwracając uwagę, że lepiej zrobić, jeśli zajmą się swoją pracą.

– *Cześć, mężu Maliny* – uśmiechnął się, zadzierając głowę, żeby spojrzeć Łukaszowi w oczy. – *Królewna dalej chora?*

– *Chora.* To znaczy chyba ma grypę, bo nad ranem dostała gorączki i znowu wymiotowała.

– *Oj.* – *Kostek się skrzywił.* – *To niech się doleczy, bo jak nas pozaraża, będziemy mieli kłopot. Zostawiłeś ją samą?*

Łukasz spojrział na Kostka z wyraźną irytacją.

– *Moja żona nigdy nie jest sama. Ma opiekunkę.* – *Ściszył głos i rozejrzał się wkoło.* – *Angie się objawiła i siedzi u mnie w mieszkaniu jak u siebie.*

– *No, ale przynajmniej możesz być spokojniejszy o Malinkę. De Soto pewnie ma ze sobą małą armię siepaczy.*

– *Nie mówiłeś o tym nikomu?*

– *O czym?*

– *Że Angie żyje.*

– *Nie.* – *Gogol podrapał się po głowie.* – *Rozważałem powiedzenie Jamalowi, ale nie wiem, czy Malina by mnie potem nie oskubała. Sama niech mówi... albo niech nie mówi. Hm... tyle że jeśli twoja ślubna jest chora, to nigdzie z nami nie pojedzie.*

– *A gdzie miałyby jechać?* – *Łukasz wcale nie miał ochoty rozstawać się znowu z Justyną, zwłaszcza że prawdopodobnie nie wiedziałyby, gdzie jest.*

– *Mamy trochę kłopotów pod Kandaharem i trzeba jechać wesprzeć kolegów.*

– *Chyba sobie bez niej poradzicie? Z tego, co widzę, nie brakuje wam ludzi.*

– *Nie bój żaby, nie damy jej skrzywdzić. Spocznij sobie, ja pójde przekazać Jamalowi, jak się sprawy mają.*

Łukasz klapnął na kanapie obok rudowłosego Charliego, który przywitał się,

podając mu dłoń, i wrócił do stukania na klawiaturze swojego laptopa. W budynku – kolejnej w ciągu kilku miesięcy kryjówce – panował mały chaos. Wydawało się, że wszystko dzieje się bez planu i koordynacji, ale Łukasz już zdążył się zorientować, że grupa ta, w przeciwieństwie do regularnego wojska czy policji, nie kierowała się żadną dyscypliną ani regulaminem. Działania tych ludzi przypominały pracę na akord połączoną z umową o dzieło, gdzie liczyły się przede wszystkim wyniki, za które płacono konkretne sumy. Dlatego tolerowano w jednym miejscu skrajne osobowości, jak nieco szalonego Tadasa i zrównoważonego Charliego. Chodziło o to, żeby każdy robił to, co powinien, i wypełniał braki pozostałych.

– Siema, panie funkcjonariuszu. – Pomiędzy Meyera a Brytyjczyka wcisnął się Nawigator, snajper działający najczęściej z Bulletem. – Ty nie na budowie?

– Nie. Przyjechała ekipa telewizji robić wywiad z Andrzejem z racji zbliżania się końca prac, więc wolałem nie pokazywać swojej twarzy. Poza tym chciałem się czegoś dowiedzieć o tych, co ich wczoraj złapaliśmy.

– A czego niby?

– No... co z nimi dalej będzie?

– Nie wiem – skrzywił się Nawi. – Grunt, że już niczego nie wysadzą.

– A co z tym, co był na budowie?

Nawi zmarszczył brwi, chwilę się nad czymś zastanawiając.

– Musiałbyś zapytać Jamala. On najprędzej będzie wiedział, co wyszło z przesłuchania.

– Rozumiem...

Gogol wyłonił się z dalszej części budynku. Przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko nich.

– Oczywiście, Jamalowi nie przeszkadza, że Malinki nie będzie, ale będziesz musiał jej przekazać, że zmieniamy naszą bazę – poinformował Łukasza.

– Dlaczego?

– Bo reszta ekipy musi jechać w góry i nikt tu nie zostanie do pilnowania śmieci. Jak wrócimy, możemy tu zastać różne dziwne rzeczy, łącznie z zaminowanym wejściem. Nie ma sensu się w ogóle fatygować. Aha, Żółw jest u nas, przyjechał dziś rano.

– O, a coś się stało?

– Nie, tylko chciał się pożegnać, bo będą się rotować niedługo.

– I nie będziecie mieć nikogo swojego w Ghazni?

– Dziubku, zawsze kogoś będziemy mieć, tyle że z Żółwiątkiem łatwiej nam się pracuje.

– To gdzie on jest? – zapytał Nawigator. – Ja go nie widziałem.

– A co on może robić, jeśli nie spać? – parsknął Gogol. – Może się zaraz stoczy do nas. My w tym czasie moglibyśmy się czegoś napić, na przykład herbaty.

Nawigator z Łukaszem spojrzeli po sobie i jednocześnie się roześmiali.

– I co tak rechoczenie? – obruszył się Gogol.

– Bo nie znamy żadnej gorzały o nazwie „Herbata” – chichotał Nawi.

– Już nie róbcie ze mnie takiego alkoholika. – Puścił oko i poszedł do kuchni.

Kiedy reszta ekipy zorientowała się, że zaczyna być organizowane posiedzenie przy herbacie i sziszy, wokół kanapy nagle zrobiło się bardzo tłoczno. Na schodach pojawił się nawet zaspany Żółw, który najwyraźniej szóstym zmysłem wyczuł, że szykuje się coś ciekawego.

– Jakaś okazja? – zapytał z flegmą.

– Tak, twoje pożegnanie – odpowiedział Kostek, stawiając na stoliku fajkę.

– Będziemy opłakiwać twój wyjazd.

– Naprawdę? – Żółw zawsze miał problemy w wyczuwaniu sarkazmu.

– To fajnie. A będzie coś do jedzenia?

– Boże, nie wytrzymam z nim – jęknął Gogol. – Będzie, jak zrobisz. Odsuń się, mamałygo.

Jamal wszedł do pomieszczenia i stanął jak wryty ze zdumienia.

– Co to ma być? – Wskazał protezą na stolik i przybywające wciąż szklanki.

– Nie ma nawet południa.

– A co? Prohibicję na herbatę mamy? – Wzruszył ramionami Bullet, który zjawił się ze swoją bronią pod pachą. – Wyluzuj, człowieku.

Jamal westchnął zrezygnowany, pokręcił głową i wrócił do siebie.

– Od razu mówię: herbata jest bez „prądu”, a fajka bez zioła – zaznaczył Kostek po angielsku. – Nie skuwamy się, bo wszyscy dziś ruszają do różnych zadań. Zrozumiano?

Mężczyźni pokiwali głowami bez większego entuzjazmu.

– Gogol przejął rolę Maliny – szepnął Nawi do Łukasza. – Ona tu jest zawsze największą przyzwoitką.

– Zauważyłem – mruknął z uśmiechem Łukasz. – Mnie też mocno pilnuje.

– Wcześniej Krokodyl robił za stróża porządku i moralności. Strasznie pilnował, żeby nikt się nie schlewał, zwłaszcza przed akcjami.

– To chyba dobrze, co?

– Pewnie, że tak. Wiesz, ilu naszych „kolegów” po fachu jedzie na amfie w czasie zadań? Nikomu to jeszcze na dobre nie wyszło, mówię ci. Swoją drogą... Zombie też o tym wiedzą.

– Jak to? – Łukasz spojrział na Nawigatora zaskoczony.

– Partacze zazwyczaj szprycują się przed wysadzeniem, ale ci z prawdziwego zdarzenia, jak ci, których wczoraj „czyściliśmy”, mają już tak zryte mózgi, że jadą bez wspomaganie. Są wtedy o wiele skuteczniejsi. Nie boją się.

– No tak – westchnął Łukasz i zwrócił się w stronę Kostka. – Gogol, możesz

coś powiedzieć o tych, których wczoraj złapaliśmy?

– A, właśnie! Miałem ci powiedzieć. Miałeś rację co do tego z budowy: wcale nie miał ochoty umierać i bardzo szybko wyśpiewał wszystko, co wiedział.

– Mówił o budowie? Justyna twierdzi, że był tam przez Jasminę.

– I miała rację.

– Naprawdę?! – Łukasz zamrugał powiekami z wrażenia. – Szukał jej?

– Podobno nie. – Gogol powiedział te słowa tak, jakby w nie mocno wątpił.

– Podobno chciał dowiedzieć się, gdzie ona jest.

– No, ale... kim on dla niej jest?

– Twierdzi, że Jasmina werbowała mu na budowie nowych „wyznawców”, ale my nie do końca mu wierzymy. A ty? Co o tym myślisz?

– Nie wiem. – Łukasz pokręcił głową i spojrzał gdzieś w dal. – Nie rozumiem jednej rzeczy... Jak udało jej się znaleźć waszą starą kryjówkę?

– Jaką kryjówkę? – Gogol o mało nie zachłysnął się herbatą. – Co ty opowiadasz?

– No... – Łukasz rozejrzał się po zdziwionych twarzach tych, co zrozumieli jego słowa. – No wtedy, kiedy szukałem Justyny... zaraz po wybuchu. Jasmina znalazła kryjówkę, a ja znalazłem walizkę...

– Ja pierdołę. – Gogol schował twarz w dłoniach.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś? – zapytał Nawi z lekkim wyrzutem.

– Myślałem, że Justyna wam mówiła, naprawdę. Powiedziałem Jasminie tylko jedno słowo: „Krokodyl”, i wieczorem już tam byliśmy. Od kryjówki śledzili nas ludzie De Soto i dzięki temu zdjęli człowieka Jasminy, który za nami jechał.

– A wiesz, co ludzie De Soto tam robili? – Gogol spojrzał na Łukasza z powagą.

– Nie mam pojęcia... to znaczy... Angie mówiła, że zasadzali się na grupę Jasminy.

Gogol chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Łukasz domyślił się, co chodziło mu po głowie.

– Można by się zapytać Angie... gdyby żyła. – Spojrzał wymownie na Kostka, który pokiwał lekko głową.

– Właśnie. – Gogol wydał usta, zerkając na pozostałych, którzy pochłonięci byli czymś innym, i odstawił szklankę na stolik. – Jaka szkoda, że nie żyje. Pójdę pogadać z B.B., może on coś wymyśli.

Nawi spojrzał podejrzliwie na Meyera.

– Powiesz mi, o co chodzi? Angie przecież żyje.

– A ty skąd o tym wiesz?

– Nie wiem – uśmiechnął się Nawi przebiegle. – Właśnie mi powiedziałeś.

Łukasz uśmiechnął się.

– Dobry jesteś. – Wbił palec w ramię Radka. – Nadajesz się na agenta.

– A skąd wiesz, że nim nie jestem? – Nawi puścił oko do Meyera i sięgnął po herbatę.

Łukasz rozejrzał się po zebranych i zauważył, że dołączyli do nich również dawni koledzy Justyny z wojska: Siwy i Warzywo, przechrzczone przez grupę na Marchewę. Siwy przyglądał się mu z pochmurną miną, co nie było wcale nowością. Meyer wiedział, że nie lubił Justyny z całego serca i że tę niechęć przerzucił też na niego. Marchewa dopasował się szybciej do sytuacji i tolerował Malinę jako dowódcę, a z czasem nawet jako koleżankę, ale jego kompan nie miał takiego zamiaru.

– No i co się tak na mnie patrzysz, jakbym ci matkę zamordował? – Łukasz poczuł, że ma dość jego fochów. – Masz coś do mnie, to mi powiedz.

– Nic nie mam – burknął Siwy.

– Przestań się boczyć jak panienka, tylko powiedz, o co ci chodzi. – Radek też miał powyżej uszu Siwego.

– Bo co? Bo znowu mnie wjebiecie w robienie za inżyniera? – Siwy zrobił się purpurowy.

– Przecież jesteś inżynierem – zauważył Marchewa z niespotykaną u siebie bystrością umysłu.

– Jestem żołnierzem do walki w polu...

Nawi wybuchł śmiechem, nie dając mu dokończyć zdania, ściągając jednocześnie uwagę pozostałych, zajętych rozmową.

– Tak, i boję się obciętych głów – szydził Radek. – Przestań robić z siebie ofiarę, tylko się ciesz, że pracujesz i masz z tego kasę. I przestań wreszcie robić miny, bo rzygać mi się chce na ich widok.

Siwy zacisnął usta i ciężko oddychał.

– Bujaj się, frajerze – wysyczał w stronę Nawiego.

– Co powiedziałeś?! – Radek chciał zerwać się z miejsca, ale Łukasz złapał go za ramię.

– Daj spokój. – Meyer posadził Nawigatora z powrotem na kanapie i zwrócił się do Siwego. – To może powiesz, w czym rzecz? Ulży nam wszystkim.

– W czym rzecz? W tym, że muszę się słuchać twojej żony, która udaje kogoś, kim nie jest.

– Oświeć mnie więc w temacie.

– A podoba ci się sypiać z kimś, kto cię okłamywał tyle czasu?

– Nie narzekam – odpowiedział spokojnie Meyer, wywołując uśmiechy na twarzach zebranych. Piotr i Marchewa tłumaczyli na angielski treść rozmowy tym, którzy nie rozumieli polskiego.

– Tak? A to, że morduje ludzi i nie ma wyrzutów sumienia, też ci pasuje?

Wszyscy spojrzeli po sobie zdziwieni.

– A z tobą wszystko dobrze? – zapytał Gogol, który nagle zjawił się

w pokoju.

– Możesz rozwinąć temat? – Łukasz gestem dłoni kazał Kostkowi zamilknąć i nachylił się w stronę Siwego.

– Po prostu się dziwię, że pasuje ci żona, która jest kłamczuchą, morderczynią i...

– I kim? – Meyer uniósł brwi. – Może kimś, kto kiedyś nie spełnił twoich oczekiwań?

Siwy najpierw zrobił się czerwony, a po chwili całkiem blady.

– No co? – Łukasz nacierał dalej. – Może nie tak było? Dobrze wiem, jak na Justynę mówiłeś w szkółce, opowiadała mi o tym. Wołałeś za nią po pijaku „oszustka matrymonialna”. Ciekawe dlaczego, co? Czuleś się oszukany? Zawiedziony? Bo ja się tak nie czuję. A wiesz czemu? Dlatego że fajnie w sumie mieć żonę, która sobie radzi w życiu i jak ją porywają bandyci, to ja mogę sobie posiedzieć na kanapie z piwem w dłoni i oglądać telewizję. A jak ktoś się mnie zapyta, czemu tak robię, odpowiadam: spoko, nic jej nie będzie, martwię się tylko o porywaczy, było ich zaledwie trzech, pewnie dwóch już jest zimnych.

Wszyscy zaczęli cicho chichotać, ale kiedy sens słów Łukasza dotarł do Wiktora, Ukrainiec wybuchł gromkim śmiechem, zarażając nim pozostałych.

– Siwulec... – Gogol podszedł do Siwego i objął od tyłu jego głowę, o mało go nie dusząc. – Ty po prostu kochasz naszą Malinkę, ale nie możesz się pogodzić, że wybrała innego.

– Spadaj, gnomie. – Siwy na próżno usiłował wyswobodzić się z morderczego uścisku Kostka.

– Nie ma się czego wstydzić – szczerzył się Gogol. – Trzeba uczciwie wyznać swoje uczucia, żeby się nie męczyć.

Wszyscy tarzali się ze śmiechu, ściągając uwagę nieobecnego Jamala, który zjawił się w pokoju i z niekłamanym przerażeniem przyglądał się całej scenie.

– Puszczaj mnie, bo cię... – Siwy wciąż nie mógł wyswobodzić się z objęć Gogola.

– Robaczku, nawet nasz Krokodyl w końcu wyznał miłość Malince i umierał szczęśliwy, a jemu tak trudno było okazywać uczucia. Bierz przykład z niego.

– To było niesmaczne – wydusił z siebie Siwy, kiedy wreszcie został uwolniony.

– Ale że co? – Kostek zamrugał powiekami. – Że mówiłem o Krokodylu? Niesmaczne są twoje miny i głupie uwagi pod adresem Maliny. Ogarnij się i przestań boczyć, bo w końcu naprawdę będziesz wracał do ojczyzny na piechotę i to w samych gaciach.

Nawigator pokiwał głową z aprobatą, a Łukasz opadł na oparcie kanapy, czując, że, tak jak Justyna, ma dość tej roboty i całego zamieszania. Jamal, kiedy Piotr przetłumaczył, w czym rzecz, skinął na Siwego.

– Chodź ze mną. Musimy pogadać.
Kostek, korzystając z okazji, zajął miejsce Siwego i dolał sobie herbaty.
– Poszedł na ojcowską rozmówkę – mruknął do siebie. – Jakby to coś dało.
– Nieźle się po nim przejechałeś – zauważył Żółw ospale. – Ale co racja, to racja: strasznie wkurwiający był. Łukasz, a jak Malinka się czuje?
– Kiepsko. Powiedziała dziś rano, że nie wróci.
– Jak to? – Radek spojrzał na niego lekko przestraszony. – Co jej jest?
– Nie mam pojęcia – westchnął Łukasz. – Może to przez tę gorączkę tak mówi, a może po prostu chce wracać do domu.
– Możecie już wracać? – zapytał Żółw. – No... do Warszawy?
– Chyba tak. – Łukasz zmarszczył brwi. – Chyba wszystko ucichło. Gogol, co Jamal mówił?
– Hm... – Kostek podrapał się po głowie. – Chce porozmawiać z Maliną i... z kimś jeszcze, żeby wyjaśnić sytuację do końca. A wy pamiętacie, dlaczego musieliśmy opuścić tę kryjówkę, którą nam spalili? – zapytał, zwracając się do Nawiego i Marchewy.
– Przez tego agenta. – Marchewa zmrużył oczy, jakby się nad czymś zastanawiał. – Tego z CIA. Podobno on nam zagrażał.
– Nie on. – Nawi pokręcił głową. – Malina się bała, że ktoś za nim jechał.
– A, racja! – Kostek pokiwał energicznie głową. – Tak! Trzeba by z tej strony uderzyć. Jamal musi pogadać z tym całym agentem.
– Co to za agent? – zapytał Łukasz, mimo że dobrze wiedział, o kogo chodziło. Justyna opowiedziała mu całą tę historię ze szczegółami.
– Ganiał za De Soto – wyjaśnił Nawi. – W zasadzie chyba nadal się za nią ugania. Strasznie był zdesperowany. Pozostaje więc pytanie, kto ganiał za nim?
Kostek pokiwał głową. W tym momencie na komórkę Łukasza przyszła wiadomość. Meyer przeczytał i zbladł lekko.
– Co jest, mężu Maliny? Coś z naszą królowną?
– Tak – westchnął. – Píše, że pojechała do Mazar, do lekarza...
– Czemu tam?
Łukasz spojrzał na Kostka z wyraźną irytacją.
– Bo „ktoś” ją tam zawiózł do znajomego lekarza. Ma wrócić wieczorem.
– O! – Gogol złapał się za kieszeń. – Mnie też ktoś kocha i coś pisze. Moja ślubna, jako żywo!
– Co? Wreszcie cię zostawiła? – roześmiał się Żółw.
– Puknij się w skorupę, bździągwo. – Kostek pokiwał głową z politowaniem.
– Chce koniecznie pogadać przez skype’a. No to muszę iść, bo takie coś rzadko się zdarza...

Pobiegł do pokoju, który zajmował, i odpalił szybko komputer. Był zaniepokojony tą wiadomością, bo rzeczywiście Kasia rzadko go w ten sposób

alarmowała. Nigdy by tego nie okazał, ale bał się bardzo o nią i dzieci. Kiedy zobaczył jej twarz na ekranie, odczuł lekką ulgę, bo od razu widział po jej minie, że raczej nic poważnego się nie działo.

– Hej – uśmiechnął się szeroko. – Co się stało?

– Hej. Cieszę się, że mogłeś zadzwonić. Słuchaj... mam sprawę. Chodzi o Justynę i Łukasza.

– Naprawdę? – Kostek roześmiał się. – Widuję ich niemal codziennie i chyba wszystko z nimi w porządku.

– Tak, ale... Był tutaj Brenner z Grażyną. Przyjechał wczoraj i powiedział coś, co nie daje mi spokoju. Ma to w sumie załatwić Bambi, ale pomyślałam, że powiem też tobie...

– Czekaj, czekaj! Powoli. O co chodzi, Kasia? Mów po kolei.

Kasia dość szczegółowo opowiedziała przebieg wizyty Brennerów i słowa samego inspektora. Kostek słuchał uważnie, ale w miarę jak zaczynał rozumieć, w czym rzecz, robił się coraz bardziej poirytowany.

– To jakieś bzdury! – prychnął. – Oni mają po prostu paranoję.

– No, ale może naprawdę coś się takiego wydarzyło...

– Kasia, ja tu też wtedy byłem. Nic się takiego nie stało, naprawdę. Nic dziwnego, niezwykłego albo takiego, przez co ktoś miałby ją porywać.

– I nie zapytasz jej o to?

– Nie zapytam. Poza tym jej teraz nie ma, jest chora.

– Ojej! Coś poważnego?

– Nie wiem. Pojechała właśnie do lekarza, bo miała gorączkę i gadała głupoty...

– To daj mi znać, jak będziesz wiedział, czy wszystko w porządku u niej, dobrze?

– Dobrze – uśmiechnął się, już nieco uspokojony. – Dam ci znać. Możemy teraz pogadać o czymś normalnym? O dzieciach na przykład?

– Możemy.

Kiedy skończyli rozmawiać, Gogol siedział dłuższą chwilę przed komputerem, zastanawiając się, co zrobić. Uważał, że teorie Brennera są wyssane z palca, a mimo to odczuwał dziwny niepokój. Złapał się w pewnej chwili na tym, że chce iść do Krokodyla i zapytać go o zdanie w tej sprawie. Minęło tyle czasu, a oni wszyscy wciąż nie przywykli do jego braku.

– Co się dzieje?

Gogol podskoczył na krześle, kiedy poczuł na ramieniu dłoń Jamala.

– Boże, wystraszyłeś mnie, B.B.

Jamal usiadł obok niego i spojrzał mu prosto w oczy.

– Słucham.

Kostek westchnął i wyłączył komputer.

– Jest mały problem w Warszawie... Ktoś się obudził nagle z pomysłem, że porwanie Maliny miało coś wspólnego z jej poprzednim pobytom tutaj.

– W jakim sensie? – Twarz Jamala stężała.

– Podejrzewają, że porwał ją ktoś, kto też tutaj był, kto znał ją z naszych działań w grupie...

Jamal westchnął i potarł dłonią twarz.

– W zasadzie... sam o tym pomyślałem.

– Żartujesz?! – Kostek roześmiał się nerwowo.

– Nie... – Jamal pokręcił głową. – Kiedy tylko Krokodyl zadzwonił, żeby mi powiedzieć, po co wasz premier go ściągał, od razu przyszło mi to do głowy. Ale potem... potem zaczęły spływać sprzeczne informacje – o wojsku, o policji, jakiejś firmie – i przestałem się tym martwić. Wiesz, że premier też tak uważał na początku?

– Brzeziński? Nie miałem pojęcia. Ale Jamal, kto i po co? Umiesz to wytłumaczyć?

– Nie.

– Posłuchaj. – Kostek ściszył głos, zbliżając się do twarzy Jamala. – Ja nie pamiętam, żeby wydarzyło się wtedy coś... no, coś innego, co byłoby jakies podejrzane.

– Jesteś pewny?

– No... jestem.

– A kontakty z Angie? – Głos Jamala był opanowany, ale słycać w nim było nutę rezygnacji.

Gogol otworzył usta, jednak zaraz je zamknął.

– Nie wiemy do końca, co się kryje za ich „przyjaźnią”, prawda? – ciągnął jednoręki. – Trzeba De Soto pociągnąć za język... Malinę zresztą też. Musimy dowiedzieć się, czy przypadkiem czegoś nie ukrywają.

– I Malina nic by nam nie powiedziała?

– O Angie milczała.

Gogol pokiwał głową.

– OK – westchnął. – Pojadę dziś z Łukaszem do nich, może zastanę De Soto i postaram się je przepytac.

– Pojadę z tobą.

VIII

Otworzyła im Angie. Łukasz w sekundę zrobił się zły – miał serdecznie dość jej obecności i panoszenia się po jego mieszkaniu. Żałował, że nie zna wystarczająco dobrze angielskiego, żeby jej odpowiednio wygarnąć.

– O, dobrze, że jesteście. – De Soto nie wyglądała na zmieszaną z powodu obecności Jamala i Gogola. – Wejdźcie.

– Kurwa, zaprasza nas do domu, w którym nie mieszka – syknął Łukasz do Kostka i poszedł od razu na poszukiwania Justyny.

Jamal stanął naprzeciwko Angie i spojrzał na nią z powagą.

– Podobno nie żyjesz.

– No, przykro mi, że sprawiam ci zawód, ale jeszcze jakoś ciągnę – uśmiechnęła się szeroko.

– Musimy pogadać. – Jamal złapał ją za chude ramię i pociągnął do salonu. Gogol poszedł za nimi.

– Porozmawiam z tobą, nie musisz być taki szorstki. – Angie wyrwała rękę z żelaznego uścisku i usiadła na łóżku.

– Pierwsze pytanie: co z DeeDee? – Jamal zajął miejsce obok niej.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Jak wyszła od lekarza, nie chciała ze mną rozmawiać.

– Co to był za lekarz? – zapytał Kostek.

– Normalny. To mój znajomy z Mazar, bardzo dobry człowiek. Chirurg, kształcony w Stanach i w Wielkiej Brytanii. Jego żona też leczy, ale jest ginekologiem.

– I nic ci nie powiedzieli?

– Nie. Uznałam, że to decyzja Maliny. A jakie jest drugie pytanie? – Spojrzała na Jamala.

– Co twoi ludzie robili pod naszą kryjówką, którą spalono?

– Yy... – Angie wydawała się nie rozumieć, o co chodzi.

– O tę, do której Łukasz pojechał z Jasminą.

– A! O nią. Ale to jakoś dawno było, prawda?

– Nieważne. Chcę wiedzieć, czego tam szukaliście.

Angie skrzywiła się lekko i pokręciła głową.

– W zasadzie... to moi ludzie jechali za Kirkwoodem...

Jamal westchnął ciężko i schował twarz w dłoniach.

– No tak, mogłem się domyślać – mruknął z rezygnacją w głosie.

– Ale że co? – Angie nastroszyła się mocno. – Że niby moja grupa was rozwalila? Czy że chciała rozwalić?

– Nie! – Jamal uniósł głowę i spojrzał na nią z gniewem. – Chodzi o to, że ten temat ciągnie się przez ostatnie kilka lat i ja mam już dość ciebie i tego całego agenta od siedmiu boleści. Nie widzisz, jak ta sytuacja wygląda? To czysty absurd! Kirkwood jeździł za mną po mieście i usiłował przekonać, że szkolisz samobójców, tymczasem to za nim jeździł ktoś od samobójców, kto chciał nas zabić, a ty i twoja grupa jeździła za samobójcami, żeby dopaść Kirkwooda. Kurwa, Angie, rozumiesz, jakie to popieprzone?!

De Soto kiwnęła lekko głową, ale nie wyglądała na skruszoną. Jej twarz wyrażała raczej rodzaj zadowolenia, który zniknął, gdy zauważyła stojącą w drzwiach Justynę, podtrzymywaną przez Łukasza.

– Jak się czujesz...

– Zamknij się! – wycedziła Justyna, ku wielkiemu zadowoleniu męża. – Nie chcę więcej słuchać tego, co do mnie mówisz. Jesteś zwykłą kłamczuchą, która swoimi kłamstwami ściąga na nas niebezpieczeństwo.

– Ale Malina... – Dla Angie słowa Justyny były ciosem. Jamal zmarszczył brwi, ale bardzo chciał wiedzieć, o co jej chodziło.

– Jestem kretynką, bo nie domyśliłam się wcześniej, jaki jest problem – ciągnęła Justyna. – Ty i on... ten cały agent... Wy mieliście romans, prawda?

Angie zbladła. Zacisnęła kościste dłonie, walcząc z chęcią ucieczki.

– Odpowiedz mi! Chodzi o zawiedzioną miłość, a nie żadne sprawy wagi państwowej.

– Mieliśmy... – zaczęła De Soto zachrypniętym głosem. – Ale dawno temu. Bardzo dawno... Ja... my mamy syna.

Gogol z Jamalem przewrócili oczami. Kostek przysunął sobie pufę i klapnął na niej, jakby był bardzo zmęczony.

– Duży ten syn? – zapytał Jamal z nutką ironii w głosie.

– Dziesięć lat – szepnęła Angie. – Został z moim mężem, on go wychowuje. Ja nie mam nawet opieki. Ale wy nic nie rozumiecie...

– Ja rozumiem to nawet za dobrze – prychnął Jamal.

– Nic nie rozumiesz! – krzyknęła z rozpaczą w głosie Angie. – Jak się Kirkwood dowiedział, że jestem w ciąży, kazał mi usunąć, a kiedy tego nie zrobiłam, zaczął mnie niszczyć w Agencji, żeby się jego żona nie dowiedziała. Szykował się na wyższe stanowisko, miałam zostać jego podwładną, dla jego kariery takie coś oznaczałoby koniec.

Justyna odwróciła wzrok. Była zła na Angie, czuła się też oszukana. Zrozumiała, że Amerykanka traktowała ją jak córkę, z którą nie miała kontaktu. Umiała też pojąć, co czuła w stosunku do Kirkwooda.

– Po co tu przyjeżdżałaś? – zapytała po chwili. – Skoro tak cię potraktował.

– Bo go ciągle kochałam – szepnęła Angie, pociągając nosem. Wyglądała, jakby za chwilę miała się rozsypać. – Nie dostał awansu, wykopali go do

Pakistanu, potem tutaj... Moje małżeństwo się rozpadło, a dziecko tylko mi o nim przypominało. Przyjechałam... a on niszczył mnie jeszcze bardziej. Zresztą... sami wiecie, co robił. Co robi...

Zapadła cisza, której znaczenia tylko Łukasz nie do końca rozumiał. Jamal dotknął metalową ręką pleców Angie, zastanawiając się, co jej powiedzieć.

– Tak nie może dalej być – powiedział cicho. – To absurdalne, żeby z takich powodów rozpętywać tu dodatkową wojnę.

– Ale ja...

– Cicho! – Jamal wbił jej sztuczne palce w kark. – W ataku drona, który był skierowany na twoją grupę, zginął kolega Łukasza. Przypadkowy facet, który nawet nie chciał tu być. Nie mówię już o dzieciach i innych niewinnych ludziach... A wszystko przez to, że jakichś dwóch debili kiedyś się ze sobą przepało albo nie przepało. Posłuchaj mnie uważnie: jeśli nie zakończysz jakoś tej sprawy, ja to zrobię.

Angie spojrzała na niego przerażonym wzrokiem.

– Co? Jak?

– Domyśl się. Ja ci tylko mówię, że masz coś z tym zrobić. Nie wiem co i jak. Możesz stąd wyjechać, nawet zabić Andy'ego, czy jak mu tam... To ma się skończyć, rozumiesz?

De Soto pokiwała głową, patrząc żałośnie na Justynę.

– Muszę się położyć. – Justyna odwróciła się na pięcie i poszła do sypialni.

Łukasz wzruszył ramionami i spojrzał na Kostka.

– To ja pójdę z żoną. – I też wyszedł.

Gogol nabrał powietrza w płuca, jakby chciał coś powiedzieć. Angie z Jamalem popatrzyli na niego pytająco.

– Mm... – mruknął Kostek i odetchnął głęboko. – Jestem w absolutnym szoku.

– Dlaczego? – Angie zamruwała powiekami, pod którymi zebrało się trochę łez.

– Bo z powodu miłości do jakiegoś frajera zrobiłaś to wszystko. – Zrobił dłonią gest w powietrzu. – Założyłaś grupę, dorobiłaś do tego ideologię, zaczęłaś walczyć o pokój w regionie i o wycofanie wojsk koalicji z Afganistanu... i jeszcze zarabiasz na tym szmal. A wystarczyło dać mu w gębę i pozwać o alimenty.

Jamal parsknął śmiechem. De Soto westchnęła ciężko i wytarła policzki.

– Najgorsze jest to... mały gnomie, że masz rację – powiedziała spokojnie. – To jak szukanie złota w kupie łąjna, wiesz? Szkoda, że zajęło mi tyle lat, żeby to pojąć.

– Ale zrobisz coś z tym? – zapytał Jamal.

– Tak. – Pokiwała smętnie głową. – Coś zrobię. W razie czego... pomożecie mi?

– Pomożemy – uśmiechnął się Jamal. – O ile nie będzie to kastrowanie Kirkwooda.

– Nie? – Angie udawała zawiedzioną. Widać było, że wstąpił w nią nowy duch. – Szkoda, bo to pierwsze, co przyszło mi do głowy.

– Jedź stąd, De Soto. – Jamal pokręcił głową. – Zanim naprawdę wyprowadzisz mnie z równowagi. My też pójdziemy.

– A co z Maliną? – Kostek wskazał na drzwi.

– Nic. Najwyżej dowiemy się jutro. Chodźcie. – Jamal podniósł się z miejsca i ruszył do wyjścia.

Kostek zajął na sekundę do sypialni. Justyna leżała odwrócona plecami do drzwi, a Łukasz siedział obok niej. Kiedy zobaczył Gogola, pokręcił lekko głową, dając znak, że niczego jeszcze nie wie. Wyszli więc po cichu z mieszkania i poszli do samochodów.

– Nie zostawiacie tu nikogo? – zapytała Angie, otwierając drzwi do swojego auta.

– Co masz na myśli? – zdziwił się Jamal.

– No, żeby ich chronić. – Wskazała głową na okna mieszkania Łukasza.

Jamal z Kostkiem pokręcili głowami.

– Ale ja zawsze zostawiam – uśmiechnęła się De Soto, po czym wsiadła do samochodu i odjechała w swoją stronę.

– W sumie ma rację – mruknął Jamal, odpalając silnik dżipa. – Powinni chyba zmienić to miejsce. Za długo tu siedzą. O, cholera!

– Co się stało? – Kostek rozejrzał się nerwowo wokół, odruchowo sięgając po broń.

– Mieliliśmy pogadać o porwaniu. Zupełnie zapomniałem.

– Trudno. Na dziś wystarczy mi wrażeń. Jedźmy stąd.

IX

Łukasz już zaczął tracić nadzieję, że tego dnia czegoś się od Justyny dowie na temat jej pobytu w Mazar-e-Sharif. Zacięła się w sobie, jak to jej się czasami zdarzało, i leżała tylko, cicho popłakując. Nie miała już gorączki, ale była wyraźnie przejęta.

– Justynka, proszę cię, powiedz, co się dzieje.

Pokręciła głową.

– Ale dlaczego? Martwię się.

– Nie chcę... To okropne.

– Co jest okropne? Jesteś chora? Powiedz mi. Chcę znać prawdę, choćby najgorszą...

Obróciła się na plecy i spojrzała na niego czerwonymi od płaczu oczami.

– To katastrofa – szepnęła, wywołując u Łukasza szybsze bicie serca.

– Boże! To powiedz mi wreszcie. Ja...

– Jestem w ciąży.

Łukasz poczuł, jakby dostał w potylicę. Wstrzymał na chwilę oddech, zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

– To... to przecież fantastycznie! – Pochylił się mocniej nad Justyną.

– Zawsze tego chciałaś. Dlaczego teraz nagle mówisz, że to katastrofa?

Justyna schowała twarz w dłoniach i zaniósła się głośnym płaczem.

– Justyś. – Łukasz potrząsnął lekko jej ramionami. – Proszę cię.

– Ten lekarz... on od razu wiedział, że to ciąża. Ale poprosił swoją żonę, żeby mnie zbadała, jak mu powiedziałam, że mam trzydzieści pięć lat.

– Dlaczego?

– Bo mówił, że to może być ciąża wysokiego ryzyka. Dla mnie i... i dla dziecka. Ona miała taki nowoczesny gabinet i zrobiła mi badanie... USG, ale bardzo dokładne...

– Dziecko jest chore. – Łukasz domyślił się, co może usłyszeć.

Justyna zdołała jedynie kiwnąć głową.

– Bardzo? – Czuł, że robi mu się słabo.

– Ma wadę serca... a poza tym... prawdopodobnie zespół Downa.

Nie wiedzieć czemu, odczuł ulgę. Podniósł Justynę i objął mocno ramionami.

– To nic – szepnął. – Nic nie szkodzi. Urodzi się, wychowamy, podleczymy i wszystko będzie dobrze.

Najwyraźniej jego słowa nie uspokoiły Justyny, bo znowu zaczęła szlochać. Odchylił jej głowę i spojrzał prosto w oczy.

– No i czemu beczysz, co? Gadałaś o dziecku od dnia ślubu, chciałaś go najbardziej na świecie, mówiłaś tyle razy, że nieważne, czy zdrowe, czy chore... A teraz robisz z tego tragedię.

– Bo ja myślę, że to przeze mnie.

– Co znowu?! – Poczuł, że traci cierpliwość.

– No... że jest chore. Z Downem.

– A to czemu?

– Bo to już prawie czwarty miesiąc, a ja tutaj cały czas jestem, pracuję, denerwuję się. Poza tym... jestem stara.

Łukasz roześmiał się i znowu ją mocno objął, aż cicho pisnęła z bólu.

– Tak, to na pewno z tego powodu – chichotał. – Bo jesteś strasznie stara. A w dodatku głupia. I to zapewne przez twoją głupotę rzuciło się dziecku na mózg, wiesz?

Wyswobodziła się z jego objęć i pacnęła w ramię.

– Świnia – burknęła urażona.

– Beksa. – Roześmiał się znowu, po chwili jednak spoważniał i zmarszczył brwi. – Ale... jak to prawie czwarty miesiąc?

– No... jakoś tak. – Wzruszyła ramionami.

– Nic nie zauważyłaś?

– A kiedy, co? Pomiędzy wyjazdem do Pakistanu a akcją w górach? A może jak latałam w burce po Kabulu? No, nie wiem zupełnie, kiedy mogło mi umknąć coś takiego, zwłaszcza że przez minione cztery lata byłam bezpłodna jak jałowa pustynia.

Łukasz spojrział na jej brzuch i dotknął go dłońmi.

– I tam cały czas ktoś był? – zapytał przejęty.

– No – uśmiechnęła się. – I zabijał ze mną tych wszystkich złych ludzi.

Meyer popatrzył na nią z irytacją.

– Musisz to psuć?

– Nic nie psuję. Mówię, jak jest. To będzie pierwszy komandos z Downem – zaczęła się głośno śmiać.

Łukasz pokręcił głową z wyraźną dezaprobatą.

– Z Downem czy bez, to dziecko nie zbliży się do munduru. Żadnego! Nie rozumiem tylko, dlaczego nic wcześniej nie zauważyliśmy?

– Nie wiem. Tak wyszło...

– To co? – Ujął jej twarz w dłonie i spojrział w oczy. – Trzeba wracać?

Justyna pokiwała głową i uśmiechnęła się z wyraźną ulgą.

– Jak najszybciej – szepnęła.

X

Michał po raz kolejny tego wieczoru zajrzał do lodówki, popatrzył na puste półki i z cichym westchnieniem zamknął ją, powodując ciche brzęczenie stojących na niej szklanek do piwa. Zerknął na szkło i znowu otworzył lodówkę, z której szybkim ruchem wyciągnął jedyną puszkę piwa, jaka mu się ostała. Nie nalewał jednak trunku do żadnego naczynia, tylko usiadł na fotelu przed wyłączonym telewizorem i pociągnął za zawleczkę. Zamiast oczekiwanego „psyt”, usłyszał dzwonek do drzwi. Zdziwiony zerknął na zegarek – zamówił pizzę zaledwie kilka minut wcześniej, to nie mógł być dostawca, a nikogo innego się nie spodziewał. Podniósł się zrezygnowany i odstawił puszkę na stół. W przedpokoju zerknął jeszcze kontrolnie w lustro, bo przez ułamek sekundy paliła się w nim isierka nadziei, że to jednak Iwonka zdecydowała się przyjść, pomimo że odwołał spotkanie. Przed drzwiami stała jednak ostatnia osoba, jaką życzyłby sobie widzieć.

– Cześć. – Słomkowski próbował się uśmiechnąć, ale zdołał jedynie wykrzywić usta w dziwnym grymasie. – Nie przeszkadzam?

– Czego chcesz? – burknął Malicki, walcząc z chęcią trzaśnięcia drzwiami przed nosem Marcina.

– Tego, co ty: nie spędzać tego wieczoru samotnie. Przyproceedziłem kolegów. – Na dowód podniósł w górę sześciopak piwa. – Pomyślałem, że moglibyśmy też coś zjeść...

– Zamówiłem już pizzę. – Michał nadal miał nabzdyczoną minę, ale odsunął się, żeby zrobić przejście.

– Fajnie. – Marcin stanął w ciasnym przedpokoju obok Michała i podrapał się po głowie. – Ja też.

– No to wchodź... skoro już jesteś – wymamrotał Malicki, czując się nieswojo w tej sytuacji.

– O, widzę, że zacząłeś beze mnie. – Marcin wskazał na puszkę piwa stojącą na stoliku. Zdjął kurtkę i usiadł sobie na kanapie. – Zamówiłem hawajską.

– Słuchaj... powiedz od razu, czego chcesz i... idź sobie.

– Niczego nie chcę. – Marcin wzruszył ramionami. – Chciałem napić się z kimś piwa, a wiedziałem, że ty dziś na pewno nie będziesz miał towarzystwa.

– Uważasz, że to jest zabawne? – Malicki poczuł się, jakby dostał w twarz.

– Nie, wcale nie. – Marcin pokręcił głową i spojrzał z powagą na Michała. – Rozmawiałem z Kotem...

– No i co z tego? Ja też z nim rozmawiałem. I wiesz, co mi powiedział? Że to mnie wyjebią, a nie ciebie. Mnie! Rozumiesz to?

Marcin odwrócił wzrok i przez chwilę nad czymś się zastanawiał.

– Mnie nie może wywalić – powiedział cicho. – Przynajmniej nie w tej chwili.

– Bo co? Bo ci tatuś dupę chroni?

– Nie. – Słomkowski przygryzł wargę. Wyglądał na całkiem spokojnego i przez chwilę zdawało się Malickiemu, że widzi w nim kogoś zupełnie innego.

– Bo donoszę służbom na waszą... naszą komórkę.

Malickiego zatkało. Stał oniemiały z otwartymi ustami, ale po chwili roześmiał się nerwowo i pokręcił głową.

– Ja pierdolę... Nie wierzę... I co? Przychodzisz tu do mnie i mi o tym mówisz, bo co? Jaki masz plan?

– Nie mam żadnego. – Marcin oparł się wygodniej o kanapę, wyprostował nogi i założył ręce na brzuchu. – Tylko ci mówię, jak jest, żebyś nie dostawał pypcia.

– I Kotowicz wie, że donosisz? – Mimo zdenerwowania Malicki starał się ściszać głos.

– Wie. Brenner też wiedział. Ale moi zleceniodawcy nie wiedzą, że wy wiecie, więc Kot nie może mnie wywalić, bo wtedy wsadzą wam kogoś innego.

– Ale... ale po co? – Malicki przysiadł na brzegu fotela.

– A bo ja wiem? – Marcin wydał usta i przewrócił oczami. – Najpierw szukałem kretów, tych, co donosili, na przykład Frankowskiemu... Potem, jak porwali Justynę, szukałem tych, co donoszą porywaczom. A potem... potem niektórym się nie podobało, że Brenner dalej jest na stanowisku i że dostał awans, pomimo tego, co znalazłem. Miałem szukać haków na niego.

– No i?

– Nic. – Wzruszył ramionami. – Okazało się, że szukam na niego haka, żeby zatuszować inne machloje.

– Łysiak? – szepnął Malicki.

– Też. Ale nie tylko. Początkowo tak mi się wydawało, ale po zamknięciu Łysiaka zorientowałem się, że ktoś inny draży.

– Wiesz kto?

– Chyba wojsko.

Malicki opadł na oparcie fotela i wypuścił powietrze z płuc.

– Czyli że... – zrobił dziwny gest ręką – czyli że wciąż chodzi o sprawę z Justyną, tak?

– Tak myślę. Tyle że już nie tylko o jej problemy i to, co ona rzekomo chciała ujawnić, ale po prostu o to, że niektórzy wciąż mają dużo do ukrycia, a Brenner... czy teraz Kot bardzo dużo wie i nie zamierza nikogo chronić.

– Hm... – Malicki pogładził się po brodzie. – Nie brzmi to dobrze, wiesz? Jak załatwialiśmy sprawy w zeszłym roku, robiliśmy to dla Brzezińskiego, który chronił nam dupy i umożliwiał różne dojścia. Więc... wciąż jesteśmy umoczeni

w syf rządowy.

Marcin pokiwał głową.

– Co oznacza... – kontynuował Michał – że mamy dwa wyjścia: albo ciągnąć to dalej i chronić interesy Brzezińskiego...

– A przy okazji prezesa Fornalskiego – wtrącił Marcin.

– O, kurwa! Racja. – Malicki cmoknął z irytacją. – No, ale trudno, niech będzie. Drugim wyjściem jest odejście ze służby.

Słomkowski zamrugał powiekami i potrząsnął lekko głową.

– No co? – Michał rozłożył ręce. – A co innego można zrobić?

– Nie... tylko starałem się jakoś wyobrazić sobie siebie poza tym, co robię.

Malicki roześmiał się.

– No, dla mnie to też jakaś abstrakcja. Przecież wszyscy byśmy zginęli w „normalnym” świecie. Widzisz mnie chodzącego do biura?

– A ty mnie? – chichotał Słomkowski. – Z moim wyglądem? Ciągłe byłbym praktykantem albo stażystą.

– Nie, nie! – Malicki zamachał rękami, jakby się przed czymś bronił.

– Dobra, trzeba dalej siedzieć w tym gównie. O, dzwonek. Pewne pizza przyszła.

Na progu Michał zastał nie jednego, ale dwóch, bardzo niezadowolonych dostawców. Obydwaj byli z jednej firmy.

– Panie, do dwóch pizz nie potrzeba dwóch doręczycieli. Wystarczy jedno zamówienie – wycodził jeden z nich z wyraźną drwiną. – Coś pan? Policjant?

Malicki ze Słomkowskim śmiali się jeszcze dobre dziesięć minut.

– Mogłeś mu pokazać odznakę – rechotał Marcin.

– Coś ty! A skąd mam pewność, co mi przywiozą następnym razem? Z dostawcami trzeba dobrze żyć.

– W sumie szkoda, że tak wyszło. Była promocja i do tych dwóch dużych dostalibyśmy jeszcze małą.

– No, szkoda... W ogóle wyszedłem na debila.

– Słuchaj, a może jakiś film byśmy zobaczyli, co? – Marcin wskazał na telewizor. – Ładny sprzęt i się kurzy.

– A... tak... nie... to znaczy chyba nawet nic nie mam obecnie.

– Nie? A tu, pod tą serwetką? – Marcin sięgnął do stolika, gdzie stał telewizor. Michał nie zdążył go powstrzymać... – Co... co to jest? Malicki!

– Yy... no... ten sprzęt do obserwacji Mrozowskiego.

– Zwariowałaś!? Już od dawna go nie obserwujemy. Poza tym to było nielegalne. Po co to trzymasz?

– A... bo ten koleś, co go załatwił, poszedł siedzieć.

– Co? – Marcin wybuchnął śmiechem. – Jak to: siedzieć? Za co? Za takie coś?

– Nie... no, niezupełnie. Miał zawiasy za włamanie i znowu go złapali.

Odwiesili i poszedł do Wronek. Poprosił mnie i Wiśnię, żebyśmy mu to przechowali, bo jakby jeszcze ten sprzęt u niego znaleźli, to przez dekadę by nie wyszedł.

Słomkowski chichotał, zataczając się po pokoju.

– Ale jaja! – jęknął. – I ty mówisz o odchodzeniu ze służby? Chyba za kraty od razu. – Klapnął z powrotem na kanapę i uspokoił się nieco. – No i co? Podglądasz go czasem?

Malicki wzruszył ramionami.

– Czasami zajrzałem... na chwilę...

– Ej! No to dawaj! Odpal sprzęt.

Z lekkimi oporami, ale jednak Malicki włączył urządzenia. Marcin złapał pudełko z pizzą i wcisnął się obok Michała na fotel.

– Przesuń się, grubasie. Też chcę mieć dobry widok.

– Ostrzegam, że to może być naprawdę nudny film. – Michał urwał sobie kawałek pizzy i sięgnął po piwo.

– Naprawdę?

– No. Koleś jest po prostu nudziarzem.

– To po co go oglądasz?

– A... bo czasami nie chciałem być sam. Włączałem. On jadł kolację i ja jadłem kolację... razem z nim.

– Boże – westchnął Marcin cicho.

– No co? Wiem, że to żalosne, ale co zrobić?

– Nie uważam, że to żalosne. Tylko... bardzo smutne. A powiedz mi, czy on... no wiesz... przyprowadza sobie kogoś czasem?

– Że niby dupy?

– No.

– Czasem... – skrzywił się nieco Malicki.

– I co? I co? – Marcin zaczął podskakiwać na fotelu, podekscytowany.
– Opowiadaj!

– Nic. Wyłączam.

– Czemu? Coś się w końcu dzieje.

– Ale ja nie chcę na to patrzeć.

– Co z tobą? Należysz do jakiegoś kółka różańcowego, czy co?

– Nie! Po prostu krew mnie zalewa, jak widzę, że ten koleś ma większe branie niż ja.

– He, he – zarechotał Słomkowski. – Poprawka: ty nie masz wcale brania.

– Bujaj się! – Michał spał się cały. – Popatrz na niego. – Wskazał głową na ekran telewizora, na którym widać było Bambiego oglądającego wiadomości na kanale informacyjnym. – Wielki mi macho... a za każdym razem inną przyprowadza.

– Może ma dobry bajer? Wiesz, że my dwaj nie jesteśmy mistrzami podrywu.

Malicki pomruczał coś pod nosem niezadowolony i ugryzł kawałek pizzy.

– Dobrze, że jakiegoś remontu nie zrobił – wymamrotał z pełnymi ustami.

– Znalazłby te kamery i mielibyśmy przejebane.

– O, idzie gdzieś... do drugiego pokoju. Zmień obraz.

Bambi wszedł do pomieszczenia, które służyło mu jednocześnie za miejsce do pracy i garderobę. Usiadł za biurkiem i włączył komputer. Widać było, że nad czymś się mocno zastanawia. W końcu – po kilku minutach – sięgnął po telefon i napisał wiadomość, następnie nałożył na głowę słuchawki z mikrofonem i na coś czekał.

– Co on robi? – szepnął Malicki, jakby się bał, że Mrozowski go usłyszy.

– Będzie rozmawiał na skype – wyjaśnił równie cicho Michał. – Ostatnio rzadko to robi.

– Będziemy słyszeć rozmówcę?

– Tak. Przecież komputer też jest podsłuchiwany.

– No tak...

Cała trójka czekała w napięciu, tyle że Michał z Marcinem umilali sobie czas piwem. Po jakichś dziesięciu minutach usłyszeli dźwięk przychodzącego połączenia.

– Cześć – powiedział cicho i bez entuzjazmu Bambi.

– Myślałem, że śnię, jak dostałem twoją wiadomość – roześmiał się Gogol.

– Kto to jest? – szepnął Marcin.

– Jego kolega. Nie widziałem, żeby z nim rozmawiał od śmierci tego... no...

Krokodyla. Ciii... – Przyłożył palec do ust.

– Słuchaj, krasnalu... jest sprawa.

– No, ja myślę, że bez powodu byś nie dzwonił. Dajesz.

– Dzwonił do mnie Brzeziński...

Marcin z Michałem w jednej chwili zakrztusili się piwem i wiele wysiłku ich kosztowało, żeby nie zacząć głośno kaszleć.

– Chce, żebyś porozmawiał z Maliną o powodach jej porwania? – Uśmiech nie zniknął z ust Kostka.

– A ty skąd o tym wiesz? – Bambi wyglądał na oburzonego.

– Od mojej żony.

– Od... od kogo? A skąd...

– Wolisz nie wiedzieć – przerwał mu Gogol i głośno westchnął. – Wiem, że komuś z CBS przyszło do głowy, że porwano ją przez pobyt w Afganii. Osobiście uważam, że to bzdura, ale...

– Właśnie! – wyrwał się Mrozowski.

– Ale! – Gogol uniósł palec w górę. – Jamal chce, żeby to wyjaśnić do

końca.

– Naprawdę? – Bambi zmarszczył brwi.

– Tak. Nawet pojechaliśmy dziś do niej, żeby pogadać...

– Jak to: do niej? Malina nie jest z wami?

– Matko! – Gogol przewrócił oczami. – Daj mi skończyć. Malina jest ze starym, bo zachorowała. Chyba ma grypę... zresztą nie wiem. Pojechaliśmy, ale wynikły pewne okoliczności i zapomnieliśmy, po co pojechaliśmy i na razie rozmowa przełożona.

– Aha... – Z Bambiego jakby uleciało powietrze. – Kazałem Brzezińskiemu spadać na drzewo, ale nie daje mi to spokoju od wczoraj.

– Czemu? Masz jakieś sugestie?

– A Jamal ma? Skoro chce wyjaśniać.

Kostek uśmiechnął się tajemniczo i rozejrzał wokół.

– Uważa, że to przez jej przyjaźń z De Soto.

Bambi nie odpowiedział. Wpatrywał się tylko tępym wzrokiem w ekran komputera.

– Jaką... przyjaźń? – wydusił wreszcie z siebie. – Z De Soto? Co ty pier...

– Nic nie pierdołę. Mówię, jak jest. Malina i Angelina są przyjaciółkami.

– Od kiedy?

– Od zawsze. Zawsze robiły nas w chuja.

– Chyba żartujesz?

– Jestem od tego daleki.

– I Jamal... on się nie wkurwił?

– Hm... – Kostek podrapał się po uchu. – Nie miał kiedy się wkurwiać, bo wcześniej Angie uratowała nasze dupy. W zasadzie nadal to robi.

– Czyli te akcje... te z zamachowcami...

– Aha. – Kostek kiwnął głową. – Wszystko było ustawione.

– To dlatego nie mogliśmy jej złapać – Bambi powiedział to jakby do siebie.

– Ależ to jest czarownica. I co? Myślicie, że mogły coś nawywijać, przez co ktoś porwał Malinę?

– Tego chcemy się dowiedzieć.

– Ale czekaj! Jeśli by tak było, to skąd ten cały Kowaliow?

– O to trzeba by się zapytać Kowaliowa.

Michał z Marcinem spojrzeli po sobie wymownie.

– Nie pasuje mi to wszystko. – Mrozowski pokręcił głową. – Gdyby tak było rzeczywiście, ktoś znów próbowałby ją porwać. Skoro Rusek działał nie z własnej inicjatywy i ktoś inny za tym stoi.

– Tak, ale w tym czasie ona wróciła do nas – zauważył Kostek.

– Sam sobie przeczysz. Jeśli to ktoś z Afgana maczał w tym palce, a ona jest w Afganii, to tym bardziej mogła zostać porwana albo zabita. I to bez żadnych

ceregieli. Dostałaby czapę i nikt nawet nie myślałby, że ma to związek z porwaniem.

– W sumie racja. – Gogol postukał palcem w stół. – Nie wiem. Tak czy inaczej będziemy z Jamalem próbowali znów ją podejść. Ją i Angie.

– De Soto tam jest?

– De Soto jest wszędzie.

– Czyli że już nikt nie będzie mnie męczył o wyjazd do was?

– Pewnie nie – uśmiechnął się Kostek. – Ale zawsze możesz wpaść nas odwiedzić. Tylko nie teraz, bo wyjeżdżamy. Zapraszamy za tydzień na herbatkę.

– Jasne. Bo nie mam co robić – prychnął Bambi. – Dobra, będę kończył. Pomyślę jeszcze nad tą kwestią, ale jeśli jest, jak mówisz, i Malina robiła coś za naszymi plecami, to niczego nie wymyślę.

– No, raczej. Ale miło było w końcu z tobą pogadać.

– Nie rozczulaj się przypadkiem.

– OK. To ja też się wyłączam i idę spać. Mieliśmy ciężki tydzień. Trzymaj się, sarenko. I odezwij czasem.

– No... na razie.

Bambi zdjął słuchawki i wyłączył komputer. Siedział chwilę nieruchomo przy biurku, ale w końcu wstał i poszedł do kuchni zrobić sobie herbatę.

– Myślisz, że coś jeszcze będzie się działo? – zapytał w końcu Marcin.

– Nie wiem. – Michał wzruszył ramionami.

– Niezła akcja, co?

Malicki kiwnął głową, ale wyraz jego twarzy świadczył o tym, że się nad czymś bardzo zastanawia.

– Co jest? – Marcin go szturchnął.

– Zastanawiam się, czy możemy coś z tym zrobić.

– No... najlepiej pogadać z Kotem.

– Zwariowałeś?! I co mu powiemy? Że ciągle mam w domu sprzęt do śledzenia faceta? Wtedy na pewno wylecę.

– Hm... – Marcin zacisnął usta. – Ale Kowaliowa też nie pójdziemy przesłuchiwać, bo już go nie ma w Polsce. A sprawy chyba nie można zostawić...

– A może można?

– Nie. – Marcin pokręcił głową i wstał z fotela. – Meyerowie mają wrócić za kilka tygodni. Cały ten cyrk może zacząć się na nowo, jeśli naprawdę coś jest na rzeczy. Słyszałeś, jak on mówił, że ktoś z CBS miał takie podejrzenia?

– No.

– Ciekawe kto? Bo raczej ktoś od nas.

– Pomyśl jak pomyśl. – Michał machnął ręką. – Chodzi o to, żeby pójść dalej. Usiąść nad papierami i od nowa zacząć szukać jakiegoś tropu. Bez wzbudzania podejrzeń oczywiście.

Marcin pokiwał głową i sięgnął po kolejne dwie puszkę piwa. Jedną podał Michałowi.

– Może nie powinienem tego mówić – powiedział cicho, otwierając swoją puszkę – ale nie chciałbym znów przerabiać tego tematu.

– Jakiego?

– Tej całej historii z Justyną, jej przeszłością... Nie lubię jej. Mam ciągle co do niej wielkie wątpliwości...

– Ale że co? Że sama za tym stoi?

– Był czas, że tak myślałem – westchnął Marcin. – Teraz wiem na pewno, że tak nie było, ale nawet po tym, co dziś usłyszeliśmy, mogę śmiało powiedzieć, że sama to na siebie ściągnęła. Tym, co kiedyś robiła i tym, że okłamała Łukasza...

– Ej – Malicki uśmiechnął się. – Za każdym razem, jak mówisz o Meyerze, mam wrażenie, że jesteś w nim zakochany. O, widzisz! Rumienisz się.

– Spadaj...

– Jak rozumiem, chcesz to wyjaśnić do końca dla niego? – Michał puścił do Marcina oko.

– Nie przeginaj – wycodził purpurowy Słomkowski. Usiadł na kanapie i nawet nie patrzył na Malickiego. – Spędziłem z nim trochę czasu... Wiem, jak jest zaangażowany w ten związek. To naprawdę świetny gość. A ona...

Malicki pokręcił głową.

– Nie dawaj się tak wciągać. – Pokiwał palcem. – Emocje zaciemniają ci rzeczywistość. Nie wiesz wszystkiego – ani o niej, ani o Meyerze. Nie pamiętasz, co wyrabiał po porwaniu? Jak się schlewał i olewał robotę?

Marcin wzruszył lekko ramionami.

– Dobra. – Malicki potarł dłonią policzek. – Trzeba pomyśleć, co z tym syfem zrobić. Jestem niemal pewien, że coś nam umknęło, kiedy się tym zajmowaliśmy.

– Co? Że Meyerowa była najemnikiem? – zapytał z drwiną Marcin.

– To też. – Michał nie dawał się zbić z tropu. – Nie założyliśmy jednej sprawy: że Kowaliow działał na czyjeś zlecenie.

– Nieprawda! Cały czas o tym mówiliśmy.

– Czekaj. Mówiliśmy, ale w kontekście teraźniejszości, obecnej sytuacji Justyny i Łukasza, a nie przeszłości. Mało tego – nie wzięliśmy pod uwagę możliwości, że Kowaliowa zatrudnił ktoś spoza Polski. A mogło być tak: ktoś, kto znał Justynę w Afganistanie, z jakiegoś powodu chciał ją porwać i zabić. Znalazł Kowaliowa, wymyślił cały misterny plan i dał nam do zrozumienia, że chodzi o wszystko inne niż rzeczywisty powód.

Marcin spojrzał przenikliwie na Malickiego.

– Czy ty wiesz, co to oznacza? – zapytał z powagą.

– No?

– Że ten ktoś musiał być zajebiście na nią wkurwiony. Odczekał tyle czasu, żeby ją dopaść i włożył w to tyle trudu. Zatrudnienie Kowaliowa to nie jest wynajęcie błazna na przyjęcie urodzinowe dziecka. Widziałeś jego kartotekę?

– Wiem. – Michał kiwnął głową. – Poza tym Rusek wcale zleceńodawcy nie sypnął, co świadczy o tym, jak bardzo się go bał. I nadal boi... Co w zasadzie zawęża nam pole poszukiwań.

– Jak to?

– Mamy prawdopodobnie do czynienia z kimś ze spec-służb, z kimś wysoko postawionym, kto nie tylko dużo wie i dużo może, ale też stać go na wynajęcie kogoś takiego jak Kowaliow.

– Hm... Z tą kasą niekoniecznie, wiesz? Nie, jeśli Kowaliow naprawdę zasadał się na B.S.K. i ich nowe technologie wojskowe. To mógł być wiązany układ.

– Mógł być... – Michał zmrużył oczy. – Wobec tego mamy już jakiś pierwszy trop...

– Jaki niby?

– Kierunek: Rondo ONZ, duży wieżowiec po sąsiedzku. – Malicki wskazał głową na okno. – Trzeba zadać kilka dodatkowych pytań panu prezesowi.

– No... – mruknął Marcin, przyglądając się puszcze z piwem. – Ale ja bym coś jeszcze zjadł.

– Zamawiamy dwie? – zapytał z błyskiem w oku Michał.

Słomkowski kiwnął głową z figlarnym uśmiechem.

– Który dzwoni pierwszy?

XI

Jamal dłuższą chwilę nic nie mówił. Odwrócił głowę w stronę okna i westchnął cicho. Justyna wpatrywała się w niego pytająco, gładząc się po lekko już zaokrąglonym brzuchu, który, jak się okazało, był taki nie od problemów z jelitami.

– Powiesz coś w końcu? – zapytała cicho.

– A co mam mówić? – Wzruszył ramionami. – Gdyby chodziło o grypę czy coś jeszcze innego, wiedziałbym, że wrócisz do pracy... W zasadzie... miałem nadzieję, że przedłużysz kontrakt.

Justyna uśmiechnęła się.

– Myślę, że tym razem bym nie przedłużała, nawet gdyby nie chodziło o ciążę. Kontrakt się skończył...

– Wiem. Tydzień temu. Cóż mogę powiedzieć? – Rozłożył ręce w geście bezradności. – Szkoda. Ja przynajmniej żałuję. Chociaż wiem, że ty się cieszysz.

Spojrzał na nią i wskazał ręką na brzuch Justyny.

– To pewne? Z tą chorobą?

– Nie wiem – szepnęła. – Ale lekarka z Mazar była pewna niemal stuprocentowo.

– Jak się na to zapatrujesz?

– Martwię się – odparła ze spokojem.

– A Łukasz?

– Łukasz od razu zaczął działać. Zadzwoił do swojego brata w Niemczech. Krzysztof jest lekarzem.

– Naprawdę?

– Tak. Prowadzi swoją praktykę, ale ma sporo znajomości w środowisku. Jesteśmy już umówieni na pierwszą konsultację u jakiegoś profesora w Kolonii, który specjalizuje się w chorobach serca u nienarodzonych...

– Ale mówiłaś jeszcze o tym... zespole...

– Tak. – Skinęła głową. – Dziecko ma prawdopodobnie zespół Downa.

– I chcesz je mieć?

– Jamal! – Justyna spojrzała na niego z wyrzutem. – Jak możesz tak mówić? To jest człowiek, który niczemu nie jest winien. Chce żyć, tak jak ja czy ty.

– Wybacz – szepnął zmieszany.

– Usiądź. – Poklepała miejsce na łóżku obok siebie. – I powiedz mi, co cię gnębi.

Jednoręki usiadł i potarł dłonią zmęczoną twarz.

– Gogol jest na dole, czeka na Angie... Musimy o czymś pogadać.

– My? Z Angie? O czym niby?
– Malina... Pojawiły się pewne przypuszczenia odnośnie twojego porwania.
– Popatrzył na nią z powagą.

– Słucham? – Justyna odchyliła głowę. – A co Angie ma z tym wspólnego?
– Tego chcemy się dowiedzieć...

Nie dokończył jednak, bo do mieszkania wszedł Gogol, prowadząc ze sobą De Soto, ubraną w sukienkę do ziemi.

– Ty wiesz, co oni insynuują? – Angelina dopadła do łóżka Justyny i spojrzała na nią roziskrzonymi z nerwów oczami. – Że porwanie było przez nas.

– Uspokój się. – Justyna podniosła dłoń. – Siadaj. A wy mówcie po kolei. Gogol?

Kostek przysunął sobie pufę, na której klapnął z głośnym westchnieniem.

– Będę mówił po polsku, bo po pierwsze, nie ufam twojej przyjaciółce, a po drugie, już mi się nie chce wysilać. Rozmawiałem z Kaśką. W Warszawie komuś urodził się pomysł, że porwanie nie miało nic wspólnego z tym, do czego doszła policja.

– A z czym?

– Z twoim poprzednim pobytem tutaj.

– Nie rozumiem.

– Zachodzi podejrzenie, że porwanie było zemstą za coś, co ty... wy... – wskazał głową na zdezorientowaną Angie – coś komuś zrobiłyście.

Justyna parsknęła śmiechem i pokręciła głową.

– Jasne. Komuś po czterech latach chciałoby się wymyślać coś takiego, żeby się... – Zamilkła nagle, czując, jak zalewa ją fala gorąca, a serce zaczyna bić coraz szybciej. Złapała się za brzuch, jakby chciała chronić rosnące w niej dziecko przed skutkami jej stresu.

– Malina, co ci jest? – zapytała, przerażona nie na żarty, Angie.

Justyna spojrzała na Gogola, potem na Jamala, rozważając przez kilka sekund, jak to rozegrać.

– Zostawcie nas same – powiedziała po angielsku. – Musimy porozmawiać z Angie w cztery oczy.

Jamal pokiwał głową i podniósł się z łóżka. Gogol w pierwszym odruchu chciał protestować, ale czarnoskóry przekonał go jednym gestem ręki, która mu jeszcze została. Bez słowa wyszli z mieszkania.

– Uduśzę ją gołymi rękami – wycedził Kostek za drzwiami. – Normalnie uduśzę.

– Nie uduśisz – stwierdził ze spokojem Jamal. – Malina jest w ciąży.

Gogol otworzył usta bardzo szeroko, ale nie był w stanie nic powiedzieć przez dobrych kilka minut. Zeszli na dół do samochodu. Ludzie De Soto przyglądali się im podejrzliwie ze swojego auta.

– W ciąży? – wydusił w końcu z siebie Kostek. – Od kiedy?

– Czwartego miesiąca.

– To super! Ale... To znaczy, że już nie wróci.

Jamal pokręcił głową.

– Dziecko jest chore. Lekarka z Mazar powiedziała, że ma zespół Downa.

Kostek skrzywił się.

– Jak ona to stwierdziła?

– Nie wiem. Poza tym znalazła mu jakąś wadę serca.

– I Malina chce je urodzić?! – W głosie Gogola słycać było niesmak.

Jamal spojrzał na niego przenikliwie.

– Tylko nie wyskakuj z tym tekstem przy niej.

– Ja bym nie chciał upośledzonego dzieciaka. Takie dzieci...

– Dość! – Jamal skierował metalowy palec w Gogola.

Kostek zrozumiał, że powiedział o parę słów za dużo. Zrobiło mu się nieprzyjemnie, bo zdał sobie sprawę z tego, że teraz trudno mu będzie rozmawiać z Justyną w normalny sposób. Nigdy nie umiał zachować się przy niepełnosprawnych czy upośledzonych osobach, czuł się przy nich skrępowany, irytowały go, budziły bardziej niż mieszane odczucia.

– Może się ta lekarka pomyliła – powiedział po chwili cicho.

Jamal zerknął na niego z politowaniem.

– Jeśli masz zamiar coś jeszcze powiedzieć, zastanów się najpierw dłużej albo nie mów nic.

– B.B....

– Zdawało mi się, że to tobie ostatnio urodziło się dwoje chorych dzieci. – Jamal nie dał mu dojść do słowa.

– To co innego.

– Ale jak się urodziły i okazało się, że są słabe i chore, to ich nie wyrzucałeś za okno, tylko leczyłeś.

– Downa się nie leczy. To po prostu jest.

Jamal roześmiał się.

– Tak samo jak głupota, chamstwo i niewdzięczność. Myślę, że temu dzieciakowi nie mogła się trafić lepsza rodzina niż Malina z Łukaszem.

– Może... – mruknął Gogol.

– Rozmawiałeś z Angie?

– Tak. – Kostek pokiwał energicznie głową. – Dobrze, że przypomniałeś. Oczywiście wściekła się, jak jej powiedziałem o tych przypuszczeniach, ale, jak widać, coś jest na rzeczy... Niech to szlag!

– Co jest?

– A, bo jeśli okaże się, że one naprawdę... coś zrobiły, to Malina nie ma po co wracać do domu. Musimy rozwiązać tę sprawę, bo znów ją ktoś porwie albo

zabije.

– Z tego, co zrozumiałem, jadą najpierw do Niemiec, do brata Łukasza.

– To niech tam zostaną jak najdłużej. Może i dobrze, że ta mała czarownica jest w ciąży, przynajmniej zajmie się czymś innym i nie będzie pakowała się już w kłopoty.

Jamal parsknął śmiechem.

– Dobrze podejście.

– A, właśnie! – Kostkowi coś się nagle przypomniało. – Angie ma prośbę.

– Już się boję. – Jamal pokręcił głową.

– Chodzi o jej byłego kochanka.

Jednoręki spojrział na niego z zainteresowaniem w oczach.

– Tak?

– Wystawi go nam. To znaczy niezupełnie nam... Ma jakichś znajomych, inną grupę, która ma na niego chrapkę od dawna. Znaczą się, wiesz... – Przejechał palcem po krtani. – Ale potrzebują kogoś, kto go wywabi, a ciebie zna i nieco ci ufa.

– Kirkwood nie wie, że żyję – odparł Jamal. – Jest przekonany, że zginąłem wtedy w tym budynku, z którego uciekliśmy. Od tamtego czasu nie kontaktowałem się z nim.

– No, to tym bardziej się ucieszysz, jak ujrzy cię całego i zdrowego. Na pewno przyjdzie na spotkanie.

– Tak, a razem z nim pół CIA.

– Angie jest przekonana, że załatwisz to w taki sposób, że przyjdzie incognito – wyszczerzył się Kostek.

– To spore ryzyko. Ale... – Jamal wydał usta. – Pomyślę nad tym. Długo nie wychodzi.

– Kto?

– Angie.

– Może Malina ją zamordowała – zachichotał Kostek.

– Nawet tak nie myśl. Popatrz tylko na nich. – Wskazał ruchem głowy na samochód z ludźmi De Soto. – Nie wyciągaliby noży, żeby nam głowy poucinać. Wyrwaliby je gołymi rękami.

XII

Angie chlipała cicho, wycierając co chwilę nos o brzeg sukienki.

– Boże, Boże! Tyle czekania na cud, a tu taka tragedia. Ale nic się nie martw – ja ci pomogę.

– W czym mi pomożesz? – Justyna uśmiechnęła się pod nosem. – Łukasz

wszystkim się już zajął.

– A może dzidzius wcale nie jest taki chory?

– Może – westchnęła Justyna. – Może tak, a może nie... Tak czy inaczej musimy wyjechać. Nie zostanę tu z dzieckiem.

Angie pokiwała głową.

– Nie gniewasz się już na mnie? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Gniewam – Justyna roześmiała się. – Ale szkoda mi już nerwów. To dziecko dość przeszło do tej pory.

– Malina... A o co chodzi z tym porwaniem?

Justyna podkurczyła nogi i oparła łokcie o kolana.

– Angie, nie przypominasz sobie pewnego zdarzenia sprzed pięciu lat, o którym nie wie moja grupa?

– Nie. Wydarzeń było bardzo dużo.

– Tak, ale jedno było szczególne.

– W jakim sensie?

– Bo stanowiło dla mnie rodzaj zemsty.

Angelina otworzyła szeroko oczy. Nabrała powietrza w płuca i zasłoniła dłońmi usta.

– Boże! – szepnęła przerażona.

– Właśnie – mruknęła Justyna po polsku.

– Kompletnie wyleciało mi to z pamięci. Ale... ale ty myślisz, że on mógłby... Po tylu latach?

– Ja zemściłam się na swoich dowódcach po dużo dłuższym okresie. Pięć lat to nie tak dużo, zwłaszcza po tym, co zrobiliśmy. Angie... Stało się źle.

– No pewnie! Skurwiel zrobił ci krzywdę.

– A ja jemu. A potem on znowu mnie... A teraz, jak się wszyscy z mojej grupy dowiedzą, będą znów się mścić. Kiedy się to skończy?

– Dopóki mu nie utniemy głowy – stwierdziła zdecydowanie De Soto.

Justyna pokręciła głową.

– Wtedy znajdzie się jakiś syn albo przyjaciel, który będzie chciał go pomścić.

– No to co mamy według ciebie zrobić, co? – zapytała Angie z wyrzutem.

– Zostawić to tak, żeby cię znalazł i zabił?

– Nie wiem, ale trzeba wymyślić coś innego.

Angie zerwała się z łóżka i zaczęła nerwowo przechadzać się po pokoju, wykręcając palce u swoich chudych dłoni.

– Po pierwsze, nie mamy pewności, że to on – zaczęła po chwili. – Co oznacza, że trzeba się tego jak najszybciej dowiedzieć. Po drugie, ty musisz stąd zniknąć. Kiedy jedziecie do tego szwagra?

– Łukasz załatwia właśnie transport z wojskami niemieckimi z Mazar.

Polecimy prosto do Kolonii, a jego brat nas stamtąd odbierze.

– Bardzo dobrze! Zorganizuję wam jakiś śmigłowiec.

– Nie! Pojedziemy samochodem.

– Ale to daleko.

– A ja nie mogę latać przy turbulencjach, które tu są. Poza tym ktoś nas może zestrzelić, choćby przypadkowo.

– Racja. To dam ci ludzi, żeby was transportowali. Zresztą, pogadam z Jamalem. On też niech coś zorganizuje.

– No, a jest jakieś po trzecie?

– Co?

– Mówiłaś, że po pierwsze, to się dowiedzieć, po drugie, wysłać mnie poza Afganistan, więc pytam o „po trzecie”.

– Tak. Ale ty się tym nie martw.

– No właśnie się martwię. Angie, muszę wiedzieć, co planujesz.

– Nie musisz. – De Soto nachyliła się nad Justyną i pocałowała ją w czoło.

– Odpoczywaj sobie. Ja idę pogadać z Jamalem.

Justyna nie zdążyła powiedzieć nawet słowa, bo Angie odwróciła się na pięcie i łapiąc w biegu swoją burkę, wyszła z mieszkania. Na ulicy nawet nie spojrzała na swoich ludzi, tylko od razu poszła do samochodu Jamala i zajęła miejsce z tyłu na kanapie.

– Mogę mu ufać? – zapytała, wskazując na Kostka.

– Słucham? – Jamal spojrzał na nią oburzony.

– Zadałam ci proste pytanie. Tu chodzi o poważne rzeczy.

– No, nie gadaj – zadrwił Gogol.

– Posłuchaj mnie uważnie, gnomie. – Angie wymierzyła w niego kościsty palec. – Jeśli w czymś mi nie przypadniesz do gustu, zabiję cię bez mrugnienia okiem. Sama.

– No dobrze – westchnął Jamal. – Możemy mu ufać, a ty mów, o co chodzi.

– Mamy problem.

– No, nie gadaj – powtórzył Kostek.

– Zamknij się! To też twoja wina, bo ty tam byłeś, kiedy ją porwali, ale nie przyszło ci do głowy, że porwanie miało coś wspólnego z Afganistanem.

– Tak samo jak Malinie, jakbyś nie zauważyła.

– Malina, krasnalu, była porwana, i jedyne, o czym myślała, to o tym, by przeżyć i wrócić do męża. Ale miała za to paczkę kumpli, którzy powinni byli mieć głowy na karku.

– Możecie na moment się uspokoić? – warknął Jamal, widząc, że Gogol chce znów coś powiedzieć. – Angie, do brzegu, bo tracę cierpliwość.

– Pięć lat temu coś się wydarzyło... Zrobiliśmy coś z Maliną komuś i ten ktoś prawdopodobnie porwał ją z zemsty.

– Co zrobiliście? – zapytał Gogol.

– Wątpię, żeby ci powiedziały – rzucił z przekąsem Jamal. – De Soto, kontynuuj.

– Oczywiście, ten ktoś sam jej nie porwał, jak sami wiecie, ale wydaje mi się, że zaplanował to i zorganizował odpowiednio.

– Jasne. – Jamal skinął głową. – I co w związku z tym?

– Trzeba go znaleźć.

– I?

– I nic. Trzeba go znaleźć i... spacyfikować.

– Masz pomysł, jak go znaleźć?

– Nie.

Jamal roześmiał się głośno.

– A co ty myślałeś? – Angie szturchnęła go w ramię. – Że zrobię wszystko sama? Potrzebny jest plan. Ale najpierw Kirkwood.

– Mogłem się tego domyślić – mruknął Jamal.

– Tak. Jak załatwisz ten problem, powiem wam resztę: nazwisko człowieka i jak ewentualnie możemy się nim zająć. Aha, jeszcze jedno. Malina z Łukaszem będą jechać do Mazar i trzeba dać im obstawę. Ja dam kilku swoich, ale wy też moglibyście kogoś wysłać.

– Nie bardzo – Jamal skrzywił się. – Część właśnie pojechała w góry, reszta jedzie pod Kandahar...

– Odwołaj to! – powiedziała stanowczo Angie.

– Co to ma znaczyć? Ty zarządzasz tą grupą?

– Mówię ci, żebyś to odwołał. Ja wiem, co się dzieje na południu i dlatego odradzam tę wycieczkę. To zbyt niebezpieczne.

– Angie, coś ci się chyba pomyliło. Jesteśmy najemnikami, a nie turystami, i z reguły jeździmy tam, gdzie niebezpiecznie.

– Jamal. – Angie położyła mu dłoń na ramieniu. – Wyślij ludzi z Maliną. Kandahar niech sam się sobą zajmie.

Jamal zerknął na Gogola, który wzruszył lekko ramionami.

– Idę. Będziemy w kontakcie. – Angie wyskoczyła z samochodu i poszła w dół ulicy, nie zwracając uwagi na ludzi ze swojej grupy.

– A ta dokąd? – Kostek zmarszczył brwi.

– Pewnie zaparkowała gdzieś dalej.

– A ci z tego dzipa?

– Oni pewnie pilnują Maliny. Jedźmy stąd.

– Co myślisz o tym Kandaharze? – zapytał Gogol, gdy znaleźli się w innym kwartale.

– Szczerze? Myślę, że trzeba jej posłuchać. Jest zdrowo szurnięta, ale o tej sprawie mówiła całkiem poważnie.

– Odwołujemy?

– Tak. Zadzwońię do Louisa i powiem, żeby nie brał tego zlecenia.
Kostek kiwnął głową i już nic nie powiedział.

XIII

– Nie pojechałem w góry, żeby jechać do Kandaharu, a teraz nigdzie nie jadę? – Wiktor nie wyglądał na zadowolonego z tego, co usłyszał z ust Jamala.
– To co mam robić? Sweterki na drutach? *Job twoju mać!* – zaklął, rzucając na blat stołu nóż, którym kroił sobie chleb.

– Wiktor, musimy zająć się inną sprawą – powiedział Jamal, pocierając zmęczone oczy.

– Jaką sprawą? Mamy pracować, to pracujmy...

– Czekaj! – uciszył go Bullet. – O co chodzi?

– Powiem wam później. Albo Gogol niech wam mówi. Muszę chwilę odpocząć.

Jamal poszedł do swojego pokoju i usiadł na łóżku. Czuł się przytłoczony, ale to nie było nic nowego w jego przypadku. Zawsze miał dużo na głowie i wcale mu to nie przeszkadzało, jednak tym razem dodatkowo męczyły go złe przeczucia. Był wdzięczny Angie za to, że zmusiła go do rezygnacji z wyjazdu na południe. Niepokoił go zleceniodawca tego zadania, jego pośpiech i nie do końca jasne intencje. Płacił sporo, w dodatku gotówką, ale to tym bardziej zmuszało do zastanowienia.

Po chwili namysłu włączył telefon satelitarny i zadzwonił do Louisa z prośbą, żeby zebrał ludzi i wyjechał z okolic Kandaharu jak najszybciej.

– Znajdźcie sobie jakąś kryjówkę w stolicy. Nie kontaktuj się nawet z nikim u nas, tylko zadekujcie się tam i odpocznijcie. Ja później cię złapię i wyjaśnię, czym zajmujemy się teraz, OK?

– No, dobrze. – Głos Louisa nie brzmiał zbyt entuzjastycznie. – Tylko powiedz, że masz naprawdę poważne powody, żeby podejmować taką decyzję.

– Są naprawdę poważne, zaufaj mi.

– W porządku. A co ze zleceniodawcą?

– Nie kontaktuj się z nim. Po prostu ulotnijcie się, jak to wy potraficie najlepiej, i nie zostawiajcie po sobie śladu.

– OK.

Jamal odetchnął. Nagle poczuł, że zeszło z niego przynajmniej pół tego zmęczenia, które go obciążało wcześniej. Wrócił do wszystkich, bo zrobił się bardzo głodny. Kiedy tylko wszedł do salonu, został zaatakowany przez Siwego.

– To teraz jesteśmy prywatnym wojskiem Justyny i jej męża, co? – gorączkował się, powodując u Jamala narastającą irytację. – Nie jedziemy na dobrze płatną akcję, żeby chronić ich dupy...

– Możesz się zamknąć? – Jamal przysunął swoją twarz do pyzatej facjaty

Siwego. – Bo za chwilę wyrwę ci język i zjem go na obiad.

Wiktor ryknął śmiechem.

– Mmm... – Ukrainiec pomasował się po brzuchu. – Ozorki są pyszne.

Gogol zachichotał znad kubka z herbatą. Jamal zorientował się po jego zarumienionych policzkach, że napój został odpowiednio wzmocniony procentami.

– Daj mi tego samego. – Skinął na Kostka. – Wiktor, co masz dziś w swoim menu?

– Zaraz! – oburzył się Siwy. – Macie zamiar to tak zostawić?

– Zamknij się nareszcie – jęknął Charlie, który jak zwykle robił coś na komputerze. – Marudzisz od godziny jak stara baba.

Siwy w końcu skapitulował i z obrażoną miną usiadł na krześle. Marchewa pojechał w góry, więc nie miał za sobą żadnego sprzymierzeńca.

– Siwy, ty jesteś głupi – stwierdził Wiktor, podając Jamalowi posiłek.

– Tobie też się nie podobał ten pomysł przed chwilą – odparł szybko Siwy.

– Tak, bo nie wiedziałem, o co chodzi. A ty jesteś głupi, bo nie słuchasz.

Ktoś porwał naszą Malinę przez to, że była z nami w Afganistanie.

Siwy spojrział zdumiony na swoich towarzyszy. Wszyscy zdawali się wiedzieć, w czym rzecz – oprócz niego.

– A skoro tak było – kontynuował Wiktor ze swoim ukraińskim akcentem – to wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie, bo Malina uciekła i zabiła porywacza. Malina jest wolna, jest z nami... A ten, co ją chciał porwać, też jest wolny i pewnie też tu jest. Więc my wszyscy musimy się teraz zebrać i pomyśleć, co z tym zrobić. Bo jak nie, to i nas pewnie pozabijają. Rozumiesz teraz?

Siwy nie odpowiedział. Spuścił głowę i stuknął czubkiem buta w podłogę.

W pomieszczeniu zrobiło się bardzo cicho, dlatego wszyscy usłyszeli głośne pukanie do drzwi wejściowych. Jamal spojrzął pytająco na Charliego, który odruchowo zerknął na wyświetlacz tableta z obrazem z kamery.

– O! – zdziwił się rudy Brytyjczyk. – Łukasz z Maliną.

Towarzystwo ożywiło się w jednej chwili. Wiktor pobiegł im otworzyć.

– Gogol, możesz mi to wytłumaczyć? – zaczął Meyer bez wstępnych powitań. Justyna weszła za nim i od razu usiadła obok Charliego.

– Co niby? – Kostek patrzył to na Łukasza, to na jego żonę. – Malinka, o co mu chodzi?

– Ja tam nie wiem. – Justyna wzruszyła ramionami. – Mówiłam mu, że przesadza.

– Dość! – Łukasz był naprawdę wzburzony.

Jamal zdziwiony przestał jeść i przyjrzał mu się z zaciekawieniem.

– Dowiedziałem się, że za porwaniem stoi ktoś inny. Dowiedziałem się tego teraz! Rozumiesz to? Teraz, po miesiącach śledztw, mojej żonie „przypomniało” się nagle coś istotnego.

– No, my też jesteśmy w szoku. – Gogol podrapał się po uchu.
– Ale jakoś nie widzę, żebyście byli bardzo przejęci.
– Jeśli chcesz wiedzieć, z tego powodu odwołaliśmy właśnie wielki wyjazd do Kandaharu.

– A dlaczego nie zmieniliście kryjówek?
– Ej, nie przesadzaj!
– To samo mu powiedziałam – wtrąciła się Justyna.
– Justyna, ja ciebie bardzo proszę, żebyś mnie dodatkowo nie denerwowała.
– Łukasz nawet na nią nie patrzył, kiedy to mówił.
– OK. – Justyna przewróciła oczami. – Ale gdyby coś się miało stać, to już by się stało.

Łukasz chciał coś powiedzieć, ale Jamal podniósł rękę, dając znak, żeby wszyscy umilkli.

– Gogol, możesz?
– Łukasz się dowiedział – wyjaśnił lakonicznie Kostek.
– No to chodźmy do mnie. Wyjaśnimy to sobie na spokojnie.

Justyna zaczęła się podnosić z kanapy.

– Ty tu zostań! – rozkazał jej Łukasz i poszedł za Jamalem i Gogolem.

Weszli do pokoju Jamala, który wskazał Łukaszowi krzesło, ale rozgorączkowany Meyer nawet nie zwrócił na niego uwagi.

– Czy wy w ogóle zdajecie sobie sprawę z tego, co to oznacza? – powiedział do Gogola z wyrzutem.

– Łukasz...

– Ja nie jestem pierwszym lepszym łapserdakiem, któremu można wcisnąć byle kit.

Gogol zerknął na Jamala, który machnął ręką i usiadł sobie na łóżku.

– Łukasz, mogę coś powiedzieć? – zapytał Kostek cicho.

– Tak. Mów. Jeśli masz coś mądrego do powiedzenia w tej sprawie.

– Przede wszystkim nawet nie wiemy, czy te przypuszczenia są słuszne. Musimy to sprawdzić. Jesteście tu z Maliną od dłuższego czasu i gdyby coś było na rzeczy, zleceniodawca porwania już by ją miał, nie wydaje ci się?

Łukasz spojrział na niego i roześmiał się z nutą szyderstwa w głosie.

– Mówisz to poważnie? Czy masz ze mnie ubaw?

– Teraz to ja cię nie bardzo rozumiem. – Gogol pokręcił głową.

– No to po kolei, szanowny panie najemniku. Kiedy Justyna wyjechała z Afganistanu?

Kostek podrapał się po głowie, szukając w pamięci odpowiedniej daty.

– No... prawie pięć lat temu. A co?

– A kiedy było porwanie?

– Yy... W październiku zeszłego roku.

– Co daje nam... cztery lata od jej wyjazdu. Jeśli nie zauważyłeś, komuś zajęło cztery długie lata na obmyślenie planu i zorganizowanie tego wszystkiego tak, żebyśmy wyszli na idiotów, więc teraz – skoro plan nie wypalił – ten ktoś nie będzie działał chaotycznie, tylko przygotuje się jeszcze lepiej. Rozumiesz teraz, o czym mówię?

Kostek skinął głową.

– Tłumaczenia twoje i mojej nierozgarniętej żony, że „gdyby coś”, to już by ją porwali drugi raz, kompletnie do mnie nie przemawiają. Idzie właśnie o to, żeby uśpić naszą czujność tak, żebyśmy zapomnieli o tym, co się stało i żeby uderzyć tak, żeby zabolalo sto razy mocniej.

Gogol popatrzył w niebieskie oczy Łukasza i zrozumiał jego desperację. Odzyskał żonę po koszmarze porwania, którego sam był świadkiem. Później odnalazł ją w ogarniętym wojną Afganistanie, a teraz oczekuje ich pierwszego dziecka. Nawet jeśli przypuszczenia o możliwości kolejnego porwania wyglądały głupio, dla niego były czymś niedopuszczalnym.

– OK – szepnął Kostek po chwili. – Myślę, że musimy działać szybciej i bardziej zdecydowanie.

Łukasz skinął głową i usiadł sobie na krześle, jakby był już bardzo zmęczony.

Gogol skrótowo wyjaśnił punkt widzenia Łukasza Jamalowi, który przyjął go do wiadomości i po chwili namysłu zdecydował, że należy niezwłocznie opuścić Kabul. Meyer przyjął tę wiadomość z wyraźną ulgą.

– A co z naszymi interesami tutaj? – zapytał Kostek.

– Dziś w nocy ściągnie do Kabulu Louis ze swoją drużyną pierścienia – uśmiechnął się Jamal. – Poradzą sobie z tym, o ile ich pobyt w mieście pozostanie tajemnicą. Zapytaj Łukasza, jaki ma plan?

– Powiedz, że chcę zabrać Justynę dziś w nocy do Mazar. Angie wyśle tu ludzi, którzy dadzą nam obstawę.

– A gdzie się zatrzymacie?

– U tych lekarzy, którzy ją badali. A wy gdzie chcecie jechać?

– B.B.? – Kostek spojrzał na Jamala. – Dokąd ruszamy?

– Z nimi. – Jamal wskazał głową na Łukasza. – Pojedziemy wszyscy. Rozbijemy się na dwie kolumny dla bezpieczeństwa i odstawimy ich na miejsce, a sami pojedziemy pod granicę.

– Tam, gdzie kiedyś mieliśmy swój mały obóz?

– Tak. Isa został naczelnikiem policji w tym regionie, nie powinno być kłopotu.

Kostek uśmiechnął się kątem ust.

– Upalimy się jak świnie – mruknął po polsku, po czym uderzył dłońmi o kolana. – No dobrze, panie Łukaszu. Czas się pakować.

– Ja jestem spakowany. – Łukasz wzruszył ramionami. – Poczekam tylko na De Soto i na was.

Kiedy wrócili do reszty grupy, zastali Wiktora śpiewającego jakąś rzewną piosenkę po ukraińsku. Mężczyzna przygrywał sobie na małej bałajce.

– Co on robi? – zapytał Gogol Justynę.

– Śpiewa kołysankę dla naszego dziecka – wyjaśniła szeptem.

– Powiedziałaś im?

– A czemu miałabym tego nie robić?

– Nie... nic... – Kostek zmieszał się i usiadł na krześle obok. Wolał nie przerywać Wiktorowi, bo mogłoby to mieć nieprzyjemne następstwa. Ukraińiec był bardzo wrażliwy na punkcie swojej twórczości.

Po występie Jamal poinformował wszystkich o swojej decyzji, z którą nikt specjalnie nie dyskutował. Siwy obrzucił jedynie Justynę jednym wrogim spojrzeniem i poszedł pakować rzeczy. O dziesiątej wieczorem przyjechała Angie z kilkunastoma mężczyznami ze swojej grupy.

– Ja nie jadę z wami – zaznaczyła na wstępie. – Za dużo tutaj mamy na głowach. Ale daję wam zaufanych ludzi, możesz być ich pewna.

Justyna poczuła, że robi jej się smutno. Zdała sobie sprawę z tego, że opuszczają Kabul na dobre i choć tego chciała, to czuła dziwną pustkę w sercu. Przyciągnęła do siebie Angie i mocno ją uścisnęła.

– Och, to chyba znaczy, że mi wszystko wybaczyłaś – powiedziała wzruszona De Soto.

– Wcale nie byłam zła – odparła Justyna do jej ucha. – Proszę, obiecaj mi, że nie zrobisz nic głupiego i że wyjedziesz stąd cała i zdrowa.

– Będzie ciężko – roześmiała się cicho Amerykanka i spojrzała Justynie w oczy. – To przed tobą całe życie i to, co w nim najważniejsze. Ja już swoje przeżyłam, teraz mogę trochę poszaleć.

– To mnie właśnie martwi – westchnęła Justyna.

– Pojadę już. A wy szybko stąd zmykajcie.

Po wyjściu De Soto Justyna pokłóciła się z Łukaszem.

– Traktujesz mnie protekcjonalnie – złościła się. – Nie jestem małym dzieckiem.

– Ale jesteś odpowiedzialna za dziecko i słabo ci to wychodzi. Jesteś... kompletnie nieodpowiedzialna.

– Słucham?!

– Kochani! – Gogol poczuł, że musi się wtrącić, choć wiedział, że to zadanie wysokiego ryzyka. – Przełóżcie tę dyskusję na pobyt w Mazar, a najlepiej na powrót do Europy i cywilizowanych warunków. Teraz nie mamy na to czasu. Pakujemy się, wsiadamy do samochodów i...

– Ja na pewno nie pojadę z nim jednym autem! – Justyna wymierzyła palec

w męża. – Wy dwaj się ostatnio bardzo lubicie. Jedźcie sobie sami. – Po tych słowach odwróciła się na pięcie i poszła na dach pomagać Charliemu z demontażem anten.

– Kompletnie jej odbiło. – Łukasz rozłożył bezradnie ręce. – Nie poznaję własnej żony.

Kostek roześmiał się cicho.

– Ja tak miałem trzy razy.

– Czemu?

– No wiesz... – Gogol zrobił gest na brzuchu.

– I myślisz, że to minie?

Kostek uniósł ramiona w górę i wydał usta.

– Albo jej zostanie. Chodźmy pomóc chłopakom z bronią i amunicją.

– A co z Jamalem? – Łukasz rozejrzał się wokół. – Nie jedzie?

– Jedzie, żabciu, jedzie. Ale ma dziś jeszcze coś do zrobienia i poszedł ustalać szczegóły z Angie.

XIV

Justyna zaczynała się denerwować. W życiu by się do tego nie przyznała, ale żałowała, że nie jedzie w jednym aucie z Gogolem i Łukaszem – pewnie dalej by się kłócili o byle co, ale przynajmniej byłaby w miarę bezpieczna.

Jamal zaparkował za miastem, niedaleko jakiejś zapadłej wsi, pod którą umówił się z Kirkwoodem. Było absolutnie ciemno, bez oznak jakiegokolwiek życia. Zrobiło się też zimno, więc Justyna musiała przykryć się śpiworem, bo włączanie ogrzewania nie wchodziło w grę. Rozglądała się nerwowo, choć wiedziała, że to daremny trud. Mogła co najwyżej usłyszeć nadjeżdżający samochód albo czyjąś rozmowę, gdyby ktokolwiek tam był... W pewnej chwili, kiedy jej zdenerwowanie zaczynało sięgać zenitu, przypomniała sobie, że przecież obydwójce z Jamalem są najemnikami, a nie bezbronnymi istotami, nawet jeśli jedno z nich jest ciężarną kobietą, i że są uzbrojeni po zęby, także w broń z noktowizją. Zaczęła po ciemku przeszukiwać auto, bo niestety jej własny celownik do strzelania w nocy został w bagażniku. Szczęście jej sprzyjało i po kilku minutach udało jej się wygrzebać z podręcznej torby jednorękiego solidne gogle noktowizyjne, które z uczuciem największej ulgi nałożyła na głowę.

– Od razu lepiej – mruknęła zadowolona, wciskając włącznik.

Jej przyjaciel stał w odległości jakichś dwustu metrów od dżipa na otwartym terenie – samochód był nieco ukryty za opuszczonym gliniastym domkiem. Jamal nie miał ze sobą żadnej broni, więc Justyna odruchowo sięgnęła do kabury przy udzie i wyciągnęła swojego SIG-Sauera. W pewnej chwili wydało jej się, że słyszy jakiś dźwięk: coś jakby stłumiony odgłos silnika. Sięgnęła do gogli i włączyła termowizję.

W stronę Jamala zbliżał się inny dżip, za kierownicą którego siedział nie kto inny, jak nieodżałowany luby Angie De Soto. Był sam i też używał noktowizji, żeby jechać bez konieczności włączania świateł. Zatrzymał się w odległości pięćdziesięciu metrów od Jamala i wyłączył silnik. Widać było z daleka, że ociąga się z wysiadaniem i czujnie rozgląda wokół. Justyna skuliła się na fotelu, ale nie wyglądało na to, by ją zauważył. Jamal rozłożył ramiona szeroko, jakby dawał do zrozumienia, że nie ma ze sobą broni. Justyna odczuła niepokój.

– Na pewno jesteś sam, sukinkocie jeden? – Przełączyła się znów na noktowizję i wyciągnęła mocniej szyję.

Wyglądało na to, że poza nimi w najbliższym otoczeniu nie ma nikogo. Kirkwood wysiadł z auta i podszedł do Jamala. Podali sobie dłonie i zaczęli rozmawiać. Justyna przygryzała z nerwów wargę, czujnie obserwując każdy ruch Amerykanina, ale co innego spowodowało u niej szybsze bicie serca. Kątem oka

dostrzegła od strony budynku jakiś błysk. Przyjrzała się uważniej i dopiero wówczas zobaczyła wysokiego mężczyznę, przyklejonego do ściany, który wyglądał tak, jakby stał tam od dawna. Musiał jednak wyjść z ukrycia przed chwilą i w dodatku zrobił to naprawdę sprytnie. Justyna czuła, że serce wyskoczy jej z piersi, ale jedyne, co mogła w tej sytuacji uczynić, to tylko mocniej ścisnąć swoją broń i być w gotowości do działania.

Przyjrzała się mu uważniej. Mimo chłodu ubrany był dość lekko. Miał na sobie ciemne spodnie i koszulę w nieco jaśniejszym odcieniu, której rękawy podwinęte były do połowy. Na szyi miał cienki łańcuszek z małym wisiorkiem – źródłem błysku, który widziała przed chwilą. Nie wglądał na uzbrojonego, ale Justyna od razu wiedziała, że należy się go bać. Był naprawdę wysoki i dobrze zbudowany. Rysy jego twarzy, choć niezbyt wyraźne, świadczyły o tym, że nie pochodził z tej części świata. Przypominał raczej jednego z „chłopaków” Angie, ale Justyna mogła przysiąc, że nie należał do grupy jej przyjaciółki.

Boże, co mam robić? Co robić? – Jej zdenerwowanie zaczęło przeradzać się w panikę, głównie dlatego, że nie wiedziała, po czyjej stronie jest ów człowiek. Wydawało się, że jej nie widzi, a nawet jeśli, to wcale nie zwracał na nią uwagi. Zerkała to na niego, to na Jamalę, któremu najwyraźniej rozmowa przedłużyła się nieco bardziej, niż planował.

W pewnej chwili mężczyzna spod ściany zaczął przemieszczać się naokoło budynku. Justyna zrozumiała, że chce podejść do Jamala i Kirkwooda od drugiej strony, ale wciąż nie знаła jego zamiarów. Wydawało się, że choć jest bardzo ciemno, on doskonale wie, dokąd iść. Gdy zniknął jej z pola widzenia, Jamal zakończył nagle rozmowę, ku niezadowoleniu agenta, i bez pożegnania skierował swoje kroki w stronę auta. Kirkwood coś do niego jeszcze mówił, ale jednoręki uniósł tylko dłoń i machnął nią, dając do zrozumienia, że już go nie interesują wywody agenta.

Wtedy Justyna zrozumiała – to był sygnał dla nieznajomego. Zwrócony twarzą do nich Andy nie widział, jak za jego plecami pojawia się wysoka postać, która zarzuca mu na szyję linkę, tak cienką, że Justyna nie była w stanie jej dostrzec, nawet z bliskiej odległości.

Zrobiło jej się niedobrze. Jednym ruchem zdjęła gogle i zaczęła szybko oddychać, walcząc z chęcią wyskoczenia z auta. Jamal wskoczył za kierownicę i bez słowa uruchomił silnik. Był świadom stanu, w jakim znajduje się kobieta, ale w tym momencie musiał skupić się na jak najszybszym oddaleniu się od tego miejsca. Jechał bardzo szybko bez włączonych świateł, więc co chwilę samochód podskakiwał mocno na wybojach. Zatrzymał się dopiero przy zjeździe na „haj-łej”. Justyna dosłownie katapultowała się ze swojego miejsca, o mało nie wrywając drzwi.

Wydawało jej się, że zwymiotowała wszystkie wnętrzności. Jamal stał obok

niej z butelką wody w dłoni.

– Zarzygałaś cały pistolet – uśmiechnął się blado, podając butelkę. – Po co ci ta broń?

– Zapomniałam schować... Nie wiedziałam, co się może wydarzyć – wysapała, z trudem się prostując. – Nic mi nie powiedziałeś...

Jamal skinął głową i rozejrzył się wokół.

– Wybacz... – szepnął. – Uznałem jednak, że tak będzie lepiej.

– Boże – stęknęła Justyna, opierając się o maskę auta. – Nie jestem lepsza od Siwego. Rzygam na widok jakiejś obciętej głowy.

Jamal parsknął śmiechem.

– Trzeba było nie patrzeć.

– Mam nadzieję, że to ostatni raz... B.B., co tam się stało? O co w ogóle chodzi?

– Najpierw ogarnij się trochę. Musisz dużo wypić, żeby się nie odwodnić. Pogadamy po drodze.

Kiedy wjechali na autostradę, Justyna poczuła, że jednak dobrze się stało, że nie pojechała ze swoim nadopiekuńczym i męczącym mężem. Jamal przynajmniej nie niańczył jej jak dziecko.

– Kto go zabił? – zapytała pomiędzy jednym łykiem wody a drugim.

– Sam nie wiem – westchnął Jamal. – Taka była umowa z De Soto: miałem wystawić Kirkwooda komuś w tym miejscu...

– Angie zdecydowała się go dekapitować? – zdziwiła się Justyna. – Myślałam, że kochała go bardziej.

Jamal zerknął na nią i pokręcił głową.

– A ja myślałem, że jako kobieta rozumiesz ją lepiej. Ten człowiek nie był od De Soto.

– Domyśliłam się, ale tym bardziej mnie ciekawi, skąd się tam wziął.

– Nie wiem, kim on był, ale wiem, że Kirkwood naraził się w Kabulu bardzo wielu ludziom, nawet wrogom Angie, a jak wiadomo – wróg mojego wroga...

– Jest moim przyjacielem. No tak... A co pan agent zmalował?

Jamal roześmiał się cicho.

– A jak myślisz?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Narkotyki?

Skinął głową.

– Przemyt przez „wąskie gardło”.

– Chyba żartujesz?! – Justyna była w szoku. „Wąskim gardłem” ich grupa określała drogę do granicy z Chinami. – To jakiś idiota!

– Martwy w dodatku...

– Ale że co? Sam przemycał, czy jak?

– Nie. Pod pozorem ścigania handlarzy i przemytników ściągał od różnych

grup haracze. Poczł się w pewnym momencie tak pewnie, że nadepnął na odcisk komuś naprawdę nieodpowiedniemu. Angie twierdzi, że w ten sposób chciał sobie zrekompensować niepowodzenia zawodowe.

– B.B., chyba nie chcesz powiedzieć, że pozwoliłeś go skrócić o głowę tylko na prośbę Angie.

– Nie, mnie też wkurzał. Poza tym, jak sama wiesz, ciągnął za sobą różne ogony, które mocno nam zagrażały. A poza tym... w zamian za tę przysługę Angie ma mi powiedzieć, komu wy dwie nadepnięłyście na odcisk pięć lat temu.

– To nie powiedziała ci?

Jamala zatkało.

– Yy... Nie rozumiem. – Potrzęsnał głową.

– To nie tajemnica, trzeba było mnie zapytać.

– No to mi powiedz, do cholery!

– Nie denerwuj się tak. John B. Wallace.

Chociaż to nie było jego zamiarem, roześmiał się.

– Wkręcasz mnie. – Spojrzał na nią z lekkim przerażeniem w oczach.

– Nie, wcale nie. *Ten* John B. Wallace może mieć motyw, żeby się na mnie mścić.

– Coś ty mu, na Boga, zrobiła!

Justyna nie odpowiedziała. Odwróciła głowę w stronę okna i przygryzła wargę.

– DeeDee, mogłabyś zacząć współpracować? Jakbyś nie zauważyła, przez tę sprawę uciekamy wszyscy jak szczury z tonącego okrętu...

– Porwałam go – powiedziała cicho.

Jamal był bliski spowodowania wypadku. Skręcił gwałtownie w prawo i zjechał na pobocze, choć było to skrajnie niebezpieczne. Wyłączył silnik i obrócił się w stronę Justyny.

– Co ty mi tu, kurwa, opowiadasz?!

Justyna spojrzała na niego z miną niewiniątka.

– Nie patrz tak na mnie. – Jamal zamknął na chwilę oczy. – Błagam cię, nie odstawiaj swoich starych numerów. Co to znaczy: „porwałam go”? Po jaką cholere porywałaś amerykańskiego generała?! Możesz mi to wytłumaczyć?

– Żeby... – urwała. Szybka analiza faktów kazała jej wyłożyć sprawę z innej perspektywy. – Pamiętasz, jak nasi mieli problem w Dżalalabadzie? Wtedy jak się wypstrykali z amunicji, zginął Królik i ten Rosjanin...

– I co w związku z tym?

– Mieliśmy straszne kłopoty... Ani broni, ani amunicji, ani nawet kamizelek... Ja byłam w Kabulu, zostałam tylko z Ahmedem i Kolą, który był ranny. Przyjechała Angie z opatrunkami dla Koli, a potem zabrała mnie do miasta, żebym zrobiła zakupy. I wtedy zobaczyłam go na mieście... to znaczy tego

generała. Ubrany był w mundur, ale bez dystynkcji, więc wyglądał jak zwykły żołnierz. Ale ja wiedziałam, że to on, w dodatku miał obstawę, kupę żołnierzy wokół siebie. Oni wszyscy mieli i broń, i amunicję, i granaty, lornetki, kamizelki, hełmy...

Jamal wpatrywał się w Justynę z niedowierzaniem.

– Chcesz powiedzieć, że ta „pożyczona” broń, którą wtedy przywieźliście z Nawim, była jego?

Skinęła głową.

– Ludzie Angie zrobili zasadzkę na Wallace’a, na jego żołnierzy... On był strasznie pewny, że nic mu nie zrobią, bo wyglądał jak zwykły sierżant, ale my wiedzieliśmy, kim jest naprawdę, więc go... związałam i powiedziałam tym żołnierzom, że muszą nam wszystko oddać, inaczej poderżnę mu gardło.

– Boże! – Jamal zasłonił dłonią oczy.

– B.B., ta broń uratowała wtedy grupę...

– Wiem. – Pokiwał głową i wyprostował się na swoim fotelu. – Tylko nie rozumiem, dlaczego mi nie powiedziałaś... Angie potwierdzi tę wersję?

– Nie, kurwa! – Justyna walnęła go z całej siły pięścią. – Nie potwierdzi, wiesz? Nie potwierdzi, bo cię okłamałam. Normalnie wcisnęłam ci tu kit, żebyś się mógł na mnie wyżywać. – W tym momencie okładała go już obiema rękami.

Jamal złapał jej nadgarstki, tak jak to często robił Łukasz, i spojrzał jej prosto w oczy.

– Uspokój się już. Przepraszam, zachowałem się jak gówno. A teraz siadaj na dupie i nie podskakuj, bo ci dziecko wyskoczy z brzucha.

Przez dobre dziesięć kilometrów nie odezwała się do niego słowem.

– Wallace miał ambicje – powiedział, jakby od niechcenia, Jamal. – Wiesz, że chciał zostać szefem NATO, a nawet Sekretarzem Stanu?

Justyna wzruszyła lekko ramionami.

– Ale jak był w Afganistanie, wypłynęły na jaw jego romanse – kontynuował niezrażony jej milczeniem. – Wtedy kariera mu się załamała.

– To nie dlatego – wyrwało się Justynie.

– Co? Nie przez romanse?

– To też... Ale chodzi o to, że jak go trzymałam z nożem na gardle, ludzie Angie robili mu zdjęcia w tym mundurze i wysłali je do Waszyngtonu.

– Słucham? – Jamal zaczął chichotać.

– No tak. Wydaliśmy go. Pokazaliśmy dowództwu, że gania w mundurze sierżanta, mimo że mu nie wolno. Uznali, że skoro nie potrafi uszanować powagi swojego stopnia, to nie powinien iść wyżej.

– A te zdjęcia z kochanką też może wy wysłaliście, co? – Jamal śmiał się w najlepsze.

Justyna wykrzywiła usta w sposób, który powiedział jednorękiemu, że wcale

się nie pomylił.

– Nie! No, nie wierzę. Skąd je wzięłaś?

– Były w jego komórce.

– Nie mam więcej pytań. Chociaż nie! Mam jedno. DeeDee, czy potrafisz mi wyjaśnić, jakim cudem nie przyszło ci do głowy, że za twoim porwaniem stoi ktoś, kogo sama porwałaś?

Justyna wyduła usta i pokręciła lekko głową.

– Widocznie tak dobrze to zaplanował, że się nie zorientowałam. W ogóle to nie wiadomo, czy to był on...

– O, nie! – Jamal przerwał jej gwałtownie. – Teraz przychylam się do zdania twojego męża, że jesteś mocno nierozgarnięta.

– Co? Ty...

– Przymknij się na moment, OK? Po tym, co usłyszałem, wiem, że nie możemy zostać w tym kraju ani dnia dłużej.

– Ale...

– Milcz! – Uniósł w górę metalowy palec. – Wszyscy są narażeni, grupa Angie też, ale o nią nie będę się martwił, De Soto niech się tym zajmie. Ty polecisz do Niemiec i nie będziesz się stamtąd ruszać, dopóki nie wyjaśnimy sprawy. My przejdziemy granicę z Tadżykistanem, a potem się zobaczy... Zrujnowałaś karierę największemu chojrakowi z całego Pentagonu i chcesz mi wmówić, że to nie on się zemścił? Teraz już przynajmniej wiem, kto stał za niszczeniem Angie po twoim wyjeździe. – Prychnął i pokręcił głową, jakby z niedowierzaniem. – Jak mogłyście być tak lekkomyślne? I nie mówię o porwaniu, ale o tym, że to wszystko przede mną zataiłaś.

– Co masz zamiar z tym zrobić? – zapytała cicho.

– Z czym?

– No... z Wallacem?

– Trzeba go znaleźć, wywabić i... unieszkodliwić. Trzeba to zakończyć.

Justyna skinęła głową. Była przeciwna kolejnej zemście, ale czuła się zbyt słaba w tej sytuacji, by zajmować się tak absorbującą kwestią. Chciała zostać mamą, po latach oczekiwania, a to wymagało całkowitego skupienia się na innych zadaniach.

– W sumie szkoda, że ten Kirkwood nie żyje – mruknęła po chwili.

– Co? Dlaczego?

– Mam podejrzenia, że mógł coś wiedzieć na ten temat.

– Mogę zawrócić, żebyś pogadała sobie z jego głową. – Jamal był wyraźnie zły, bo sam o tym wcześniej pomyślał. – Pewnie jeszcze ciepła.

– O czym rozmawialiście?

– Z kim? Z Kirkwoodem? O Angie. Wciskał mi stary kit o tym, że ona nas ściga i chce nasłać na nas zamachowców-samobójców. Wiesz co, wydaje mi się, że

on był święcie przekonany o tym, że to prawda, że ona rzeczywiście ma coś wspólnego z obozem szkoleniowym...

– Może ktoś go do tego przekonał? – zasugerowała Justyna.

– Właśnie – westchnął Jamal ciężko. – Jeśli Wallace maczał w tym palce, to prawdopodobnie tak było.

Justyna spojrzała na Jamala ze smutkiem.

– B.B., jesteśmy okropni.

– Tak, jesteśmy...

– Ile warte jest ludzkie życie? Tutaj, w tym kraju... Dla nas.

Nie odpowiedział.

XV

– Pożegnałeś się ze swoim szefem? – zapytał Kostek Łukasza. Miał nadzieję wciągnąć Meyera do jakiejś rozmowy, żeby przerwać męczące milczenie, które ciągnęło się od chwili, gdy opuścili Kabul.

– Co? A... tak, tak... Andrzej od dawna był gotowy na mój wyjazd.

Gogol zerknął na bladą twarz kolegi, który znów popadł w zadumę.

Martwi się o Malinę – Kostek miał dość jasny osąd sytuacji.

– Oddałeś mu broń?

Łukasz zamrugał powiekami, jakby musiał się dłużej zastanowić nad tym, co usłyszał.

– Broń? Tak... To znaczy nie! Nie oddałem. – Dotknął dłonią prawego boku.

– Dał mi ją. Załatwiłem sobie kaburę. Mam ją cały czas.

– Fajnie. Jak będziesz wspominał tę pracę?

– W sumie... – Łukasz wzruszył lekko ramionami. – Chyba będę trochę tęsknił. Wymarzłem na tej budowie jak nigdy w życiu, ale poza tym było ciekawie... Ty wiesz, że Domański chyba jest agentem?

– Że co? – Gogol roześmiał się nerwowo. – Jakim agentem?

– Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że działa dla naszych służb.

– Na jakiej podstawie wyciągnąłeś takie wnioski?

– Za dużo wie. To po pierwsze. Poza tym często ulatniał się gdzieś, niby coś załatwić na mieście, potem wracał i wiedział o takich rzeczach, że aż trudno uwierzyć. No i ta cała Angie...

– Co znowu z nią?

– Jej ludzie go znali, wiesz? To znaczy... kiedy się tam zjawili po raz pierwszy, po prostu wiedzieli o nim bardzo dużo.

– Jakoś mnie to nie dziwi – mruknął Kostek. – Facet prowadzi dużą firmę w tym kraju, zatrudnia ludzi, ma kontakty... Idealny materiał na agenta wywiadu. Malinka coś mówiła na ten temat?

Łukasz pokręcił głową, cmokając z irytacją.

– No co? Pytałeś ją o to czy nie?

– Pytałem, ale zbyła mnie. Mój szef... mój były szef uważał, że Justyna jest błyskotliwa i bardzo sprytna, ale ja ostatnio zaczynam mieć wątpliwości. Ta sprawa z porwaniem... Jakby jej rozum odjęło. Skoro taka jest mądra, to czemu nie wzięła pod uwagę swojej przeszłości tutaj?

Kostek zamyślił się. Patrzył przed siebie na drogę, na której co chwilę mijały ich wojskowe transporty.

– Mężu Maliny – zaczął po chwili z powagą. – Sprawa jest taka: Malinka

dużo wie, o wiele więcej niż my wszyscy razem wzięci. Kwestia porwania to prawdziwy ewenement w jej przypadku, ale... Może zdziwisz się tym, co powiem, ale uważam, że twoja żona robi pewne rzeczy z rozmysłem. I jeśli wie o Domańskim, że ten pracuje dla wywiadu, to dobrze się zastanowi, zanim to powie głośno... nawet tobie.

Łukasz zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Jak to?

Gogol parsknął śmiechem.

– Żabusiu, a kiedy dowiedziałeś się o tym, że była żołnierzem?

Meyer obrzucił go zimnym spojrzeniem.

– No co? Mówię samą prawdę. – Uśmiech nie schodził z twarzy Gogola.

– A ty się dziwisz, że zbyła cię, kiedy mówiłaś o Domańskim. Nam też zajęło dużo czasu, zanim się zorientowaliśmy, że Malina mówi tylko te rzeczy, które jej pasują. Jak myślisz – dlaczego zataiła przed tobą swoją przeszłość?

– Bo chciała ze mną być – przyznał z niechęcią Łukasz.

– No właśnie. Ona to sobie wszystko dobrze kalkuluje. Skąd wiesz? Może Domański pracuje dla Brzezińskiego?

Łukasz skinął głową.

– Może... Ale mogłaby mi trochę bardziej ufać.

– A ja myślę, że ona ufa ci nawet za bardzo. Ale też zna cię jak zły szeląg i wie, jak mógłbyś zareagować na pewne szokujące wiadomości. W zasadzie moja Kaśka robi tak samo. Jeśli będziesz chciał ogarnąć logikę kobiet, to daleko nie zajedziesz.

Łukasz roześmiał się cicho.

– Powiedz mi, Gogolu, dlaczego jedziemy sami? Miała być jakaś kolumna, a ciągnie się za nami tylko jeden wóz z ludźmi De Soto.

– Miała być – westchnął Kostek, zerkając w lusterko. – Ale nasz kochany Jamal, po rozmowie z Angie, zdecydował, że mamy się rozjechać w różne strony, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Niesie to ze sobą pewne ryzyko, ale zmniejsza prawdopodobieństwo pościgu...

– Pościgu?

– No... Jeśli ktoś nas obserwował od dłuższego czasu, to od razu się zorientuje, że zmykamy.

– Rozumiem.

– Miałem jeszcze o coś pytać... – Gogol podrapał się po uchu. – Jak się zapatrujesz na zmianę statusu?

– Jakiego znowu statusu?

– No wiesz... Że zostaniesz tatą.

– Cieszę się... I bardzo martwię.

– Tym, że dzieciak jest chory?

– Nie, tym, że ma nieodpowiedzialną matkę, która pojechała nie wiadomo dokąd.

– A ta... no... choroba cię nie martwi?

– Nie, czemu? Wielu ludzi ma chore dzieci i jakoś sobie radzą. Trzeba po prostu być nieco lepszym rodzicem.

– Aha... Malinka coś wspominała o twoim bracie, że do niego jedziecie...

Łukasz zasępił się nieco.

– Tak. – Potarł palcami brwi. – Krzysiek ma się nami zająć po powrocie. Rozmawialiśmy dość długo przez telefon... On uważa, że ta diagnoza jest nieporozumieniem i że w jakimś Afganistanie nikt nie stwierdzi z całą pewnością jakiegokolwiek wady u nienarodzonego dziecka.

– A to czemu niby?

– Bo jemu się wydaje, że tu tylko pustynia i góry, i sami Talibowie... i kozy. Nie wierzy, że Justyna była u „normalnego” lekarza, który się na czymś zna. Pokłócili się przez telefon, potem Justynka się znów popłakała, nie szło jej uspokoić.

– To kiepsko. Nie powinna się tyle denerwować, co?

– Nie powinna... Ale mój brat nigdy nie był zbyt subtelny w wyrażaniu opinii, a Justyna jest teraz szczególnie drażliwa. Oczywiście wcale nie zależy jej na tym, żeby dziecko było chore, ale Krzysiek potraktował ją jak debila. Wiesz, wielki pan doktor kontra rozhisteryzowana ciężarna.

– No to nie wróżę twojemu bratu świetlanej przyszłości.

– Gadałem z nim później. Ostrzegłem, że stąpa po grząskim gruncie – roześmiał się Łukasz.

– No, a w tym Mazar jaki macie plan? – zapytał Kostek.

– W bazie jest jakiś lekarz wojskowy, kumpel brata, który ma nas przejąć i przemieścić na pokład samolotu. Choć z tego, co zrozumiałem, załatwili to dość oficjalnie.

– To dobrze. – Gogol skinął głową. – Wyjedźcie stąd jak najszybciej. Będzie mi was brakowało, ale grunt, żebyśmy się spotkali cali i zdrowi znowu w Polsce.

– W Polsce... – westchnął Łukasz. – To pewnie tak prędko nie nastąpi.

Do samego Mazar-e-Sharif już nie rozmawiali. Dotarli na miejsce o świtaniu. Gogol zaparkował niedaleko podanego przez Justynę adresu, pół godziny później dotarł do nich dżip z Charliem, Piotrem i Siwym.

– Były jakieś problemy? – zapytał Piotr, kiedy wsiadł do ich auta.

– Nie. – Kostek pokręcił głową. – A u was?

– Spokojnie. Czekacie na Malinę?

– Tak, dopiero wtedy będziemy pukać do gospodarzy.

– OK. To ja idę do moich. Musimy coś zjeść. Aha, reszta pojechała prosto do Isy, bo tak chciał Jamal. My zostaniemy robić wam obstawę.

– A Jamal? dawał znaki życia?

– Nie. – Piotr przygryzł wargę. – Próbowaliśmy się dodzwonić, ale telefon miał wyłączony.

– Jasne – mruknął Kostek, zerkając na przejętego Łukasza. – Trzymasz się? – zapytał, kiedy Piotr wysiadł z samochodu.

– Tak... Wiesz, przed porwaniem... zanim się dowiedziałem o Justynce tego wszystkiego... Nigdy mi do głowy nie przyszło, jaki to stres, kiedy twój bliski idzie na akcję, a ty musisz zostać w domu. Ona się nigdy nie skarżyła, tylko czasem tak dziwnie na mnie patrzyła. Irytowało mnie to, ale teraz rozumiem... Wszystko rozumiem.

Gogol przełknął ślinę. Łukasz dotknął bardzo czulej struny w jego duszy, do której on sam starał się nigdy nie zbliżyć. Nie rozmawiał zbyt wiele z Kasią o jej lękach związanych z jego pracą, ale czuł pod skórą, że gdyby zaczął, mógłby usłyszeć wiele smutnych historii o nieprzespanych nocach, wylanych łzach i pretensjach o długie dni bez znaku życia. Wiedział też, że gdyby to ona zajmowała się czymś podobnym, mógłby mieć z tym problem, o wiele większy, niż byłby w stanie się do tego przyznać.

– Wiesz, że możemy naprawdę długo czekać? – szepnął, żeby przegonić nieprzyjemne myśli.

– Dlaczego? – Łukasz spojrzał na niego lekko przerażony.

– Bo, znając Jamala, mogli pojechać inną drogą. Ale nie ma co przewidywać na zapas. Zdrzemnij się, całą noc nie zmrużyłeś oka.

– Jakoś wytrzymam...

Jednak czekanie przedłużało się i głowa Łukasza co chwilę opadała. Kiedy dżip Jamala pojawił się na końcu ulicy, przy której siedzieli, wyskoczył z samochodu jak strzała.

– Nareszcie – jęknął Gogol, ruszając za Meyerem.

Łukasz otworzył drzwi Justynie i spojrzał na nią z niepokojem.

– Co tak długo? – wyrwało mu się pełne wyrzutu pytanie.

– Ojej. – Justyna przewróciła oczami, gramoląc się z auta. – Mieliśmy coś do załatwienia.

– Co niby?

– Musieliśmy obciąć głowę jednemu człowiekowi, ale szybko nam poszło. – Wysiadła z auta i poszła po swój bagaż, zostawiając osłupiałego Łukasza.

– To ma być zabawne? – Spojrzał zniesmaczony na Gogola.

– Obawiam się, że tym razem to nie był żart. – Kostek poklepał go po plecach. – Chodźmy po wasze rzeczy.

W drzwiach dość sporego domostwa lekarzy Ismaela i Nur Takriti powitał ich sam gospodarz.

– Chodźcie wszyscy. – Wskazał ręką na samochód Siwego i Piotra, którzy

nie ruszyli się z miejsca. – Musicie coś zjeść.

– Witaj. – Justyna uśmiechnęła się szeroko. – Widziałeś nas wcześniej?

– Trudno było was nie dostrzec. – Odpowiedział uśmiechem i podał jej dłoń.

Goście weszli, nieco zmieszani, do pięknie urządzonej willi, tak odmiennej w swoim wyglądzie od budynków, do których przywykli w stolicy. W środku było dużo przestrzeni, wszędzie stały donice z roślinami, a na środku małego dziedzińca szumiała cicho fontanna.

– Trochę to takie... nieafgańskie – szepnął przejęty Piotr.

– Nie, to trochę niekabulskie – uśmiechnął się Gogol. – Mazar to inny świat.

Nur, niewysoka, lekko siwiejąca kobieta, zjawiła się na dziedzińcu i od razu podeszła do Justyny.

– Wszystko dobrze, dziecko? – Pogładziła ją po policzku.

– Tak. Nur, to mój mąż. – Wskazała na Łukasza.

– Och, jaki... duży – roześmiała się kobieta. – Chodźcie, chodźcie wszyscy do środka.

Jamal nachylił się nad uchem Justyny.

– Nie przeszkadza im kupa najemników pod dachem? – zapytał cicho.

– Oni nie klasyfikują ludzi w ten sposób – odparła Justyna z uśmiechem.

– To w jaki?

– Myślę, że nie stosują żadnej klasyfikacji.

Gospodarze nie tylko podali wystawny posiłek, ale umożliwili chętnym wzięcie kąpieli. Najpierw jednak goście musieli zostawić swoją broń w pomieszczeniu na poddaszu.

– Nie wyglądałoby dobrze, gdybyście machali nam lufami przed nosem w czasie posiłku – wyjaśnił Ismael swoją doskonałą angielszczyzną z oksfordzkim akcentem.

Spotkanie upłynęło w bardzo miłej atmosferze. Wszyscy na moment zapomnieli o troskach zwykłego dnia, a nawet o tym, że są w Afganistanie.

– Zatęskniłem za domem – wyznał z westchnieniem Charlie, gdy żegnał się z Nur.

– To może trzeba odwiedzić bliskich? – zasugerowała kobieta.

Najtrudniej jednak było pożegnać się z Meyerami. Każdy ścisnął Justynę mocno, mówiąc jej do ucha coś od siebie. Łukasz, który wcześniej nie mógł doczekać się chwili wyjazdu, teraz czuł ucisk w gardle na widok wychodzących z domu mężczyzn. Kostek stanął przed nim, zadął głowę i pociągnął nosem.

– Cóż, wielkoludzie... ekhm... – chrząknął wzruszony. – Mogę tylko powiedzieć, żebyś uważał na naszą królową... i na siebie.

– Mam nadzieję, że jak odwiedzimy was na tej waszej wsi pod Radomiem, to zorganizujesz porządnego grilla. – Łukasz starał się uśmiechnąć, ale nie bardzo mu wyszło.

– Jasne – roześmiał się Kostek. – I będzie morze wody.

Jamal poprosił Piotra, żeby prowadził samochód Gogola.

– Chodź, krasnalu. – Skinął na Kostka. – Pojedziesz ze mną. Musimy pogadać.

– No to chodźmy – westchnął Kostek i odwrócił się jeszcze w stronę Justyny. – Pa, moja piękna. Pamiętaj, że u mnie w domu czeka na ciebie pewien przystojniak ze złamanym sercem.

– Pamiętam. – Skinęła głową, łykając łzy. – Uważajcie na siebie...

Kostek zajął miejsce w aucie Jamala. Rozejrzał się wokół i zmarszczył brwi.

– Co się tak krzywisz? – zapytał Jamal, siadając za kierownicą.

– Co wy żeście tu robili? Syf jak cholera. – Schylił się i wyciągnął spod fotela gogle noktowizyjne, które zawadzały o jego nogę.

– Ciesz się, że nie siedzisz w rzygach DeeDee – odparł Jamal, odpalając silnik. – Niewiele brakowało.

– No, prawdziwy szczęściarz ze mnie – mruknął Gogol, zbierając walające się wokół chusteczki i kubki po kawie. – Zabiliście Kirkwooda? – zapytał, jakby od niechcenia.

– My nie. Ale widzieliśmy co nieco.

– Aha... – Kostek zerknął na niego, marszcząc brwi. – Nie wyglądasz na zadowolonego.

– No nie...

– No to mów, o co chodzi! – zirytował się Gogol.

– Zaraz. Najpierw coś ci pokażę – powiedział Jamal, po czym skręcił w jakąś ulicę, oddzielając się od pozostałych dwóch samochodów.

Kiedy zaparkował, Kostek wybałuszył oczy.

– Niebieski Meczet! Po co żeś mnie tu przywiózł? Idziemy się modlić?

– Nie. Weź lornetkę ze schowka i przyjrzyj się uważnie. – Jamal wskazał palcem. – Widzisz to czarne miejsce na placu?

– Widzę...

– Jak myślisz? Na co ci to wygląda?

– Nie wiem. Jakby coś się tam spaliło.

Jamal skinął głową.

– Kilka dni temu córka Ismaela i Nur oblała się benzyną i podpaliła w tym miejscu.

– Jezu... – Gogolowi zakręciło się w głowie. Schował twarz w dłonie i cicho jęknął.

– Jedziemy. – Jamal ruszył z miejsca i zaczął szybko oddalać się na północ od miasta.

Kostek odzyskał zdolność mówienia dopiero po kwadransie.

– Czemu... czemu nie powiedzieli?

– Kto? Rodzice? A co mieli mówić?

– To okropne... Dlaczego ona to zrobiła? Przeżyła?

– Nie. Umierała dwie doby.

– Ale dlaczego?

– Trudno powiedzieć. To się podobno dzieje coraz częściej w tym regionie.

Jak DeeDee do nich trafiła, wysyłali drugą córkę do Anglii, bo bali się, że zrobi to samo.

– Nie rozumiem. – Kostek kręcił głową.

– Ja też.

– I oni... byli tacy spokojni. W sumie dobrze, że nic nie wiedzieliśmy. Jak gadać z takimi ludźmi?

– Właśnie. – Jamal pokiwał głową. – Dlatego DeeDee prosiła, żeby wam nie mówić.

– No to powiedz mi, co się wydarzyło, jak was nie było.

– Nie spodoba ci się to – roześmiał się Jamal, zerkając na Gogola, któremu wcale nie było do śmiechu.

– Mów. Skoro już mam zepsuty humor...

Jamal streścił wydarzenia minionej nocy i to, co usłyszał od Justyny na temat Johna B. Wallace'a. Kiedy skończył, Kostek spojrział na niego i uśmiechnął się dziwnie.

– I nie zabiłeś jej po drodze?

– Chyba żartujesz? – Jamal parsknął śmiechem. – To ja oberwałem. Tak mnie lała, że do tej pory mam siniaki. A potem oczywiście musiałem ją przeprosić za wszystko.

Kostek ryknął śmiechem.

– A jesteś chociaż pewien, że powiedziała ci całą prawdę?

– Jestem absolutnie pewien, że nie powiedziała mi wszystkiego. Ale uznałem, że na razie to, co wiemy, wystarczy nam w zupełności.

– Do czego?

– Do odpowiedniej motywacji, żeby stąd uciec. Nie ma się nad czym zastanawiać. Trzeba wiać. Zresztą... patrz. – Wskazał głową przed siebie.

Gogol spojrział na drogę, przy której stały dwa wozy miejscowej policji.

– Isa? – zmrużył oczy.

Brodaty mężczyzna w granatowym mundurze wolnym krokiem wszedł na szosę i podniósł dłoń. Jamal podjechał do niego i otworzył okno.

– *Salam*... Isa, możemy przejechać? – zapytał, zerkając na pozostałych policjantów, którzy kręcili się przy wozach.

– Możecie – przytaknął Isa. – Ale muszę was skontrolować. Rozumiesz? Musicie mi otworzyć bagażnik.

Kostek uniósł wysoko brwi.

– Ale wiesz, że jesteśmy uzbrojeni?
– Wiem. – Afgańczyk się wyszczerzył.
– Ile chcesz? – westchnął Jamal, sięgając do schowka.
– Nie! – zaprotestował Isa. – Nie ruszaj się. Wsiadźcie powoli z samochodu, otwórzcie mi tył, ja was sprawdzę i pojedziecie. Moi ludzie muszą wiedzieć, że nie przepuściłem was bez sprawdzenia.
– OK. – Jamal pokiwał głową i wysiadł z dżipa.
Kiedy poszli do tyłu, znikając nieco z pola widzenia pozostałych mundurowych, Isa poczuł się swobodniej.
– Wasi ludzie są już w Tadżykistanie – szepnął, oglądając bagażnik wypełniony po brzegi bronią i amunicją.
– Dlaczego? – Jamal był wyraźnie przestraszony.
– Nie jest dobrze – wyjaśnił Isa. – Kabul dał znać, że was szukają...
Jednoręki spojrział na Gogola, który też wyglądał na przejętego tymi wiadomościami.
– Musicie uciekać. Wszystko załatwiłem. Dziś służbę ma mój kuzyn Ahmed... – Isa spojrział w oczy Jamala. – Nie będzie was widział.
– Rozumiem.
– Jedźcie na północny wschód. Skręćcie po pięciu kilometrach. Będzie zła droga, ale dacie sobie radę. – Isa nachylił się mocniej nad bagażem Kostka.
– Dobrze, że się rozdzieliliście. – Mężczyzna wyprostował się znów i podał dłoń Jamalowi. – Większa kolumna byłaby podejrzana dla tych z góry...
– Drony? – Jamal zmarszczył brwi.
– UAV, nie amerykańskie – wyjaśnił lakonicznie Isa, po czym ruszył w stronę swoich ludzi, nie mając najwyraźniej zamiaru kontynuować rozmowy.
Kostek spojrział zdumiony na Jamala.
– Zostawił nas.
Jamal wzruszył ramionami.
– Chodźmy, nie ma co tu tkwić i wzbudzać podejrzeń.
Droga rzeczywiście pozostawiała wiele do życzenia. Jechali wolno i dość długo do granicy, niewiele ze sobą rozmawiając.
– Wiemy, gdzie dalej jechać? – zapytał Gogol.
– Nie. Trzeba będzie włączyć telefon satelitarny i spróbować połączyć się z resztą.
Jednak okazało się, że nie musieli tego robić. Dziesięć kilometrów przed rzeką, kiedy było już ciemno, spotkali ekipę, która podróżowała z Wiktorem. Ukraińiec stał oparty o samochód i jadł coś ze smakiem. Na głowie miał gogle noktowizyjne.
– Co się dzieje? – Jamal wysiadł z dżipa i podszedł do niego.
– Nic. – Wiktor wzruszył ramionami. – Czekamy na was.

- A reszta?
- Są w Uzbekistanie.
- Słucham?
- Nie jedziemy do Tadżykistanu.
- A to czemu?

– Amu tutaj jest nieprzejezdne, za dużo wody. – Wiktor pokazał kciukiem przestrzeń za plecami. – A tam jest niemal sucho, więc... – Rozłożył ręce. – Pojedziemy wzdłuż rzeki, przeprawimy się do Tadżykistanu i zaraz wskoczmy do Uzbekistanu. Poza tym uzbeckie drogi są lepsze.

Jamal obejrzał się przez ramię i spojrzał pytająco na Gogola, który podrapał się po głowie.

– Może i lepiej. – Kostek wykrzywił usta. – Wszyscy myślą, że jedziemy do Tadżykistanu, więc w Uzbekistanie nikt nas nie będzie szukał.

- No dobrze – westchnął Jamal. – Tylko że mamy mało benzyny. Macie coś?
- *Da, kanieszna.* – Wiktor skinął głową.

Tę noc wszyscy zapamiętali na długo. Jazda po bezdrożach, bez świateł, z kończącym się paliwem i zapasami jedzenia dała w kość największym twardzielom. Wiktor był doświadczony w przekraczaniu tej granicy na różne sposoby, ale nawet jemu puszczały nerwy, kiedy odkrywał, że kolejny fragment rzeki jest nieprzejezdny.

U styku trzech granic spotkali samochody Piotra i Siwego, ale okazało się, że wcale nie czekają na pozostałych, tylko walczą z urwanym kołem. Kiedy udało im się zaradzić temu problemowi, napotkali mały patrol przygraniczny. W wyniku piętnastominutowej wymiany ognia, zginęło czterech pograniczników, Siwy został ranny, a Jamal o mało nie stracił swojej cennej protezy. Gdy uciekali z miejsca walki, zdali sobie sprawę z tego, że nawet nie wiedzieli, z jakiego państwa byli ich przeciwnicy.

– Jak to przetrwamy, będę pił wódkę przez miesiąc – obiecywał sobie Wiktor. – Bez przerwy.

O świcie znaleźli się w Uzbekistanie. Dość szybko udało im się nawiązać łączność z ludźmi Bulleta i Nawigatora, którzy, jak się okazało, też lizali rany po spotkaniu z niezidentyfikowaną grupą uzbrojonych obdartusów.

– Chyba Talibowie – opowiadał Michael. – Isa wspominał, że ostatnio dają czadu.

- Ale wszyscy u was żyją? – upewniał się Jamal.
- Tak. Nie wiem, jakim cudem, ale tak...

Wtedy Jamal poczuł, że zmęczenie minionych dwóch dni zniknęło niemal całkowicie z jego ciała i umysłu. Rozejrzał się po bladych twarzach swoich ludzi i westchnął ciężko.

- Zaczynamy nowy rozdział, panowie.

XVI

Kot jechał do pracy w bardzo dobrym humorze. Miał wyjątkowo udaną noc, zakończoną smacznym śniadaniem i gorącym buziakiem na pożegnanie, a w dodatku dzień zapowiadał się na słoneczny i ciepły. Jechał przez zakorkowane miasto z uśmiechem na twarzy, słuchając radia i pogwizdując cicho. Kiedy przyjechał na parking pod biurem, zrozumiał, że reszta tego dnia może wcale nie być tak udana.

Pod drzwiami stały jakieś dwie kobiety, które ostro dyskutowały z policjantem pilnującym budynku. W pewnej chwili jedna z nich zauważyła wysiadającego z auta Kotowicza i wskazała go palcem, dając do zrozumienia, że właśnie z nim chce rozmawiać. Dopiero wtedy Tomek zorientował się, że jest to nie kto inny jak sama Grażyna Brennerowa.

– Pani Grażyno, co pani tu robi? – Podeszedł szybko do kobiet, walcząc ze złymi przecuciami.

– Ojej, panie Tomku, dobrze, że pan jest. Ten człowiek nie rozumie, że nie jesteśmy groźnymi terrorystkami, tylko biednymi kobietami, które mają do pana ważną sprawę.

– Wejźmy do środka. – Ostatnie, czego sobie życzył Kotowicz, to wyjaśnianie tych spraw na schodach.

Grażyna pociągnęła za rękaw swoją znajomą i poszły za Kotem do środka.

– Chodźmy do mojego gabinetu. – Kotowicz wskazał na szklaną ścianę za open space'em i zwrócił się do Iwony, która zawsze przychodziła do pracy jako jedna z pierwszych: – Przepraszam, że zachowuję się jak szowinistyczna świnka, ale czy mogłabyś zrobić tym paniom kawę?

– Nie ma sprawy. – Iwona była wyraźnie zainteresowana tym małym zamieszaniem.

– Pani Grażyno... – zaczął Kot, ale Brennerowa nie dała mu dojść do słowa.

– To jest Kasia, moja przyjaciółka spod Radomia.

– Bąkowa. – Kasia wyciągnęła pulchną dłoń w stronę Kota.

– O... Pani... Bąk? Pani jest żoną...

– Tak, jestem żoną tajemniczego najemnika Konstantego Bąka, który jest tak tajemniczy, że wszyscy go już znają. – Kasia pokiwała głową i usiadła sobie na wolnym krześle.

– Więc... – Kot rozłożył bezradnie ręce. – O co chodzi?

– Mój Brenner jest nieosiągalny – zaczęła Grażyna. – To znaczy... Gadam głupoty. Rafał jest w prokuraturze, ma wyłączony telefon, a sprawa jest poważna. Z tego, co wiem, pan jest w temacie... dlatego przyjechałyśmy prosto z Radomia

do pana.

– Aha... – Tomek usiadł w fotelu.

– Chodzi o Meyerów – wyjaśniła Kasia, powodując szybsze bicie serca u Tomka. – Ale spokojnie, niech się pan nie denerwuje. Mój mąż dzwonił do mnie dziś w nocy. Rozmawialiśmy bardzo krótko i w sumie niewiele powiedział... Z tego, co rozumiałam, ich grupa... tych najemników, uciekła dwa dni temu z Afganistanu.

Tomek chciał coś powiedzieć, ale do biura weszła Iwona z kawą.

– Szefowi też zrobiłam – uśmiechnęła się. – Jakby coś... proszę wołać.

– Dzięki, Iwonka.

– To jest ta pani, co się o nią biją? – zapytała konspiracyjnym szeptem

Grażyna po wyjściu Iwony.

Kot zamrugał powiekami lekko zdezorientowany.

– No... yy... tak. A co?

– Nie, nic. Byłam ciekawa.

– Pani Kasiu, więc co z tą grupą? Uciekli... I gdzie są?

– Nie wiem – przyznała szczerze Kasia.

– Jak to?

– No, nie powiedział mi. Wiem jedynie, że wszyscy uciekali przez granicę w nocy, o mało nie zginęli, ale teraz są gdzieś... daleko.

– Wszyscy? A Łukasz i Justyna?

– No właśnie o tym miałam mówić. Oni są gdzie indziej.

– Gdzie?

– Nie wiem.

Tomek poczuł, że traci cierpliwość.

– Ja nie rozumiem...

– Rozdzielili się – pospieszyła z wyjaśnieniami Kasia. – I o tym mi mój głupi mąż nie chciał powiedzieć. Nie wiemy, gdzie są. A Justynka jest w ciąży i...

– Zaraz, zaraz! – Tomek jej przerwał. – Moment. Jakie „w ciąży”? Pierwsze słyszę.

– No i my też pierwsze słyszymy. Obydwoje gdzieś pojechali, nie wiadomo gdzie. Więc od razu wsiadłyśmy w samochód i dzida do Warszawy, żeby zapytać kogoś, kto może wie coś więcej. Ale widzę, że pan też nie w temacie.

Kotowicz nabrał powietrza w płuca, po czym wypuścił je powoli.

– Szczerze powiedziawszy, dawno nie byłem w takim szoku. Rozmawiałem z Łukaszem w zeszłym tygodniu, ale nic nie wskazywało na to, że będą... uciekać. A nie wiecie, dlaczego uciekli?

– Nie. – Kasia pokręciła głową. – Kostek powiedział tylko, że szybko się pakowali i całą grupą czmychnęli przed jakimś niebezpieczeństwem, ale że już nic im nie grozi.

– Tylko że się ukrywają – dodała Grażyna. – No i Justyna w tej ciąży...

Kotowicz zmarszczył brwi.

– Ja... muszę zadzwonić. – Podniósł się z miejsca. – Przepraszam. Zaraz wrócę.

Kobiety pokiwały głowami i jak na zawołanie obejrzały się w stronę pochylonej nad biurkiem Iwony.

– Całkiem ładna – stwierdziła Grażyna.

– No, niczego sobie. Ale nie dziwię się, że się tak na nią rzucili. Popatrz – siedzi w środku tego męskiego stada, taka samiutka. Ty, a gdzie on poszedł dzwonić?

– Myślę, że nie chcemy tego wiedzieć – odparła Grażyna, krzywiąc się nieco.

Kotowicz wrócił po kilku minutach z dość mocno zafrasowaną miną.

– Coś się stało? – zapytała Grażyna.

– Nie... – Tomek podrapał się po brodzie i usiadł w fotelu. – Postaramy się... Dzwoniłem do kogoś, kto postara się dowiedzieć czegoś więcej.

– I jak pan będzie już wiedział, to da nam pan znać? – upewniła się Kasia.

– Tak. Zadzwonię do pana inspektora i mu przekażę...

– Do jakiego inspektora? – zirytowała się kobieta, sięgając po kartkę i długopis z biurka. – Dam panu mój numer. Proszę od razu dzwonić.

– Ale może pani mąż da znać wcześniej.

– Panie! – Kaśka machnęła ręką. – Jak powiedział, że się ukrywają i nawet nie zdradził w jakim kraju są, to pewnie z miesiąc nie da znaku życia.

– Rozumiem... Pani Kasiu, mam pytanie. Czy rozmawiała pani z mężem o pewnych przypuszczeniach... – Zawiesił głos, zastanawiając się, jak ująć w słowa to, co chce powiedzieć.

– O tym, że porwali Justynę przez Afganistan? – upewniła się Kasia, wprawiając Tomka w osłupienie.

– Yy... tak.

– Mówiłam.

– I co?

– Wściekł się. Powiedział, że to bzdura.

– Aha. – Kotowicz opadł na oparcie fotela i sięgnął po kawę.

– Ale potem dzwonił do mnie Mrozowski.

Włosy na głowie Tomka stanęły na baczność.

– Chyba coś ich tknęło, bo podobno postanowili przepytac o to Justynę.

W gabinecie Kotowicza zapadła cisza. Grażyna otworzyła usta, ale nie wypowiedziała swoich przypuszczeń. Kotowicz też nie spieszył się z wnioskami. Kasia spojrzała najpierw na koleżankę, potem przyjrzała się komisarzowi.

– No co? Coś nie tak? – Nagle do niej dotarło. – Wy myślicie... Myślicie, że

przez to uciekli?

Kotowicz odstawił kubek na blat i wstał z miejsca.

– Muszę znów zadzwonić.

XVII

Brzeziński był zdenerwowany już po pierwszym telefonie od Kotowicza, więc gdy sekretarz przekazał mu wiadomość, że komisarz dzwoni drugi raz, miał ochotę wybuchnąć gniewem.

Był zmęczony sprawami rządowymi, wyjazdami zagranicznymi, które jego zdaniem nie wносиły absolutnie niczego do spraw państwa, ale nade wszystko wykańczała go bezustanna wojna podjazdowa, jaką toczyli z nim jego przeciwnicy. I choć większość bitew wygrywał, to zwyczajnie tracił cierpliwość do niektórych osób.

- Niech to będzie coś ważnego – wycedził przez zęby do telefonu.
- Panie premierze, oni uciekli przez tę sprawę.
- Jaką... – Brzeziński zmarszczył brwi. – Ktoś z nimi o tym rozmawiał?
- Tak, pani Bąk.

Premier odetchnął, ale trudno było powiedzieć, czy z ulgą.

– Najwyraźniej tam, gdzie sobie nie radzą największe tajniackie mózgi, trzeba posyłać karmiące matki – powiedział z przekąsem.

Kotowicz drgnął, ale nic nie powiedział. Postanowił nie wtajemniczać szefa rządu w sprawę ciąży Justyny, skoro była to kwestia wciąż niepotwierdzona.

– No dobrze, panie komisarzu, zaraz będę rozmawiał, z kim trzeba. Postaram się nawiązać kontakt z panią Dąbek. Niech pan wraca do swoich zajęć.

Rozłączył się i znów spojrzał przez okno swojego gabinetu. Tego dnia nikt nie protestował na trawniku, ale to nie oznaczało, że jest spokojnie...

– Panie premierze...

Odwrócił się i zobaczył stojącego w drzwiach szefa wywiadu.

– Wchodź, Mirek. – Skinął głową. – Siadaj.

Mirosław Ślesicki zajął miejsce na krześle przed biurkiem i założył nogę na nogę, ale Brzeziński wywnioskował z miny swojego dawnego kumpla, że nie ma dobrych wieści i że wcale nie jest wyluzowany.

– Mów. – Premier nie siadał, tylko stanął za swoim fotelem.

– Nie mam nic. – Ślesicki rozłożył bezradnie ręce. – Kamfora...

Brzeziński potrząsnął głową z irytacją.

– Romek, wiesz, że ich się nie da ot tak sobie namierzyć. – Mirek pochylił się do przodu. – Zrobiłem wszystko, co mogłem, nawet... nawet tę najgłupszą rzecz.

– Jaką?

– Nagrałem się jej na pocztce głosowej.

Premier obrócił fotel i usiadł w nim z głośnym westchnieniem.

– W porządku – powiedział cicho po chwili.

– Powiesz mi w końcu, o co chodzi? – zapytał niepewnie Mirek.

Premier spojrział na niego przenikliwym wzrokiem. Jeśli mógł powiedzieć o kimś, że mu ufa, był to na pewno Ślesicki – to był człowiek, który w pamiętną październikową niedzielę przekazał mu wiadomość o porwaniu Justyny Dąbek – ale opowiadanie o tym, że wodzi go za nos jakaś baba, nie przychodziło mu łatwo.

– Włożyłem wiele wysiłku, żeby mieć wreszcie na tym stanowisku kogoś swojego – powiedział po kolejnej chwili namysłu.

– Wiem, wiem... Staram się, jak mogę, żeby cię nie zawieść. Ale muszę wiedzieć o tym nieco więcej, bo...

– Dobrze. – Premier uniósł dłoń. – Zostaniesz we wszystko wtajemniczony. Pewne sprawy przybrały inny obrót. Pani Dąbek oddzieliła się od swojej grupy.

– Znasz powód? Pokłócili się?

– Nie. Ktoś przekazał im moje... nasze obawy, że jej porwanie miało związek z pobytem w Afganistanie.

– Kto? Mówiłeś, że nie ma jak...

– Mówiłem – przerwał mu premier. – Ale znalazł się... ktoś sprytny, kto załatwił to szybko i sprawnie. Tak szybko, że od dwóch dni nie ma ich ani w Kabulu, ani w Afganistanie.

Mirek zagwizdał cicho.

– Czyli że coś jest na rzeczy...

Premier skinął głową.

– Dlatego mam takie ciśnienie, żeby ją znaleźć i wszystkiego dokładnie się dowiedzieć.

– Jasne, rozumiem.

– Masz kogoś w Kabulu teraz?

Ślesicki machnął ręką.

– Daj spokój. Same ćwoki, nie ma komu zaufać. Nie udało mi się wsadzić swoich ludzi. – Pokręcił głową i roześmiał się. – Do tej pory, jak trzeba było coś załatwić, dzwoniłiśmy do Muszyńskiego, a potem do niej... Ale skoro mówisz, że ich tam nie ma, to jesteśmy bez człowieka.

– A Domański?

– Kurwa! – wyrwało się Mirkowi. – Zapomniałem.

– To dzwoń.

Mirek skinął głową. Brzeziński popatrzył na niego zdumiony.

– Na co czekasz? Teraz dzwoń!

– I co mam mu powiedzieć? Zapytać, gdzie jest pani Justyna Dąbek? Muszę wprowadzić go w sprawę...

– Po prostu zapytaj, czy ma jakieś informacje o dawnej grupie Muszyńskiego.

Mirek przewrócił oczami.

– Niech ci będzie.

Nie czekał długo na połączenie. Andrzej odebrał po dwóch sygnałach.

– Dzień dobry, panie Andrzeju. Kłaniam się...

– Pała się wam dupy, bo Meyerowa zniknęła z Kabulu? – powiedział ze śmiechem Domański, doprowadzając Ślesickiego do stanu przedzawałowego.

Szef wywiadu, błydy jak ściana, spojrzał przerażony na premiera, któremu także od razu skoczyło ciśnienie.

– Niech pan mówi, co wie – wydusił wreszcie z siebie Mirek.

– Jakbym ja panu powiedział wszystko, co wiem, to by się pan od razu zwolnił i uciekł w Bieszczady. Tak samo jak ten cały pana kolega. – Andrzej westchnął cicho. – Słuchaj pan, od dwóch dni trwa polowanie na czarownice. Grupa zniknęła, jakby rozplynęli się we mgłę, ale mogę pana zapewnić, że są ludzie, który zrobią wszystko, żeby ich znaleźć...

Mirek zasłonił dłonią telefon i bezgłośnie wyszeptał nad biurkiem do premiera:

– On wie, że Dąbek była z Muszyńskim.

Premier kiwnął głową i dał znak, żeby kontynuował.

– Panie Andrzeju, czy wie pan, kto za tym stoi?

– Nie wiem, kto dowodzi tym motłochem, ale w samym Kabulu znam paru watażków, którzy wykonują rozkazy.

– Jasne. – Ślesicki spojrzał na premiera i uniósł kciuk w górę.

– Jak pan chce, mogę pogadać z kimś zaufanym, kto się dowie więcej. Ale... to będzie kosztować.

– Świetnie. Wobec tego niech pan rozmawia z tym kimś, a my będziemy w kontakcie.

– Z tym trzeba się pospieszyć – ostrzegł Andrzej. – Tu jest naprawdę gorąco.

Kiedy Mirek skończył rozmawiać, premier o mało nie wyskoczył ze swojej premierowej skóry.

– Mówże wreszcie!

– Kwestie są dwie. Po pierwsze, on wie, że Dąbek to też Meyer...

– Żartujesz?!

Mirek pokręcił głową.

– No i dobrze – uśmiechnął się Brzeziński. – Przynajmniej nie musimy mu tłumaczyć za wiele. A to drugie?

– W Kabulu się gotuje. Ktoś ich szuka i to bardzo... Domański wie, kto szuka, ale nie wie, kto zlecał poszukiwania. Powiedział, że zna ludzi, którzy się tym mogą zająć.

Premier zmarszczył brwi.

– Hmm... Ryzykowne. Ale z drugiej strony nie bardzo mamy wyjście...

Dobra, niech to załatwia po swojemu.

– Romek... – Ślesicki spojrzał na premiera z powagą. – Na logikę: skoro oni uciekli i ktoś ich teraz szuka... to znaczy, że szykowało się coś większego niż tylko porwanie jakiejś pani z korporacji.

Premier pokiwał głową, ale nic nie powiedział.

– Kto wymyślił, że coś jest na rzeczy?

– Nie wiem. – Brzeziński wykrzywił usta. – Brenner mi go nie pokazał.

– Koleś ma łeb. Może warto mieć kogoś takiego u siebie?

XVIII

– Niech cię jasna cholera, ty skurwiały psie!

Kotowicz zdębiał, słysząc dochodzące z kuchni odgłosy. Pożegnał Grażynę i Kasię i wracał właśnie do swojego biura, gdy do jego uszu dotarły niepokojące dźwięki.

– Co tu się dzieje? – Staął w progu i z groźnym wyrazem twarzy mierzył swoich ludzi.

Zbyszek Lenart stał nad Kowalskim, który z miną niewiniątka popijał kawę przy stoliku.

– Ta tępa gnida zniszczyła moje akta – wykrzyczał Lenart, machając jakąś teczką noszącą ślady zalania ciemną cieczą, prawdopodobnie kawą.

– Kowalski?

– Ojej, nie chciałem... Przechodziłem obok jego biurka i przypadkiem ruszyłem mu kubek.

– Czy ty wiesz, co to były za akta?! – Zbyszek był gotów bić Mariusza, ale Kotowicz złapał go za ramię.

– Zbychu, uspokój się. Nic się nie da z tym zrobić?

– Nie wiem – burknął Lenart. – Ten idiota chciał to wsadzać do mikrofali, ale go w ostatniej chwili powstrzymałem. No, idiota! Zwykły idiota.

Kot z trudem powstrzymał się od wybuchnięcia śmiechem.

– Idź z tym do Iwony – powiedział spokojnym tonem. – Dziewczyny zawsze mają jakieś sposoby na takie katastrofy.

Zbyszek prychnął, ale posłuchał szefa, zgarnął papiery i ruszył do wyjścia.

– Nie wiem, że takich kretynów do policji przyjmują – mruknął, wychodząc z kuchni.

Tomek usiadł przy stole i spojrzał na Mariusza z politowaniem.

– No co? – Kowalski wzruszył ramionami. – Zdarza się, nawet najlepszym.

– Powiedz mi, panie aspirancie, jak wpadłeś na to z porwaniem?

– Co? – Mariusz zrobił głupią minę.

– No, że ma coś wspólnego z przeszłością Justyny, a nie z tym, co ustaliliśmy?

– A... to. Nie wiem. Uznałem, że to logiczne – stwierdził szczerze.

– Widziałem ostatnio taki program o naszych żołnierzach na misjach. Strasznie ich tam chwalili, że tacy dzielni i waleczni... Moja Ela piała z zachwytem, zwłaszcza nad kobietami, które tam służą.

– No i?

– Nic. Nie powiedziałem o Justynie, ale zastanowiłem się... Nagle dotarło do

mnie, że ona tam nie była na wycieczce krajoznawczej, że robiła coś naprawdę poważnego. Wiesz, w tym programie pokazali jakiegoś Afgańczyka, na którym talibowie zemścili się za to, że pracował dla naszych. Pomyślałem sobie, że jesteśmy kretynami, nie przepytując Justyny o to, co tak naprawdę tam się stało.

– Ale zdajesz sobie sprawę z tego, że od Afganistanu do jej porwania długa droga?

– Niekoniecznie. – Mariusz pomachał łyżeczką. – A co jeśli ktoś, kto chciał ją skrzywdzić, po prostu nie mógł jej znaleźć?

Tomek pokiwał głową i zamyślił się.

– Racja...

– Szefie, czemu mnie o to pytasz?

– Bo wywołałeś międzynarodowy konflikt – odparł cicho Kotowicz.

– Jak to? – Mariusz roześmiał się.

Tomek spojrzał na drzwi do kuchni.

– Tutaj ci tego nie wyjaśnię. Spotkajmy się dziś wieczorem w jakimś bezpiecznym miejscu.

– OK. Zaintrygowałeś mnie. Ale pamiętasz, że jestem kretynem – wskazał głową w stronę drzwi – i że w zasadzie nie powinienem pracować w policji?

– Tak, pamiętam. – Kot przewrócił oczami. – Bo tak między Bogiem a prawdą, to naprawdę mógłbyś nie łązić jak ostatnia łamaga... – Przerwał, bo w kuchni nagle zjawił się Malicki, który stanął obok i popatrzył na niego dziwnie.

– Co jest?

– Musimy pogadać – oświadczył Michał.

– O czym?

– Na osobności.

– O, Boże – westchnął Kotowicz i z ociąganiem podniósł się z krzesła. – To chodź do mnie.

– A możemy cię prosić do sali narad?

– Jakie „możemy”? – Kot odczuł lekkie zaniepokojenie.

– Ja i Słomkowski.

Ramiona Tomka opadły nisko.

– Nie... – jęknął i pokręcił głową. – Co znowu?

– Chodź. – Malicki ruszył do wyjścia.

Chcąc nie chcąc, Kotowicz poszedł za nim. W sali narad był już Marcin, który siedział na kanapie, ale po jego minie można było wywnioskować, że chodzi o coś o wiele poważniejszego niż kłótnia dwóch zazdrosnych o kobietę facetów.

– Sisió, chyba mi nie chcesz powiedzieć, że ktoś znów zdradza... – Tomek ugryzł się w język i spojrzał wystraszony na Malickiego.

– On wie – powiedział cicho Marcin.

– O, matko! No to naprawdę zaczynam się bać. Co się dzieje?

– Kocie, tylko obiecaj mi, że mnie nie wylejesz. – Malicki popatrzył na szefa z błagalną miną.

– Nie obiecuję. Mówcie.

Marcin podrapał się po brodzie i zerknął na Malickiego, który lekko skinął głową.

– Gadaliśmy ze Słotwińskim.

– A po co niby? Co wy...

– Czekał. Rozmowa odbyła się *off the record*, czy jakoś tak...

– Kiedy z nim rozmawialiście?

– Wczoraj.

– W niedzielę?

– Tak. – Marcin kiwnął głową i chrząknął cicho. – Pojechaliśmy na Mazury...

Tomek przysunął sobie krzesło. Usiadł i zasłonił dłonią oczy.

– Słuchaj, jak się dowiesz, o co chodzi, nie będziesz się złościł – zapewnił Michał. – Musieliśmy się dowiedzieć czegoś o Kowalowie.

– Po jaką cholere? – Kot podniósł głowę.

– Bo uważamy, że nie powiedział nam, kto zlecił porwanie Justyny.

Ku wielkiemu zdumieniu Marcina i Michała, Kotowicz roześmiał się głośno.

– Malicki, przyznaj się: nie usunąłeś sprzętu do podglądania Mrozowskiego?

Michał wykrzywił usta, zastanawiając się, co odpowiedzieć.

– Yy...

– Nie denerwuj mnie, bo jak się wkurwię, to zaraz wyślę policję do twojego mieszkania!

– No... mam go jeszcze...

– OK – westchnął po raz kolejny Kotowicz. – To idź po Kowalskiego.

– A po co?

– Idź i nie wyprowadzaj mnie z równowagi!

Kiedy Michał wrócił z Mariuszem, Tomek kazał im usiąść, sam wstał i zaczął przechadzać się po pomieszczeniu.

– Zanim zaczniemy... Czy ktoś jeszcze wie o tej sprawie?

Cała trójka spojrzała po sobie zdziwiona.

– Pytam, czy rozmawialiście z kimś jeszcze o tym? Czy ty, Kowalski, dzieliłeś się swoimi wnioskami?

– Nie-e. – Mariusz pokręcił energicznie głową.

– A wy? Mówiliście o tym, co zobaczyliście u Mrozowskiego?

– Nie – odpowiedział Marcin, zerkając na Mariusza. – To był jego pomysł?

– Nie teraz. – Kot podniósł dłoń. – Dobrze więc. Wy dwaj – mówcie, czego się dowiedzieliście na tych Mazurach?

– Zabraliśmy pana dyrektora na mały spacer po lesie – zaczął Michał. – Ale

nie! Spoko, nie robiliśmy mu żadnego kuku, tylko uczciwie pogadaliśmy.

– I jesteście pewni, że nie miał ze sobą żadnego telefonu albo czegoś, co mogłoby nagrywać?

– Jesteśmy. Marcin go obmacał. Zresztą... rozejrzeliśmy się też trochę po jego domku... zanim przyjechał.

Kot pokręcił głową i mruknął coś pod nosem, ale dał znak, żeby kontynuował.

– Z początku nie wiedział, o co nam chodzi, myślał, że znów toczy się śledztwo i że będzie przesłuchiwany. Wyjaśniliśmy, że jesteśmy u niego w zasadzie... niemal prywatnie. Wypytałiśmy go dokładnie o to, co zapamiętał ze swoich kontaktów z miłym panem Wołodią. Szczerze powiedziawszy, o mało go tam nie doprowadziliśmy do zawału tym pytaniem...

– A to czemu? – Kotowicz spojrzał na niego przenikliwie.

– Bo wyznał szczerze, że się tego faceta strasznie boi, nawet pomimo tego, że ten siedzi teraz w więzieniu i to za granicą. Mówił, że Kowaliow ma masę znajomości.

– Gdzie? U nas, w Polsce?

– Podobno tak. Ale, co ciekawe, nie są to jakieś oficjalne znajomości, to znaczy nie ma nikogo u nas...

– Poza tymi, co tu sypali – dopowiedział Marcin.

– Właśnie. Nie chodzi też o światek przestępczy. Facet ma kumpli w wojsku.

– Że co?! – Kotowicz wybałuszył oczy. – Ale... że kogo niby?

– To właśnie jest dziwne – uśmiechnął się krzywo Michał. – Kolesz zna kilku żołnierzy, zwykłych oficerów.

Tomek zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem... A wiecie, z jakich jednostek? Kogoś ze starych znajomych Justyny?

– Nie. I to dziwiło samego Słotwińskiego. Chodzi o kilku starych majorów i pułkowników, dwóch jest już na emeryturze. Dyrektor powiedział, że przeprowadził własne małe dochodzenie i okazało się, że ci ludzie pracują w zwykłych jednostkach, na nic nieznaczących stanowiskach, i nigdy nie mieli do czynienia z Justyną.

– Bez sensu – prychnął Kot. – I co? On z nimi tu utrzymywał kontakty?

– Tak.

– A macie nazwiska tych ludzi?

– Mamy. – Michał skinął głową i sięgnął do kieszeni w spodniach, z której wyjął niewielką kartkę.

Tomek przebiegł wzrokiem po liście ośmiu obcych dla niego nazwisk i spojrzał na swoich ludzi.

– Trzeba sprawdzić ich konta...

– Już się tym zająłem – powiedział Marcin.

– Jak? Nie miałeś nakazu.

– Ale znam kogoś, kto go zdobył – wyjaśnił, zerkając podejrzliwie na nieco zdezorientowanego Mariusza.

– I co?

Michał uśmiechnął się przebiegle. Kotowicz wiedział, że zaraz usłyszy coś, co go zwali z nóg, więc znów usiadł.

– Tydzień przed porwaniem Justyny na kontach wszystkich ośmiu panów pojawiły się różne kwoty – od pięciu do pięćdziesięciu tysięcy złotych. Co ciekawe, ten, który otrzymał najwyższą sumę, jest chyba najmniej wyróżniającym się osobnikiem.

– To dlaczego tyle dostał?

– Jeszcze nie wiemy. – Słomkowski wzruszył ramionami. – O tym chcieliśmy z tobą pogadać.

– O czym niby?

– No... czy pozwolisz się nam tym zająć? – zapytał nieśmiało Michał.

Kotowicz spojrział na niego pełnym politowania wzrokiem.

– Nie, nie pozwolę wam. Malicki, co ty, kurwa, za głupoty gadasz? Macie się tym zająć natychmiast! Kowalski, przekaż swoje sprawy Iwonie i dołącz do nich.

– Jasne. – Mariusz kiwnął głową i wyszczerzył się do kolegów.

– O, Boże – wyrwało się Słomkowskiemu.

– Milczeć! – Kotowicz podniósł palec wskazujący. – Do roboty. I nikomu ani słowa o tym, co robicie.

Cała trójka wymieniła się porozumiewawczymi spojrzeniami. Kot wyciągnął telefon i machnął na nich ręką.

– Dlaczego was tu ciągle widzę? Sio!

Wszyscy trzej zerwali się na nogi i wyszli z pokoju narad.

Kotowicz wybrał numer, ale nie czekał nawet pół sygnału na zgłoszenie.

– No? – Głos premiera brzmiał, jakby Brzeziński był nieco zrezygnowany.

– Myślę, że to pana zainteresuje.

Komisarz dość szczegółowo opowiedział o wynikach prywatnego dochodzenia swoich ludzi. Kiedy skończył, premier roześmiał się głośno.

– A już myślałem, że ten dzień będzie nieudany. Doprawdy, wyborną historię mi tu pan opowiedział.

– Co do tego systemu monitoringu u pana Mrozowskiego... Każę go niezwłocznie usunąć.

– A po co? – obruszył się premier. – Daj pan spokój. Niech go podglądają, może dowiedzą się jeszcze czegoś ciekawego.

– Ale to nielegalne.

– Panie, pół tego państwa działa nielegalnie, nawet mój rząd – chichotał Brzeziński. – Wie pan, ile mi to zachodu oszczędziło?

– Dobrze, panie premierze.

– No, teraz jeszcze tylko trzeba złapać kontakt z panią Dąbek i może nawet cały tydzień uznam za udany.

XIX

Wszystko miało być lepiej, a było tylko gorzej. Z dnia na dzień serce Łukasza ścisnęło się coraz mocniej z niepokoju i bólu. Do Justyny zdawało się nic nie docierać, jakby nie przejmowała się wcale tym, co powiedzieli lekarze na temat jej stanu zdrowia. Interesowało ją tylko to głupie dziecko, które mogło odebrać jej zdrowie, a nawet życie...

Byli w domu Krzysztofa od pięciu dni. Brat Meyera załatwił sprawy ich transportu bardzo oficjalnie – młody pracownik firmy budowlanej z Kabulu musiał jak najszybciej znaleźć się ze swoją ciężarną żoną w Europie, więc na pokładzie samolotu nikomu do głowy nie przyszło, że ta miła kobieta jest najemnikiem, uciekającym przed ścigającymi ją bandytami. Jeszcze w Kolonii trafili do kliniki neonatologicznej, gdzie potwierdzono diagnozę doktor Tikriti odnośnie stanu zdrowia dziecka, wprawiając w zdumienie Krzyśka. Ale lekarze postanowili również dokładnie zbadać Justynę i wtedy świat Łukasza zaczął się walić.

Justyna miała wadę serca, podobno wrodzoną, która stanowiła realne zagrożenie dla jej życia w czasie porodu. Do Łukasza ledwo docierały słowa Krzysztofa, który objaśniał mu szczegółowo wszystkie aspekty tego schorzenia. Szybka męczliwość, niska odporność na stres, gwałtowne spadki ciśnienia połączone z niedokrwieniem mózgu i omdleniami...

W głowie kotłowało mu się milion myśli: dlaczego jej tego nie wykryli, kiedy szła do wojska? Dlaczego ja niczego nie zauważyłem? Przecież zawsze narzekała, że szybko się męczy... Dlaczego pojechała znowu do tego pieprzonego Afganistanu? Po cholere nam to dziecko?

Którejś nocy bardzo długo rozmawiał z ojcem przez telefon. Stefan podtrzymywał go na duchu, ale zabronił poruszania kwestii aborcji z Justyną.

– Tato, to zagraża jej życiu...

– Tak samo jak zabieg – przerwał mu ojciec. – Ty wiesz, jaki to dla niej byłby stres? Po tylu latach czekania...

Rzeczywiście, dla Justyny najważniejsza wydawała się być ciąża. Łukasz przyglądał się jej, jak leżała sobie na łóżku i po raz setny oglądała obrazki z USG. Technik wygadał się, że będzie dziewczynka, więc jej radość była tym większa. O Afganistanie ani o swoich kolegach nie wspominała ani razu. Informację o własnej chorobie przyjęła jedynie lekkim wzruszeniem ramion.

– Zawsze wiedziałam, że jestem trochę nedorobiona – mruknęła i znów spojrzęła na fotografię dziecka.

Łukasz miotał się. Potrzebował jakiegoś pocieszenia albo chociaż rozmowy z kimś, kto miał głowę na karku. W czwartek zadzwonił Gogol.

- Gdzie wy jesteście? – zapytał Łukasz. – Żyjecie?
- Żyjemy, żabciu, ale bywało krucho – powiedział Kostek ze śmiechem.
- Jesteśmy w Batumi.
- Gdzie?
- W Gruzji, opalamy się nad pięknym morzem.
- A co wy tam robicie?
- Długa historia – westchnął Gogol. – Z pewnymi problemami trafiliśmy do Uzbekistanu, ale już na granicy nie mieliśmy ani paliwa, ani żarcia, a w dodatku jednego rannego i straż graniczną na głowie.
- Złapali was?
- W sumie to daliśmy się złapać, bo i tak trzeba było odstawić Siwego do szpitala. Oczywiście uratował nas Wicia, który sobie przypomniał, że jest muzułmaninem i że świetnie zna uzbecki... Tak się tam zakręcił dobrze, że załatwił nam transport do Kijowa na poniedziałek samolotem wojskowym. Zabrali nam co prawda broń i amunicję, ale dali jeść i pić, więc było nawet wesoło. Tylko że w czasie lotu obudziło mnie nagłe hamowanie.
- Że co?
- Tak, dobrze słyszałeś. Słuchaj, jakie jaja: przecieram patrzaki, wyglądam przez okno, a tam śmigło się nie kręci. Normalnie wyjebało silnik w kosmos, a pod nami tylko woda... Więc wylądowaliśmy tutaj. A tutaj... Człowieku! Jak na Karaibach. Morze, piękne kobiety, niskie ceny, dobre żarcie i mili ludzie. Jak się niektórzy dowiedzieli, jaki zawód uprawiamy, to od razu posypały się zlecenia.
- Łukasz roześmiał się głośno.
- Nie żartuj.
- Jestem od tego daleki. Jamal już ubił jakiś interes i przez najbliższy tydzień będziemy ochraniać miejscowego ważniaka w czasie podróży w głąb kraju. W zamian mamy przedostać się do Europy, to znaczy do was, do Niemiec.
- Naprawdę?
- Tak. Musimy. Sprawa z porwaniem twojej żony okazała się być o wiele bardziej śmierzcząca, niż myśleliśmy. W dodatku... – Gogol zawiesił głos.
- No?
- Wydaje się nam, to znaczy mi i Jamalowi, że Malinka nie o wszystkim nam powiedziała.
- A o czym wam powiedziała?
- Nie przekazała ci dobrych wieści? – zapytał z przekąsem Gogol.
- Nie. – Łukasz spochmurniał. – Byliśmy zajęci czymś innym.
- Kostek poczuł ucisk w żołądku.
- Coś z dzieckiem?
- Z dzieckiem... z dzieckiem nic nowego – powiedział cicho Łukasz.
- Justynka jest chora.

- Po drugiej stronie zapadła cisza.
- Ale... na co?
 - Ma wadę serca. Nie chce mi się nawet o tym mówić.
 - Rozumiem...
 - W ogóle mnie nie słucha! – W głosie Łukasza słycać było rozzalenie.
 - Ani lekarzy. Gada tylko o tym dziecku. Dziecku, które też jest chore i będzie wymagało szybkiej operacji. A sama jest poważnie chora.
 - Od kiedy to ma?
 - Od zawsze, tylko że ta ciąża jest dla niej największym zagrożeniem.
 - To co zrobicie?
 - Nie wiem. Jesteśmy teraz pod Frankfurtem, u mojego brata, i czekamy na wizytę u jakiegoś profesora... A wy? Kiedy chcecie tu przyjechać?
 - Jeszcze nieustalone. W zasadzie największym problemem jest Wiktor, bo on nie ma wizy do Niemiec. Moglibyśmy jechać do Londynu, bo tam mamy całe szefostwo, ale boimy się, że nas będą szukać... Zobaczmy. Jak się będziemy do was wybierać, dam znać.
 - OK. A co z resztą waszej grupy?
 - Oj... Właśnie, o tym w sumie chciałem z tobą gadać.
 - Jak to? – Łukasz zmarszczył brwi.
 - Tylko nie mów Malince, niech się nie denerwuje. Kola nie żyje. Kiedy schodzili z gór, mieli nieprzyjemne spotkanie z inną grupą najemników... W ogóle kręci się coraz więcej podejrzanych typów, Rosjan i nie tylko... Ludzie Angie pojechali im pomóc – dwóch z nich też zginęło. Ledwo z tego wyszli, ale udało im się przedostać do Kabulu i w nocy uciekli do Iranu.
 - Do Iranu? Też nie mieli dokąd.
 - Tak naprawdę tam jest najbezpieczniej, bo paru z naszych ma dobre kontakty wśród tamtejszej policji.
 - I co robią?
 - Też będą się starali dostać do nas. Z tego, co wiem, są już pod granicą z Irakiem. Grunt, żeby doczłapali się do Turcji, dalej powinno być łatwiej. Ale w Kabulu została grupa Louisa, ta z Kandaharu. I właśnie o tym chciałem pogadać.
 - No?
 - Chodzi o tego twojego szefa, Andrzeja. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy po drodze, że chyba jest agentem?
 - Ciężko zapomnieć.
 - No więc on jest agentem. Nie wiem jak, ale dotarł do ludzi De Soto i przez nią skontaktował się z Louisem, proponując mu zlecenie. Nigdy nie zgadniesz na co.
 - Już się boję – westchnął Łukasz.
 - Na rozwiązanie sprawy porwania Malinki. – Kostek zachichotał.

– Boże... A ten skąd...

– Nie wiem, ale wydaje mi się, że w Warszawie już toczy się małe śledztwo, więc jakbyś znalazł chwilę, zadzwoń do swojej sfory i popytaj, co się dzieje.

– OK. Ale wobec tego, co ja mam robić? Mamy gdzieś wyjechać?

– Nie, zostańcie tam. De Soto rozpuściła wici w Kabulu, że nasza grupa została ukatrupiona podczas ucieczki do Tadżykistanu i póki co niektórzy to kupili. Nikt nie wie, że się rozdzieliliśmy, więc niech na razie myślą, że Malinka też nie żyje.

– A sprzedała chociaż wiarygodną wersję? To znaczy, kto was niby miał zabić według jej opowieści?

– Ależ ty jesteś upierdliwy – cmoknął Kostek. – Utopiliśmy się.

– Że co? – Łukasz parsknął.

– Tak. Pochłonęły nas otchłanie Amu. Kuzyn Isy, który miał wtedy służbę, potwierdził odnalezienie naszych zwłok, gnijących i śmierdzących. Ponoć nawet jakieś foty mają.

– Jasne. – Łukasz pokręcił głową. – Niech i tak będzie.

– Mężu Maliny, nie martw się tyle – powiedział spokojnym tonem Gogol.

– Jakoś się ogarniemy z tym wszystkim, a Malinka też sobie poradzi. Znam ją trochę, ona jest mocniejsza, niż się nam wydaje.

– Chciałbym – szepnął Łukasz.

Nie mógł zasnąć i siedział na łóżku obok Justyny. Przyglądał się jej uważnie, widział, jak uśmiecha się przez sen. Poglaskał ją po głowie i pocałował w czoło. Otworzyła jedno oko i wyciągnęła do niego ramiona.

– Bardzo cię kocham – mruknęła mu do ucha. – Bardzo, bardzo.

Objął ją mocniej, walcząc ze łzami.

– Musimy znaleźć sobie jakiś fajny dom w Warszawie – powiedziała.

– Niech Kot kupi to obłeśne mieszkanie na Mokotowie. Ja chcę dom z ogrodem. Zadzwoń do niego i powiedz mu, żeby nas spłacił, dobrze?

– Dobrze, Justyś. Zadzwonię. Śpij.

Obróciła się na bok i przykryła mocniej kocem, po czym zasnęła spokojnym snem.

Łukasz uznał, że choć pora jest późna, pomysł z telefonem do Kotowicza nie jest taki zły. Wziął komórkę z szafki i poszedł do salonu.

– Komisarz Kotowicz. – Głos Tomka był bardzo poważny.

– Myślałem, że jesteś już inspektorem – roześmiał się Łukasz.

– Meyer, ty... ty świnió!

– Jakie gorące powitanie. Ja też się cieszę, że cię słyszę.

– Dlaczego się nie odzywacie tyle czasu? Nie dałeś mi swojego numeru, nie wiem, co się dzieje...

– Dobrze, dobrze. Żyjemy, nic nam nie jest.

– Człowieku... – Tomasz ściszył głos. – Ty wiesz, co tu się dzieje? Brzeziński dostaje szału, bo nie może się skontaktować z Justyną.

– Domyślam się. Ale Justyna teraz nie za bardzo jest zainteresowana rozmowami z nim i z kimkolwiek innym.

– No, chyba nie będzie miała wyjścia. Słuchaj, gdzie wy w ogóle jesteście?

– U Krzyśka.

– W Niemczech?

– Tak.

– Potrzebujecie jakiejś pomocy?

– Nie. W zasadzie... mamy wszystko, co jest nam potrzebne. Ale słyszałem, że u was się gotuje. Podobno nie wiecie, kto zlecał porwanie mojej żony.

– Nie bądź taki do przodu, panie cwaniaku. To nie jest zabawne. Kiedy wracacie?

– Nieprędko. – Łukasz westchnął. – Justyna jest w ciąży.

– Słyszałem.

– No proszę, wieści szybko się rozchodzą. A mówili ci, że dziecko jest upośledzone?

– Jezu! Nie. – Tomek złapał się za serce. – Co się stało?

– Później o tym pogadamy. Powiedz mi lepiej, co z tym śledztwem?

– Łukasz, mam prośbę. Zapytaj swoją żonę o to, czy zna pewne osoby.

Wyślę ci zaraz na maila nazwiska kilku typów. Niechże się Justyna wysili trochę i zastanowi, czy coś jej mówią.

– OK. Jaki to ma związek z jej porwaniem?

– To są kumple Kowaliowa.

– O... – Łukasz poczuł nieprzyjemne mrowienie na plecach.

– Właśnie... Pan dyrektor S. zapomniał nam powiedzieć, że Rusek kontaktował się z nimi w czasie pobytu w Polsce.

– Dobrze, powiem o tym Justynie.

– Dzięki. Wiesz... ekm... pytałem o wasz powrót, bo w razie czego... musielibyśmy sobie czegoś poszukać. Do mieszkania znaczy się.

– Spokojnie. Justyna chce, żebyś od nas kupił to mieszkanie.

– Naprawdę?

– Tak. Z tego, co widzę, nie chce tam wracać. No, a jak tam te wasze sprawy? Układa się wam?

– Jest OK. – Tomek uśmiechnął się pod nosem. – Nie chcę zapeszać, ale... nie narzekam.

– No i dobrze. Słuchaj... zapytam się ciebie o to jak facet, który musi zająć się swoją rodziną: czy powrót do Warszawy może być dla nas groźny w jakikolwiek sposób?

Kotowicz nabrał powietrza w płuca i przez chwilę nic nie mówił.

– Wiesz... Teoretycznie wszystko jest w porządku, przynajmniej dopóki Brzeziński jest na stanowisku i trzyma niektórych na smyczy. Ale ja ci gwarancji nie dam, że jak wrócicie, to nic się nie stanie...

– Jasne. – Łukasz nie dał mu dokończyć. – Tylko tyle chciałem wiedzieć.

XX

– Dzień dobry, panie premierze.

Po raz pierwszy od objęcia swojego urzędu Brzeziński o mało nie umarł na zawał, słysząc te słowa. Odebrał telefon stacjonarny na swoim biurku, wiedząc, że jego sekretarz łączy tylko ważne rozmowy, ale do głowy mu nie przyszło, kto tym razem może dzwonić.

– Nie wiem, co powiedzieć – przyznał szczerze. – Zaczynałem tracić nadzieję, że się pani kiedykolwiek odezwie.

– Byłam zajęta.

– Ja też – pani sprawami.

– Hmm... To może niech się pan nimi nie zajmuje, skoro są moje.

– Tak, wynik mógłby być ciekawy.

– Panie premierze... Ja czegoś nie rozumiem. Z tego, co ustaliłam ze swoimi ludźmi, porwanie miało związek tylko ze mną, z tym, co ja robiłam, a angażuje się pan w to tak, jakby zależało od tego bezpieczeństwo państwa. Niech się pan nie boi, nie opowiem nikomu o naszej współpracy...

– Nawet nie wie pani, jak się myli.

– Ale co do czego? Że będę sypać?

– Nie. Co do tego, że nie jest to sprawa bezpieczeństwa państwa.

– O! No to teraz mnie pan zaskoczył. Zamieniam się w słuch.

– Dostała pani te nazwiska ośmiu oficerów?

– Tak, jakieś dwa tygodnie temu komisarz Kotowicz przesłał je mojemu mężowi.

– Pani... mąż jest z panią?

– Jest. A pan musi popracować nad swoim wywiadem. No to o co chodzi z tymi ludźmi?

– Niech pani mi to powie. Czy zna pani kogoś z tej listy?

– Nie.

Brzeziński poczuł, że narasta w nim irytacja.

– I od dwóch tygodni pani to wie i nie raczy nas poinformować?! Sztab ludzi pracuje nad tym, żeby znaleźć powiązanie między nimi a panią...

– To znaczy, że ma pan sztab idiotów.

– Tak się składa, że to ludzie pana Brennera. To znaczy jego dawni ludzie.

– Pan Brenner ma szczęście do zdrajców i innych sprzedawczyków – odparowała Justyna, wywołując uśmiech na twarzy premiera.

A więc to prawda – pomyślał. – Nie lubi go.

– No dobrze, więc wiemy, że te osoby nie mają z panią nic wspólnego. To

może ma pani pomysł, jaki mają związek z panem Kowaliowem?

– Afganistan.

– Słucham?

– No... musieli się kiedyś poznać. Wykonałam kilka telefonów do moich dawnych wykładowców z Poznania...

– Tych z wojska? – Premier był w szoku.

– A czemu nie? Nie ze wszystkimi miałam złe układy. Kiedy byłam na szkółce, szefem Cyklu Taktyki był niejaki major Łuczak. Porządny gość i z dość dużym doświadczeniem. Przypomniało mi się, że jego konikiem była wojna radziecko-afgańska, dużo nam o tym opowiadał, więc skontaktowałam się z nim i obiecał czegoś się dowiedzieć, na przykład czy ten z listy, który dostał najwięcej, nie był przypadkiem kiedyś na takiej wojnie...

– No i?

– No i był – roześmiała się Justyna. – Potem zadzwoniłam do Nienackiego i on mi potwierdził, że za jego pobytu był tam taki młody leszcz, który pomagał Talibom zaprowadzać islamski ład i porządek. Chłopak miał wtedy niecałe osiemnaście lat... Ale potem wrócił do Polski i niech pan zgadnie, co zrobił?

– Poszedł do wojska?

– Lepiej. Poszedł do Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu, którą ukończył z drugą lokatą na początku lat dziewięćdziesiątych. Więc doszłam do wniosku, że Kowaliowa musiał poznać właśnie w tym Afganistanie.

– Rusek nie wygląda na tak starego. – Premier zmarszczył brwi.

– Pan też nie wygląda na swoje lata. Dodałabym panu z dyche – parsknęła Justyna.

– Bo mnie wykańczają takie uparte baby, jak pani – odgryzł się Brzeziński.

– No dobrze... To dalej nic nie mamy.

– Nie, dlaczego? Trzeba dokładnie prześledzić ścieżkę życia pana Kowaliowa. Tych pozostałych z listy poznał później, prawdopodobnie przez kumpla z Afgana.

– Tak, ale do tego potrzebne byłyby dobre kontakty ze służbami rosyjskimi, a to... już mało realne.

– Pan to mówi naprawdę, czy tylko mnie wkręca?

– Nie rozumiem...

Justyna westchnęła.

– Panie premierze, namówiłam swego czasu zarząd B.S.K. na wejście w układy z firmą rosyjską, która zatrudniała Kowaliowa. Z tego, co wiem – a informacje mam z pierwszej ręki – interes się kręci i to dość dobrze. Trzeba przekonać prezesa, żeby porozmawiał z szefostwem tej korporacji. Jestem stuprocentowo pewna, że o Wołodii wiedzą wszystko.

Brzeziński zaczął się śmiać.

– Dobrze – rechotał. – Chyba zacznę zatrudniać same kobiety. Pani Justyno, porozmawiamy z panem prezesem...

– Nie. Ja to zrobię.

– O! A kiedy?

– Niedługo. Zajmę się tą sprawą. Ja wiem, że pan ma na niego różne haki, ale niech się pan z tym wstrzyma na razie, dobrze?

– Dobrze... Pani Justyno, mam do pani sprawę.

– Jeśli tę samą, którą miał pan do Ziotka, to odpowiedź brzmi NIE.

Brzeziński, lekko podekscytowany, poprawił się w swoim fotelu.

– Panu Muszyńskiemu też pani kiedyś odmówiła, a jednak zaraz potem znalazła się pani z powrotem u nich...

– Teraz sytuacja jest inna.

– Co jest innego?

– Spodziewam się dziecka.

– No to gratuluję! Ale dziecko nie czyni pani upośledzonej, może pani pracować.

– Dziecko jest upośledzone.

Premier zaniemówił.

– Robiła pani badania? – zapytał cicho po chwili.

– Tak. To potwierdzone. Ma zespół Downa i jakąś wadę serca.

Tym razem Brzeziński milczał dłużej.

– Panie premierze... Ja mam teraz inne rzeczy na głowie. Chcę się skupić na tym, nad opieką nad córką. Jak wrócimy do Warszawy, musimy znaleźć porządny dom, załatwić rehabilitację, urządzić się...

– Ja pani znajdę ten dom – powiedział niespodziewanie premier.

Justyna wyczuła w jego głosie jakąś dziwną nutę, pełną powagi i troski.

– Yyy... ale... – Teraz to ona nie wiedziała, co powiedzieć.

– Tak, proszę się tym nie kłopotać. Proszę sobie teraz odpoczywać, my się tu zajmiemy wszystkim. Muszę kończyć. Bardzo dziękuję za telefon.

– To ja dziękuję za dobre chęci. Do usłyszenia.

XXI

Andrzej Domański uznał, że najciemniej jest zawsze pod latarnią, i spotkanie dwóch grup najemników najlepiej będzie zorganizować w hotelu, którego podwoje zostały otwarte dla gości dosłownie dwa dni wcześniej.

– Tylko ubierzcie się przyzwoicie – powiedział do Angie De Soto przez telefon, doprowadzając Amerykankę do spazmów śmiechu. – Albo chociaż wykąpcie.

Angie miała przekazać wiadomość o spotkaniu Louisowi, który zjawił się kwadrans przed czasem i z dwoma swoimi ludźmi zajął miejsce przy stoliku w restauracji hotelowej.

Louis, czterdziestopięcioletni Kanadyjczyk, który zaliczył w swoim życiu między innymi służbę w Legii Cudzoziemskiej, na pewno nie wyglądał na dowódcę grupy najemników. Niewysoki, niepozorny okularnik, zasłaniał umięśnione ramiona szerokimi bluzami albo, jak tego dnia, tweedowymi marynarkami. Rozglądał się ciekawie po sali znad karty menu, przypominając raczej niedofinansowanego profesora kultury niż przybyłego na ważną naradę najmitę. Zabrał ze sobą Adama zwanego Kermitem oraz Juliusa, na którego wołano Remi. Wszyscy trzej porozumiewali się po francusku, wyprowadzając z równowagi ludzi Jamala, ale to dzięki nim możliwe były w ogóle wyprawy do Iranu, gdzie mieli doskonałe znajomości wśród tamtejszych służb. Jamal wiele razy podkreślał, że woli nie wiedzieć, skąd tak naprawdę są przybocznicy Louisa i czym się w życiu zajmowali, bo od takiej wiedzy mogłoby mu się odechcieć dalszej pracy w tym zawodzie.

Andrzej podszedł do nich i usiadł za stołem.

– Jak wam się podoba mój hotel? – odezwał się po francusku, wzbudzając niemałe zdziwienie u swoich gości.

Louis uśmiechnął się pod nosem i pokręcił głową.

– Nie wiedziałem, że jest twój. Myślałem, że go tylko zbudowałeś.

– Dopóki nie zobaczę ostatniego rachunku zapłaconego, jest mój.

– Rozumiem. Hotel wygląda ładnie, ale znalazłoby się kilka niedoróbek.

– Popsułbym sobie opinię jako budowlańcowi, gdyby wszystko było zrobione na czas.

Louis roześmiał się.

– To na pewno. – Zerknął na zegarek. – No, a gdzie reszta?

– Zaraz będą. Zamówiłem wam kawę, coś do jedzenia też się znajdzie.

– Nie zwykliśmy jeść w obcych miejscach, ale... dziś możemy zrobić wyjątek.

Ludzie De Soto, trzech roślących mężczyzn o śniadych cerach, zjawili się punktualnie o umówionej godzinie. Podeszli do Louisa, Kermita i Remiego bez zbędnych ceregieli, podali im dłonie i zajęli najbliższy stół.

– A wasza... szefowa? – Louis spojrzął na nich pytająco.

– To jest Afganistan, a nie Londyn – odparł jeden z nich. – Kobiety nie zjawiają się w takich miejscach, zwłaszcza te, na które poluje pół Kabulu.

Louis zerknął na Domańskiego.

– Znam ich – powiedział Andrzej po francusku. – Rozmawiajcie.

– A ty?

– Ja reprezentuję zleceniodawcę. Muszę tu być. Poza tym mam ważne informacje do przekazania.

– Jasne – mruknął Louis i zwrócił się do ludzi Angie. – To może... ustalmy, co wiemy, po kolei. Potem będziemy mogli się zastanowić, co robić.

Angie czekała na swoich ludzi nieopodal hotelu. Siedziała na tylnej kanapie wysłużonego dżipa, rozglądając się wokół uważnie. Dwóch mężczyzn, którzy siedzieli z przodu, również czujnie obserwowało otoczenie.

– Nie wiem, czy to był dobry pomysł – westchnęła po długiej chwili milczenia.

– Czemu? – zapytał cicho siedzący za kierownicą Hamza, jeden z jej pierwszych nabytków w grupie.

– Przez ten cholerny hotel. Kręci się tu za dużo podejrzanych typów.

– Hmm... – mruknął Hamza, ale trudno było powiedzieć, co miał na myśli.

– Najpierw ta cała Jasmina, potem ten od samobójców...

– Myślisz, że nie możemy ufać temu... jak mu tam?

– Domańskiemu? Ja nikomu nie ufam, sam wiesz... Facet kręci tu jakieś grubsze wałki, mówię ci. Ale co do męża Maliny, to był do końca lojalny, nie wydał, że go ma u siebie.

– Wracają. – Milczący do tej pory Hassan wskazał głową na wejście do hotelu.

Jednak zamiast swoich ludzi, Angie zobaczyła Louisa z Kermitem i Remim. Wydawało się, że ich nie zauważyli, ale kiedy wsiadali do samochodu, Louis odwrócił się na moment i skinął lekko głową z wielkim uśmiechem.

– Aż mnie ciarki przeszły. – De Soto zadrżała lekko. – Ten facet zawsze mnie przerażał.

Dopiero po dziesięciu minutach trzech śniadych mężczyzn wyszło z hotelu. Wówczas Hamza włączył silnik i odjechał pod umówiony wcześniej adres. Spotkali się w jednej z licznych w centrum restauracji. Znajdowała się ona obok skrzyżowania, na którym w minionym roku doszło do wybuchu. De Soto wiedziała, że zamach skierowany był na jej grupę, ale po remoncie i pozornej zmianie właściciela wróciła tam ze swoimi ludźmi i wszystkimi interesami, jakie

przewodzący, tylko że do lepiej zorganizowanego zaplecza, do którego nie wchodził już frontowymi drzwiami.

– No to mówcie, na czym stoimy? – Angie chciała przejść od razu do rzeczy.
– Abdul?

– Po pierwsze, mamy dość jasny obraz sytuacji, w której się znajdujemy – zaczął pytany. Stał pośrodku pomieszczenia, żeby wszyscy mogli go dobrze słyszeć. – Szef tego hotelu wiedział, że chodzi o Wallace'a. – Spojrzał wymownie na Angie.

– Żartujesz?

– Nie. Odbył niedawno rozmowę z twoją przyjaciółką. O tej pogawędce nikt nie wie... Poza nami, oczywiście.

– Jasne. No i co dalej?

– Louis i jego ludzie też wiedzieli o panu W.

Angie przewróciła oczami.

– Szkoda, że jeszcze Huffington Post o tym nie trąbił – mruknęła.

– Ułatwiło nam to dyskusję. – Abdul uśmiechnął się pod nosem. – Ale dowiedzieliśmy się czegoś jeszcze. W Polsce ustalono, że człowiek, który stoi bezpośrednio za porwaniem Maliny, był w latach osiemdziesiątych w Afganistanie.

Angie wyprostowała się gwałtownie.

– Najemnik?

– Nie. Regularne wojsko radzieckie. Wówczas poznał młodego Polaka, który był najemnikiem po stronie Talibów. Szczegółów nie znamy, ale to on właśnie znalazł mu Malinę i pomógł ze swoimi kumplami zorganizować całe to przedstawienie, także po tym, jak ona uciekła porwaczom.

– Jasne. I co z nimi?

– Nic. – Abdul wzruszył ramionami. – Nimi zajmą się służby w Polsce. Już się zajmują.

– Mam nadzieję, że dobrze. – Angie skrzywiła się nieco.

– Problemem jest powiązanie Rosjanina z panem W. No i... sam pan W. Musimy go jakoś wywabić, gdziekolwiek jest, i uciszyć na dobre.

– Hmm... – Angie przygryzła wargę, zastanawiając się nad czymś. – Co amerykański generał na wysokim stanowisku może mieć wspólnego z jakimś mafioso z Rosji?

– Malina powiedziała, że się tym zajmie.

– Jak to? – De Soto była w szoku.

– Podobno wie, jak zdobyć wszelkie informacje o Rosjaninie, i to całkiem legalnie. Tak powiedziała Domańskiemu. Ale to dopiero w przyszłym miesiącu. Za to my musimy się zająć tymi z Kabulu.

– Kim? Bo się pogubiłam.

– Starzej się. – Hamza roześmiał się cicho.

– Co ty nie powiesz – odparła z ironią. – Nie wymądrzaj się. Abdul, o co chodzi, bo się starzeję.

– Chodzi o tych, którzy działają tutaj, którzy polują na grupę Jamala i Louisa, bo oni wciąż chcą zemścić się na twojej koleżance.

– Jasne. – Angie skinęła głową.

– Tutaj trzeba postąpić ostrożnie. Louis zaproponował dość ryzykowne rozwiązanie. Wystawią się jako grupa na przynętę, ale Domański odradza. W ogóle Polak twierdzi, że wie, kim są ci... przeciwnicy.

– No, zamieniam się w słuch. – Angie oparła się mocno o ścianę.

– Kabul to mały świat... – Abdul zawiesił głos i spojrzał po swoich kompanach, jakby chciał wzrokiem przeświecić ich umysły. – Mały i zgniły. Mamy wśród nas zdrajców.

De Soto, choć nie dała tego po sobie poznać, poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją mocno w brzuch. Rana odniesiona w czasie zamachu zaboląła ją ze zdwojoną siłą.

– Mów – powiedziała cicho, wyczuwając jednocześnie, jak atmosfera w jej grupie gęstnieje.

– Louis i jego ludzie mieli kilka tygodni temu pewne zlecenie w Kandaharze.

– Tak, słyszałam.

– Zleceniodawca dużo płacił. W gotówce. Ale miał warunek – nie zgodził się, żeby sprawa była oficjalna. Najemnicy Louisa mieli zrobić to „na czarno”, bez księgowania w Londynie. Zadanie było na tyle delikatne i na tyle skomplikowane, że Louis poprosił Jamala o wsparcie. Mieli jechać stąd małą grupą – także z Maliną – i pomóc im tam, po czym tego samego dnia wrócić. Ale, jak wiemy, w ostatniej chwili to odwołali i uciekli.

Angie opuściła głowę i zamyśliła się na moment.

– Co to było za zadanie?

Abdul uśmiechnął się dziwnie i spojrzał na dwóch mężczyzn, z którymi był w hotelu.

– Mieli napaść na mały konwój, który jechał do Camp Bastion i zabrać z niego jakieś dokumenty i parę innych rzeczy. Zgodnie z informacjami podanymi przez zleceniodawcę, konwój miał być słabo obstawiony, raptem kilku żołnierzy i cywili, ale było ich na tyle dużo, że Louis sam by sobie z nimi nie poradził, stąd konieczność wsparcia z Kabulu. Po telefonie jednorękiego coś tknęło Kermita i postanowił zostać na miejscu, żeby przyjrzeć się dokładnie sprawie.

Angie wbiła w Abdula przerażony wzrok.

– To była zasadzka – szepnęła ze ściśniętym gardłem.

Abdul skinął głową.

– Tak. Kermit z kolegą obserwowali miejsce, gdzie miało dojść do akcji. Owszem, przyjechała mała, słabo uzbrojona kolumna, ale zaraz za nią jechał ciężki

sprzęt, leciały także dwa Apache. Nie mieliby żadnych szans...

– I myślisz, że ktoś u nich zdrażał? – zapytał Hamza.

– Oni sami tak myślą.

– Ale kto? – Angie poczuła, że robi jej się słabo.

– Prawdopodobnie ktoś w grupie Jamala.

– Ale... ale oni uciekli wszyscy razem.

– Wiem.

Na moment zapadła złowroga cisza. De Soto usiłowała zapanować nad szalejącymi emocjami. W pewnej chwili spojrzała po twarzach swoich ludzi, a w jej oczach można było wyczytać zimny gniew.

– Jeśli któryś z was jest zdrajcą, to niech od razu sam sobie strzeli w łeb – wysyczała przez zaciśnięte zęby. Przypominała przy tym jadowitego węża. – Wiecie dobrze, że i tak się dowiem. Ukróćcie więc sobie męki, zanim dopadnę kapusia własnymi rękami.

Abdul uśmiechnął się kątem ust. Angie zerknęła na niego i w ułamku sekundy wiedziała, w którą stronę pobiegł jego wzrok. Zaciśnęła swoje chude dłonie, wbijając paznokcie w skórę, po czym nieznacznie skinęła głową.

Stojący w kącie młody Pakistańczyk nie zdołał wykonać żadnego gestu, choć po pracy jego tułowia widać było, że gotował się do ucieczki. Hassan i stojący najbliżej brodaty Amerykanin, Henry, złapali winowajcę za ramiona, wykręcając go boleśnie do tyłu. Chłopak chciał krzyczeć, ale przytomny Abdul jednym ruchem zdjął z szyi niewielką chustę, którą zwinął w knebel i zarzucił mu ją na usta.

– To co robimy? – zapytał Hamza Angie po arabsku.

– Wyciągnijcie z niego, co się da, a potem nakarmcie nim psy – odpowiedziała w tym samym języku. – Zabierz go stąd.

Po wyprowadzeniu zdrajcy w niewielkim pomieszczeniu zapadła grobowa cisza. Hamza wpatrywał się z niepokojem w chude plecy Angie, która zaciskała mocno swoje żylaste dłonie. Wszyscy wciąż stali w tych samych miejscach, bojąc się wykonać jakikolwiek ruch. Kiedy Abdul wrócił, atmosfera wcale się nie ożywiła.

– De Soto. – Wysoki Arab zwrócił się do swojej szefowej.

Angie podniosła głowę i spojrzała na niego, choć wydawało się, że jest nieobecna.

– Musimy powiadomić Jamala – powiedziała cicho.

– Polak z hotelu już się tym zajął.

– I co? – Zmrużyła oczy, starając się skupić na tym, co się do niej mówi.

– Powiedział, że nie wie, o kogo chodzi.

– To mnie nie dziwi...

– Oni chcą jechać do Niemiec, do Maliny i jej męża.

– Zwariowali?! – Angie podskoczyła na swoim miejscu. – Ściągną na nich

kłopoty.

– Jamal chce, żeby ten ktoś się ujawnił.

– Boże, co za idioci! – Angie pokręciła głową.

– Niekoniecznie – odezwał się Hamza. – Nie patrz tak na mnie. Skoro mają w grupie zdrajcę, to najlepszy sposób, żeby się dowiedzieć, kto nim jest. Niech zastawią na niego pułapkę.

Ramiona Angie opadły nisko.

– Może i racja – westchnęła, wyraźnie zmęczona, po czym spojrzała na Hamzę. – Dowiedźcie się od tego szczura, komu donosił.

– Myślę, że wiemy.

– Jak to?

– Mówiłem, że to mały świat. – Mężczyzna uśmiechnął się smutno, patrząc Angie w oczy.

De Soto cmoknęła z lekką irytacją i odwróciła głowę.

– Jasne... Przyjaciele Kirkwooda.

Zmarszczyła czoło i podniosła się gwałtownie z ławki, na której siedziała, ciężko przy tym oddychając.

– Niech to szlag! – Walnęła pięścią w stół, wywołując zdziwienie na twarzach swoich ludzi. – Od początku o to chodziło.

– O co? – Hamza skrzywił się.

– O nas... O to porwanie Wallace'a. Malina wyjechała, ale on zaczął mieszać, szukał nas, a jak znalazł, to zaczął niszczyć... Tak, przecież to oczywiste. Moje problemy w Agencji, fałszywe oskarżenia o szkolenie samobójców... Jak mogłam być tak ślepa? – Uderzyła się dłonią w czoło. – Jak mamy się tym zająć?

Hamza westchnął cicho i usiadł na wolnym krześle.

– Ten człowiek, który zabił Kirkwooda, powiedział, że jego grupa pomoże nam przy tej sprawie...

– Ale? – Angie patrzyła na niego roziskrzonym wzrokiem.

– Ale będziemy musieli się potem stąd wynieść. Chcą mieć Kabul na wyłączność.

– Też coś – prychnęła. – A reszta? Blackwater? Ruscy? Irańczycy? Nikt nie ma Kabulu na wyłączność.

– Nie wiem... Moje zdanie jest takie, że należy im ustąpić. Zająć się tym bałaganem i kulturalnie ulotnić. De Soto, tu jest coraz gorzej, sama wiesz najlepiej...

– Wiem. – Przygryzła wargę. – Chcecie pewnie iść na urlop, co?

Kilku z zebranych mężczyzn uśmiechnęło się, wymieniając porozumiewawczymi spojrzeniami.

– Przydałoby się – potwierdził Hamza też z uśmiechem. – Straciliśmy niedawno dwóch ludzi, to nie działa na nas dobrze...

– OK. – Skinęła głową. – Niech tak będzie. Zamkniemy to i zmywamy się.

XXII

– Podejrzewasz kogoś?

Jamal spojrział na Gogola z ukosa.

– Czy ty zawsze musisz zadawać takie bezpośrednie pytania? – Skrzywił się lekko i odwrócił wzrok. – Siwego.

Kostek parsknął śmiechem.

– Tak, to była bardzo niebezpośrednia odpowiedź.

Jamal wzruszył ramionami i spojrział na morze.

– Mam jednak małe „ale” – powiedział po chwili z westchnieniem.

– To znaczy?

– Po pierwsze takie, że Siwy jest z nami trochę krótko, a po drugie, że mogę być po prostu uprzedzony i nie widzieć rzeczywistości obiektywnie.

– Nie rozumiem...

Jednoręki znów popatrzył Kostkowi w oczy z powagą.

– Przywiązałem się do grupy, do ludzi w niej... Jestem więc sentymentalny i trudno ogarnąć mi umysłem, że ktokolwiek byłby do tego zdolny. Rozumiesz, co mam na myśli?

Gogol pokiwał głową.

– Ale ja też go podejrzewam – powiedział cicho. – On nie znosi Maliny, on nastawał na ten Kandahar i on najbardziej żałował pieniędzy... Tak przynajmniej twierdzi, bo to może być zasłona dymna.

– Właśnie. – Jamal pochylił się i podniósł kamyk z ziemi. Jednak użył do tego protezy i kamień wypadł mu pomiędzy metalowych palców.

Kostek wybuchnął śmiechem.

– Wybacz, to było słodkie. – Poklepał Jamala po szerokim ramieniu.

Jamal też się roześmiał i pokręcił głową.

– Boże, jesteśmy bandą kalek i obdartusów. Bez pieniędzy, bez swojej broni i bazy... Gdyby ktoś naprawdę się uparł, może łatwo zrobić nam krzywdę.

– Ale chyba nam zapłacą za tę ostatnią wycieczkę, co?

– Zapłacą. Akurat wystarczy na przelot do Niemiec. Tyle że... skoro mamy u siebie jakiegoś zdrajcę, tam też nie będziemy bezpieczni.

– To co proponujesz?

– Na razie działać jak gdyby nigdy nic. Do wylotu stąd.

Kostek zmarszczył czoło.

– Nie rozumiem.

– Wsiądziemy do samolotu, ale nie od razu do tego właściwego. I będziemy się przyglądać, jak niektórzy zareagują.

– OK. A nie martwisz się, że Malina z Łukaszem też są w niebezpieczeństwie? Ten ktoś mógł już donieść o miejscu ich pobytu.

– Na szczęście nikt z nas nie zna dokładnego adresu – westchnął Jamal.
– Pozostaje mieć nadzieję, że to na razie wystarczy i ich szybko nie namierzą... – Jednoręki urwał, bo dostrzegł zbliżającego się Siwego. – A ten czego chce?

Siwy podszedł i spojrzał na nich chmurnym wzrokiem, który w ostatnich dniach nie był u niego niczym niezwykłym.

– Chcesz odejść? – zapytał niespodziewanie Jamal. Kostek spojrzał na niego lekko przestraszony.

– Nie – obruszył się chłopak.

– A mnie się wydaje, że tak. Masz taką minę, jakby ci nic nie pasowało. Tu nikt nie pracuje z przymusu.

Siwy nie odpowiedział. Odwrócił wzrok na chwilę, jakby zastanawiał się nad tym, co ma zrobić.

– Chciałem pogadać. – Spojrzał na Jamala, rumieniąc się nieco. – W cztery oczy.

– To ja idę napić się wódki – oświadczył Gogol i ruszył w stronę ulicy.

– Czego chcesz? – zapytał Jamal, kiedy zostali sami.

– Chciałem zapytać, czy wszyscy ciągle mają do mnie pretensje?

Teraz Jamal musiał pomyśleć nad tym, co powiedzieć.

– Nie rozumiem – odparł, ważąc każde słowo. – W jakiej sprawie?

– Krokodyla.

– Że co? – Tego się nie spodziewał. – Możesz jaśniej?

– No... Wszyscy mieli do mnie żal, że zginął przeze mnie i dlatego mnie nie lubią.

Jamal roześmiał się z nutą ironii w głosie, ale w głębi ducha poczuł, jak zapala mu się czerwona lampka ostrzegawcza – chłopak mówił po angielsku zdecydowanie lepiej niż na początku. Słysząc było wyraźną nutę brytyjskiego akcentu. Mógł być bardzo zdolny, ale też mógł w tej chwili właśnie zdradzić się z czymś, co wcześniej ukrywał.

– Nie lubią cię, bo się nie dajesz lubić – powiedział spokojnie. – Popracuj nad swoim nastawieniem, a zobaczysz, że wszystko się zmieni. Mówię ci. – Po tych słowach ruszył w stronę ulicy, chcąc udać się tam, dokąd poszedł Kostek.

– Dlaczego jedziemy do Niemiec? – zapytał Siwy, powodując u Jamala wystąpienie gęsiej skórki.

– A dlaczego nie? – Odwrócił się w jego stronę i spojrzał na niego przenikliwie.

– Bo jesteśmy najemnikami? Bo mamy zarabiać pieniądze na wojnie, a nie siedzieć w bezpiecznej Europie? Sam nie wiem... A może ważniejsze są sprawy Justyny i jej męża, a nie nasze? To przez nią uciekliśmy, prawda? Przez jej

wybryki i głupotę.

– Tak – odpowiedział Jamal, wiedząc, że to zaskoczy Siwego, któremu w istocie odebrało mowę. – I jeśli ci to przeszkadza, możesz wrócić do Kabulu wesprzeć Louisa i jego ludzi. Możesz to zrobić nawet dziś i znów być porządnym najemnikiem.

Siwy zmrużył oczy, jakby w jego głowie dochodziło właśnie do poważnych procesów myślowych.

Nie jest głupi – przeszło przez myśl Jamalowi – tylko słaby emocjonalnie. Nawet jeśli nie zdradza, stanowi dla nas zagrożenie.

– Jaka decyzja? – zapytał, kiedy młody Polak wciąż milczał.

– Zostaję – odpowiedział cicho.

– Jutro lecisz do Kabulu. – Głos Jamala był stanowczy i nieznoszący sprzeciwu. Ciemnoskóry odwrócił się na pięcie i poszedł przed siebie.

Gogol dłuższą chwilę zastanawiał się nad kieliszkiem mocnej wódki, co ma powiedzieć.

– Hmm... Nie łapię twojej logiki, B.B. – przyznał szczerze. – Mówiłeś na początku, że lepiej zabrać go, żeby ujawnił się ewentualny zleceniodawca, a teraz wysyłasz go Louisowi, jakby on nie miał tam dość problemów.

– Louis sobie z nim poradzi, ale my możemy mieć problem z upilnowaniem go.

– Uprzedzisz go?

– Kogo?

– No, Louisa, o tym, że podejrzewamy Siwego.

Jamal roześmiał się cicho.

– Nie musiałem. Zadzwoił do mnie w nocy i zapytał wprost: „Myślisz, że to Siwy?”

Kostek potrząsnął głową.

– Nie rozumiem.

Jednoręki odsunął swój kieliszek, obrócił się w stronę Gogola i spojrzał mu prosto w oczy.

– Zaczęła się wojna – powiedział spokojnie. – Toczona na kilku frontach jednocześnie. Na jednym my staramy się przeżyć i uciec od niewidzialnego prześladowcy, na drugim Malina prowadzi śledztwo w sprawie swojego porwania, na trzecim ludzie w Warszawie jej pomagają, a na czwartym...

– Louis jest dwa kroki przed nami wszystkimi – domyślił się nagle Kostek.

Jamal skinął głową.

– Dokładnie tak. On, De Soto, były szef Łukasza i ludzie, o których nawet nic nie wiem, przygotowują coś większego, na tyle dużego, że już wiedzą, że ktoś nas od początku zdradza.

– Ale... – Gogol poczuł, że stracił chęć na picie alkoholu. – To oznacza...

Jamal, wtedy stało się coś więcej, prawda? Te wydarzenia sprzed pięciu lat były czymś większym...

Jamal nie odpowiedział, ale Kostek wiedział, że trafił w sedno.

– Ktoś... wydał na nas wszystkich wyrok śmierci. Zamach, kiedy straciłeś rękę... Oskarżenia przeciwko De Soto, problemy z innymi grupami najemników... Jamal, oni... ktokolwiek to jest, nie spocznie, nim nie zobaczy nas w trumnach.

– Tak myślę – szepnął Jamal.

– I to naprawdę przez to, że Malina porwała Wallace'a?

– Nie, to przez sprawy, o których Malina nam nie powiedziała. I zanim... – Jamal podniósł palec, widząc zaciśnięte usta Kostka. – Zanim eksplodujesz ze złości i będziesz chciał ją palić na stosie, powiem ci, że domyślam się, co się stało... naprawdę.

– To może mnie oświeć – wycedził Gogol.

– Po drodze do hotelu. – Jamal zeskoczył z wysokiego krzesła. – Chodźmy stąd.

Wyszli na gwarną i oświetloną ulicę Batumi, ale zaraz skręcili w jedną z mniej uczęszczanych uliczek, gdzie odruchowo obejrzeni się za siebie.

– Chyba jest czysto – stwierdził cicho Jamal i mocniej zawinął się w swoją wysłużoną kurtkę. – Słuchaj, może się starzeję i nie wszystko już tak dobrze pamiętam, ale sytuację z Dżalalabadu wciąż mam przed oczami.

– Ja nie bardzo – mruknął ponuro Gogol. – Akcja, jakich wiele...

– Mylisz się. Zostawiliśmy Malinę w Kabulu z rannym człowiekiem. Już wtedy zastanowiło mnie, że tak dobrze sobie radziła sama. Miała zawsze zapasy, leki, nie bała się...

– Bo miała ochronę, jak się okazuje – prychnął Kostek.

– Tak, ale my tego nie wiedzieliśmy. A w dodatku zadzwoniła do nas i powiedziała, że ma sprzęt i amunicję, i że ktoś może po to przyjechać.

Kostek zatrzymał się nagle i złapał Jamala za rękaw.

– Wtedy Nawi pojechał, prawda?

– Tak. Krokodyl się wyrywał, ale go nie puściłem.

– Właśnie! – Kostek doznał olśnienia. – Między nimi iskrzyło. Powiedziałeś, że gdyby pojechał, to by się pozabijali, ale tak naprawdę... Domyślałeś się czegoś, tak?

– Hm... To było dziwne. Malina tłumaczyła się dość pokrętnie, skąd ten sprzęt. Najpierw mówiła, że pożyczony od grupy Tomka „Łasicy”, a potem zażartowała, żebyśmy pozbierali wszystkie łuski, bo trzeba oddać do rozliczenia.

– Ale czekaj... My to właśnie zrobiliśmy. Zebraliśmy tonę łusek i zabraliśmy je do Kabulu. Po co?

Jamal skrzywił się lekko.

– Pamiętałem, jak mówiliście, że polskie wojsko rozlicza każde strzelanie,

nawet to na misjach, zbierając łuski. Więc jak o tym wspomniała, pomyślałem, że pewnie zakosiła sprzęt polskiemu kontyngentowi.

Gogol roześmiał się, choć wcale nie chciał.

– Ja nie mogę – rechotał. – Przez cały ten czas myślałeś, że walimy z broni polskiego wojska?

– No tak. – Jamal też zaczął chichotać. – Byliśmy kompletnie bezbroni, więc nie pytałem za wiele.

– Ale Polacy używają Beryli, a to były zwykłe AK.

– Właśnie. Dopiero kiedy Malina mi to wyjaśniła, zacząłem się zastanawiać. Ty wiesz, że Amerykanie często strzelają z AK, żeby nie było wiadomo, która ze stron „czyści” wioski.

– Wiem doskonale.

– Wynika z tego, że ludzie Wallace’a też je mieli, a z tego wynika, że...

Gogol spoważniał i zmrużył oczy.

– Kręcili coś grubszego niż generała, który udawał sierżanta.

– Dokładnie.

– Jamal?

Amerykanin odwrócił na chwilę wzrok i podrapał się po policzku metalowym palcem.

– Kochasz Angie... Zanim Kirkwood stracił głowę, mówił mi o czymś, co brzmiało trochę bezsensownie, ale potem DeeDee wyznała prawdę... czy tam półprawdę w aucie i zrozumiałem, że nie bredził.

– No i?

– Pamiętasz, z kim tłukliśmy się w Dżalalabadzie?

– Yy... No, mieliśmy zlecenie na dowództwo grupy szkoleniowej samobójców. Chyba...

– Tak. Dziś wiem, że namiar był bezpośrednio od De Soto. Dała go DeeDee, odbierając chleb swoim ludziom w Agencji. Sęk w tym, że chłopakom z Langley bardzo zależało na tym, by osobiście się nimi zająć. Ale kiedy tam pojechali, znaleźli tylko trupy i ani śladu po ich zabójcach. Zorientowali się, że ktoś u nich mógł ich sprzedać, tylko że bez łusek nie wiedzieli, kogo szukać. W tym czasie DeeDee po kryjomu oddała sprzęt i to, co zostało po amunicji, ludziom Angie. My byliśmy zbyt zmęczeni, żeby na to zwrócić uwagę.

– A co Angie zrobiła z tymi gratami?

– To jest dobre pytanie! Ja uważam, że oddali je ludziom Wallace’a.

– Co?! Po co niby?

– Dla żartu. Zwłaszcza te łuski. I wtedy stało się coś, czego nikt nie przewidział, a o czym powiedział mi Kirkwood przed śmiercią. CIA już miało zdjęcia generała w przebraniu sierżanta, więc wpadli do jego kwatery i na co się natknęli?

– Na sprzęt, którego użyliśmy.

– Zgadza się. Niestety na niektórych jego elementach były odciski De Soto. Na łuskach z pocisków, które zabiły grupę zamachowców pod Dżalalabadem. I tu dopiero zaczyna się cała historia. Ludzie, z którymi się biliśmy, nie byli Talibami. To była finansowana przez Zachód grupa likwidująca w Afganistanie grupy najemników, samobójców, dezertersów wojskowych i innych szemranych drani... Po ich śmierci zrobiono z nich bohaterów, którzy walczą z Talibami, a De Soto zamieniła się w zdrajczynię, która po brudnej robocie pozbierała dowody i podrzuciła je równie złemu generałowi.

– No tak, ale to znaczy, że Angie nie wiedziała, po której są stronie. Musiała być przekonana, że to obóz szkoleniowy.

– I była. Ona, Kirkwood i cały kabulski oddział CIA byli tego pewni. Angie nie naraziłaby DeeDee na takie niebezpieczeństwo.

– Czyli że... Tak naprawdę zabiliśmy ludzi, którzy na nas polowali i i tak by nas zabili.

– Wszystko na to wskazuje. – Jamal rozejrzał się nerwowo wokół siebie. – Chodźmy stąd, bo za długo tu stoimy.

Dotarli do swojego hotelu, który, choć z widokiem na morze, miał dość obniżony standard. Minęli znużoną recepcjonistkę z nazbyt mocnym makijażem i weszli na śmierdzące stęchlizną piętro. Kostek chciał już iść wyżej, gdzie znajdował się jego pokój, ale metalowa ręka zatrzymała go w miejscu.

– Co jest? – Spojrzał pytająco na Jamala, który, gdyby miał inny kolor skóry, byłby w tej chwili błąd jak papier.

– Cii... – Przyłożył palec do ust i wskazał gdzieś w przestrzeń. – Drzwi do pokoju Wiktora są uchylone.

Natychmiast sięgnęli po swoją broń i ruszyli przed siebie. Kostek podszedł powoli do drzwi i delikatnie je pchnął. Jamal w tym czasie mierzył do środka pokoju.

– *Shiiii!* – zaklął głośno i wpadł do środka na widok tego, co tam zobaczył.

Gogol nie wytrzymał długo i też zajrzał, a po chwili poczuł, że jego kolana robią się miękkie.

Na środku pokoju, obok łóżka, leżał Wiktor z poderżniętym gardłem. Jamal dopadł do niego, nie bacząc na to, że napastnik wciąż mógł być w pobliżu.

– Gogol, zobacz, czy Siwy jest u siebie – krzyknął, ściągając prześcieradło z łóżka. – I zadzwoń po pogotowie.

Kostek nie wiedział, czemu akurat ma sprawdzać pokój Siwego, ale kiedy wpadł do środka, zrozumiał, że Jamal właśnie jego podejrzewał o ten zamach.

– Nie ma go – zakomunikował po powrocie do pokoju Wiktora. – Spakował rzeczy, chyba bardzo się spieszył...

– A co z pogotowiem?

– Nic... – Kostek podszedł do okna. – Są już na dole. Myślałem, że ty zadzwoniłeś.

– Ja? W jakim języku? Teraz to nieważne. Pomóż mi uciskać. Może przeżyje...

Gogol klęknął przy krwawiącym koledze i dotknął jego szyi. Wiktor miał otwarte oczy i wyraźnie walczył, żeby nie odpłynąć. W oddali na schodach słychać już było biegnących sanitariuszy.

– Jamal – szepnął Kostek. – Musimy stąd zaraz spierdalać.
Amerykanin skinął tylko głową.

XXIII

Łukasz zerkał z lekkim niepokojem na zamyśloną twarz Justyny. Od ponad pół godziny nie odezwała się ani słowem, tylko ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w brzydki obraz na ścianie naprzeciwko.

Pewnie myśli o kolegach – skonstatował, kładąc jej dłoń na swojej. – Dawno nie dawali znaku życia.

Siedzieli w przytulnym biurze firmy ubezpieczeniowej, mieszczącym się w samym centrum deszczowego Londynu. Dla wtajemniczonych firma była naczelnym dowództwem dla kilkunastu, rozsianych po dalekim Wschodzie, grup najemników. Justyna dokonała już rozliczenia finansowego za wykonanie kontraktu, pozostała jej jedynie rozmowa z jakimś dyrektorem, który chciał otrzymać ustny raport z wydarzeń w Kabulu i Batumi. Wydawało się, że jest tym bardzo przejęta.

– Wszystko dobrze? – zapytał cicho Łukasz.

– No... – mruknęła, nie odrywając wzroku od obrazu.

– Co tam sobie myślisz?

– Może Łucja?

– Słucham? – Nachylił się bardziej w jej stronę.

– No, wiesz – Łucja, bo ty jesteś Łukasz. Imię prawie jak po ojcu.

– O czym mówisz?

– O imieniu dla niej.

Łukasz zamrugał powiekami.

– Zastanawiasz się nad imieniem? Teraz?

– No. Kiedyś trzeba, nie? A może Maja? Też ładne.

– Justyś... myślałem, że martwisz się o kolegów. Dawno się nie odzywali.

Przewróciła oczami ze zniecierpliwieniem.

– Koledzy – szepnęła, wydymając usta. – Nic im nie będzie.

– Ale Wiktor... Ktoś poderżnął mu...

– Jezu, Łukasz! Są pieprzonymi najemnikami. Ryzyko zawodowe. A skoro się nie odzywali, to znak, że sobie radzą.

Łukasz chciał dodać, że gdyby zginęli, też by milczeli, ale uznał, że dalsza dyskusja nie ma sensu.

Rozmowa z dyrektorem nie trwała długo. Justyna wyszła w dość dobrym nastroju, który, gdy tylko znaleźli się na korytarzu, diametralnie się zmienił, w ciągu zaledwie jednej sekundy.

– O, Boże! – Kobieta zatrzymała się i zasłoniła dłońmi oczy. – Boże, czemu?

Przerażony Łukasz złapał ją za nadgarstki i spróbował odsunąć jej ręce od

twarzy.

– Co ci jest, kochanie? Justynko, spójrz na mnie.

– Och! – jęknęła rozpaczliwie i oparła czoło na jego ramieniu. – To wszystko przeze mnie. Mógł dalej żyć.

– Kto?

– Krokodyl.

Łukasz zaklął w duchu, ale nie okazał nawet cienia zdenerwowania. Objął żonę ramieniem i poprowadził w stronę znajdującej się na uboczu kanapy.

– Usiądź sobie, odpocznij chwilę. Jesteś zmęczona. Wcześniej wstaliśmy, lotniska, samolot, teraz to spotkanie... – Usiadł obok niej i położył swoją kurtkę na kolanach, żeby mogła się o nią oprzeć. – Zdejmij buty i podnieś nogi.

Justyna posłusznie ułożyła się na kanapie, nie przestając cicho łkać.

– To wszystko do mnie nagle dotarło – powiedziała cicho po chwili. – Byłam tu z nim raz, na tym korytarzu, wiesz? Przyjechaliśmy na trzy dni coś załatwić. Tak samo łało, jak dziś... Byliśmy normalnie ubrani, zjedliśmy w normalnej kawiarni, tej po drugiej stronie ulicy. Widziałeś ją?

– Tak, widziałem.

– Nigdy wcześniej ani później nie chciałam bardziej z nim być, jak w ciągu tych trzech dni w Londynie. Przepraszam, że ci to mówię. Pewnie cię to boli, ale... Nigdy nikomu o tym nie powiedziałam. Nigdy...

Łukasz czuł, że cokolwiek teraz powie, będzie niewłaściwe. Wybrał więc milczącą obecność.

– Skurwiel – szepnęła nagle z jadem w głosie Justyna.

– Co?

– Krokodyl był skurwielem. Wiedział, że coś czuję. Wodził mnie za nos, kutas jeden.

Meyerowi nie pozostało nic innego, jak tylko powstrzymać wybuch śmiechu i pogłodzić Justynę po głowie w geście współczucia i pełnego poparcia.

– I jeszcze to drugie spotkanie – mruknęła ze złością. – Ile czasu zostało?

– Mój zegarek mówi, że trzy kwadranse.

– To poczekajmy tutaj. Okropnie bolą mnie stopy.

– Dobrze.

Londyńscy przełożeni Justyny zgodzili się udostępnić jej jedną z salek konferencyjnych, żeby mogła spotkać się z prezesami B.S.K. Jakubowski i Słotwiński zmuszeni zostali odwołać wszystkie swoje przedsięwzięcia, ponieważ „zaproszenie” ich nowej współpracownicy miało w tych dniach najwyższy priorytet.

Łukasz z ulgą stwierdził, że po kilkunastu minutach Justyna przestała chlupać w jego kurtkę. Wydawało się, że jest już całkiem spokojna i że pójdzie na kolejne spotkanie w lepszym nastroju. Była bardzo zmęczona, mimo że nie chciała się do tego przyznać. Puchły jej kostki, z trudem przychodził jej większy wysiłek, jak

choćby wspinanie się po schodach czy nawet sznurowanie butów. Dziecko, dopóki było w jej brzuchu, miało się lepiej, ale lekarze nie pozostawiali złudzeń – poród mógł zakończyć się bardzo źle zarówno dla córki, jak i matki. Dlatego zaplanowano bardzo trudną operację serca małej Meyerówny, którą mieli przeprowadzić najlepsi lekarze z Niemiec i Francji. Ku radości Justyny, doktor Tikriti też zapowiedziała swoją wizytę w klinice w Kolonii. Brat Łukasza, Krzysztof, nagłośnił w środowisku przypadek swojej bratanicy z zespołem Downa, która miała zostać zoperowana przed narodzeniem, dzięki czemu znalazły się środki na sam zabieg. Justynie ten rozgłos się nie podobał, nawet jeśli nie ujawniano ich personaliów, ale kiedy usłyszała, jak ktoś komentuje, że „takich dzieci się nie ratuje, tylko okazuje miłosierdzie poprzez aborcję”, była gotowa sama wystąpić przed kamerami.

Meyer spojrzał na jej nigdy niefarbowane włosy w kolorze orzecha włoskiego i zauważył wśród nich kilka długich srebrnych nitok. Pomyślał, że może to i dobrze, że umiała odciąć się od problemów kolegów w Gruzji i zajęła swoje myśli czymś innym.

– A może Marika? – zapytał cicho, głaszcząc jej policzek.

Nie odpowiedziała, ale wyczuł po chwili, że się uśmiechnęła.

XXIV

Słotwiński miał wrażenie, że w pomieszczeniu brakuje powietrza. Co kilka sekund poprawiał krawat pod szyją i chrząkał cicho. Jakubowski siedział nieruchomo z głową zwieszoną smętnie nad szklanym blatem i wydawało się, że myślami jest gdzie indziej.

Do salki weszła ciemnoskóra, bardzo chuda sekretarka z dwiema szklankami wody, które postawiła na stole. Potem podeszła do stojącej przy oknie Justyny i zapytała ją o coś szeptem.

– Nie, nie trzeba. – Do uszu Słotwińskiego dobiegł cichy głos jego byłej podwładnej. – Możesz nas zostawić.

Kiedy pracownica biura wyszła, Justyna nadal nie odwracała się w ich stronę. Wpatrywała się w zalewane strugami deszczu miasto.

– Pani Justyno... – Jakubowski nagle podniósł głowę, jakby coś mu się przypomniało. – Pani Meyer, chyba możemy przejść do omówienia naszych spraw.

– Tak. – Justyna skinęła głową. – Koszty opieki medycznej.

– Co... Och, no tak. – Prezes sięgnął po swoją aktówkę i wyciągnął z niej kserokopię jakiegoś artykułu. – Nie bardzo rozumiemy, dlaczego nasza firma miałaby pokrywać...

– To są koszty mojej opieki po operacji mojej córki.

– Yy... Jak to? Ale pani...

Justyna obróciła się w jego stronę i spojrzała mu prosto w oczy.

– Jak pan widzi, jestem w zaawansowanej ciąży, a moje dziecko jest chore. Za tydzień zostanie przeprowadzona skomplikowana operacja w klinice uniwersyteckiej w Kolonii, której koszty pokryją prywatni sponsorzy, zaś lekarze nie pobiorą za nią żadnych pieniędzy. Jednak pozostaje kwestia mojego pobytu w szpitalu: leki, wyżywienie, opieka pielęgniarska... Spędzę tam trochę czasu.

– Tak, rozumiem. – Jakubowski podniósł dłoń. – A więc ten artykuł jest o pani, tak?

– Zgadza się.

– Aha...

Zapadła niezręczna cisza. Jakubowski zerknął na kolegę, który nie spieszył się do zabierania głosu.

Justyna podeszła do stołu i oparła się dłońmi o blat.

– Zapłaci pan za najlepszą opiekę medyczną dla jednego z członków Zarządu – powiedziała spokojnie. – Ponieważ ów członek jest bardzo cenną jednostką w pana organizacji. Ponieważ... załatwił firmie rozległe kontakty w świecie mniej i bardziej legalnych grup militarnych, którym będzie można dostarczać za duże

sumy pieniędzy broń i innego rodzaju sprzęty.

Słotwiński poczerwieniał, a po sekundzie zbladł. Spojrzał na Justynę z wyraźnym lękiem w oczach, jakby nie był pewien, czy to, co powiedziała, było mówione na poważnie.

– Ale... Jak... – zacukał się. – My nic nie...

– Samoloty – Justyna przerwała mu. – To po pierwsze. Moja grupa zakupiła w zeszłym roku pięć maszyn brytyjskiej produkcji. Były beznadziejne. Z tego, co wiem, wasz... nasz dział nowych technologii wojskowych zaangażował się w finansowanie badań nad nowym polskim UAV, który bije na głowę nawet izraelskie wynalazki. Zrobicie więc wszystko, żeby doprowadzili projekt do końca, a ja sprzedam go, komu trzeba.

– Komu? – wyrwało się zaniepokojonemu Jakubowskiemu.

– Znajomym.

Odsunęła sobie jedno z krzeseł i usiadła naprzeciwko mężczyźni.

– Jesteście... nierozsądni – stwierdziła z lekkim uśmiechem na twarzy.

– Chcieliście mnie szantażować, żebym was doprowadziła do klientów... Żalotne, doprawdy. Nic o mnie nie wiedząc, planowaliście zrobić ze mnie idiotkę. Nie mieliście pojęcia, do czego jestem zdolna i jak daleko sięgają moje znajomości. Powiedziałabym, że to skrajnie nierozsądne.

Prezes przełknął ślinę i zacisnął usta. Justyna wiedziała, że poczuł się dotknięty i że w tym momencie nienawidzi jej ze wszystkich sił. Ostatnie, czego chciał, to znów poczuć, że nie ma kontroli nad sytuacją, a zwłaszcza nad swoją firmą.

– Nie wykupiła pani Adamiaków – powiedział z pretensją w głosie.

– I nie wykupię. Wy dwaj to zrobicie, jako rekompensatę za moje porwanie i generalnie za narażenie mnie na stres i niebezpieczeństwo.

Cisza, jaka zapadła, podpowiedziała jej, że przyjęli jej słowa do wiadomości i że nie będą dyskutować.

– A swoją drogą – dodała z wyrazem zadowolenia na twarzy – to doskonały pomysł, panie prezesie.

– Jaki?

– Ze sprzedawaniem broni. Rozmawiałam o tym z premierem. Też był zachwycony.

– Jak pani mogła?! – Słotwiński wyglądał jak zdradzony przez córkę ojciec.

Justyna roześmiała się.

– Tak samo, jak minister Chodziński, który sprzedał tajne informacje o mnie i mojej grupie panu prezesowi, narażając nas przy tym na śmiertelne niebezpieczeństwo – odparła, czując, że dziecko wbija swoją miniaturową piętę w okolice jej śledziony. – Nie roztrząsajmy tej kwestii za bardzo, bo nie mam na to czasu. Brzeziński siedzi w tym, co będziemy robić, i nic na to nie poradzicie.

Proponuję zająć się tym, co interesuje mnie najbardziej. Panie prezesie, Kowaliow.

Jakubowski westchnął ciężko i znów sięgnął po swoją aktówkę z cielecej skóry.

– Te informacje... – Spojrzał na plik dokumentów, który po chwili wahania przesunął po stole w stronę Justyny. – To są sprawy, które mogą nas wszystkich kosztować bardzo dużo.

– Rosjanie chcieli coś w zamian? – Kobieta wzięła do ręki kartki zapisane po rosyjsku i zaczęła je przeglądać.

– Chcieli... ekhm... Oni chcą po prostu utrzymywać z nami dobre układy bez ujawniania ich powiązań z tym człowiekiem.

– Brzmi rozsądnie. Mam nadzieję, że nie wieźliście tego przez granicę.

– Nie, skądże! Drukowaliśmy tutaj, u ludzi, których pani wskazała w mailu.

– Dobrze. Więc? – Spojrzała na nich pytająco. – Możecie mi to streścić?

– Tak... Kowaliow był żołnierzem radzieckim, który walczył w Afganistanie, o czym pani doskonale wie. Po powrocie z wojny przez jakiś czas błąkał się po podmoskiewskich wioskach, pił wódkę i rozpamiętywał z dawnymi kumplami stare czasy. Pewnego dnia, gdy byli na mocnym rauszu, natknęli się na grupę chuliganów, którzy chcieli ich pobić. Z chuliganów zostało niewiele, a Kowaliow wpadł na pomysł, że on i jego druhowie mogą się zorganizować i stworzyć własną organizację militarną... – przerwał, widząc zdumiony wzrok Justyny.

– Chce pan powiedzieć, że ponad dwadzieścia lat temu ten człowiek założył prywatną armię?

– Tak by wychodziło.

– I co? Wszyscy o tym wiedzieli?

– O, tak! Prezes tej firmy z Moskwy mówił, że Wołodia wręcz się tym chwalił. Był dobrze znany, także w świecie polityków, którzy chętnie korzystali z jego usług. Dorobił się, więc zaczął inwestować i zasiadać w radach nadzorczych różnych spółek. Potem trochę się pogubił... Z tego, co zrozumiałem, nieco mu odbijało, zaczął bawić się w przebieranki, udawał szpiega, a że był bardzo zdolny i szybko uczył się języków, rozszerzał swoje działania na inne kraje: Szwecję, Niemcy, Anglię. Dlatego z powodzeniem wszedł do naszej firmy, podając się za pani kolegę.

Justyna spojrzała na niewyraźne zdjęcie Kowaliowa z czasów, gdy był żołnierzem. Młody chłopak z poważną miną w niczym nie przypominał człowieka, który udawał Józwińskiego.

– Pani Justyno – zaczął niepewnie Słotwiński. – Czy pani wie, dlaczego ten człowiek chciał panią porwać?

– Poprawka: porwał. – Podniosła wzrok i spojrzała na niego przenikliwie.

– Tak, wiem.

XXV

– Jak to: wyjmą jej dziecko z brzucha? – Hamza skrzywił się z niesmakiem.
– No, normalnie – odparł Remi. – Rozetną brzuch, wyjmą dzieciaka, rozetną dzieciaka i zoperują mu serce.

Hamza pokręcił głową.

– Chore.

Do pokoju wpadła zdyszana Angie.

– Gdzie Louis? – zapytała, wodząc roziskrzonym wzrokiem po twarzach zebranych.

– A bo ja wiem. – Remi wzruszył ramionami.

– Uh, ty żabojadzie cholerny! – prychnęła, po czym wyszła.

– Nie jestem żabojadem – obruszył się. – Pochodzę z Kanady.

– No i co z tym dzieckiem? – Szturchnął go Hamza. – Będą je potem wkładać z powrotem?

– Tak. Włożą i zaszyją brzuch.

– I co?

– Nic. Odczekają i się urodzi. Louis mówił, że znów rozetną brzuch i wyjmą, ale już na dobre.

– A to nie mogą go operować po porodzie?

– Ją. To dziewczynka. Nie wiem. – Wydał usta. – W sumie bez sensu.

Remi rozejrzał się po pomieszczeniu. Dawne mieszkanie Justyny i Łukasza wyglądało tak samo jak w dniu, w którym w pośpiechu się wyprowadzili, a od kilku tygodni służyło jako miejsce spotkań dla ludzi Louisa i Angie.

– Gdzie oni wszyscy są? – Kanadyjczyk spojrzał na zegarek. – Mieli tu być godzinę temu. Zaraz się schlejemy do reszty i tyle z tego będzie. O, wasz Henry już ledwo na nogach stoi.

Stojący przy oknie brodaty Amerykanin obrzucił ich pogardliwym spojrzeniem i beknął cicho.

– Jest zły – wyjaśnił Hamza.

– Na co?

– Na nas. Rozmawiamy po francusku, a on nic nie rozumie.

– To się trzeba było uczyć – mruknął Remi, sięgając po butelkę.

Do mieszkania wparowała Angie, złorzecząc na idącego za nią Louisa, który śmiał się pod nosem.

– Miałaś być tu dawno temu. Straciłam czas i nerwy, bo ty nie szanujesz nikogo ani niczego. Własnych ludzi też nie szanujesz. Siedzą tu i wpadają w alkoholizm... – Obejrzała się i spojrzała na niego oburzona. – No i z czego się

śmiejesz?

– Nie wiedziałem, że tak za mną tęsknisz. Gdybym wiedział... nie pozwoliłbym ci cierpieć.

– Boże! – Angie przewróciła oczami, zaciskając pięści. – Zaraz mu łeb urwę.

– Uspokój się i usiądź – powiedział i sam zajął miejsce na kanapie.

– Nie będę siadać. Malina jest po operacji, ale oczywiście jej nedorozwinięty umysłowo mąż nie raczył wysłać wiadomości, czy wszystko dobrze.

– Po jakiego miał ją wysłać, co? Poza tym, dlaczego do ciebie?

– Och, wiem, wiem... – Machnęła ręką. – Ale się denerwuję. Dopóki ona sama nie stanie na nogi, nic nie będę wiedziała. No i co? Już wiesz coś o tej grupie Kowaliowa?

– Wiem bardzo dużo, nawet znam niektórych ludzi. No, może nie jesteśmy przyjaciółmi, ale otarłem się kilka razy o parę osób.

– I?! – Wbiła w niego morderczy wzrok.

– I nic. Najemnicy tacy jak my – roześmiał się. – Tyle że nie wiedziałem, kto jest ich szefem.

– Aha... No, a ci z Dżalalabadu?

Louis spojrzał na nią tak, jakby jej współczuł.

– Wiem, że to dla ciebie trudne...

– Oczywiście, że jest trudne! – prawie krzyknęła. – Naraziłam ją na niebezpieczeństwo.

– Tak jak twoi przełożeni.

– Tak. – Skinęła głową i zacisnęła usta. – Nikt nam nie powiedział, że to nie Talibowie. Z wszystkich nas zrobili idiotów. Planowali rozwalić tę placówkę od dawna. – Zamyśliła się na moment, patrząc za okno. – I co? Oni też byli od Kowaliowa?

– Tak.

Angie nie wytrzymała i usiadła na kanapie obok Louisa.

– I najął ich Wallace? – zapytała cicho.

– Tak.

Pokiwała głową.

Louis nachylił się w jej stronę.

– De Soto, już wiemy, że amerykański generał wynajął grupę rosyjskich najemników do robienia czystek w Afganistanie...

– Jesteś geniuszem dedukcji – mruknęła z sarkazmem.

Uśmiechnął się i zerknął na Remiego.

– Weszłyście mu w drogę, ty i Malina. Gdybyście go wtedy nie porwały, wszystko wyglądałoby dziś inaczej.

– A wiesz może, po co to zrobił? Po co te czystki?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. I ty lepiej też sobie daj spokój.

– Zastanowię się.

Louis pokręcił głową i dał znak Remiemu, żeby podał mu butelkę z wódką.

– Ty mi tu teraz nie pij wody! – Angie pacnęła go dłonią w bark. – Mamy sprawy do omówienia.

– Jakie znowu?

– Kto sypał w waszej grupie.

Louis ze spokojem odkręcił butelkę i pociągnął spory łyk trunku, nie krzywiąc się przy tym ani trochę.

– Takich rozmów nie powinno się przeprowadzać na trzeźwo – stwierdził i podsunął De Soto butelkę. – Masz. Ty też powinnaś.

Angie skrzywiła się, ale wzięła od niego wódkę i brzegiem sukienki wytarła szyjkę.

– Wiecie, gdzie jest Siwy? – zapytała, łapiąc oddech, kiedy alkohol zaczął palić ją w przelyku.

– Ani śladu po nim. Rozpłynął się w powietrzu albo utopił w Morzu Czarnym.

– Ale macie jakiś dowód, że to on był przekupiony?

– Nie. Remi posprawdzał różne źródła i nic na niego nie znalazł.

– To po co podrzynał gardło Wiktorowi?

– Nie wiem. – Louis rozłożył ręce. – Osobiście uważam, że to nie on zdradzał.

– Bo?

– Bo był tu za krótko. Owszem, mógł być wcześniej gdzie indziej, to znaczy u Kowaliowa, poza tym znał Malinę ze szkoły, co czyniło go idealnym kandydatem na szpiega...

– Właśnie! – Angie aż podskoczyła. – To czemu wątpisz w jego winę?

– Bo zdrajcę musieliśmy mieć naprawdę dużo wcześniej. Kiedy porywałyście Wallace'a, Siwy był w Polsce żołnierzem, studiował, miał jakąś narzeczoną...

– A skąd ty tyle o nim wiesz, co? – De Soto spojrzała na niego podejrzliwie.

– Od ludzi męża Maliny. Oni wszystko sprawdzają. Rodzina Siwego i jego była narzeczona są cały czas pod obserwacją policji.

– A... OK, więc zakładamy, że to nie on. Wobec tego kto?

– Może ten, z kim ty miałaś kontakt po odejściu Maliny?

– Oszalałeś?! On? Na pewno nie.

– Skąd wiesz?

– Wiem i już.

– De Soto, w ten sposób daleko nie zajedziemy...

– Czeka! – Angie podniosła palec wskazujący. – Coś mi się przypomniało.

Czekaj, czekaj. – Poderwała się z miejsca i stanęła na środku pokoju. – Polska.

Louis spojrział zdziwiony na ludzi Angie, ale wydawało się, że oni tak samo nic z jej zachowania nie rozumieją.

– Malina powiedziała coś takiego... – Amerykanka wbiła wzrok w podłogę, jakby tam chciała znaleźć odpowiedź. – Mówiła, że w czasie rozmowy w Londynie dziecko kopnęło ją mocniej, kiedy o czymś sobie pomyślała.

Louis opadł zrezygnowany na oparcie kanapy i wychylił kolejny łyk wódki.

– To może spotkajmy się kiedy indziej – zasugerował. – Skoro wydajesz się być... niedysponowana.

– Myślisz, że zwariowałam, ale ja wiem, że mam rację. Malina mówiła, że jakiś minister u nich wiedział o waszej grupie i to on ją zdradził przed jej szefami, przez co została porwana. Ha! – Klasnęła w kościste dłonie. – Twoja mina świadczy o tym, że ty też czujesz bluesa. To musi być to.

– Ale że co? – odezwał się spod okna Henry.

– To, że równie dobrze mógł zdradzić nas komu innemu – odpowiedział Louis.

– Minister? – Remi skrzywił się. – Komu? Rosjanom?

– A kto ich tam wie... w tej Polsce – prychnęła Angie. – Louis, musimy sprawdzić, czy oni się kontaktowali, to znaczy ten minister i Wallace.

– Od czego on był ministrem? – Louis poczuł, że się gubi.

– Obrony narodowej.

Kanadyjczyk poderwał się z kanapy i spojrział na Angie z gniewem.

– I mówisz mi o tym dopiero teraz?! – krzyknął jej prosto w twarz, po czym wyszedł z mieszkania, klnąc po francusku i w każdym innym języku, jaki znał.

XXVI

– Panie inspektorze... – Głos Brzezińskiego zdradzał skrajne zmęczenie.

– Komisarzu – poprawił go Kotowicz. – Jestem ciągle komisarzem.

Premier machnął ręką.

– Siadaj pan – rozkazał, wskazując krzesło przed swoim biurkiem.

– Panie premierze, uważam, że musi pan wiedzieć.

– Tak, tak. Muszę... I niech mi pan powie, co ja mam z tym zrobić, o czym mi pan tu mówi, co?

Tomek zamrugnął powiekami.

– Ale... ja...

– Dobrze. – Brzeziński nachylił się nad biurkiem i oparł łokcie na blacie.

– Pan wybaczy, ale nawet jak dla mnie to za dużo. Nie lubię Chodzińskiego, nienawidzę wręcz, ale... Jeśli to prawda, to... będę musiał gnoja odstrzelić. Najlepiej osobiście.

Kotowicz pomyślał, że pomimo całej swojej niechęci do wykonywania zleceń dla premiera, z całego serca lubił sposób bycia głowy rządu. Szczery i konsekwentny, a w dodatku fachowiec, czyli ostatnia osoba, która powinna znaleźć się na tym stanowisku.

– Mówi pan, że Kabul podejrzewa go o kontakty z jakimś zawszonym amerykańskim generałem, tak?

Kotowicz skinął głową.

– I że ten generał najął rosyjską grupę najemników do usunięcia innych najemników z Afganistanu, tak?

– Tak, panie premierze.

– W tym grupę pani Dąbek?

– Nie inaczej.

Brzeziński oparł się plecami o swój fotel i założył ręce na piersi.

– To by miało sens – powiedział po chwili, kiwając się lekko w przód i w tył.

– Naprawdę? Jak to?

– To proste. Chodziński odwzajemniał zawsze uczucia, jakie ja żywiłem do niego, więc gdy byłem szefem wywiadu, rzucał mi takie kłody pod nogi, że mogłem z nich zbudować drugi Biskupin. Niestety, dowiedział się, że najmuję Muszyńskiego i jego ludzi do ochrony PKW w Afganistanie, i robił, co mógł, żeby mnie na tym udupić. Nie udało się, bo to był jedyny sposób, żeby podtrzymywać propagandę sukcesu i żeby niektóre pierdoły w mundurach wróciły całe z misji. Ówczesny premier mi wszystko podpisywał, a każdy kolejny udawał, że nic o tym nie wie.

– Musiał więc być bardzo zły i zdesperowany.

– Musiał, skoro posunął się do czegoś takiego. Ten cały generał z jakiegoś niezrozumiałego powodu wprowadził Rosjan na teren Afganistanu, co samo w sobie jest wielkim nieporozumieniem... I nagle spotyka tego szczura, który chce usunąć grupę najemników pracującą dla mnie. Doskonała zbieżność interesów, prawda? Niech mi pan powie, macie jakieś dowody, że się spotkali?

– Tak. To było oficjalne wydarzenie. Chodziński pojechał do naszych żołnierzy i spotkał się z Wallace'em w Kabulu. Mamy artykuły i nagrania na Youtube. Justyna podała datę, kiedy jej grupa została zaatakowana przez najemników Kowaliowa – to było miesiąc po tym spotkaniu.

– Ja pierdolę! – jęknął premier i potarł dłońmi twarz. – Normalnie do odstrzału za takie coś. A potem ta biedna kobieta trafiła do pracy u brata najlepszego kumpla Chodzińskiego, jakby było mało. Z deszczu pod rynnę. Skoro już o tym mowa, jak ona się czuje?

– Justyna? Dobrze. To znaczy, jej mąż mówił, że dochodzi do siebie i wszystko układa się pomyślnie.

– No i świetnie. Gdyby pan znów z nimi rozmawiał, proszę powiedzieć, że znalazłem dla nich dom na Żoliborzu. Mój sekretarz wszystko załatwia, więc jak wrócą, będą mogli się wprowadzić.

– O... – Kotowicz był zaskoczony. – To... bardzo miłe z pana strony.

– A co z tymi uciekinierami?

– Z kim?

– Tymi nieszczęśnikami, których ktoś napadł w Gruzji.

Tomek ugryzł się w język w ostatniej chwili, chcąc zapytać, skąd Brzeziński o tym wie.

– A... oni. Tak... Żona jednego z nich mówiła, że złapał z nią kontakt tydzień temu. Są w Bułgarii.

– Hm... A potrzebują jakiegoś wsparcia dyplomatycznego? Mogę coś pomóc, bo mam tam chyba kogoś swojego.

Kotowicz nie chciał wiedzieć, co w nomenklaturze premiera oznacza ktoś „swoj”, więc tylko uśmiechnął się i odpowiedział:

– Zapytam i dam panu znać.

XXVII

Młoda opiekunka czuła, że jeszcze chwila i eksploduje, choć z natury była spokojną osobą, a praca, którą wykonywała, zobowiązywała do życzliwych zachowań.

– Proszę państwa, to naprawdę świetna placówka – powtórzyła piętnasty raz to samo zdanie. – Państwa wnuczka będzie tu miała najlepsze warunki rozwoju... jeśli do nas trafi.

– Jeśli – mruknęła z przekąsem Zofia, trącąc łokciem Stefana, który nie mógł oderwać oczu od raczkujących wokół maluchów. – Będziemy musieli się dobrze zastanowić.

– A może lepiej będzie, jeżeli to rodzice przyjadą tu z małą i sami ocenią? – Kobieta próbowała uchwycić wzrok Stefana, czując, że w nim może znaleźć ratunek.

– To niemożliwe – odparła Zofia, krzywiąc się. – Na razie nie mogą, ale my musimy upewnić się, że nasza wnuczka będzie miała wszystko co najlepsze.

– Tak, tak. – Stefan energicznie pokiwał głową. – Musi mieć wszystko z najwyższej półki. Przedszkole też. Długo czekaliśmy...

– Rozumie pani, że ona ma zespół Downa? – Zofia spojrzała na opiekunkę tak, jakby powątpiewała w jej inteligencję. – Na stronie waszego przedszkola napisaliście, że przyjmujecie takie dzieci, ale my musimy być pewni, że nie stanie się jej tu krzywda.

– Boże uchowaj – szepnął Stefan z przejęciem.

– No dobrze... – Opiekunka nabrała powietrza w płuca, po czym powoli je wypuściła. – A w jakim wieku jest dziecko? Oddział żłobkowy przyjmuje już od szóstego miesiąca.

– W żadnym wieku! – Zofia wyglądała na zdeglustowaną. – Urodzi się za sześć tygodni. Chyba nie sądzi pani, że z ręką w nocniku będziemy szukać czegoś, jak już będzie duża. Musimy sprawdzić wszystkie opcje teraz.

– Nie urodziła się jeszcze? Ale... Dopiero co mówiliście, że przeszła operację.

– Bo przeszła. I już jest zdrowa. A jak się urodzi, od razu będziemy się starać, żeby dostała to, czego jej trzeba: rehabilitację, muzykoterapię, basen...

– To może od razu ją na paraolimpiadę zapiszcie – zasugerowała z sarkazmem opiekunka.

– Stefan – Zofia znów szturchnęła męża – z Downem biorą na paraolimpiadę?

– Chodźmy stąd. – Stary Meyer złapał żonę za rękaw. – Nie podoba mi się podejście tej młodej pani. W ogóle nie rozumie, po co tu pracuje. Do widzenia. – Po tych słowach wyszli z przedszkola.

– Stefan, czy my w ogóle znajdziemy coś w tym mieście? – Zofia wyglądała na załamana. – To piąte przedszkole i wszędzie jakieś niedorajdy pracują. Ja nie oddam dziecka takim ludziom.

– To najwyżej założymy własne przedszkole – odparł stanowczo i odblokował centralny zamek w aucie. – Wsiadaj. Nie ma się co teraz tym martwić. Grunt, że operacja się udała i że niedługo wrócą.

– Trzeba chyba po nich jechać, co? – Kobieta zapięła pas i od razu sięgnęła po lusterko i szminkę. – Ale zaraz! Jak to: własne przedszkole?

– No tak. Przebranzowimy się, jeśli będzie trzeba.

– To chyba nie takie proste, co?

– Może nie, ale popatrz na naszego Jacusia. Sam chłopak wszystko załatwia, kursy robi, na przepisach się zna... I świetlica się rozwija jako legalna placówka.

– Sam? Zapomniałeś o nas i Ziotku. Bez nas niczego by nie zrobił. O, i jeszcze bez Joli. Ten cały Bolek do przerzucania węgla się nie nadaje.

Stefan cmoknął z dezaprobatą.

– Nie obgaduj.

– Nie obgaduję! Świętą prawdę mówię. On mi o jakichś kryzysach z wiarą mówi, ale jak dla mnie to po prostu nie do tej roboty człowiek. Nie rób min, Stefan, bo wiem, co mówię. Niech lepiej sobie znów wraca na zapleśniałą parafię i pozwoli porządnym ludziom pracować.

Meyer nie ciągnął dalej tej dyskusji. W głębi ducha stuprocentowo zgadzał się z Zofią w kwestii księdza Damiana, ale nigdy tego głośno nie powiedział. Po pierwsze uważał, że to nie jego sprawa, a po drugie nie chciał, żeby jego i tak zarozumiała żona obrastała bardziej w piórka. Przychylał się również do zdania, że oni dwoje, szwagierka Jola i Józef Nienacki w znaczący sposób przyczynili się do rozwoju świetlicy Jacka i że bez ich pomocy młody kapłan byłby całkiem sam, w dodatku obarczony kolegą, który miał wyraźnie problemy z emocjami.

Tego dnia szczególnie mocno spieszyli się do prawobrzeżnej części Warszawy, ponieważ właśnie dziś mieli próbę generalną przed uroczystym otwarciem nowej świetlicy. Mieszkanie kupione od kolegi Ziotka szybko zrobiło się za małe, jak na potrzeby, które musiał zaspokoić ksiądz Jacek.

– Uh! – jęknęła Zofia, kiedy przejeżdżali przez most. – Taki upał, że pewnie nikt się nie zjawi. Ani pół dziennikarza nie przyjdzie.

– No i co z tego? Z Bożą pomocą wszystko się uda. Bez pismaków.

– W ogóle czemu ten pośpiech? Jakbyśmy nie mogli zrobić tego otwarcia we wrześniu albo w październiku. Łukaszek już by był ze swoimi dziewczynami.

– We wrześniu premier nie będzie mógł przyjechać. W październiku wybory...

– Też coś! Premier! A ty myślisz, że on w ogóle jutro przyjedzie?

– Nie wiem, czy jutro, ale dziś już jest. – Stefan wskazał na zamkniętą przez policjantów ulicę.

– Dziś!?! – Zofia wpadła w popłoch. – Stefan! Jak ja wyglądam? Jezus Maria! A jak ktoś mi zrobi zdjęcie?

Stefan przewrócił oczami, gryząc się w język, żeby nie powiedzieć jakiejś kąśliwej uwagi. Musiał bardziej skupić się na znalezieniu miejsca do zaparkowania, a potem na przebiciu się przez rosnący tłum gapiów. Jego żona dreptała tuż za nim na wysokich szpilkach, rozglądając się nerwowo wokół w poszukiwaniu fotoreporterów, którzy czailiby się, żeby zrobić zdjęcie jej niedoskonałej fryzurze. Nagle zatrzymała się, wbijając chude palce w przedramię męża.

– Meyer – szepnęła konspiracyjnie. – Tam jest Fornalski.

– O czym ty, kobieto, mówisz? – Stefan zadarł głowę, żeby dostrzec coś więcej. – Po co on miałby tu przyjeżdżać?

XXVIII

Brzeziński nie był w świetlicy księdza Jacka po raz pierwszy i miał przynajmniej dwa powody, żeby interesować się tym miejscem. Najpierw uznał, że to doskonała przykrywka dla spotkań z Nienackim, z którym omawiali plany na przyszłość. Uważny obserwator mógł zorientować się, że głowa rządu odwiedza wykolejoną młodzież zawsze wtedy, gdy pod tym samym adresem przebywa starszy jegomość o mocno pomarszczonej twarzy. Później Brzeziński zaczął zabierać ze sobą swojego wnuka i okazało się, że dla tego upośledzonego dziesięciolatka jest to idealne otoczenie, do którego często wracał w towarzystwie opiekunki.

Miłosz widział przeciskających się przez tłum Meyerów już z daleka. Uznał więc, że może przestać interesować się dziadkiem i jego towarzyszem z aparycją przypominającą drewnianą rzeźbę. Kiedy Stefan z Zofią podeszli do niego, wyciągnął uprzejmie dłoń i przywitał się z nimi na swój powściągliwy sposób.

– Miłoszku, jaki elegancki dziś jesteś – zaświergotała Zofia.

– Przecież zawsze jest elegancki. – Stefan objął chłopca i ucałował go w czubek głowy. – Przywiozłeś dziadka do nas?

– Przywiozłem – przytaknął chłopiec.

– A co to za pan z nim jest? – zapytała kobieta, ścisząc ton.

– Nie wiem. – Miłosz wzruszył ramionami i zaplótł dłonie za plecami, podkreślając swój brak zainteresowania tematem.

– To chodźmy do środka – zaproponował Stefan i położył dłoń na ramieniu chłopca. – Jacek pewnie w ukropie.

Meyerowie minęli stojącego przed wejściem Brzezińskiego, z którym przywitali się skinieniem głów. Premier uśmiechnął się pod nosem.

– Widzę, że pana wnuk owinął tu sobie wszystkich wokół małego palca – stwierdził Fornalski.

– Tak. Miłosz jest najlepszym z moich agentów – roześmiał się Brzeziński.

– No, dobrze, panie prezesie. Pouśmiejmy się jeszcze chwilę, bo widzę, że sępy się już zbierają.

Fornalski zerknął na drugą stronę ulicy.

– A... – mruknął, ledwo przy tym ruszając ustami. – Dziennikarzyny. Pan wie, że ja się do młodzieży nie nadaję.

– A ja się nadaję? Od tygodni czytam, że moje zainteresowanie tym miejscem to czysta przedwyborcza demagogia. Jutro pewnie się dowiemy, że przywiozłem tu pana, żeby pan mógł doczepić kwiatek do kożucha swojej mizernej kampanii.

Prezes zarechotał cicho.

– Niech piszą. Byleby prawdy nie znali. Wchodzimy?

– Tak.

Nowa świetlica znajdowała się na parterze jednej z kamienic Pragi. Kilka obszernych pomieszczeń zostało gruntownie wyremontowanych i wyposażonych w potrzebne sprzęty. W chwili, gdy premier z Fornalskim weszli do środka, trwały ostatnie prace wykończeniowe – myto okna, odkurzano podłogi, przybijano gwoździe i wieszano obrazki na ścianach. Wzrok prezesa od razu powędrował w stronę ekipy specjalistów, montujących system alarmowy.

– Zgadza się – szepnął premier, widząc jego minę. – Pomyślałem o wszystkim.

Fornalski uśmiechnął się przebiegle i ruszył pewnym krokiem w stronę grupy młodych mężczyzn, którzy przesuwali stoły pod dyktando Nienackiego. Po pięciu minutach był z wszystkimi zaprzyjaźniony.

– Jak on to robi?

Brzeziński obejrzał się w stronę, skąd dobiegał głos.

– A, to ksiądz – uśmiechnął się do nieco bladego Jacka. – Ale że co? Że prezes polubił się z nimi?

– Nie. Że oni polubili jego. Przed chwilą wyglądał jak kamienny posąg bez uczuć, a teraz jest ciepłym misiem, którego wszyscy kochają.

Brzeziński parsknął śmiechem.

– Jest politykiem, musi umieć trochę grać na emocjach.

Jacek spojrział na niego przenikliwym wzrokiem.

– Był tu pan kilka razy, panie premierze, i wie pan doskonale, że oni wiedzą, kto gra, a kto nie.

– Widzi ksiądz, jego też poznałem trochę bliżej przez ostatnie miesiące i przekonałem się, jak bardzo pozory mylą.

– Hm... – Jacek nie wyglądał na przekonanego. – A po co pan go tu przyprowadził? To znaczy... nie żebym miał pretensje, ale odnoszę wrażenie, że chce pan coś ugrać za pomocą tego miejsca.

– Za obopólną korzyścią – przyznał szczerze premier. – Chciałem z nim o czymś porozmawiać i uznaliśmy, że to miejsce będzie najbezpieczniejsze. Niestety, będą też skutki uboczne naszej decyzji...

– Jakie, na Boga?

– Takie, że za tydzień zwali się tu na głowę księdzu pół lewicy.

– Nie rozumiem. – Ksiądz był wyraźnie wystraszony tym, co usłyszał.

– Dziś i jutro prasa obsmaruje nas za granie pod publiczność, ale za parę dni każdy będzie chciał mieć z księdzem zdjęcie. Każdy też będzie chciał mieć takie uśmiechnięte foty, jakie teraz robią Fornalskiemu i pana podopiecznym.

– Wcale nie prosiłem o taki rozgłos – mruknął ponuro Jacek.

Brzeziński spojrział na niego z powagą.

– Ale jest potrzebny tym dzieciom. Księdza dyskomfort to niewielka cena za ich pożytek.

– Może...

– Na pewno. – Premier pokiwał głową. – Przepraszam na moment. Widzę, że Nienacki jest nieco luźniejszy. Muszę z nim pomówić.

Jackowi nie podobały się konszachty Ziutka z Brzezińskim. Był zły na przyjaciela za ściągnięcie do świetlicy tego dość kłopotliwego gościa, ale nie okazywał tego za bardzo, bo za premierem szły środki finansowe i większe poparcie ze strony samorządu. Westchnął tylko cicho i wrócił do swoich zajęć.

Znaczący uśmiech Ziutka odpowiedział premierowi, że czeka na niego prezent.

– Mam w mieszkaniu – szepnął konspiracyjnie Nienacki. – Tu niczego nie można trzymać, zwłaszcza procentów, bo te łązgi wszystko wyłożą.

– To wyślemy potem kogoś. Śliwki?

– Nie, tym razem wisienki. Dobre, ale na owoce trzeba uważać. Strasznie trzepią po nogach. Ciasto przywiozę następnym razem. Teraz wszystko poszło na jutrzejsze otwarcie. Pan wie, że biskup będzie?

– Wiem – skrzywił się premier. – Dlatego jestem tu dzisiaj. A jak pozostałe, równie ważne sprawy?

– Powoli, ale do przodu. Nieboraki w Bułgarii trochę doszli do siebie. Ten podejrziety już dostał zgodę na przelot, dzięki pana nieocenionej pomocy.

– Dzięki panu też to się mogło jakoś poskładać.

– Tak... Człowiek nigdy nie wie, do czego mogą się przydać płatni zabójcy bułgarskiej bezpieki – westchnął Ziutek, wywołując uśmiech na twarzy premiera. – Justynka wszystko załatwiła w Londynie, więc jakieś środki do życia mają.

– A co pan myśli o moim planie?

Ziutek wzruszył lekko ramionami.

– Czy ja wiem. Co pan każe zrobić, to zrobię. Mieszkanie jedno jest gotowe, mogą się wprowadzać. Resztę powoli się dosztukuje i, jeśli oni się zgodzą, to powinno być dobrze. – Spojrzął na premiera przenikliwie. – Panie Romualdzie, ale pan wiesz, że to się musi wszystko najpierw powyjaśnić?

– Jestem tego świadom.

– I co będzie?

– Na razie wybieram się do Niemiec, żeby rozmówić się z panią Dąbek osobiście. Z tego, co zdążyłem się zorientować, to ona jest osobą, która ogarnia cały ten chaos i nie dostaje przy tym rozstroju nerwowego. I to jest mój największy problem.

– Ale że jaki?

– Że ona wszystko wie, ale mówi tylko tyle, żeby przyprawić mnie o kolkę

nerkową.

– Myślisz pan, że ona wie, kto, co i dlaczego?

Brzeziński spojrzał na Ziutka, jakby prosił go o litość.

– Wodzi nas za nosy od samego początku. Dam sobie rękę uciąć, że w chwili, kiedy porywacze zgarnęli ją spod bloku, wiedziała, że to przez jej minione wybryki. Od mojego człowieka z Kabulu usłyszałem, komu nadepnęła na odcisk... – Pokręcił głową, wzdychając głośno. – Aż dziw bierze, że nie ukatrupili jej wcześniej.

– A więc jednak... – Ziutek zadumał się. – Ależ te baby są okropne.

XXIX

Justyna wierciła się na łóżku, nie mogąc znaleźć dogodnej dla siebie pozycji.

– Nie cierpię tego domu – zaczęła się skarżyć. – Nie znoszę tego łóżka, tej łazienki i... i wszystkich zapachów.

Łukasz musiał odwrócić głowę, żeby nie dostrzegła, jak się uśmiecha. Jego żona robiła się coraz bardziej drażliwa i byle co mogło wyprowadzić ją z równowagi.

– Czy ty w ogóle mnie słyszysz? – zapytała, patrząc na niego z wyrzutem.

– Słyszę. Nie podobają ci się zapachy.

– Właśnie. Śmierdzi.

Meyer odłożył książkę na stolik i obrócił się w jej stronę.

– Justyś, masz najbardziej wrażliwy nos, jaki może mieć człowiek, a w dodatku jesteś w ciąży...

– Nie! W dodatku jestem nie w swoim domu. Nie jestem w Polsce. A tu śmierdzi Niemcami.

– Czym? – parsknął Łukasz.

– Niemcami. Ten kraj... Zawsze, jak tu byłam, czułam ten zapach. Nie wiem... Te meble, wykładziny, ubrania... Śmierdzi bogactwem, które jest obleśne. Dlatego wolałam być w Afganistanie. Bieda jest uczciwsza.

– Chyba nie zawsze.

– Och! – stęknęła po raz setny, dotykając brzucha.

– Co się stało? – Łukasz poderwał się z niepokojem w oczach.

– Po tej operacji kopie mnie jak zawodowy piłkarz. Meyer – spojrzała na męża z błaganiem w oczach – idź sobie, dobrze?

– Dokąd niby? – Nie mógł być bardziej zdziwiony.

– Nie wiem. Idź zadzwonić do Warszawy, do Kota. Zapytaj, czy już nam przewiózł rzeczy na Żoliborz. Chciałabym, żeby wszystko było gotowe, zanim przyjedziemy.

– Jakie rzeczy? Jaki Żoliborz? O czym ty...

– Aaa... – Machnęła ręką. – Zapomniałam ci powiedzieć. Brzeziński znalazł nam dom na Żoliborzu.

– Ale... A kto za niego zapłacił.

– Kot.

– Co?!

– To znaczy zapłacił część z tych pieniędzy za mieszkanie na Mokotowie.

– To dlaczego mi nic nie powiedział? Rozmawiam z nim kilka razy w tygodniu.

– Bo może myślał, że ja ci powiedziałam.

Łukasz podniósł się i usiadł na brzegu łóżka.

– Nie wytrzymam – szepnął, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Jakby moje życie toczyło się poza mną.

– Nie przesadzaj. – Justyna wyciągnęła nogę spod kołdry i kopnęła go lekko w plecy. – Założyłeś z Mirkiem własną firmę. Jak wrócimy, będziesz prawdziwym biznesmenem.

– Ale o domu mi nie powiedziałaś.

– Nie bocz się. Jak ci się nie spodoba, możemy znaleźć inny.

Obejrzał się przez ramię i spojrzał na nią dziwnym wzrokiem.

– No co? – uśmiechnęła się przymilnie.

– Możesz mi coś powiedzieć?

– Yy... – Zawahała się. – Zależy co.

– Bądź ze mną choć raz szczerza – poprosił, podnosząc palec na widok jej miny. – Szczerza do końca. Powiedz mi, czy ty wiesz, kto zdradzał w waszej grupie?

Justyna zmrużyła oczy i wydeła usta.

– Hm... Szczerze? Nie wiem.

Milczenie Łukasza podpowiedziało jej, że nie bardzo jej uwierzył.

– Oj, Meyer! – Podniosła się i oparła o ścianę. – Gdybym wiedziała, to tego człowieka już by nie było. A poza tym... Co cię to w ogóle interesuje, co?

– Kotowicz się dopytywał. Usiłują namierzyć Siwego, bo może wrócił do Polski, ale na nic nie trafili.

Justyna pokręciła głową.

– To nie Siwy.

– Jesteś pewna?

– Oj, on jest za głupi. Zdradziłby się jakoś. Poza tym myślałam, że skoro premier o całe zło tego świata podejrzewa Chodzińskiego, to już nie roztrząsamy tej kwestii.

– Chodziński sam nie wszedł w szeregi waszej grupy. Musiał mieć kogoś.

Justyna roześmiała się.

– Zero logiki w tym rozumowaniu – powiedziała.

– Dlaczego?

– Bo on sprzedał tylko jakąś informację. W zasadzie powiedział jedynie, że jest taka grupa najemników, którą on chętnie wysłałby w kosmos. Jego rozmówca na to: „O, zajebicie! Ja też mam taki zamiar. Daj mi może parę nazwisk, to szybciej do nich dotrę!”. No, a potem ów rozmówca, a nie Chodziński, poniósł klęskę, ponieważ dwie miłe koleżanki go porwały i zniszczyły karierę. Więc... – Justyna zamilkła nagle i wbiła wzrok w widok za oknem.

– Co się stało?

– Hm... A może ty masz rację? Minister chciał za wszelką cenę zniszczyć Brzezińskiego, ale zniszczenie naszej grupy wcale nie było mu na rękę. Przeciwnie! Musieliśmy istnieć dalej, żeby były żywe dowody działań szefa wywiadu. I wiesz co? – Spojrzała na Łukasza. – Mogło być w ogóle odwrotnie. To Wallace dał Chodzińskiemu namiar na nas. Skoro siepacze Kowaliowa znaleźli nas w Dżalalabadzie... – Odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka żwawo, jakby wcale nie była w ciąży.

– A ty dokąd?

– Muszę zadzwonić. Idź spać.

Łukasz zwiesił nisko głowę.

– Ja pierdolę – jęknął zrezygnowany. – Oszaleję z tą kobietą.

Sięgnął po telefon i wybrał numer do Kotowicza.

– No, stary, byłem pewien, że wiesz o tym domu. – Tomek był wyraźnie zmieszany. – Dzwoniła do mnie i poprosiła, żebyśmy to załatwili, więc sądziłem...

– Dobra, już nieważne. A da się tam w ogóle mieszkać?

– Nie, no... Jest super. Stary budynek, ale elegancki. Duży ogród, dość cicho... Twój rodzice wywalili chyba z dziesięć tysięcy na pokój dla małej.

– Moi rodzice?! Oni też są w to zamieszani?

– Ee... noo... Jak najbardziej.

– Jezus, mam nadzieję, że nie będą chcieli się tam wprowadzać.

– Chyba nie... Nic nie wspominali. Stefan mówił, że remontują kuchnię w domu w Sochaczewie, więc...

– Uf! Tego bym nie zniósł.

– Tak... Ekhm... Ale za to będziecie mieć ciekawego sąsiada.

– Kogo?

– Brzezińskiego.

– Mogłem się tego spodziewać.

– Słuchaj, ja mam z kolei inne pytanie. Wiesz, stary mnie męczy o to od czasu do czasu...

– Kto?

– Brenner.

– Aha. O co cię męczy?

– No... Czy na pewno odchodzisz ze służby?

– Kurwa, Kocie, ile razy będziemy to wałkować? Sprawa jest zamknięta. Właśnie załatwiłem wszystkie formalności i, jak wrócę, zostanie mi tylko licencja. Mirek szuka odpowiedniego lokalu i możemy zaczynać. Niech się Brenner uspokoi, na pewno nie zabraknie mu dobrych funkcjonariuszy.

Tomek roześmiał się cicho.

– Z jednej strony szkoda, bo fajnie byłoby znów razem pracować, ale z drugiej uważam, że podjąłeś słuszną decyzję.

– No, chociaż ty i Justyna za mną stoicie. Niektórzy zachowują się tak, jakbym zdradzał ojczyznę.

– Nie zdradzasz, na pewno nie. Trzymajcie się tam i wracajcie bezpiecznie. Kupiłem wczoraj grilla, ale na Mokotowie go nie rozpalę.

– A więc już się rządysz moim ogrodem, tak? – Łukaszowi od razu poprawił się humor. – No, no! Tylko nie zapomnij o napełnieniu mojej lodówki.

– Spokojna twoja rozczochrana. Wszystko będzie. Na razie.

Kiedy skończyli rozmawiać, Łukasz popadł w zadumę. Przypomniało mu się pożegnanie w Mazar, kiedy Kostek wspominał o grillu w Polsce. Wydawało się, że było to przed stu laty, a ta lepsza, wyczekiwana przyszłość też wciąż nie była bliżej.

– Niechże się już skończy nasza tułaczka – szepnął do siebie, po czym padł na łóżko i zgasił światło.

XXX

– Malina, czarownico mała, dlaczego akurat mi zawracasz tym głowę? – powiedział cicho Żółw. – Weź se zadzwoń do swojej przyjaciółeczki, ona pewnie będzie lepiej wiedzieć.

– Czemu szepczesz? I co to za szum?

– Jestem na balkonie. Nie chcę, żeby sąsiedzi słyszeli.

– Żółwiu, skup się i odpowiedz na proste pytanie.

Mężczyzna zaczął syczeć ze zniecierpliwieniem.

– A co ja mogę pamiętać z tamtego okresu? Puknij się w swój wielki brzuch. Dżalalabad? Byliśmy tam chyba z dziesięć razy.

– Tak, ale tylko raz zginął Królik, a ja dostarczyłam wam z Kabulu broń i amunicję.

– A... – Żółw się nagle uspokoił. – To wtedy.

– No! I jak, świta ci coś w tym pustym garnku?

– Ale że co?

Justyna zaklęła pod nosem.

– Kto wtedy do nas doszedł? W tamtym okresie. Pamiętasz?

– Nikt.

Kobieta wywnioskowała z tonu kolegi, że jest całkiem pewny tego, co mówi.

– Hm... – mruknęła. Była zawiedziona, ale to też pokrywało się z jej wspomnieniami. – Dziwne.

– To może powiedz mi, o co ci chodzi. Mam za mało danych, żeby ogarnąć twój tok rozumowania.

– Jeśli powiem ci, do czego zmierzam, zasugerujesz się za bardzo i dopasujesz fakty.

– Ale jesteś mądra – prychnął Żółw. – W czymś jeszcze mogę ci służyć? Muszę wracać do środka.

– A co? Zmarłeś?

– Coś ty! Upał jak czort. Ale wiesz... – Justyna domyśliła się, że uśmiecha się wymownie. – Nie jestem sam.

– O, Boże! Oszczędź mi szczegółów. I pewnie jesteś teraz kompletnie goły?

– Oczywiście. – Spojrzał dla pewności na swoje przyrodzenie.

– Dlaczego ty zawsze musisz się z kimś pieprzyć?

– Zawsze? – Oburzył się. – Jakie zawsze?

– Jesteś mega-mózgiem, ale jak tylko wyczujesz jakąś cipkę, całkiem tracisz rozum. Byleby zaruchać.

– Jesteś wulgarna. – Żółw był szczerze zde gustowany.

– Ale od kilku lat mam jednego męża i nie puszczam się na prawo i lewo. Słyszałam, że ty i twoi koledzy wygrzmociliście wszystkie piguły z PKW.

Nie zaprotestował, słysząc tak postawione zarzuty – były zbyt prawdziwe.

– Oj tam... – wymamrotał. – Rekompensowaliśmy sobie trudy wojny.

– Dobra, kończę, bo mi się dziecko przed urodzeniem zdeprawuje od samego słuchania tego, co mówisz.

– To było przykre, wiesz? Naprawdę mnie zraniłaś.

– No, bardzo przepraszam. Ale na chrzestnego cię nie poproszę.

– Ojej! – Ożywił się. – Ale będę mógł przyjść na przyjęcie?

– Spadaj, bo ci twoja panna wystygnie za bardzo. Żegnam!

Justyna rzuciła komórkę na blat stolika do kawy i usiadła zrezygnowana na szerokiej kanapie, która stanowiła centralny punkt salonu Krzysztofa. Dopiero wtedy zauważyła, że jej szwagier stoi oparty o framugę drzwi do kuchni. Jego mina mówiła bardzo wiele.

– Co to była za rozmowa?

– Eh... – Machnęła ręką. – Z jednym z moich niedorozwiniętych umysłowo kolegów. Żeby do niego dotrzeć, musisz odpowiednio dopasować język, ale to też nie gwarantuje sukcesu.

Krzysztof podszedł do kanapy i usiadł obok Justyny.

– Powiedz mi... bo chyba nie do końca rozumiem – czym się zajmowałaś?

– Ale gdzie?

– No... Sam już nie wiem. – Podrapał się po głowie. – Byliście z moim bratem w Afganistanie, bo Łukasz miał jakiś kontrakt, co naprawdę jest dziwne, zważywszy że ma świetną pracę w Polsce.

– Wcale nie taką świetną, moim zdaniem, i na szczęście ją zmienia. A poza tym nie pojechaliśmy, tylko ja pojechałam, a Łukasz pojechał mnie szukać.

– Więc co tam robiłaś?

– Byłam najemnikiem.

– Co? – roześmiał się nerwowo.

– Nie powiedział ci?

– Nie-e. – Krzysztof pokręcił głową.

– A, to zmienia postać rzeczy. – Westchnęła, gładząc się po brzuchu.

– Długa historia, a ja jestem już zmęczona. Pogadamy jutro, OK?

– Czekał, czekał! – Złapał ją za łokieć. – Ty... naprawdę nie żartujesz.

– No, nie.

– Ale Łukasz mówił, że miał tam pracę. Widziałem papiery.

– Bo miał, jako ochroniarz na budowie. Musiał coś robić, był w końcu na bezpłatnym urlopie.

– A twoja praca na czym niby polegała?

Justyna spojrzała na niego, jakby miała go za niedorozwiniętego umysłowo.

– A jak myślisz?
– Zabijałaś ludzi?
– O, matko! – Przewróciła oczami. – Wy zaraz o tym zabijaniu. Człowiek wykonuje poważne zadania, które wymagają wysiłku intelektualnego, stara się...
A w zamian słyszy, że jest tylko tępym płatnym zabójcą.
– I ten kolega... – Wskazał na telefon. – On też był z tobą?
– Tak, był.
– I dalej załatwiacie jakieś interesy?
– Nie, teraz każde z nas nareszcie zajmuje się tym, czego pragnie najbardziej. To znaczy ja się rozmnażam, a on rucha panienki... jak zawsze zresztą.
– Justyna wyprostowała się i wyciągnęła rękę w stronę szwagra. – To jest, kurwa, po prostu niemożliwe – wyszeptła, ściskając mocno palcami przedramię Krzyśka.
– O czym ty mówisz?
– A to skurwysyn, gołodupiec cholerny – ciągnęła swoją litanię przekleństw, podnosząc się z kanapy. – Podaj mi telefon.
– Może lepiej zawołam Łukasza. – Krzysztof był szczerze zaniepokojony jej zachowaniem.
– Co się stało? – Jak na zawołanie, Meyer zjawił się w salonie. – Justyś?
Kobieta podeszła do niego i zadarła głowę.
– Mam drugą epifanię w ciągu jednej godziny – powiedziała z szeroko otwartymi oczami. – I to wszystko przez ciebie.
– Słucham?
– Tak. Gdybyś nie zaczął o tym, kto zdradza, nie zadzwoniłabym do Żółwia i nie domyśliłabym się, że to on.
– Żółw zdradza?! – Łukasz był zszokowany.
– Nie. Jego flamy.
– Nie rozumiem.
– Żółw zawsze miał jakieś dupy. Zawsze. W tym czasie, kiedy była akcja w Dżalalabadzie i... no wiesz, z panem W., nikt do nas nie dołączył. Była ta sama ekipa. Co oznacza...
– ...że ktoś wynosił informacje ze środka – dokończył spokojnym tonem.
– Dobrze. Więc teraz ty się uspokoisz i pójdziesz spać, a ja załatwię to po swojemu.
– Ale...
– Dość! Ledwo chodzisz na swoich spuchniętych jak balony nogach. W nocy jęczysz, że bolą cię plecy i kłuje serce, dlatego nie będziesz zajmować się dodatkowo tymi sprawami.
– Ale myślałam, żeby zadzwonić do Angie – powiedziała cichutko, robiąc słodką minę.
– Nie. – Pokręcił głową. – Wracasz do łóżka.

– Świnia – mruknęła pod nosem. Minęła go, trącając łokciem w bok, i poszła do sypialni.

XXXI

Kiedy Żółw otworzył oczy, był pewien, że dalej śpi i że ma bardzo dziwny sen.

Nad jego łóżkiem stało czterech zamaskowanych mężczyzn w czarnych mundurach.

– Co do... – Przyłożył dłonie do oczu i potarł mocno palcami powieki, spojrzał znów w górę, ale przywidzenie nie ustępowało.

– Podnoś dupę, kutasiarzu! – Do jego uszu dotarł znajomy głos. Poczł też, że ktoś kopie w łóżko.

– Bambi? – Żółw poderwał się i usiadł na łóżku. – Co ty robisz w moim mieszkaniu? Co to za ludzie?

– Ubieraj się – zarządził ktoś inny. – I obudź swoją koleżankę.

Dopiero wtedy Waldek przypomniał sobie, że nie był sam. Jego rozneglizowana towarzyszka spała twardo na skraju łóżka.

– Hej! – Potrząsnął ją za ramię. Sam wygrzebał się z pościeli i bez skrupowania poszedł po ubrania do salonu. – Będiesz mi się musiał z tego nieźle tłumaczyć, Bambi. Porachuję ci wszystkie twoje stare kości, psi sługusie.

Mrozowski nie zdołał odpowiedzieć, bo obudzona kobieta zaczęła przeraźliwie krzyczeć na widok nieproszonych gości.

– Ją też zabierzcie – rozkazał znów ten sam głos.

Żółw zajrzał do sypialni i przyjrzał się niezamaskowanemu człowiekowi.

– A ty kim, przepraszam, niby jesteś? – Dopiero wtedy zauważył, że mundurowi mają na plecach napis CBS.

– Nadkomisarz Kotowicz. – Tomek podniósł w górę legitymację. – Proszę się pospieszyć z tym ubieraniem. Mamy do pana sporo pytań.

– Ja pier... – syknął Żółw. – W co ty mnie, Bambi, wmanewrowałeś?

– Ja ciebie? – prychnął Mrozowski, przepuszczając w drzwiach funkcjonariuszy prowadzących zawodzącą kobietę. – Powiniennem był od razu się domyślić, że to wszystko przez twojego kutasa.

– Co? – Żółw skrzywił się. – O czym ty...

– Z mieszkania! – Jeden z funkcjonariuszy pchnął go w stronę drzwi.

– Gdzie z łapami?! Jestem w ogóle aresztowany? Macie jakieś zarzuty na mnie? – Waldek machał rękami, odpychając od siebie mężczyzn w mundurach. – Jestem oficerem Wojska Polskiego, nie macie prawa...

– Jesteś przede wszystkim najmitą – zauważył Bambi, schodząc za Żółwem po schodach. – Zamknij ryj, jeśli nie chcesz, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli.

– Nie zrobisz tego! – Żółw zatrzymał się, obejrzał w stronę kolegi

i wymierzył w niego palec.

– Żebyś się nie zdziwił. Jesteś tak głupi, że nawet nie wiesz, w co nas wpakowałeś.

– Ja? – Waldek czuł się coraz bardziej zdezorientowany całą tą sytuacją.
– Ale że jak?

Przejazd z Rembertowa do siedziby Biura zajął im niewiele czasu, bo wciąż była wczesna pora. Przyjaciółkę Żółwia od razu przekazano pod opiekę Iwony, samego Waldka zaprowadzono do salki bez okien i posadzono przy stole.

– Chociaż dalibyście coś jeść – zawołał do opuszczającego go funkcjonariusza. – I coś do picia. Nie jestem wielbłądem.

W pokoju zjawił się Bambi z jakimś zeszytem w dłoni.

– Tu masz notatnik, a tu długopis – powiedział, nie zważając na fochy kolegi. – Będziesz siedział w tej klicie, dopóki nie spiszesz imion i nazwisk wszystkich dup, z którymi się przespałeś w ciągu ostatnich sześciu lat.

– Co?! – Żółw spojrzał na niego, jakby był nienormalny. – Oszalałeś?!
I tylko po to wydarliście mnie gołego z łóżka?

– Zrobisz, co mówię, albo powiem, czym naprawdę się zajmujesz.

Do salki wszedł Kotowicz z kubkiem kawy, który postawił przed Żółwem.

– Jakiś problem, panie kapitanie? – zapytał, nachylając się nad Waldkiem.

– Oczywiście, że mam problem. To jest napaść w biały dzień. Nie będę niczego pisał.

– Ale dlaczego? – Kot zamrugał powiekami. – Masz problem z utrzymaniem długopisu? Mogę zawołać kogoś, komu będziesz dyktował.

Żółw zaczął się kręcić na krześle, stękając cicho.

– Ale... Ja nie rozumiem – jęczał.

– Czego, kurwa, nie rozumiesz? – krzyknął Bambi. – Bierz ten cholerny długopis i pisz, co pamiętasz.

– Z sześciu lat? – upewnił się Żółw.

– Tak, z sześciu. Może być nawet dekada.

– Ale to strasznie dużo.

– Jakoś sobie poradzisz.

– Bambi, ty wiesz, ile to kobiet? Ja nawet... – Ściszył głos. – Nawet nie poznałem wszystkich imion.

Kotowicz zerknął na Mrozowskiego, który w tym momencie nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

– To w takim razie... pisz cokolwiek. – Bambi zrobił gest dłonią w powietrzu. – Opisz je.

– Ale po co?

– Po to, gnojku zafajdany, że na dziewięćdziesiąt procent to przez twoje romanse nasze sprawy wychodziły poza grupę.

– Pojechało cię? – Żółw odchylił się na krześle. – To najgłupsza teoria, jaką usłyszałem. Ty wiesz, jaka to musiałaby być szajka bab? One się nie znały. To znaczy... nie wszystkie. No... rozumiesz. Bo czasem się znały... Tak czy inaczej to beznadziejna opcja.

Kotowicz zmrużył oczy.

– Twój ton podpowiada mi, że jesteś coraz mniej pewny tego, co mówisz – zauważył. – Zapisz te nazwiska, a my sprawdzimy naszą beznadziejną teorię, OK?

– Zrobiliście ze mnie nie wiadomo jakiego playboya – powiedział nadąsany Waldek, sięgając po długopis. – A ja nawet narzeczoną miałem i pewnie bym się już ożenił, gdyby mnie nie zostawiła.

– Więc zacznij od niej – zaproponował Kot.

– Monika? – Żółw był oburzony. – Ona miałaby... Ona mnie kochała. Nie donosiłaby nikomu.

– Ale z tobą zerwała, kiedy wyjechałeś do Afgana – odparł Mrozowski, który poczuł, że to wszystko ma coraz większy sens. – Więc zamieniłeś ją na misyjne piguły, które miały dostęp do twoich rzeczy, laptopa i komórki. Nie pomyślałeś, że to całkiem wygodne dla kogoś, kto zbierał informacje? Zapisz jej namiary. Sprawdźmy ją najdokładniej.

XXXII

Kotowicz i Mrozowski opuścili salkę, ale zatrzymali się przy drzwiach, jakby nie chcieli, by ktoś był świadkiem ich rozmowy.

– No i? – zapytał Kot.

– Kurwa... – szepnął Mrozowski, pocierając nieogoloną brodę. – Myślałem, że to kretyński pomysł, ale teraz już sam nie wiem. Kto w ogóle na to wpadł? Stary Maliny?

– Sama Justyna.

Twarz Bambiego stężała.

– Ona nie jest głupia. Czasem kojarzyła takie fakty, na które my byśmy nigdy nie wpadli. Malina czuje ludzi, rozumiesz? Przewiduje ich zachowania.

– I przez cały pobyt z wami nie wpadła na to, że ktoś może być słabym ogniwem?

– A jak niby? Żółw chodził na miasto, miał swoje rozrywki... jak każdy z nas, ale poza tym w życiu by nie zdradził, jest ciągle lojalny.

– Dobra. Więc na razie zostawmy tę sprawę moim ludziom, niech oni ją sprawdzą. Chodź ze mną, coś ci pokażę.

Bambi poszedł za Kotowiczem, choć wcale nie podobało mu się to kolejne spotkanie. Wyczuwał w nadkomisarzu żywą wrogość, którą szczerze odwzajemniał, ale uznał, że na chwilę może ogłosić zawieszenie broni.

Weszli do sali konferencyjnej z dużym stołem i kanapą dwuosobową. W pierwszej chwili Mrozowski nie zauważył wielkiej tablicy na ścianie, na której wisiały fotografie i kartki z różnymi informacjami.

– To jest efekt naszej pracy przez ostatnie miesiące – powiedział Kot, wskazując na tablicę.

Mrozowski oniemiał.

– O, ja pierdzielę! – wydusił w końcu z siebie i podszedł bliżej.

– Mamy tu ośmiu oficerów z listy Słotwińskiego, którzy byli w kontakcie z Kowaliowem – zaczął objaśniać Kotowicz. – W ciągu ostatnich trzech lat na ich konta wpływały różne kwoty z różnych banków w Polsce, ale kiedy przyjrzelśmy się bliżej tym transakcjom, okazało się, że wszystkie były finansowane przez prywatną firmę ze Szwecji.

– Za co im płacono?

– Głównie za szukanie Justyny. Udało się nam dotrzeć do prywatnych i służbowych komputerów dwóch z nich i odkryliśmy, że przekopywali zasoby sieciowe w celu jej znalezienia i dowiedzenia się na jej temat jak najwięcej. Jest coś jeszcze. – Kot postukał palcem w jedną z kartek. – Szukali też was. Ciebie,

Bąka, Czarnego... Kiedy znaleźli Justynę i jej męża, regularnie informowali kogoś o tym, co robią, gdzie pracują, z kim się spotykają, co lubią jeść.

– Więc ci kapusie u was naprawdę nie byli przypadkiem. – Mrozowski pokiwał głową.

– Naprawdę. Mamy w naszej grupie człowieka, który donosi służbom. Szybko się połapaliśmy, że jego obecność ma związek z całą tą sprawą. Po nitce do kłębka dotarliśmy do ludzi w Sztabie Generalnym i starym Dowództwie Wojsk Lądowych, którzy byli bliskimi znajomymi tych jegomości.

Bambi milczał i tylko jego zaciśnięte pięści wskazywały na narastającą w nim wściekłość.

– Kiedy w nocy zadzwonił do mnie Meyer – kontynuował Kot – w pierwszej chwili pomyślałem to samo co Czarny: kompletna bzdura. Byliśmy tak pewni tego, że zdradzał Majewski, że...

– Kto?

– Bartłomiej Majewski, zwany Siwym. Kolega Justyny ze szkółki, który...

– Tak, wiem. I co z nim?

– Myśleliśmy, że to on ma z tą sprawą coś wspólnego, tak wszyscy sugerowali. Ale po pierwsze, nic na niego nie mamy, a po drugie... kiedy Czarny powiedział „szajka bab”, nagle przyszło mi do głowy, że cała ta historia zaczyna nabierać sensu. Mamy ośmiu szpiegów Kowaliowa, każdy z innego garnizonu, każdy z szerokimi znajomościami. To oni mogli podsuwać tu w Polsce kobiety naszemu kapitanowi.

– Na misji też – mruknął Mrozowski.

– Właśnie.

– Ale któraś musiała być pierwsza. Ktoś w Afganistanie mu ją podsunął.

– To chyba nie był już taki problem, skoro mówiłeś, że chodził na miasto i miał swoje rozrywki.

Bambi lekko skinął głową, po czym odwrócił się na pięcie i podszedł do okna.

– Daj mi chwilę – powiedział cicho. – Muszę się zastanowić.

– Dobrze. Pójdę do swoich ludzi.

Tomek wyszedł z pokoju i od razu wpadł na Słomkowskiego.

– Co się dzieje?

– Ta panna od zatrzymanego strasznie histeryzuje, ale sprawdziliśmy ją i znaleźliśmy powiązanie z jednym z ośmiu.

– Żartujesz?

– Nie. – Marcin pokręcił głową. – Pochodzi spod Giżycka, studiuje w Warszawie. W jej rodzinie sami wojskowi, w tym wujek o znajomo brzmiącym nazwisku, który pomaga siostrzenicy na różne sposoby.

– Wiadomo, jak się poznali?

– Wczoraj w klubie na Mazowieckiej. Pytałem Czarnego – mówił, że to ona poderwała jego.

– A co ona na to?

– Nic. Iwona nad nią pracuje, ale zacięła się i nie chce o tym odpowiadać.

– Wypuście ją – zarządził Kotowicz po chwili namysłu.

– Jak to?

– Niech idzie. To, co wiemy, na razie nam wystarczy. Lepiej, żeby ten „wujek” nie dowiedział się, na co wpadliśmy. Powiedzcie, że zatrzymaliście ją, bo prowadzimy śledztwo przeciwko Czarnemu i myśleliśmy, że są razem.

– OK. Mamy ją śledzić?

– Oczywiście, że tak.

Tomek poszedł do open space’u i zawołał Malickiego do swojego gabinetu.

– Jak poszło przeszukanie mieszkania? – zapytał, siadając w fotelu.

– Dwie pluskwy. Jedna w sypialni, druga w kuchni – powiedział Michał.

– Zostawiliśmy je. No i, co najważniejsze... byliśmy u Mrozowskiego.

– Zabraliście kamery?

– Tak. Wszystko uprzątnięte.

– Mam nadzieję, że jak wróci, to się nie zorientuje.

– Tyle że... – Michał podrapał się za uchem. – U niego też był podsłuch. Nie nasz.

Kotowicz nabrał powietrza w płuca.

– O, cholera! To trzeba mu powiedzieć.

– I przyznać się, że zrobiliśmy mu nalot? – Malicki skrzywił się.

– Nie! Powiedzmy mu, że chcemy zrobić, i pójdziecie tam jeszcze raz, ale z nim.

– W porządku.

– Ja to załatwię – powiedział nieco ciszej Kotowicz, zerkając w stronę open space’u. – Idzie tutaj.

Bambi wkroczył do gabinetu Kota i podał dłoń Malickiemu, po czym usiadł na krześle.

– Muszę sprawdzić swoje mieszkanie – oświadczył z powagą, powodując szybsze bicie serca Kotowicza. – Mogę mieć podsłuch.

– Proponuję jeszcze komputer. – Michał najwyraźniej miał mocniejsze nerwy. – Mogli się podpiąć do Internetu.

– Tia...

– Coś ci przyszło do głowy nowego? – zapytał Kotowicz.

– Dużo rzeczy – odparł Bambi, patrząc gdzieś w dal. – Ale to są już sprawy, które was nie dotyczą. Muszę je załatwić z moimi dawnymi kolegami. Mogę wam tylko powiedzieć, że niektóre nazwiska z tej tablicy... Znałem parę osób. Żołnierzy, ich rodziny, przełożonych. Zawsze byłem przekonany, że to, co robiłem

po odejściu z GROM-u, było tajemnicą, a okazuje się, że cały czas byliśmy jak na widelcu. W każdej chwili mogłem popłynąć. Co z tymi kumplami Kowaliowa? – Spojrzał na Kota. – Coś z nimi zrobicie?

– Nie.

– Dlaczego? Byli opłacani przez przestępcę o międzynarodowym zasięgu. Mogliby beknąć nawet za zdradę stanu.

– I wyłożymy wszystkie najlepsze karty, kiedy gra się nawet nie rozpoczęła?

– Hm... W sumie... Brzeziński już wie?

– Jest informowany na bieżąco.

– Mogłem się tego spodziewać. I jeszcze pewnie was sponsoruje.

– Przyznaję, że otwiera nam szeroko wiele drzwi.

– Jasne. – Bambi westchnął cicho i wstał z krzesła. – Chyba nie mam wyjścia i muszę was poprosić o udanie się ze mną do mieszkania. Nie wezmę nikogo ze Stołecznej. Nie wiem, czy w ogóle tam jeszcze wrócę...

– Ja mogę iść – wyrwał się Michał. – Zabiorę sprzęt do wykrywania podsłuchów.

Mrozowski spojrzał na niego z kamiennym wyrazem twarzy.

– Już u mnie byliście – domyślił się. – Coś tam było.

Malicki otworzył usta, ale przez kilka chwil nie wiedział, co powiedzieć. Zerknął na szefa, który skinął tylko głową, dając znak, że może mówić.

– Był podsłuch – powiedział cicho Michał. – Tylko jeden i wyglądało tak, jakby zakładano go w pośpiechu.

– A łącze?

– Przyznaję, że nie sprawdziliśmy. Powinniśmy zejść do skrzynki w piwnicy i zajrzeć.

– Więc chodźmy teraz – odparł Bambi i ruszył w stronę wyjścia, nie żegnając się nawet z Kotowiczem.

Tomek opadł na oparcie fotela i odetchnął głośno. Nie zdążył jednak na dobre się rozluźnić, bo w drzwiach pojawiła się postać Kowalskiego.

– Czego znowu? – zapytał nieuprzejmie.

– Lista. – Mariusz pomachał jakąś kartką. – Narzeczona plus reszta po narzeczonej, czyli PKW i kilka podbojów po powrocie.

– A wcześniej?

– Mózdzy.

– Słucham?

– No, stara się sobie przypomnieć.

– Dobrze, więc sprawdzajcie te kobiety. Ale i tak już mamy niemal pewność, że to dobry kierunek.

– Serio? – Kowalski wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

– Tak. Wszystko, czego się dowiecie, możecie powiesić na naszej tablicy

chwały w konferencyjnej.

– Ale jaja! A jeszcze rano był to pomysł z dupy, który miał nam dać pretekst do sprawdzenia im mieszkań. Nawet żeśmy z Malickim robili zakłady, że Mrozowski się nie nabierze. Szefie, więc co z tym Siwym? Dalej mamy go namierzać?

– Tak. Działajcie bez zmian. Dobrze, że mi przypomniałeś, muszę zadzwonić w tej sprawie do Meyera. I chyba... do Brzezińskiego.

XXXIII

Hamza był naprawdę zdenerwowany. Domański widział, jak wyłamuje palce i nerwowo zerka przez okno hotelowego pokoju.

– Nic jej nie będzie – powiedział cicho.

– Niepotrzebnie jej o tym mówiłeś – rzucił z pretensją w głosie. – Ciągłe się naraża, jakby jej w ogóle na życiu nie zależało. Ty wiesz, kim są ci ludzie?

Andrzej skinął głową.

– Wiem.

– I to jest podejrzane, że ty tyle wiesz.

– To stanowi podstawę mojej działalności w tym kraju – odparł Domański, po czym zwrócił się do Louisa. – Jeśli macie chęć, poproszę o kolejną kawę i coś do jedzenia.

– Nie trzeba. – Louis machnął ręką. – Sam zacząłem się denerwować i straciłem apetyt.

– Z tego, co wiem, jeden z waszych miał już kontakty z tym człowiekiem.

– Tak, Jamal wystawił mu jakiegoś agenta.

– I nie bał się?

– Bał się odmówić.

Andrzej uśmiechnął się i podniósł z fotela.

– Rzeczywiście długo nie wraca – mruknął, zerkając przez firankę. – Może negocjacje się przedłużyły? Wiecie, to delikatny temat.

W tym momencie rozległo się głośne pukanie do drzwi. Louis zerwał się z miejsca i, sięgając po broń, podbiegł do wizjera.

– Czyś ty oszalała?! – wrzasnął do Angie, którą wpuścił do środka. – Mówiliśmy ci, że masz tu nie przychodzić, tylko dać znać z ulicy.

– Nierealne. – Machnęła ręką, po czym zdjęła nikab z głowy. – Wszędzie węższą jakieś szemrane typy, od razu by się zorientowali. Zrobiłam po drodze wielkie zakupy i weszłam od kuchni z kilkoma innymi kobietami. O... – Rozejrzała się wokół. – Jaki ładny apartament. Dawno nie byłam w takim luksusie. Mogę się tu położyć?

– Proszę bardzo – zgodził się Domański.

Angie ułożyła się wygodnie na ogromnym łóżku z wielkimi poduszkami i westchnęła z zadowoleniem. Hamza podszedł do niej i stanął obok z wielką mówiącą miną.

– No co? – zdziwiła się.

– Dobrze się bawisz? – zapytał.

– Jak na razie tak. Masz jakiś problem?

– Tak! Że siedzimy tu od trzech godzin i czekamy na jakąkolwiek wiadomość od ciebie, a ty przychodzisz i kładziesz się na łóżku, jakby nic się nie stało. Mogłabyś łaskawie zdać relację ze swojego spotkania?

– O, rany – jęknęła. – Nie macie za grosz litości. Spotkanie jak spotkanie. Oczywiście, najpierw chcieli mnie zabić za jakieś rzekome dawne sprawy. Wicie, Saudyjczycy są pamiętliwi. – Puściła oko do Hamzy. – Ale wypomniałam im głowę Kirkwooda, więc się zamknęli. No, a potem zrobiło się naprawdę ciekawie. – Uśmiechnęła się do Louisa i usiadła na łóżku, opierając plecy o ścianę. – Nikt nas nie będzie wyganiał z Kabulu ani miał go na wyłączność. Uświadomiłam ich, że wobec faktów, które odkryliśmy, jest to po prostu śmieszne. Grupy Kowaliowa, za poparciem niektórych dowództw wojskowych, wciąż aktywnie nękają i eksterminują nas, czyli uczciwych najemników, pod płaszczykiem działań przeciwko terroryzmowi islamskiemu.

– Nikt nie powie o nas „uczciwi” – zauważył Louis. – Wiesz dobrze, że stanowimy wyklętą grupę zawodową i nikt się za nami nie wstawi, nie będzie żałował.

– I dlatego, mój drogi, sami musimy o siebie zadbać, co nasi saudyjscy wrogowie szybko zrozumieli.

– Będą współpracować? – zapytał Hamza, marszcząc brwi.

– Będą. A ja bym coś zjadła.

Andrzej pokiwał głową i podszedł do telefonu.

– Zamówię dla nas wszystkich – zakomunikował, wybierając numer do restauracji. Kiedy odłożył słuchawkę, spojrzał pytająco na De Soto. – Jesteś w stanie powiedzieć, jaki jest główny cel ludzi Kowaliowa?

– Oczywiście! – zawołała, klaszcząc w dłonie. – Przygotowują grunt pod wejście Rosjan.

– Co? – Twarz Louisa wyrażała coś więcej niż niepokój. – Skąd o tym wiesz?

– Od Maliny.

– A ona niby skąd ma takie informacje?

– Widzisz, tuż przed jej wyjazdem, tym poprzednim, pokazałam jej zdjęcia satelitarne robione południowo-wschodniemu Tadżykistanowi. Na nich widać było rozrzucone po dużym terenie, niby bezładnie, wozy bojowe BMP-1, a, jak wiesz, Malina zna się na tym sprzęcie dość dobrze. Sądziłam w Agencji, że to jakiś złom po wojnie afgańsko-radzieckiej, który tam zalega i rdzewieje, ale ona zauważyła, że jednego dnia wozy nie miały anten do radiostacji, a drugiego miały. Była w stanie nawet pokazać, które wozy są prawdopodobnie dowódcze. U nas wszyscy mieli przekonanie, że skoro są to pojazdy w wersji „1”, a nie „2” czy „3”, to nie może być to nic, co jeździ, z czego Malina drwiła mi prosto w oczy. I w sumie bym o tym już nie myślała, ale ona któregoś dnia zauważyła na mieście człowieka

z oparzeniem na nadgarstku i od razu wiedziała, że starzy specje od radzieckiego sprzętu ściągają do Afganistanu.

– Nie rozumiem – przerwał Louis. – Domyśliła się tego po oparzeniu?

– Tak. Kiedyś wojskowi chemicy w Polsce przeprowadzali na szkoleniach jakieś ćwiczenia, po których wszyscy mieli te charakterystyczne ślady. Malina mówiła, że nie dało się ich z niczym innym pomylić. Ja to potem sprawdziłam. Panie Domański, kogo pierwszego ściągano do Iraku z waszych wojsk? Jaki rodzaj wojsk?

– Chemików i saperów – odparł po chwili wahania.

– Właśnie. Odkopałam więc stare zdjęcia, na których były dowody pokazujące, że Malina miała rację. Nikt z nas wtedy nie zwrócił na to uwagi. Więc, pomyślałam sobie, jeśli są chemicy, to pewnie i specjaliści od wozów bojowych, ale i od topografii, tej starej, w której nie używa się elektroniki. Oni wszyscy szkolili się w czasach, gdy rosyjski był na porządku dziennym. Pięć lat temu Rosjanie wiedzieli, że dominacja militarna NATO skończy się i że nadarzy się okazja do wejścia ze swoimi wpływami. Być może nie była to decyzja polityczna, może sam Kowaliow i kilku jego kolegów to wymyśliło. Faktem jest, że od pięciu lat, a może i dłużej, trwa niewidzialna dla opinii publicznej walka o ten kraj, a my stoimy na drodze tym, którzy jako następni chcą być jego zdobywcami. Kowaliow tu był, tak jak jego przyjaciele z wojska, którym Afganistan poprzestawiał w głowach. Założę się, że myśl o powrocie w roli zwycięzców, a nie pokonanych, jest bardzo, ale to bardzo przyjemna.

De Soto nie zdołała już nic więcej powiedzieć, bo obsługa hotelowa przyniosła posiłek, a wszystkim nagle wrócił apetyt. Zasiedli za stołem i przez kilka minut jedli w milczeniu kanapki i sałatkę.

– Więc aż tyle czasu z nimi spędziłaś na negocjacjach? – zapytał Louis.

– Nie. Tam poszło mi szybko. Musiałam przecież coś zrobić w sprawie tych zdjęć satelitarnych.

– Co? – Hamza zmarszczył brwi. – Kontaktowałaś się z kimś z Agencji?

– Cały czas się kontaktuję. Mam kobiety w mieście, które udają „nabytki” i łążą tam, żeby mi załatwiać różne sprawy jako tajni szpiedzy CIA. To znaczy... Wicie... Niech moi dawni koledzy myślą to, co ja chcę, żeby myśleli, na przykład, że na granicy z Tadżykistanem stoi brygada zmechanizowana złożona z radzieckiego sprzętu.

Wszyscy trzej mężczyźni spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

– Chyba... żartujesz – wydusił z siebie Hamza.

– Ależ skąd! – odparła z pełnymi ustami. – Muszę sobie jakoś radzić. Ja, biedna, wyklęta najemniczka, zdrajczyni ojczyzny.

Louis zaczął chichotać. Najpierw cicho, a po chwili całkiem głośno śmiał się, uderzając dłonią o blat stołu.

– De Soto, jestem w tobie absolutnie zakochany – wyznał, kiedy nieco się uspokoił.

– I może się jeszcze ze mną ożenisz, co?

– Nie, żadnych intymnych relacji. – Położył swoją dłoń na jej przedramieniu i spojrzał głęboko w oczy. – Czyste, platoniczne uczucie.

– A czemuż to? – Angie udawała oburzoną. – Nawet szybkiego numerku nie będzie?

– Przykro mi. Za bardzo mi się podoba obecne umiejscowienie mojej głowy. Wolałbym go nie zmieniać.

XXXIV

Parterowy, obszerny dom Krzysztofa Meyera wyposażony był w klimatyzację, więc gospodarz i jego goście postanowili spędzić upalne popołudnie w salonie na kanapie, oglądając telewizję i popijając zimne napoje. Łukasz zarządzał pilotem i co chwilę zmieniał kanał, żeby znaleźć jakiś ciekawszy program albo film, ale przerwał tę procedurę, kiedy dotarł do anglojęzycznej stacji informacyjnej, relacjonującej właśnie jakieś działania militarne w Afganistanie.

– Co się dzieje? – zainteresował się Krzysiek. – Coś ciekawego?

– Nie wiem... Justyś, co tam się stało?

– De Soto miesza – odparła znudzonym tonem Justyna.

– Co to znaczy? – Łukasz nie umiał stwierdzić, czy to żart.

– Powiedziała jej kiedyś, że Ruscy chcą się wpakować do Afganistanu i właśnie sobie o tym przypomniała.

– I ona wysłała te helikoptery? – Wskazał na ekran telewizora.

– No coś ty! – Popukała się palcem w czoło.

– To czemu mówisz, że to przez nią?

– Bo przez nią. Ona sieje ferment i dezinformację w szeregach wszelkich służb.

Łukasz pokręcił głową z niedowierzaniem i zmienił kanał.

– A słyszeliście, że chcą zabronić kobietom w Kabulu noszenia burek? – zapytał po chwili Krzysztof. – Czytałem w sieci.

– Chcą – potwierdziła Justyna. – Już jakiś czas temu się zorientowali, że tak najłatwiej ukryć szpiegów.

– To byłoby ciekawe. – Krzysiek się uśmiechnął. – W ogóle ostatnio ciekawych rzeczy się dowiedziałem. Kto by pomyślał?

Justyna nie zdążyła nic powiedzieć, bo ktoś zadzwonił do drzwi. Brat Łukasza spojrział zdziwiony na zegar ścienny.

– Pacjentka? Trochę za wcześnie. – Podniósł się z kanapy i poszedł otworzyć, ale po chwili wrócił i spojrział na swoich gości z niepokojącym wyrazem na twarzy.

– Co się stało? – Łukaszowi od razu skoczyło ciśnienie.

– Yy... Czy... moglibyście mi wyjaśnić, dlaczego na progu mojego domu stoi premier Polski? – wydusił w końcu z siebie.

– O, cholera! – Justyna zerwała się z miejsca. – Zapomniałam o nim. Ja się tym zajmę.

Kobieta pobiegła w stronę wyjścia tak szybko, na ile pozwalał jej duży brzuch, zostawiając osłupiałego szwagra na środku salonu.

– Nie przejmuj się. – Łukasz machnął ręką. – W końcu przywykniesz.

– A... Ale...

Justyna wprowadziła Brzezińskiego, który rozejrzał się wokół, po czym spojrzał na Łukasza i wyciągnął do niego dłoń na powitanie.

– Nie posłuchał mnie pan – powiedział, przytrzymując rękę Meyera i patrząc mu głęboko w oczy.

– Pojechałem tam, gdzie było bezpieczniej. – Łukasz wzruszył lekko ramionami. – Zgodnie z pana sugestią.

Brzeziński zerknął na Justynę.

– Widzę, że dobraliście się doskonale. Mamy tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać?

– Tak, tak. Krzysztof, możemy skorzystać z twojego gabinetu?

Krzysiek nie odpowiedział. Stał z lekko otwartymi ustami, wpatrując się w Brzezińskiego z niedowierzaniem.

– Hej! – Justyna zniecierpliwiła się. – Nie wyjdę w ten upał do ogrodu.

– Idźcie – powiedział Łukasz. – Ja tu poczekam, aż się odwiesi.

Premier uśmiechnął się i poszedł za Justyną w stronę gabinetu Krzysztofa.

– Szwagier jest dermatologiem – poinformowała, kiedy weszli do pomalowanego na biało pokoju. – Stąd te paskudne zdjęcia na ścianach.

– Tak, wiem. Sprawdził się go.

– No tak. – Justyna westchnęła i usiadła na leżance przykrytej jednorazowym prześcieradłem. – Jak spotkanie?

– Które?

– Z kanclerzem.

– Niech mnie pani nie denerwuje. – Premier poluzował krawat i oparł się o blat biurka. – Muszę wytrzymać tę farsę do wyborów i nie oszaleć. Pani niech mi lepiej powie, co się dzieje w Afganistanie?

– Domański nie mówił?

Brzeziński nie był w stanie powstrzymać uśmiechu.

– Wie pani... Trudno mi uwierzyć w te... opowieści.

– Dlaczego?

– Zjednoczenie przynajmniej trzech grup najemników pod wodzą chorej umysłowo byłej agentki? Z całym szacunkiem dla pani i mojej inteligencji, to brzmi niedorzecznie.

– Ale taką relację właśnie zdał Andrzej, prawda?

– Tak. Dlatego między innymi tu jestem.

Justyna pokiwała głową, nie spiesząc się z udzielaniem wyjaśnień.

– Z moich źródeł wynika dokładnie to samo – powiedziała po chwili.

– Kim jest ta kobieta? Chcę znać fakty, których nie dowiem się sam.

– Jest szalona, z tym się zgodzę. I jest z nią jeden zasadniczy problem: nie

robi tego dla pieniędzy.

Brzeziński zmarszczył brwi.

– Fatalnie. To oznacza, że ona sama będzie wybierać zleceniodawców, a nie odwrotnie.

– Zgadza się – przytaknęła Justyna. – Boi się pan, że nie wybierze pana?

– Jeśli ma takie wpływy, że stawia na baczność lotnictwo bojowe w regionie, to tak, obawiam się tego. Obecnie nie mam tam za wielu swoich ludzi.

– Ona jest „swoja”. I jest zainteresowana współpracą.

Oczy premiera zaślniły blaskiem ekscytacji.

– I pani się dziwi, że chcę mieć ją u siebie?

– Może się nie dziwię, ale... po prostu tego nie chcę. Zaraz urodzę dziecko, które wymagać będzie szczególnej opieki...

– Bzdura! – przerwał jej. – Dzieci, nawet chore, szybko rosną, a matki jeszcze szybciej chcą wracać do pracy. Zanim się pani obejrzy, kto inny przejmie nad nią opiekę.

– Skąd jest pan tego taki pewien? I kto miałby przejmować tę opiekę?

– Nie zamknij pani dziecka w domu, będzie musiało pójść do ludzi, żeby się usamodzielniać, na ile to możliwe. Wiem, o czym mówię. Ja pani potrzebuję, tak samo jak potrzebuję pani kolegów.

Justyna nie odpowiedziała. Spojrzała na niego pytająco, jakby szukając oznak drwiny albo żartu.

– Do czego mnie pan potrzebuje? – zapytała w końcu cicho.

– Przypomnę pani. Katowice, centrum muzulmańskie, pięć lat temu.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Od tak dawna nie myślała o tamtym wydarzeniu, że wydawało się jej, iż nikt o nim nie wie ani nie pamięta. Była też stuprocentowo przekonana o tym, że nikt jej z tym nie łączy.

– Wiem, że to pani wysłała tę wiadomość. Moi ludzie sprawdzili monitoring miejski i odnaleźli wasz samochód, który był wtedy na ulicy Warszawskiej. I właśnie tego mi trzeba, takich ludzi. Ludzi, którzy czujnie rozglądają się wokół i umieją rozpoznać zagrożenie. Skąd pani wiedziała, kim jest ten człowiek?

Justyna przełknęła ślinę, czując, że ma całkiem suche gardło.

– On... Widziałam jego zdjęcia w naszych plikach z „katalogami” osób do odstrzału. Szukaliśmy go między innymi w Pakistanie. Parę razy o mało go nie złapaliśmy, ale ciągle nam uciekał.

Brzeziński skinął głową.

– Musiała więc być pani zdziwiona, widząc go w Polsce.

– Zdziwiona?! Myślałam, że pomieszało mi się w głowie. Brytyjczycy i Niemcy płacili straszne pieniądze za dostarczenie jego zwłok albo dowodu na to, że nie żyje. Wiedziałam, że odwiedzał jakąś komórkę tutaj, we Frankfurcie, ale nigdy w życiu bym nie pomyślała, że spotkam go w centrum Katowic.

– I to jest właśnie nasz problem. Tego kraju i ludzi, którzy chcą koniecznie nim rządzić. Nie widzą nadciągającej burzy.

– Co się z nim stało? Śledziłam potem media, ale nie było ani jednej wzmianki o jego aresztowaniu.

– Moi ludzie się nim zajęli. Wyciszyłem rozgłos.

– A ten, z kim rozmawiał?

– Imam. Wydaliliśmy go z całą rodziną w ciągu dwóch dni z Polski. Było ciężko, bo człowiek wrósł mocno przez dwadzieścia lat w środowisko. Nawet jakiś biskup protestował, ale uznałem, że trzeba pokazać, że traktujemy te sprawy poważnie. Co ciekawe, polskie środowiska muzułmańskie nie wstawiały się za nim. Sami wyciszyli szum i ktoś równie poważany zajął jego miejsce. Zgasiła pani wielki pożar, zanim ktoś zdołał wyciągnąć zapalniczkę.

– Co chcieli zrobić? – zapytała cicho.

– Był plan kilku ataków podczas dużych wydarzeń religijnych – chrześcijańskich, ale i muzułmańskich. Mieli na celowniku naszych Tatarów.

Justyna poruszyła się nerwowo na leżance.

– Miałam wśród kolegów na studiach kilku Tatarów. Mówili, że boją się inwazji islamistów.

– Ja też się boję. Ale mury, jakie jeszcze kilka lat temu nas chroniły, runęły pod naciskami różnych idiotów i przez niewiedzę innych. Nie mam ludzi, środków prawnych ani finansowych, żeby je odbudować. Nie mogę prowadzić inwigilacji złapanych na przekraczaniu „zielonej granicy” grup, które przyszły nie wiadomo skąd i nie wiadomo czego u nas szukają, bo zaraz mam pod oknem krzykaczy domagających się przestrzegania praw człowieka. W obozach przejściowych nie ma już krat ani dostatecznej ilości strażników, więc rozlążą się po naszym kraju i nie da się ich namierzyć. Nawet jeśli dziś, w tej chwili, w Polsce działa kilkadziesiąt komórek terrorystycznych, ja o tym nie wiem i nie mogę nic z tym zrobić.

– Ale mamy przecież stanowić granicę Unii, której chyba zależy, żeby to się nie działo, prawda?

– Pani złośliwy ton podpowiada mi, że wie pani, kto ich finansuje, prawda?

Justyna odwróciła na chwilę wzrok.

– Wiem. Dostają pieniądze na start od tych samych osób, które potem chcą czerpać zysk z wojny, jaką nam wypowiedzą, kiedy te komórki się uaktywnią. – Spojrzała znów na niego. – I uważa pan, że jesteśmy w stanie coś z tym zrobić?

– Musimy spróbować.

– Jak pan to sobie wyobraża?

– To skomplikowany proces. Jednak znaczną część prac już wykonałem, potrzebuję tylko ludzi.

– Jakie „prace” pan wykonał?

Brzeziński uśmiechnął się.

– Pani wie, że poszedłem na układ z Fornalskim?

– Tak, ustawiliście sobie wybory, także dzięki mojej sprawie.

– W istocie. Jednakże nie wie pani, że nastąpiła pewna zmiana planów.

Fornalski przegra te wybory.

– Bez sensu.

– Nie, wcale nie. Początkowo miałem go za nabzdyczonego małego człowieczka, który ma pustą czaszkę bez mózgu, ale okazało się, że potrafi myśleć strategicznie. To był jego pomysł, żeby położyć tę kampanię i zejść jeszcze głębiej z opozycją.

– Chyba nie łąpię, o co chodzi.

– Nie muszę pani tłumaczyć, jak odbywa się sprawowanie władzy w Polsce. Pewnie jest pani świadoma, że rządzi ktoś inny niż ci, których widzą obywatele na ekranach telewizorów. Sęk w tym, że do tej pory ekipa Fornalskiego była nazbyt transparentna, ale kiedy pokazałem prezesowi czarno na białym, ilu ma u siebie szpiegów i oszołomów, podjął decyzję o przejściu sposobu działania drużyny przeciwnej, tyle że... dobierzemy się do tyłków tym, którzy do tej pory pociągali za sznurki. W sumie już się dobraliśmy, między innymi tym, co „sponsorowali” pani byłego dowódcę, obecnego zastępcę Szefa Sztabu.

– Aha... – Justyna była w autentycznym szoku. – A czemu ma to służyć?

– Oczyszczeniu.

– O! – Uniosła brwi. – I, jak rozumiem, jest to proces mocno rozłożony w czasie.

– Zgadza się. Budowa chroniących nas murów potrwa, ale nie zdołamy jej przeprowadzić, jeśli ci, co go wciąż burzą, nadal są swobodni w działaniu. Jednocześnie chciałbym, żeby ekipa ludzi takich jak pani zajęła się wyszukiwaniem realnych, rodzących się na naszym podwórku zagrożeń. Chodzi mi o kogoś nieprzekupnego, a jednocześnie specjalistę.

– Ja mam być jakimś specjalistą? Od czego niby?

– Najpierw chcę, aby przekonała pani niektóre osoby ze swoich kręgów do współpracy.

– Moich kolegów z grupy?

– Ich przede wszystkim. Potem zajmie się pani koordynacją ich działań.

Justyna potrzebowała chwili, by przetrawić słowa, które usłyszała. Brzeziński ze spokojem przyglądał się jej zamyślanej twarzy.

– Jestem skłonna przyjąć taką ofertę – powiedziała w końcu. – Ale mam prośbę.

– Słucham więc.

– Niech pan odwoła całą tę akcję w Polsce, w której koledzy mojego męża szukają zleceniodawców porwania. W ogóle niech pan wszystko odwoła. Jeśli

macie za słabe dowody na kogokolwiek, wypuście go z aresztu, nawet Jaskółę. Niech cały szum ucichnie, jakby nic się nie stało.

– Co mielibyśmy przez to zyskać?

Teraz na twarzy Justyny zagościł wiele mówiący uśmiech.

– Wywabimy z kryjówki tego, kogo szukamy.

– Hm... Zaskoczyła mnie pani. Myśli pani, że sam wyjdzie?

– Oczywiście.

– Więc mamy darować sobie wysiłek i nie dociekać, gdzie jest, tak?

– Ale my wiemy, gdzie on jest.

Brzeziński zamrugnął powiekami.

– Ale... Jakie „wiemy”? Ja nie wiem, gdzie ukrył się Wallace, bo chyba o nim mowa.

– No tak. Ma mieszkanie na Wyspach Kanaryjskich, na Fuerteventurze, w Coralejo.

Premier poczuł, jak ciśnienie jego krwi gwałtownie się podnosi.

– To dlaczego nic pani nie powiedziała?

– Bo nikt nie pytał – odparła, wzruszając ramionami.

– Od kiedy pani o tym wie?

– Od początku. Niech się pan nie piekli. Ja naprawdę nie przypuszczałam, że on za tym stoi. Przez długi czas po porwaniu byłam pewna, że to ludzie Malika znaleźli do mnie dojście i zemścili się za Katowice. Potem już sama nie wiedziałam, co myśleć.

– Więc po co pani informacje o Wallacie?

– Mam swoje powody. I uprzedzę pana kolejne pytanie: nie powiem, jakie.

– Nie rozumiem. – Brzeziński wyprostował się i potrząsnął głową. – Zbierała pani o nim swój prywatny wywiad?

– Można tak powiedzieć. Widzę po pana minie, że chce pan od razu lecieć na Kanary, żeby się nim „zająć”, ale proszę tego nie robić. To nie byłoby rozsądne.

Premier zmrużył oczy i przekrzywił głowę, jakby coś właśnie do niego dotarło.

– Pani ma... swój własny plan – stwierdził. – Jakaś wendetę, której każdy etap jest dopracowany w najmniejszym szczególe.

Justyna pokręciła głową.

– Nie, to już się stało – powiedziała cicho.

Na twarzy premiera zagościł wyraz szacunku.

– Aha! Kryje się za tym jakaś inna historia. I co? Udało się?

– Aż za dobrze – mruknęła, odwracając wzrok.

Brzeziński roześmiał się.

– To gratuluję. Nie wnikam w szczegóły, może porozmawiamy o tym kiedyś w nieco lepszych warunkach. Skoro mamy tę sprawę załatwioną, czy ma pani do

mnie jakieś pytania?

– Nie. Chcę, żeby coś jeszcze pan dla mnie zrobił.

– Słucham.

– Pan wie, że wśród tych, co byli na misjach, są żołnierze, którzy sporo wiedzą, bo nie są „dzbanami”, jeżdżącymi do PKW tylko dla kasy. I pewnie wie pan też, że nikt nie wpadł na pomysł, żeby wykorzystać to, co wiedzą i umieją, ale się ich często wyrzuca z armii w chwili, gdy nie mają praw emerytalnych ani perspektyw w cywilu. Nierzadko są okaleczeni, psychicznie złamani... Chcę więc, żeby tacy ludzie dołączyli do tych, których działania mam koordynować. Nie interesuje mnie, jak pan to załatwi – po prostu chcę ich wiedzę i doświadczenie na nasz użytek.

Brzeziński pokiwał głową.

– To się da zrobić. Coś jeszcze?

– Na razie nie.

– A co do tego wyciszania spraw... Jest pani pewna, że to dobry pomysł? Chociażby w kwestii pani byłego dowódcy.

Justyna spojrzała na premiera przenikliwie.

– Osobiście uważam, że Jaskóła i ludzie jego pokroju powinni być zamknięci na Guantanamo. Chce pan budować mury chroniące nas przed terroryzmem islamskim, a ja nie muszę jechać do Afganistanu, Iraku czy Afryki, żeby znaleźć najprawdziwszych terrorystów. Oni są na naszym podwórku. Pan wie, że Jaskóła regularnie gwałci swoją żonę i głośno się tym chwali?

Twarz Brzezińskiego wykrzywiła się w ledwo zauważalnym grymasie.

– Tak, chwali się tym wokół i wie, że nikt mu nic nie robi. Gwałcił ją nawet wówczas, gdy była w ciąży. Kiedyś widziałam, jak schodził z czwartego piętra i ciągnął za sobą swojego własnego syna. Po prostu trzymał go za tę chudą rączkę i zbiegał, ile sił, po schodach, jakby taszczył worek kartofli. A kiedy mały protestował i wył z bólu, Jaskóła śmiał się i mówił: „Przestań, przecież to nie boli”. Niech mi się pan nie dziwi, że nie chcę, by trzymano go w więzieniu za naciągane zarzuty. Przyjdzie bowiem dzień, że któryś z jego równie popierdolonych kumpli pomoże mu wyjść i on natychmiast pójdzie po wysokie odszkodowanie. Jeśli ma dostać wyrok, niech to będzie dożywocie – tego chcę. Chcę też, by ktoś tak zajął się jego synem, by ten za jakiś czas nie nabrał ochoty na ucieczkę od ojca prosto w szeregi fanatyków, którzy obcinają chrześcijańskim niemowlętom głowy i którzy palą żywcem dziewczynki za to, że nie chcą być ich seksualnymi niewolnicami. Bo właśnie stąd oni się biorą. To są synowie Jaskóły i jemu podobnych. Uciekają z bogatej Anglii czy Francji i jadą mordować w imię Allaha. Niech pan nie patrzy na mnie tym zdziwionym wzrokiem. Ja ich tam widziałam – rudowłosych, blondynów, szatynów... I wie pan co? Oni są najgorsi. Jeśli nic nie zrobimy, wyrosną też u nas. Z tego powodu jestem skłonna zgodzić się na współpracę

z panem: żeby walczyć z terrorystami na naszym podwórku.

Premier wypuścił powietrze z płuc i pokiwał głową.

– Wszystko rozumiem i postaram się dać pani, co będzie potrzebne, żeby pani pomóc w realizacji tych zamierzeń. Ale chciałbym jeszcze porozmawiać z pani mężem. Na osobności.

– Uff... – Justyna odetchnęła i pomasowała się po brzuchu. – Już się bałam, że będę musiała brać w tym udział. Pójdę po niego.

– A nie jest pani ciekawa, czego chcę?

– Nie jestem, bo wiem, czego pan chce.

Brzeziński wyciągnął dłoń.

– Więc pożegnam się z panią już teraz. I obyśmy się szybko spotkali.

Justyna zrobiła lekko kpiącą minę.

– Na sąsiedzkiej pogawędce? Nieźle pan to wykombinował.

– Ależ miałem po temu bardzo ważne powody!

– Jakie?

– To będzie niespodzianka. Powiem tylko, że ta niespodzianka nie może się już doczekać spotkania z pani córką.

Justyna roześmiała się.

– Ale sobie z nią za bardzo nie pogada. OK, pójdę po Łukasza. Do zobaczenia w lepszych dekoracjach.

XXXV

Twarz Angie wyrażała czysty gniew. Wpatrywała się w zakłopotanego Andrzeja Domańskiego tak, jakby chciała go zamordować gołymi rękami. Biorący udział w rozmowie Louis wyglądał na rozbawionego.

– Co to znaczy, że ona od początku wiedziała, gdzie jest Wallace? – wycodziła przez zaciśnięte zęby.

– Znaczy, co znaczy. – Domański rozłożył ręce. – Przekazuję informacje podane mi przez moich ludzi w Warszawie.

– To niech nam powie, gdzie on jest! – zażądała Angie.

– Ale ona nie chce, żeby go ruszać.

– Ona nie ma nic do chcenia. Trzeba tam jechać i skrócić go o głowę.

Louis przysunął się nieco bliżej.

– Może jest w tym trochę racji – powiedział spokojnym tonem. – Nie ma sensu wchodzić do jego kryjówki, niech sam z niej wyjdzie.

Amerykanka spojrzała na niego z rozszerzonymi z gniewu oczami.

– A jak nie wyjdzie?!

– Nie przekonamy się, jeśli nie spróbujemy...

– Co mamy próbować? – przerwała mu. – Tu nie ma nic do próbowania.

– Malina ma plan.

– I ty się niby słuchasz planów Maliny? – prychnęła z pogardą w głosie.

– Już ja dobrze wiem, jakie są wasze relacje. Ty nigdy byś jej nie posłuchał, tak jak ona ciebie. Zawsze miała cię za psychopatycznego dupka.

– Bo nim jestem – stwierdził Louis. – I nic na to nie poradzę. Ale jeśli słyszę dobry plan, nie interesuje mnie, od kogo wyszedł. A ty mogłabyś chociaż wysłuchać, co mamy do powiedzenia.

– No to mów! Proszę bardzo. Oświeć mnie.

Louis przewrócił oczami i zerknął na Andrzeja.

– Wyciszamy wszystkie nasze akcje – zaczął wyjaśniać. – Działamy tak, jakby nic się nie stało i jakbyśmy o niczym nie wiedzieli. Dotychczas byliśmy bardzo reaktywni, co było dla strony przeciwnej jawnym sygnałem, że się boimy, że jesteśmy w panice...

– Ja nie jestem w panice! – oburzyła się Angie.

Andrzej parsknął śmiechem.

– Jesteś – odparł Louis, uśmiechając się. – Boisz się o Malinę i nie myślisz racjonalnie. Ale posłuchaj jej, proszę cię.

Angie odwróciła się gwałtownie, żeby ukryć rozemocjonowaną twarz. Zaciśnęła kościste dłonie na sukience i przygryzła wargę.

- Muszę się zastanowić – rzuciła przez ramię i wyszła z pomieszczenia.
- Domański klapnął na pufie, a Louis westchnął z ulgą.
- Poszło lepiej, niż myśleliśmy – powiedział do Andrzeja po francusku.
- Jest szansa, że nie roznieście połowy miasta i swojej grupy w ataku wściekłości.
- Myślę, że za bardzo zależy jej na Justynie – odparł Domański. – Mam taką nadzieję...

Amerykanka wróciła do pokoju. Twarz miała bladą, a oczy nieco rozbiegane, ale wydawało się, że największe emocje ma za sobą.

– Tak! – zaczęła, podnosząc palec. – Najpierw z nią porozmawiam. Rzeczywiście, nieco się przejmuję całą sprawą, ale to przez to, że Malina jest w ciąży i ma głupiego męża, który na niczym się nie zna.

– Poza tym, że jest oficerem służb specjalnych w Polsce, to w istocie jest debilem – powiedział Louis, nie kryjąc złości w głosie.

– Wiem, co mówię – odparła spokojnie. – Więc! – Podniosła znów palec.

– Teraz do niej zadzwonię i z nią porozmawiam. Wieczorem przekażę wam, co ustaliłam.

Louis przewrócił oczami.

– A nie możesz powiedzieć nam zaraz po rozmowie? Zaczekamy tutaj. Chyba nie będziesz gadać godzinami.

Andrzej parsknął śmiechem.

– Nie byłbym tego taki pewien. Ale naprawdę mogłabyś się streścić. Mamy dużo spraw do załatwienia, a ja w dodatku liczę, że sporo na tym zarobię.

Spojrzała na niego przenikliwie.

– Podoba mi się twoje podejście. Nie ma co się rozdrabniać. Czekać tutaj. Idę do drugiego pokoju.

– No i bardzo dobrze – mruknął Andrzej po polsku i sięgnął po swoją torbę.

– Siadaj. – Wskazał miejsce naprzeciwko. – Napijemy się wina.

– Wina? – Kanadyjczyk zdjął marynarkę i usiadł posłusznie na stołku. – Nie było czegoś innego w twoim hotelu?

– Jesteśmy w pracy, a ja w pracy nie piję alkoholu.

Louis wybuchnął śmiechem.

– A to co niby jest? – Wymierzył palec w butelkę czerwonego trunku.

– To jest kompot do obiadu. Upił się kiedyś czymś takim?

– Nie. Zazwyczaj po butelce, dwóch przechodziłem do wyższych procentów.

– No właśnie.

De Soto wróciła do nich, zanim zdążyli opróżnić zawartość butelki. Weszła i bez słowa zajęła miejsce na podłodze. Andrzej spojrzał na nią pytająco, pukając w szkło. Skinęła głową, więc nałaj jej to, co zostało, do plastikowego kubeczka. Wypiła wszystko za jednym zamachem.

– Boże, jakie to kwaśne! – Skrzywiła się. – Francuskie?

Domański skinął głową.

– Tak myślałam. Nie znoszę francuskich win.

– Jak rozmowa?

– W porządku. – Wzruszyła ramionami. – Malina dobrze się czuje, chociaż straszne upały są i puchną jej nogi, ale chyba będzie OK. Mnie też okropnie nogi puchły w ciąży. To zmora kobiet. Zostały jeszcze trzy tygodnie, więc już z górki...

– Popatrzyła zdziwiona na Louisa. – A co ty się tak na mnie gapisz, co? Zrobiłam ci coś złego?

– Nie interesują mnie problemy ciążowe ani termin porodu. Chcę wiedzieć, co ustaliłaś w naszej sprawie.

– Ty to się w ogóle nie nadajesz do dyplomacji, wiesz? Jesteś tępy jak łyżka do butów. – Naburmuszyła się i odwróciła wzrok. – Nasze sprawy nie uciekną, a porodu nie da się zatrzymać. Wszystko ustalone. Wywabiamy Wallace'a poprzez zaniechanie działań.

– A dalej? – zapytał Andrzej.

– No właśnie z tym „dalej” miałam problem... – Potarła dłonią policzek, patrząc gdzieś w dal. – Malina i jej pomysły... Sama nie wiem, czy to wyjdzie, co zaplanowała.

Louis poczuł się nieco zaniepokojony.

– Co zaplanowała? Chcesz powiedzieć, że ona ma jakiś konkretny plan?

– To właśnie mówię.

– Ale... my mieliśmy ustalić szczegóły.

Angie spojrzała na niego z politowaniem.

– Nie znasz Maliny? Będziesz tylko wykonawcą tych szczegółów. Ona już dawno ma w swojej głowie cały scenariusz z rozpisaniem na role, a wszyscy wokół robią to, czego ona chce, nawet jeśli nie są tego świadomi.

– Ty też? – zapytał rozbawiony Domański.

– Oczywiście! Trochę mi zajęło, zanim to pojęłam, ale już się z tym faktem pogodziłam. – Westchnęła, gładząc fałdy na sukience. – Grunt, żeby wszystko się dobrze skończyło.

XXXVI

Łukasz do późna rozmawiał z Mirkiem Lubickim przez skype'a i kiedy wyłączał w salonie komputer z zamiarem udania się na spoczynek, był przekonany, że Justyna już śpi. Tymczasem zastał żonę siedzącą nieruchomo na łóżku, wpatrzoną w niewidzialny punkt za oknem.

– Wszystko w porządku? – Spojrzał na nią z niepokojem.

– Zapytał setny raz tego samego dnia – wymamrotała, nie patrząc na niego.

Łukasz cmoknął z irytacją i wskoczył na łóżko.

– Pani Przemądrzała, są dwie sprawy. Po pierwsze, kiedy jednego dnia nie zapytałem, czy wszystko u ciebie OK, byłaś śmiertelnie obrażona, że nie dbam o ciebie należycie. Po drugie zaś, mamy już dzień kolejny, bo północ minęła. W związku z tym jest po trzecie: dlaczego wciąż nie śpisz?

– Nie jestem zmęczona. – Wzruszyła ramionami.

– Tak, na pewno – odparł z sarkazmem, poprawiając poduszki. – Jesteś nakręcona, dlatego wydaje ci się, że nie czujesz zmęczenia.

Justyna popatrzyła na niego z gniewem.

– A skąd ty wiesz, co ja naprawdę czuję, co? Siedzisz w mojej głowie? Chcesz mną manipulować?

Łukasz złapał poduszkę, którą nakrył swoją głowę.

– No co? – Szturchnęła go.

Odsonił twarz i uśmiechnął się dziwnie.

– Wiesz, kiedy poznałem twoich kolegów z Afganistanu, wszyscy opowiadali, jaka z ciebie księżniczka, królewna, słodka dziewczynka, którą każdy chce się opiekować i której każdy chce i pożąda. Ale w miarę, jak poznawałem ich lepiej, coraz częściej słyszałem pod twoim adresem określenia „czarownica”, „wiedźma”, „żmija”, a nawet „oszustka”. A! I najważniejsze: „kłamczucha”. Okazało się, że ten idealny obraz królewny zmienia się z każdym dniem. I chyba wiem, o co im chodziło.

– I myślisz, że jesteś zabawny, tak? – Justyna wyglądała tak, jakby przemowa męża nie zrobiła na niej najmniejszego wrażenia. – Idź spać, Meyer. Sam chyba nie czujesz, że jesteś zmęczony.

Łukasz roześmiał się głośno i pokręcił głową.

– Boże, czuję, jakbym ożenił się drugi raz z kimś innym. – Podłożył ręce pod kark i westchnął cicho. – Aha! Rozmawiałaś ze swoją przyjaciółką dość długo. Coś ciekawego ci powiedziała?

– Dlaczego ty zawsze mówisz słowo „przyjaciółka” z taką pogardą?

– Bo jej nie cierpię – odparł szczerze.

– Ale to naprawdę moja przyjaciółka, jedyna w zasadzie, jaką mam i miałam.

– Tyle że... nieco szurnięta.

Spojrzała na niego z powagą.

– W tym rzecz.

– Co? – Zmarszczył brwi. – W czym?

– W tym, że jest nienormalna. Jest chora psychicznie i wiemy to obie, ale dzięki temu jakaś luka w moim życiu wypełniła się, dostałam od Losu drugą szansę.

– Na co?

– Na matkę. Nie zauważyłeś? Angie zawsze była dla mnie matką. Kiedy ją poznałam, po raz pierwszy zrozumiałam, że nawet szalony człowiek może mieć uczucia macierzyńskie, może mieć wolę i podejmować wysiłki, by opiekować się kimś słabszym. Wtedy zaczęłam widzieć, że nic nie usprawiedliwiało Ireny za to, co nam robiła i robi, bo robi to z premedytacją, a jej psychozy i te napady szału albo wielodniowego milczenia są z wyboru. Umiem rozróżnić chorobę psychiczną od pełnej niepoczytalności. Angelina dała mi to, czego nie mogła dać swojej córce, i zrobiła to świadomie.

– Więc i ona miała swoją drugą szansę?

– Tak! Jest przy tym pogodzona ze swoimi ułomnościami, jakoś dogaduje się ze zmiennymi humorami, depresją czy okresami manii. I miała o wiele trudniej w życiu niż Irena. Boże! – westchnęła głośno. – Pamiętam ten dzień, kiedy ją poznałam. Siedzieliśmy z Ahmedem w sklepie i nagle poczułam zapach perfum, bardzo drogich w dodatku. Teraz przynajmniej wiem, dla kogo się tak wypachniła. Wyszłam z zaplecza i zobaczyłam chudą kretynkę, która rzucała się w oczy ciuszkami jak z filmu o szpiegach. Brakowało jej tylko na plecach wielkiego napisu: „Jestem z CIA. Możecie mnie zabić”. Wciągnęłam ją do środka i ubrałam jak człowieka. Pogadałyśmy, wypiliśmy herbatę... Ahmed parzył świetną herbatę. Potem przychodziła prawie codziennie, a mój fałszywy muzułmański mąż nigdy nas nie wydał. No i... zaczęła się nasza współpraca.

– Twoi ludzie nigdy się nie zorientowali?

– Oni? Nawet gdybym wpadła do kryjówki i krzyknęła: „Chłopaki, robię akcje na boku z agentką CIA! Dzielimy się samobójcami!”, nikt by mi nie uwierzył. Pogłaskaliby mnie po główce i kazali iść odpocząć.

– A Krokodyl? On podobno wszystko wiedział.

– Krokodyl to była ostatnia osoba, która by uwierzyła w coś takiego. Nikt nie myślał o mnie tak źle jak on.

– Niemożliwe! – Łukasz był naprawdę zdziwiony.

– Tak. – Justyna spojrzała na niego. – Miał mnie zawsze za debilkę. On tylko mówił, jaka jestem zdolna i że nawet jestem od niego lepsza... Ale wiesz, co to było? Manipulacja. W ten sposób manipulował mną. Zajęło mi trochę czasu, zanim

się połapałam, ale tak właśnie było. Bo on to mówił tylko wtedy, kiedy byłam mu do czegoś potrzebna, gdy chciał mnie przekonać do jakiegoś zadania, którego ja nie chciałam. Raz jeden uległ moim prośbom i pozwolił mi biec na targ z bronią.

– Wtedy, kiedy zastrzeliłaś zamachowca?

– Tak. I nie masz pojęcia, jak był zły, kiedy mi się udało. Gdyby wiedział, na co mnie stać, odkryłby moją przyjaźń z Angie od razu, bo ja się nawet specjalnie z tym nie kryłam. Im wszystkim po prostu nie mieściło się to w głowach. Pewnie pomyślisz, że to z mojej strony była manipulacja, ale mieli to, na co zasłużyli, bo widzieli we mnie nadwrażliwą dziewczynę. Popatrz chociażby na De Soto i Louisa.

– Co z nimi?

– Louis ma Angie za „zbyt emocjonalną” wariatkę, wyśmiewa ją, ma za kogoś słabego i gorszego. A tymczasem, co zrobił? Został w Afganistanie! Z nią! Robi to, co ona chce, i nie ma nawet o tym pojęcia. Angie jest po prostu najlepsza.

Łukasz ujął dłoń Justyny i ucałował mocno.

– No i podobają jej się wysocy blondyni z zarostem – powiedział z uśmiechem.

– Ale tylko z wyglądu – zachichotała Justyna.

– Grabisz sobie coraz bardziej. – Ugryzł ją w palec. – Więc jak rozmowa? Macie jakieś szalone plany?

– Szalone plany można mieć na sylwestra. My mamy bardzo poważne plany, przemyślane, gruntownie dopracowane.

– Aha... – Łukasz zamrugał powiekami. – Czyli że ty coś wymyśliłaś, a ona się zgodziła, choć sama nie wie dlaczego. To tak przy okazji, gdy mówimy o manipulowaniu.

Justyna chciała zrobić groźną minę, ale zamiast tego uśmiechnęła się wymownie.

– No... mniej więcej. Na swoje usprawiedliwienie powiem, że ja mam najlepszy obraz całej sytuacji, wiem najwięcej...

– Właśnie, właśnie! W końcu to powiedziałaś.

– Co niby?

– Że jesteś podłą, manipulującą kłamczuchą, która prowadzi prywatne wendety, do których wciąga niczego nieświadomych ludzi: najemników, płatnych zabójców, księży, premierów, wojsko, policję i cholera wie, kogo jeszcze.

– Wcale nie – mruknęła naburmuszona.

– Wcale tak. – Uniósł się na łokciu. – Justyś, chcę znać prawdę. Chcę w końcu poczuć, że tworzymy jedność, także w tym. Wiem, że miałaś w sobie wiele blokad, żeby mi o wszystkim mówić, ale bardzo mnie to rani.

Jej usta wykrzywił bolesny grymas.

– Wiem – jęknęła cicho. – Ale...

– Nie musi być dziś – szepnął. – Po prostu wybierz najlepszy dla siebie

moment i powiedz. Tylko miej wolę.

XXXVII

Kuba „Rozpruwacz” Bąk zaczynał działać wszystkim na nerwy bardziej niż niezdolny upał. Każdy, kto mógł, unikał jego męczącego towarzystwa, które sprowadzało się do zadawania setek najdziwniejszych pytań, a następnie kolejnych, jakie zrodziły się w jego czarnowłosej główce po usłyszeniu odpowiedzi. Był namolnym, nieustępliwym i bardzo bystrym chłopcem, a więc dokładnie takim, jakich większość dorosłych nie lubi. Chętnie wytykał nieścisłości w wypowiedziach innych, niezależnie od ich wieku i statusu społecznego, i dopiero towarzystwo premiera Brzezińskiego zdawało się satysfakcjonować go w stopniu dostatecznym.

– A dlaczego twój wnuk ma ten zespół? – pytał, nie przejmując się specjalnie zachowaniem odpowiedniego dystansu w swoich wypowiedziach.

– Ponieważ ma o jeden chromosom za dużo – odpowiedział spokojnie premier, kiwając głową na widok rodziców Łukasza, którzy właśnie zjawili się w ogrodzie.

– A ja wiem, co to są chromosomy – pochwalił się Kuba. – A dlaczego ma ten chromosom za dużo?

– Tego niestety nie wiem. Czasem tak dzieje się w naturze.

– No – stwierdził chłopiec. – Pani od biologii mówiła, że czasem dzieją się rzeczy, których nie rozumiemy. Ale wiesz co? – Ściszył konspiracyjnie głos. – Ja wiem, dlaczego tak mówią. Bo jeszcze nie znaleźli przyczyny i głupio im się przyznać.

Brzeziński oderwał wzrok od twarzy gości zebranych wokół niego i spojrzał na Kubę z wyrazem uznania w oczach.

– A wiesz, że ja myślę podobnie. Im będziesz starszy, tym częściej będziesz spotykał ludzi, którzy boją się przyznać, że czegoś nie wiedzą.

– Na przykład nauczyciele. – Młodzieniec pokiwał głową i zrobił minę leciwego mędrca.

Premier roześmiał się.

– Dokładnie tak. Nauczyciele Miłosza tak mają, więc twój pewnie też. Ale to niestety nieuleczalne i trzeba z takimi ludźmi żyć, czasami idąc na niewygodne kompromisy. Wiesz, czym są kompromisy?

Kuba wypiął dumnie pierś i wyszczerzył się w uśmiechu.

– Tak. Dowiedziałem się w zeszłym miesiącu.

– Brawo! – Poklepał chłopca po ramieniu. – Wróżę ci chlubną przyszłość.

– Jeszcze chciałem cię o coś zapytać.

– Pytaj więc. Kielbaski wciąż nieupieczone, możemy rozmawiać.

– Dlaczego twój wnuk tak śmiesznie się ubiera?

– Nie śmiesznie, tylko elegancko i dystyngowanie. Miłosz zawsze lubił dobrze wyglądać. Nie jest typem sportowca, choć pływa znakomicie, startuje nawet w zawodach dla niepełnosprawnych. Taki ma charakter, że wybiera raczej marynarkę zamiast koszulki. Ma cały zbiór much i krawatów. No i bardzo dba o maniery.

Kuba wyduł usta, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Ja nie dbam – oznajmił po chwili. – Mama mówiła. To chyba bym się z nim nie zakumplował.

– Przeciwnie! Uważam, że macie wiele wspólnego.

– A co?

– Umysły, które nie znoszą fałszu wokół siebie. Jeśli znajdziesz czas, porozmawiaj z nim.

Kuba pociągnął nosem i skrzywił się lekko.

– No... pomyślę. Fajnie się z tobą rozmawiało. Nawet z Rafałem nie jest tak fajnie.

Brzeziński zerknął z uśmiechem w stronę Brennera, który klócił się o coś z żoną.

– Cóż... Takiego komplementu się nie spodziewałem. Ale i ja muszę przyznać, że konwersacja z tobą to czysta przyjemność.

– To pójdę zobaczyć te kielbaski.

– Koniecznie.

Kiedy młody Bąk oddalił się w stronę grilla, przy którym królował komisarz Kotowicz ze swoją uroczą narzeczoną, do premiera podeszła Kasia.

– Bardzo pana przepraszam – wyszeptała. – Naprawdę.

– Ale... za co? – Brzeziński był zdziwiony.

– Że pana męczył. Wszystkich męczy tym gadaniem. Do tej pory tylko Justyna mu dawała radę. – Nagle pacnęła się w czoło. – Och! Ależ ze mnie gapa. Jestem Bąkowa, matka tego gagatka.

– Więc muszę przyznać, że ma pani wyjątkowego syna.

– Tak, wyjątkowo uciążliwego.

– Dlaczego pani tak mówi? – Premier był szczerze zdegustowany. – Gdyby był starszy, już załatwiałbym mu jakąś pracę dla siebie. Potrzebuję ludzi odważnych i bystrych, takich jak pani.

Kasia otworzyła usta, ale nie zdołała nic z siebie wydusić.

– Jest pani zdziwiona? – Spojrzał jej głęboko w oczy. – Załatwiła pani pewną sprawę, z którą ani szef wywiadu, ani CBS sobie nie poradzili.

– A... ale... jaką? – wydukała. – I skąd... jak...

– Teraz nie będę tego z panią omawiał, bo nie czas i nie miejsce po temu, ale niewykluczone, że zgłoszę się do pani któregoś dnia po pomoc.

– Żartuje pan. – Kasia była całkiem zbita z tropu.
– Ani trochę. Dziś mogę jedynie prosić panią o interwencję u pani męża.
– O, matko – jęknęła.
– Myślę, że się to pani spodoba... jako żonie. Chciałbym, by pracował dla mnie, głównie tutaj, w Polsce. Byłby częściej w domu...

Kasia zarechotała.

– He, he! To sam go pan proś. Żeby mi więcej dzieci zrobił? Jak się Kostek zgodzi, to niech pracuje. Ja go sobie nie ściągnę na głowę.

Teraz to Brzeziński był skonfundowany.

– Bardzo... nietypowe podejście.

– Panie premierze, ja go uwielbiam i każdego dnia się o niego boję, ale jak on za długo przy domu jest, to by się tylko przytulał. Robi się z niego kapeć. Chcesz go pan zatrudnić? To znajdź mu pan coś dalej, na dłużej, w innym klimacie. Potem wraca odchudzony, opalony, przy kasie. Chociaż... – Machnęła ręką. – Jeśli Justyna go będzie namawiać, to zostanie.

Premier uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Ciekawe – mruknął pod nosem, ale nagle ożywił się na widok Zofii Meyerowej, niosącej jakieś półmiski. – O! To chyba marynowane żeberka jadą w stronę grilla. Pójdę dopilnować ich przyrządzenia. Uważam, że jestem w tym mistrzem. Pani wybaczy.

– Proszę bardzo. – Wykonała ruch ręką, która zaraz opadła nisko.

– O co chodziło? Opowiadaj, opowiadaj! – Podekscytowana Grażyna Brenner zjawiała się nagle za plecami koleżanki.

– Myślałam, że to poważny człowiek, a on... Nieważne.

– Gadałaś z premierem i mówisz, że nieważne?!

– Ty sypiasz z prawie-szefem całej policji, ale jakoś nie robię afery.

– O, Boże! – Grażyna przewróciła oczami. – Weź mi nie wspominaj o tym... bęcwale.

Kasia spojrzała na nią zdumiona.

– Co się znowu stało?

– Niby dorosły, poważany, na stanowisku, a zachowuje się jak uczeń. Dąsa się, obraża o byle co...

– Justyna wraca – stwierdziła Kasia, kiwając głową.

– Myślisz?

– No.

– E, to nie byłoby tak źle. Zaczynałam się martwić, że mu bije na mózg przez pracę. Justyna kopnie go w dupę na powitanie i tyle będzie, a robota jest i się szybko nie skończy.

– Nasza etatowa łamaczka serc – parsknęła Kasia. – Kuba też już nie może się doczekać. No i nie może pogodzić się z faktem, że jego ukochana jest zajęta i że

z nim nie zamieszka. A jak się dowiedział, że będzie miała dziecko, zasugerował w rozmowie telefonicznej, by poważnie zastanowiła się nad adopcją.

– Nie gadaj! – Grażyna zaczęła chichotać.

– Tak, bo on czytał artykuł o adopcjach i uważa, że to rozsądne rozwiązanie. Miałyby czas dla niego i uszczęśliwiłaby jakąś parę dzidziusiem.

– Ależ to koszmarnie.

– To nie był najbardziej makabryczny z jego pomysłów ostatnimi czasy, wierz mi. Im jest starszy i więcej wie, tym bardziej mnie przeraża. Ostatni hit to propozycje w zakresie mumifikacji ciał. Na poważnie rozmyśla nad zmumifikowaniem żyjącego człowieka, konkretnie dwóch osób: mnie i Kostka, żebyśmy żyli dłużej. Wyobraź sobie, że budzisz się, a nad tobą stoi twój rodzony syn, który zastanawia się nad wyciągnięciem twojego mózgu przez nos.

– Skąd mu się to wzięło?

– Przeczytał w książkach o starożytnym Egipcie. Najgorsze jest to, że nie mogę powiedzieć mu, że ma zostawić te książki i iść na dwór, bo on i tak siedzi ciągle na drzewie albo płocie u sąsiada. Robi, co chce.

– Patrz, pan komisarz do nas idzie. – Grażyna kiwnęła głową w stronę Kotowicza, który właśnie szedł w ich kierunku, niosąc talerzyki z kielbaskami.

– Drogie panie. – Kot podał im jedzenie. – Przekąska z kleksami keczupu i musztardy. Mam nadzieję, że będzie wam smakować.

– Panie Tomku – zaczęła Brennerowa, biorąc swoją porcję – muszę to powiedzieć: pana narzeczona jest przeurocza.

– Yy... tak... – Zerknął w stronę Eweliny, która obsługiwała gości z uśmiechem. – W istocie. Jest... bardzo kochana.

– I ma śliczną sukienkę – dodała Kasia.

Tomek roześmiał się.

– Eh... W końcu przestała nosić te dziwne rzeczy, w których wyglądała mało poważnie.

– No, ba! Jak się jest w związku z taką ważną personą jak pan, to trzeba wyglądać – odparła Kasia, przeżuwając kielbasę. – Baby ze wsi mojego pokroju nie muszą być aż tak wystrojone, nawet na rautach ogrodowych z premierem.

– To żaden raut. Po prostu demolujemy koledze jego nowy dom, zanim w ogóle w nim zamieszkał. Mam nadzieję, że mnie Meyer nie znienawidzi za to, że pijemy tu bez niego.

– A, właśnie! – Kasi coś się przypomniało. – Mój Bąk się odezwał z Bułgarii.

– Naprawdę? I co u nich?

– W porządku. Na dniach wyjeżdżają do Niemiec. Są trochę niezadowoleni, bo nie obłowili się zbyt na tych ostatnich „saksach”.

– Świetnie. Pewnie dzieci nie mogą się doczekać.

– E, tam. – Kasia skrzywiła się. – Kubę interesuje tylko to, czy przywiezie mu Justynę, a bliźniaki póki co wszystko mają w nosie, byleby mieć pełną flaszkę i sucho w pieluchach. Mała Kasia poszła do szkoły w Warszawie i dość jasno daje do zrozumienia, że nie ma ochoty gadać z ojcem.

– Trudny wiek?

– Nie, trudny ojciec. Teraz inspektor Brenner jest jej męskim wzorcem i z dwojga złego uważam, że to niezły wybór. Przynajmniej jest obecny.

– Na razie – powiedziała Grażyna z przekąsem. – Jeśli naprawdę zostanie tym generałem, to nie będziemy zbyt wiele oglądać jego łysiny. Panie komisarzu, ma pan jakieś salonowe plotki dla nas na temat awansów?

Tomek westchnął ciężko.

– Och, pani Grażyno, trudno powiedzieć. Wszystko zależy od wyniku wyborów, ale jeśli sondaże nie kłamią i Fornalski jednak nie wygra, to pani mąż zostanie co najwyżej zastępcą.

– Miałam nadzieję, że powie pan, że go wywalą na emeryturę.

– Nie – uśmiechnął się. – Po tym zamachu jego kariera nabrała nieoczekiwanego rozpędu. Rasiak chciał, żeby po nim przejął CBS, ale ktoś wymyślił, że nada się na komendanta od całości. To teraz rozpoznawalne nazwisko.

– No, słyszałam nawet w jednym radiu, którego nazwy nie będę wymieniać, że to podejrzane nazwisko, bo nie brzmi zbyt polsko, co jest o tyle kuriozalne, że wszyscy jego wujowie, dziadowie i Bóg wie, kto jeszcze z jego krewnych, walczyli w każdym możliwym powstaniu i wojnie przeciw wrogom ojczyzny. Nie znam drugiego bardziej nakręconego patriotycznie człowieka.

– To dlatego poszedł do policji? – zapytała Kasia.

– Tak. Służba zawsze była pierwsza. Czasem ciężko żyje się z takim maniakiem, ale lepsze to, niż sypiać z byłym ZOMO-wcem.

Kotowicz uniósł wysoko brwi.

– Uważalbym w tym gronie z takimi wypowiedziami.

– A to czemu?

– Brzeziński to były ZOMO-wiec z bardzo, ale to bardzo brzydką przeszłością.

– Hm... – Grażyna spojrzała na premiera, który obracał żeberka na grillu.
– Myślałam, że był w wojsku.

– Nie, zawsze pracował w naszym resorcie. Stąd jego znajomość z Rasiakiem. I w sumie... nie wiem, czy to nawrócony na dobro ojczyzny funkcjonariusz, czy nadal realizuje jakieś mroczne interesy. Tak czy inaczej, wolę na niego uważać.

– Ta... – Brennerowa pokiwała głową. – Nic się tu nie zmienia, w tej naszej Polsce. Ciągle trzeba uważać. Ale, ale! – Obróciła głowę w stronę wejścia do

ogrodu. – Przecież w takim gronie nic nam nie grozi. Panie komisarzu, pana ludzie przyszli zwabieni zapachem pieczonego mięsiwa.

– Cholera! – Tomek złapał się za głowę. – Muszę iść dorzucić na ruszt.

– I niech pan zobaczy, czy wóda dobrze schłodzona – zawołała za nim Kasia.

– Patrz na nich. – Grażyna wskazała na podwładnych Kotowicza i pokręciła głową.

– Ale że co? Tacy przystojni?

– Nie, tacy potulni. Każdy przyprowadził jakąś kobietę, to zachowują się jak trzeba. Jak są we własnym towarzystwie, bywa różnie...

– Coś ty? – Kasia z zaciekawieniem przyglądała się grupie mężczyzn, ubranych zgodnie z *dress-code* przewidzianym na ogrodowe party. – O! I jest piękna Iwonka. To jakiś jej chłop czy wzięła kogoś z biura?

– To, moja droga, jest grubsza afera – stwierdziła Grażyna, robiąc wymowną minę. – Prawdziwy kryminal.

– No to dawaj! O co chodzi?

– Ten facet to jej mąż – wyszeptowała z przejęciem. – Legalny ślubny, który zostanie po tym przyjęciu aresztowany za zabójstwo.

Ramiona Kasi opadły nisko.

– No wiesz? Aż straciłam apetyt na karkówkę. Co to w ogóle za historia?

– On o niczym nie wie – szeptała dalej Grażyna. – Mój stary mi mówił, że to pułapka. Kotowicz odkrył, że ślubny Iwonki nie ma alibi na czas popełnienia dwóch zabójstw w Węgorzewie.

– A ona wie?

– Nie.

– Boże! – W oczach Kasi stanęły łzy. – Bidulka. To złamie jej serce.

– Tak, a w dodatku nie będzie miał jej kto pocieszać. Ci, co się o nią bili, bardzo się teraz lubią. Mają jakieś swoje sekrety i nie w głowie im konkury. Poza tym, jak on pójdzie siedzieć, Iwonkę odsuną na jakiś czas od czynności. Mój Brenner załatwia, żeby wszystko odbyło się w miarę bezboleśnie dla niej.

– Ale mimo wszystko...

– Mnie tam specjalnie nie żal. Gnój ją bije od lat, znęca się psychicznie.

– A nie wygląda.

– Oni nigdy tak nie wyglądają. Zrobią wszystko, żeby zachować pozory.

Auć! – Grażyna podskoczyła gwałtownie. – Brenner, nie zachodź mnie od tyłu! I nie wbijaj mi paluchów w nerki.

– Witam piękne panie! – Inspektor uśmiechnął się, pokazując całe uzębienie.

– Nie przeszkadzam?

– Oczywiście, że przeszkadzasz. – Żona pacnęła go w ramię. – Obgadujemy ludzi. Do ciebie nie zdążyliśmy dojść.

– A byliście w domu? Pięknie urządzili naszych Meyerów.

– Szpiegowaleś? – Grażyna udawała oburzoną. – I pewnie w każdym kącie zostawiłeś miłosne liściki dla Justyny.

– Jesteś podła.

– Już to dziś słyszałam. Wymyśl coś innego.

Rafał objął ją w pasie i pocałował w szyję.

– Jesteś zazdrosna.

– Oczywiście, że tak. – Zarumieniła się. – To jak mają w tym domu?

– Przystrońcie. Zdecydowanie lepiej niż na Mokotowie. No i mają rodziców Łukasza, co akurat nie będzie dla nich dobrą wiadomością.

– Wprowadzili się? – Kasia była zszokowana.

– Nie, ale wszędzie czuć ich obecność. – Brenner parsknął śmiechem.

– Widziałem przed chwilą, jak matka Łukasza zmieniała firanki w salonie.

– Boże! To się dobrze nie skończy. Justyna ją rozniesie.

– Nie mów takich rzeczy! – Rafał wzdrygnął się. – Ledwo udało się nam umorzyć sprawę innego jej... No, wiecie.

– Nie wiem, co tu do umarzania. – Kasia przewróciła oczami. – Obrona konieczna, nie powinno być żadnego procesu ani dyskusji.

– Cóż... – Brenner odsunął żonę. – Może kiedyś dojdziemy do takiego poziomu cywilizacji. Przepraszę was i pójdę napić się z chłopakami.

– Idź. Tylko pamiętaj, że jesteś człowiekiem na stanowisku. Zachowuj się.

– Dziękuję, kochanie, że we mnie wierzysz.

– Ja cię po prostu dobrze znam.

Kasia prychnęła.

– Aresztowanie ma być, a oni wódę chleją?

– To nie oni będą zatrzymywać. Ale pomyśl tylko, jaka zabawa dla nich. Słuchaj, chodźmy może do środka. Upał jak cholera, a poza tym od dawna nie widziałam twojego syna w pobliżu.

– Żartujesz? – Kasia o mało nie upuściła talerzyka, rozglądając się wokół.

– Jezus Maria! Musimy go znaleźć.

Kobiety poszły do domu. Młodego Bąka znalazły w kuchni, wypełnionej szczelnie siwym dymem.

– Rozpruwacz! – zawołała załamana mama. – Co ty robisz?

– Eksperyment – odparł spokojnie młodzian.

– Boże! Graża, pootwieraj okna, bo się podusimy. Kiedy ty zdążyłeś tak narozrabiać?

– Spieszyłem się – przyznał bez cienia skruchy, a wręcz z dumą w głosie.

– Skąd ten dym? – wykasłała Grażyna. – Szczypie w oczy jak czort.

– Z piekarnika – wyjaśnił Kuba. – Piekłem ciasteczka. Miłosz dał mi przepis.

Dopiero wtedy kobiety zauważyły drugiego chłopca, stojącego pod ścianą przy wejściu do kuchni, który również nie wyglądał na przejętego całą sytuacją.

– Przepis babci na czekoladowe ciasteczka – powiedział niepytany Miłosz.
– Sprawdzaliśmy, czy można je upiec szybciej. Bardzo nie lubię czekać.

W kuchni zjawilo się kilka osób, zaniepokojonych wydobywającym się z okien dymem.

– Ojej! Ojej! – wołała Zofia, machając rękami. – Moja kuchnia!

– Nie twoja, kobieto – odparł Stefan, który przydreptał tuż za nią. – Ogarnij się i nie panikuj. Jakies straty?

– Nie wiem sama... – Kasia zajrzała do piekarnika. – Nie wygląda to najlepiej.

– Miłosz? – Premier rozglądał się wokół, zdumiony. – Co to wszystko znaczy?

– Zakumplowałem się – odpowiedział młody z satysfakcją.

Brzeziński spojrzal najpierw na niego, a potem na zadowolona minę Kubę.

– Cóż... – mruknął, sięgając po portfel w spodniach. – Najwyraźniej macie więcej wspólnego, niż myślałem. Oczywiście pokryję wszelkie straty.

– Tak! – Kasia pokiwała głową, patrząc na Stefana. – Ja też.

Stefan machnął ręką.

– Bez przesady. Nawet nie wiemy, co się dokładnie zniszczyło i czy w ogóle. Zostawcie to. Zofia, patrz: tyle dymu było, a czujki nie zadziałały. Przypomnij mi, żebyśmy zgłosili w poniedziałek reklamację. I zostaw tę ścierkę. Później posprzątam.

– Ale...

– Zostaw, powiedziałem. Teraz pójdziemy do ogrodu i dalej będziemy się dobrze bawić. Miłoszku – pogłaskał chłopca po głowie – widzę, że masz nowego kolegę.

– No. Zakumplowałem się.

– To cudownie! – Stefan puścił oko do Brzezińskiego. – Spalony piekarnik to niewielka cena za twoją radość. Chodźcie, chłopcy, wujek Stefan zajmie się trochę wami.

Wszyscy, jeden po drugim, zaczęli opuszczać śmierdzącą kuchnię. Kasia, która miała wrażenie, że sama spali się ze wstydu, chciała pójść zobaczyć, co będzie robił Kuba, ale zauważyła, że Grażyna nie wychodzi za nią.

– Co się dzieje? – zapytała szeptem przyjaciółkę, która wpatrywała się z niepokojem w swojego męża, stojącego na środku kuchni. Inspektor zadzierał głowę, bacznie się czemuś przyglądając.

– Cholera go wie – odpowiedziała, marszcząc brwi. – Rafał, wiesz, że wyglądasz jak debil?

– Te czujki... – Spojrzal na żonę, pokazując palcem w róg sufitu.

– Co „czujki”?

– Wyglądają jak czujki ruchu, a stary Meyer mówił, że to od dymu.

- No i?
- Nie zadziałały.
- O Boże! – Grażyna zirytowała się. – Bo pewnie są zepsute.
- Nie. – Pokręcił głową.
- A co? – Grażyna poczuła, że stało się coś naprawdę poważnego. Podeszła bliżej męża.
- Rozumiesz? Ktoś mógł, tak jak ja, pomyśleć, że to czujki ruchu, takie same, jak mamy w naszym domu na działce, które załączamy przed wyjazdem.
- I?
- Są wykręcone.

XXXVIII

Za każdym razem, gdy przypominała jej się ostatnia rozmowa z Kasią, zaczynała się śmiać. W wyobraźni widziała zadymioną kuchnię, biegającą z dzikimi okrzykami Zofię i Kubę, który z dumą stwierdzał, że udało mu się tak doskonale nabroić, ponieważ się spieszył. Czuła przy tym żal, że wciąż jej tam nie było, że tułaczka nadal trwała, podobnie jak jej ciąża, która zaczynała ją coraz bardziej irytować.

Tego dnia od pobudki wyjątkowo mocno bolały ją plecy na wysokości nerek. Pomyślała więc, że zaraz po spotkaniu z Kowaliowem pojedzie do kliniki, w której miała urodzić, bo więzienie, w którym osadzono Rosjanina, było stosunkowo niedaleko. Może trzeba będzie zrobić jakieś badania, a może nawet uda się wymóc na lekarzach przyspieszenie cesarskiego cięcia.

Łukasz mnie udusi gołymi rękami – myślała, opierając się o parapet w pokoju odwiedzin. Nie miał pojęcia o tym, że poprosiła Brzezińskiego o załatwienie widzenia z Kowaliowem, dlatego bez cienia niepokoju pojechał przed południem na zakupy z Krzysztofem. Justyna powiedziała, że jest zbyt zmęczona i chce poleżeć, ale gdy tylko samochód szwagra zniknął za zakrętem, zadzwoniła po taksówkę i pojechała na dworzec kolejowy, by po prawie dwugodzinnej jeździe dotrzeć do Kolonii, skąd odebrał ją pracownik więzienia.

Wołodia Kowaliow miał status bardzo groźnego przestępcy, dlatego trzymano go w dobrze strzeżonej placówce, w pojedynczej celi, a jego goście, których wcale nie miewał, mogli z nim rozmawiać jedynie przez pancerną szybę. Ale Justyna nie była zwyczajnym gościem, więc jej spotkanie miało odbyć się w przestronnym pomieszczeniu z dwoma metalowymi stołami i, choć w oknach były grube kraty, rozciągał się z nich ponury, a mimo to dość ciekawy widok na spacerniak zakładu karnego.

Z zadumy wyrwało ją ciche chrząknięcie. Odwróciła się i ze zdumieniem zobaczyła Kowaliowa, siedzącego przy jednym ze stołów, z dłońmi przykutymi do zatopionego w blacie pręta. Trudno było powiedzieć, ile czasu już tam siedział; w ogóle nie słyszała, by ktoś wchodził i coś do niej mówił. Podeszła do stołu, nachyliła się lekko i spojrzała Wołodii prosto w oczy.

Wyglądał jak oficer rosyjskiego wojska. Krótko obcięte blond włosy, muskularne plecy i ramiona, zacięty wyraz twarzy. Dziś nie miał żadnej szramy na policzku, a jego tęczęwki, bez kolorowych szkieł, miały barwę jasnego błękitu.

– Hm... – mruknęła, wyrażając zainteresowanie. – Dobry jesteś w przebieranki, trzeba ci to przyznać.

– Po co przyszłaś? – zapytał po polsku. Nieco się zacinał, ale jego słowa

były całkowicie pozbawione rosyjskiego zaśpiewu. – Chcesz wiedzieć, dlaczego cię porwałem?

– To już wiem – odparła, siadając z trudem na ławce. Oparła łokcie na blacie i spojrzała na niego z politowaniem. – Biedny Wołodia.

Zacisnął usta, ale po chwili zrezygnował z defensywnej postawy. Rozluźnił ramiona i przyjrzał się jej z zaciekawieniem.

– Dużo mi za ciebie płacili – powiedział, jakby się przechwalał.

– Nie. – Pokręciła głową. – Wallace jest goły. Myślę, że niczego ci nie zapłacił, poza pustymi obietnicami.

Wyprostował się gwałtownie, szarpiąc za kajdanki.

– Wiesz? – wyszeptał.

– Wiem. A ty możesz mówić normalnie. Nikt nas nie podsłuchuje.

– Zawsze mnie podsłuchują.

– O ile nie są zakłóceni – uśmiechnęła się.

Uniósł wysoko brwi, a na jego ustach pojawił się ledwo zauważalny uśmiech, wyrażający uznanie i chęć do dalszej rozmowy. Justyna wiedziała, że cały należy już do niej.

– Skąd wiesz, że jest goły? – zapytał po chwili milczenia.

– Bo sama o to zadbałam.

– A skąd wiesz, że to on mnie wynajął?

– Wołodia, powiedz mi jedno: co ty sam wiesz o tym człowieku? Bo mnie się wydaje, że nic.

Zmarszczył brwi, jakby poczuł się urażony tym stwierdzeniem, ale jego brak odpowiedzi był dowodem na to, że Justyna ma rację.

– Moja koleżanka, była agentka CIA, z którą razem porwaaliśmy Wallace’a pięć lat temu...

– Co?! – Kowaliow zrobił się w jednej sekundzie kompletnie purpurowy. Szarpnął znów kajdankami i uderzył pięściami o blat.

Justyna poczuła, że ich rozmowa będzie nieco bardziej męcząca, niż mogła przypuszczać. Przewróciła oczami i cmoknęła z irytacją.

– Co ty mówisz? – Rosjanin nachylił się nad stołem. – O czym ty w ogóle mówisz?

– Wiem, że fakty mogą być dla ciebie... trudne, ale tak, porwałam pięć lat temu naszego Johna, dlatego on zlecił moje porwanie. To była osobista zemsta.

– Gdzie go porwałaś? – zapytał, ciężko dysząc.

– W Kabulu.

Kolejne szarpnięcie i chwila rosyjskich przekleństw, rzucanych pod nosem.

– Kim jesteś? – Spojrzał na nią, kiedy nieco się uspokoił.

– Porwałeś mnie i nie wiesz, kim jestem? Byłam najemnikiem w Afganistanie. Półtora roku.

– Kurwa! – zaklął, po czym oparł czoło na zaciśniętych pięściach.

Justyna zaczęła się śmiać.

– No, przykro mi – ironizowała. – Życie nas nie pieści, zwłaszcza jeśli mamy słabo rozpoznany teren przed walką.

Uniósł wzrok i popatrzył na nią podejrzliwie.

– Byłaś żołnierzem?

Kiwnęła głową.

– Zmech. Dwa lata służby.

Syknął ze złości, ale był już nieco spokojniejszy.

– Nie rozumiem. – Justyna pokręciła głową. – Dawałeś kasę swojemu kumpłowi w Polsce. Temu... jak mu tam... Borowski, Borkowski...

– Borowiak – powiedział cicho.

– Właśnie. Poznaliście się w Afganistanie lata temu, prawda? Miał załatwić ci wywiad w Polsce, sprawdzić mnie i mojego męża, a tymczasem wziął szmal i nawet się nie dowiedział, że byłam w wojsku. Wallace mógł ci nie powiedzieć, bo wtedy byś się domyślił, że porywasz mnie z innych powodów, niż ci podał, ale on? Taki kompan z wojny? Myślę, że za rok, może mniej, pójdzie siedzieć za szpiegostwo.

Wołodia skinął głową i odwrócił wzrok, nieświadomy, że jest w tym momencie przez Justynę zwodzony.

– Kto go w tym Afganistanie urobił na waszą stronę, co? – zapytała. – To był świetny pomysł. U nas komunizm wyczerpywał swoją formułę, a Moskwa musiała mieć dalej ludzi tu i ówdzie. Przecież jak on poszedł do szkoły oficerskiej, to nawet matury nie miał, wszystko było sfalszowane. Jeszcze nie wiemy, który z ówczesnych agentów mu to załatwiał, ale dojdziemy do tego. Szkoda tylko, że cię tak na koniec wystawił.

– Pewnie zrobił to specjalnie – powiedział Kowaliow, patrząc przez okno.

– Żeby mnie złapali.

Justynę wiele kosztowało, by nie parsknąć śmiechem.

– Tak, pewnie tak... – odparła. Była stuprocentowo pewna, że Borowiak nie miał pojęcia o jej przeszłości i w życiu nie odważyłby się narazić w ten sposób koledze.

– A dlaczego ty go porwałaś? – Odwrócił gwałtownie głowę i spojrzał na nią zdumiony.

– Bo był dupkiem, a poza tym moi ludzie potrzebowali broni i sprzętu, więc zabraliśmy je jego ludziom. Przy okazji zniszczyłam mu karierę.

Uśmiechnął się.

– To ty – stwierdził, kiwając głową. – Gdybym to wiedział, nie wziąłbym tego zlecenia.

– Domyślałam się. Uważam też, że nie rozmawiałbyś z nim, gdybyś wiedział,

kim naprawdę jest.

– Kim?

– Wspomniana koleżanka z CIA nadrobiła ostatnio zaległości i dowiedziała się. Muszę powiedzieć, że wszyscy jesteśmy w szoku.

– No to mów.

– Rodzice Wallace’a naprawdę nazywali się Waliszczuk, choć są dokumenty, które podają, że Waszczuk. Wyobraź sobie, że uciekli w latach trzydziestych z Ukrainy przed „hołodomorem”.

Wołodia spochmurniał. Justyna widziała, jak z każdą sekundą zaczyna narastać w nim wrogość i gniew.

– Wyjechali do Stanów – kontynuowała. – Nie wiemy, jak im się to udało, ale byli wtedy nastolatkami, dziećmi w zasadzie. Pobrali się już w Ameryce, zmieniając przy tym nazwisko, szybko się ustawili, a w międzyczasie ściągnęli do siebie matkę ojca, z krwi i kości wyznawczynię Bandery, przesiąkniętą nienawiścią do Polaków. John był najmłodszym dzieckiem państwa Wallace’ów, a jego wychowaniem zajęła się właśnie babcia. Prowadzała go do cerkwi, nauczyła ukraińskiego, no i miłości do UPA. Kiedy poszedł do college’u, był w pełni ukształtowanym ukraińskim nacjonalistą, choć, co oczywiste, nie działającym oficjalnie. Właśnie na studiach został zwerbowany przez radzieckiego agenta i został szpiegiem. Schlał się kiedyś na imprezie i wyrwało mu się parę zdań po ukraińsku. Ktoś myślał, że to rosyjski, więc zwrócił na siebie uwagę. Śmieszne jest to, że oszukał nie tylko amerykański rząd i wywiad, ale i wasz. Nie skończył studiów, bo, zgodnie z zaleceniami nowych szefów, zaciągnął się do wojska, gdzie, jak wiesz, zrobił oszałamiającą karierę, którą mu z wielką radością przerwałam.

– Dlaczego powiedziałaś, że oszukał nasz wywiad?

– Ponieważ, co nie jest trudne do wydedukowania, pan podwójny agent działał aktywnie na rzecz wolnej Ukrainy. Po skończeniu funkcji dowódcy wojsk połączonych w Afganistanie miał zostać szefem NATO, a gdyby mu się to nie udało, sekretarzem stanu USA. Jego głównym celem było wywołanie wojny pomiędzy Zachodem a Rosją, aby wynieść swoją ukochaną ojczyznę na międzynarodowy piedestał. Drugorzędną sprawę stanowiło zniszczenie mojego kraju. Kiedy rujnowałam jego zawodową i osobistą przyszłość, nie miałam o tym wszystkim pojęcia i powiem szczerze, iż żałuję, że obeszłam się z nim tak łagodnie.

Wołodia zacisnął pięści tak bardzo, że można było zobaczyć kości przez skórę.

– Ja nie wiem... – wydyszał – czy ty mnie nie okłamujesz teraz.

– Będiesz mógł wkrótce przekonać się o tym osobiście.

– Jak to? – Obejrzał się w stronę drzwi, po czym spojrzął na swoje skute dłonie, jakby liczył na to, że kajdanki w cudowny sposób znikną i wyjdzie na

wolność.

– Zanim ci to powiem, zapytam o coś. Nie wydawało ci się dziwne zachowanie Wallace’a? Jesteś bystry, nawet bardzo, i na pewno coś mówiło ci, że z tym człowiekiem coś jest nie tak.

– Co na przykład? – Wzruszył lekko ramionami.

– Kiedy przyjechał do Afgana, zachowywał się, jakby był u siebie, jakby wszystko mu było wolno. Nie pilnował się z przestrzeganiem regulaminów, był nieostrożny... Być może, gdybym ja wtedy głębiej się nad tym zastanowiła, domyśliłabym się, że coś jest na rzeczy i po prostu dostałby w czapę. Dziś wiemy o spisku przeciwko nam, wiem o twojej prywatnej armii i zleceniu na zabicie nas.

W tym momencie Justyna ujrzała najbardziej zdziwioną twarz, jaką można sobie wyobrazić.

– Tak – roześmiała się. – Doszliśmy do tego. Przez jakiś czas myślałam, że jego zachowanie wynikało właśnie z tego powodu, że wydał wyrok na grupy najemników, że skumał się z tobą i generalnie czuł się już pewnie jako lokalny watażka. Ale nie! On wtedy nie był amerykańskim żołnierzem, ale radzieckim agentem, który znów ma nadzieję, że Afganistan będzie jego. Dlaczego nie zlecił usunięcia nas i innych grup Amerykanom, Brytyjczykom albo chociażby Saudyjczykom? Poszedł do was, do ciebie, Wołodia, bo czuł się wśród was jak swój. Czy ktoś go zwolnił z pracy dla rosyjskiego wywiadu? – zapytała retorycznie. – Czy kiedykolwiek przestał przyjmować zadania od waszych mocodawców? Nie! Bo karierę w waszym wywiadzie kończy się tylko w jeden sposób. Więc kiedy Rosjanie chcieli mieć region dla siebie, zrobił to bez wahania, mając jednocześnie na uwadze dobro Ukrainy. I się w tej schizofrenicznej zabawie nieco pogubił.

Zapadła cisza. Widać było, że Kowaliow musi przetrwać to, co usłyszał.

– I co dalej? – zapytał cicho. – Pewnie CIA go będzie teraz chciało zamknąć.

– Nie. CIA nie wie, że był szpiegiem.

– Ale... Mówiłaś, że ta koleżanka...

– Koleżanka już dawno tam nie pracuje. Sama została najemnikiem i próbuje teraz ogarnąć burdel, jaki zrobiłeś ty i twoi ludzie w Kabulu. Odkrycie faktów, o których ci powiedziałam, było możliwe dzięki jej kontaktom i dzięki naszemu premierowi.

– Hm... Był szefem wywiadu – powiedział, kiwając głową.

– Właśnie. Po wywaleniu z wojska niewiele Wallace’owi zostało. Zabrali mu uposażenia, żona oskubała go podczas rozwodu... Ale on sam ma mnóstwo znajomości, chociażby miał ciebie, dlatego możliwe było zorganizowanie mojego porwania. Robi małe interesy tu i ówdzie, licząc, że któregoś dnia odbije od dna i znów będzie na fali. Gdyby sytuacja na Ukrainie była nieco bardziej stabilna, już miałby tam dla siebie miejsce, ale na razie wegetuje na Kanarach.

– Wiesz, gdzie mieszka?

– Wiem. I chcę, żebyś nam pomógł się nim zająć, panie... świętej pamięci Kowaliow.

Mężczyzna otworzył szeroko oczy. Był naprawdę bystry i nie trzeba było mu zbyt wiele tłumaczyć.

– Kiedy? – zapytał.

– Wszystko zależy od tego, kiedy tu dotrą moi koledzy, którzy przejmą twoje ciało i przewiozą je do Polski.

– O, nie! – Pokręcił energicznie głową. – Nie, nie!

Justyna westchnęła, czując, jak ból w jej plecach nasila się.

– A masz lepszy pomysł? Gdzie chcesz jechać, co? Do Rosji? Jako trup odnajdziesz się doskonale w naszej rzeczywistości, ale najpierw wyświadczysz mi tę drobną przysługę. Musisz być tylko czujny tutaj.

– I nie będę w polskim więzieniu?

– A po co? Żeby zwrócić na siebie uwagę?

Wołodja odetchnął. Widziała, jak co chwilę zerkał w stronę okna, patrząc wygłodniałym wzrokiem na błękitne niebo, co oznaczało, że albo wychodził na dwór bardzo rzadko, albo wcale.

– Mam jeszcze jedną sprawę – powiedziała.

– Jakiś biznes?

– Biznes. Do twoich ludzi, którzy są w Tadżykistanie.

– Moi ludzie? W Tadżykistanie? – Udał zdziwionego, uśmiechając się przy tym wymownie.

– Tak. – Justyna wstała i podeszła do okna, mając nadzieję, że zmiana pozycji przyniesie jej nieco ulgi. – Dopiero teraz to do mnie dotarło. Kiedy moi koledzy uciekali z Afganistanu i chcieli przepłynąć się przez Amu, latał nad nimi samolot bezzałogowy. Miejscowa policja twierdziła, że na pewno nieamerykański. Początkowo sądziłam, że Niemcy z Mazar mieli tam swoje rozpoznanie, ale moi ludzie wyraźnie powiedzieli, że nie lądował po stronie afgańskiej, tylko zniknął za granicą. Pomyślałam więc: Rosyjskie wojsko pcha się od północy, stoją już u bram... – Obejrzała się przez ramię. – Tam nie ma wojska, są tylko rosyjscy najemnicy.

– Może... – Wzruszył ramionami i wydał usta.

– Pojutrze, w środę, pojedą w tamtym kierunku trzy samochody z Kabulu. Będą w nich ludzie, którzy chcą rozmawiać z twoimi.

Kowaliow podniósł głowę.

– O czym?

Debil – przemknęło jej przez myśl. Nie sądziła, że tak łatwo uda się go podejść, także w tej sprawie.

– O współpracy. Ja nie wiem dokładnie, w jakim zakresie, ale chcę, żeby

ktos od ciebie wybral sie na to spotkanie i nawiatal dialog bez uzycia innych srodkow niz slowa. Bdziesz musial sie pospieszyc z przekazaniem tej wiadomosci, bo moi ludzie zjawiaja sie w Niemczech lada chwila.

Pokiwal glowa.

– Zrobię, co sie da.

Wszystko, byleby znów poczuć wolność – dodala w myslach Justyna.

Tlumione w trakcie spotkania emocje uderzily w nia zaraz za brama wiezienia, sprawiajac jednoczesnie, ze prawie przestala czuc bol w plecach. Nikt nie proponowal jej podwozki na dworzec, bo caly personel zajety byl malymi zamieszkami, jakie wybuchly w budynku o zlagodzonym rygorze, wywolanyimi przez przekupionych wiezniow i jednego straznika z bardzo polskim nazwiskiem, majacych odciagnac uwage od jej wizyty u Kowaliowa i od faktu, ze urzadzenia ja nagrywajace nie zapisuja niczego poza szumem i piskiem.

Doczlapala na skraj miasteczka graniczacego z zakladem karnym, gdzie znalazla przystanek i laweczke. Wszystko wydawalo sie jej nierzeczywiste, oderwane od logiki, poza czasem... Jej przeszlosc, obecna ciaza, ktorej tak pragnela, a ktora obudzila nieznane do tej pory emocje, niepewna przyszlosc w Polsce, gdzie chciala byc, a gdzie wcale nie byla bezpieczna.

Moze upozoruje swoja smierc, jak Kowaliowa, i uciekniemy z Lukaszem gdzie daleko? To szalenstwo nigdy przeciez sie nie skonczy...

Uslyszala trabienie.

– Podwiezc gdzie pania? – zapytal starszy pan, siedzacy za kierownica taksowki. – Autobusy rzadko jezdza.

Zdala sobie sprawe z tego, ze musi wygladac fatalnie ze swoim brzuchem, opuchnietyimi nogami i czerwonymi od lez oczami, budzac litość na pierwszy rzut oka.

– Tak... yy... – zacukala sie na moment, nie mogac sobie przypomniec, czy pytanie padlo po niemiecku, czy w innym jezyku, ktory rozumiala.

– Dzień? – zmarszczyl brwi.

Tag – dzień, tak – *ja*...

– OK. – Podniosla sie z lawki i otarla policzki. – Poprosze.

XXXIX

Łukasz próbował dodzwonić się do żony, gdy był w sklepie. Brak odpowiedzi tłumaczył sobie tym, że prawdopodobnie zasnęła albo poszła do ogrodu, bo upał tego dnia był o wiele mniejszy. Potem pojechali z Krzysztofem na kawę, spotkali kilku znajomych brata i zanim wrócili do domu, było już popołudnie. Wtedy Krzysiek mógł przekonać się, jak bardzo mężczyzna może martwić się o swoją ukochaną.

– Może wyszła do sklepu za rogiem? – próbował uspokajać Łukasza, gdy ten biegał po domu niczym w amoku.

– Nie odbierała, nie odbierała... – Łukasz zdawał się nie słyszeć niczego poza tym, co działo się w jego głowie. Oddychał bardzo szybko, był coraz bledszy, a dłonie zaciskał mocno na mokrej od potu koszuli. – Jak mogłem być taki głupi? Tyle czasu...

– Łukasz, uspokój się przez chwilę. – Krzysiek złapał go za ramiona, choć wiedział, że w fizycznym starciu nie miał szans z potężnie zbudowanym bratem. – Odwołam popołudniowe wizyty i coś wymyślę...

– Co wymyślisz?! Co?! – Łukasz spojrział na niego z wściekłością. – Nie ma jej! Znów jej nie ma. Nie odbiera telefonu.

– Ale może do kogoś dzwoniła? Może z kimś miała kontakt... od rana.

Łukasz zmarszczył brwi.

– Ojciec! – Wyrwał się z rąk Krzyśka. – Mogła zadzwonić do Stefana, gdyby... Ona rozmawia tylko z nim, jeśli coś jest nie tak. Muszę zadzwonić.

– Czekaj! – Krzysztof wyrwał mu telefon. – Ja zadzwonię. Ty go tylko wystraszysz i jeszcze zawału dostanie. Usiądź.

Łukasz usiadł na kanapie i objął dłońmi głowę.

– To się, kurwa, nigdy nie skończy – jęczał, kiwając się w tył i w przód.

Krzysiek położył mu dłoń na ramieniu i połączył się z ojcem.

– Łukaszku? – odezwał się wesoły głos po drugiej stronie.

– Nie, tu Krzysiek. Cześć, tato. Możesz rozmawiać?

– Mogę. Co jest, synku? – Wyraźnie zaniepokojony stary Meyer ściszył głos. Krzysztof domyślił się, że wyszedł z pomieszczenia, w którym właśnie się znajdował. – Coś z dzieckiem?

– Nie... To znaczy... Tato, kiedy ostatnio rozmawiałaś z Justyną?

– Co? – Stefan nabrał powietrza w płuca. – Ale co...

– Po prostu mi powiedz. Kiedy?

– Ojej... Wczoraj wieczorem dzwoniła. Prosiła mnie, żebym nie pozwalał Zofii na panoszenie się po ich domu i żeby jej zbyt wiele nie było, jak wróca.

– Aha... I tyle?
– Tak. Na Boga, Krzychu! Mów mi, co się dzieje!
– Nie wiemy... Byliśmy w mieście z Łukaszem, wróciliśmy i jej nie było w domu. Nie odbiera telefonu. Dlatego dzwonię, bo może mówiła o czymś, co mogłoby...
– Nie, nie! Synku, wszystko było w porządku. Ale może... – Urwał. – A, nie.
– Ale co? Tato, może to właśnie to?
– Może jest na lotnisku? – powiedział niepewnie.
– A co miałyby tam robić? – Krzysiek skrzywił się.
Łukasz przestał się kiwać i podniósł głowę.
– No... Mówiła mi, że jak pracowała pod Frankfurtem, to lubiła sobie pojechać w wolnym czasie na lotnisko i patrzeć, jak samoloty startują i lądują. Brała coś do jedzenia i patrzyła...
– *Foodcourt*. Jasne – Krzysiek pokiwał głową. – Dobra, dzięki. Sprawdzimy to.
– I zaraz zadzwonicie, jak już będziecie wiedzieć, gdzie jest.
– Oczywiście. Na razie, tato.
– Z Bogiem, dziecko.
Łukasz poderwał się z kanapy.
– Co powiedział?
– Że może być na lotnisku we Frankfurcie.
– Co? Bez sensu.
– Ale sprawdzić można. Chodź, pojedziemy tam.
– Nie! – Łukasz złapał go za łokieć. – Najpierw pojedźmy do kościoła. Ostatnio tam chodziła na parę chwil. Może się zasiedziała.

W kościele jednak Justyny nie było. Objechali okoliczne uliczki, rozglądając się po sklepowych witrynach i kawiarniach. W międzyczasie Krzysztof wpadł na pewien pomysł.

– Słuchaj, Łukasz, zrobimy tak: odwiozę cię na dworzec, bo kolejką będziesz na miejscu po niecałym kwadransie, a samochodem za dwie godziny nie dotrzemy pod lotnisko. Ja w tym czasie pojedę do znajomego policjanta, któremu lecę dziecko, i powiem, jaka sprawa. Justyna pracowała w Gross Gerau, z tego, co kojarzę, więc może pojechała tam, do kogoś, kogo znała. Sprawdzimy też to. Może tak być?

Łukasz skinął głową.

– OK, pojedę kolejką.

Podróż na lotnisko trwała mniej niż kwadrans, ale dla niego każda minuta przeciągała się w nieskończoność. Kiedy pociąg wjechał na podziemny peron pod portem lotniczym, wypadł z niego niczym pocisk z lufy pistoletu, ale na

nieskończenie długich schodach ruchomych zdał sobie sprawę z tego, że nie wie, w którą stronę ma iść.

W przeciwieństwie do Justyny – pomyślał z goryczą. – Ona zawsze odnajdzie drogę, wie, dokąd idzie, z każdym się dogada, a jeśli nie, to zmanipuluje go po swojemu.

Wnioski te przygnębiły go, bo czy to nie oznaczało, że uciekła z rozmysłem? Znowu...

Lotnisko było ogromne, ale okazało się, że drogę do *foodcourt* nie jest trudno znaleźć, nawet ze słabą znajomością języka angielskiego.

Z bijącym sercem dotarł na miejsce, gdzie zaczął nerwowo się rozglądać. Dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że powinien szukać w pobliżu ogromnej szklanej ściany, przez którą widać było pasy startowe.

Siedziała sama przy małym stoliku, na którym leżała taca z niedojedzonym hamburgerem i kilkoma frytkami. Wpatrywała się w ruch na dwóch równoległych pasach startowych, nie wykazując przy tym żadnej innej aktywności. Łukasz podszedł do niej, walcząc ze łzami ulgi i żalu. Kucnął obok jej kolan i dotknął ramienia.

– Justyś... Kochanie, co ty tu robisz? Dlaczego nie odbierasz telefonu?

Spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem. Widać było, że płakała i że jest w kiepskim stanie psychicznym.

– Co ci jest? – Cały żal odszedł od niego w sekundę, ustępując miejsca niepokoju. Przyniósł sobie krzesło i ujął jej dłoń. – Co się dzieje?

– Tutaj siedziałam... – wyszeptwała. – Dokładnie w tym miejscu.

– Kiedy?

– Wtedy, gdy spotkałam Harry'ego.

– Kogo?

– Tego Brytyjczyka, który mnie rekrutował do grupy. Tutaj się to zaczęło...

– Schowała twarz w dłoniach. – To moja wina. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdybym się nie zgodziła, gdybym została cały pobyt w Gross Gerau i wróciła do domu... do Warszawy. – Odśloniła oczy i popatrzyła na Łukasza ze smutkiem.

– Taki miałam plan: zarobić i zacząć wszystko od nowa w stolicy. I tak trzeba było zrobić. Żałuję wszystkiego, Łukasz, wszystkiego...

– O czym ty w ogóle mówisz? Przecież, gdybyś nie pojechała z nim, nigdy byśmy się nie spotkali.

– Nie wiesz tego – zaprotestowała. – Nie wiesz... Może właśnie byśmy się poznali w normalnych okolicznościach, ja nie musiałabym kłamać, żeby z tobą być.

Łukasz westchnął ciężko i opuścił głowę.

– Nie mów tak, to niczego nie zmieni – powiedział cicho.

– Ale tego żalu nie da się unieść. Gdyby nie ja, twoje życie byłoby inne.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się blado.

– Jak niby, co?

– Byłoby lepsze, łatwiejsze... bez tego cierpienia. Zrobiłam najgłupszą rzecz w życiu, bo chciałam czegoś nowego, ekscytującego. Chciałam... uciec od tego, co było w Polsce, w domu z Ireną... A nie wolno uciekać od swojego Losu, tylko brać, co jest i być porządnym człowiekiem, uczciwym.

– Naprawdę tak uważasz?

– Tak... Och! – jęknęła. – Tak mnie boli żołądek po tym hamburgerze.

Zmarszczył brwi i dotknął jej brzucha.

– Powinnaś wrócić do domu, położyć się i przestać gadać głupoty. I skąd ci przyszło do głowy, żeby jeść to badziewie? I w ogóle... po co tu przyjeżdżałaś?

– Bo... – Łza spłynęła po jej policzku. – Bo się zastanawiałam, czy nie da się tego jakoś naprawić.

– Czego, do cholery?!

– Tego wszystkiego. Musiałam to sobie przemyśleć, bo może mogłabym jakoś ci ulżyć i... nie wiem... odejść, zanim nie jest za późno.

– O, ja pierdolę... – Jego ramiona opadły z bezsilności. – Co ty opowiadasz?

– No tak... Widziałam, że w sumie to nie chcesz tego dziecka, a po co ci chore dziecko? Nie pisałeś się na to. Na nic się nie pisałeś. Ani na to, kim byłam, ani na moje porwanie... Powinieneś mieć lepsze życie.

– To nieprawda, że nie chcę tego dziecka. Chcę mieć każde dziecko, jeśli będzie z tobą. Ja po prostu umieram ze strachu o twoje zdrowie i życie. I zupełnie nie rozumiem, dlaczego znów robisz mi przykrość, mówiąc te wszystkie głupoty i uciekając bez słowa wyjaśnień. Jesteś małą egoistką, która nie myśli o innych.

Usta Justyny wykrzywiły się w podkowę.

– Tak? – pisała.

– Tak, kurwa! A teraz chodź stąd i bądź do końca dnia dobrą żoną, która myśli też o mnie.

Pomógł jej podnieść się z krzesła, ale gdy się wyprostowała, zaczęła jęczeć.

– Ojej! Mój żołądek.

– Gdzie cię boli?

– O tu. – Położyła dłonie po bokach brzucha.

– To nie jest żołądek. Coś cię jeszcze boli?

– Nerki, od rana.

– Boże! Oszaleję z tobą. Jedziemy do lekarza.

Wziął ją za rękę i poprowadził w stronę kolejki naziemnej. W międzyczasie wyjął telefon i zadzwonił do brata, który przyznał, że z nerwów był już ledwo żywy, a Stefan telefonował co pięć minut. Łukasz poprosił Krzysztofa, żeby powiadomił lekarzy Justyny z kliniki, że zjawią się wieczorem na oddziale.

Kiedy mijali stary terminal, nagle Justyna zatrzymała się, wyrwała rękę

z dłoni męża i podeszła do szklanej ściany, przez którą było widać fragment płyty lotniska.

– Co ty robisz? – Podeszedł do niej i, chcąc nie chcąc, spojrział w tym samym kierunku. – Co tam jest?

– Patrz na tę bandę obdartusów – powiedziała, wskazując autobus dowożący pasażerów do samolotów.

– Gdzie?

– No tam. Za sam wyglądem dziesięć lat ciężkiego więzienia.

– Co ty... – Urwał, bo dostrzegł to, co pokazywała mu Justyna. – O! Mój! Boże! Tego nam tylko dziś brakowało.

Z autobusu, który z nieznanых przyczyn nie dojechał do terminala, tylko zatrzymał się w poprzek płyty, gramoliła się grupa mężczyzn o nieciekawych fizjonomiach. Wysoki Afroamerykanin z metalowym przedramieniem, jeszcze wyższy brodacz z zabandażowaną szyją, krępy kurdupel o czarnych jak smoła włosach i przypominający hipisa młodzieniec z futerałem na gitarę, w którym prawdopodobnie nie było gitary. Z daleka było widać, że trwa pomiędzy nimi ostra wymiana zdań, a najwięcej do powiedzenia miał najmniejszy z nich.

– Nie wiesz przypadkiem, gdzie będą wychodzić? – zapytał Łukasz.

– Wiem! – Złapała go za rękaw. – Chodź.

XL

Jamal zaczynał się martwić, że jego proteza w krótkim czasie będzie wymagała serwisowania, bo od czasu przeprawy przez Amu zacinęła się przy niektórych czynnościach. Ale nie to denerwowało go najbardziej, tylko zrzędcy Gogol, któremu nic się nie podobało i który cały czas szukał wokół winnych tragicznej sytuacji, w jakiej się znaleźli.

– Mówiłem, żeby się nie rozdzielać – utyskiwał, kiedy taszczyli tobołki przez płytę lotniska. – Mówiłem sto razy, ale ty masz oczywiście swój czarny rozum...

– Mógłbyś się w końcu przymknąć?

– Nie mógłbym. Gdybyś mnie posłuchał, nie musielibyśmy lecieć tym złomem, który ledwo wystartował i o mało nie rozpieprzył się w powietrzu. A teraz jeszcze, jak jacyś ostatni frajerzy, idziemy na nogach do terminala, bo oczywiście nasz autobus zepsuł się na środku pieprzonego pasa startowego, więc blokujemy starty przez co najmniej kwadrans. No... Chyba że nie blokujemy i zaraz jakiś wielki Airbus rozpieprzy nam dupy.

Wiktor zamachał rękami, dając do zrozumienia, że się z nim zgadza.

– Wiktor... – Jamal westchnął. – Powiedz, co chcesz powiedzieć.

Ukrainiec zrobił jeszcze energiczniejszy ruch umięśnionymi ramionami, tym razem wyraźnie grożąc Jamalowi.

– Nie czepiaj się go – warknął Gogol. – Ma blokadę psychiczną, żeby mówić, to go nie zmuszaj. W ogóle się nie odzywaj.

– Nie mam jak. To tobie gęba się nie zamyka.

– Ho, ho! – Nawi uznał, że należy interweniować, kiedy Kostek zatrzymał się z groźną miną. Pchnął lekko kolegę, zasłaniając jednocześnie Jamala.

– Panowie, został nam kawałeczek do wyjścia. Uspokójmy się, bo nie tylko nam ta podróż dała w kość.

Przez resztę drogi więc Gogol narzekał i przeklinał tylko po polsku.

Nie mieli bagażu, na który trzeba by było czekać, dlatego od razu ruszyli w stronę wyjścia. W chwili, gdy Jamal wyciągał telefon, żeby zadzwonić do Justyny, Kostek szarpnął go za rękę.

– Co znowu?

– Spójrz tam! – Wskazał na barierki, za którymi stały osoby oczekujące na pasażerów.

– Co... – Jamal zamrugał powiekami. – A niech mnie! – powiedział na widok Meyerów.

Łukasz trzymał w dłoniach kartkę z koślawo nakreślonym „Willkommen”,

a Justyna bukiet kwiatków, prawdopodobnie sztucznych.

– Malinko moja! – Kostek rzucił się pędem w ich stronę. Cały jego zły nastrój od razu minął. – Skąd wiedziałaś?

– Nie będziemy teraz omawiać tej kwestii – powiedział Łukasz, wymownie się krzywiąc. – Cieszcie się z tego, co jest.

– Malina, ależ jesteś gruba! – Gogol objął ją ramionami.

– Posiedziała trochę w Niemczech, opiała się ich piwa, to jej brzuch urósł – zażartował Nawi, ściskając dłoń Łukasza.

Justyna spojrzała na wzruszonego Wiktora.

– A ty? Nic nie powiesz?

Ukrainiec poruszył bezgłośnie ustami i pokazał na zabandażowaną szyję.

– Ja też mogę się przywitać? – Jamal odstawił torbę i wyciągnął ręce do Justyny, która przytuliła się do jego piersi. – Cieszę się, że się nam udało – szepnął jej do ucha. – I że nic ci nie jest.

– To co? – Łukasz popatrzył na ich zmęczone twarze. – Jedziemy do nas?

– Yy... – Nawi wskazał palcem na podłogę. – Chyba raczej na porodówkę. Malina, coś zgubiłaś.

Justyna spojrzała z przerażeniem na swoje nogi i stopy, pod którymi zebrała się spora kałuża wód płodowych.

– Ojej! – westchnęła. – Nareszcie koniec.

Krzysztof był zafascynowany gośćmi, którzy niespodziewanie znaleźli się pod jego dachem. Łukasz bał się, że brat może mieć obiekcje z powodu najazdu kilku facetów, przypominających nieokrzesanych barbarzyńców, ale dla młodego dermatologa stanowili nie lada atrakcję. Dzień po narodzinach małej Mariki siedzieli na wygodnych kanapach w jego salonie, umilając gospodarzowi wieczór, gdy Łukasz zajmował się w sypialni żoną i córką, wycieńczonymi całodniowym szaleństwem.

Justyna urodziła jeszcze w karetce, zanim w ogóle dojechali do szpitala miejskiego. Nie było mowy o cesarskim cięciu czy jakimkolwiek innym specjalnym traktowaniu rodzącej, która mocno dała się we znaki personelowi karetki, a potem oddziału położniczego, i która z ulgą przyjęła wiadomość, że zostanie wypisana jeszcze tego samego wieczora do domu. Łukaszowi nie podobał się ten pomysł. Prosił Krzysztofa, żeby namówił lekarzy do dokładniejszego jej zbadania i zaczekania na przyjazd lekarzy z kliniki w Kolonii, ale nikt nie miał zamiaru trzymać kolejną dobę kompletnie zdrowej świeżo upieczonej matki i jej dorodnej córki, nawet jeśli ta druga miała zespół Downa i przeszła operację serca przed narodzeniem. Wrócili więc wszyscy do domu Krzysztofa, bo koledzy Justyny, chcieli czy nie, kręcili się cały czas niedaleko. Od samego rana jednak w domu zapanował chaos. Przyjechali lekarze i położna do pomocy Justynie, potem dziennikarze internetowi, którzy opisywali historię dziecka; ciągle dzwonił telefon albo dzwonek do drzwi, bo Krzysiek zapomniał przełożyć umówione wizyty. Jamal ulotnił się w porze obiadu. Kostek z Nawim odbierali telefony z Polski, a Wiktor gotował dla wszystkich posiłek. Najbardziej aktywna była jednak Justyna, która, pomiędzy rozmowami z położną, karmieniem i przewijaniem, ciągle przypominała sobie o jakichś istotnych kwestiach związanych ze sprawą Kowaliowa. Wtedy Łukasz dowiedział się o jej wizycie w zakładzie karnym, więc zdążyli się jeszcze pokłócić i gdy nastał wieczór, każdy marzył tylko o ciszy i spokoju.

Wiktor pozbierał talerze po kolacji, a Krzysztof wyciągnął z lodówki piwo, które sączyli niespiesznie przy ściszonej telewizorze.

- To mówicie, że jeszcze ktoś dojedzie? – dopytywał się Krzysiek.
- Tak. Trzech kolegów jest w Bułgarii, jutro lecą – odpowiedział Kostek.
- A ten... czarny? Gdzie pojechał?
- Nie mówił, ale ja myślę, że na spotkanie z jakimś starym kumplem z wojska, który stacjonuje w Niemczech.
- Rozumiem. Gdybyście potrzebowali jeszcze czegoś, mówcie.

– Żabciu. – Kostek uśmiechnął się uroczo. – Nie rzucaj tu takich deklaracji, bo się nam spodoba i nie będziesz mógł się nas pozbyć.

– Nie słuchaj go – odezwał się milcząco do tej pory Nawi. – Ma już taką tęsknotę za domem i żoną, że ledwo wytrzyma te kilka dni.

– Pewnie tak... – Gogol pokiwał głową. – O, proszę! – Klasnął w dłonie na widok Łukasza, trzymającego w ramionach Marikę. – Oto nasz dumny ojciec i jego pociecha. Jak tam Malinka? Bardzo cię jeszcze wkurzała?

– Nawet mi nic nie mów – westchnął Łukasz i ostrożnie usiadł na kanapie.

– Nie bój się. Nie połamiesz jej.

– Nie wiem... – Spojrzał w otwarte szeroko oczka córki. – W życiu nie widziałem tak małego dziecka. Jakby nic nie ważyła.

Kostek zarechotał.

– Nie, złociutki. – Pokiwał palcem. – To naprawdę nieźle odchowany dzidzius. Wierz mi, mam w tym doświadczenie. A poza tym, jak ją ponosisz kilka nocy z rzędu, poczujesz, że jest ciężka jak kloc. Ale jedno ci powiem: póki co, tfu tfu, jest niesamowicie grzeczna. Moje darły się od pierwszej chwili do skończenia dwóch lat. No, może bliźniaki ogarnęły się szybciej, ale tamte dwa szatany... – Machnął ręką.

– Zasnęła? – zapytał Nawi.

– Nie. Pospała chwilę po karmieniu przy Justynie, a teraz patrzy się na mnie z wysuniętym językiem.

Krzysiek podszedł do Łukasza ze stetoskopem, który przez chwilę rozgrzewał w dłoni. Potem rozpiął małej śpioszki i osłuchał ją.

– Hm... – Wyprostował się. – Kardiologiem nie jestem, ale brzmi to bardzo dobrze. Lekarze mieli rację, naprawdę wszystko z nią w porządku. Oby tak dalej.

– Mam tylko nadzieję, że mi się żona nieco uspokoi – mruknął Łukasz.

– Przez ostatnie tygodnie była nie do zniesienia. No i ta eskapada na lotnisko... – Pokręcił głową.

– Aha... – Kostek uniósł brwi i zerknął na Nawiego znacząco. – Ale że jak się jej to objawiało?

– Najdziwniejsze były te ciągłe zmiany nastroju. Nagle zaczynała płakać, że Krokodyl zginął przez nią, a sekundę później wyzywała go od skurwieli i żałowała, że nie spuściła mu łomotu. Nie wiem, co ta ciąża robi z kobietą.

W salonie zjawił się Wiktor, który powiedział coś szeptem do Kostka.

– Proszę! – Gogol ucieszył się. – Nasza niemowa przemówiła. Łukasz, on prosi, żebyś nie przeklinał przy dziecku. Chce ją ponosić na rękach.

Łukasz w pierwszym odruchu miał zamiar odmówić, ale po chwili doszedł do wniosku, że ze strony Wiktora nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo.

– Niech ponosi. – Podniósł Marikę i podał ją Wiktorowi, który zaczął spacerować po salonie.

– To co mówiłeś o tych zmianach nastroju u Malinki? – zapytał Kostek z szelmowskim uśmiechem.

– Że chwilami jej nie poznawałem. Wpadała w złość. „Meyer! Nie oddychaj!” Potem odwrotnie: „Ojej, jak ja cię kocham. Nie opuszczaj mnie...”. A następnego dnia była całkiem opanowana, krzątała się po domu, czytała książki, oglądała filmy, rozmawiała z nami normalnie.

Kostek znów spojrzał na Nawiego, który lekko wzruszył ramionami i upił łyk piwa.

– To nie ciąża – stwierdził Kostek.

– A co?

– Malina.

Łukasz popatrzył na Nawigatora pytająco. Mężczyzna w odpowiedzi pokiwał głową.

– Nie rozumiem. Co macie na myśli?

– Ona właśnie taka jest... To znaczy była z nami. To ona! Po prostu wróciła jej normalna osobowość, bo już niczego przed tobą nie ukrywa.

Łukasz nie wyglądał na pocieszonego.

– No, przykro mi, stary, ale my właśnie taką ją poznaliśmy i za to, jaka była, pokochaliśmy. I nikt nie uważał, że jest szurnięta. Kobiety tak mają, kiedy czują się bezpieczne i nie grają niczego.

– Tryb „Malina” odblokował się – dodał Nawi.

– Dokładnie!

Wiktor też chciał coś dodać od siebie. Zbliżył się do Gogola i Nawigatora i powiedział im coś po rosyjsku. Wtedy Kostek zauważył wzrok milczącego Krzysztofa, wbity w zasępionego brata. Zrozumiał w lot, że kryje się za nim jakaś historia, znana tylko im dwóm, i że on sam chciałby ją poznać.

– Wiktor mówi, żebyśmy opowiedzieli o czekoladzie – przekazał Nawi.

– O, Boże! – Kostek złapał się za głowę. – Historię? Toż to horror jakiś był.

– A o co chodziło? – zapytał Łukasz.

– Któregoś wieczora Malina wpadła w histerię, bo zachciało jej się czekolady. Ot, tak. – Pstryknął palcami. – Ma być, bo ona musi zjeść czekoladę. Byliśmy wtedy w Kabulu, ale nie było u nas żadnych słodczy. A ta jęczy, płacze, wrywa sobie włosy, mówi o nas okropne rzeczy... W końcu położyła się na materacu i zaczęła szlochać na głos, że nie wytrzyma i że wyjdzie z budynku i pójdzie szukać czekolady.

W tym momencie Wiktor pomruczał coś pod nosem i pokręcił głową z irytacją, jakby to wspomnienie ciągle wyprowadzało go z równowagi.

– A my, oczywiście, zamiast dać jej klapsa w dupę, wszyscy najpierw szukaliśmy w swoich bambetlach choćby śladowych ilości czekolady albo cukierków, nawet Krokodyl. W końcu Wicia wstał i mówi, że on jedzie na miasto

i znajdzie jej tę czekoladę. Wziął ze sobą świętej pamięci Kolę i poszli w noc na łowy.

Łukasz z Krzysztofem zaczęli się śmiać. Nawi też chichotał znad butelki z piwem.

– Wy się śmiejecie, ale nie do śmiechu było tym biednym amerykańskim szwejkom, których napadli. Jechały jakieś robaczki biedne z Teksasu czy innego Oregonu, aż tu nagle, w ciemnej uliczce, wyskoczyły na nich dwie bestie, rycząc i bijąc, jak popadło. Pewnie do dziś się z PTSD leczą. Wicia z Kolą przekopali im tego Humvee, czy czym tam jechali, grożąc nożem i dekapitacją. I co? Znaleźli cały zapas batonów wysokokalorycznych czekoladowych i jedną czekoladę...

Wiktor przerwał mu, dodając coś od siebie.

– A, właśnie! – Kostek parsknął. – I pełno zielska, ale go nie brali, bo my własnych dostawców mieliśmy, więc woleli nie ryzykować z ich paskudztwem. No i wrócili do bazy. Nasi tryumfatorzy. Wicia wyciągnął tabliczkę czekolady zza pazuchy i podał ją z dumą Malinie... – Kostek nabrał powietrza w płuca i potrząsnął głową, jakby sam nie wierzył w to, o czym mówi. – Ona ją wzięła, obejrzała z każdej strony, skrzywiła się, jakby miała się rozbeczeć i zapytała: „A z orzechami nie było?”.

Nawigator zwinął się na kanapie ze śmiechu, uderzając dłonią o obicie. Łukasz też śmiał się na głos, choć uważał, że opowieść jest okropna.

– Ale to nie wszystko! – Kostek pokiwał palcem. – Wiktor wściekł się i wyszedł. Kola zaraz schlał się wódą, a Malina zaszyła się gdzieś w kącie. Godzinę później poszedłem jej szukać. Siedziała w kucki z tą czekoladą i gryzła ją milimetr po milimetrze, chlipiąc jak myszka. Gryzek i chlipnięcie, gryzek i chlipnięcie... Klękam obok niej, głaszczę po główce i pytam: „Malinko, dobra czekoladka?”, a ona wzdycha żałośnie i mówi: „Może być”. Sam się nieludzko wpieniłem, ale uznałem, że nie ma się co kopać z koniem i poszedłem spać. A rano... Ja pierdolę! Budzi mnie kopniak w dupę. I wrzask. Malina, ubrana, uzbrojona po zęby, drze się na nas, że jesteśmy leniwymi kupami gówna i mamy natychmiast wstawać, bo jest akcja i trzeba jechać i... o, matko!

– I naprawdę była akcja? – zapytał Krzysiek.

– Była, oczywiście, że była – westchnął. – Wtedy nie mogliśmy tego wiedzieć, ale dostała cynk od De Soto, że jest obóz szkoleniowy do rozwalenia i że trzeba szybko się nim zająć. Chodzi o to, że ona w nocy naźarła się tego cukru i była nakręcona jak sprężyna. Wstaliśmy i odkryliśmy, że zjadła wszystko, co Kola z Wicią przywieźli. Chyba ze dwadzieścia batonów, no i tę cholerną tabliczkę. Nie spała, tylko analizowała dane od Angie, obliczała czas dojazdu, ilość potrzebnej amunicji i ludzi. Masakra! Byliśmy w takim szoku jej zachowaniem, że pojechaliśmy, gdzie kazała, i wyczyściliśmy, co było trzeba, i nikomu nie przyszło do głowy, żeby pytać, skąd o tym wie... A potem, po akcji, panna Malina weszła

do pomieszczenia, gdzie spała, padła na materac i zasnęła jak stary chłop, a nam ulżyło.

Na moment zapadła cisza. Łukasz opadł na oparcie kanapy i zamyślił się.

– No i co tam sobie dumasz, mężu Maliny, co? – zapytał Kostek z błyskiem w oku.

– Tak się zastanawiam... W rodzinie Justyny występują przypadki schizofrenii...

Gogol z Nawim spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem.

– Łukasz, na tę chorobę jest inne określenie – powiedział Nawigator.

– Jakie?

– Kobieta.

Łukasz uśmiechnął się i popatrzył na Krzysztofa, który skinął głową.

– Może i tak... – Spojrzał przez okno na pogrążony w mroku ogród.

Kostek poderwał się z kanapy.

– Tak! – zawołał wesoło. – Masz rację: trzeba się przewietrzyć.

– Chciałeś powiedzieć: upalić ziołem. – Nawi rzucił mu pełne politowania spojrzenie.

– Ty siedź tu cicho, gówniarzu, i nie denerwuj kolegi. – Gogol pogroził mu pulchnym palcem. – Mężu Maliny, reflektujesz?

– Nie, ale chętnie rozprostuję nogi.

Wyszli na dwór, uruchamiając czujnik ruchu włączający światło.

– Kurwa! – Kostek skrzywił się, wsuwając skręta do ust. – Co za czort?

– Wyłączę to. – Łukasz sięgnął ręką do panelu przy drzwiach. – Tu sąsiedzi są czujni i nie wiadomo, czy nie ściągną nam na głowy policji. Co palisz?

– To czysty tytoń z nutą konopi – uśmiechnął się. – Mamy pod granicą z Tadżykistanem kumpli w policji, którzy kiedyś pracowali w fabryce tytoniu do fajek wodnych i ciągle mają dostęp do towaru. A to, mój drogi, jest na specjalne zamówienie Kostusia. Nie jestem palaczem, ale takie wynalazki mi pasują. Odświeżają umysł, nie wprowadzając w narkotyczny stan. Krokodyl też je lubił, ale raczej odwrotne proporcje. Przepraszam... – Dotknął ramienia Łukasza z wyrazem szczerego żalu w oczach. – Może nie lubisz, jak się o nim mówi?

Meyer pokręcił lekko głową.

– Już przestało mną telepać na dźwięk tego imienia. Justyna mówiła o nim tak często, że w końcu mi się opatrzyło. Nie pojmuję jej ambiwalentnego stosunku do tego człowieka.

– Szczerze? – Kostek wypuścił chmurę dymu. – Wszyscy mieliśmy podobny stosunek do niego, bo to był taki typ. Jak już zaczynało się go lubić, robił albo mówił coś takiego, że odechciewało się żyć. Myślę, że stosował jakieś techniki, żeby nie zbliżyć się zbyt do nikogo. Strasznie okaleczony chłop. – Zamyślił się. – Hm... może nie powinienem tobie tego mówić, ale myślę, że to ważne.

- Co takiego?
- Chodzi o jego śmierć... O to, że Malina obwinia się za to, co się stało.
- Eh... – Łukasz spojrział w niebo. – Rozmawiałem o tym z nią wiele razy.
- Ale że co?
- Że to bez sensu brać na siebie odpowiedzialność za sprawy, których nie da się przewidzieć, bo w policji też się takie rzeczy działy i trzeba było dalej żyć, pracować, jeździć na akcje... Zawsze jest ten pierwszy raz albo zawsze pierwszy raz się dowodzi i jest się żółtodziobem.
- Ale Krokodyl zginął ze swojej winy – powiedział cicho Kostek.
- Jak to?
- Nie posłuchał jej. Jak się działo, trzeba słuchać bezwzględnie dowódcy, nawet jeśli jest to akurat laska, za którą dałbyś się pokroić żywcem. A on nie posłuchał... Malina krzyknęła, żeby się nie odwracał w jej stronę, czy coś takiego... No, kazała mu biec. Ale on się obejrzał... – Kostek zamilkł, czując, że traci ochotę na swojego papierosa. – Ciągłe widzę jego oczy, kiedy spojrzął przez ramię, na nią... Zwolnił swój bieg na te kilka sekund, które uratowałyby mu życie, bo chciał wiedzieć, czy z nią wszystko OK. Tak się po prostu nie robi...
- Chcesz, żebym jej o tym powiedział? – zapytał Łukasz po chwili milczenia.
- Jeśli uznasz, że można, to jej powiedz. Nikt z nas jej nie obwinał, i nie będzie, za jego śmierć, bo, jak sam mówiłeś, zawsze jest ten pierwszy raz. Ale on... Moim zdaniem, Krokodyl popełnił samobójstwo.
- Jakim cudem? – Łukasz potrząsnął głową.
- Cała ta sytuacja, która miała wtedy miejsce... On już wiedział, że ty jesteś w Afganistanie, że jej szukasz, a ona, jak tylko cię zobaczy, wskoczy ci w ramiona. Znałem go naprawdę bardzo długo i trochę nauczyłem się rozumieć motywy jego postępowania. Wtedy, w górach, dotarło do niego, że kiedy wrócimy do Kabulu, on nie będzie miał już po co żyć. Zresztą... Malina dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nie ma na co liczyć, a on niemal wprost przyznał, że tylko na niej mu zależy. Cały ten czas żył iluzją, uciekając w pracę. Więc kiedy iluzja prysła, już na niczym mu nie zależało. Skończył się. Przyjął tę śmierć z ulgą.
- Nie patrzyłem na to od tej strony – przyznał Łukasz.
- I nie powinieneś myśleć o Malince jak o chorej na głowę – roześmiał się cicho. – To ona, nasza Malina, inna nie będzie i mam nadzieję, że jej nie będziesz chciał na siłę naprawiać. Słuchaj, wielkoludzie, kobiety mają czasem problem z mówieniem wprost o tym, co je gryzie, i swoje lęki wyrażają na różne sposoby, bywa, że dość... szalone. Znajomy mi kiedyś powiedział, że nie da się zrozumieć bab, bo one same nie wiedzą, co im jest. Malinie teraz biło na dekiel, bo martwiła się zbyt wieloma sprawami, ale jakbyś ją zapytał, to powie ci, że się nie martwi i żebyś spadał.

Łukasz roześmiał się.

– Dokładnie tak. – Kiwał głową. – Tak mi mówiła.

– Bo sama w to wierzy. „Nie, nie martwię się, jestem zajebicie dzielna. Popatrz na mnie, jaka jestem sprytna i mądra”. A za chwilę jej się odmienia i wrzeszczy, że się nią nie przejmujesz i pewnie nie kochasz, i że wszystko na jej głowie. Przechodziłem to wiele razy we własnym domu, aż w końcu przestałem słuchać, więc... Kaśka uznała, że nie słucham i też było źle. Uh! – Wzdrygnął się.

– No, krew mnie zalewa, jak o tym sobie pomyślę.

Łukasz chciał coś powiedzieć od siebie, ale ktoś zastukał w szybę w drzwiach.

– Mała płacze – oznajmił Nawigator. – I Wiktor nie wie, czy ma ją zanieść do Maliny.

– Pewnie jest głodna. – Łukasz ruszył do salonu. – Ja ją wezmę.

Kostek wrócił na swoje miejsce na kanapie i ziewnął przeciągle.

– Ależ im się trafiło z tą małą – powiedział, klepiąc się po brzuchu. – Nawet płacze jak normalny noworodek, a nie jak obdzierane ze skóry zwierzę. Moje było słycać w samym Radomiu. „Jeeeeeeść!” – zademonstrował możliwości swoich pociech. – „Moooooookroooo!”, „Leeeeeee! Będę ryczeć, aż odechce się wam wszystkiego!”. I tak codziennie, jakbyśmy głusi byli. Ale my tu ciągle gadamy o nas, a ty, Krzysiu, nic o sobie. Ładnie się urządziłeś, chociaż pracę masz paskudną.

– No! – Nawi skinął głową. – Widziałem plakaty przed twoim gabinetem. Od razu wszystko zaczęło mnie swędzieć.

Krzysiek roześmiał się.

– Eh, wiecie, jak jest. Lata lecą, a specjalistów tu wciąż jak na lekarstwo. Dobry dermatolog ciągle w cenie. W Polsce nie kupiłbym szybko takiego domu, mając tak krótki staż pracy. A czy samo zajęcie jest paskudne? – Wzruszył ramionami. – Może i jest, ale dla mnie ciekawsze niż inne specjalności. Chciałem być ginekologiem do chwili, kiedy na praktykach nie zaczęły przychodzić pacjentki... ekhm... no wiecie...

– Tak – mruknął Gogol. – Nie musisz tłumaczyć. A czemu Niemcy?

– Przez nazwisko. W rodzinie Meyerów nie ma ani jednego Niemca czy Austriaka, co interesujące, ale wykorzystałem je i dobrą znajomość języka, żeby tu zakotwiczyć.

– Sprytnie – odparł Kostek z uznaniem, po czym spojrzał na Wiktora, który coś zaczął znów szeptać. – Co mówisz, rusalko? A! – Wyprostował się. – Dobrze chłopak gada. Mówi, że coś by zjadł. Co wy na to?

Mimo zbliżającej się północy, wszyscy czterej zabrali się za szykowanie sutej kolacji, na którą składały się wędliny, sery, różne rodzaje pieczywa i bardzo dużo piwa. Przynieśli wszystko do salonu i znów pograżyli się w dyskusji, nie

zauważając przybycia Justyny, która stanęła obok Krzysztofa.

– O, matko moja! – Kostek podskoczył, łapiąc się za serce. – Aleś mnie wystraszyła. Wyglądasz jak trup.

– Krzysiek – mruknęła żałośnie.

– Co się stało? – Młodszy z braci przejął się nie na żarty. – Źle się czujesz?

– Czy mógłbyś sprawdzić, czy ja nie mam w środku jeszcze jednego dziecka?

– Co? – Zamrugał powiekami. – Ale...

– Popatrz na mnie! – Dotknęła brzucha. – Wyglądam, jakbym w ogóle nie urodziła.

Krzysztof złapał ją za nadgarstek i pociągnął w stronę kanapy.

– Usiądź, bo zaraz padniesz. Tak się wygląda po porodzie. To normalne. Poza tym rozcinali ci brzuch podczas operacji i, wierz mi, gdyby tam coś jeszcze było, to myślę, że by nie przeoczyli.

Kostek z Nawim parsknęli śmiechem.

– Malinka, zejdzie – pocieszył ją Gogol. – Kaśka miała tak samo, a patrz, jaka teraz osa jest. Jak tam twoja trzódka? Śpią?

– Jak susły. – Sięgnęła po plasterek szynki. – A wy? Czemu tu siedzicie? Myślałam, że będziecie po tej Bułgarii bardziej zmęczeni.

– A co my tam mieliśmy do roboty? – prychnął Kostek. – Było parę zleceń, ale poza tym ciągle przyłazili starzy kumple Ziutka.

– Co ty gadasz? Nawi, nie bredzi on?

– Nie. – Radek pokręcił głową. – Przynosili wódę i opowiadali stare historie.

Do zarzygania.

– A kto to Ziutek? – zainteresował się Krzysiek.

– Były płatny zabójca bułgarskiej bezpieki – wyjaśnił Kostek. – Nie tylko bułgarskiej. Uu! – Pokiwał wymownie głową. – Dowiedzieliśmy się sporo na temat jego działań. Zresztą, wcale nie poszedł na emeryturę, tyle że już nie strzela do ludzi, przynajmniej nie na śmierć.

– Musi jakoś utrzymać dom – stwierdziła Justyna.

Krzysztof spojrział na bratową z niedowierzaniem.

– Czuję się, jakbym się dostał do równoległego wszechświata – powiedział.

– I wszystko jest zupełnie nierealne. Wy wiecie, że u mnie w domu był premier? – zwrócił się do Kostka i Nawiego.

– Życie. – Nawi wzruszył ramionami. – Po jakimś czasie nie zwraca się już na takie detale uwagi.

– He, he! Dobrze! – zarechotał Kostek, uderzając dłonią o kolano. – Co do wszechświatów równoległych, panie bracie Łukasza... Co to za mroczna historia kryje się za naszym superagentem CBS?

– Jaka historia? – zapytali jednocześnie Krzysiek i Justyna.

– No, jak to? Widziałem po twojej minie, że ty dobrze wiesz, czemu on taki... rozjątrzony na pewne sprawy.

– Jakie sprawy? – W oczach Justyny pojawiły się pioruny.

– Opowiadaliśmy mu o przygodzie z czekoladą.

– No, rzeczywiście. – Przewróciła oczami. – Wielka przygoda. Kurwa, wszystkie grupy specjalne mają zawsze przy sobie słodczyce z dużą zawartością kakao. Wszystkie! Zawadka mi mówił, że czasem ma przy sobie tylko czekoladę, żeby móc działać. Ale oczywiście my nie! Jak te szuszaki ostatnie, co kozy pasą – tylko baranina i placki.

– Widzisz? – Gogol spojrzał wymownie na Krzyśka. – Tak to właśnie wygląda. Narozrabia, a potem wszyscy ją muszą przeproszać. Tak, kochana Malinko, masz rację: popełniliśmy błąd, że nie było u nas zapasów czekolady, ale dzięki tobie potem mieliśmy ją już zawsze, choćby nie wiem co.

– Bujaj się! – Odwróciła wzrok, naburmuszona.

– Krzysiu – Kostek znów popatrzył na gospodarza – chodziło mi o tę twoją minę, kiedy patrzyłeś na swojego brata podczas naszej rozmowy. To była mina... hm... jakby to powiedzieć? „Oj, braciszku, jak ty niczego nie rozumiesz”.

Krzysztof oparł się mocniej o fotel i pokiwał głową.

– Tak – westchnął. – Jesteś blisko. Próbowałem z nim o tym rozmawiać, nawet parę dni temu, ale on wypiera pewne fakty.

– To znaczy? – Justyna zmarszczyła nos.

– Fakty związane z Zofią – wyjaśnił.

– A... Tak, ciężko mu pewne rzeczy wyjaśnić.

– Nie wiem, czy wiecie, ale ja nie jestem synem Stefana – kontynuował Krzysztof. – Nie biologicznym.

Jego goście pokręcili głowami.

– A że jestem od Łukasza młodszy, a moją matką jest Zofia, nietrudno się zorientować, że matka zdradziła Stefana.

– Fiuu – zagwizdał Kostek. – Nieładnie.

– Mało, że zdradziła, to na jakiś czas odeszła.

– I zostawiła dziecko? – Radek otworzył oczy ze zdumienia.

– Tak. Łukasz miał dwa, trzy latka, jak został tylko z tatą. Już to zdarzenie odcisnęło się na nim mocno, chociaż niektórzy uważają, że taki maluch zapomniał i jakoś sobie poradził. Powiem szczerze, że nie rozumiem, dlaczego Stefan znów przyjął tę jędzę pod swój dach, ale cieszę się, bo wychował mnie jak swojego, dał nazwisko, no i był najlepszym ojcem, jakiego można mieć. W sumie jest to śmieszne, bo Łukasz nie jest do niego podobny, a ja tak. No i, jak matka wróciła do domu ze mną w brzuchu, to mały Łukaszek nie odstępował jej na krok. Stefan mówił, że bał się, że wpadnie w jakiś regres rozwojowy, bo prawie nie mówił i ciągle chciał być z mamą, a jak zniknęła na chwilę, to chorował tak, że o mało nie

umarł.

– Jeju – wyrwało się Justynie, która zasłoniła z przejęcia usta.

– Myślałem, że wiesz... – Krzysiek spojrział na nią ze smutkiem. – Stefan nie mówił?

Pokręciła głową. Wiktor, który do tej pory kręcił się po kuchni, usiadł obok niej i przykrył nogi pledem z oparcia.

– To niestety nie jest koniec tej opowieści, bo kiedy ja miałem pięć, a Łukasz osiem lat, Zofia znów poszła w długą. Znalazła jakiegoś fagasa, spakowała się i wyprowadziła.

– Co za wiedźma! – wycedził Kostek, zerkając na coraz bledszą Justynę.

– Pamiętam to dobrze. Zbierała swoje manele i trajkotała do Stefana, który się w ogóle nie odzywał, że ona się dusi w tym związku, że musi rozwinąć skrzydła, że dzieci ją przytłaczają i takie tam... Łukasz... – Przerwał na chwilę. – Łukasz chodził za nią z płaczem i błagał, żeby nie odchodziła. Łapał ją za ręce, spódnice, a ona się odganiała i w ogóle nie reagowała na to, co mówił. Wyszła z domu, wsiadła w samochód tego faceta i pojechała, a on... on biegł za tym autem, dopóki mógł, i krzyczał.

Justyna rozkleiła się całkowicie. Oparła czoło o ramię Wiktora i zaczęła płakać.

– O, Boże, Boże! – szlochała. – Jakie to podłe.

Ukraińiec nachylił się nad nią, pogłaskał po włosach i powiedział coś po rosyjsku.

– Co on mówi? – Krzysiek zapytał szeptem Nawigatora.

– Żeby nie płakała, bo jak spotka tę sukę, to obetnie jej głowę – odpowiedział z zimnym spokojem Nawi.

– Domniemywam, że nie byłaby to dla niego nowość. – Krzysiek skrzywił się.

– I co? – Kostek był ciekawy dalszego ciągu. – Znów ją przyjął do domu?

– Tak. Wiele razy ostro z nim o tym dyskutowałem, ale Stefan ma własny kodeks moralny. Dla mnie matka przestała istnieć, mimo że miałem ledwie sześć lat, kiedy się zjawiała. W ogóle z nią nie rozmawiam, a jeśli już stanie na mojej drodze, nie szczędzę słów, by wyrazić, jakie żywię do niej uczucia. Ale nie Łukasz... Tu właśnie zawsze był problem, bo on nie pamięta tych zdarzeń. Gdybyś spróbował go o to zagadać, powie, że to bzdura i nic podobnego nie miało miejsca.

– Jak to? – Justyna podniosła zapłakaną twarz.

– Tak to. Zablokował sobie pamięć i tak zostało. Co prawda, kiedy Zofia wróciła, był już bardziej powściągliwy w uczuciach, ale zachowywał się tak, jakby wszystko było w porządku. Według Łukasza jego rodzice byli świetni, normalni, zawsze mógł na nich liczyć, choć ja uważam, że Stefan zdradził nas, kiedy drugi raz jej wybaczył, bo ona nic się nie zmieniła. Jest złym człowiekiem i nie powinna

nigdy zostawać matką.

– I uważasz, że ożenił się ze mną, bo ją przypominam? – zapytała z gniewem Justyna.

– Oj! – Kostek wyprostował się. – Uważaj teraz, Krzysiu. Właśnie znalazłeś się na samym środku pola minowego.

Krzysztof roześmiał się i oparł głowę o fotel.

– Nie, właśnie nie – śmiał się. – Ożenił się z tobą, bo byłaś przeciwieństwem Zofii... wtedy.

– Bum! – Gogol wyrzucił ręce wysoko w powietrze. – Mina eksplodowała. Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałem.

– Niby Łukasz nie pamiętał, co się stało – ciągnął niezrażony Krzysiek – ale kiedy był przed maturą, powiedział mi, że znajdzie i ożeni się z dziewczyną, która będzie miła, dobra i szczerą, i która go nigdy nie zostawi.

– Brzmi rozsądnie – stwierdził Nawigator.

– No tak, ale później zdałem sobie sprawę z tego, że to nierealne założenie, jeśli się ma popieprzoną przeszłość, o której się nie chce pamiętać. Widziałem setki przypadków, gdzie ludzie po prostu musieli związać się z kimś, kto dawał im te same emocje i przeżycia, jakich doświadczali w dzieciństwie. To jak córki alkoholików, które umieją być tylko z alkoholikami.

– Malinka! – Kostek wymierzył w jej stronę ramię. – Zanim go zabijesz, powiem coś, dobra?

– Nie! – wysyczała.

– To powiem. Jesteś miła i dobra, ale, kurwa, nie szczerą. No, proszę cię, nie oszukujmy się tutaj. Ja pierdolę! Jak szliście przed ołtarz, to, jak sam twój stary powiedział: żenił się z kimś innym.

– Ale go nie zostawiłam... – Urwała, rumieniąc się przy tym jak piwonia.

– Bla, bla. – Kostek zrobił głupią minę. – Tylko w dniu porodu spierdoliłam na lotnisko, nikomu niczego nie mówiąc. O Afganistanie nie wspominam nawet. Dobra, już nic nie mówię, bo widzę po Wiktorze, że zaraz stracę jakąś część ciała.

– Nie jestem jak Zofia – szepnęła, kuląc się za Wiktorem.

– Ale dzięki tobie Łukasz poczuł się jak wtedy, kiedy był mały, przynajmniej w kilku momentach – powiedział Krzysiek. – Zadziałała magia, której nigdy chyba nie pojmę, polegająca na tym, że pociągają nas ludzie, którzy mają odpowiedni zestaw cech, by to zrobić, i nikt inny nie jest tak atrakcyjny. Chciałem mu to powiedzieć kilka dni temu, ale o mało nie dostałem w pysk, a sami rozumiecie, że oberwać od takiej kupy mięcha to nic przyjemnego dla niepozornego dermatologa.

– To na pewno – odparł Kostek.

– O, Boże! – Justyna złapała się za głowę, ale po chwili odrzuciła koc i zerwała się na równe nogi.

– A ty dokąd? – Gogol spojrzał na nią zdumiony.

– Idę spać – rzuciła przez ramię i wybiegła z salonu.
– Nie nadążysz za nią. Mam nadzieję, że nie zrobi czegoś głupiego.
– Wątpię. – Krzysiek uśmiechnął się pod nosem. – Daleko jej do Zofii, mimo wszystko. Gdybyście słyszeli, co matka mówiła o Justynie przed ślubem... Masakra! A potem nie było lepiej. Ciągle głądziła, że nie mają dzieci, bo ta „dziewucha od krów” jeździ na skrobanki; albo że okrada Łukasza i dlatego jeżdżą ciągle starym samochodem. Nie znam drugiego człowieka, który byłby tak chory z nienawiści. W sumie dopiero po poznaniu Justyny Łukasz zaczął nieco inaczej patrzeć na Zofię, odsunął się, przestał jej słuchać. No i się nieźle musiał postawić, kiedy Zofia sprzeciwiała się ich małżeństwu. Pierwszy raz widziałem go po drugiej stronie barykady.

– Więc... – zaczął Radek. – Jak tak ciebie słucham, dochodzę do wniosku, że to bardzo szczęśliwa i zgodna para... biorąc pod uwagę ich przeszłość.

– Prawda? – Krzysiek roześmiał się głośno. – Są zupełnie normalni. O, królu! – Potarł dłońmi zmęczoną twarz. – Ależ się zasiedzieliśmy. Muszę też się położyć, bo rano ktoś przychodzi na wizytę.

Wiktor szepnął coś do niego, pokazując na szyję.

– Wicia pyta, czy byłoby problemem, gdybyś zmienił mu opatrunek na noc – przetłumaczył Kostek.

– Jasne! Nie ma sprawy. – Podniósł się z fotela. – Chodźmy do gabinetu. Chyba wasz kolega wrócił, bo widzę, że taksówka zajechała przed dom.

Rzeczywiście, po chwili na telefon Radka zadzwonił Jamal, prosząc, żeby wpuścić go do środka.

– No, ładnie! – Jednoręki popatrzył z wyrzutem na resztki jedzenia i puste butelki. – Ja ciężko pracuję, a wy się bawicie.

– A co robiłeś? – zapytał Kostek. – Myśleliśmy, że pojechałeś na imprezę i wrócisz pijany.

– Żadną imprezę. – Jamal zajął miejsce Krzysztofa. – Pojechałem dopinać szczegóły transportu Kowaliowa do Polski.

– Żartujesz? – Gogol zachichotał. – Malina zaprzęła cię do roboty?

– Tak – sapnął. – Szczerze powiedziawszy, wolałem robić to, niż siedzieć w środku zamieszania, jakie robiła. Coś mnie ominęło?

– Sporo. – Nawi klepnął go po ramieniu i podał piwo. – Było ciekawie.

– No to dobrze, że pojechałem.

– Wszystko gotowe?

– Tak. Nasi ludzie zaraz po przylocie zajmą się całą akcją i od razu pojedą do Polski. My zaczekamy, aż Wiktor dostanie wizę i... też pojedziemy do Polski – westchnął z rezygnacją w głosie i upił łyk piwa.

– I co dalej? – Gogol spojrzał na niego wymownie.

– Nie wiem sam... – Jamal opadł na oparcie i zamyślił się. – Rozmawiałem

z Londynem... Mam dwa wyjścia: albo jechać do domu, albo brać nowe zlecenia z naszego biura. Dlatego wybrałem to trzecie, choć też nie jestem przekonany, czy robię słusznie.

– Trzecie, czyli propozycję Justyny? – Nawi uśmiechnął się.

– Tak.

– A co nam zleca Londyn? – zapytał Kostek.

– Kończymy Afganistan i Pakistan. Po ostatnich wydarzeniach biuro wycofuje wszystkich swoich ludzi, zrywa dotychczasowe kontrakty i proponuje podpisanie nowych na dwa kierunki: Ameryka Południowa albo Afryka Środkowa...

– Uu... – Kostek skrzywił się. – Syf.

– Właśnie, syf. Duże pieniądze, ale i dużo złych ludzi. Jestem za stary albo zbyt wygodny, żeby znów się w to bawić. A wy? Podjęliście jakieś decyzje?

– Zrywamy kontrakt – odpowiedział Nawigator.

– To jak większość. – Jamal pokiwał głową. – Z naszej grupy zostaje tylko kilka osób, ze dwóch od Louisa, ten kolega Justyny ze szkoły... Jak mu tam?

– Warzywo.

– Mają zbiórkę w okolicach Southampton za tydzień, treningi, odprawę i lecą do Afryki.

– A Louis i jego świta? Co będą robić?

Jamal uśmiechnął się.

– Louis się zakochał – powiedział, puszczając oko. – I nie opuści swojej nowej ukochanej.

XLII

Prowadził Remi. Obok niego siedział Domański, a tylne siedzenia zajmowali Louis z Angie, gdzie, od samego wyjazdu z Kabulu, prowadzili nieuprzejmą wymianę zdań na tematy różne, doprowadzając kierowcę do szewskiej pasji. Po godzinie jazdy Remi nie wytrzymał, zjechał na pobocze i obrócił się w ich stronę.

– Mam was dosyć, Louis – wycedził przez zęby po francusku. – Jestem chory od samego słuchania waszego pieprzenia. Wiesz, kogo mi przypominacie? Moich rodziców. Elokwentny psychopata i brzydka wariatka. Zamknijcie się na trochę, jeśli chcesz, żebyś dowiózł was na miejsce w jednym kawałku.

– Co on robi? – Zdezorientowana Angie szarpnęła Louisa za rękaw. – Postój chce robić? Ale nie może się tutaj zatrzymywać, nie na poboczu. Pobocza są niebezpieczne, mogą być zaminowane. Co on? Dopiero tu przyjechał, że nie wie? Niech zatrzyma się dalej, chętnie rozprostuję nogi.

Louis uśmiechnął się, jakby cała sytuacja bardzo go bawiła, poprawił okulary i spojrzał na Angie.

– Mówi, że przypominamy mu jego rodziców – wyjaśnił.

– Oj, to fatalnie! – Angie obdarzyła Remiego pełnym współczucia spojrzeniem. – To musiało być okropne. Jedź, kochanie, dalej. Zróbmy postój.

Remi, klnąc siarczyście, odpalił znów silnik i włączył się do ruchu. Domański nic nie mówił, pogrążony we własnych myślach.

Kilka kilometrów dalej zjechali z autostrady i zatrzymali się nieopodal stacji benzynowej. Louis wysiadł z samochodu i od razu wyciągnął paczkę papierosów. Ku jego zdumieniu, Angie zrobiła to samo.

– Palisz?

– Od zawsze. Dlatego jestem taka pomarszczona. Zła dieta, papierosy, dużo psychotropów... No i nieszczęśliwe życie miłosne. – Uśmiechnęła się.

– Muszę ci powiedzieć, że dziwnie wyglądasz w spodniach – powiedział, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów.

– Lepiej?

– Nie – odparł szczerze. – Sukienki bardziej ci pasują, a poza tym w tym ubraniu rzucasz się w oczy.

– Dlatego lubię pracować z kobietami – łatwo je ukryć w tłumie.

– Tak – mruknął. – O ile nie wprowadzą tego zakazu burek.

– Nie wprowadzą.

– Skąd ta pewność?

– Jak już wiesz, mam na mieście sporo kobiet, które świadczą mi dużo usług, a niektóre z nich są żonami polityków.

– Mogłem się domyślić. – Louis pokręcił głową.
– One zadbają o to, żeby nie wprowadzano zakazu, bo to leży też w ich interesie.

– A nie boisz się, że cię sprzedadzą mężom albo policji?

– Ryzyko zawsze istnieje, ale moje doświadczenia pokazują, że w takich krajach jak Afganistan kobiety chętnie idą tam, gdzie w ukryciu mogą sobie rekompensować braki w swobodach obywatelskich, na przykład poprzez szpiegowanie i donoszenie na przemocowych mężów.

– Naprawdę to robią? – Louis zrobił wielkie oczy.

– Pewnie. Rzecz jasna, nie wszystkie... Czują się wtedy mocne, przejmują kontrolę, chociaż w tym jednym. Gdyby ich mężczyźni mieli pojęcie, do czego są zdolne, od razu zerwaliby im te szmaty z głów, chociażby po to, żeby zawsze wiedzieć, w którym kierunku patrzą. Dla mnie, jako szefowej grupy najemników, nie wymyślono nic lepszego niż burka. Jak się uprę, wsadzę pod nią nawet niedużego faceta, ubranego w kamizelkę, obwieszono bronią i urządzeniami podsłuchowymi.

– Myślałem, że rządysz samymi facetami. – Zerknął na nią podejrzliwie.

– Tak, to moi oficjalni pracownicy, ale kobiety wykonują najtrudniejsze zadania. Są ciche, dokładne i cierpliwe, czyli dokładnie odwrotnie takie, za jakie uważają je ich mężczyźni. Ja zaś nie opieram się na stereotypach, tylko na realizmie. Jeśli coś jest skuteczne, biorę to, choćby reszta świata uważała, że to bzdura.

Louis odwrócił się, by pokontemplować przez chwilę piękne krajobrazy wokół nich. Jeżdżące w tę i z powrotem pojazdy wojskowe w ogóle go nie interesowały, podobnie jak miejscowe cudaczne auta i autobusy, łamiące wszelkie możliwe normy bezpieczeństwa. Był w takim wieku i miał za sobą na tyle dużo doświadczeń, że oczekiwał od życia już tylko miłych rzeczy, bez względu na to, gdzie akurat się znajdował. Tego dnia miłą rzeczą był widok afgańskich gór i smak papierosów. Zerknął na Angie, która kucnęła za samochodem i przeglądała coś w swoim telefonie. Tak – towarzystwo tej wariatki też było w porządku.

– Co tam masz ciekawego? – zapytał, wskazując na jej smartfona.

– Zdjęcia małej – odpowiedziała z błogim wyrazem twarzy. – Malina wysłała. Śliczna jest. Zobacz. – Podała mu aparat.

– Hm... – mruknął. – Może...

– Nie może, tylko na pewno. – Zabrała Louisowi telefon i spojrzała znów na zdjęcie.

– Podobno jest upośledzona.

– Sam jesteś upośledzony. Ma zespół Downa, więc będzie miała różne problemy i opóźnienia, ale to nie znaczy, że nie jest urocza. Eh! – westchnęła i wyprostowała się. – Czuję się, jakbym została babcią. Świetne uczucie, kiedy ktoś

wysłała ci zdjęcia swojego dziecka, jakbyś był jego rodziną. Myślałam kiedyś, że nigdy mnie to nie spotka.

– Gratuluję – powiedział bezbarwnym głosem,

– Pamiętam, jak ją poznałam. – Angie zebrało się na wspomnienia. – W sumie... To ona mnie znalazła. Biegałam po mieście, robiłam, jak mi się wtedy wydawało, strasznie ważne rzeczy i byłam w swoich oczach bardzo dzielna i sprytna. Aż któregoś dnia zaczęła mnie kobieta w niebieskiej burce, która wyszła ze sklepu... Stałam na ulicy i obserwowałam otoczenie, oczywiście ubrana tak, że każdy od razu wiedział, że jestem z CIA. W pewnej chwili ktoś pacnął mnie w ramię. Myślałam, że dostanę zawału. Odwracam się, a tu stoi przede mną burka i szepcze po angielsku: „Może lepiej od razu strzel sobie w głowę. Po co to przedłużać?” – De Soto roześmiała się. – Złapała mnie za łokieć i wciągnęła na zaplecze. Sprzedawca udawał, że nas nie widzi i robił swoje. Po tym stwierdziłam, że to ona dowodzi. Zdjęła na zapleczu swoją burkę i ujrzałam twarz Maliny po raz pierwszy. Zrobiła mi na szybko nikab i prowizoryczną sukienkę i zasugerowała, żebym znalazła sobie miejscowego, z którym będę chodzić po mieście.

– To agentki nie kryją się pod burkami?

– Oczywiście, że się kryją. Ale po pierwsze, ja byłam zadufana w sobie i w swojej amerykańskości i uważałam, że mi to niepotrzebne, a po drugie, Malina pokazała mi, jak łatwo wyłuskać z tłumu kogoś przebranego. „Patrz na dłonie” – mówiła. – „Potem na buty. Sama noś tylko takie, jakie założy biedna afgańska kobieta, nawet jeśli będzie ci niewygodnie. Masz charakterystyczne ręce, więc je zasłaniaj”. Co ciekawe, właśnie moje dłonie zwróciły uwagę jej męża, kiedy byłam ranna w wybuchu. To uratowało mi życie.

– Mąż Maliny cię znalazł? – zapytał Louis, po czym spojrzał na Domańskiego, który pokiwał głową.

– Tak, Łukasz mnie zabrał z ulicy do szpitala. Gdybym tam poleżała jeszcze trochę, nie byłoby czego ratować.

– A nie zastanowiło cię nigdy, dlaczego cię zaczęła? Nie wydawało się to podejrzane?

– Owszem. Uznałam jednak, że warto dać tej znajomości szansę. Zaryzykować... Potem posłuchałam jej rady, znalazłam człowieka, z którym chodziłam po mieście, i tak oto zaczęła się moja przygoda poza agencją.

– Jak to?

– Tym człowiekiem był Hamza – powiedziała z uśmiechem. – Mój pierwszy współpracownik, pierwszy nabytek w grupie, którą stworzyłam i którą mam teraz. Byłam w Abu Dhabi w związku z jakimiś sprawami zawodowymi, poznałam go w hotelu przy papierosie. Od słowa do słowa... Przyjechał tu ze mną, potem ściągnął kogoś jeszcze.

– I wszystko przez Malinę – stwierdził z sarkazmem, ale nagle odwrócił się

i spojrział na Angie pytająco. – Kiedy Malina urodziła?

– Przedwczoraj, a co?

– Przedwczoraj? Myślałem, że wtedy gadała z tym Rosjaninem. Rodziła i gadała?

– Mniej więcej – odparła Angie, wydymając usta. – Zaczęła mieć bóle wcześniej rano, ale była tak podekscytowana spotkaniem z Kowaliowem, że kompletnie to zignorowała, wsiadła w pociąg i pojechała na rozmowę. Wiesz, jak jest z naszą Maliną: byle poród nie będzie dla niej wymówką, by nie się nie spotkać z jednym z najgroźniejszych gangsterów Europy, który rok temu ją porwał i o mało nie zabił. Była na takiej adrenalinie, że prawie przegapiła narodziny swojego dziecka.

– Szalona kobieta. – Louis prychnął. – Jak ona go przekonała do tego wszystkiego?

– Tak jak przekonuje każdego innego do robienia tego, co sama chce. Naopowiadała mu bajek o Wallacie, ścisnęła tam, gdzie bolało najmocniej i po paru minutach jadł jej z ręki.

– Jakich bajek? – Louis wyglądał, jakby miał się rozzłościć. – Angie, jedziemy na spotkanie z rosyjską mafią, nie możemy robić ich na szaro.

– Powiedzmy, że podkoloryzowała pewne fakty, które jej przekazałam na jego temat.

– A skąd je miałaś?

– Od mojej córki.

Louisa zatkało. Domański obejrzał się i popatrzył na niego z dziwnym uśmiechem.

– Córki?! Mówiłaś, że ona z tobą nie rozmawia.

– Już rozmawia. Odpisała mi kiedyś na jeden z niezliczonych listów, które przekazują jej moi ludzie z Abu Dhabi. Wiesz, żeby mnie nie namierzono. Zaczęłyśmy korespondować regularnie. Początkowo pisała tylko, co u niej na studiach, jak tam sprawy się mają z chłopakami... Nic szczególnego. Ale dwa miesiące temu spotkałyśmy się w Arabii Saudyjskiej, po kryjomu. Wtedy okazało się, że moja córka spotyka się z jednym z agentów z CIA, którzy ją sprawdzali w związku ze mną. Omotała go, jak Malina Kowaliowa, żeby wyciągać różne informacje. Oprócz tego, zgodnie z moimi przewidywaniami, zgłosiła swoją chęć do służby ojczyźnie w sektorze bezpieczeństwa. Jednym słowem – chce zostać agentką wywiadu, w czym jej nowy chłopak pomaga.

– On wie o tobie?

– A skąd! Zamknęliby ją w więzieniu, gdyby ktokolwiek się dowiedział, że mamy kontakt. Figuruję przecież na liście wrogów USA.

– To czemu się z tobą kontaktuje?

– Niestety, niekoniecznie z miłości. Moja córka jest z tego pokolenia, które

widzi pewne sprawy inaczej, nie wierzy tak w rząd i wszystko, co przekazują media. Uważała, że nie należy mnie skreślać, dopóki nie dowie się całej prawdy. Nie żeby nie była zła na mnie za to, co im zrobiłam... Tak czy inaczej, poprosiłam ją niedawno o dowiedzenie się czegoś na temat Wallace'a.

– Dowiadywała się przez CIA?

– Nie, idioto! Sama umie szukać informacji, teraz to nie jest trudne. Odkryła, że Wallace jest z pochodzenia Ukraińcem, że wychowywała go babcia, że studiował przed wojskiem i że istniał cień podejrzeń, że interesuje się nim radziecki wywiad. Malina zrobiła z tego historię o nacjonalizmie i pracy dla GRU albo KGB, co wcale nie musi być taką znów bajką. Po prostu, zanim wszystko potwierdzimy, musiała pójść do niego z czymś, co go przekona do zmiany frontu.

– De Soto, to jest wszystko bardzo kruchy lód – powiedział Louis, kręcąc głową.

– Louis, a czy ty kiedykolwiek pracowałeś na lodzie grubszym niż twój mały palec u nogi? Tym się zajmujemy, a ty nawet dłużej ode mnie. Czas na nas. Mów swojemu koledze, żeby odpalał auto.

Dalszą część drogi pokonali w absolutnej ciszy, która denerwowała Remiego jeszcze bardziej niż poprzednia kłótnia. Zerknął co chwilę w lusterko, sprawdzając, co dzieje się z tyłu. Louis i Angie patrzyli w przeciwnych kierunkach, ale nie wydawało się, by podziwiali widoki za oknem. Byli raczej mocno strapieni.

Spotkanie zostało zaaranżowane na północny wschód od Mazar-e-Sharif, nieopodal niewielkiego skupiska przytulonych do ziemi chat, do których nie prowadziła żadna droga. Isa, który był naczelnikiem lokalnej policji, przesłał współrzędne miejsca i zapewnił, że w czasie rozmów nikt niepożądany nie będzie ich nękał swoją obecnością. Kiedy dżip z Louisem i Angie zbliżał się do celu podróży, zza glinianego murka okalającego domy wyłoniła się wysoka postać mężczyzny o krótko obciętych włosach.

– Z daleka widać, że to Rosjanin – mruknęła Angie, czując ucisk w gardle.
– Nawet się szczur nie maskuje.

Remi zatrzymał wóz i wyłączył silnik. Nie wysiedli, dopóki mężczyzna nie dał znaku ręką, że mogą to zrobić. Louis zaczął w duchu przeklinać siebie za to, że zgodził się nie brać broni na spotkanie. Jego wysłużony, ale niezawodny glock spoczywał w bagażniku obok przerobionego Walthera Angie, z którego regularnie szydził. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że cała ta historia skończy się rzeźnią, a on i jego towarzysze będą zarzynaną zwierzyną. Kiedy szli za Rosjaninem, widział oczami wyobraźni latające wokół pociski broni automatycznej, dziurawiące ich ciała, powodujące popłoch wśród mieszkańców, którzy w tym momencie przyglądali się im z zaciekawieniem. Starzy mężczyźni palący papierosy, młode dziewczynki opiekujące się dziećmi, prawdopodobnie ich własnymi, beczące kozy i wychudzone psy, biegające w poszukiwaniu jedzenia... Wszystko to w każdej

chwili mogło zamienić się w pole bitwy, chaos, a w końcu cmentarz.

– Gdzie są Saudyjczycy? – Domański obrócił się nagle w jego stronę.

– Spóźnią się – odparła Angie. – U nich wszystko w rękach Allaha, nie patrzą na zegarki.

Znaleźli się na otwartej przestrzeni, gdzie stały dwa dżipy Rosjan. Pięciu mężczyzn, którzy przybyli na spotkanie, nie wyglądało na uzbrojonych, ale to mogły być jedynie pozory. Dwóch z nich stało bardziej z przodu, więc Angie wysnuła wniosek, że to główne postaci tego przedstawienia. Stali niemal nieruchomo, z opuszczonymi rękami, wpatrując się w nich oczami o pustym spojrzeniu, powodując u Amerykanki mrowienie na plecach.

Oczy weteranów wojny w Afganistanie – przyszło jej do głowy. – Albo psychopatów. Albo... jedno i drugie. Postawy ciała świadczące o tym, że się nie boją, przynajmniej nie w tej chwili.

Przypomniała sobie, co mówiła jej Justyna na temat Kowaliowa i wrażenia, jakie na niej zrobił.

– Angelina, nie bój się ich – mówiła przez telefon. – W środku są miękczy, wystarczy nacisnąć na odpowiedni guzik...

Nie dokończyła jednak wewnętrznych rozmyślań, bo, zupełnie bez ostrzeżenia, Domański wyprzedził ją i Louisa, po czym stanął przed Rosjanami i oparł dłonie na biodrach.

– Dzień dobry, panowie – powiedział po polsku.

– Co do... – Louis, po raz pierwszy od wielu lat, o mało nie stracił zimnej krwi.

– Czeka! – syknęła Angie, wbijając mu kościste palce w nadgarstek.

– Który z panów mówi po polsku? – wysapał Andrzej, mrużąc oczy.

Rosyjska delegacja zamarła. Dwóch z przodu obrzuciło siebie nawzajem podejrzliwymi spojrzeniami, trzech za nimi zrobiło jednocześnie pół kroku w tył.

– No, dalej! – zachęcił Domański. – Przejechaliśmy szmat drogi, a ja jestem stary i wolałbym załatwić to szybko, zanim padnę na zawał. Wiem, że mogę z kimś od was pogadać po polsku.

Jeden z dowódców, po chwili złowrogiego milczenia, skinął lekko głową do kogoś za swoimi plecami. Mężczyzna w średnim wieku, z siwiejącymi włosami, wyszedł do przodu i spojrzał na Domańskiego z wrogością.

– Czego chcesz? – rzucił.

Andrzej podszedł do niego bliżej i szepnął mu parę słów, po których oddalili się w stronę aut Rosjan. Wyraźnie zmęczony Domański zaczął tłumaczyć coś, machając przy tym rękami, co chwilę pokazując na ludzi, z którymi przyjechał. Po upływie dwóch minut wydawało się, że on i jego rozmówca są starymi znajomymi. Kiwali głowami ze zrozumieniem, śmiali się i wyglądali na przejętych w tych samych momentach, poklepywali się po ramionach.

– Ty patrz na nich – wycedził przez ledwo uchylone usta Louis. – Co tam się wyprawia?

Rosyjska strona też sprawiała wrażenie zaniepokojonej, ale przez dłuższy czas usilnie starała się nie okazywać tego po sobie. Jednak nadszedł moment, na który Angie bardzo czekała: jeden z dowódców założył ręce na piersiach i choć jego mina była wciąż zacięta, a nawet groźna, mowa ciała zdradziła ofensywną postawę kogoś, kto nie kontroluje sytuacji.

Rozmówca Andrzeja zwrócił się do swoich ludzi i zawołał coś po rosyjsku. Dowódcy natychmiast podeszli do niego. Zaczęła się kolejna długa wymiana zdań, ale tym razem już nie Andrzej udzielał wyjaśnień. Rosjanie zerkali co i rusz na Angie i Louisa, kiwali albo kręcili głowami, a na koniec powiedzieli coś do Domańskiego, podali mu dłonie i zajęli miejsca w dżipie, zostawiając Andrzeja z jego nowym kolegą.

– Ja pierdołę! – Remi zamrugał powiekami.

– Właśnie – odparł Louis. – Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś takiego.

Angie poczuła, jak strużka potu spływa po jej plecach. Cała ta sytuacja trwała bardzo długo, a ona stała nieruchomo w jednej pozycji. Odezwała się nawet rana na brzuchu po eksplozji w Kabulu. Mimo że Domański wyglądał na kogoś, kto panuje nad wszystkim, nie można było powiedzieć, że są bezpieczni, że nic się jeszcze nie wydarzy...

– Mam nadzieję, że Saudyjczycy nie zjawią się nagle – wyszeptwała. – Trudno przewidzieć, czy nie rozsierdzi to Rosjan.

– Powinni być wściekli za to, że się nie pokazali – odparł Louis. – Mogli odebrać to jako brak szacunku.

W końcu Andrzej pożegnał się wylewnie z mężczyzną o siwiejących włosach, podał dłoń pozostałym dwóm i z uśmiechem na twarzy ruszył w stronę swoich kompanów.

– Jedziemy – zarządził, machając ręką.

– Tak po prostu? – Louis posłuchał go, choć wcale tego nie chciał.

– Tak. Niech nie wiedzą, że to nie było zaplanowane – odpowiedział Domański, nie zdejmując uśmiechu z ust.

Cała czwórka zajęła znów miejsca w dżipie. Remi próbował odpalić silnik, ale ręka drżała mu tak bardzo, że nie mógł trafić kluczykiem do stacyjki. Andrzej zrobił to za niego. Ruszyli z powrotem w kierunku autostrady, początkowo nie mówiąc nic do siebie.

– To może powiesz nam, co tam się stało? – Louis nie wytrzymał długo.

– A jak myślisz? – Domański pomasaował się po klatce piersiowej.

– Improvizowałem.

– Ale po co?

– Chodzi o to, że ja znałem tego człowieka.

– Tego, z którym gadałeś? – Remi był w szoku.

– Tak. Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie go widziałem, ale uznałem, że on też może mnie rozpoznać i wtedy będziemy mieć kłopot. To chemik, podoficer z jednostki, w której służyłem trzydzieści lat temu. Dwa lata siedziałem w lesie, te same twarze zawsze się widziało, to zapamiętałem... On mnie nie kojarzył.

– Więc Malina miała rację. – Louis spojrział na Angie. – Co mu powiedziałaś? Muszę ustalić zeznania na spotkanie z Saudyjczykami, bo w końcu chyba się spotkamy.

– Tak – sapnął Andrzej. – Byli bardzo zdziwieni, że dogadaliśmy się z nimi, ale jak wyjaśniłem, co się stało, przestali się dziwić. Powiesz Saudyjczykom tak: Rosjanie na tydzień wstrzymują wszelkie akcje. Jeśli Kowaliow odezwie się i potwierdzi naszą wersję, pójdą na dalszą współpracę; jeśli nie... rozjadą nas.

– Jasne. – Louis parsknął. – Mogę to sobie wyobrazić.

– Mamy tydzień, nie więcej. – Andrzej uniósł palec w górę. – Do tego czasu Wołodia musi zmartwychwstać i poczuć się tak dobrze, żeby przekazać im dobre wieści. Mają kłopot z finansowaniem, od kiedy ich szef jest w więzieniu, i wersja jego śmierci bardzo im pasuje, bo wtedy kasę, której nie przejęła Federacja Rosyjska, odziedziczy żona, i znów będzie mogła przelać im na konta. Teraz kolejna sprawa. Sprzedałem wersję Justyny na temat Wallace'a... Kupili.

– Są głupi czy tak dobrze opowiadasz bajki? – zapytał z sarkazmem Louis.

Domański nie odpowiedział od razu. Popatrzył przez szybę i pokiwał głową, jakby o czymś sobie pomyślał.

– Powiedzmy, że mam osobiste powody, by przyjąć tę „bajkę” jako pewnik – powiedział z przejęciem. – Jakoś nie było mi trudno wyobrazić sobie, że Wallace, czy jak mu tam, jest zdolny do złych rzeczy. Może to wobec niego krzywdzące, ale dziś nie żałuję tego, co im powiedziałem. Zwłaszcza jeśli ma to pomóc nam załatwić różne sprawy...

Angie nachyliła się w jego stronę i poklepała go po ramieniu.

– Tak czy inaczej... – Domański odetchnął. – To nie są dobrzy ludzie. Ci, z którymi rozmawialiśmy. To mafia i trzeba na nich uważać, ale przynajmniej jest szansa, że przez jakiś czas nie będą ganiać za wami z bronią, jeśli moja wersja pokryje się z tą Justyny. Poza tym, z tego, co mi mówili ci dwaj, oni wcale nie chcą wywoływać drugiej wojny afgańskiej, mają to w nosie, byleby zarabiać pieniądze. Dostali zlecenie zlikwidowania was i innych grup, zrobienia rozpoznania i tyle. Im nie idzie o ideologię, ale jeśli widzą, że ktoś ich oszukuje, tak jak zrobił to Wallace, zmieniają front.

– A jak on ich oszukał? – Remi zmarszczył brwi.

– Nie powiedział o swoim pochodzeniu – wyjaśniła Angie. – Rosja i Ukraina są od dłuższego czasu w stanie wojny, chociaż niektórzy uparcie twierdzą, że jest inaczej. Tak naprawdę to, że w jego żyłach płynie ukraińska krew, nie oznacza, że

czuje się Ukraińcem czy nawet nacjonalistą, może mu to w ogóle zwisać... Ale dla Rosjan cień podejrzenia, że robi ich na szaro, wystarczy, żeby mieć powód do zerwania umowy. W dodatku Kowaliow jest wściekły za to, że został złapany przez porwanie osoby, o której nic nie wiedział. I nasza Malina wykorzystała ten słaby punkt. Swoją drogą... Ja bym chyba na to nie wpadła.

– A ja nie wpadłbym na to, żeby robić improwizację przed rosyjską mafią! – Louis poczuł, że musi wyrazić swoje oburzenie.

– Nie przejmuj się nim, Andrzej. – Angie machnęła ręką. – Jest zazdrosny o to, że to nie on jest bohaterem tego dnia.

– To nie jest zabawne. – Louis rzucił jej groźne spojrzenie.

– Przeciwnie. – Remi uderzył dłońmi o kierownicę. – Angie ma rację. Wreszcie ktoś był większym twardzielem od ciebie, Louis.

– Tak jest! – De Soto znów poklepała Domańskiego po ramieniu. – Musisz poprosić Brzezińskiego o podwyżkę.

Andrzej odwrócił się i spojrzał na nią z błyskiem w oku.

– Tak zrobię.

XLIII

Za oknem szalała burza. Brzeziński wpatrywał się zafascynowany w przecinające niebo błyskawice. Czuł się tego dnia podekscytowany, a nawet spełniony. Trzymał w dłoni wydruk maila, jaki przesłała do niego Justyna Dąbek na temat Kowaliowa, który już znajdował się na terenie Polski. Premier był zadowolony z takiego obrotu spraw, ponieważ był to dla niego niezbity dowód, że nie pomylił się co do tej kobiety oraz że podjęła ona pełną współpracę.

Kowaliow źle znosi zamknięcie i odosobnienie – donosiła Justyna. – W czarodziejski sposób znika jego przenikliwość i zdolność wysnuwania racjonalnych wniosków. Cień nadziei, że jego udręka się skończy, sprawił, iż przyjmował wszystko, co do niego mówiłam, niemalże jako pewnik. Podejrzewam, że mają na to wpływ wydarzenia z czasów pobytu na wojnie w Afganistanie, możliwe, że był więziony i torturowany. Z informacji, jakie udało się nam pozyskać, wynika, że od lat osiemdziesiątych nie był w tym kraju ani razu, pomimo że jego grupy najemników, a także „partnerzy biznesowi” przebywają tam nieprzerwanie od połowy lat dziewięćdziesiątych. Jest mocno zafiksowany na punkcie tamtego regionu, dlatego – jak sama się domyślam – bardzo łatwo było mu przyjąć zlecenie od J.B.W. i dlatego tak boleśnie odczuwa fakt, że został zwiedziony. (Zaznaczę, że nie wiem dokładnie, w jakim stopniu W. go oszukał, jednakże postarałam się, jak mogłam, by uwierzył, że w najgorszy z możliwych.)

Gdybym miała snuć domysły na temat przyszłości tego człowieka i jego kondycji psychicznej, zalecałabym dużą ostrożność w kontaktach. Jeszcze przed czasem mojego porwania wykazywał oznaki nie zrównoważenia emocjonalnego, o czym informowali pracownicy firm rosyjskich, z którymi współpracował. Trudno przewidzieć, w którą stronę mogą pójść jego rojenia na temat własnej wielkości, ale obawiam się, że nie zanikną. Może należałoby nie wyprowadzać go z błędu, tylko wykorzystać tę słabość i postępować z nim jak w jedwabnych rękawiczkach. Tylko prywatna sugestia.

Brzeziński musiał przerwać czytanie, żeby się głośno roześmiać.

– Niebywałe! Doprawdy.

– Przeszkadzam?

Premier obrócił się w stronę drzwi, skąd dochodził ponury męski głos.

– Ależ skąd! – Widok Mrozowskiego wyraźnie go ucieszył. – Niech pan siada. Nie mogłem się doczekać naszego spotkania.

Tomek zdawał się nie podzielać entuzjazmu prezesa Rady Ministrów. Zajął miejsce przed biurkiem generała Rasiaka, bo w jego gabinecie miało miejsce spotkanie, ale jego mina świadczyła o tym, że wolałby być gdzie indziej.

– Dlaczego tutaj? – zapytał, rozglądając się po pomieszczeniu.

– Głupie pytania pan zadaje. Za trzy tygodnie wybory, u mnie wszyscy nerwowi... Trudno powiedzieć, kto co sobie pomyśli na pana widok w moim gabinecie. Napije się pan czegoś?

– Nie. Co pana tak bawiło?

– Ach! – Premier uniósł kartkę. – Mail od pana koleżanki na temat Kowaliowa z instrukcjami na temat postępowania z rzeczonym łobuzem. Pan wie, że poradziła sobie z nim doskonale?

– Coś słyszałem – wymamrotał. – Czego pan chce ode mnie?

– Żeby się pan wreszcie „od-brazil” i podjął współpracę. Jest pan potrzebny, pana doświadczenie i wiedza...

– Sprawdzają się świetnie w policji.

– Która będzie miała niedługo nowego szefa. Po aferze z Łysiakiem wiele się zmieni i być może pana obecność nie będzie już tak mile widziana.

– Wie pan coś konkretnego?

– Że chcę, by pan dla mnie pracował.

Bambi prychnął i pokręcił głową. Brzeziński obrócił się znów w stronę okna i założył ręce za plecami.

– Wie pan, dlaczego podjąłem współpracę z pana grupą? – zapytał, wpatrując się w stalowe chmury nad miastem.

– Bo namówił pana Muszyński.

– Tak, to prawda. Ale nieodżałowany Muszyński przekonał mnie konkretnymi argumentami. Opowiedział mi o was, o panu, pana kolegach z GROM-u... – Spojrzał na Bambiego. – O powodach, dla których odeszliście.

Wzrok Tomka wyrażał w tym momencie nieco większe zainteresowanie.

– Wie pan, w przeciwieństwie do mojego wnuka, nie jestem wierzącym człowiekiem. Jednak moja pewność, że Bóg nie istnieje... a w zasadzie, że nie ma czegoś takiego, jak odwieczna Mądrość i Dobro, zaczęła chwiać się w posadach, gdy odkryłem w człowieku istnienie niebywalej cechy. Są ludzie, a ja się do nich zaliczam, którzy wywodzą się z miejsc, gdzie działy się tylko złe albo bardzo złe rzeczy. Z założenia więc i my jesteśmy predestynowani do czynów złych i bezmyślnych. A jednak... Jest jakiś pierwiastek, którego nie zabije żadne środowisko ani tresura, jedna chwila, jedna myśl, przedzierająca się przez mroki umysłu, jak ten promień, który widać spomiędzy chmur. Ta myśl to logika. Widzę, że coś nie pasuje w tym, na co patrzę i, choć wszyscy wokół mówią, że taki jest porządek rzeczy, ta myśl nie daje mi spokoju. Zagadką pozostaje dla mnie, dlaczego niektórzy zasłaniają ten promień i, na przykład, zostają w jednostce, która robi z nich debili, a inni idą za nim i nie godzą się na bycie zabawkami w czyichś rękach.

Tomek uśmiechnął się pod nosem.

– I z takimi ludźmi chcę pracować – dorzucił konkluzję Brzeziński. – Którzy widzą rzeczy takimi, jakie są, a gdy widzą, to reagują.

– Zostając najemnikami – dodał z sarkazmem Bambi.

Premier roześmiał się cicho.

– A jak się pan czuł, kiedy opuszczał pan tę sławetną formację? Panie Mrozowski, idzie o poczucie sprawiedliwości i uczciwość, i ja to rozumiem. Wiem doskonale, jaką drogę musieliście pokonać, jako żołnierze, by się tam dostać. Wojsko Polskie nie dało wam nic. Sami opłacaliście kursy spadochronowe, walki wręcz, sami kupowaliście sprzęt, kamizelki, hełmy, z własnych pieniędzy pokrywaliście koszty rehabilitacji, jeśli zaszła potrzeba. A gdy wreszcie udało się wam osiągnąć wymarzony cel i zasilić szeregi jednostki, okazało się, że jesteście traktowani gorzej niż szweje z „zetki”. Mylę się?

– Nie – przyznał Bambi.

– Więc, jako najemnicy, uzyskaliście przynajmniej zwrot poniesionych nakładów, a ja zyskałem uczciwych rzemieślników, którzy wykonywali dobrą robotę, dzięki czemu nie byłem zależny od aktualnej sytuacji w krajowych jednostkach specjalnych. Jak pan widzi, dobrze wiedziałem, z kim pracuję. Powiem panu coś jeszcze o moim wnuku. Miłosz ma zespół Downa, podobnie jak nowo narodzona pociecha pani Dąbek. Rzecz jasna, ludzie od początku oceniali go jako głupiego, niektórzy mówili, że będzie rośliną, a nawet pasożytem... – Brzeziński wzdrygnął się, jakby poczuł fizyczny ból. – Okazało się, że to młodzieniec, który nigdy nie milczy, gdy widzi nielogiczność wokół siebie. Miesiąc przed wakacjami, na języku polskim, mieli dyktando i pani nauczycielka postawiła mu ocenę niedostateczną, ponieważ, jak tłumaczyła, nie dało się odczytać pisma Miłosza. On wtedy wstał, bo jest bardzo kulturalnym człowiekiem, i powiedział: „Mam jedenaście lat i to moja pierwsza szkoła, więc mogę jeszcze nie robić wszystkiego dobrze. Ale ty skończyłaś studia i czytać nie umiesz?”.

Bambi, choć nie chciał, zaśmiał się. Brzeziński pokiwał głową.

– Właśnie, panie Mrozowski. Logika! Pani Dąbek też źle toleruje jej brak, ale jej sposoby reagowania są nieco bardziej... hm... straszne. Mam wrażenie, iż nie do końca jest ona świadoma, jaką siłą rażenia dysponuje. Przypomina mi bardzo wymyślne urządzenie, które, jeśli się je włoży do jakiegokolwiek źle działającego mechanizmu, natychmiast wykrywa wadę i powoduje, że ten mechanizm ulega autodestrukcji. Marzy mi się umieszczenie jej w wywiadzie wojskowym – westchnął. – To byłoby wspaniałe.

– Gdyby pana pokrętna teoria była prawdziwa, oznaczałaby, że nasza grupa była dobrze działającym mechanizmem.

– Bo pewnie była – odparł ze spokojem Brzeziński. – Ale niech pan spojrzy na jednostki, w których służyła pani Dąbek, na jej byłych dowódców, na... – roześmiał się – tych, pożał się Boże, prezesów z jej firmy. Jakże ona ich urządziła!

Są do końca życia ugotowani.

– A co zrobiła, bo jakoś nie kojarzę...

– Umoczyła ich w nielegalny handel bronią i jeszcze powiedziała, że ja o wszystkim wiem. Teraz Chodziński nie piśnie słówkiem przeciw mnie.

Tomek przewrócił oczami.

– Boże! Malina... – jęknął.

Drzwi pomieszczenia zostały nagle otwarte i pojawiła się w nich wysoka, szczupła postać szefa wywiadu, Mirka Ślesickiego.

– Ojej! – Zatrzymał się w pół kroku. – To może ja później...

– Nie, nie! – Brzeziński skinął na niego. – Jesteś w samą porę.

– Ale ja mam tu... parę informacji... – Spojrzał niepewnie na Tomka.

– Mów. Pan Mrozowski wie więcej niż ty, zapewniam cię.

– Aha, chyba że... To pozwolicie, że sobie usiądę. – Zajął drugie krzesło obok Bambiego. – Mamy konflikt międzynarodowy – oznajmił.

– A z jakim krajem? – zapytał premier.

– Z Niemcami.

– Myślałem, że powiesz mi coś nowego.

– Tak... hm... Ale ten mamy szansę wygrać. Chodzi o panią Dąbek...

Tomek schował twarz w dłoniach.

– Ja pierdołę! – jęknął kolejny raz, ale po chwili podniósł głowę. – Kogo znów zabiła?

– Kowaliowa. Yy... To znaczy Niemcy tak uważają, bo Kowaliow oczywiście żyje i odpoczywa po podróży na Szaserów. Zachowuje się w miarę przyzwoicie, ale mam ludzi, którzy obserwują rozwój wypadków. Swoją drogą, przywiozła go trzech strasznie sympatycznych facetów. Umieściłem ich w mieszkaniu, które mi wskazałeś. Romek, znasz ich?

– To najemnicy z grupy pani Dąbek.

– A... Właśnie... Tak! Wołodia, zaraz po wizycie pani Dąbek w więzieniu, zaczął udawać, że źle się czuje, tak dla uwiarygodnienia naszej wersji, więc jak środek podany przez naszego strażnika zadziałał, uznano, że otruła go Justyna w czasie spotkania.

– Mają dowody? – Brzeziński nie wyglądał na zaniepokojonego.

– Nie mają, co oczywiste, ale grożą śledztwem. Chcieli ją zatrzymać do wyjaśnień, no i... w końcu nie zatrzymali. Tak tylko gadali. Tyle że jest jeszcze coś... – Skrzywił się. – Do konsula wpłynęła oficjalna skarga na panią Dąbek za jej zachowanie podczas odwiedzin u Ruska.

– Do konsula? To znaczy, że jakiś urzędnik poczuł się urażony.

– Tak, jeden ze strażników. Podobno, kiedy czekała przy bramie, powiedziała coś... niestosownego.

– No, zaskocz mnie.

– Strażnik miał przy nodze psa, owczarka niemieckiego, bo jakiego by innego? I pani Dąbek stwierdziła po niemiecku... Zacytuję. – Zerknął do teczki, którą ze sobą przyniósł. – „Śliczny piesek. Takie same mieliście w Auschwitz, prawda?” Koniec cytatu.

Brzeziński jeszcze chwilę walczył, ale Bambi od razu pozwolił sobie na bardzo głośny śmiech, który słyhać było na końcu korytarza. Ślesicki odczekał, aż jego rozmówcy dojdą do siebie i kontynuował swoją relację.

– Naczelnik był w konsulacie osobiście z tą sprawą.

– A co konsul na to? – zapytał premier.

– Konsul? Po pierwsze kończył szkołę dla dyplomatów, więc, używając wielu ładnych słów, powiedział naczelnikowi, żeby spierdalał. Po drugie zaś dziadek konsula poszedł z dymem w jakimś obozie, więc naczelnik powinien się cieszyć, że nie dostał na pożegnanie kopa w dupę. Sprawy nie będzie. Z tego, co mi wiadomo, żadne media nie chciały podnosić tej kwestii.

– Więc choć jeden konflikt wygrany – stwierdził Brzeziński. – Panie Mrozowski, niechże się pan ożeni. Może chociaż pana wybranka zgodzi się z nami pracować.

– Głupszego tekstu dawno nie słyszałem – wypalił nieco urażony Bambi.

– Dlaczego? Żona pana Bąka jest bardzo zasłużona w sprawach, którymi pan nie chciał się zajmować. Możliwe, że dobieracie sobie kobiety według jakiegoś klucza, nieodgadnionego jeszcze służbom specjalnym. Polecam pod rozwagę. Ku chwale ojczyzny.

XLIV

Szafka w biurku kapitana Kozery nigdy nie chciała się domknąć, ale tego dnia pan żandarm czuł się z tego powodu wyjątkowo porytowany. Gdyby nie panował bardziej nad nerwami, po prostu wyrwałby drzwiczki z zawiasów i wyrzucił je przez okno swojej kancelarii. Zamiast tego kopnął butem w nieszczęsny mebel i poszedł się przebrać w cywilne ubrania.

Wszystko go denerwowało. Czuł narastający gniew, podchodzący mu pod gardło, odbierający chęci do pracy w wybranym zawodzie. Pod maską gniewu był lęk – o swoją rodzinę, jej bezpieczeństwo i spokój – ale też zawód z powodu nieudolnego systemu, pozwalającego na wypuszczanie z więzień bandytów, których on całymi latami chciał odizolować od społeczeństwa.

Przed południem z aresztu przy Młyńskiej zwolniono Jaskółę. Jako powód podano niewystarczające dowody przeciwko niemu i niedociągnięcia w prowadzeniu śledztwa przez policję. W rozmowie telefonicznej prokurator powiedział wprost:

– Chcę uniknąć późniejszych oskarżeń i spraw o odszkodowanie. Znajdźcie na niego coś naprawdę mocnego, to pogadamy.

A kto ochroni moją rodzinę? – myślał rozżalony Kozera, zdejmując mundur.
– Przecież ten gnój będzie się mścił...

W spodniach, które wrzucił do metalowej szafki, zabrzączał telefon.

– Cholera! O mało o nim nie zapomniałem – mruknął, po czym zerknął na wyświetlacz. – Badecki?

– Jesteś w pracy? – zapytał bez zbędnych powitań aspirant.

– Jeszcze jestem, ale właśnie wychodzę.

– To dobrze. Czekam w samochodzie przed bramą.

– A co się stało?

– Chodzi o Jaskółę.

Mięśnie Kozery napięły się mocno.

– To znaczy?

– Powiem, jak wyjdiesz. Jesteś potrzebny.

Badecki nie przyjechał sam. Maciek od razu zorientował się, że, choć ubrany po cywilnemu, był na służbie.

– Co znowu narozrabiał? – Nie krył zdenerwowania, kiedy zajmował miejsce z tyłu auta.

– Tak, narozrabiał... – odparł aspirant, krzywiąc się do kolegi, który siedział za kierownicą.

– Gdzie jest?

– Właśnie tam jedziemy. Misiek, włącz koguta. Nie będziemy tracić czasu.

Kozera od razu wiedział, że jadą w stronę Młyńskiej, ale nie dopytywał o szczegóły, bo policjanci wyraźnie się spieszyli. Kolega Badeckiego zaparkował przy placu Cyryla Ratajskiego, gdzie zgromadził się spory tłum gapiów. Maciek wyteżył wzrok i dostrzegł, że Młyńska została zamknięta przez policję.

– Co tam się stało? – zapytał, opuszczając auto, ale aspirant nie odpowiedział, tylko dał znak ręką, by iść za nim.

Przecisnęli się przez tłumek snujących domysły ludzi, minęli policjantów pilnujących porządku i skierowali się w stronę jednej z bram, przy której stał patolog. Wtedy w Kozere wstąpiła nadzieja, że oto wypuszczony z aresztu Jaskóła dokonał zbrodni i że będzie go można za nią zamknąć na wieki wieków...

– Fajnie, że chociaż ty jesteś – westchnął lekarz na widok Badeckiego.

– Prokuratorowi się nie spieszy.

– Wiesz coś konkretnego? – zapytał policjant.

– Sporo. – Skinął głową i spojrzał na Kozere. – Pan jest z żandarmerii, prawda?

– Tak.

– Chodźmy tam. Powiem, co wiem, i pojedę, bo mi drugi trup nad Wartą stygnie. Przekażecie prokuraturze dobre wieści.

Kapitan był przygotowany na widok trupa, ale niekoniecznie trupa chorążego Jaskóły.

– To... on – wydusił z siebie po dłuższej chwili przyglądania się zmasakrowanej twarzy.

– Tak – mruknął Badecki. – On. Ktoś pobił go na śmierć.

– Kilku sprawców – dodał patolog.

– Kiedy zmarł?

– Myślę, że ze dwie, trzy godziny temu. Leżał tutaj dość długo. Z tego, co wiem, sporo osób go minęło, głównie mieszkańców, ale każdy myślał, że to jakiś pijak. Zdeptali przy okazji wszystkie ślady... W sumie nie leżał, tylko był oparty o tę ścianę i wyglądał, jakby spał. Widziałem ślady krwi na ścianie, na wysokości twarzy, co oznacza, że dopadli go i bili na stojąco, aż stracił przytomność. Nie powiem tego na pewno, ale... jestem zdania, że bito go tak, żeby zabić. Nawet gdybyśmy znaleźli go wcześniej, nie dałoby się mu pomóc. Mogę się dziś założyć o skrzynkę piwa z moim kolegą, że jak go rozkroi, to zobaczy rozległy wylew podpajęczynówkowy.

Badecki spojrzał na Kozere.

– Na co ci to wygląda?

– Na klasyczny wyrok. Czekali na niego, aż wyjdzie z aresztu, i zabili...

Ale... – Pomasował szczękę. – Cholera! Tak w biały dzień? W centrum miasta? To wygląda na coś bardzo osobistego. Bili go na stojąco, więc pewnie chcieli, by na

nich patrzył. Mówili coś do niego... – Rozejrzył się wokół. – Świadkowie?

– Jest jakiś pijaczek w parku, który mówi, że ich widział, jak wychodzili z bramy – powiedział kolega Badeckiego. – Ale opis nic nam nie mówi, poza tym, że byli dobrze ubrani. Facet nawet nie umiał powiedzieć, czy było ich trzech, czy czterech. Nic mu nie zginęło, więc to nie rabunek. Później sprawdzimy zapis z kamer.

– A może ktoś słyszał, co się tu działo? – Kozera ruszył w stronę podwórka i zadarł głowę do góry. – Może ktoś miał otwarte okno?

Aspirant podszedł do niego.

– Maciek, bili go na widoku. Gdyby był świadek, który chce mówić, już byśmy z nim rozmawiali.

– Po co mnie tu ściągnąłeś? – Kozera pokręcił głową. – Skoro zdajesz się mieć wszystkie odpowiedzi.

– Nie złość się. Chodzi mi o to, żebyś się zastanowił i powiedział mi, kto i co przychodzi ci do głowy, kiedy widzisz Jaskółę w takim stanie? Ty ganiałeś za nim najdłużej, wiesz, komu deptał po odciskach, a kto jemu... Znasz na pamięć akta jego spraw.

– Posłuchaj mnie. – Kozera nachylił się nad twarzą Badeckiego. – Ludzie, z którymi zadzierał Jaskółę, nie urządziliby go w ten sposób. Parę nazwisk przychodzi mi do głowy, ale gdyby to byli oni, wykończyliby go inaczej, gdzie indziej... To nie były zatargi prowadzące do śmierci. Dostałby w łeb kijem, złamałby mu rękę albo nogę, ale to wszystko. Wiesz, co przychodzi mi do głowy, gdy widzę go tutaj w takim stanie?

Badecki pokręcił głową.

– Służby. To wygląda jak działanie bezpieki, a nie zwykłych bandytów.

– Jaskółę zadarł ze służbami? – zapytał szeptem Badecki.

– Jeśli tak, to ja nic o tym nie wiem – odparł.

Aspirant obejrzał się w stronę kolegi, który rozmawiał nad ciałem z przybyłym właśnie prokuratorem, po czym złapał Kozere za łokieć i pociągnął w niewidoczne dla ich oczu miejsce.

– Kozera, co ty pierdolisz? – wycodził. – A czym zajmowaliśmy się w Warszawie?

Maciek potrząsnął głową.

– Wiem, ale...

– Trzeba zadzwonić do CBŚ, do Kotowicza.

– A co jedno z drugim ma wspólnego?

– Rozumiem, że teraz jesteś najszczęśliwszym człowiekiem w całej Wielkopolsce, bo Jaskółę gryzie ziemię i możesz spokojnie wrócić do łapania pozostałych drani, ale nie możesz udawać, że coś tu bardzo nie pasuje. Przez cały pobyt w Warszawie uważaliśmy, że to ludzie ze służb trzymają jego stronę, a ty

teraz mówisz, że wygląda ci to na ich robotę.

– Może się pomyliliśmy.

– To tym bardziej trzeba zadzwonić i o tym powiedzieć. Ogarnij się. Odwieziemy cię na Bukowską, a ty pomyśl, czy nie wykręcić wieczorem do kolegów ze Stolicy.

– Wrócę sam – powiedział cicho, jakby zrezygnowany. – Zadzwonię do Kotowicza w drodze na tramwaj.

XLV

– Ten dom to wariatkowo – zżymał się Łukasz, zamykając z impetem drzwi za rodzicami. Poszedł na górę do sypialni, gdzie Justyna karmiła Marikę.
– Oszaleję z nimi.

– Co, kochanie? – Justyna podniosła głowę.

– Mówię, że oszaleję z tymi ludźmi.

– Z rodzicami?

– Ze wszystkimi. Czuję się, jakbyśmy mieszkali w miejscu publicznym, dostępnym dla każdego, kto zechce wpaść. Moi rodzice, twoi koledzy, moi koledzy... Po co my w ogóle wyjeżdżaliśmy z tego Kabulu? Nie wiem, gdzie są moje rzeczy, bo nie ja je rozpakowywałem. Nie wiem, czy moja córka urosła, bo ciągle jest u kogoś innego na rękach.

– To akurat nie jest najgorsze – powiedziała Justyna, gładząc Marikę po główce. – Mamy z głowy najmowanie niani. Słyszałeś, jak się Zofia kłóciła ze Stefanem? – roześmiała się.

– O co? – Łukasz usiadł obok niej.

– Zofia biegła za ojcem i biadoliła: „Stefan, no! Daj mi teraz ją trochę potrzymać. Jesteś egoistą”.

– Właśnie o tym mówię. Zero prywatności.

– W tej chwili chyba nikogo już nie ma. Możesz zająć się swoimi sprawami.

– Justyna podniosła się i położyła małą w nosidełku.

– A ty wybierasz się dokądś? – Łukasz zmarszczył brwi.

– Tak. Idę do Brzezińskiego. Widziałam, że dziś wrócił wcześniej do domu.

– Po co do niego idziesz?

– Bo jesteśmy tu dwa tygodnie i jeszcze z nim nie rozmawiałam, a mam sporo spraw do obgadania.

– Bierzesz Marikę?

– Biorę. Nie krzyw się. Nie wiadomo, kiedy znów zrobi się głodna, a nie wydaje mi się, żebyś chętnie leciał do jego domu z wrzeszczącym dzieckiem.

– Nie – przyznał i rozsiadł się wygodniej na łóżku. – Wobec tego zabiorę się za sprawy biura. Masa papierologii przede mną i Mirkiem. Tylko proszę cię – nie siedź tam za długo i... A, nieważne. – Machnął ręką.

– Dobrze, kochanie, będę grzeczna – zapewniła. – Hm... Małej się nie odbiło. Mam nadzieję, że się nie zrzyga premierowi na jego dywany.

– Niech rzyga. Ja jej pozwalam. Aha! Justyna, Kot pytał, czy podejmujemy jakieś kroki w związku z tym, że ktoś się do nas włamał i wykręcił czujki.

Spojrzała na niego przez ramię.

– Tak, możemy tego kogoś wysłać na testy IQ. Jeśli ten ktoś nie odróżnił czujników ruchu od wykrywaczy dymu, to myślę, że możemy spać spokojnie, zważywszy, że ochrona Brzezińskiego obserwuje także nasz dom. Łukasz, masz problem z rodzicami, którzy są tu cały czas i wciąż ingerują w nasze życie, więc dodatkowe środki bezpieczeństwa będą cię jeszcze bardziej denerwować.

– No tak... Jak uważasz.

Justyna przykryła nóżki Mariki kocykiem, pocałowała męża na pożegnanie i wyszła z domu, czując na sobie wzrok ludzi pracujących dla premiera. Do przejścia miała zaledwie kilkadziesiąt metrów, wystarczyło minąć sąsiadującą z nimi willę i już stała przed furką Brzezińskich, która nie była zamknięta.

Otworzyła jej korpulentna kobieta z siwymi, krótko obciętymi włosami. W pierwszej chwili Justyna pomyślała, że to żona Brzezińskiego, ale zaraz z głębi domu wyłoniła się inna postać, znacznie bardziej pasująca do roli żony premiera.

– Yy... Dzień dobry... – zaplątała się, nie wiedząc, do kogo ma mówić.
– Jestem Justyna Meyer, mieszkam obok. Chciałam rozmawiać z panem premierem.

– Pani Bożeno? – korpulentna kobieta zerknęła pytająco na Brzezińską.

– W porządku, pani Jadziu. Ja się tym zajmę.

Te kilkanaście sekund dało Justynie częściowy obraz sytuacji, w jakiej się znalazła. Nikt jej po drodze nie zatrzymał, bo ochrona wiedziała, kim jest, i prawdopodobnie miała jej nie zatrzymywać w przypadku chęci odwiedzin u Brzezińskiego. Drzwi otworzyła gosposia, która знаła twarze osób wizytujące głowę rządu, ale nie Justynę, dlatego wyglądała na lekko wystraszoną. Jednak Bożena Brzezińska, całkowicie nieobecna w świadomości publicznej osoba, stanowiła nie lada zagadkę i Justyna wiedziała, że nie zazna spokoju, dopóki jej nie rozwikła.

– Dzień dobry pani – przywitała się uprzejmie Brzezińska i zajrzała do nosidełka. – Och! Jakaż ona śliczna! Niech pani wejdzie. Miłosz! Masz gościa.

Justyna poczuła się zbita z tropu.

W korytarzu zjawił się elegancko ubrany chłopiec z zespołem Downa, który podszedł bliżej, założył ręce za plecami i nachylił się z ciekawością nad Mariką. Justyna dostrzegła w jego postawie niebywałe podobieństwo do Brzezińskiego.

– Widziałeś, jaka ładna? – Bożena spojrzała na wnuka z promiennym uśmiechem.

– No. – Pokiwał głową. – Bardzo ładna.

– Ależ! – Brzezińska ocknęła się. – Pani do męża przyszła. Niech pani wejdzie dalej. Ja ją wezmę, bo widzę, że sobie śpi, to nie będzie płakać.

– Ona prawie nie płacze – odparła Justyna, idąc za gospodynią do salonu.
– Niedawno jadła, więc przez jakiś czas nie będzie miała po temu powodu.

Kiedy znaleźli się w salonie, w drzwiach prowadzących do ogrodu pojawiła

się postać Brzezińskiego, ubranego elegancko, ale z domową swobodą. Na widok Justyny zamarł bez ruchu, jakby nie dowierzał w to, co widzi.

– To pani... – powiedział, po czym spojrział na nosidełko w rękach swojej żony. – Cóż za niespodzianka! Pani mąż też nas zaszczycił?

– Nie. – Justyna podeszła i podała mu dłoń. – Myślę, że w tym momencie śpi, korzystając z chwili, gdy nikt nie skacze mu po głowie. Przepraszam, że bez zapowiedzi, ale trudno określić, jak się z panem umawiać.

– Ależ nie ma problemu. – Popatrzył na żonę, która w lot pojęła, w czym rzecz.

– Pójdziemy do pokoju Miłosza – powiedziała Brzezińska. – Wy sobie porozmawiajcie.

– Pani Justyno. – Brzeziński wskazał drzwi prowadzące do innego pokoju. – Domniemywam, że nie będzie to czysto towarzyska rozmowa, dlatego zapraszam do mojego gabinetu. Znając życie, pani Jadzia ugości nas czymś do picia, ale to bardzo dyskretna osoba. Proszę, niech pani wejdzie i sobie usiądzie. Nieźle pani narozrabiała w Niemczech. Należą się pani ode mnie wielkie gratulacje.

– E, tam. – Machnęła ręką. – Mrozowski wypomina mi, że popełniłam plagiat, mówiąc to, co powiedziałam do strażnika, bo to kwestia z jakiegoś filmu. Nie wiem. Możliwe, że tak jest naprawdę. Więc pana wnuk... – zmieniła temat.

– Tak, Miłosz jest właśnie tą osobą, która najbardziej czekała na wasz przyjazd.

– Przepraszam najmocniej, ale nie dotarło do mnie, że też ma zespół Downa, mimo że syn znajomych wspominał o nim z dziesięć razy.

– Ach, tak! Kuba – Brzeziński roześmiał się szczerze. – To dopiero historia! Miłosz nie należy do osób towarzyskich. Jacyś lekarze idioci diagnozowali u niego autyzm czy inną cholerę, a okazało się, że on po prostu jest... hm... bardzo wybredny, jeśli chodzi o kontakty z ludźmi. Wie pani, on nigdy nie rozmawia przez telefon, nawet jeśli dzwonią do niego koledzy ze szkoły czy świetlicy. Tymczasem z Jakubem rozmawia godzinami przez skype'a. Jesteśmy z żoną zdumieni.

– Ja w sumie też. Kuba to dziecko o szczególnych wymaganiach.

– I bardzo dobrze! Musieliśmy jednak nieco baczniej przyjrzeć się ich inicjatywom, żeby były twórcze, a nie destruktywne. W tym miejscu przepraszam za zniszczenia, jakich dokonali w waszym domu. To malowanie pokoju pani córki... Wystarczyła chwila nieuwagi z naszej strony, żeby wszystko wymknęło się spod kontroli. Powtórzę to, co mówiłem pani teściowi: pokryję koszty napraw.

– Nie trzeba. Widok teściowej w histerii był wystarczającą rekompensatą. Ojciec uznał, że zaczeka na nas z decyzją, co z tym zrobić, a tak naprawdę upajał się nieszczęściem żony. My zaś postanowiliśmy, że zostawimy te bazgroły, w końcu niczego nie zniszczyli. Zamalowaliśmy jedynie z Łukaszem swastyki z przewijaka.

– Coś podobnego... – Brzeziński pokręcił głową.
– Przy okazji zapytam, do kogo należał wcześniej nasz dom?
– A czemu pani pyta? Coś z nim nie tak?
– Nie, absolutnie! Ciekawiło mnie tylko, że w swojej okolicy znalazł go pan tak szybko. Mam nadzieję, że nie wywalił pan siłą jakiegoś „ubeka”, który będzie się teraz mścił na nas nocami.

– Wywalić nie wywaliłem, ale jest pani blisko. Mieszkał w nim były ZOMO-wiec, zasłużony pracownik bezpieczeństwa. Nota bene mój bliski kolega z pracy. Doszedł dość wysoko w strukturach, w nowej rzeczywistości także odnalazł się znakomicie... Jednak w życiu chodzi chyba o coś więcej i tego czegoś mu brakło. Pięć lat temu żona zastrzeliła się w ogrodzie z jego broni służbowej. Kumple z prokuratury próbowali wyciszać sprawę, ale miał trochę kłopotów. Stopniowo zaczął wycofywać się z aktywności polityczno-biznesowej, aż skapcał całkowicie. Mieszka obecnie w Starej Miłosnej w domu opieki, chociaż jest ode mnie młodszy i zawsze był okazem zdrowia, ale od niego samego wiem, że bał się mieszkać sam. Mówił, że... widzi żonę.

– Ducha? – Justyna zrobiła wielkie oczy.

– Tak. Wyobraża to sobie pani?

– Ładną nam pan miejscówkę znalazł – roześmiała się. – Ale teraz rozumiem, czemu teść ciągle przywozi księdza, żeby święcił każdy kąt. Pewnie mu pan powiedział.

– Powiedziałem, bo wierzę w szczerłość. Osobiście nie uważam, że pokazują się tam jakieś byty, ale nikt mieszkać nie chciał i dom stał pusty przez prawie trzy lata. Uważam natomiast, że mój kolega po prostu stracił rozum i dom opieki to najlepsze rozwiązanie dla niego.

– Co do żony... Muszę panu powiedzieć, że pana małżonka to przepiękna kobieta. Nigdy wcześniej jej nie widziałam, ale jestem pod wrażeniem urody i elegancji.

Twarz premiera zmieniła się. Justyna mogła przysiąc, że mężczyzna popadł w jednej chwili w przygnębienie.

– Tak... – powiedział, bawiąc się piórem. – Bożena to mój skarb. W dodatku jest moim najwierniejszym agentem wywiadu.

– Jak to? – zapytała zdziwiona, widząc, że Brzeziński nie żartuje.

– Do połowy lat osiemdziesiątych pracowała w Urzędzie Bezpieczeństwa. Była na różnych etatach, czasami nawet robiła za tłumacza rosyjskiego. Kiedy odeszła, zajęła się domem i nigdzie już się nie zatrudniała, ale pozostały jej znajomości. To niesamowite, ile można się dowiedzieć od koleżanek podczas spotkań przy kawie! Jeśli zachodzi potrzeba, umawia się z tą czy inną byłą pracownicą bezpieczeństwa albo żoną kogoś na stanowisku i wyciąga z nich, co jej się podoba. Ufają jej bezgranicznie.

– Były pracownice? I mają wiedzę o bieżących wydarzeniach?

– Pani Justyno – Brzeziński oparł się o fotel i założył ręce na brzuchu – czy pani wierzy w to, że w tym kraju zaszły jakiegokolwiek zmiany w sferze polityki i finansów?

– Nie, nie wierzę. I pewnie mi pan powie, że koleżanki pana żony nadal zajmują stanowiska publiczne albo w biznesie.

– Sama pani widzi... – Pokiwał głową. – Moja osoba w fotelu prezesa Rady Ministrów jest najlepszym na to dowodem. Gdyby cokolwiek drgnęło, gdyby komunizm upadł, ja i moi koledzy, jak ten, po którym ma pani dom, siedzielibyśmy w więzieniach, stracilibyśmy uposażenia i dobre imię. Tymczasem... Żyjemy jak pączki w maśle.

– Brzmi pan tak, jakby pan tego bardzo żałował.

– Bo żałuję – odparł cicho, ale takim tonem, że Justynę przeszedł dreszcz.

– I mierzi mnie obracanie się wśród ludzi, którzy pozbawieni są krzty logicznego rozumowania.

W głowie Justyny zapaliła się lampka. Niezrozumiała relacja Bambiego ze spotkania z premierem nagle zaczęła mieć sens.

– Jestem tym zmęczony – kontynuował. – Kolejnymi wyborami, przed którymi z największą łatwością udało się przekonać ludzi, że złe jest dobre... Wystarczyło się na chwilę wycofać, nic więcej.

– A kiedy pan doznał swojej epifanii na temat tego, co dobre, a co złe?

– Miałem swój „moment”, bardzo dawno temu. Wokół mnie było wielu takich, którzy doświadczali podobnych... wydarzeń, a jednak nic to w nich nie zmieniło. Pluto na nich, a oni mówili, że deszcz pada. – Odetchnął i spojrzał przez okno. – Dlatego szanuję Fornalskiego. Ani razu nie pękł w środku, zawsze widział rzeczy takie, jakimi są. Tyle że kosztowało go to utratę wizerunku.

– A jego brata życie.

– Tak. Zawsze jest jakaś cena. Pewnie pani nie wie, ale podczas naszego pierwszego spotkania, wtedy, gdy była sprawa z wotum nieufności, oszukał mnie.

– Fornalski?

– Tak. Skłamał, że pójdzie na współpracę. Czulem, że będzie chciał mnie sprawdzić, więc później byłem z nim szczerzy we wszystkim. On wtedy był mocno nastawiony na wygranę wyborów, na ponowną próbę przywracania właściwego porządku... Jednak za którymś razem wyciągnąłem teczki niektórych jego obecnych ludzi, pokazałem, jak głęboko sięga zepsucie, także w jego partii. Postanowiliśmy, że trzeba zabrać się do tego inaczej, od dołu, zniszczyć to, co niewidzialne dla oczu. Zrozumiałem, że nie mogę wrócić do wywiadu, bo się z tymi rzeczami nie ogarnę, muszę mieć całościowy obraz sytuacji, chociażby w wywiadzie wojskowym. Będę w tym zakresie bardzo liczył na pani pomoc.

– Wywiadu wojskowego? – Justyna skrzywiła się. – Jak niby?

– Coś na pewno pani wymyśli. Co do spraw bieżących – jak sytuacja w pani firmie?

Justyna roześmiała się.

– No, zabawnie – stwierdziła. – Przejęłam dział technologii wojskowych i już poszły pierwsze zamówienia. Firma zarobi, to pewne, natomiast nikt się raczej nie będzie chwalił, skąd są pieniądze. W Afganistanie lataliśmy na samolotach specjalsów...

– Zaraz! – Przerwał jej. – Jak to „lataliśmy”? Skąd pani miała ich maszyny?

– Yy... No... Pożyczyłam.

– Poszła pani do nich i się zgodzili?

– Nie od razu. Powiedzmy, że miałam mocne argumenty.

– Ale... Ma pani z nimi jakiś dobry układ?

– Tak, tyle że nie z dowództwem. Sierzanci wyciągnęli latawce z magazynu i działaliśmy kilka razy. To jakiś problem dla pana?

– Nie, o ile nadal będzie pani z nimi w kontakcie. Ci sierżanci mogą się nam przydać, poza tym dobrze by było, żeby nie chwalili się waszą znajomością.

– To się da załatwić, tak myślę. Bo właśnie idzie o te ich maszyny. My mieliśmy potem coś swojego, ale to był straszny chłam, za to te wojsk specjalnych – rewelacja. Zrobiłam wywiad i okazało się, że to polska produkcja, stuprocentowo. B.S.K. już w przyszłym miesiącu zainwestuje w tę firmę pięćdziesiąt milionów złotych i zostanie udziałowcem w spółce, zaś pierwsze zestawy samolotów polecą z moimi kolegami do Ameryki Południowej.

– Widzę, że wreszcie znalazła pani swoje miejsce na tej planecie. Gratulacje! Zaraz będziemy mogli wnieść z tej okazji toast dobrą herbatą, bo slysze, że pani Jadzia idzie z tacą.

Przesuwane drzwi do gabinetu otworzył Miłosz, który zaraz potem podszedł do dziadka i stanął za nim, opierając się o jego ramię.

– Kawa, herbata i woda – zakomunikowała pani Jadzia, stawiając na biurku premiera tacę z dzbankami i filiżankami. – Co kto życzy.

– Ja kawę – powiedział Miłosz, śmiejąc się do Justyny.

– Oj, chyba za młody jesteś – odparła, puszczając do niego oko. – Jak się miewa moja córeczka? Śpi?

– Aha. – Pokiwał głową. – I jest bardzo ładna. Będę się z nią bawił, jak urośnie.

– To świetnie! – Justyna nalała sobie herbaty do filiżanki.

– Moja mama mnie zostawiła – wyznał Miłosz, powodując u Justyny chwilowe zatrzymanie akcji serca. – Bo jestem chory.

– Tak, niestety mojemu wnukowi nie poszczęściło się z rodzicami tak jak waszej córce – powiedział Brzeziński, obejmując Miłosza.

– Przykro mi – szepnęła Justyna. – Nie wiedziałam.

– Córka miała wyjść za mąż za ojca Miłosza po jego narodzinach, ale kiedy okazało się, że synek jest chory, zerwali ze sobą. Z nim to nawet nie wiemy, co się dzieje. Z ojcem znaczy się... Nasza córka zrzekła się praw rodzicielskich, wyjechała na jakiś czas, wyszła za mąż i ma dwoje zdrowych dzieci.

– I nie odwiedza was? – Justyna czuła, jakby ktoś kroił jej serce na kawałki.

– Nie. Adoptowaliśmy wnuka z żoną. Miłosz trzyma dokumenty adopcyjne oprawione w ramki obok tych kościelnych papierów.

– Dziadek, to z Komunii – poprawił go Miłosz.

– Tak, tak, wiem – roześmiał się. – Wnuk jest niebywale wierzący; nawet Fornalski nie bywa w kościele równie często co on. No i jest naszym oczkiem w głowie. Człowiek myśli, że już nic dobrego go nie czeka, a tu zjawia się taka niespodzianka i wszystko wygląda inaczej.

– I zawsze z tobą będę! – Miłosz objął Brzezińskiego za szyję.

– No, chciałbym. Dorośniesz, pójdiesz do pracy i tyle będziemy cię z babcią widzieć.

– To pójdę do babci. Zobaczę, czy Marika śpi.

– Tak, idź. I zasuń drzwi.

Justyna przez chwilę nie była w stanie nic powiedzieć. Upiła łyk herbaty i odstawiła filiżankę.

– Nie mówi do was „mamo” i „tato” – zauważyła. – Mimo adopcji.

– Nie. Uważamy, że zdrowiej jest, jeśli żyje się w prawdzie, nawet jeśli jest przykra. Ludzie są czasem zszokowani, kiedy Miłosz otwarcie opowiada o sobie i o tym, że został porzucony, ale przecież takie są fakty, nic ich nie zmieni.

Justyna pokiwała głową.

– Ja akurat zbyt dobra w mówieniu prawdy nigdy nie byłam. W mojej rodzinie ważne były pozory, udawanie, tradycja... Nawet kosztem zdrowia.

– A jak teraz się wam układa z mężem? Proszę nie odpowiadać, jeśli to zbyt niedyskretne pytanie.

– Jest różnie, a ja ciągle mam problem z faktami i mówieniem o nich, co Łukasz ma mi za złe. Ale jego historia jest również pełna niedomówień, więc łatwiej mi zrozumieć, dlaczego się zeszliśmy. Teraz jednak, po Afganistanie, wszystko zmieniło się nieodwracalnie. Ludzie wokół nas nie rozumieją tego, co tam przeszliśmy. Drzwi naszego domu nie zamykają się, bo ciągle ktoś przychodzi, w tym moim koledzy z grupy, a mimo to tylko my dwoje wiemy, co się z nami dzieje. Mój mąż przeszedł próbę ognia, bo od chwili gdy mnie porwano, nie zaznał spokoju. Cios za ciosem, lęk o moje życie, mierzenie się z prawdą, zamach, w którym zginął jego kolega, potem nasza ucieczka, choroba córki... Widzi pan, od kiedy wyjechałam do pracy w charakterze najemnika kilka lat temu, nigdy nie byłam sama, zawsze był ktoś obok, kto niósł część moich ciężarów. Przywykłam do tego tak bardzo, że uciekłam do swojej grupy, kiedy Łukasz zaczął szwankować

jako mąż... Znów chciałam być noszona na rękach, chciałam być podziwiana i kochana. Obecnie nosi mnie na rękach i podziwia on, mój mąż, ale to sprawia, że obarczony jest ogromnym ciężarem i nie każdy to widzi, zwłaszcza jego rodzice. Mój teść chował go w etosie mężczyzny dzielnego i niezłomnego, bez narzekania i chwil słabości, ale kto to udźwignie? Nie po takich przejściach. Wczoraj pogoniłam teściów z domu, mówiąc, że jeśli jeszcze raz zechcą nocować, wymienię zamki i kupię psa.

– Słusznie – roześmiał się premier.

– Jutro przyjedzie mój szwagier i ufam, że wesprze mnie w tych działaniach, bo oni nie pomagają, tylko nas denerwują.

– Tak, rozumiem. Potrzebujecie побыć trochę ze sobą i swoimi przeżyciami. Ze swojej strony oferuję wszelką pomoc w tym zakresie. Gdyby trzeba było użyć środków przymusu bezpośredniego, tak zwane ŚPB, jestem do dyspozycji.

Justyna uśmiechnęła się.

– Przepraszam, że się tak rozżaliłam, ale skoro pan zapytał...

– Pani Justyno, pani spokój leży w moim interesie i w interesie przyszłości naszego państwa. Co do państwa i... pani męża – bardzo liczę na współpracę. W przyszłym tygodniu biuro pana Meyera dostanie zlecenie od pewnej prywatnej firmy na odnalezienie byłego oficera GROM-u, który ma pewne problemy emocjonalne...

– Ma żółte papiery?

– Coś w ten deseń. Jestem przekonany, że odpowiednia opieka medyczna pozwoli przywrócić go społeczeństwu na tyle, że zdoła pomóc nam w naszych działaniach. Trzeba go tylko poszukać.

– Musi pan pogadać z Łukaszem. – Justyna skrzywiła się. – Nie pozwoli mi się mieszać do jego biura.

– Ale myśli pani, że się zgodzi?

– A co powiedział panu w Niemczech?

– Nie był do końca przekonany, ale to pewnie z tego powodu, że nie darzy mnie ciepłymi uczuciami. Mam nadzieję, że do tej pory mój wizerunek poprawił się.

– OK. W razie większych oporów, będę z nim rozmawiać.

– Świetnie! A jak się miewają pani koledzy? Gotowi do współpracy?

– Nawet bardzo. Mam trochę obaw odnośnie jednego z nich. Fantastycznie zajmuje się naszą córką, ale do ludzi to on się nie nadaje. Trudno powiedzieć, ile osób zabił, ile okaleczył, kogo wpędził w chroniczną nerwicę. Zero społecznych norm, zero oglądy...

– Mówi pani o którymś z moich ministrów, czy ogólnie o parlamencie? Pasuje mi tu kilka nazwisk. – Brzeziński był ubawiony. – Niech się pani nie przejmuję; myślę, że nie mógł lepiej trafić. A reszta? Pan Bąk wygląda na

otwartego na propozycje człowieka.

– Tak, z Kostkiem będzie dobrze. Reszta też się ogarnie. Mieliśmy do tej pory szpiega w GROM-ie, tego, którego romanse nam zaszkoziły.

– A, tak. Mrozowski wspominał. Co z nim?

– Czy mamy go zostawić na tym... „etacie”?

– Jak najbardziej. Takie były metody operacyjne Muszyńskiego i bardzo mi się podobały. Wszędzie jakiś szpieg. Niech pani dogada się z tym sierżantem od samolotów i pomyśli nad innymi jednostkami specjalnymi. A co z Afganistanem? Miała pani jakieś wiadomości?

– Na razie utrzymuje się stan chwiejnej stabilizacji. Rosjanie chcieli związać żagle po tym, jak skontaktował się z nimi Kowaliow, i jechać do Syrii, ale moja koleżanka odwiodła ich od tego zamiaru.

– Dlaczego?

– Dlatego że Saudyjczycy to niepewna grupa, nie wiadomo, kogo niosą na swoich plecach do regionu. Wiemy na pewno, że są wśród nich Kuwejtczy, ale i Libijczycy, Egipcjanie i cała masa ludzi niewiadomego pochodzenia. Angie chce, żeby Ruscy stanowili przeciwwagę dla ich wpływów.

– Rozsądne posunięcie.

– Mafia Wołodii trzyma sporo sprzętu na chodzie, który nie powinien pozostać bez nadzoru, a który może być użyty w awaryjnej sytuacji. Amerykanie uważają, że to sprzęt regularnej armii, w dodatku szrot... Polecili tam go nawet obejrzeć, ale co oni wiedzą? – Wzruszyła ramionami. – Kiedy wojska NATO wykruszą się, mamy nadzieję, że ta chwiejna stabilizacja się utrzyma i że będzie można dalej robić interesy z miejscowymi. Nie uda się to, jeśli do głosu dojdą ekstremiści religijni albo jeśli któreś z państw znów nie zechce mieć przewagi militarnej w regionie. Talibowie strasznie tłuką się między sobą, ale większości z nich bardziej zależy na stałym dopływie gotówki niż na przestrzeganiu szariat. Do tego potrzebują władzy.

– Pani znajomi mają wśród nich jakieś kontakty? To znaczy u talibów.

– Tak – uśmiechnęła się. – Biznesowe.

– Rozumiem. – Skinął głową.

– A pan? Jak chce pan zapewnić finansowanie swoich planów? Orłem z ekonomii nie jestem, ale widzę, że to operacje liczone w milionach.

– Wie pani, co moi koledzy ze służb bezpieczeństwa tak zwanej „minionej epoki” robią, kiedy ktoś w końcu wykopuje ich z polityki?

– Idą w biznesy.

– Właśnie. Wszystkie drogi w stolicy, wszystkie centra handlowe, korporacje, spółki węglowe i inne kury znoszące złote jaja należą w jakiejś części do tych ludzi. Albo należały i przyniosły im krociowe zyski po sprzedaży. Ja sam nie mam nigdzie udziałów, bo nikt mnie z polityki nie wykopał, jak sama pani

widzi, ale mam rzeszę kumpli, którym pomagałem, jak mogłem, przez ostatnie dwadzieścia lat... nieoficjalnie.

– I ma pan na nich haki. – Justyna zamrugła z wrażenia powiekami.

– Różnie – wyznał, uśmiechając się pod nosem. – Efektem jest finansowanie, tyle że nikt z nich nie wie, na co przeznaczam pieniądze, bo jeden nie wie o drugim, trzecim i tak dalej... Każdy z nich za to myśli, że teraz, skoro odchodzę z polityki, będę się w tych pieniądzach pławił albo sam rozkręcę jakiś interes. Po to zrobili mnie premierem – żeby zdyskredytować i odsunąć.

– Widział pan ostatnie sondaże? Jest pan po prezydencie drugim ulubionym politykiem. Coś chyba poszło nie tak.

– Eh... – zachnął się. – Sondaże. Wie pani, czemu stoję tak wysoko? Bo nie przepuściłem dwóch ustaw podnoszących podatki, w tym katastru. Pani Justyno, ja się na tym naprawdę nie znam, ale to byłoby nieprzyzwoite.

Justyna rozejrzała się po gustownie urządzonym gabinecie.

– Muszę już iść – zaczęła niepewnie. – Mała zaraz się obudzi, trzeba ją nakarmić... Ale chodzi o to, że powód mojej wizyty jest zupełnie inny.

– Tak? – Premier uniósł brwi.

– Tak... Nie wiem, czy kojarzy pan osobę nadkomisarz Żanety Gołąb z Poznania.

– Mm... nie bardzo.

– Strzeliła sobie w łeb po moim porwaniu, kiedy zostawił ją mąż.

– A, rzeczywiście! I co z nią?

– Z nią wszystko w porządku. Chodzi o kulach, ale, co ciekawe, głowę ma ciągle sprawną, na tyle sprawną, że wykonała dwa dni temu pracę, której nie zrobiła poznańska policja. Poprosiłam ją za pośrednictwem Łukasza, żeby poszła do centrum miasta i popytała ludzi o pewne pobicie ze skutkiem śmiertelnym... – Spojrzała Brzezińskiemu głęboko w oczy. – Wzięła więc swoje kule, pojechała tam i udało jej się dowiedzieć kilku ciekawych rzeczy. Na przykład znalazła świadków, którzy słyszeli, co napastnicy mówili do ofiary. Pan wie, kim była ofiara?

Brzeziński nie odpowiedział, a wyraz jego twarzy pozostał niewzruszony.

– To chorąży Jaskóła. Jego zabójcy, kiedy kopali go i bili kijami, zarzucali mu donosicielstwo, współpracę z władzami i zeznania obciążające jego kolegów. Tyle że – wiemy to z całą pewnością – Jaskóła na nikogo nie donosił, nie współpracował z policją ani żandarmerią w zamian za wcześniejsze zwolnienie czy obniżenie kary. Pomyślałam więc sobie, że ktoś mógł to jego napastnikom zasugerować.

Zapadła cisza.

– Mogłem coś nieopatrznie palnąć przy ministrze obrony narodowej – powiedział lekkim tonem Brzeziński. – Wymknęło mi się jakieś pytanie o tę sprawę. Nie kojarzę teraz szczegółów.

– Aha... – Justyna westchnęła. – To ja już pójdę.

– Odprowadzę panią. – Premier poderwał się z fotela. – Pani córka pewnie jest z moją żoną u Miłosza.

Justyna podeszła do drzwi, ale nagle zatrzymała się i odwróciła w stronę Brzezińskiego.

– Tak sobie pomyślałam... Mówił pan o wywiadzie wojskowym.

– Tak? – Premier wyglądał na wielce zainteresowanego.

– Ludzie z mojej firmy, to znaczy z B.S.K., znaleźli pod Bydgoszczą małe przedsiębiorstwo, prowadzone przez kilku bardzo zdolnych inżynierów. Robili początkowo jakieś wynalazki dla rolnictwa, ale mają też w zanadru pomysły militarne. Wymyślili „inteligentne moździerze”, cokolwiek to jest. Wie pan... Najciekawsze jest to, że pozyskali za granicą klientów i już podpisałiby kontrakty, tyle że...

– Mają problem z koncesją.

– Dokładnie!

– Ponieważ w „wolnej Polsce” zezwolenie na handel bronią mogą dostać jedynie pracownicy służb z poprzedniej epoki i to tacy, którzy siedzą w systemie naprawdę głęboko. Młodzi inżynierowie nie mają na to szans. Ale, jak rozumiem, ma pani pomysł, jak to rozwiązać.

– Mam. Kiedy służyłam w Stargardzie, dowódcą był ten, co potem został zastępcą szefa Sztabu.

– Mhm.

– Tak, wiem, że ma go pan na celowniku. – Przewróciła oczami. – Chodzi o to, że jego dobrym kumplem był dowódca dywizji, emerytowany dziś generał, który obecnie też siedzi w biznesach. Wie pan, o kim mówię?

– Kojarzę człowieka – odparł, uśmiechając się wymownie.

– Dam panu namiar na tę firmę spod Bydgoszczy. Może uda się generała naprowadzić na ich interes, niby przypadkiem. Biorąc pod uwagę jego przeszłość i znajomości, myślę, że załatwienie koncesji nie będzie stanowiło dla niego problemu.

– O, na pewno nie!

– Kiedy kwestia produkcji moździerzy nabierze rozpędu, wkroczę ze swoim działem nowych technologii i zainwestuję w niego, a nielegalne powiązanie wywiadu wojskowego z przemysłem zbrojeniowym będzie miał pan udokumentowane w każdy możliwy sposób. Od początku do końca.

– Pani Justyno – Brzeziński uściśnił jej dłoń – nie może człowieka spotkać nic gorszego niż mieć panią za wroga.

XLVI

Kiedy wróciła z nosidełkiem na rękę, od razu wiedziała, że oprócz Łukasza ktoś jeszcze jest w domu. Wciągnęła powietrze nosem i doszła do wniosku, że jej mąż od dość dawna nie był na dole, bo woń jego wody po goleniu całkowicie wywietrzała, za to czuła dość świeży zapach przynajmniej dwóch różnych męskich kosmetyków. I jeden damski.

– Jak weszliście do domu? – zapytała Kasię Bąk, która zabierała się właśnie do parzenia kawy w kuchni.

– Ojej! Przestraszyłaś mnie. – Kasia złapała się za serce. – Kostek ma pilota do waszej bramy, a drzwi od ogrodu łatwo otworzyć – wyjaśniła, po czym otrzepała dłonie o spódnicę i wyciągnęła rękę po nosidełko. – Daj mi ją. Ciocia bardzo się stęskniła za małą królową.

– Nie masz jeszcze dość małych dzieci?

– Małych nie. Bliźniaki już się do nich nie zaliczają. Próbują chodzić, a to oznacza, że weszły w dorosłość i straciły swój rozkoszny urok. Teraz już będzie tylko gorzej.

Justyna nie zdążyła nic powiedzieć, bo czarnowłose chude stworzenie wskoczyło na nią z nienacką, owijając wokół niej ramiona i nogi.

– Przyszłaś – stwierdził Kuba. – W końcu. Wiem, jak otworzyć drzwi do twojego domu – pochwalił się. – To bardzo łatwe.

– A dlaczego Łukasz wam nie otworzył? – zapytała, odklejając Kubę od siebie.

– Dzwoniliśmy – wyjaśniła Kasia. – Do ciebie i do niego. Po którejś próbie Kostek stwierdził, że to niepokojące i musimy wejść. Okazało się, że twój telefon jest tutaj, w kuchni, a Łukasz śpi jak kamień. Nic go nie obudziło.

– Tak, jest bardzo zmęczony. A co Kostek robi?

– Pojechał po mięso na grilla.

– Co?

– Mówiłam, żeby się uspokoił, ale chodził wokół ogrodu, krzywił się i ostatecznie uznał, że to ostatnia szansa w tym roku na pieczone kielbaski z rusztu. Póki siedzimy w Warszawie, tylko u was można coś zdziałać. Myślisz, że Łukasz będzie zły?

– Trudno powiedzieć. Może nie będzie, jeśli się w końcu wyśpi. Chodźmy na górę, muszę ją nakarmić.

Justyna zajrzała do sypialni. Łukasz spał mocno, leżąc w poprzek łóżka. Przykryła go kocem, zabrała komórkę z szafki i zamknęła drzwi. Kiedy szła do pokoju dziecięcego, usłyszała męski głos, który żywo opowiadał coś Kasi.

– Żółwiu, to ty? – Weszła do pokoju i wzięła od Kasi Marikę. – Myślałam, że się całkiem do nas nie odzywasz.

– Cześć, Malinka! – Cmoknął ją w policzek. – Musiałem coś wam powiedzieć. Tobie...

– Teraz? – Usiadła w fotelu na biegunach. – Właśnie mam zamiar wyciągnąć cyca i nakarmić małą.

– Malinka, nic nie rozumiesz. Ja właśnie o tym.

– O cycach czy karmieniu? – Justyna zerknęła na Kasię, która śmiała się za plecami Żółwia.

– O jednym i drugim. Ty wiesz, że będę tatą?

– Jezu! – jęknęła. – Toś mnie zastrzelił teraz. A kto będzie matką?

– Jedna pielęgniarzka z PKW. No, z Afgana. Robiła testy na ojcostwo, bo podejrzewała kilku innych, ale... wyszło, że ja – powiedział z dumą w głosie.

– Moje szczerze gratulacje! Mam nadzieję, że to nie jedna z tych, co nas szpiegowwała.

– Nie, ona nawet nie wiedziała, jak mam na imię – wyjaśnił, wywołując u Kasi kolejne spazmy śmiechu. – Ale powiem ci, że miałem pietra.

– A to czemu?

– Bo kompletnie jej nie kojarzyłem i bałem się, że to ta brzydka. Ale nie – całkiem wygląda jest.

– Wszystko to brzmi... wspaniale, co mówisz, ale czemu akurat ze mną się dzielisz tymi nowinami?

– Chodzi o robotę. Wiesz, muszę utrzymać rodzinę.

Justyna uniosła brwi.

– Rodzinę?

– No tak, przecież nie jestem nieodpowiedzialny – obruszył się. – Muszę zająć się wszystkim, domem, dzieckiem... To kosztuje.

– I pensja oficera Wojska Polskiego to za mało?

– Z drzewa spadłaś? Jakbyś nie wiedziała. Sama edukacja pochłonie majątek. A jak urodzi się kolejne?

– Dobrze gada – mruknęła Kasia, kiwając palcem. – Nam urodziło się więcej.

– No widzisz! Kontrakt z Londynem zerwałem i dupa błada. Zostałem goły.

Justyna potrzebowała chwili, żeby zapanować nad śmiechem.

– Żółwiu... – zaczęła, nabierając powietrza. – Nie zostaniesz goły. Będziesz robił to, co dotychczas, ale kto inny cię sfinansuje.

– Naprawdę? – Żółw wyglądał na wzruszonego.

– Naprawdę. Rozmawiałam dziś o tobie ze zleceniodawcą, więc możesz być spokojny.

– Ale super! Bo wiesz... Zrobiliśmy co prawda z Charliem i Piotrem tę

„apkę” dla wojska, ale zanim coś zarobimy...

– Jaką znów „apkę”?

– No... Napisaliśmy we trzech aplikację w Afganie. Taki przyjemny programik do obsługi magazynów broni. Tutaj go nie opchniemy, bo nasza armia to... sama wiesz... – Zrobił wymowną minę. – Epoka kamienia. Ale Brytyjczycy chyba kupią. Rudy był u rodziców w Anglii, to pogadał z ludźmi.

Justyna pokręciła głową, cmokając z irytacją.

– Idź stąd, Żółwiu. Nie chcę słyszeć o twoich interesach, bo jak cię będą zamykać, to wolę z czystym sumieniem mówić na przesłuchaniu, że o niczym nie wiem.

– Ojej! Malina! – Skrzywił się.

– Idź na dół, bo Kostek wrócił z mięsem – powiedziała Kasia. – Pomożesz mu przyprawiać i rozpalać grilla.

– Dobra, idę... – mruknął i wyszedł z pokoju.

– Skąd on się tu w ogóle wziął? – zapytała Justyna, kiedy zostały same.

– Przyjechał z tym przystojnym... no... Radkiem. No i z Wiktorem.

– Boże! Znów chałupa pełna ludzi.

– Dlatego Kostek chciał tego grilla. Jest jeszcze jakiś Piotrek i mówili, że Jamal się zjawi.

Do pokoju wpadł zdyszany Kuba, który stanął nad Justyną i spojrzał na nią, jakby miał coś ważnego do powiedzenia.

– Coś się stało? – zapytała.

– Tak – odparł. – Musimy porozmawiać.

– Nie słuchaj go – powiedział Kostek, który też zjawił się w pokoju.
– Bredzi.

– Bo mama Miłosza oddała go, bo miał chromosoma – wypalił Kuba.

– No i? – Justyna, w przeciwieństwie do jego rodziców, nie wyglądała na oburzoną tym stwierdzeniem.

– Historia zna takie przypadki – powiedział przemądrzałym tonem, opierając się łokciem o łóżeczko Mariki. – To nie byłoby nic nowego, gdybyś ją oddała, bo ma chromosoma. To wiele by ułatwiło w naszych relacjach.

– Nie wydaje mi się – odparła Justyna ze spokojem. – Bo ja z tęsknoty za Mariką nie mogłabym niczego robić, na pewno nie zajmować się tobą i naszą relacją. Muszę kochać was oboje jednocześnie.

– Ale... – Kuba chciał coś dodać, jednak został powstrzymany przez ojca, który złapał go za łokieć i obrócił w swoją stronę.

– Synu, popatrz na mnie i powiedz mi coś: czy ty byś chciał, żebyśmy my z mamą oddali cię do adopcji?

Młody Bąk otworzył usta, żeby udzielić natychmiastowej odpowiedzi, ale Kostek w przypływie opamiętania położył na nich swój palec.

– Nie! Wiesz co? Jednak nie chcemy wiedzieć, co masz na ten temat do powiedzenia. Bo najwyraźniej masz wyrobione zdanie, co wcale dobrze nie wróży. Pozostańmy w błogiej niewiedzy i zejdźmy na dół.

Łukasz z wyuczoną bezradnością przyjął fakt, że pod jego dachem znów przebywa nadprogramowa ilość ludzi. Zszedł do ogrodu i natychmiast został obdarowany talerzem z karkówką i butelką piwa.

– Słabiutko wyglądasz – zauważył z troską w głosie Kostek. – Malinka mówiła, że zmęczony jesteś, to nie przeszkadzaliśmy ci w spaniu.

– Jestem dozgonnie wdzięczny – wymamrotał, wachając karkówkę. – Ktoś jeszcze przyjdzie, czy dziś kameralnie?

Gogol zachichotał.

– Widzę, że humorak dopisuje. To najważniejsze.

– Jamal wrócił – zauważył Łukasz. – Jak jego ręka terminatora?

– Mówi, że w porządku i że cieszy się, bo nie musiał z nią jechać do Stanów. Magicy w Polsce też sobie poradzili. Co do gości... – rozejrzał się – to raczej są wszyscy.

– A gdzie wasze bliźniaki? Oddaliście do adopcji, zgodnie z sugestią Kuby?

– Prawie. Demolują mieszkanie Brennerów. Kaśka uznała, że macie wystarczająco dużo na głowach, żeby wam sprowadzać do domu te dwa czołgi. A, właśnie! Graża zaprasza was na kawę.

– Wiem. – Łukasz skrzywił się. – Jakoś nam nie spieszno. Myślę, że zdążymy ich odwiedzić... kiedyś.

– Słuchaj, żabciu: wybacz ten dzisiejszy nalot, ale chciałem się trochę rozerwać na koniec naszych wakacji, zanim znów zacznie się robota. Wiesz – w niedzielę wybory... Wywożę po weekendzie Kaśkę pod Radom i już pewnie nie będzie okazji w tym roku.

– Będą jeszcze chrzciny.

– Ale wtedy nie będzie tak swobodnie. Słyszałem, że Krzysiu zjeżdża do was.

– Tak. Jutro odbieramy go z lotniska, po wizycie u kardiologa.

– Z małą jedziecie?

– Nie, z Justyną. – Łukasz westchnął. – Nie chce się badać, ale widzę, że coś jest nie tak. Przez sen dziwnie pokasłuje... Krzysiek mówił, że to może być przez serce.

– To koniecznie ją zabierz – powiedział Kostek z powagą.

– Co ten Jamal robi? – Meyer spojrzał zdumiony na jednorękiego, który siedział pod drzewem z talerzem w dłoni i usiłował bezskutecznie nabić widelcem kielbasę. W pewnej chwili, zirytowany brakiem powodzenia, wbił w mięso jeden z metalowych palców i z zadowoleniem na twarzy wsunął do ust jedzenie.

– Ja nie mogę! – Kostek znów parsknął śmiechem. – Nie wytrzymam. Muszę się schować, bo jak zobaczy, że to widziałem, zabije mnie we śnie. Idę do kuchni.

Łukaszowi nie było dane pozostać długo samemu. Jak tylko Gogol zniknął w domu, poczuł, że ktoś klepie go delikatnie po ramieniu.

– Cześć, Łukasz – usłyszał nieśmiały głos.

– O, to... ty! – Za nic nie mógł przypomnieć sobie imienia.

– Piotrek. Ten od ścieżek.

– Tak... właśnie. I jak? Widzę, że też nie zostałeś w grupie.

– Nie. Będę teraz w Warszawie. I wiesz co? Działalem jako normalny najemnik – wyznał z radością.

– No to świetnie! Ale co robiłeś?

– Przywoziłem z Bulletem i Charliem tego Ruska z Niemiec. Naprawdę było super! Udawaliśmy kogoś innego, fałszywe dokumenty... Sam wiesz.

– Tak... Adrenalina i te sprawy.

– Dokładnie! No, ale wracam do rzeczywistości i znów będę coś pisał, hakował... – Wydał usta. – Aha! Dowiedziałem się, że otwierasz biuro detektywistyczne.

– Zgadza się.

– Re-we-la-cja! Jak uzbieram trochę kasy, to też pomyślę nad własnym biznesem. Samodzielność to podstawa. Fajnie znów cię zobaczyć. – Pokiwał głową, rumieniąc się lekko. – Pójdę coś zjeść.

– Tak, smacznego... – Łukasz popatrzył na stygnącą karkówkę.

– Nie jesteś głodny, kochanie? – Justyna objęła go w pasie.

– Nie bardzo. Możesz zjeść moją porcję, wystarczy mi piwo. – Podał jej talerz.

– Mogłabym przysiąc, że Piotruś durzy się w tobie – powiedziała, trącając go łokciem. – To nie pierwszy facet, któremu się podobasz.

– Jakoś mnie to nie bawi.

– Dlaczego? Jesteś niezłym ciachem, muszę przyznać. Nie ma w tym nic zdrożnego, że geje też się za tobą oglądają.

– Za tobą oglądają się wysokiej rangi oficerowie policji – zauważył z przekąsem.

– O rany! Nie możesz przeboleć tego Brennera. Nikt mnie tak nie męczył jak on.

– Co to znaczy „męczył”?

– Ciągłe pisał te głupie wiadomości, byle pretekst był dobry. „Justyna, wiesz już coś na temat taki, a taki? Justyna, masz coś dla mnie? Justyna, Justyna...” I tak w kółko. Niedobrze mi się robiło.

– A więc to tak traktujesz swoich absztyfikantów. – Łukasz pokiwał głową.

– Prawdą jest, co mówią o tobie na mieście: że jesteś okrutna i bez serca.

– Tak, ma się tę renomę, nie? – Uśmiechnęła się znacząco. – Mięso dobre, ale przydałby się ogórek kiszony.

– Którym przy okazji nakarmisz dziecko, żeby miało ciężką kolkę.

– Oj... Nie bądź taki. Nie masz pojęcia, jak bardzo chce mi się piwa. I ostrej papryki. I pikantnej kiełbasy.

– A wy, jak zwykle, świntuszycie. – Gogol zaskoczył ich, zjawiając się za ich plecami. – Żuczki, musimy pospieszyć się z tym pichceniem, bo na zachodzie się chmurzy. Jeśli pozwolicie, przeniesiemy naszą bibkę do środka, zanim nas zmoczy deszcz.

– Czuj się jak u siebie – odparł Łukasz z nutą złośliwości w głosie. – Gdzie Marika? Może choć przez chwilę bym ją ponosił, żeby wiedziała, jak wygląda jej własny ojciec.

Gogol z Nawim skończyli piec mięso i kiełbasę, sprzątnęli grilla i kazali wszystkim iść do salonu. Łukasz zajął miejsce w wygodnym fotelu razem z Mariką, którą położył na swoich kolanach. Reszta gości rozsiadła się na kanapie i podłodze. Justyna rozmawiała szeptem o czymś z Kasią, odganiając się od Kuby.

– Romeo, sprawdź, czy nie ma cię gdzie indziej – zasugerował Kostek synowi, siadając obok Justyny. – Twoje dowody miłości są dość męczące.

Kuba zwiesił nos na kwintę i poszedł wtrącać się do rozmowy Żółwia z Piotrem.

– Jak tam, Malinka, samopoczucie? – zapytał Kostek.

– Wspaniale, biorąc pod uwagę fakt, że od wielu godzin nie słyszałam świergotu teściowej pod moim dachem. Mieliśmy tu dziś ciężką przeprawę z nią. W sumie... Stefan też się troszkę obraził.

– O co?

– O to, że oddałam im kasę za to, co włożyli w dom, dając do zrozumienia, że bardzo chcemy, by ograniczyli swoją ingerencję w nasze życie.

– Pięknie – stwierdził Kostek. – Tak trzeba robić.

– Ale wzięli te pieniądze? – zdziwiła się Kasia.

– Po wielu dąsach i kontrargumentach. – Justyna skinęła głową. – Ojciec wsunął kopertę za pazuchę i coś mamrotał, że to dla Mariczki na przyszłość. Pojechali potem na Pragę do Jacka, bo, jak mówią, tylko on ich rozumie. Na to Łukasz wypalił, że wcale ich nie rozumie, ale jest zbyt dobry, żeby powiedzieć im wprost, żeby spadali. Oczywiście to lekka przesada, bo Jacek naprawdę ich lubi, ale przynajmniej mój Meyer osiągnął swój cel i pozbył się ich z domu. Swoją drogą, Jacek potrzebuje ich o wiele bardziej niż my, od kiedy został sam. Ciocia Jola praktycznie jest u niego na etacie, tyle mają roboty.

– No popatrz. – Kostek cmoknął z uznaniem. – Kto by pomyślał rok temu, że się mu spełni jego marzenie. Byliśmy u niego raz, ale trzeba było zaraz uciekać, bo Rozpruwaczowi zbyt podobało się tamtejsze towarzystwo. Martwiliśmy się, że

zdeprawuje te biedne dzieci ulicy jeszcze bardziej.

Justyna roześmiała się.

– Tak, praca Jacka poszłaby z dymem w jednej sekundzie.

– To niestety nie jest aż takie śmieszne – powiedziała Kasia. – Czasem boję się przyszłości, kiedy na niego patrzę. A czasem... jestem pewna, że nic mu nie będzie.

– A z innej beczki – szepnął konspiracyjnie Kostek, trącając Justynę w bok.

– Twój chłop mówił, że jesteś teraz świetną żoną.

– Gogolu, ja zawsze byłam świetną żoną – odparła ze spokojem Justyna.

– Nie wiem, co mogłoby się zmienić.

– Oj, no wiesz... Powiedział z nieskrywaną satysfakcją, że miałaś trochę humorów w ciąży i to nieprawda, że jesteś taka na co dzień, jak mu to imputowaliśmy swego czasu.

– Kostek, sam słyszałeś, że mój mąż ma za sobą długą historię wypierania faktów, więc czemu teraz miałyby być inaczej? Ja nie mam zamiaru wyprowadzać go z błędu, mówiąc, że odpuściłam z humorami, bo poznałam jego smutną przeszłość i sumienie nie pozwala mi dokładać mu zmartwień.

– Słusznie! – Kasia uniosła palec wskazujący. – Nie naprawiać na siłę, żeby nie zepsuć tego, co działa dobrze.

Nagle rozmowy w salonie ucichły. Justyna rozejrzała się zdziwiona po twarzach kolegów i zorientowała się, że powodem było zachowanie Jamala, który uniósł dłoń i przyłożył ją do ust.

– Cii – szepnął.

– Co? – zapytał szeptem Kostek.

– Nie słyszeliście? Ktoś jest w ogrodzie – odpowiedział jednoręki.

Wtedy Justyna przekonała się, ile w danej chwili w jej domu znajduje się broni palnej. Każdy, oprócz niej, Kasi i Łukasza, sięgnął odruchowo po ukryty w różnych częściach odzieży pistolet, nawet Piotrek. Łukasz przytulił dziecko do piersi, zasłaniając je ramionami, a Kasia złapała Kubę i przyciągnęła go do siebie z siłą, jakiej nikt się po niej nie spodziewał.

– Sprawdź. – Jamal podniósł się z miejsca. – Zostańcie.

– Chyba rozum mu odjęło – prychnął Kostek – jeśli myśli, że tu będę siedział.

Zanim Kasia zdążyła zaprotestować, pobiegł za Jamalem na tył domu. Pozostali mężczyźni też wstali, rozglądając się uważnie wokół siebie. Nawi zajrzał za firankę, żeby sprawdzić, co dzieje się przy bramie, a Żółw podszedł do drzwi wejściowych. W pewnym momencie od strony ogrodu dało się słyszeć stłumione odgłosy, jakby szamotaniny, przesuwania przedmiotów po podłodze i kłótni prowadzonej w języku angielskim. Jednak nim ktokolwiek wykonał ruch, by biec na ratunek kolegom, w salonie zjawiała się przemoczona, ale uśmiechnięta postać

Michaela, zwanego Buletem.

– *Vot, durak!* – Wiktor wyglądał na oburzonego.

Do salonu wrócili Jamal z Kostkiem. Gogol klapnął na kanapie i pokręcił głową z irytacją.

– Nie cieszyście się? – zapytał Bullet, rozkładając ręce. – To ja.

– Dlaczego skradasz się do mojego domu? – Justyna nie wyglądała na ubawioną. – Nie możesz wejść normalnie?

– Albo zadzwonić – dodał Jamal.

– Mówiliście, że będziecie robić imprezę w ogrodzie – zaczął się tłumaczyć. – To wszedłem od ogrodu.

– Idź do łazienki się osuszyć. – Justyna pokazała na drzwi. – Nie brudź mi podłogi.

Michael zrobił, jak kazała, rzucając po drodze pod ścianę mocno wysłużoną torbę.

– Jest zjarany? – zapytał Żółw po angielsku.

– Nie wydaje mi się – odparł Jamal.

– I chciał iść na imprezę do ogrodu po ciemku, kiedy pada? – Żółw poczuł, że nie wszystko mu pasuje w zeznaniach kolegi.

Jamal uśmiechnął się.

– Dobrze, że w ogóle trafił do właściwego domu.

– Tego nie wiesz. – Nawi pokręcił głową. – Mógł w międzyczasie zrobić wjazd pod inny adres. Albo kilka. Mówił, po co przyszedł?

Jamal zerknął na Gogola, który przewrócił oczami z irytacją.

– Chce tu nocować – powiedział Kostek po polsku, patrząc na Łukasza.

– On chce tu spać? – upewnił się Meyer, wskazując palcem w stronę łazienki.

– Tak. Był u jakiejś panny na mieście, u której kimał kilka nocy, i dziś policja zrobiła nalot na mieszkanie, więc uciekł oknem i przyjechał tutaj.

– Zaraz! – Łukasz potrząsnął głową. – Jaka panna? Jaki nalot? Myślałem, że jest zakwaterowany w jednym z mieszkań, które załatwił Ziutek.

– Miał być – wyrwał się Piotrek. – Miał mieszkać ze mną i Radkiem, ale zaraz poszedł w miasto.

– Szukał prochów – domyśliła się Justyna.

– I dup – dorzucił Kostek, który w tym momencie przypomniał sobie o obecności Kuby. – Synu, możesz na chwilę nie słuchać tego, co mówią dorośli?

– Nie – odparł mały z wyrazem zachwyty na buzi. – Ale fajnie! Mogę tu też nocować?

– Nie!

– I znalazł prochy? – zapytał Rozpruwacz Piotra. – Ja wiem, co to są prochy: to narkotyki.

– Prochy to mogą być też skremowane zwłoki. – Żółw uważał, że należy to uściślić.

– I znalazł skremowane zwłoki? – padło kolejne pytanie. – Z dupami?

– Rozpruwacz, jeśli chcesz wiedzieć, co dalej, musisz słuchać, a nie przerywać pytaniami – pouczyła go Kasia. – Siedź grzecznie, to wszystko się wyjaśni. Kostek, dlaczego policja zrobiła nalot?

– Bo szukali prochów – odparł, chichocząc. – Bo dziewczyna była dupą dilerą.

– Kostek! – oburzyła się Kasia. Jednak pozostali, którzy rozumieli, o czym mowa, też zaczęli się śmiać.

– O co chodzi? – Jamal rozłożył bezradnie ręce i spojrzał na Nawigatora, który nachylił się w jego stronę, żeby udzielić wyjaśnień.

Justyna popatrzyła na męża.

– Łukasz, dowiedz się, proszę, u swoich kumpli, czy on nie narozrabiał bardziej. Żeby nie ściągnał nam na głowy kłopotów.

– Dobrze, Justyś, sprawdzę to jutro. Na dziś mam dość i widzę, że mała też jest ledwo żywa.

– Tak, pójdziemy na górę. – Justyna podniosła się. – Jak ten narkoman wyjdzie z łazienki, powiedzcie, że może tu spać. Wy także możecie sobie zostać, byle nas nie budzić.

– My też się zbieramy – zarządził Gogol, wywołując głośny protest Kuby.

Zrobiło się małe zamieszanie. Meyerowie czmychnęli z Mariką do sypialni. Bąkowie siłą wyciągnęli swojego płaczącego syna z domu i wpakowali go do auta. Nawigator i Żółw po chwili namysłu zdecydowali się jechać z Piotrem do miasta na piwo. Na miejscu został wciąż Jamal, który chciał przypilnować Bulleta i odbyć z nim poważną rozmowę. Wiktor postanowił, że wyłoży się na podłodze w nieumeblowanym wciąż pokoiku obok wejścia do domu i prześpi się, czuwając jednocześnie nad bezpieczeństwem domowników.

Okolo północy Justyna położyła nakarmioną Marikę w koszu Mojżesza i wsunęła się dyskretnie pod kołdrę, żeby nie obudzić Łukasza.

– Nie musisz się skradać – mruknął, nie otwierając oczu. – Nie śpię.

– Czemu? – zaśmiała się.

– Delektuję się ciszą. Zdajesz sobie sprawę z tego, że o mało nie doszło dziś u nas do strzelaniny, jak na jakimś cholernym westernie? Wszyscy byli uzbrojeni.

– Oprócz Kuby.

– Nie byłbym tego taki pewien – prychnął. – Gogol mówił, że jest dobrze znany ich lokalnej policji, ale już nie wyjaśnił, co mu wpisali w kartotekę. Woląłem nie dopytywać.

– Co do policji... – Obróciła się w jego stronę i oparła na łokciu.

– No? – Spojrzał na nią podejrzliwie jednym okiem.

– Powiedz mi, tak szczerze, czemu nie chcesz wrócić do służby? Tylko nie wymiguj się mówieniem o tym, że ja nie chciałam, żebyś tam pracował. I tak robisz, co sam chcesz.

– Chyba stwierdziłem, że lepiej działać jako wolny strzelec i że wolę już nie mieć nad sobą przełożonego.

– Czyli Kota?

– Nie, ogólnie...

– A ja myślę, że właśnie chodzi o niego – powiedziała, gładząc go po policzku. – Przyjaźnicie się, więc nie chciałeś mu robić przykrości, odchodząc do innej komórki. A poza tym... nie chciałeś powiedzieć wprost, że nie podobają ci się jego metody pracy.

Łukasz otworzył szeroko oczy i popatrzył na nią nieco zdziwiony.

– Czemu tak uważasz?

– Bo cię znam chyba ciut lepiej niż on. Nigdy nikogo nie uderzyłeś z rozmysłem, jeśli nie wymagały tego okoliczności, a z tego, co wiem, Kotowicz stosuje, czy też pozwala stosować przemoc. Nie dziwi mnie to, biorąc pod uwagę fakt, że sam robił za worek treningowy przez ponad dekadę. Rekompensuje sobie własne porażki, korzystając z przywilejów stanowiska, no i musi zachować twarz przed nową, młodą narzeczoną.

Łukasz westchnął i popatrzył w sufit.

– Może... może nieco się pogubił... Przyznaję, jestem trochę zniesmaczony tym, czego się dowiedziałem. Ale nie wiem, czy z tego powodu nie chciałem wrócić. Z drugiej strony... – Podłożył dłoń pod głowę. – Wiesz, Brenner tak nie postępował, a miał wyniki. A Łysiak postępował i... też miał wyniki.

– Łysiak miał wyniki, bo korzystał z „konsultacji” tego klauna... Jak on się nazywa?

– Mówisz o Stebnickim?

– Tak. Roland Stebnicki! Co to w ogóle za imię? Nasz ogólnopolski Sherlock Holmes – ironizowała. – Zesrała się bida i płacze, jak to u mnie na wsi mówili.

Łukasz roześmiał się.

– Kochanie, może i jest klaunem, ale naprawdę rozwiązał mu sporo spraw. I tak, masz rację – dzięki niemu Łysiak miał wyniki. Moja konkurencja w świecie prywatnych detektywów.

– A jak u was w biurze? Wszystko gotowe?

– Prawie. Krysia stwierdziła, że ściany trzeba jeszcze raz pomalować, więc czekamy, aż wyschną farby, żeby wnieść meble.

– Krysia? A taka była przeciwna.

– O, nie! Bardzo się zaangażowała. Wydrukowała nam ulotki. Jutro ci pokażę, wyszły elegancko. Załatwiła tabliczki na drzwi i przed wejście do

budynku, no i zniżki na reklamę w radiu. W ogóle nie spodziewałem się, że sprawi mi to tyle frajdy. Kiedyś nie wyobrażałem sobie życia poza policją i CBS...

– Bardzo się cieszę. – Ucałowała go w policzek. – I mam nadzieję, że będziecie mieć mnóstwo łatwych spraw i że nie będą do ciebie strzelać.

– I że będę wracał do domu na obiady. I co jeszcze? Strasznie się pani rozmarzyła, pani Meyer. Może lepiej zgaś światło i idź spać...

W tym momencie usłyszeli dochodzący z parteru hałas, jakby coś ciężkiego upadło na podłogę. Po chwili do ich uszu dobiegły odgłosy tłuczonego szkła. Łukasz zerwał się z łóżka i sięgnął pod materac, skąd wyjął pistolet. Justyna nie wiedziała, czy ma być bardziej zdziwiona hałasami, czy widokiem P-83 „Wanad” w ręku męża, jakiego sama używała, służąc w wojsku.

– Zostań z małą – powiedział z przejęciem. – Ja sprawdzę, co się dzieje.

– Ale... – wydusiła z siebie, kiedy Łukasza już nie było. Odrzuciła kołdrę i spojrzała na śpiącą Marikę, najwyraźniej zbyt zmęczoną, by coś ją wystraszyło. Bardzo chciała zejść na dół, żeby dowiedzieć się, co się stało, ale bez broni czuła się niekomfortowo. Ponadto przyszła jej do głowy myśl, że może ktoś ich napadł i jeśli napastników jest więcej, to nie powinna zostawiać dziecka bez opieki. Coś jednak musiała zrobić...

Po upływie kilku bardzo długich minut usłyszała, że ktoś wchodzi po schodach.

– Malina? – zawołał Bullet zachrypniętym głosem.

Wypadła z pokoju, czując, że serce podchodzi jej do gardła.

– Co się dzieje? – Złapała się kurczowo poręczy.

– Chodź na dół – powiedział, machając ręką. – Jest sprawa.

Przez ułamek sekundy wahała się, co zrobić – zostawić czy zabrać Marikę, ale dziwnie wyluzowany ton Michaela podpowiedział jej, że może dać spokój dziecku. Zawinęła się w szlafrok i zeszła na dół.

Pomiędzy kuchnią a salonem zrobili z Łukaszem jadalnię, z której wychodziło się do ogrodu. Kiedy Justyna się tam znalazła, zrozumiała, co było źródłem hałasu. Wysokie drewniane krzesła leżały na terakotowej posadzce, a wokół porozrzucone były rozbite na kawałki dzbanki i inne szklane naczynia, których użyli w czasie imprezy. Stopy miała bose, więc musiała skupić się na tym, gdzie stawia nogi, i nie od razu zauważyła, co tak naprawdę dzieje się przy drzwiach do ogrodu, ale gdy podniosła głowę, poczuła zimny dreszcz przeszywający jej ciało.

Łukasz i Jamal mierzyli ze swojej broni do przyklejonego do szyby Siwego. Wiktor trzymał w dłoni nóż, ale jego mina świadczyła o lekkim zdezorientowaniu, a nie chęci obcinania jakiegokolwiek części ciała. Tylko Bullet wyglądał na kogoś, kto aktualnie przebywa na innej planecie. Rozczochny Latynos pomasażował się po brzuchu, kiwając w przód i tył, po czym spojrzał na Justynę i uśmiechnął się.

– Fajna impreza – stwierdził.

Justyna odzyskała zdolność myślenia i działania. Odepchnęła Michaela i podeszła do Łukasza.

– Co się tutaj, kurwa, dzieje? – wyszczała po polsku.

– Dobrze, że jesteś – odparł. – Może tobie uda się dowiedzieć, dlaczego ten człowiek włamał się do naszego domu. Bo, jak na razie, jego tłumaczenia są stekiem bzdur.

– Justyna... – jęknął Siwy. – Wysłuchaj mnie.

Kobieta położyła dłoń na broni Łukasza i skierowała ją ku podłodze.

– Słucham – powiedziała do bladego jak kreda Siwego. – Chociaż nie wiem, co mogłoby sprawić, że twoja sytuacja ulegnie poprawie. Zdajesz sobie sprawę z tego, że możesz nie wyjść żywy z gówna, w którym właśnie się znalazłeś, i że nikt nigdy nie dowie się, co się z tobą stało?

– Tak. – Kiwnął głową i przełknął ślinę.

– To ty wykręciłeś czujki?

– Tak, to ja.

Justyna przewróciła oczami i popatrzyła na niego z politowaniem.

– To były czujniki dymu, gamoniu. Jeśli dom ma ochronę, to na płocie jest tabliczka firmy ochraniarskiej.

– Aha... – Zamrugął powiekami. – Nie... nie wiedziałem. Byłem w stresie, kiedy znalazłem wasz dom.

– DeeDee? – Jamal zaczął się niecierpliwić.

– Możesz opuścić broń – powiedziała. – Nie jest niebezpieczny, tylko głupi. Ale nie wiem jeszcze, po co tu przyszedł.

– Ja chciałem wam wyjaśnić całą tę sytuację. – Siwy zwrócił się do Jamala. – Musicie wiedzieć...

– Pytałem się ciebie, dlaczego zaatakowałeś Wiktora w Batumi? – Jamalowi znów podniosło się ciśnienie. Ruszył na Siwego i przycisnął go do drzwi.

– B.B., czekaj! – Justyna złapała go za ramię. – Udusisz go, zanim powie.

– Powiedział. Same bzdury.

Wiktor podszedł do jednorękiego i poklepał go po plecach.

– Bracie – wyszeptał po angielsku. – To nie on.

– Co? – Jamal obejrzał się. – Co ty mówisz?

– Nie on – powtórzył Wiktor, robiąc dłonią gest podcinania gardła na swojej szyi.

– Nie? – Jamal skrzywił się i odsunął od Siwego, który zaczął kaszleć.

– Mówiłem... mówiłem przecież... – Siwy próbował złapać oddech. – To ja zadzwoniłem po karetkę i dałem Wiktorowi ręcznik, żeby ucisnął ranę. Ja... ja też zostałem zaatakowany, w brzuch. – Na dowód podniósł koszulkę i pokazał ślad po nożu tuż pod żebrami. – Chodzi o to, że ja wiem, kto nas zaatakował.

– No! – Justyna pokiwała głową z zadowoleniem. – W końcu mówisz z sensem.

– Więc mów! – rozkazał Jamal.

– Nie tutaj. – Justyna chwyciła Siwego za połę jego kurtki i pociągnęła za sobą. – Usiądziemy w salonie. Nie jesteśmy bohaterami taniej opery mydlanej, żeby stać w każdej scenie. Bullet, przydaj się do czegoś i posprzątaj tutaj trochę.

W salonie pchnęła Siwego w róg kanapy, a sama usiadła na boku fotela i spojrzała intruzowi prosto w oczy.

– Opowiadaj tę swoją historię. Może ją kupimy.

Mężczyzna wyprostował się i poprawił mokre od deszczu ubranie.

– To powiem wszystko od początku – zaczął, zerkając na Jamala, który wcale nie miał zamiaru siadać. – Zgłosiłem się do waszej grupy jako kret...

Jamal zaczął miotać się i kląć pod nosem.

– B.B., usiądź na dupie i bądź cicho przez pięć minut – powiedziała Justyna.

– Kontynuuj. Gdzie wcześniej pracowałeś? To znaczy, kto dał ci takie zlecenie?

– Pewnie Rosjanie – wyrwało się Jamalowi.

– Nie! – Siwy pokręcił głową. – Byłem w grupie amerykańskich najemników, tych, co się odłączyli od Blackwater pięć lat temu.

– U tych „My Little Pony”? – zarechotał Bullet, który zjawił się w salonie z butelką piwa w dłoni. – Ale jaja!

Justyna zamknęła oczy, licząc do dziesięciu. Zaczęła się obawiać, że jeszcze chwila i kogoś zastrzeli. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, jak Wiktor wrywa butelkę z ręki Michaela i trzepie go z liścia przez łeb.

– *Paszol!* – Ukrainiec wypchnął Buleta z salonu i upił łyk piwa.

– No dobrze... – Odetchnęła głęboko. – Byłeś u nich na jakimś jednorazowym zleceniu czy jako etatowy żołnierz?

– Etatowy – mruknął. – Zaciągnąłem się po studiach. Trochę z nimi pojeździłem, aż przyszło to zadanie... Powiedziano mi dokładnie, do jakiej grupy mam się zgłosić i co mam zrobić.

– Co miałeś zrobić?

– Dopilnować, żebyście wszyscy zginęli, zwłaszcza... ty.

Jamal usiadł w końcu i opadł na oparcie kanapy.

– DeeDee... Kandahar – powiedział cicho. – Mieliśmy wpaść w zasadzkę.

– To nie był tylko Kandahar. – Siwy machnął ręką. – Chodzi o to, że ja nie wiedziałem, że chodzi o ciebie. Powiedzieli mi, że w grupie będzie kobieta i że jest celem, ale że mam działać tak, by nikt nie wiedział, że ma zginąć... Justyna... – przeszedł na język polski – nie miałem pojęcia, że to ty, naprawdę! Byłem pewien, że nie żyjesz, bo widziałem wiadomości o twoim porwaniu. Przecież... jak ja cię zobaczyłem wtedy w Kabulu, jak siedzisz z tą swoją miną naburmuszonej księżniczki, pomyślałem, że mam przywidzenia. Dobrze, że był ze mną Warzywo,

więc przynajmniej wiedziałem, że to prawda.

– Właśnie, Warzywo... – Uniosła brwi. – On też był w to wmieszany?

– Nie. On nic nie wiedział o mojej poprzedniej grupie. Ściągnąłem go do Afgana prosto do was. Potrzebowałem kogoś znajomego, żeby to przetrwać.

– Więc powiedz, co się stało w Batumi. Po angielsku!

– Namierzyli mnie. – Spojrzał na Jamala. – Byliśmy w Gruzji, ale ludzie ode mnie wiedzieli, gdzie jestem, bo miałem włączony telefon. Musiałem go włączyć, żeby powiedzieć, że zrywam umowę, bo część waszej grupy utopiła się w Amu i moje zadanie zakończone.

– To dlaczego ci nie uwierzyli? – zapytał Jamal.

– Myślę, że uwierzyli, inaczej zabiliby was wszystkich. Jeden z ich hitmanów przyjechał do Batumi i czekał na mnie w hotelu, w moim pokoju. Teraz rozumiem, że i tak by mnie zlikwidowali po wykonaniu zadania... Traf chciał, że kiedy wchodziłem do pokoju, przypomniałem sobie, że mam dla Wiktora papierosy, o które prosił, więc wyszedłem i zostawiłem otwarte drzwi. Zabójca poszedł za mną. Tak mi się dziś wydaje...

Jamal popatrzył na Ukrainca pytająco.

– To prawda?

– Tak. – Wiktor skinął głową. – Miał mi kupić papierosy. To pamiętam.

– Coś jeszcze pamiętasz z tego dnia?

Wiktor wydał usta i zmrużył oczy, zastanawiając się intensywnie.

– Siwy zapukał... Wszedł... Za nim... za nim wszedł taki wysoki. Myślałem, że to Nawigator, ale on miał nóż i poszedł na Siwego. I tyle pamiętam.

– Stracił wtedy dużo krwi – powiedział Jamal. – Cud, że cokolwiek sobie przypomniał. A ty wiesz, kim był ten hitman? – zapytał Siwego.

– Nie. Widziałem jego twarz i pewnie bym go poznał, ale nie znam nazwiska czy ksywki.

– To skąd wiesz, że był z twojej grupy? – zdziwiła się Justyna.

– Bo kucyki Pony mają gadzety ze swoim logo – powiedział Bullet, który znów zjawił się w salonie. Mężczyzna wyglądał, jakby dobrze się bawił. – Pewnie miał na nożu wygrawerowanego jednoroźca rzygającego tęczą.

– Boże! – mruknął Jamal. – Co za pajac.

– O co mu chodzi z tymi kucykami? – Siwy wyraźnie nie był w temacie.

– Twoja grupa przybrała początkowo debilną nazwę, która zawierała słowo „tęcza” – wyjaśnił jednoręki. – I choć szybko ją zmienili, to niesmak pozostał. To skąd wiedziałeś, kto cię atakuje?

Siwy uśmiechnął się.

– Miał grawerunek na nożu. Wszyscy mieliśmy takie noże, niektórzy nawet tatuaże sobie robili, jak rosyjska mafia.

– A Jamal zawsze mówił: „Nie wyróżniajcie się, chłopaki, żeby was nie

zdemaskowali” – powiedział Bullet, kiwając palcem.

– Tak mówił Krokodyl, ośle. – Jamal wykrzywił usta z niesmakiem. – Idź w końcu spać, bo jesteś dziś zupełnie bezużyteczny. Siwy, skoro to był taki wielki hitman, to czemu was nie zastrzelił albo przynajmniej nie dopilnował, czy na pewno nie żyjecie?

– Bo wywiązała się bójka. Myślisz, że jak Wiktor zobaczył, że ktoś mnie atakuje, to stał spokojnie i czekał na swoją kolej?

– Nigdy! – zawołał Ukrainiec w przypiływie emocji. – Zarznąłbym jak wieprza.

– Jamal, kiedy dostałem w brzuch, Wiktor już ciął swoim nożem tego faceta. Zrobił mu z przedramion mielonkę, dlatego cięcie na jego szyi nie było takie głębokie. W ogóle się dziwię, że zabójca zdołał go osiągnąć.

Jamal nie wyglądał na przekonanego.

– DeeDee? Co powiesz?

– Gdyby było prowadzone śledztwo, technicy pewnie znaleźliby ślady krwi więcej niż jednej osoby – odparła, wzruszając ramionami. – Teraz trudno dowieść prawdy. Nie rozumiem tylko, dlaczego uciekłeś. Trzeba było zostać i tłumaczyć się na miejscu.

– Nie mogłem tego zrobić. – Siwy potrząsnął głową. – Wiedziałem, że Jamal i Gogol mnie podejrzewają, a poza tym chciałem dowiedzieć się, dlaczego zlecono twoje zabójstwo.

– Ty nie jesteś od takich spraw – zauważyła.

– I co? Dowiedziałeś się czegoś? – zapytał Jamal złośliwym tonem.

– Dowiedziałem. – Siwy spochmurniał i opuścił głowę.

Jamal nie mógł jednak zaspokoić swojej ciekawości, bo Justyna podniosła się i poszła w stronę jadalni. Dopiero wtedy jednoręki zauważył, że Łukasz, który na chwilę gdzieś zniknął, stoi obok stołu z dwoma obcymi mężczyznami, zaś z kuchni wyłonił się nie kto inny, jak tylko sam Gogol.

– Witaj, zuczku! – Kostek podszedł do Siwego i klepnął go niezbyt delikatnie w ramię. – Kopę lat.

– Co tu robisz? – zapytał Jamal, rozglądając się wokół. – Co to za ludzie?

– A, byliśmy przejazdem – wyjaśnił Gogol, siadając w fotelu. – Malina zadzwoniła, że coś się dzieje niedobrego, to zostawiłem rodzinę i przyjechałem. Ci dwaj to kumple Łukasza z policji. Do nich też dzwoniła.

– I co mają zamiar zrobić?

– Zabiorą go – wskazał głową na Siwego – w bezpieczne miejsce.

– Aresztują mnie? – Mężczyzna zrobił się jeszcze bardziej blady.

– Nie sądzę. Brzeziński już wie o sprawie, więc pewnie schowają cię gdzieś, gdzie nikt cię nie znajdzie. Do wyjaśnień.

– To nie on. – Wiktor nachylił się nad Kostkiem i pokazał na swoją szyję.

– Tak, słyszałem – odparł Gogol. – Ale czekajcie, muszę iść, bo mnie nasza królewna woła.

Justyna przedstawiła Kostkowi kolegów Łukasza.

– To jest Tomek Kotowicz, nadkomisarz z CBS. A to aspirant Kowalski z jego komórki.

– Dobrze, że nie szeregowy – zachichotał Kostek, podając Mariuszowi dłoń.

– Więc? Jakies decyzje?

– Odstawimy delikwenta gdzieś na noc – zaczął Kotowicz. – Szukaliśmy go od bardzo dawna i jesteśmy ciekawi, gdzie się chował.

– No i wypytajcie go, co wie – dodała Justyna. – Chwalił się tu przed chwilą, że przeprowadził swoje śledztwo. Uważam, że nie jest do końca szczerzy, ale kto wie, czym nas zaskoczy. Aha! Kostek, przyjdzie do naszej grupy zleciła mu grupa rzygających tęczą jednoroźców.

– No, żartujesz! – Tym razem Gogolowi nie było do śmiechu. Za to Łukasz i Kotowicz spojrzeli po sobie zdumieni. Kowalski był zbyt śpiący, by zrozumieć, co się stało. – Musisz skontaktować się z Tomkiem „Łasicą”, może będzie wiedział coś konkretnego.

– Zaraz! – Meyer podniósł dłonie. – O czym wy, do cholery, mówicie?

– O kucykach pony – powiedział z powagą Kostek. – Nie słyszałeś?

– No, jakoś nie.

– To grupa amerykańskich najemników, z którą się nie do końca lubimy. Mieli kiedyś jakąś badziewną nazwę, dlatego mówimy na nich kuczki albo jednoroźce, ale to naprawdę źli ludzie. Większość z nich to płatni zabójcy, przy których wasz Ziutek to Mary Poppins.

– A ten... Tomek „Łasica”? – Łukasz spojrział na Justynę.

– To mój kolega z Łomży. Chodziliśmy razem do liceum. Skończył z Żółwiem z mech i poszedł do GROM-u, ale odszedł, jak Gogol i Bambi.

– Gogol, znałeś go?

– Nie, przecież mówi, że z Żółwiątkiem się uczył, młodszy jest. Wymeldował się z Wojska Polskiego w drugim rzucie odejść i poszedł do Blackwater, a potem wylądował z kucykami. Gdyby się z Malinką nie znali, to by nas wyrznęli kiedyś w górach, a tak mieliśmy spotkanie po latach...

– OK... Może kiedy indziej powiecie mi o szczegółach tej historii, ale teraz, jak rozumiem, ważne jest, że on coś może wiedzieć, tak?

– Tak. – Justyna skinęła głową. – Ja się tym zajmę. Tomek pracuje teraz gdzie indziej, ale to może i lepiej... Mariusz? Co tobie?

Kowalski wyglądał, jakby doznawał właśnie jakiegoś wielkiego przebudzenia. Z szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w coś, co znajdowało się w salonie. Wyciągnął rękę i wskazał palcem w przestrzeń.

– To on! – wyszeptał. – To ten skurwiel francowaty.

– Kto? – Kotowicz patrzył raz na niego, raz na osoby w salonie. – Ten czarny?

– Ten narkoman jebany!

– To chyba o Bullecie. – Kostek puścił oko do Justyny. – Ty, szeregowy, oświecisz nas?

– Dziś robiliśmy nalot na mieszkanie dilerka przy Solidarności. On tam był, jak słowo daję. Uciekł oknem... Normalnie wyskoczył z pierwszego piętra i nic mu nie było.

– A co ty robiłeś na takim nalocie? – zapytał Łukasz. – Nie siedzisz już w narkotykach.

– Kowalski pomagał policji, bo to była kiedyś jego sprawa – wyjaśnił Kot. – Justyna, możemy go zatrzymać?

– A, zatrzymujcie! Weź go, Mariusz, na Kolską do „żłobka”, bo już się schlał jak świnia. Tylko problemy robi.

– Zabiorę! – Mariusz ruszył dziarsko w stronę Michaela. – Jak słowo daję.

– No i git – mruknęła Justyna. – Będzie trochę spokoju.

Kotowicz zabrał Siwego, który bez słowa protestu poszedł do samochodu, ale Mariusz miał nieco kłopotów z zataczającym się Michaeliem, więc Wiktor pomógł mu w wyprowadzeniu pijanego z domu. Justyna rozejrzała się wokół i pokręciła głową.

– Matko moja, Ireno! Ale syf!

XLVII

– Łukasz, Łukasz! – Justyna szarpała nieprzytomnego z niewyspania męża za ramię. – Obudź się! Musimy jechać do Kota.

– Jezu... Justyna! – Obrócił się na plecy i spojrzał na nią spod przymkniętych powiek. – Co ty wyprawiasz? Która godzina?

– Siódma.

– Kobieto, na Boga! Spaliśmy może ze trzy godziny. Nie dość, że mamy małe dziecko w domu, to jeszcze najazd najemników i płatnych zabójców. Wizytę u lekarza mamy dopiero o jedenastej. Nie moglibyśmy wykorzystać tego i pospać?

– Ale Łukasz, ja muszę porozmawiać z Kotem.

– Ty musisz? To zmienia postać rzeczy. – Przewrócił się znów na bok i nakrył głowę poduszką. – Rozmawiaj z nim, ja ci nie bronię. Nie mieszaj mnie do tego.

– Ale ja muszę osobiście... A nie pojedę bez Mariki, a jak nie bez niej, to nie bez ciebie.

– No, strasznie mi przykro – roześmiał się z satysfakcją, ale nagle odsłonił głowę i popatrzył na nią z powagą. – A po co ty chcesz rozmawiać z Kotem? O czym niby?

– O Brzezińskim.

– Masz Brzezińskiego pod nosem. Możesz o Brzezińskim rozmawiać z samym Brzezińskim. Co ty znowu kombinujesz?

– Nic, ale tylko Kotowicz może sprawdzić rzeczy, które chcę wiedzieć. – Wyskoczyła z łóżka i zaczęła się ubierać. – Nie będę ci mówiła szczegółów, bo jak się okaże, że nie mam racji, to będziesz ze mnie szydził miesiącami.

– Ja? Kochanie, ja nigdy z ciebie nie szydzę. – Łukasz podniósł swoje obolałe ciało i usiadł na łóżku. – Czy ktoś jest na dole? Zdaje mi się, że słyszę telewizor.

– Tak. Jamal z Wiktorem zostali na noc. Może też nie mogą spać.

– „Też”? Ja mogę.

Ubrali się, wzięli Marikę i zeszli na dół. Tam okazało się, że to nie telewizor słyszeli ze swojej sypialni. W kuchni zastali rodziców i Krzysztofa – cała trójka ostro dyskutowała na jakiś bliżej nieokreślony temat.

– Krzysiek? – Łukasz musiał przez chwilę pomrukać powiekami. – Co tu robisz? Miałeś przylecieć wieczorem.

– Ale przebukowałem lot i jestem teraz. – Uściskał brata i ucałował Justynę na powitanie. – Przyjechałem taksówką, żeby was nie kłopotać o świcie i... zastałem to. – Wskazał na rodziców.

Stefan siedział za stołem i ścisnął kubek z herbatą, a Zofia krzątała się po kuchni, najwyraźniej szykując śniadanie.

– Mógłbyś zmienić ton, mój drogi – odezwała się matka, krojąc chleb.
– Więcej szacunku...

– Za co, Zofia? Za co? – Zagotował się Krzysiek. – Co ty w ogóle robisz w tym domu? O tej godzinie! Nie masz własnego życia?

– Synku... – zaczął Stefan, niepewnie zerkając na minę Łukasza.
– Chcieliśmy zajrzeć na chwilę i sobie pojechać, ale zobaczyliśmy ten bałagan i...

– I co? – Łukasz zmarszczył brwi. – To nasz bałagan.
– Zmartwiliśmy się.

– No właśnie! – Zofia machnęła nożem. – Co tu się w ogóle stało?
– Mieliśmy wczoraj imprezę z okazji przegonienia was z domu – wycodził Łukasz. – I trochę nas poniosło.

Justyna podała Marikę Krzyškowi i usiadła za stołem. Wydawało się, że nie ma ochoty na kłótnie.

– Mieliśmy grilla – powiedziała do teścia, opierając podbródek na dłoni.
– Koledzy myśleli, że ktoś się włamuje i za bardzo rozpędzili się, kiedy biegli do drzwi.

– Ojej! – Stefan zasłonił dłonią usta. – A włamywał się?
– Nie. Nikogo nie było.
– Mówiłam ci, Stefan, że trzeba im ten monitoring założyć – gderała Zofia.
– Od razu trzeba było...

– Mamo, możesz się przymknąć? – Krzysiek nie dawał za wygraną. – Ktoś pytał cię o zdanie?

– Mówię to, co trzeba powiedzieć. A ty jesteś niesprawiedliwy, wiesz? – Spojrzała z gniewem na Krzyśka. – Żle mnie traktujesz i...

– A jak mam cię traktować? – przerwał jej. – Jesteś toksyczna. Czarnobyl to przy tobie Ciechocinek. Niszczysz wszystko i wszystkich.

– *Dobre utro!* – przywitał się grzecznie Wiktor, który właśnie zjawił się w kuchni.

Zofia zaniemówiła na moment.
– Będziemy coś jeść? – zapytał Ukrainiec po angielsku Justynę. – Zjadłbym coś.

– Tak. – Justyna odsunęła dla niego krzesło. – Będzie śniadanie. Moja teściowa dziś gotuje.

– O! To dobra teściowa – ucieszył się Wiktor, zapominając, że całkiem niedawno chciał obcinać jej głowę.

– Mamo? – Justyna uśmiechnęła się do Zofii. – Jesteśmy głodni. Co podasz nam dobrego?

Meyerowa nie odpowiedziała. Stała z otwartymi ustami, trzymając w ręku

nóż, spoglądając to na synową, to na męża.

– No... Rób to śniadanie – ponaglił ją Stefan. – Tylko więcej, bo może ktoś jeszcze przyjdzie.

– Dobrze. – Pokiwała głową i odwróciła się w stronę blatu.

Krzysiek z Łukaszem usiedli. Wiktor zaraz wziął Marikę na ręce i zaczął ją zabawiać, mówiąc coś do niej po rosyjsku. Niepostrzeżenie do kuchni wszedł Jamal, który skinął do Stefana i podał dłoń Krzyśkowi. Zdziwiony milczeniem zebranych przy stole, zajął się rozkładaniem talerzy i kubków, dzwoniąc metalową ręką o szkło. Zofia obejrzała się, żeby sprawdzić, co to za dźwięk, i krzyknęła, zrzucając nóż na podłogę.

– Co tobie, kobieto? – zawołał Stefan, udając zaskoczenie. – Mówiłem, że ktoś może jeszcze przyjść.

– O, Boże! – jęczała. – On... on... Jego ręka.

– Mamo, pomoc ci z tym śniadaniem? – Łukasz zaczął się niecierpliwić.

– Nie, nie! Poradzę sobie. Ja tylko... – Poprawiła włosy i wytarła dłonie o fartuszek. – Zaraz wszystko będzie gotowe.

– To ja zaparzę kawę i herbatę. – Justyna podniosła się, przewracając oczami. – Będzie szybciej.

Zjedli posiłek w nieco napiętej atmosferze, ale nikt już się z nikim nie kłócił. Zofia dopytywała, choć bez nachalnej ciekawości, kim są goście syna i synowej. Udzielono jej wymijających odpowiedzi, w których prawdziwe informacje wymieszane były z niedomówieniami. Po śniadaniu Krzysiek poszedł się rozpakować i przespać po podróży, a Stefan z Zofią ulotnili się z domu, nie sprzątajac nawet kuchni.

– O mój Boże! – Łukasz oglądał meble kuchenne, jakby widział je po raz pierwszy. – W końcu mogłem załadować własną zmywarkę i zobaczyć, jak się ją włącza. W końcu dowiedziałem się, gdzie jest nasz odkurzacz. Już wiem, gdzie są wszystkie naczynia i sztuce. Ja nie mogę! Żono, jesteś genialna! Poszli sobie bez kopania ich w tyłki.

– Co on mówi? – zapytał Jamal znad filiżanki z kawą.

– Wypędza złe duchy – wyjaśniła Justyna, ubierając Marikę w nosidełku.

– A... Coś jak szaman?

– Dokładnie. Łukaszku. – Podeszła do męża i pocałowała go w usta.

– Cieszę się twoim szczęściem, ale jedźmy już, bo jak Kot będzie po odprawie, to może nie mieć dla mnie czasu. Krzyś ma towarzystwo, więc możemy go zostawić.

Dojechali na parking pod biurem wyjątkowo szybko, jak na tę porę dnia. Łukasz był ciekaw, czego Justyna chce od Kotowicza, ale w radiu mówiono o ostatniej sprawie Rolanda Stebnickiego, więc o nic nie dopytywał, tylko pogłośnił odbiornik i słuchał w skupieniu.

– Chyba masz rację, Justyś – powiedział, wzdychając. Wyłączył radio

i zgasił silnik. – Ten facet to klaun. Nie chciałbym skończyć jak on, na występach w mediach.

Weszli do budynku, gdzie zostali zatrzymani przez policjanta.

– My do nadkomisarza Kotowicza – wyjaśnił Łukasz.

– Nic o tym nie wiem – burknął młody posterunkowy, rzucając im pogardliwe spojrzenie.

– To się dowiedz, cieciu jeden! – Justyna nachyliła się nad kontuarem. – Nie mamy czasu.

Policjant spojrział na nią z niepokojem i lekko odchylił się na krześle, jakby bał się ciosu.

– Justyś... – Łukasz pogładził ją po plecach. – Spokojnie. Jesteśmy w Polsce, nie w strefie działań wojennych. Zaraz zadzwonię do Kota.

Po chwili zza szklanych drzwi wyłonił się Kotowicz, witając ich szerokim uśmiechem.

– Chodźcie do środka. Ale niespodzianka z samego rana! Chłopaki będą wniebowzięci.

– Skoro tak mówisz – roześmiał się Łukasz. – Nie przeszkadzamy?

– No coś ty! Chcecie coś do picia?

– Nie, dzięki. Jesteśmy po sytym i bardzo emocjonującym śniadaniu. A poza tym... Tak naprawdę to przyjechaliśmy, bo moja żona ma do ciebie jakąś sprawę.

Tomek zatrzymał się przed wejściem do open space'u i spojrział na Justynę.

– Coś się stało? – zapytał cicho.

– Stać się nie stało, ale mam prośbę – odparła. – Jeśli pozwolisz, porozmawiamy u ciebie w gabinecie.

– OK. Ale najpierw przywitajcie się z tymi troglodytami.

Widok Meyerów i ich pociechy wywołał niemałe poruszenie wśród ludzi Kotowicza. Witano ich niemal jak bohaterów, ściskano, rzucono dwuznaczne żarty, poklepywano po plecach, podziwiano spoczywającą na rękach u Łukasza Marikę. I tylko nowi funkcjonariusze, którzy nie pracowali z nim wcześniej, patrzyli po sobie zdziwieni.

– No, proszę! – Lenart położył Łukaszowi dłonie na ramionach. – Pojechał po jedną, a wrócił z dwiema. To się nazywa skuteczność działania. Na dwieście procent.

Justyna zostawiła rozbawione towarzystwo i poszła za Kotem do jego przeszklonego biura. Łukasz kątem oka zerkał co chwilę na kolegę i jego reakcje na słowa Justyny. Szybko pojął, że jej prośba dotyczyła bardzo poważnej sprawy.

– Słyszałeś o szefie? – Mzygłód skinął głową w stronę gabinetu Kotowicza.

– Zależy co.

– Na wiosnę wesele. Kto by się spodziewał takiego obrotu spraw.

– A ja też zostanę ojcem – poinformował Wiśniewski, podnosząc palec.

– Słyszałem, Wiśnia, i bardzo ci winszuję. Ale nie wiem nic, co u was w pracy. Rasiak odchodzi, Brenner chyba nie będzie rządził...

– Będą zmiany – powiedział Lenart. – Nie zostaniemy w tym składzie, bo mamy za dużo różnych spraw. Potrzebujemy dywersyfikacji zadań. Tak, Malicki, jest takie słowo. Możesz sprawdzić w słowniku. Zaś, jeśli chodzi o dowodzenie, to Kotowicz wydaje się być niezagrożony. Nawet po podziale na mniejsze grupy, on będzie miał pieczę nad całością tutaj, z czego niezmiernie się cieszymy.

– Ale nie cieszymy się, że od nas odszedłeś – dodał Słomkowski. – Wielka strata.

– No, nie wiem... Widzę, że moje biurko szybko znalazło nowego właściciela – powiedział Łukasz, wskazując na rozwalonego w fotelu Malickiego.

– A co ty myślałeś? – Michał rozłożył ręce. – Że ktoś ci będzie pilnował miejscowy? Gnieźdźmy się tu z Wiśnią, bo, jak widzisz, zespół nieco się rozrósł.

– Zauważyłem. – Spojrzał na Lewandowskiego, który uśmiechnął się niewyraźnie.

– Fajnie móc w końcu zobaczyć cię na żywo. – Mateusz podniósł się i podał Łukaszowi dłoń. – Wiele o tobie słyszałem.

– I to mnie właśnie martwi. – Meyer popatrzył wymownie na kolegów. – Co na przykład słyszałeś?

– Że masz ładną żonę – odparł, rumieniąc się. – Rzeczywiście to prawda.

– O, matko! – Malicki przewrócił oczami. – Też nie miałeś innego tekstu na wejście?

W tym momencie Justyna wyszła z gabinetu Kotowicza. Łukasz spojrzał na nią, robiąc wiele mówiącą minę.

– Kochanie, spodobałaś się nowemu koledze. – Wskazał głową na Lewandowskiego. – Mówi, że jesteś ładna.

Justyna podparła się pod boki i rzuciła chłopakowi groźne spojrzenie.

– A w ryj chcesz, kutasiarzu? – zapytała, wywołując niemalą konsternację. Tylko jej mąż był ubawiony.

– Nie przejmuj się, młody – powiedział do czerwonego jak cegła Mateusza. – Zostałeś i tak potraktowany z szacunkiem. Nie masz pojęcia, jak źle kończą absztyfikanci mojej żony.

Na takie wyznanie koledzy Łukasza też nie byli przygotowani.

– Ale widzę, że w końcu zaczynacie się cywilizować – stwierdziła Justyna, patrząc na siedzącą pod oknem Iwonę. – Normalnie macie tu kobietę, która najwyraźniej nie jest sprzątaczką, tylko funkcjonariuszem. Gratuluję! Oby tak dalej. Nie rozumiem jedynie, czemu ma minę, jakby miała być zaraz ukamienowana? Co wy jej robicie?

Na chwilę zapadła niezręczna cisza.

– Tak... Ekhm... – Lenart chrząknął cicho. – Jakby to powiedzieć... Naszej

drogiej koleżance przytrafiło się nieszczęście. Jej mąż został a-resz-to-wa-ny. – Ostatnie słowo wymówił niemal bezgłośnie.

– Zamknęli go? – Justyna nie zamierzała być delikatna. – Hej! Laska, umiesz mówić? Co się stało? Może można ci jakoś pomóc?

Iwona rozejrzała się po twarzach swoich kolegów, jakby szukała u nich pomocy. Malicki obrócił się w jej stronę i skinął głową.

– No, powiedz, o co chodzi – zachęcił ją. – Wyglądają na niedorozwiniętych, ale mają dużo możliwości.

– On... – zaczęła Iwona. – On... Mój mąż zabił dwie osoby.

– Żartujesz? – Justyna zrobiła wielkie oczy. – Jaja jak berety! Przed ślubem?

– Co? Ale...

– Bo jak przed ślubem, a ty nie wiedziałaś, to możesz się łatwo wymiksować z waszych więzów i rozpocząć nowe, szczęśliwe życie.

– Nie przed ślubem. – Iwona skrzywiła się. – I nie chcę się... wymiksować. Kocham go.

– Wiesz, dwadzieścia pięć lat to dużo... albo nawet dożywocie – powiedziała Justyna, wydymając usta. – Na taką miłość...

– Niech się pani odczepi! – Policjantka uniosła się gniewem. – Aresztowali go w waszym domu.

Łukasz zaśmiał się.

– A co to ma do rzeczy, w naszym czy nie naszym?

– No właśnie ma, kochanie. – Justyna klepnęła go w ramię. – Zauważcie, że nie ma wśród was Kowalskiego. A wiecie czemu?

– Nie. – Lenart uśmiechnął się, najwyraźniej zainteresowany. – A czemu?

– Bo w nocy aresztował w naszym domu groźnego amerykańskiego dilerę narkotykowego.

– Latynosa – poprawił ją Łukasz.

– Tak, Latynosa. Racja! Więc, moi drodzy, w naszym domu żaden przestępca nie może czuć się bezpiecznie.

Łukasz chichotał, ale pozostali wyglądali na kompletnie zdezorientowanych występem Justyny. Nikt wcześniej nie widział, by zachowywała się w ten sposób.

– Nie martw się, moja droga – Justyna zwróciła się do Iwony. – Jeśli to morderca, to lepiej, że poszedł siedzieć. Ze swojej strony mogę ci poradzić założenie klubu dyskusyjnego z moim mężem. On cię zrozumie.

– Dlaczego? – zapytała Iwona. Wydawało się, że zaczyna czuć do Justyny coś na kształt sympatii.

– Bo Łukasz wie, co to znaczy żyć pod jednym dachem z zabójcą i nie mieć o tym pojęcia. Możecie potem napisać tutorial dla takich jak wy i zbić na tym majątek.

Policjantka uśmiechnęła się, a na jej twarzy pojawił się niespodziewanie

wyraz ulgi.

– Żarty na bok – powiedział Łukasz. – Justyna ma rację: jeśli będziesz czuła potrzebę, możesz do nas wpaść i porozmawiać. Co prawda nasz dom nie będzie ci się dobrze kojarzyć, ale... Czuj się zaproszona.

– Dzięki – szepnęła Iwona.

Wtedy Justyna zauważyła milczącego cały czas Słomkowskiego, który patrzy na kobietę pod oknem wyglodniałym wzrokiem.

– To my już pojedziemy. – Szturchnęła męża w bok. – Na pewno macie dużo pracy. Za trzy tygodnie chrzciny, więc liczymy na wasze stawiennictwo.

Nastąpiło wylewne pożegnanie. Kotowicz też wyszedł ze swojego gabinetu, żeby coś jeszcze powiedzieć Justynie na odchodne. Nawet Iwona się przełamała i podeszła do Łukasza, bo chciała zobaczyć z bliska Marikę. Kiedy wyszli z budynku, Meyer popatrzył na żonę i pokręcił głową.

– Jesteś rasową czarownicą. Namieszalaś im tak w głowach, że nie będą mogli dojść do siebie przez tydzień.

– Nie mędrkuj, tylko zapinaj dziecko w foteliku – zarządziła, ale uśmiechała się kątem ust. – Niech sobie nie myślą, że życie to bajka. Widzisz? Żaneta miała rację: sprawy, o których najtrudniej się rozmawia, najlepiej potraktować żartem. Muszę jej o tym opowiedzieć, kiedy zadzwoni.

Wyjechali z parkingu i od razu utknęli w korku. Łukasz skorzystał z okazji i zapytał w końcu o powody spotkania z Kotowiczem.

– Eh... – Machnęła ręką. – Chodzi o to, co Bambi mi powiedział po wizycie u Brzezińskiego. Potem zabili Jaskółę i... Pomyślałam sobie, że jedno z drugim ma coś wspólnego.

– Jakim cudem?

– Długo zastanawiałam się nad tym, dlaczego Brzeziński wydał na niego wyrok.

– Na kogo? Bo już się gubię.

– Na Jaskółę. To był klasyczny wyrok, jak w świecie mafijnym, tyle że zrobił to nieco okrężną drogą. Uznałam, że to ja coś powiedziałam takiego, kiedy był u nas w Niemczech, co sprawiło, że wkurwił się i załatwił mu miejsce na cmentarzu. Ale dopiero po wizycie u nich w domu zaczęło mi świtać, że to ma sens i nawet mam podejrzenia, która część mojej wypowiedzi zrobiła na nim wrażenie. Nie będę ci teraz mówić, do jakich wniosków doszłam; wolę poczekać na materiały, które zdobędzie Kot. Mam nadzieję, że mu się uda...

– A co Kot na to wszystko?

– Początkowo zjeżył się okropnie.

– Widziałem po jego minie. – Łukasz pokiwał głową.

– Ale wiesz... Śledczy to śledczy – nie przepuści okazji, żeby odkryć prawdę. On też woli mieć lepszy obraz całej sytuacji, skoro jest już w ten syf

zamieszany. Boję się tylko jednego... – Popatrzyła za okno samochodu i zamyśliła się.

– Tak?

– Że jak się kumple Brzezińskiego z „układu” dowiedzą, co szykuje, to zabiją go w jakiś okropny sposób, a razem z nim jego żonę i Miłosza.

– Aż taką intrygę uknuł?

– Nawet nie masz pojęcia. Dlatego Tomek zgodził się mi pomóc. Musimy rozumieć, co naprawdę kryje się za jego motywami. – Wyprostowała się nagle i spojrzała przed siebie. – Łukasz?

– No? – Zerknął na nią podejrzliwie.

– Czy ja jestem złą matką?

– Słucham? – Parsknął śmiechem. – Co to za pytanie?

– Bo tak patrzę na te wszystkie auta z matkami i dziećmi w fotelikach... Każda siedzi z tyłu, razem z tym fotelikiem, i coś robi z tym dzieckiem...

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– No, tak siedzą tam i zagłądają, i coś robią nad dziećmi... Sama nie wiem... Okrywają, karmią, zagadują, wciskają smoczki... A ja co zrobiłam? Wrzuciłam swoje niepełnosprawne dziecko na tył auta jak torbę z zakupami i jadę sobie z przodu.

Korzystając z okazji, że akurat nie jechali, Łukasz przytknął oczy i pokręcił głową, jakby w myślach odliczał do dziesięciu.

– Nie przemawia do mnie twój tok rozumowania – powiedział po chwili i obejrzał się do tyłu. – Chcesz wiedzieć, co robi twoja niepełnosprawna córka wrzucona jak worek z zakupami?

– No?

– Śpi. Ona też ma dość zamieszania, jakie jest wokół nas, i korzysta z okazji, żeby się zdrzemnąć, zanim ktoś znów będzie nosił ją na rękach i coś do niej mówił po rosyjsku, angielsku, niemiecku i Bóg wie, po jakiemu jeszcze. Nie skończyła miesiąca, a przesypia prawie całe noce, o ile oczywiście po domu nie grasują uzbrojeni złoczyńcy, bo tak jest zmęczona. W związku z tym nasze łóżko tonie w twoim mleku, którego nie ma kiedy zjeść. Myślę więc, że jest zadowolona z tego, że jesteś złą matką i że nad nią nie siedzisz i nic z nią nie robisz.

– Nie mam też depresji poporodowej – zauważyła cicho Justyna.

– Przepraszam! Czy to źle?

– No ja nie wiem! Teraz każda matka ma depresję. Wszędzie mówią i piszą, żeby się nie kryć z emocjami, ale ja nie wiem, jakie mam emocje i czy to nie depresja...

– Bo, kurwa, nie masz kiedy. Bo jesteś ciągle zajęta. Mieliśmy na dziś zaplanowaną jedną wizytę u lekarza i nic poza tym, a o godzinie dziewiętej już jesteśmy po spotkaniu na tematy dotyczące bezpieczeństwa państwa. I wszędzie

ciągniemy za sobą nasze niepełnosprawne dziecko, które, zamiast wykwalifikowanej opiekunki, ma za nianię ukraińskiego najemnika, obcinającego ludziom głowy. A w ogóle, skoro już o tym mowa, zabraniam ci mieć depresję poporodową czy jakąkolwiek inną, bo to będzie oznaczało, że moja nienormalna matka zyska pretekst, by częściej u nas bywać. Nawet o tym nie myśl.

– OK. Ale nie musisz się tak unosić. Wyraziłam tylko swoją wątpliwość.

– Dobrze! – Uderzył dłońmi o kierownicę. – Więc wiemy, na czym stoimy.

Masz jeszcze jakieś wątpliwości?

– Tak. Jak przewiozłeś broń przez granicę?

Łukasz sapnął i potarł palcami brwi.

– Przewiozłem i... tyle.

– To ta od Andrzeja, prawda? Bo do biura jeszcze sobie nie załatwiłeś.

– Tak. To pistolet, który dał mi zaraz po moim przyjeździe. Powiedzmy, że... ciężko mi było się z nim rozstać.

– No, ale co z nim zrobiłeś? Mieliśmy kontrolę na lotnisku. Gdzieś musiałeś go schować.

– W foteliku Mariki.

– Co ty gadasz? – Justyna roześmiała się. – Ale on też był sprawdzany.

– Rozłożyłem broń na części i owinąłem w taką taśmę, którą dali mi twoi koledzy jeszcze w Kabulu, żeby nie wyszedł na prześwietleniu.

– Pierwsze słyszę. Jaką taśmę?

– To jakiś nowatorski wynalazek armii amerykańskiej. Nie wiem dokładnie... Żółw go buchnął komuś, chyba w Bagram.

– Kochanie! – Justyna złapała go za rękaw. – Muszę wiedzieć więcej o tym materiale. Może będzie można w to zainwestować.

Łukasz spojrział na nią z wyrazem politowania na twarzy.

– Jeszcze raz: co mówiłaś o tej depresji?

– Oj, nie bądź taki do przodu.

W torebce Justyny zabręczała komórka.

– Gogol – zakomunikowała, spoglądając na wyświetlacz.

– Daj na głośnomówiący. Miał powiedzieć, co z Siwym.

– A cóż ty taki zainteresowany? – mruknęła, odbierając połączenie.

– Kostek, jesteś na głośniku, ale nie drzyj się za bardzo, bo dziecko śpi.

– Cześć, robaczki! – przywitał się wesoło Bąk. – Słuchajcie, wyborów jeszcze nie było, ale robota już goni. W południe mam dostać adres od tego waszego nadkomisarza, gdzie wywieźli Siwego. Jeśli jesteście zainteresowani partycypowaniem w przesłuchaniu, to zapraszam.

– Ja chętnie – powiedział Łukasz.

– Ja dziękuję – odparła Justyna.

– A czemu? – zdziwił się Kostek.

– Bo i tak niczego więcej się nie dowiem. – Wzruszyła ramionami.

– Jak to? Gadałaś z nim jeszcze?

– Nie, ale znam go dłużej i wiem, kiedy kłamie, a kiedy nie.

– No to co? Kłamał wczoraj?

Justyna wykrzywiła usta i odwróciła głowę w stronę okna.

– Malina, co jest? Nic nie słyszę.

– Zastanawia się – wyjaśnił Łukasz.

– Nie zastanawiam... Chodzi o to, że wiem, że nie był szczery, że coś kręcił.

– No to musimy go docisnąć, żeby wiedzieć, w którą stronę kręci.

– Siwy... On zawsze był pełen sprzeczności. Sami widzieliście: inżynier, a nie wiedział, jakie czujki wyłącza. Jak dla mnie, ściemnił, że uciekł z Batumi, żeby przeprowadzić własne śledztwo, tak odczytałam z jego wczorajszego zachowania. Jest sprytny i dalej robi jako kret. Ale... Gdyby naprawdę był taki bystry, to by nie włamywał się do naszego domu jak jakiś idiota.

– Malinka... Hm... Nie do końca rozumiem, co chcesz nam powiedzieć.

– Rzecz w tym, że Siwy był zawsze... Zawsze mu odpierdalało na moim punkcie. – Zerknęła na Łukasza, który tylko przewrócił oczami.

– No tak... – stwierdził Gogol. – Więc może powiedz nam coś, czego nie wiemy, tak dla odmiany.

– Myślę, że on po prostu chciał znów mnie zobaczyć – Justyna wypowiedziała każde słowo z ostrożnością sapera kroczącego po polu minowym.

– Znam go. Widziałam go na szkółce w naprawdę dziwnych sytuacjach i wiem, że w jego przypadku jest to możliwe, tak samo jak to, że nie wiedział, co robić, kiedy zobaczył mnie w Kabulu w naszej kryjówce. Rozumiesz?

– Tak – odparł Gogol. – Odpierdoliło mu znowu.

– Właśnie. Wczoraj widziałam znów w jego oczach tę desperację. „Justyna, zrozum! Ja nie wiedziałem, że to o ciebie chodzi” – zademonstrowała w egzaltowany sposób zachowanie Siwego. – Po prostu jestem przekonana, że dał nogę z Gruzji, żeby tu przyjechać i mi to powiedzieć.

– No to o czym mamy z nim gadać? – zapytał Gogol nieco zrezygnowanym głosem.

– Dowiedźcie się, jak uciekł, którędy, kto mu pomagał. Gdzie schował się w Polsce? No i czy zechce współpracować, kiedy zwabimy tu Wallace’a. Ma w końcu wiedzę o ludziach, dla których wykonywał to zlecenie.

– OK. Brzmi sensownie. Wobec tego czekajcie na mój sygnał, kiedy i gdzie go przesłuchujemy. Aha! Rozmawiałem z tym pingwinem o Bullecie.

– Z kim? – Łukasz nachylił się nad telefonem.

– Z szeregowym Kowalskim – roześmiał się Kostek. – Fajny gość. Był przed chwilą na Kolskiej pobrać rzeczzonego pijanego za pokwitowaniem i nie zgadniecie, co zastał.

- Michael był jeszcze bardziej pijany – domyśliła się Justyna.
- Na szczęście nie, ale siedział w jakiejś dyżurce czy gabinecie i grał w karty z personelem. Na pieniądze!
- Przecież on po polsku nie mówi – zauważył Łukasz.
- Bullet zna międzynarodowy język przyjaźni ponad podziałami – zachichotał Kostek. – Miałem nadzieję, że dadzą mu tam wycisk, chociaż zimną wodą z węża będą polewać całą noc, żeby trochę zmądrzał, a tymczasem nawet płacić nie musi, bo ograł salowych. Jamal jest na niego zły jak szerszeń, zastanawia się, czy jest sens go trzymać.
- Nie wiem... – Justyna skrzywiła się. – To najlepszy snajper, jakiego widziałam. I bardzo dobry szkoleniowiec. Może wymyślimy, jak go okiełznać. Dzięki, Kostuś, za te nowiny. Będziemy w kontakcie.
- Na razie, zuczki.
- Łukasz obejrzał się, bo Marika zaczęła płakać.
- Jest głodna i pewnie ma mokro. – Sięgnął ręką do fotelika i pogładził ją po nóżce.
- Dojeżdżamy do centrum. Zjedź tutaj, to znajdziemy jakąś restaurację, gdzie można przebrać i nakarmić dziecko. Poza tym ja też coś bym zjadła. Strasznie wyczerpujący poranek.

XLVIII

Po powrocie od lekarza Łukasz przebrał się i od razu pojechał na przesłuchanie Siwego. Odmówił nawet zjedzenia obiadu, z pietyzmem przygotowanego przez Wiktora. Justyna zapowiedziała, że nie ma zamiaru nigdzie się ruszać, po czym pochłonęła największą ze wszystkich porcję duszonej wołowiny, ziemniaków i surówki. Jamal najwyraźniej nie miał zbyt wielkiego apetytu, bo zamiast konsumować, grzebał widelcem w jedzeniu, a jego mina świadczyła o tym, że coś się martwi.

– Twój kolega powinien bardziej dbać o siebie – powiedział Krzysiek po polsku do Justyny. – Jak pojechaliście, poczuł się na tyle źle, że ten brodaty mnie obudził.

– Badałeś go? – Spojrzała na szwagra z przejęciem.

– Ośluchałem i zmierzyłem ciśnienie... Myślę, że ma miażdżycę. Musi też zbadać cukier. Nie chcę wyjść na rasistę, ale leczę czarnoskórych pacjentów i wiem, że częściej zapadają na niektóre choroby niż my czy Azjaci.

Justyna położyła dłoń na przedramieniu Jamala.

– B.B., wszystko dobrze?

– Powiedział ci? – mruknął, kiwając głową w stronę Krzyśka.

– Niepokoję się. – Dotknęła jego policzka. – I wiesz, że nie pozwolę ci robić czegokolwiek, dopóki nie pójdziesz do lekarza, prawda?

– Podobno ty też nie chcesz lekarzy.

– No to pójdziemy razem. I na razie zostaniesz u nas. Nie chcę, żebyś mieszkał sam.

– Ja też zostanę – zapowiedział Wiktor, dłużyąc swoim zwyczajem nożem w zębach. – Będę wam gotował.

– Wiktor, na tym ostrzu są pewnie resztki czyjegoś mózgu – powiedziała Justyna, krzywiąc się z obrzydzenia.

– To co? – Wzruszył ramionami. – Zawsze to proteiny.

– O, Boże! – Jamal jęknął, opierając czoło na metalowej dłoni. – Ty się nic nie zmieniasz. DeeDee, musimy omówić kilka spraw. Jeśli... masz chwilę.

– Daj mi pół godziny. Nakarmię Marikę i przebiorę się.

Kiedy usiadła z dzieckiem w fotelu, w jej głowie od razu zaczęły kotłować się różne myśli i wnioski na temat minionych wydarzeń, poczynając od tego, czy Siwy naprawdę został zwerbowany przez sławetną grupę najemników.

Jeśli tak – myślała – to znaczy, że Wallace musiał mieć finansowanie; oni nie robią niczego za darmo. Takie działanie świadczy o tym, że przygotował wszystko o wiele lepiej niż mi się wydawało. Teraz rozumiem, dlaczego moje

porwanie było po tak długim czasie od powrotu z Afganistanu. Ale kto daje mu pieniądze?

Popatrzyła na twarz Mariki, przytuloną do jej piersi. Szeroko otwarte oczka, z niebieskimi jak u Łukasza tęczęwkami, wpatrywały się w nią z ufnością i zainteresowaniem.

– Mamusia musi wszystko wyjaśnić – powiedziała do niej, całując jej piąstkę. – Żebyś była bezpieczna. A ty jak myślisz: kto daje kasę Wallace’owi? Rusek pracował dla niego za czcze obietnice, ale ktoś musiał sfinansować tęczowe kuce...

Zamyśliła się. Ciągłe nie każdy puzzel z tej układanki leżał na swoim miejscu.

Może to ktoś, dla kogo koniec kariery Wallace’a też był nie na rękę? Kto może wiedzieć, z kim on współpracuje? Trzeba zająć się kapusiami Kowaliowa z Polski, bo oni mogą mieć jakieś informacje.

Podzieliła się swoimi przemyśleniami z Jamalem, a potem z Angie, do której postanowili zadzwonić.

– Malina, to jest bardzo ważne – powiedziała De Soto z naciskiem. – Ci gnoje zaatakowali nasze grupy w górach, kiedy uciekliście z Kabulu. Zabili dwóch moich i jednego waszego, ale teraz przynajmniej wiemy, że mieli kogoś u was i że ma to związek. Obecnie jesteśmy tu na miejscu dogadani z niemal każdą grupą, mamy zawieszenie broni nawet z Talibami... oprócz nich.

– To znaczy, że uważają zlecenie za aktualne – wywnioskował Jamal. – No i że nie przejmują się tym, że ktoś uderza w najemników w regionie.

– Też mi się tak wydaje. Ale to też znaczy, że dostali naprawdę dużo kasy, a z tego, co wiemy od Maliny, Wallace klepie biedę. Malina, dziecko, nie twierdź, że ci nie wierzę, ale o co chodzi? Możesz się jakoś tego dowiedzieć?

Justyna westchnęła ciężko.

– Tak, mogę – odpowiedziała z wyraźnym wahaniem.

Jamal zaśmiał się.

– DeeDee, czas odkryć wszystkie karty, bo to, że nie mówisz nam całej prawdy, jest dla nas oczywiste od bardzo dawna.

– Nie przesadzaj – burknęła. – Dowiem się.

– No i najważniejsze – odezwała się znów Angie. – Jak masz zamiar wywabić pana Johna, skoro nie chcesz jechać do niego osobiście?

– To jest dla mnie najmniejszy problem – odparła Justyna.

– A co jest problemem wobec tego?

– Właściwe przygotowanie gruntu pod jego przyjazd – miejsca i ludzi.

– Mogę ci w tym jakoś pomóc? Chociaż jestem daleko.

– Sama nie wiem...

– OK. Gdybyś uznała, że coś możemy zrobić, odezwij się. I, na Boga, co tak

u was hałasuje?

– Wiktor zmywa po obiedzie – wyjaśnił Jamal.

– To on nie wie, że naczynia się myje, a nie tłucze? Ależ wam zazdroścę – westchnęła.

– Czego?

– Że tam jesteście. Mam nadzieję, że nie rozrabiacie za bardzo.

– Ty mi lepiej powiedz, czy Louis jest grzeczny.

Justyna odsunęła krzesło i wstała od stołu.

– Gadajcie sobie – wyszeptęła do Jamala. – Ja muszę coś zrobić.

– Ten przemądrzały Kanadyjczyk? Nie wiem sama, czemu go jeszcze nie zastrzeliłam. Kompletnie mu wyprali mózg w Legii Cudzoziemskiej, zero ludzkich uczuć.

Jamal roześmiał się głośno.

– O tobie mówi, że masz za dużo uczuć – powiedział. – Że jesteś zbyt... egzaltowana.

– Niech no go dorwę! Ach! Zapomniałabym! Domański dostał od Rosjan propozycję.

– Jaką? Nic nie wiem.

– Bo to całkowita nowość. Afgańczycy w końcu zapłacili mu ostatni rachunek i zaczął szukać nowej inwestycji. Pił wódkę z tym kolegą z wojska i ten powiedział, że znajdą mu coś w Moskwie.

– Nie wiem, czy to się uda – wyraził wątpliwość Jamal. – DeeDee mówiła, że robienie interesów w Rosji jest dla Polaków niemożliwe, zwłaszcza ostatnio. Jakie musieliby mieć wejścia na górze, żeby mu to załatwić?

– I tu jest dopiero początek tej historii. Oni już mu to załatwili. Pojutrze leci do Moskwy oglądać plac budowy. Rozmawiałam z nim o tym. Twierdzi, że nie ma złudzeń co do tego, że chodzi jedynie o politykę. Ludzie Kowaliowa są bardzo wdzięczni za uratowanie im szefa, a przy okazji jego finansów, ale jednocześnie chcą mieć oko na nas.

– Trzymając u siebie zakładnika – dodał z sarkazmem Jamal.

– To Rosjanie. Czego się spodziewałeś? Tak czy inaczej, inwestycja wygląda obiecująco, a Domański zna ryzyko. A jak Kowaliow się sprawuje?

– Jak kameleon. DeeDee mówiła, że umie wmieszać się w tłum, ale nie sądziłem, że aż tak... Widziałem go niedawno i był nie do poznania. Zmienił wygląd, zachowanie, sposób mówienia; nawet majstrował coś przy liniach papilarnych. Sam znalazł sobie pracę w centrum miasta, w firmie informatycznej. Oczywiście, zmyślił swój życiorys, ale wszyscy wierzą w to, co mówi.

– No to jak wpadł po porwaniu Maliny?

– On też chciałby to wiedzieć – odparł Jamal ze śmiechem. – Na tym DeeDee pielęgnuje jego nienawiść do Wallace'a: że to przez niego i jego kłamstwa

nie był dość dobrze przygotowany.

– W sumie to prawda.

– Ale my z DeeDee doszliśmy do wniosku, że Wallace go nie oszukał.

– Jak to?

– Myślimy, że on tak bardzo chciał ukryć swój udział, że zostawił zdobywanie informacji o niej Kowaliowowi. Był przekonany, że Rosjanin sobie poradzi i dowie się wszystkiego, a jeśli nie, to i tak nie będzie to miało znaczenia. I powiem ci, że szpiegzy Wołodii, ci wojskowi z Polski, naprawdę dowiedzieli się o niej prawdy, ale po porwaniu.

– Żartujesz?! – Angie wybuchnęła śmiechem.

– Polska policja odkryła, że wyśledzili jej przeszłość po tym, jak media podały do wiadomości, że nie żyje. A dopiero później zrozumieli, kim są ludzie wokół DeeDee, tacy jak Gogol czy Bambi. Ale to nie wszystko, bo ci szpiegzy mieli na liście nazwisko Żółwia, ale też nie widzieli żadnego związku. Dwie zupełnie różne sprawy: przygotowanie porwania DeeDee i podsyłanie dziewczyn żołnierzowi wojsk specjalnych, który wcześniej był najemnikiem.

– Jamal, a my się dziwimy, że on najął jeszcze tęczowe kuce do tej roboty. Nic mu się nie udało. Nic! Teraz musimy się dowiedzieć, kogo w tej desperacji przekonał do ich opłacenia. Może kogoś okradł? Hej! A czemu Malina się nie odzywa? Jest tam z tobą?

– Nie. Poszła jakiś czas temu na górę, a przed chwilą widziałem ją, jak zmierza do ogrodu z telefonem, którego nigdy wcześniej nie miała w rękach.

– Rozumiem, że „załatwia sprawy”.

– Tak – westchnął Jamal, wyglądając przez okno. – Więc jeśli zobaczysz na horyzoncie wielkiego grzyba, jak po wybuchu jądrowym, możesz być pewna, że jedno z drugim ma coś wspólnego.

XLIX

Justyna bardzo polubiła swój nowy dom. Miał mnóstwo zalet, na przykład był oddalony od centrum miasta i zapewniał ciche sąsiedztwo, ale dla niej najważniejsze okazało się coś zupełnie innego, co odkryła zaraz po przyjeździe z Niemiec. Kiedy rozpakowywała rzeczy przywiezione z Mokotowa, znalazła za ścianą w garderobie schowek z sejfem. Zamek sejfu był uszkodzony, ale i tak można w nim było ukryć sporo bibelotów, zwłaszcza takich, których nikt poza nią nie powinien oglądać. Dało jej to do myślenia, że być może w domu są jeszcze podobne kryjówki i, kiedy nikt nie widział, myszkowała intensywnie po pokojach i strychu. Ku swojej radości, odnalazła pięć miejsc, o różnej wielkości, gdzie od razu pochowała problematyczne przedmioty, które mogłyby zrodzić wiele niepotrzebnych pytań w głowach jej teściów. Jednym z tych miejsc był otwór wentylacyjny w pokoju Mariki, tuż pod sufitem. Justyna podważyła zasłaniającą go kratkę i przekonała się, że na pewno nie będzie stamtąd leciało powietrze. Bez chwili wahania schowała w tej dziurze stary telefon komórkowy, który kupiła w komisie, oraz kartę SIM z brytyjskim numerem. Tego dnia, gdy poszła karmić Marikę, dorzuciła w to miejsce dwie karty pamięci – jej własną i Łukasza – z informacjami stanowiącymi ich zabezpieczenie na wypadek, gdyby groziło im jakieś niebezpieczeństwo. Karty oddał jej Tomek Kotowicz, kiedy rozmawiała z nim w jego gabinecie. Kot przyznał, że czuje się zbyt niekomfortowo, będąc wciąż w ich posiadaniu.

Mogłam wcześniej powiedzieć o tym Łukaszowi – myślała, idąc drugi raz tego dnia do skrytki w pokoju córki. – Nie trzymałby broni pod materacem.

Wzięła telefon i kartę SIM, po czym poszła do ogrodu, upewniając się, że jest na tyle daleko, by nikt jej nie usłyszał. Zanim włączyła aparat, zauważyła Brzezińskiego, który w swoim ogrodzie oglądał krzewy, przycinając co chwilę jakąś gałązkę ogromnym sekatorem. Tuż za nim dreptał Mirek Ślesicki, referując z przejęciem o czymś bardzo ważnym.

Włączyła telefon i od razu otrzymała wiadomość.

„Jestem już w Londynie. Zostanę dwa dni. Jeśli znajdziesz chwilę, zadzwoń. S.”

Spojrzała na datę wysłania.

– Dwa dni temu – powiedziała do siebie, lecz nie zdążyła wybrać numeru, bo komórka zabrzęczała w jej dłoni. – Świetne wycucie czasu, Sasha.

– Dostałem wiadomość zwrotną, więc domyśliłem się, że włączyłaś telefon. Cieszę się.

– Jesteś jeszcze w Londynie?

– Tak, ale już niedługo... Właśnie wrzucam ostatnią koszulę do walizki, idę na dół do baru na drinka i jadę na lotnisko. Więc? Wszystko w porządku?

– Nie do końca... Siwy zjawił się w naszym domu wczoraj w nocy.

– Słucham? Był uzbrojony? Zaatakował was? – Głos po drugiej stronie był nie na żarty przejęty.

– Nie wiem, czy był uzbrojony, bo Jamal z moim mężem szybko go uziemili, ale raczej nie chciał nas atakować.

– To czego chciał?

– Wyznać prawdę. W tej chwili jest przesłuchiwany... Sasha, mamy kłopot, jeśli to, co mówi, jest prawdą. Twierdzi, że został zwerbowany przez tęczowe kucyki. Szpiegował nas dla nich.

– O, kurwa! – wyrwało się mężczyźnie.

– Właśnie. Moi ludzie i Kabul naciskają, żeby dowiedzieć się, czy naprawdę Wallace za tym stoi, bo jego nie stać na taki luksus. Generalnie atmosfera wokół mnie robi się napięta... – Justyna oblizwała usta i spojrzała w stronę domu.

– Domyślają się, że nie mówię wszystkiego, i niektórzy z nich uważają, że mój pomysł z wywabieniem Wallace'a jest głupotą. Że narażam innych, nie mając pewności, co może się stać. Namówiłam tych, co zostali w Afganistanie, żeby wstrzymali akcje...

– Justyna, uspokój nerwy i wysłuchaj mnie – przerwał jej Sasha. – To nieprawda, że jego nie stać na wynajęcie kucyków. Jesteś w wielkim błędzie.

– Jak to?

– Wallace mógł załatwić to zlecenie bez pieniędzy, ponieważ jednym z ich szefów jest jego dawny kolega z armii.

– Nic o tym nie wiem. – Justyna skrzywiła się.

– Ale ja wiem. – Sasha ściszył głos. – Pamiętaj o tym, co ci mówiłem na temat najemników. Teraz światem rządzą ci, którzy mają prywatne armie, a nie media czy regularne wojsko. To jest biznes. Kiedyś emerytowani generałowie wędkowali na starość, obecnie bawią się żywymi żołnierzami.

– Więc mógł ich na nas nasłać?

– Mógł i myślę, że to zrobił w zamian za jakieś obietnice. Dzięki, że mi o tym mówisz. I... Justyna, jeszcze raz cię przepraszam, że go nie dopilnowałem.

– Sasha, mówiłeś to dziesiątki razy. Nie musisz...

– Muszę. Uspiałem swoją czujność, uznałem, że jest już niegroźny. Gdybym wiedział, że zechce cię porwać... że będzie was ścigał w Afganistanie... Ten śmieć nic się nie zmienił – wycedził z goryczą. – Powinienem był o tym pamiętać.

– I dlatego poświęcasz się, przyjeżdżając do Polski? Z poczucia winy?

– To nie poświęcenie. Po prostu uważam, że trzeba zakończyć tę sprawę. Byliśmy zbyt pobłażliwi – ty i ja.

– Nie pobłażliwi, Sasha. My po prostu nie wiedzieliśmy o nim wszystkiego.

– Ale to, co wiedzieliśmy, powinno nam było wystarczyć – odparł z gniewem. – To było do przewidzenia, że ktoś taki nie spocznie, nawet jeśli zniszczy się jego karierę i przyszłość. Nie odebraliśmy mu możliwości działania.

– Teraz też może się nie udać – zauważyła.

– Może... – przyznał nieco spokojniejszym tonem. – Ale spróbować musimy.

– Więc... Wyślesz wiadomość?

– Tak! Będę w Warszawie przed północą, ale od rana mogę działać. Napisz, gdzie i kiedy mam być ze swoim aparatem, żeby zrobić zdjęcia. Aha! Zdjęcia Kowaliowa już poszły, gdzie trzeba. W ogóle nie widać, że były ustawiane – roześmiał się. – Wyszedł bardzo naturalnie. Ty też jutro nie pozuj.

– Postaram się. Pójdę już, bo w moim domu jest jakieś zamieszanie. Czekaj na informacje.

Kiedy wyłączyła telefon, zauważyła, że Brzeziński wciąż rozmawiał ze Ślesickim, ale trudno było wywnioskować z jego miny, w jakim jest nastroju. Wcisnęła komórkę do kieszeni spodni i wróciła do domu, gdzie zastała Łukasza z Gogolem, wysłuchujących jakiejś zabawnej historii opowiedanej przez Krzyśka.

– Złapała się za serce i joyczy: „Jego ręka, jego ręka” – relacjonował młodszy z braci, gestykulując przy tym z rozmachem. – Stefan... z miną pokerzysty: „Kobieto, rób to śniadanie”.

Kostek zwijał się ze śmiechu.

– Bo skonam – jęczał, trzymając się za brzuch.

– A potem, jak jedliśmy, Wiktor na jednej ręce trzymał Marikę, a drugą ręką wcinał jajecznicę – kontynuował Krzysiek. – Zofia patrzyła na niego tak, jakby za chwilę miał się pomylić i zjeść Marikę. Wybałuszyła oczy ze strachu, ale nic nie powiedziała. Kiedy wstaliśmy od stołu, zauważyła, że nosi przy pasie nóż. Wtedy złapała torebkę i zawołała: „Stefciu, jedźmy już! Bo się spóźnimy!”.

– A gdzie się spieszyli? – zapytał Kostek, ocierając łzę spod oka.

– Nigdzie. Gdzie mogli się spieszyć o siódmej rano?

– Pojechali do Jacka – wyjaśnił Łukasz. – Dzwonił do mnie, kiedy Justynka była na wizycie, i mówił, że matka wypłakiwała mu się w sutannę, że jej nie rozumiemy i nie doceniamy, a ona tak się stara. A Jacek... Cóż... Pogłuszcze po głowie, pocieszy, pokaże na świetlicę i stwierdzi, że gdyby nie ona, nic by się nie udało z tego Bożego dzieła. Ten scenariusz powtarzał się już ze trzy razy.

– No to dobrze, że macie Jacka – stwierdził ubawiony Kostek.

– Przynajmniej mają gdzie pojechać. O, jest nasza królewna! – zawołał na widok Justyny. – Jak się miewasz? Serduszko zdrowe?

– W normie – odparła. – A wy jak? Przesłuchanie udane?

Kostek oparł się łokciem o oparcie krzesła i spojrzał na nią, robiąc dziwną minę.

– Malinka, powiedz mi jedno: ilu masz jeszcze tych amantów, którzy wypadną ci z rękawa i najadą chałupę, co?

– A co? Mówił coś? – Justyna zmarszczyła brwi.

– A musiał coś mówić? – Puścił do niej oko.

– Co z nim będzie?

– Kot zatrzyma go w bezpiecznym miejscu – powiedział Łukasz. – Nie wszystko, co mówił, wydawało się nam spójne.

Justyna pokiwała głową, patrząc w niewidzialny punkt w przestrzeni.

– OK... – Postukała palcem w brodę. – Wiem już, że Wallace nie musiał płacić za ich usługi, bo kucami dowodzi jego kolega.

Kostek spojrzał na Łukasza, jakby chciał się upewnić, że usłyszeli to samo.

– Wiesz? Co to znaczy, że „wiesz”?

– O, matko! Kostek, nie czepiaj się. – Machnęła ręką. – Powiedz mi lepiej, co Siwy mówił o tym swoim śledztwie. O ile nie zapomnieliście się go zapytać.

– Dowiedz się, pani przemądrzała, że zapytaliśmy.

– No i?

– Gównu się dowiedział. To znaczy odkrył to, co my i tak wiedzieliśmy od dawna. O tobie, o porwaniu...

– Ale skąd? – Justyna wydawała się być zaniepokojona.

– Pytał ludzi w wojsku – wyjaśnił Łukasz. – Przeprowadził własne dochodzenie, mniej więcej takie, jak my robiliśmy w CBS. Był w Poznaniu i Stargardzie, pojechał nawet do szpitala psychiatrycznego i naciągnął Madejskiego na rozmowę. Wie bardzo dużo, ale nic ponad to, co my.

– Dobrze. – Justyna odetchnęła. – Już się bałam, że coś nam umknęło. Gdzie Marika?

– Śpi. – Łukasz skinął w stronę salonu. – Zniosłem kosz. Wiktor z Jamalem oglądają telewizję i jej pilnują.

– Świetnie! Wobec tego pójdę popracować nad sprawami B.S.K. Aha! Kochanie, mógłbyś umówić na jutro rano wizytę u lekarza dla B.B.? Chcę go zabrać na badania.

– Źle się czuje? – Kostek spoważniał.

– Źle. Krzysiek sugerował, by to sprawdzić.

– Tak – potwierdził Krzysztof. – Trzeba jak najszybciej go zbadać.

– Ale jutro sobota.

– Dlatego są gabinety prywatne – odparła Justyna, idąc w stronę schodów.

– I ustalcie, który z was nas zawiezie, bo Łukasz mówił, że chce jechać do swojego biura.

Gogol patrzył jeszcze chwilę, jak Justyna znika na piętrze, i pokręcił głową.

– Jak za dawnych dobrych czasów – Malina rozkazuje, nikt nie dyskutuje.

L

Miał znów ten sen o samotności. Opuścili go nie tylko znajomi, rodzina, podwładni, ale nawet całe jego otoczenie zaczęło się od niego odsuwać. I to w sensie dosłownym. Stał na jakiejś ulicy, całkiem zwyczajnej, z kamienicami, kawiarniami, przystankiem autobusowym, trawnikiem... Aż nagle wszystkie te elementy po prostu oddaliły się od niego, rozsunęły tak bardzo, że nie mógł dosięgnąć ani do budynków, ani do trawnika, nie mógł dotrzeć do przystanku autobusowego czy chociażby do budki telefonicznej, z której mógłby wezwać pomoc.

Obudził się, czując, że ta samotność go dusi, obezwładnia. W podświadomości wiedział, że taki stan nie jest dobry dla żadnego człowieka, że jest on rakotwórczy, wyniszczający. Usiadł w ciemności na łóżku i zaczął nasłuchiwać. Może ktoś jednak był w mieszkaniu? Może chociaż złodziej, do którego mógłby dołączyć i zacząć szukać pieniędzy, choć ich nie miał? Okłamałby go, twierdząc, że ma pod podłogą schowane sztabki złota i przez godzinę, dwie ktoś byłby z nim, porozmawiał, może nawet posłuchałby jego rozkazów.

John od dawna nie rozkazywał. Mógł co najwyżej kogoś o coś poprosić, zlecić zadanie, zasugerować – i nigdy nie miał pewności, że spełni się to, czego chciał.

Położył się znów na wznak i skupił na szumie fal oceanu. Powinny go przecież ukoić. Znów zaczął wyliczać rzeczy, które miał i których tylu innych ludzi powinno mu zazdrościć. Mieszkał w apartamencie przy samej plaży, na rajskiej wyspie, chodził co rano do portu na kawę, robił, co chciał, a w zasadzie tyle, na ile pozwalały mu jego fundusze. No i wciąż miał znajomych oraz plan... Plan, jak niszczyć tych, którzy zniszczyli jego, cieszyć się z oddali ich nieszczęściem, knuć, organizować, mieszać szyki. Od kilku lat to była jego główna rozrywka, cel życia, adrenalina, dająca emocje podobne do tych, jakie odczuwał, skacząc kiedyś ze spadochronem.

Wszystko jest dobrze – myślał, poprawiając koc. – Jestem na właściwej drodze. Nie może być piękniej...

Poranek przywitał go piękną pogodą i dobrym nastrojem, tak jak niemal każdego innego dnia. Ubrał się, uczesał swoje gęste siwe włosy, nałożył słomkowy kapelusz, po czym udał się w stronę portu.

Do szklanki wypełnionej kostkami lodu wlał gorące mleko z dzbanuszka, a potem czarną jak smoła espresso z kawiarki. Kiedy sięgał po łyżeczkę, poczuł silne ukłucie w okolicy serca. To nie był zawał ani dolegliwości żołądkowe – wiedział o tym doskonale – ale przecucie zbliżania się czegoś przykrego, o czym

próbował poinformować go nocny koszmar. Pomasował się po klatce piersiowej i odłożył łyżeczkę na blat, odliczył do dziesięciu i wziął do ręki komórkę.

Wiadomość przyszła po pięciu sekundach. Tylko zdjęcie, jedna fotografia, nawet nie do końca wyraźna, ale wystarczyła za milion słów. Spojrzał na nadawcę.

– Co do... – Zmarszczył brwi. Zadzwoił telefon.

– Nie pociągniesz mnie za sobą. – Rozmówca po drugiej stronie nie zamierzał bawić się w uprzejmości. – To jest twój syf, John, i...

– Nie tylko mój. – Wallace'owi w sekundę wróciła zimna pewność siebie. – Wszyscy w tym siedzimy i każdy miał interes, by zgodzić się na tę grę. Wy większy niż ja. Co to za zdjęcie? Jakiś żart?

Na moment zapadła cisza.

– Nie – wycedził głos. – Zrobiono je trzy tygodnie temu w Warszawie.

– Kto je zrobił?

– Nasz człowiek pod przykryciem. Nie mogę tego nagłośnić ani nigdzie pytać, bo siedzi u nich w ministerstwie obrony narodowej. Załatwia nam kontrakt na śmigłowce wielozadaniowe. Widział go na mieście, jak sobie spokojnie pił kawę w kawiarni.

– Przecież nie żył. – John podniósł się, zostawiając nietkniętą kawę na stoliku. – Gdzie teraz jest?

– Nie wiadomo. Podejrzewamy, że zmienił wygląd. Mógł też wyjechać... – Urwał. – Może chce się dowiedzieć, dlaczego go złapano.

– Złapano go, bo był idiotą. – Wallace szedł energicznym krokiem w stronę swojego mieszkania.

– Idiotą? – Rozmówca wybuchnął szyderczym śmiechem. – To miał być najgroźniejszy przestępca Europy, nie do schwytania, który teraz pewnie myśli, że przez ciebie spędził w więzieniu ostatni rok.

John poluzował pod szyją bardzo luźną koszulę.

– Coś wymyślę... – powiedział po chwili. – Muszę się zastanowić.

– Ja pasuję – odparł jego znajomy. – Nie mieszaj mnie do tej sprawy. Ani mnie, ani reszty... Będziesz musiał działać sam, gdyby coś się stało.

– Ale...

– Nie rozumiesz, co się dzieje, prawda? Nie rozmawiałeś jeszcze z Sashą.

Wallace zatrzymał się w miejscu.

– Dlaczego miałbym z nim rozmawiać?

– Obejmuje stanowisko attaché wojskowego w Warszawie.

– Słucham?! To on robił to zdjęcie?

– Posłuchaj mnie uważnie, bo rozmawiamy ostatni raz. Zdjęci robił nasz agent, ale Sasha zrobił inne, tydzień temu. Odbierz maila, to zrozumiesz. – Po tych słowach rozłączył się.

John nie próbował dzwonić ponownie, bo miał świadomość, że to

bezczelowe. Ruszył, niemal biegiem, do domu, gdzie od razu dopadł do swojego komputera.

Sasha Bailey wysłał maila w nocy. Zawierał dwa zdjęcia i lakoniczną wiadomość:

Szefie, fotografie są autentyczne – sam je zrobiłem po przyjeździe do Polski. Gdyby chciał pan pogadać, proszę zadzwonić. Podaję swój nowy numer.

Wallace musiał się uspokoić, ale widok uśmiechniętej Justyny z dzieckiem na rękę, obok której siedł Jamal, był czymś kompletnie abstrakcyjnym. Czuł się jak buldożer rozwalający z wielkim wysiłkiem budowlę, który po wykonanej pracy odwraca się i widzi, że nie spadła ani jedna cegła, mimo że spodziewał się ujrzeć kupę gruzu.

– To niemożliwe – powiedział do Sashy, kiedy ten odebrał telefon. – To po prostu niemożliwe.

– Szefie...

– Nie było cię, Bailey, nie wiesz wszystkiego.

– Słyszałem, że zginęli. Tak mi powiedział pana następcę, kiedy do niego dzwoniłem ostatnim razem.

– Więc co robią w Polsce? Żywi?

– Nie wiem... Ja... Jeśli pan chce, dowiem się, o co chodzi.

– A co ty w ogóle tam robisz? Dostałeś pełnego pułkownika?

– Tak. Byłem na kursie dyplomatycznym.

– Pamiętam... – John zaczesał palcami włosy. – Sasha... Zostałeś mi tylko ty.

– Nie rozumiem.

– Nie chcę narażać twojej kariery...

– Zrobię, co będzie trzeba. Dla pana.

– Potrzebuję ludzi.

– Jestem tu krótko, jeszcze nie objąłem obowiązków, ale mogę spróbować kogoś znaleźć. Mamy tu paru agentów, ludzi w dużych firmach, w wojsku...

– Nie... – Wallace przygryzł wargę. – Ktoś musi nimi sterować. Jak sam zaczniesz działać, możesz się narażać na zdemaskowanie. Pojadę tam. Załatw mi jakiś przyzwoity hotel na uboczu, żebym mógł zostać w nim dłużej.

– Z największą przyjemnością, szefie.

LI

Gogol stał bez ruchu dłuższą chwilę, wpatrując się w wysokie drzewa okalające parking. Przy uchu trzymał telefon, ale nie mógł nic powiedzieć, tak bardzo złość ścisnęła go za gardło.

– Kostek? – powtórzyła piętnasty raz Justyna. – Jesteś tam? Co z tobą?

– Malina... – wydusił w końcu. – Czy ty zawarłaś pakt z diabłem?

– Nie, dlaczego?

– Jak mogłaś to załatwić? To... to po prostu, kurwa, niemożliwe.

– Mówiłam wam, że jak przestaniemy robić cokolwiek, to wyjdzie ze swojej nory.

– Nie! – Potrząsnął głową. – Na pewno nie! To nie jest aż takie proste.

– Koszuś, spieszę się na spotkanie zarządu, więc odłożmy te dywagacje na później.

– Jakie dywagacje?! – uniósł się Gogol. – Przecież jak go Jamal zobaczył na Okęciu, to mało zawału nie dostał. Pojechał na lotnisko, bo mu kazałaś, ale ostatecznie, czego się spodziewał, to zobaczyć tego faceta.

– Miał upewnić się, że doleciał...

– Ale skąd wiedziałaś, że leci?! Ja pierdolę!

– Posłuchaj. Amerykanie mają w Warszawie agentów, którzy siedzą w urzędach, firmach... no, wszędzie. Celowo kazałam wam biegać po mieście, żeby was któryś w końcu wypatrzył i mu doniósł. I tak się stało. Ja wiedziałam, gdzie mieszkał i... powiedzmy, że miałam swojego agenta stamtąd, który powiedział mi, kiedy Wallace wsiada do samolotu. Tyle. Nic więcej.

– Powinnaś się leczyć. To jest chore.

– Co?

– Nałogowe kłamstwa. Ja ci po prostu nie wierzę. Ale nieważne. O co chodzi z tym Afganistanem? Jamal mówił, że Louis ma jakieś kłopoty.

Justyna roześmiała się.

– Nie ma kłopotów. On tylko po raz pierwszy zobaczył Angie na fapie.

– Na czym? Schlała się?

– Nie. De Soto ma chorobę psychiczną...

– Wiesz co? Niby mnie to nie dziwi, ale... Jak mogłaś kontaktować się z kimś takim?

– Jesteś uprzedzony. Uspokój się! Angie ma jakieś zaburzenia dwubiegunowe, czy coś innego z osobowością, i czasem jej odwała. Coś się wydarzy, jakiś nagły zwrot akcji, i jej odbija. Pojęczy, popłacze i tyle. Powiedzmy, że Louis nie nawykł do zajmowania się takimi przypadkami. Ale chyba naprawdę

się zaangażował, bo sam do mnie zadzwonił, mimo że nienawidzimy się z całego serca. Angie wpadła w żalobę po Kirkwoodzie, no i poczucie winy za obcięcie głowy ojcu swojego dziecka. Moim zdaniem jednak problem jest gdzie indziej.

– Gdzie niby?

– W tym, że zgłosiły się do niej tęczowe kuce.

– „Zgłosiły”? Chyba raczej najechali ich z bazukami.

– Nie. W jej restauracji pojawił się pokojowy wysłannik z propozycją ugody.

No... Przynajmniej na jakiś czas. Dla układu nerwowego Angie to było za dużo.

– Dlaczego?

– Bo ma teraz wiele spraw na głowie i nie ogarnęła, jak doszło to tej sytuacji.

– Bez sensu.

– Dla nas tak, ale dla kogoś chorego to jak wylecieć nagle z rozpędzonej kolejki. Po pierwsze, skąd kuce wiedziały, gdzie jej szukać, po drugie, czy przypadkiem jej nie okłamują, a po trzecie, na jakie warunki przystać.

– Ale czekaj! – Kostek machnął ręką, jakby Justyna mogła go zobaczyć.

– Bo nie mówimy o tym, co najważniejsze. Co się zmieniło? Przestali im płacić?

– Yy... Myślę, że ich dowódca wycofał się z układu z Wallace'em.

– Myślisz czy wiesz?

– Kostek! Ja naprawdę się spieszę.

– Dobra, niech ci będzie. Mirek wychodzi ze sklepu, więc będziemy jechać.

Lubicki podszedł do Kostka z uśmiechem najwyższego zadowolenia na twarzy i podał mu papierowy kubek z kawą.

– Podoba mi się ta przygoda – stwierdził, rozglądając się wokół.

– Jeszcze nawet nie zaczęliśmy. – Gogol ruszył w stronę auta.

– Ale wiesz, już jesteśmy w drodze, jedziemy... Będziemy działać. – Mirek zajął miejsce pasażera i westchnął. – A już myślałem, że nic mnie ciekawego nie spotka.

Kostek spojrzał na niego z ukosa.

– Żabciu, jeśli popracujesz dłużej z Meyerami, będziesz miał ciekawych rzeczy aż nadto. Może ci się odechcieć. Włącz mi nawigację. Nawet nie wiem, gdzie jesteśmy.

– Rozmawiałaś z Justyną? – zapytał Mirek, umieszczając GPS na przedniej szybie.

– Tak, ale nie dokończyłem, bo się podobno bardzo spieszyła na zebranie zarządu. Bo to teraz wielka pani prezes.

Mirek potrząsnął głową.

– Dziś nie ma zebrania zarządu w B.S.K. Będzie w poniedziałek. Justyna prosiła, żebym w tym czasie zajął się Mariką.

Gogol mruknął coś złośliwego pod nosem.

– Kiedyś język jej odpadnie od tych kłamstw. Ale czekaj! To ty tam ciągle

pracujesz?

– Tak, do końca miesiąca. Jestem na wypowiedzeniu.

– Ale dla biura Łukasza już robisz.

– Tylko w weekendy. Zanim na dobre ruszyliśmy z pracą, pojawiły się pierwsze zlecenia. Stąd ta śliwa. – Pokazał wielkiego krwiaka w kolorze ciemnej żółci pod okiem.

– Ta... Łukasz mówił, że cię pan kochanek nieco poturbował. Twój nowy szef chyba mózgu nie ma, że wysłał cię na czynności samego na Pragę.

– Miało być łatwo i prosto...

– Nigdy nie jest łatwo ani prosto i Meyer powinien o tym wiedzieć najlepiej.

– Dlatego szukamy ochroniarza dla nas, żeby jeździł z nami w teren. Był wczoraj jeden chłopak na rozmowie, Sebastian. Myślę, że go weźmiemy. Wyglądał jak napakowany zbir, ale okazało się, że jest bardzo miły, a ja lubię miłych ludzi, bo uważam, że jest ich za mało na świecie.

– Zgadza się. Trudno się pracuje z mrukami i gburami.

– Bałem się, że jak mnie moja Krysia zobaczy z tą śliwą, to się zdenerwuje, ale... – uśmiechnął się. – Wydaje się, że zrobiłem się w jej oczach bardziej męski.

Kostek prychnął.

– Złociutki, zazdroścę. Sam od lat jeżdżę na wojny i robię straszne rzeczy, ale moja Kaśka ma w oczach ciągle to samo, co przed ślubem.

– Czyli?

– Zdziwienie. „On ledwo odstaje od ziemi, jak on nosi ten karabin? Pewnie ściemnia i robi tam coś innego”.

– Niemożliwe. Założę się, że nie okazuje prawdziwych uczuć. Kobietom się to zdarza. Mam w domu trzy, wiem, co mówię. To znaczy okazują, ale robią to tak, że nie wiesz, o co im chodzi.

– Może... – Kostek uśmiechnął się. – Czyli będzie was trzech w tym biurze?

– Dolicz jeszcze moją Kysię i syna.

– Jak to?

– Krystyna zaangażowała się w sprawy organizacyjne, kadrowe, księgowo, marketingowe i remontowe. Mój syn zaś uparł się jak osioł, że też chce współpracować. Skończył właśnie osiemnaście lat. Poszliśmy na kompromis, że jeśli będzie się uczył na przyzwoitym poziomie, każdy weekend i ferie może spędzać w biurze. Powiem ci w sekrecie, że to mój osobisty, ojcowski tryumf.

– Że poszedł na ten kompromis?

– Nie. Konrad zawsze uważał mnie za nudziarza z nudnym zawodem. Nie zapomnę dnia, kiedy powiedział mi, że nigdy, przenigdy nie będzie chciał ze mną pracować, że wyprowadzi się od nas, ode mnie, od mojego życia... A teraz? Zrywa się rano i pyta: „Pojedziemy potem do biura? Masz jakieś sprawy? Mogę pomóc!”.

– Gratulacje! – Kostek poklepał Mirka po ramieniu. – Może i dla mnie jest

nadzieja. A nie był zły, że nie zabrałeś go dzisiaj?

Mirek skrzywił się.

– Nic mu nie powiedziałem. Poprosiłem Łukasza, żeby go wysłał z aparatem zbierać dowody w jakiejś łatwej sprawie. Aha! Mamy jeszcze jednego człowieka. Tego redaktora, który pomagał w śledztwie CBS po porwaniu Justyny. Nie wiem dokładnie, co robił, ale rozwiązali mu gazetę i zaczął działać jako wolny strzelec. U nas też nie będzie na etacie.

– To jakiś dziennikarz?

– Tak. Jest naprawdę dobry w szukaniu informacji i rozmawianiu z ludźmi. Zna się na podsłuchach, kamerach, teczkach, archiwach... To dzięki niemu udało się nam namierzyć tego żołnierza, po którego jedziemy.

– To pokaż, co o nim wiemy.

Mirek wyciągnął z torby tableta. Otworzył folder z informacjami o poszukiwanym i poprawił swoje grubo oprawione okulary.

– Kapitan Mateusz Ogrodnik, pochodzący z Łodzi. Trzydzieści sześć lat, córka Marta, rozwiedziony.

Kostek syknął.

– Młody. Co piszą o służbie?

– Skończył WSO we Wrocławiu, pracował rok na etacie dowódcy plutonu w Międzyrzeczu, potem zdał egzaminy do GROM-u. Był aż cztery razy w Afganistanie i... O, matko! Jeździł do Iraku piętnaście razy. Zna biegle arabski, angielski i francuski oraz paszto w stopniu umożliwiającym porozumiewanie się. Jego zadanie na misjach polegało głównie na dogadywaniu się z miejscowymi.

– Czekaj! – Kostek przerwał mu. – Tyle razy jeździł na Wschód, a nie siedział ciurkiem roku czy dwóch. To oznacza, że robił za tłumacza w czyichś wyjazdach, a nie kontakt z miejscowymi. Kurwa, pewnie chodziło o handel bronią.

Mirek spojrzał na niego zdumiony.

– Handel... bronią? Ale...

– Tak, nieważne... – Kostek machnął ręką. – Próbuję zarysować sobie w głowie obraz sytuacji. Akta zazwyczaj ukrywają całość. Mógł widzieć i słyszeć różne rzeczy... Rozumiesz?

– Tak, choć mi się to nie podoba. Ale coś mi nie pasuje w tej całości.

– No?

– Mój analityczny umysł widzi tutaj pewną nieścisłość. Facet zna kilka naprawdę trudnych języków, co oznacza wybitne umiejętności. Jest wciąż bardzo młody, więc nauczył się ich szybko, bo nie ma wzmianki, by wychowywał się na przykład w placówce dyplomatycznej. Więc... Dlaczego, do cholery, poszedł na dowódcę plutonu zmechanizowanego, a nie na lingwistykę stosowaną?

– Jego zdolności mogły wyjść w szkole oficerskiej i już tam go ktoś wypatrzył, a żołnierze zawodowi rzadko mają tendencję do porzucania munduru

dla cywilnej kariery, chyba że ci po WAT. Ale masz rację – jest w tym nieścisłość. Czytaj dalej. Może coś się nam rozjaśni.

– W wieku dwudziestu ośmiu lat, krótko po ślubie, stwierdzono u niego zaburzenia psychiczne...

– Dwadzieścia osiem? – Kostek wydał usta z niezadowoleniem.

– Tak. To coś dziwnego?

– Nie. Po prostu moja teoria o tym, że ktoś mu to zrobił celowo, upadła. Kombinowałem, że po tych Irakach i Afganistanach, jak już nie był potrzebny, ktoś go walnął cegłą w łeb, żeby zapomniał.

– Z tych dokumentów wyraźnie wynika, że jeździł po diagnozie. W sumie... to dziwne, że chorego brali. Albo nie... – Mirek postukał palcem w ekran. – Oni go wykorzystali.

– To na pewno.

– Nie! Jego chorobę. Oprócz rozszczepień osobowości, lekarze stwierdzili zespół Aspergera. Wiem, co to za choroba. Dzięki niej niektórzy ludzie są nieprawdopodobnie zdolni w pewnych dziedzinach, chociażby w nauce języków obcych.

– Ja pierdołę! – Kostek pokręcił głową. – Pewnie podsuwali mu książki i kursy, a jak się nauczył, to wozili w tę i z powrotem, aż go wycisnęli jak cytrynę i wyrzucili. Bez terapii miał zniszczone życie.

Mirek posmutniał.

– Okropne – szepnął. – Tutaj piszą, że żona widziała go ostatnio trzy lata temu, jak leżał na oddziale leczenia chorób tropikalnych w Trójmieście. Potem był jeszcze dwa razy w Afganistanie, wrócił i przenieśli go do rezerwy, po uprzednim orzeczeniu komisji o niezdolności do pełnienia służby. KołECKI... To znaczy ten dziennikarz mówił mi, że tylko Brzeziński go szukał. Wszyscy inni nabierali wody w usta albo robili się agresywni, kiedy o niego pytał.

– Wszyscy?

– W wojsku. Był nawet w ministerstwie. Kilku kolegów też próbowało go szukać, ale nie mieli funduszy. Dopiero teraz... udało się nam.

– To nie tak, że nie mieli kasy na poszukiwania. Są przecież fundacje albo stowarzyszenia kombatanckie, które pomagają. Po prostu w tym wypadku każdy, kto go znał, woli się nie wychylać. My, z ramienia prywatnego biura detektywistycznego, mamy w dupie układy, dlatego znaleźliśmy go szybko. Wystarczyło rozesłać portrety po komendach i komisariatach, żeby ktoś w końcu skojarzył, że jest podobny do tego dziwaka z lasu, który żywi się jagodami i wygląda, jakby miał zaraz umrzeć.

– Tak, te zdjęcia były dość wymowne.

– Słuchaj, Mireczku! Na miejscu może być różnie, on może być... dziwny. Co ja opowiadam? Na pewno będzie dziwny. Musimy ocenić, czy możemy

pozierać jego truchło i zabrać samochodem, czy trzeba wezwać pogotowie. Nie zapomnij zabrać rękawiczek i apteczki.

– A jeśli będzie w miarę na chodzie? Co z nim zrobimy?

– Jedziemy w lubuskie, a to nie tak daleko od wielkopolskiego, a to już całkiem blisko do naszego dobrego kolegi Józefa, a to... – obrócił głowę w stronę Mirka i poruszył wymownie brwiami – to oznacza, że jutro będziemy mieli kaca.

– Nic nie rozumiem.

– Zawieziemy odnalezionego do Ziutka, żeby go trochę potrzymał u siebie i doprowadził do ładu. Ziutek ma gospodarstwo, wielką stodołę i komórkę z bimbrem. Oprócz tego wsławił się w robieniu śliwowicy i wiśniówki.

– Kurcze, fajnie! – ucieszył się Mirek. – Mam nadzieję, że będzie na chodzie. To znaczy ten cały Mateusz.

– Ja też – odparł Kostek, poprawiając się w fotelu. – Wjeżdżamy na autostradę, wciskam mocniej pedał gazu i rozpoczynamy naszą przygodę.

Dojechali do skrzyżowania autostrady z trasą S3 i skręcili w lewo, kierując się na Sulechów. Kilka kilometrów przed Sulechowem odbili w prawo i zaczęli szukać lasu, gdzie miał przebywać zaginiony mężczyzna.

– Myślę, że tu będzie najbliżej – powiedział Mirek, patrząc na Google Maps. – Zatrzymaj się gdzieś, skąd na piechotę dotrzemy do punktu naszych współrzędnych.

– Tu są jeszcze jakieś domy, a wolę uniknąć ciekawskich. Znajdę może wjazd do lasu i tam zaparkuję.

Jak postanowił, tak też zrobił. Wysiedli z auta i od razu natknęli się na parę starszych grzybiarzy z koszami.

– Jak tam zbiory, panowie? – zawołał wesoło Kostek.

– Marnie, panie, marnie. – Jeden z pytanych machnął ręką.

– A w tych koszykach to co niby? Granaty?

– E, tam... Parę sztuk podgrzybków, ze dwa maślaki... Nic wielkiego.

Kostek podszedł bliżej i spojrzał mu prosto w oczy.

– Słuchajcie, nie jesteśmy tu po to, żeby wam wybierać najlepsze grzyby. Szukamy człowieka, bezdomnego... – Sięgnął do kieszeni w kurtce. – Mam zdjęcie.

– A, nie, nie trzeba. – Drugi z mężczyzn pokręcił głową. – Ja wiem, o kim pan mówi. Musicie iść ze dwa kilometry w tamtym kierunku, na południowy zachód. Siedzi w takiej rozwalającej się szopie. Widziałem go kilka razy.

– I co? Bardzo źle z nim?

– Trudno powiedzieć. – Uniósł ramiona. – Płoszy się, jak widzi ludzi. Ale zdrowy chyba nie jest, bo strasznie chudy i ma taką brzydką skórę...

– Rozumiem. – Kostek skinął głową. – Nie zaczepiam już. I dzięki. – Skinął na Mirka i poszli we wskazanym kierunku.

Szopę, o której mówił grzybiarz, zobaczyli już z daleka. Miała jedno okno z wybitą szybą i dużą deskę zastępującą drzwi.

– Weź latarkę – powiedział Gogol. – Ja odsunę tę dechę.

Chcieli wejść do środka, ale zdołali zrobić jedynie pół kroku, zatrzymani przez niemożliwy do wytrzymania smród. Mirek nie był w stanie nawet włączyć latarki, zajęty łapaniem powietrza. Kostek przez chwilę wstrzymywał oddech, ale zaraz się opanował i wciągnął nieco tlenu przez usta.

– Przywyknijemy – szepnął. – Poświeć.

Snop światła omiół ciemne pomieszczenie wypełnione deskami, pustymi puszkami po jedzeniu i starymi gazetami.

– Gdzie on jest? – Mirek wyteżył wzrok.

Kostek nie zdołał odpowiedzieć, bo nagle stos gazet w kącie szopy uniósł się nieco. Podeszli tam i spojrzeli z góry na przypominającego żywe zwłoki człowieka.

– Boże drogi – westchnął Gogol. – Całe szczęście, że Malina tego nie widzi.

– Kto?

– Justyna. Pękłoby jej serce.

Leżący na ziemi mężczyzna nie spojrzał na nich, choć miał szeroko otwarte oczy. Patrzył na zbitą z desek ścianę, jakby coś tam było napisane. Trudno było określić, jakie elementy ubioru miał na sobie – wszelkie kształty i kolory zatarły się całkowicie. Kostek z przerażeniem stwierdził, że miał bose stopy, które wciskał pod kupkę gazet. Zapadnięte policzki poruszały się, jakby coś chciał powiedzieć, ale żaden dźwięk nie wydobywał się z jego ust.

– Prawie nie ma włosów – zauważył Mirek. – Co robimy?

– Rozejrzyj się po tych rupieciach. Może są tu jakieś jego rzeczy, dokumenty albo... coś. Nie możemy niczego przeoczyć.

Lubicki nałożył lateksowe rękawiczki i zaczął przeszukiwanie szopy. Kostek kucnął przy mężczyźnie i dotknął lekko jego ramienia.

– Dzień dobry. Pan Mateusz?

Brak odzewu. Gogol pomyślał, że człowiek ten może być całkowicie upośledzony na umyśle, ale po dłuższym przyglądaniu się jego twarzy doszedł do wniosku, że ma na to zbyt przytomne oczy. Podniósł się i też naciągnął rękawiczki na dłonie.

– *Salam alejkum* – przywitał się wesoło.

– *Wa `alejkum salam* – padła automatycznie odpowiedź.

– O, cholera! – Mirek z wrażenia upuścił deskę, którą właśnie podnosił.

Kostek zerknął na niego z uśmiechem.

– Widzisz? Znalazłem kod do odblokowania. – Popatrzył znów na mężczyznę na ziemi, który skierował wzrok ku górze. – Ładny mamy dziś dzień, panie Mateuszu.

Człowiek odpowiedział coś, ale zabrzmiało to jak bełkot.

- Bredzi czy nie może się wysławić? – zapytał Mirek.
 - Ani jedno, ani drugie. Obraża mnie.
 - Czyli?
 - Słabo znam paszto, ale właśnie powiedział, że jestem mały.
 - Żartujesz?!
 - Nie. Stwierdził: „Nie jesteś za duży”. Dowcipniś się znalazł.
- Mirek kucnął.
- Panie Mateuszu, czy mógłby pan z nami porozmawiać po polsku?
 - Kim jesteście? – wymamrotał.
 - Biuro pracy tymczasowej i stałej generała Brzezińskiego – odparł Gogol.
- Przyjechaliśmy zaproponować panu etat.
- Mateusz znów odwrócił wzrok w stronę ściany i przez chwilę nic nie mówił.
- Możemy zabrać pana już teraz – dodał Mirek. – Mamy samochód.
- Mężczyzna otworzył usta i popatrzył na Kostka.
- A macie coś do jedzenia? – zapytał.
 - Mamy pączki. – Kostek pokiwał głową. – I gorącą kawę.
 - To pojedę. – Mateusz niezgrabnie zaczął odgarniać gazety ze swojego tułowia. Gogol nachylił się i złapał go za chudą dłoń.
 - Spokojnie! My się tym zajmiemy.
- Kiedy odkopali go spod kupy gazet, okazało się, że jest jeszcze chudszy, niż wskazywały na to jego zapadnięte policzki. Obejrżeli jego ciało, sprawdzając, czy stan zdrowia pozwala na przeprowadzenie go do auta. Nie dał się jednak rozebrać, ale za to coraz głośniej domagał się obiecanych pączków, więc ostrożnie podnieśli go i wyprowadzili z szopy.
- Nie ma butów, a do szosy jest kawał drogi – powiedział Gogol. – Mirek, weź wszystkie klamoty, ja go przeniosę.
 - Ale... jak?
 - Dam radę, tylko pomóż mi go wsadzić na plecy.
- Lubicki przekonał się, że Kostek naprawdę ma dość sił, by nieść człowieka przez ponad dwa kilometry po nierównym terenie, nie dostając przy tym nawet zadyszki.
- Jest bardzo lekki – wyjaśnił. – Na moje oko waży nie więcej niż czterdzieści kilogramów. Mam tylko nadzieję, że nie ma żadnych ran, które mu zaszkodzą podczas transportu.
 - A pączki będą? – odezwał się Mateusz z jego pleców.
 - Przypomina mi mojego syna – westchnął Gogol. – Jak się na coś uprze, to jedynie o tym potrafi mówić. Będą, zuczku, będą.
- Dotarli do szosy i posadzili mężczyznę na kocu rozłożonym na ściółce.
- Daj mu tych pączków, Mirek. Niech się w końcu nacieszy. Ja przygotuję mu miejsce na tylnej kanapie. Ufam, że jakoś dojedziemy do Zjutka z tym

szkieletorem w jednym kawałku. A! I wstąpimy w najbliższym mieście do sklepu po skarpetki dla niego. Aż mnie zęby bołą, jak patrzę na te stopy.

W trakcie jazdy Gogol zerkał co chwilę w lusterko, sprawdzając, co z Mateuszem; starał się też jechać bardzo ostrożnie, żeby nie zrobić mu większej krzywdy. Ich podopieczny wydawał się jednak niezwykle sprawny i silny, jak na swój kiepski stan. Siedział wyprostowany i rozglądał się z zaciekawieniem wokół.

– Nażarł się cukru – powiedział do Ziułka, kiedy o zmroku dojechali do jego gospodarstwa. – To go chyba postawiło trochę na nogi.

Ziutek był świetnie przygotowany na ich przybycie. Naszykował w pokoju na parterze łóżko oraz czyste ubrania.

– To od księdza proboszcza – wyjaśnił, pokazując wyprany dres. – A tak niedawno szedłem do wielebnego po ubrania dla Justynki.

Mirek zmarszczył brwi i spojrzał pytająco na Kostka.

– Dla Justyny? Naszej Justyny?

– Tak. Ziutek pomagał jej po porwaniu. To nasz bohater narodowy. – Poklepał Nienackiego po plecach. – Swój chłop.

– E, tam... – Wyraźnie wzruszony Ziutek machnął ręką. – Co trzeba, to robię... Aha! Przyjdzie lekarz, też swój chłop. Mieszka tu we wsi, pracuje w Poznaniu. O niczym nie piśnie słowa. Wy się wykąpcie, a ja popilnuję biedaka.

– Może lepiej jego wykąpać? – Mirek wskazał na siedzącego w kuchni Mateusza.

– Nie, zabciu. – Kostek pokiwał palcem. – Po pierwsze, lekarz musi stwierdzić, czy ma dość sił, a po drugie, my capimy tak, że Ziułkowi zaraz oczy z orbit wyjdą. Daj nam też coś na przebranie, bo nie przewidzieliśmy, że się dodatkowy ciuch przyda. A poza tym, mój drogi – spojrzał Nienackiemu prosto w oczy – szykuj się na spowiedź. Nieźle się o tobie nasłuchałem w Bułgarii.

LII

Mimo że nie tylko nie była już zwykłą pracownicą tej korporacji, ale została jednym z jej wiceprezesów, wchodzenie do części firmy, w której pracowała, kiedy ją porwano, stanowiło pewną trudność. Wspomnienia uderzały mocno w podbrzusze, podobnie jak zapachy i odgłosy rozmów. Teraz przy jej biurku siedziała inna osoba, także męcząca się nad tabelami w Excelu, która na jej widok zawsze odruchowo wstawała z miejsca, jakby odczuwała zawstydzenie z powodu zajmowania cudzego fotela.

W środku Justyna wciąż była osobą sprzed roku, która nienawidzi B.S.K., która nie lubi z kimkolwiek się zadawać, która odlicza minuty do końca pracy, czyli w tym wypadku zebrania zarządu. Ale doskonale udawała kogoś innego; wyskakiwała w domu z luźnego dresu, przebierała się w dopasowane garsonki za tysiąc złotych, malowała się bardziej wyraziście i nie związywała już włosów. Kiedy tego dnia mijala recepcjonistkę Karolinę, myślała, że w sumie jej historię można napisać od nowa. Nie byłaby to opowieść o Justynie, którą ktoś porwie, ale o Justynie przebranej w strój wiceprezesa, znów skrywającej wielkie tajemnice.

– Nic się nie zmieniło – powiedziała z westchnieniem do Mirka, stawiając na jego biurku fotelik z Mariką.

– Jest moja księżniczka! – Wyrwany z zamyślenia Lubicki poderwał się i wyciągnął ręce po Marikę. – Jak dobrze, że przyszłaś uratować wujka z jego koszmaru. Choć przez chwilę zajmę się czymś normalnym. Ale zaraz! – Spojrzał zdziwiony na Justynę. – Co ty mówiłaś? Że nic się nie zmieniło? W jakim sensie?

– Odgrywam rolę – odparła. – Wciąż nie jestem tym, kim jestem.

– O czym ty opowiadasz? Coś nie tak na zebraniu?

– Nie. Wszystko OK. Dziś moje przybycie, zarówno na górze, jak i tutaj, wywołało mniejszą sensację. Jest szansa, że któregoś dnia wejdziesz niezauważona.

– To niemożliwe – stwierdził Mirek ze śmiechem. – Nigdy nie jesteś niezauważona.

– I to mnie właśnie martwi – mruknęła.

– Miałem nadzieję, że nie będziesz jej brała na zebranie i że zajmę się nią dłużej, a ty poleciałaś z Mariką na górę.

– Będziesz miał okazję się wykazać. Wychodzę i proszę cię, byś ją trochę poniańczył.

– Gdzie wychodzisz?

– Później ci opowiem. Słuchaj, masz jakieś wieści o tym waszym ocalałym z lasu?

– Tak. Kostek dzwonił i mówił, że dochodzi do siebie, co jest dla mnie

zdumiewające. Wynieśliśmy z szopy wrak człowieka. Na razie zostanie u Ziutka, ale lekarz chce go przebadać w szpitalu. A! I ciągle pyta o dwie rzeczy: kiedy dostanie coś do jedzenia i co z tą pracą.

– Jaką pracą?

– Kostek powiedział mu, że mamy dla niego ofertę pracy.

– Aha... Ale ma coś z głową?

– Zdrowy nie jest, ale, jak na mój gust... – ściszył głos – jest zdrowszy niż połowa ludzi w tej firmie.

Justyna parsknęła śmiechem.

– To nie jest śmieszne. Ostatnio po twojej wizycie bezmózga Marta zapytała mnie, co Marika ma z twarzą, bo jakoś dziwnie wygląda. Powiedziałem, że nosi warstwę ochronną przeciwko głupocie. Mateusz z lasu chociaż języki zna.

– O, bo skonam! – Justyna złapała się za brzuch. – A co im mówiłeś, kiedy dziwili się z powodu mojego kosmicznego awansu?

– To, moja kochana, była akcja zakrojona na szeroką skalę. Rozpuszczałem plotki, a potem siedziałem w tym oto fotelu i tylko brakowało mi kubeczka z popcornem. Marcie powiedziałem, że wygrałaś w totka i wykupiłaś Adamiaków. Uznałem, że jeśli wymyślę jakąś bardziej skomplikowaną intrygę, jej zwoje wyprostują się do końca. Analitykom sprzedałem historię o tym, że dokonałaś przełomowej analizy rynku, która dała firmie miliony na giełdzie, za co nagrodzono cię tym stanowiskiem. Potem, żeby było śmieszniej, Słotwiński obciął im premie kwartalne, więc moja wersja zaczęła im składać się w całość. W kadrach i finansach opowiadałem o bogatych krewnych Łukasza, którzy zapisali wam w testamencie posiadłości na Szeszelach...

– Na Szeszelach? A co ma jedno z drugim wspólnego?

– No i tu jest cały szkopuł – zaśmiał się. – Nie ma nic, ale oni tak kombinowali, że znaleźli wyjaśnienie, sobie tylko wiadome. Prawdziwe plotki zaczęły się wówczas, gdy ja złożyłem wypowiedzenie. Ostatnia wersja jest taka, że z działu nowych technologii wojskowych zrobiłaś spółkę-córkę i że zostałem w niej prezesem.

– Gratuluję! – Justyna uściśniła mu dłoń.

– Co ty robisz? Właśnie w tej chwili uwiarygodniłaś tę wersję.

– I o to chodziło. Idę, bo widzę, że Słotwiński jest gotowy na spotkanie ze mną. W razie potrzeby pieluchy są pod kocykiem.

– Prezes od pieluch, kurna olek – mruknął Mirek.

Słotwiński czekał na Justynę przy drzwiach swojego gabinetu. Skinęła na niego, więc poszedł za nią w stronę wyjścia z biura. Przy windach stał prezes Jakubowski.

– Więc? – Spojrzał na nią pytająco. – Dowiemy się, co to za misja?

– Jedziemy na dół na kawę – wyjaśniła, wciskając guzik przywołujący

windę. – Będziemy... widoczni.

Prezesi wymienili wiele mówiące spojrzenia.

– Bawi panią dręczenie nas? – Jakubowski wyglądał na zdesperowanego.

– Tak samo jak was bawiło knucie za moimi plecami – odparła, patrząc przez szklaną ścianę na ulicę.

– Pani Justyno – zaczął Słotwiński – nie zrobiliśmy tego...

Obróciła głowę i popatrzyła na niego z gniewem.

– Nie bawi mnie – wycodziła. – Wasza „udręka” to tylko efekt uboczny tego, co należy zrobić w mojej sytuacji.

Mężczyźni nie odpowiedzieli. Drzwi od windy otworzyły się, więc weszli do środka, w milczeniu zjechali na parter i udali się do kawiarni, gdzie zamówili kawę, po czym zajęli miejsca wybrane przez Justynę.

– Odnoszę wrażenie, że siedzimy przy oknie nieprzypadkowo – powiedział Jakubowski znad swojego kubka. Rozglądał się dyskretnie po lokalu, szukając odpowiedzi na kołaczące się w jego głowie pytania.

Justyna rozsiadła się wygodnie w swoim fotelu z wysokim oparciem i spojrzała na niego, jakby wiedziała, o czym myśli.

– Wie pan, że moja matka była współpracownikiem bezpieczeństwa? – zapytała, skupiając na sobie całą uwagę prezesów.

– Nie... Ale... Co pani mówi?

– Tak. Myślałam, że kumpel Chodziński zdradził tę tajemnicę, skoro powiedział o tylu innych.

– Pani matka? – Słotwiński wydawał się nie dowierzać. – Sprawdzaliśmy... Przepraszam! Pani wie, że robiliśmy o pani wywiad, ale...

– Chodziński wie o tym mało chlubnym fakcie, ale widocznie ma jakiś powód, że zachował go dla siebie. Widziałam jej teczkę. Nic w niej nie ma, oprócz podpisanego zobowiązania o współpracę, paru notatek ze spotkań w Łomży z jej „opiekunem” i świstka papieru stwierdzającego, że Irena Dąbek nie nadaje się do tego zadania, bo wykazuje poważne zaburzenia emocjonalne. Ale... Na liście współpracowników figuruje.

– Dlaczego Chodziński miałby to przemilczeć? – Jakubowski zmienił nagle ton. Pochylił się do przodu i Justyna wiedziała, że teraz będzie rozmawiał z nią jak równy z równym.

– Konrad. – Słotwiński podniósł dłoń. – Pani Justyna mówi, że nic w tej teźce nie było, więc pewnie uznał, że to nieistotne.

Jakubowski wbił w kolegę wzrok wściekłego drapieżnika.

– Prosiłem go, żeby powiedział mi o wszystkim – wysyczał, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

– Myślę, że padł ofiarą własnych fałszywych domysłów – powiedziała Justyna ze spokojem. – Tak jak moi koledzy w wojsku, którzy wymyślili, że mam

wysoko postawionych krewnych. Zobaczył tę teczkę i doszedł do wniosku, że została sfalszowana.

– A jej treść ktoś usunął – domyślił się Jakubowski.

– Tak mi się wydaje. – Kiwnęła głową. – Moja matka naprawdę nie jest normalna. Sam fakt, że podpisała to zobowiązanie o tym świadczy. Popytałam nieco dalszą rodzinę o ten czas i dowiedziałam się, że wtedy mocno odbiło jej po odejściu mojego ojca. Być może chciała znaleźć sposób na odnalezienie go, wydawało jej się, że służby jej pomogą, że mają możliwości... Tak czy inaczej,teczka jest, są też domysły. Pana kolega, panie prezesie, żyje tymi domysłami, co jest mi na rękę.

Jakubowski odwrócił na chwilę wzrok i spojrział przez okno.

– Dezinformacja – powiedział cicho.

– Zgadza się. Potrzebuję tego zamieszania wokół mojej osoby, żeby odwrócić uwagę od tego, co naprawdę robiłam, kiedy mnie nie było. Matka-superagentka świetnie wpisuje się w mój plan, kiedy załatwiamy kontrakty na sprzedaż technologii wojskowych i nie chcemy, by wiadano, skąd mamy nabywców.

– Od dawna pani o tym wie? O tej teczce? – Jakubowski znów na nią patrzył.

– Od dawna. Kiedy wróciłam z Afganistanu po pierwszym pobycie i szukałam pracy w mieście, spotkałam dawnego wykładowcę ze szkoły podoficerskiej, który pochwalił się, że dostał etat w kontrwywiadzie wojskowym. Nie wiem, czy chciał mi zaimponować, żeby umówić się na kawę, ale to on wyciągnął dokumenty matki i pokazał mi je. Dużo ryzykował, bo trzeba było udać się do kogoś w służbach niewojskowych. Zresztą... Potem go wylali za ujawnianie tajemnic, chyba nawet poszedł siedzieć, ale założę się, że nie omieszkał wspomnieć o mnie komuś w MON, na przykład swojemu ministrowi.

Jakubowski pokręcił głową, ale już nie komentował. Słotwiński wyglądał, jakby właśnie połknął kij od szczotki.

– I ma pan rację – odezwała się po chwili. – Siedzimy w tym miejscu nieprzypadkowo. Rozglądał się pan, więc pewnie zauważył pan siwego faceta w fotelu przy wejściu z lobby. Siedzi dokładnie tam, gdzie ja siedziałam rok temu, kiedy ganiał za mną Kowaliow przebrany za mojego kolegę Józwińskiego, co jest o tyle znamienne, że to właśnie ten człowiek zlecił moje porwanie.

Jakubowski wyprostował się gwałtownie. Wyuczone instynkty kazały mu nie odwracać się w tamtą stronę. Słotwińskiemu było nieco trudniej opanować ciekawość, więc sięgnął po kubek z kawą, którym zasłonił nieco twarz, by zerknąć na Wallace'a.

– To nie Kowaliow – szepnął do kubka.

– Och, nie! – zaśmiała się Justyna. – To jego zleceniodawca.

– Kowaliow nie żyje – mruknął Jakubowski, udając, że bardzo ciekawi go

widok za oknem.

– Przeciwnie. – Justyna pokręciła głową. – Siedzi schowany za gazetą. To ten uroczy szatyn z pasemkami, w średnio drogim garniturze.

Krew z twarzy Jakubowskiego odpłynęła w sekundę. Justyna przez moment bała się, że zemdleje.

– Spokojnie – powiedziała cicho. – Nie jest tu ze względu na was, tylko na tamtego. Obserwuje go i pilnuje. To on mi wysłał wiadomość, że zleceniodawca już tu jest.

– Ale on nie wygląda jak Kowaliow – wyszeptał Słotwiński, nachylając się nad stolikiem.

– Rok temu też nie wyglądał jak Kowaliow. – Przewróciła oczami.

– Dogadaliście się? – Jakubowski spojrzał na nią z niesmakiem.

– Owszem. W zamian za to, że wszystkie części jego ciała wciąż są na miejscu, musi wykonywać dla mnie pewne zadania. Teraz ja jestem jego zleceniodawcą. Myślę, że spotkacie się jeszcze nie raz, bo pracuje w tym budynku.

– O, Boże! – jęknął Jakubowski.

– Nie dostał zlecenia na wasze głowy – powiedziała Justyna ze śmiechem.

– W ogóle go nie interesujecie, w przeciwieństwie do faceta obok drzwi. To dla niego osobista sprawa.

– Więc po co tu w ogóle siedzimy? – zapytał Słotwiński.

– Żeby ten człowiek przekonał się na własne oczy, że żyję i mam się dobrze.

– I co dalej?

– Zobaczymy. – Uniosła ramiona i upiła łyk kawy. – Mm... Pyszna!

LIII

Justyna nakarmiła Marikę i wróciła na salę do gości. W drzwiach natknęła się na stojącego nieruchomo Kostka.

– Co robisz? – zapytała.

– Nie spuszczam oka – odparł.

– Z czego?

– Z mojego syna. Odczuwam ogromny niepokój, kiedy widzę go w towarzystwie młodego Brzezińskiego. Te ich miny, to knucie, ciągle spiskowanie...

– Nie przesadzaj. To dwaj mali chłopcy, którzy się dobrze bawią.

– Tak, kosztem zdrowia i życia innych ludzi, o mieniu nie wspominając. To dwa szkodniki. – Zerknął na Justynę. – Przyznaj się: zrobiłaś chrzciny w restauracji, a nie w domu, ze względu na nich.

– Nie, coś ty! – Parsknęła. – Tylko z powodu wygody i braku miejsca. Popatrz, ile osób jest.

– Mhm... – mruknął, kiwając głową. – Ale datę wybrałaś nieprzypadkowo, prawda?

– Może... – Poprawiła dziecko na ręku i wzruszyła ramionami.

– Jutro mija rok od twojego porwania i jutro... zrobimy, co zrobimy.

– Przestań! – Spojrzała na salę nieco spłoszona. – Ściany mają uszy. Chodź do stołu, bo wyglądasz dziwnie.

– Nie, postoję tu sobie jeszcze. Jak siedzę, spodnie od garnituru wrzynają mi się w dupę.

Justyna roześmiała się i poszła usiąść obok Jacka, który w danej chwili nie miał towarzystwa.

– Zostawili cię – stwierdziła, podając mu Marikę.

– Czasem dobrze pobyć samemu... W końcu. – Uśmiechnął się i pocałował dziecko w policzek.

– Tęsknisz za lasem i swoją chatką?

– Bardzo – przyznał szczerze. – Wszystko tam było cudowne, ale... Nie było tego, co mam tutaj, a nie można mieć wszystkiego. Pięknie się wam chowa ta wasza córeczka, a Stefan z Zofią tak się martwili o jej zdrowie.

– Pięknie – westchnęła Justyna. – Ale zawsze będzie miała problemy, jak to dzieci z jej przypadłością. Jesteśmy z Łukaszem przygotowani na długą i trudną drogę. Brzeziński mówił, że Miłosz ciągle się z czymś zмага, a oni cierpią z nim...

– Nie przyszedł – zauważył Jacek. – Opiekunki też nie widzę.

– Bąkowie zabrali Miłosza ze sobą, a Brzeziński... Cóż... Uczulenie na

kościół. A skoro o kościele mowa – jak się miewa Damian?

– Eh... – Jacek uniósł oczy ku górze. – Źle. Wrócił na parafię do Kościana, ale musiał zrobić sobie dłuższy urlop, żeby dojść do siebie. Serce mi pęka, jak o nim myślę. Z drugiej strony zaś widzę, jak dobrze zrobiłem, uciekając od tego środowiska, nie godząc się na pewne rzeczy, nie idąc na kompromisy. Niby to była słabość, ale dzięki temu wzmocniłem się i mogę teraz robić to, co kocham. Damian jest w środku całkowicie złamany, pewne zranienia są zbyt głębokie i ujawniły się właśnie tutaj, w Warszawie.

– Chcesz, żeby wrócił?

– Pragnę tego i codziennie się o to modlę. Ale... – Pokręcił głową.

– Co? Coś złego się stało?

– Wiesz, że podlegam biskupowi, tak jak i moja świątlica, więc to biskup decyduje, z kim pracuję. No i... przydzielił mi kapłana.

– Starego zbrojeńca – domyśliła się Justyna.

– Nie. – Jacek roześmiał się. – Na szczęście nie. Młody ksiądz, dwa doktoraty, studia w Rzymie...

– Uu... Czyli przemądrzały.

– Gorzej: nawiedzony.

– Słucham?! Chory psychicznie?

– Nie. Wiesz, że chodzę do psychologa, teraz dwa razy w miesiącu. Biskup wysłał mnie do terapeuty dominikanina, ojca, który ma praktykę na Freta, ale on odesłał mnie zaraz do osoby świeckiej, mówiąc, że potrzebuję pogadać z rozsądną kobietą, nawet niewierzącą, żeby poukładać sobie sprawy z przeszłości jako facet... Więc jestem ostatnią osobą, która ma coś do ludzi korzystających z fachowej porady. Ale on, ten cały ksiądz Strzelecki, chodzi raz w tygodniu do egzorcysty.

– Co ty gadasz? Więc jest nawiedzony dosłownie.

– Tak! Nie wiem zupełnie, jak z nim rozmawiać, bo jest ciągle milczący i taki... ponury. Ja go nie chciałem i on nie chciał być u mnie, ale biskup powiedział, że ksiądz pochodzi z patologicznego środowiska i będzie lepiej niż ja rozmawiał z młodzieżą, a poza tym od tych doktoratów przewróciło mu się w dupie i powinien służyć najuboższym, żeby się oczyszczać duchowo.

– Ale jaja! – Justyna chichotała. – I naprawdę ma jakiegoś demona czy coś?

– Osobiście niczego nie widziałem. Ja mam się nad nim nie modlić i go nie spowiadać, więc nie wiem. Ale egzorcysta traktuje to poważnie i będzie go uzdrawiał do skutku.

– Jacuś, może jednak będzie dobrze z tym nawiedzonym? Przedtem miałeś Damiana, z którym było w porządku, a potem się popsło. Teraz nie ma się co psuć, bo wszystko jest źle, więc powinno być tylko lepiej.

Jacek odetchnął głośno.

– Och! Potrzebowałam tych słów. Nikt do tej pory tak nie uważał. Popatrz, Marika też się cieszy.

– Zauważyliśmy, że bardzo intensywnie odbiera emocje ludzi – powiedziała Justyna, gładząc Marikę po głowce. – Jakby całym ciałem czuła to, w jakim jesteś nastroju. Ale Brzeziński miał rację, kiedy powiedział, że ona będzie miała swój własny świat, że nie będzie tylko naszą małą dziewczynką. Jest malutka, a jednak widzę, że potrzebuje kontaktu z innymi, cieszy się z niego, dlatego nie trzymam jej kurczowo przy sobie i pozwalam, by ją ciągle noszono na rękach. Chociaż – spojrzała na siedzących w drugim końcu sali teściów – czasem muszę postawić granice. Niektórym...

Jacek roześmiał się.

– Ja nie stawiam im granic – powiedział. – Jest u nas tyle pracy, że prędko nie przesadzą z gorliwością i pomysłami na ulepszenia. Biskup też ich uwielbia.

– Boże! – Justyna przewróciła oczami. – Ziutek do nas idzie. W końcu dowiem się, co z tym biedakiem z lasu.

Wystrojony Ziutek usiadł po drugiej stronie stołu i nalał sobie soku do szklanki.

– Śliczna uroczystość – powiedział, odstawiając karafkę. – Ale nie widzę tego poderżniętego.

– Wiktora? Jest zajęty, ma randkę.

– Naprawdę? – Nienacki podniósł zdziwione oczy. – Ale... Taką z kobietą?

– Tak. Postanowił, że znajdzie sobie babę i się ustatkuje. Na razie jest na etapie randkowania z polskimi krasawicami.

– Niesamowite! – Ziutek pokręcił głową. – Ale co komu pisane, jak to mówią.

– Jak się miewa Mateusz? – zapytała Justyna. – Jakieś wieści ze szpitala?

– A, tak! Nasza chudzinka przeszła badania, które wykazały niespotykaną ilość pasożytów jak na takie mizerne ciało. Robaki, wszy, glisty...

– Ziutek! – Jacek skrzywił się.

– Przepraszam, zapomniałem się. Ale pomimo tychże... dolegliwości, jego stan wskazuje, że się wyliże. Znaleźli mu też nowotwór, jednak rokowania są dobre. Psychicznie... No cóż, pewnych spraw się już nie naprawi, ale lekarz mówił, że rwie się do tej obiecanej pracy, więc zajmują go tam książkami, a psycholog daje łąmigłówki do rozwiązywania, za które płacą mu pączkami. W ogóle pielęgniarki wołają na niego Pączek, co wydaje mi się i straszne, i zabawne, biorąc pod uwagę fakt, jaki jest chudy.

– Co się z nim stanie? – Jacek spojrzał na Justynę.

– Myślę, że będzie dobrze – odparła. – Brzeziński chce go mieć w Warszawie, więc załatwi mu opiekę i będzie walczył z wojskiem o należne mu świadczenia. Z tego, co mi wiadomo, ma wobec niego dalekosiężne plany.

– Ale najpierw przyjedzie do mnie – zaznaczył Ziutek. – Nakarmię go masłem, utuczę jak gęś i będę przygotowywał do powrotu do społeczeństwa.

– A przy okazji wyszkolę znów na superagenta – dodała Justyna z sarkazmem.

– Będzie, co ma być – odparł niezrażony Ziutek. – Ja mu krzywdy nie dam zrobić.

Za plecami Justyny zjawił się Łukasz.

– Kochanie, mogłabyś pogadać z kucharzem? Ma jakiś problem z deserem.

– Pewnie! – Justyna podniosła się. – Już idę. Weź Marikę od Jacka, bo zasnęła.

Łukasz nie wykonał polecenia, tylko usiadł na miejscu żony i też nalał sobie soku.

– Najgorsze w tych wszystkich ślubach i chrzcinach są garnitury i krawaty – powiedział. – Jakbyśmy nie mogli ubrać się normalnie. Popatrzcie na moich kolegów: wyglądają, jakby ktoś ich torturował.

Ziutek obrócił się gwałtownie i spojrzał na stoły wokoło.

– To są twoi koledzy? – Popatrzył na Łukasza z wybaluszonymi oczami.

– Tak, a co?

– Jezus Maria! Policja?!

– Sam się dziwię. – Meyer wyduł usta. – Nigdy bym tego nie stwierdził po ich aparycji.

– Boże! – Nienacki schował twarz w dłoniach.

– A co mu się stało? – zapytała Kasia, która nagle znalazła się przy stole.

– To miejsce jest wolne?

– Tak, siadaj. – Łukasz odsunął jej krzesło.

– Widziałeś flamę Żółwia? – szepnęła do niego konspiracyjnie.

– Tę w ciąży?

– No. Wygląda, jakby miała zaraz eksplodować. Myślałam, że ona niedawno zaszła, ale widzę, że tylko patrzeć, jak odejdą jej wody.

– Waldek już mnie pytał, czy jemu też ochrzczę dziecko – poinformował Jacek. – I czy dużo wezmę.

– Ależ to jest obwieś! – prychnęła Kasia, po czym spojrzała na Ziutka, który wciąż zasłaniał twarz dłońmi. – Co się z tobą dzieje?

– W tej sali siedzi chyba pluton policji – wyszeptał.

– No i co z tego?

– Ja siedziałem. Za usiłowanie. Dla nich zawsze jestem podejrzany.

– Na pewno będziesz, jeśli nie przestaniesz zachowywać się jak debil. Odsłoń tę głowę i bądź naturalny. Poza tym Łukasz nie da cię zamknąć.

– Ani Brenner – dodał Meyer.

– Właśnie! Ziutek, pod tamtą ścianą siedzi zastępca szefa całej policji.

Nigdzie nie jesteś równie bezpieczny, co tutaj, rozumiesz? Najciemniej pod latarnią.

Ziutek odsłonił twarz i sięgnął po szklanę.

– Nie wiesz, jak to jest siedzieć – powiedział nieco naburmuszony.
– W życiu nie chciałbym tego powtórzyć.

– I dlatego zostałeś płatnym zabójcą – stwierdziła Kasia złośliwie. – Zaraz po wyjściu z paki. Ha! – Klasnęła nagle w dłonie, wywołując napad lęku u Ziutka.
– Justyna wraca, więc jest szansa na lody.

Justyna podeszła do stołu i oparła dłonie o ramiona męża.

– Kryzys zażegnany – oznajmiła radośnie. – Będzie deser.

– Świetnie! – ucieszyła się Kasia, ale nagle spoważniała. – Zaraz... Kostek gada z Mirkiem, zamiast pilnować Rozpruwacza. Gdzie ten mały złoczyńca?

– Siedzi tam, pod ścianą, z Miłozsem. – Justyna wskazała palcem dwóch chłopców pochylonych nad podłogą.

Kasia uniosła się, wyciągając szyję.

– A co oni tam mają?

– Mysz – odparła Justyna.

– Że co?!

– Mają żywą mysz. Kiedy przechodziłam obok nich, słyszałam, jak coś mówili o mumifikacji i... – Justyna nie dokończyła, bo Kasia pędem ruszyła w stronę Kuby i jego kolegi. – Chyba jej nic nie zrobią.

– Usiądź, kochanie. – Łukasz poklepał ją po dłoni. – Zjedz coś i ciesz się tym wspaniałym dniem... póki trwa.

LIV

– Dobrze się czujesz? – W głosie Sashy słychać było troskę.

– Tak – odparła Justyna. – Dobrze się czuję i jestem gotowa. Widzisz go?

– Nie, jeszcze nie. Idę ulicą na spotkanie. Nawet nie potrafię wymówić nazwy tej ulicy.

– A jak u prezydenta?

– W porządku – roześmiał się. – Jestem już oficjalnie attaché, więc jak teraz mnie złapią na tym, co planujemy, będzie międzynarodowy skandal.

– Możesz się jeszcze wycofać.

– Nie. Za długo na to czekałem. Bądźcie gotowi.

– OK.

Sasha schował telefon do kieszeni i przyspieszył kroku. Wallace stał oparty o balustradę nad trasą W-Z i patrzył w stronę Stadionu Narodowego, ale wewnętrzny radar kazał mu się odwrócić i spojrzeć na dawnego podwładnego.

– No! – zawołał, wyciągając dłonie. – Wyglądasz wspaniale, panie pułkowniku. Niech no na ciebie popatrzę. Wyprasowany, wypachniony i wciąż młody.

– Cześć, szefie. – Sasha uśmiechnął się tak, jak robił to kiedyś przez wiele lat. – Widzę, że pobyt tutaj ci służy. Hotel w porządku?

Wallace spochmurniał, a w jego oczach pojawił się błysk zimnego gniewu.

– Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, co tu widziałem. – Nachylił się w stronę Sashy. – Widziałem ją. Ruscy nas okłamali, nic im nie jest.

– Spokojnie. – Sasha położył mu dłoń na ramieniu. – Wyjaśnimy to. Mam teraz trochę czasu, więc może byśmy gdzieś usiedli?

– Tak. – John skinął głową. – Musimy to omówić.

– Tam jest kawiarnia. – Bailey wskazał ręką w stronę Krakowskiego Przedmieścia. – Mijałem ją. A gdzie są ci ludzie, których panu poleciłem?

– Siedzą niedaleko w samochodzie. Tu nie można wjeżdżać, więc są chyba na parkingu. O tym też chciałem pogadać. Potrzebujemy więcej ludzi. Nie teraz, bo brakuje mi dopracowanego planu, ale potem, kiedy już będę wiedział, co robić, jak to zakończyć.

– Jasne. – Sasha pokiwał energicznie głową. – Zrobi się.

Doszli do Krakowskiego Przedmieścia i zatrzymali się przed ulicą, czekając, aż przejedzie autobus. Za nim jednak pojawił się czarny van z przyciemnianymi szybami, którego przesuwane boczne drzwi otworzyły się, a dwóch roślących mężczyzn wciągnęło zaskoczzonego Wallace'a do środka. Van odjechał, a Sasha rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy ktoś zwrócił na to zdarzenie uwagę. Kiedy

upewnił się, że nikt się nim nie interesuje, nasunął czapkę wojskową na głowę i skierował się w stronę parkingu, gdzie stało auto z ludźmi Johna.

– Już jadą – oznajmił przejęty Mirek, chowając komórkę do kurtki.
– Wszystko się udało.

– Oby reszta się nam udało – mruknął ponuro Kostek, po czym zerknął w stronę wejścia do hali starej fabryki, w której była Justyna z Jamalem i Wiktorem.

– Trzeba będzie potem zapłacić tym kolegom Sebastiana – powiedział Lubicki, jakby do siebie. – Dobrze się chłopak spisał.

– Myślisz teraz o zapłacie dla porywaczy? – Kostkowi od razu poprawił się humor.

– No... tak – obruszył się Mirek. – Lubię mieć porządek w papierach.

– A jak to rozliczysz?

– Wrzuci się w koszty koniackowe. Krysia robi... – Urwał, widząc duszącego się ze śmiechu Gogola. – Czemu się tak cieszysz?

– Sam nie wiem. – Chichotał, aż w końcu wybuchnął śmiechem. – Ja pierdole! Koszty koniackowe. Za porywaczy.

– Ojej, ciszej bądź.

– Przecież tu nikogo nie ma.

– Skąd wiesz? Może łążą jacyś złomiarze. To stare tereny fabryczne, ciągle kręcą się tu różni wykolejeńcy. Któryś coś usłyszy i doniesie.

– Tak, wiem, wiem. – Kostek poklepał go po ramieniu. – Ostrożności nigdy za wiele. Ale mogę ci na przeczekanie opowiedzieć śmieszną historię, podobną do tej, jaka przydarzyła się naszym Meyerom. I zrobię to po cichu. Kumpel opowiadał, że było sobie pewne małżeństwo w Wielkiej Brytanii, które żyło sobie spokojnie na angielskiej wsi i było bardzo szczęśliwe. Ale pewnego dnia żona miała wypadek...

– Uf, już się bałem, że ktoś ją porwał. Przepraszam. Mów dalej.

– W wyniku wypadku doznała urazu głowy, straciła przytomność i została odwieziona do szpitala. Po kilku dniach obudziła się ze śpiączki, a ucieszony mąż, który czuwał przy jej łóżku, nachylił się nad nią, by ją pocałować. Ona spojrzała na niego i powiedziała: „Spadaj, koleś! Nie znam cię!”.

– Straciła pamięć – domyślił się Mirek. – Jak na filmach.

– Straciła, ale nie całkiem. Po dłuższej szamotaninie przyszedł lekarz i zadał jej jedno pytanie: „Czy wie pani, gdzie się znajduje?”, a ona na to: „No pewnie! Jestem w Rammstein, w szpitalu”. Lekarz: „A dlaczego jest pani w Rammstein w szpitalu?”, kobieta: „Bo mnie postrzelili na polu walki”.

Mirek obrócił głowę i spojrzał zdumiony na Kostka.

– Tak, mój drogi. – Kostek westchnął. – Rammstein to miejsce, gdzie zwożą ciężko rannych z Afganistanu. Okazało się, że kobieta była wcześniej żołnierzem w elitarnej jednostce w USA i zataiła ten fakt przed mężem.

– Ale dlaczego?

– Bo jednostka była aż tak elitarna.

– I co się z nimi stało?

– Rozeszli się, mimo że wróciła jej pamięć. Mąż nie mógł znieść w domu komandosa.

– Boże, to okropne.

– Meyer powiedział to samo i obiecał mi, że jeśli znów wyciągnę podobną historię, to mnie zabije. Wierzę mu.

Mirek przez chwilę milczał, jakby musiał przepracować w myślach to, co usłyszał.

– Kostek... Kogo my dziś porywamy?

– Zleceniodawcę porwania Maliny – wyjaśnił Gogol. – Dzisiaj rocznica.

– Ach! – Mirek uniósł ręce. – Racja! Porywamy go z zemsty?

– Nie wydaje mi się... – Kostek podrapał się po uchu. – Sam już nie wiem, jaki jest plan.

– Zemsta w tym wypadku jest całkowicie usprawiedliwiona. Pamiętam dobrze, co przeżyliśmy z Krysią, kiedy zadzwoniła do nas policja. To teraz rozumiem, dlaczego Łukasz odmówił uczestnictwa. Wszystko jasne. Kostek! – Mirek zauważył coś na drodze przed nimi. – To jakiś samochód, ale...

– Zawołaj Malinę. Zaczynamy.

Wszyscy, oprócz Mirka, zgromadzili się w hali, czekając, aż czarny van wjedzie do środka, a dwaj napakowani mężczyźni wyprowadzą z niego związanego Johna i posadzą go na przygotowanym krześle. Samochód wyjechał na zewnątrz i Mirek zamknął wielkie metalowe drzwi. Wtedy Wiktor podszedł do Wallace'a i zdjął mu kaptur z głowy.

Justyna zawsze zastanawiała się, co czują źli ludzie, gdy dzieją się im złe rzeczy. Słyszała kiedyś teorię, że są to sytuacje, w których mają szansę na odwrócenie się od swojego nagannego postępowania, ale im była starsza, tym bardziej przekonywała się, że na te osoby to po prostu nie działa, że nadal nie rozumieją, co zrobiły i że może powinny dokonać rewizji swoich czynów i decyzji.

Uważała, że jej matka jest złym człowiekiem, ponieważ czyniła zło z rozmysłem, aby osiągnąć pewne cele. Na przykład nie przyjechała na chrzciny Mariki, udając, że jest ciężko chora, przez co Basia też nie dotarła i nie została chrzestną matką. Justyna słyszała wyraźnie jej głos, kiedy rozmawiała z siostrą, jak wołała, że jej dzieci były zdrowe, a nie „krzywe”, bo kiedy chodziła w ciąży, dawała za nie na msze. Jej celem było zaspokojenie wewnętrznych potrzeb i zachcianek, a nie dobro innych, nawet własnych córek i wnuków. I nic, co ją

spotykało – złego czy dobrego – nie stanowiło przyczynku po temu, by zmienić swoje myślenie.

Jaskóła też był w jej odczuciu złym człowiekiem. Po jego śmierci nawet bardziej niż wtedy, gdy była na szkole. Wszystko, co robił, nabrało w jej oczach wyrazistości, nie rozmywało się w emocjach, ale ukazało się jako coś karygodnego. Wiedziała jednak, że areszt nic w nim nie zmienił; kapitan Kozera zdawał dość dokładne relacje z wizyt u niego, kiedy wysłuchiwał tych samych obelg i usprawiedliwień samego siebie. Wątpiła, by w chwili, gdy bito go na śmierć, doznał epifanii i zaczął żałować.

Nikt jednak nie budził w niej tak wielkiej odrazy jak John B. Wallace. Dzięki przyjaźni z Sashą wiedziała niemal o wszystkim, co robił jako generał – w czasie pełnienia służby i prywatnie. Znała jego myśli i opinie na różne tematy. Wallace był rasistą i homofobem, choć tolerował Bailey'a, któremu często powtarzał, że jest jedynym porządnym czarnym, jaki nosił mundur. Był też gwałcicielem, o czym jej koledzy nie mieli pojęcia, tak jak o tym, że niszczył ludzi dla sportu. Nie unikał kradzieży, jeśli nadarzyła się okazja; oszukiwał, kłamał, zdradzał, zabijał... A teraz siedział przed nią na koślawym krześle, ze związanymi rękami, i był na nią skazany. Kwintesencja zła z wyboru.

– Zabijecie mnie? – Jak zawsze, postanowił być pierwszy. Rzucił wszystkim gniewne spojrzenia, ale nie wyrywał się, rozumiejąc, że to bezcelowe. – Zabijecie, bo widzę wasze twarze. Mój człowiek wie, że tu jestem i...

– Sasha ci nie pomoże – powiedziała spokojnie Justyna, budząc zdziwienie u swoich kolegów i szok u Wallace'a. – On cię wystawił.

W tym momencie John wyglądał jak dmuchana lalka, z której zaczęto spuszczać powietrze. Pojął, że to ostatnie chwile jego życia...

Wyparcie – pomyślała Justyna, widząc, jak po chwili unosi głowę i patrzy na nią z pogardą. – Zły do kości człowiek wypiera to, co nieuniknione, bo przecież robił to całe życie. Nie wierzy, że umrze, że przejdzie na drugą stronę i być może będzie się musiał rozliczyć, a być może tam nic nie ma, więc po prostu przeżył źle swój czas.

Poczuła smutek. Zrozumiała, że zawsze pragnęła ich uratować: matkę, Jaskółę, nawet Wallace'a i każdego złego człowieka. I choć była w opuszczonej hali fabrycznej na obrzeżach Warszawy, nagle znalazła się przy trumnie swojej babki, która na złość im wszystkim zabiła się, bo też wyparła fakt, że to naprawdę oznacza śmierć.

Stracone życie. Stracone dusze. Stracone szanse na zrobienie czegoś sensownego.

– Nie zabijemy cię – powiedziała, wywołując szczere oburzenie u żadnego krwi Wiktora, który zaciskał dłoń na ostrzu swojego noża.

Jamal przymknął oczy, jakby stało się coś, czego się spodziewał. Gogol czuł,

że już całkiem się pogubił, a Nawigator tylko cicho westchnął.

– To co? Będziecie mnie torturować? – zaskoczony Wallace patrzył każdemu w oczy.

– A po co? Skoro i tak jesteś już w piekle. Nic gorszego niż ty sam nie mogło ci się przytrafić.

Zapadła cisza, przerywana odgłosami kapania dochodzącymi z głębi hali. Koledzy Justyny jakby nagle pojęli jej intencje i tok myślenia. Nawet Wiktor schował nóż i założył ręce na piersi.

– Zadam ci tylko jedno pytanie, John: pamiętasz mnie?

– Co? – Skrzywił się. – Oczywiście, że cię pamiętam, ty mała dziwko!

Justyna uniosła dłoń, dając Wiktorowi do zrozumienia, żeby nie reagował.

– Zniszczyłaś mnie. Tylko popełniłaś błąd, bo pokazałaś mi swoją twarz, mogłem cię odnaleźć. I odnalazłem. Tak, Los mi sprzyjał. Przyjechałem tutaj, do Warszawy, żeby szukać pomocy, bo nic mi nie zostało. Tu miałem człowieka, który mógł coś dla mnie zrobić, ale zamiast tego dostałem coś o wiele lepszego: ciebie. Po prostu zobaczyłem cię na ulicy, jak szłaś sobie uśmiechnięta i szczęśliwa z jakimś facetem, jakby nic się nie stało. Pomyślałem sobie: o! Ten przystojniak pewnie nie wie, co robiłaś i kim jesteś, a ja chętnie zdejmę ci ten uśmiech z twarzy. No i mi się udało.

Jamal parsknął.

– Przepraszam. – Zasłonił metalową dłonią usta. – Wymsknęło mi się.

– Uważacie, że to śmieszne? Że dalej nie mam mocy, by was zniszczyć? Ciebie, twoich kolegów, twojego męża... dziecko.

– A może jeszcze mnie? – Rozległ się głos zza pleców Johna.

Wołodia wyłonił się z mroku i stanął obok Wallace'a.

– Oszukałeś mnie, John – powiedział po rosyjsku.

– Nie! – Wallace pokręcił głową, jakby nie dowierzał w to, co widzi.

– Tak, ty ukraińska świnió! – Kowaliow rzucił się do gardła Johna, więc tym razem Wiktor zareagował. – Zabiję cię! Gołymi rękami.

Rosyjskie przekleństwa padały jeszcze przez dłuższą chwilę, ale krtań Wallace'a była bezpieczna, bo Wiktor trzymał Rosjanina w żelaznym uścisku.

– To masz jeszcze kogoś, kto może nas zniszczyć? – zapytał retorycznie Jamal. – Powinieneś zadzwonić do Kabulu i sprawdzić, co się tam dzieje.

Justyna uśmiechnęła się pod nosem.

– Odnoszę wrażenie, że to dla ciebie gorsze niż śmierć – stwierdziła cicho.

– Nie móc szkodzić. Zapytam jeszcze raz: pamiętasz mnie?

Tym razem Wallace miał minę, jakby zaczął zastanawiać się nad inną odpowiedzią.

– Przeszukaj swoją pamięć – zachęciła. – Podpowiem ci, że jestem kobietą, którą kiedyś bardzo źle potraktowałaś.

Kostek przewrócił oczami do Jamala, który bezradnie rozłożył ręce.

– Co ci zrobiłem? – zapytał John.

– To, co wychodzi ci najlepiej: zniszczyłeś mnie, złamałeś. Ty i dwóch twoich kolegów.

– Jesteś tą... z Berlina? – Nachylił się w jej stronę, przyglądając uważnie.

Teraz sama Justyna poczuła, że się gubi i że koniecznie musi porozmawiać z Sashą.

– Nie, nie jestem „tą” z Berlina, kimkolwiek ona była – odparła ze złością.

– Ty naprawdę nie rozumiesz, że porwałam cię w Kabulu nie bez powodu.

Wallace wyprostował się, jakby dostał cios w podbródek.

– Co? – Jego usta kolejny raz wykrzywiły się w grymasie.

– To była moja zemsta za zniszczenie mnie i mojego życia, tego, co było dla mnie najdroższe. Wykorzystałam swoją szansę. To nie ty pierwszy zobaczyłeś mnie na ulicy w Warszawie, ale ja ciebie na ulicy w Kabulu. Ja pojechałam do Afganistanu po to, żeby się zemścić! – Ostatnie zdanie wykrzyczała nad jego twarzą. – Nie po kasę, nie po przygodę, tylko po to, żeby cię znaleźć i zabić po długich torturach, ale Sasha zaproponował, żeby uśmiercić cię tylko zawodowo.

– Sasha?

– Tak, on. Zdjęcia były jego pomysłem. On wysłał cię na wygnanie, tak jak on dziś wsadził cię do tego vana. A wiesz czemu? Bo jego życie też zniszczyłeś i pewnie nawet o tym nie wiesz. Twoje czyny zrujnowały jego i całą jego rodzinę. Rozumiesz to? – Roześmiała się szyderczo. – Udawał. Cały czas grał dobrego adiutanta, tylko po to, żeby móc się do ciebie dobrać. On się po to zgłosił do służby. Dlatego dziś wypuścimy cię wolno, nie spadnie ci włos z głowy, ponieważ zaszkodziłeś tylu ludziom, że nigdzie i z nikim nie jesteś bezpieczny. Znajdą cię ci, o których nawet nie pamiętasz. Ta z Berlina pewnie już cię szuka. Wiktor, rozwiąż go.

Ukrainiec nawet nie ukrywał, jak nie podoba mu się to polecenie, ale wykonał je, klnąc pod nosem. Justyna odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę wyjścia z hali. Jamal z Kostkiem jeszcze przez chwilę wpatrywali się w Wallace’a, masującego obolałe kostki, ale też zaraz wyszli. Wiktor wyprowadził nerwowego Kowaliowa i skinął na Nawigatora. Van wciąż czekał przed halą, więc wcisnęli się wszyscy do niego i odjechali przed siebie.

John wyszedł na zewnątrz resztkami sił, czując, że ma mokre od moczu spodnie. Zaczął iść w stronę głównej drogi, ale musiał złapać się płotu, by utrzymać pion. Szedł bardzo wolno, krok za krokiem, a jego siły powoli wracały do członków, serce wyrównało swój rytm, ręce przestawały drżeć. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu kogoś albo czegoś, co mogłoby mu pomóc wydobyć się z tego położenia, ale niczego nie zobaczył...

Fala strachu szarpnęła jego ciałem. Najstraszniejszy sen Johna B.

Wallace'a właśnie się spełniał. Był sam pośrodku wielkiego pustkowia.

LVI

Łukasz przyjechał do domu, żeby się przebrać przed imprezą z okazji otwarcia jego biura. W salonie zastał Jamala i Wiktora, oglądających ze smutnymi minami telewizję. Chciał się przywitać, ale nie zwrócili na niego uwagi. Poszedł więc do kuchni po coś do picia, a tam spotkał Kostka buszującego w szafkach.

– Co się dzieje? – Łukasz już nawet się nie złościł z powodu tych nieoczekiwanych wizyt. – Co tu robisz?

– Przyjechałem po naszych weteranów, bo Jamal źle się czuje i nie może prowadzić, a Wiktor przeżywa załamanie nerwowe.

– Przecież on miał być na wojnie, na Ukrainie.

– Był i wrócił – odparł Gogol, wyjadając płatki śniadaniowe z pudełka.

– I co? To go pograżyło? – Łukasz wyciągnął dłoń po płatki.

– Nie. Załamał się, ponieważ doszedł do wniosku, że już nie nadaje się do walki. Nie podobało mu się bieganie z nożem po mieście.

– Ma guza mózgu? – zapytał Meyer, przeżuując.

– Myślę, że to starość – wyszeptał Kostek. – Chce mu się baby i ciepłych kapci. Teraz musi poprosić o pracę tutaj, więc jest smutny. Ale mu przejdzie. A jak twoje opony?

– Wymieniłem na szybko, chociaż kolejka w serwisie była nieludzka. No, zaskoczył mnie ten śnieg.

– Przecież prawie grudzień.

– Wiem, ale człowiek zawsze odwleka. Poza tym ładnie było.

– Teraz też jest ładnie. Sielska biel. Trzeba się cieszyć, zanim stopnieje. Czeka, żabciu. – Kostek nadstawił ucha. – Wiktor cię woła.

Poszli obaj do salonu. Wiktor pokazywał palcem na ekran telewizora i tłumaczył coś po rosyjsku.

– Mówi, że umarł ktoś, kim interesowała się Malina – wyjaśnił Gogol.

Łukasz podszedł bliżej ekranu i zaczął czytać pasek informacyjny.

– O, cholera! Stebnicki nie żyje.

– Kto?

– Ten detektyw, który pomagał Stołecznej, Łysiakowi... Justyna śmiała się, że to na mieście mój największy konkurent. Piszą, że upadł i rozbił sobie czaszkę. Muszę jej powiedzieć. Widziałeś Justynkę?

– Karmiła, więc pewnie jest u małej.

Meyer pobiegł na górę i wpadł do pokoju Mariki, gdzie zastał Justynę stojącą nieruchomo przy oknie. Dziecko spało spokojnie w łóżeczku.

– Justyś, słyszałaś? – Podszedł do niej i położył dłonie na jej ramionach.

Wtedy poczuł, że płacze. – Co się stało, kochanie? – Zerknął na Marikę, ale nic jej nie dolegało. Popatrzył też za okno, sprawdzając, czy nie dzieje się tam coś niepokojącego. – Spójrz na mnie.

Obróciła się i oparła o jego pierś.

– To niesprawiedliwe – zaszlochała. – Takie niesprawiedliwe...

– Ale co? – Łukasz pomyślał, że być może płacze po Stebnickim, ale byłoby to naprawdę dziwne, nawet jak na nią.

– B.B. jest chory.

– Ale... Nie rozumiem. Na co?

Podniosła głowę i spojrzała na niego zaczerwienionymi oczami.

– Przyszły jego wyniki, odebraliśmy rano... Byliśmy już na konsultacji. Toczyła. Całe osiem sezonów *Doktora House'a* śmiałam się z tej diagnozy, bo w każdym odcinku ją komuś stawiali, a on to ma. Choroba niszczy mu nerki; za kilka miesięcy będą potrzebne dializy, a potem... przeszczep. Wszystko mu szwankuje.

– Justyś, posłuchaj mnie. Pamiętasz te straszne diagnozy, które usłyszeliśmy, kiedy byłaś w ciąży? Zespół Downa, jej serce, twoje serce, niskie ciśnienie, zagrożenie życia... Ale dzień po dniu, z modłami moich zdewociałych rodziców, udało się wszystko pokonać, przywyknąć, nauczyć się z tym żyć. Myślisz, że Jamal sobie nie poradzi? Że się podda?

– Nie – odparła, pociągając nosem.

– Też tak myślę. Popatrz, jakie ma szczęście, że nerki nie padły mu tam, w Kabulu, ale u nas, gdzie ma opiekę i nie jest sam. Ogarniemy się ze wszystkim. A teraz przygotuj siebie i małą do wyjazdu do biura.

– OK. – Skinęła głową. – Weźmiemy wózek. Może przejdziemy się do Parku Saskiego na spacer.

– Świetna myśl! – powiedział, zdejmując ubranie. – Idę się kąpać, a ty się nie martw wszystkim. Rozdzielaj trochę te swoje troski na innych.

Justyna westchnęła ciężko i zaczęła pakować do torby pieluchy i ubranka na zmianę. Potem zeszła z Mariką na dół i spotkała Wiktora, który już nie był na Ukrainie.

– Wicia, co tobie? – zapytała, patrząc na jego smutną twarz.

– Wiktor musi prosić – wyjaśnił Jamal.

– O co?

– O pracę. Ale nie wie, kto rozdziela zadania i koordynuje.

Justyna położyła Marikę w koszu i przysiadła na skraju fotela.

– Wiktor, ja jestem teraz koordynatorem – zakomunikowała. – I ja rozdzielam prace. Nie mówiłam ci, bo pojechałeś na wojnę i nie było kiedy.

Ukraińiec popatrzył na nią zdziwiony.

– Będziemy działać? Jak w Afganistanie? – zapytał.

- Tak. Dziś ci nie powiem, co masz robić, ale coś się znajdzie.
- Mogę zamieszkać z Jamalem – oświadczył. – Pomogę mu.
- Na razie zostanieie tutaj, ale jeśli chcecie, znajdziemy wam mieszkanie.
- Inni już wiedzą, co mają robić? – zapytał Jamal.
- W większości. – Kiwnęła głową. – Piotr bardzo chciał być żołnierzem w elitarniej jednostce, więc dałam mu wybór: Lubliniec albo Tomaszów.
- A co to za jednostki?
- Takie, że tam nawet sprzątaczkki muszą skakać ze spadochronem, żeby móc pracować.
- Wiktor wybuchnął gromkim śmiechem. Jamal też w końcu się rozchmurzył.
- Nie martwię się o niego, bo jest bardzo sprawny fizycznie – kontynuowała Justyna. – No i lojalny, więc możemy liczyć na dobre raporty. Gorzej z Siwym.
- A co z nim?
- Musi pokazać, że możemy mu ufać. Na początek oddam go pod skrzydła naszego dobrego znajomego: sierżanta Zawadki.
- A, to dobry żołnierz. – Wiktor pokiwał głową z uznaniem.
- Będzie z nami pracował? – Jamal zdziwił się.
- B.B., mówiłam ci, że to kochliwy chłopak. Jest w trakcie drugiego rozwodu, pieniądze mu się przydadzą.
- Malina, myślałam, że już mnie niczym nie zaskoczysz – odezwał się zza jej pleców Kostek. – Ale ty zawsze znajdziesz sposób, żeby wymyślić coś nowego. Panowie, zbierajcie się. Czas jechać na przyjęcie.

LVII

W biurze panowało małe zamieszanie. Przyszedł Kotowicz z Ewelina, która robiła wszystko, żeby nie natknąć się na Justynę. Mirek z Krysią czynili honory, częstując gorącymi napojami, a Zofia biegała z kąta w kąt i wycierała niewidzialny kurz, doprowadzając Stefana do stanu przedzawałowego.

Zaraz po Meyerach na miejscu zjawił się Kostek ze swoimi pasażerami. Zaczęto wręczać prezenty, komplementować wystrój pomieszczeń, zabawiać rozbudzoną Marikę i dyskutować na temat rzekomych przyczyn śmierci Rolanda Stebnickiego.

– Stary, miejscówkę masz pierwsza klasa – stwierdził Gogol z uznaniem.
– No i blisko do Stołecznej.

Łukasz roześmiał się, kręcąc głową.

– To nie tak jak myślisz. Mirek wybierał, a on raczej nie kieruje się takimi względami. Ale usytuowanie w istocie świetne.

– A jak z czynszem, że tak niedyskretnie zapytam?

– Kupiłem ten lokal. Rozumiesz, było się na saksach. – Puścił oko do Kostka. – No i mam bogatą żonę.

– He he – zarechotał Kostek. – Zawsze wiedziałem, że jesteś na cztery kopyta kuty. No i ładnego macie ochroniarza. Wicia już podziwia jego bice.

– Jest bardzo w porządku – powiedział Łukasz. – Choć przyznam, że poprosiłem kolegów, żeby sprawdzili jego kartotekę.

– I co?

– Nic. Jest naprawdę sumiennym pracownikiem, tyle że... lubi ćwiczyć.

Justyna podeszła do męża i odciągnęła go na bok.

– Łukasz, weź coś zrób, żeby oni się nie wściekli, kiedy wyjdziemy i długo nie wrócimy.

– O czym ty mówisz?

– Muszę wyjść i z tobą o czymś porozmawiać.

– Teraz?

– Tak.

– Ale...

– Zaraz wpakuję małą do wózka. Wiktor z Nawim pójda z nią do Saskiego, a my za nimi, że niby to my idziemy na ten spacer.

– Wiesz, że bredzisz?

– Nie. To doskonale przemyślany plan. Zrób coś. Idę ją ubrać.

Łukasz rozejrzył się bezradnie po swoich gościach i potarł palcami brwi. Po chwili namysłu sięgnął po portfel i skinął na Kotowicza.

– Kocie, mam prośbę – szepnął mu do ucha. – Weź tę kasę i zamów tyle pizzy, ile będzie trzeba, żeby ich nakarmić. Pozwalam ci zaangażować do tego moich rodziców, żeby odciągnąć ich uwagę ode mnie i Justyny. Jeśli nie będziemy długo wracać, możesz wymyślić jakieś gry i zabawy albo ich wykopać.

– OK. – Kotowicz roześmiał się. – Nie chcę znać szczegółów tej sprawy. Zajmę się wszystkim.

Łukasz ubrał kurtkę na korytarzu, żeby nie rzucać się w oczy, po czym wybiegł przed kamienicę, gdzie czekała na niego Justyna.

– A gdzie Marika?

– Są już na skrzyżowaniu. – Pokazała Nawiego i Wiktora, pchającego wózek po pasach. – Chodźmy.

– Idziemy w jakieś konkretne miejsce?

– Tak, do parku, ale wolałam, byśmy zostali we dwoje. Wiesz, że Stebnicki miał wypadek?

– Wiem, wszystkie media o tym trąbią i połowa naszych znajomych.

– Hm... Chodziło mi o to, że policja już wie, że nikt go nie kropnął celowo. Zginął wczoraj, ale trzymali to w tajemnicy, żeby sprawdzić okoliczności. I dziś wiedzą, że poślizgnął się na śniegu i roztrzaskał czaszkę. Kolejna teoria spiskowa upadła.

– Kolejna?

– Po tej o zamachu na Brennera. Okazało się, że Łysiak jednak chciał go zabić z osobistych pobudek, a nie dlatego, że ktoś mu kazał.

– Była taka teoria?

– Była. Brzeziński osobiście nadzorował jej sprawdzenie. A teraz ma swojego człowieka w Komendzie Głównej.

– Skąd ty to wiesz?

– Od Kota. Rozmawialiśmy dziś przez telefon o tej sprawie, o której ci wtedy nie powiedziałam, i wygadał się. Myślę, że czuje się osamotniony i obciążony, ale... nie żał mi go.

– A co z tą sprawą? Twoja teoria spiskowa się sprawdziła?

– Tak.

Łukasz zatrzymał się i spojrzał na Justynę z niepokojem w oczach.

– Żartujesz!

– Nie. Chodźmy, to ci opowiem, czego się dowiedziałam.

Ruszyli znów w stronę skrzyżowania i stanęli przed przejściem.

– Wszystko to, co się dzieje, w co zostaliśmy wplątani albo w co ja nas wplątałam, to wynik osobistych porachunków, tak jak w historii z Łysiakiem i Brennerem. Kruczata Brzezińskiego przeciwko złym ludziom niszczącym to państwo też wynika z osobistych pobudek, jest zemstą.

– Na kimś konkretnym?

– Tak: na ludziach, którzy zgwałcili jego żonę.

Łukasz zaniemówił na moment.

– I to wydedukowałaś po jednej wizycie u niego w domu i rozmowie z Mrozowskim?

– Nie tylko. Kiedy rozmawialiśmy w Niemczech, opowiedziałam mu o Jaskóle. Słuchał z kamienną twarzą, ale gdy wspomniałam, że ten gwałcił swoją żonę, jego oczy zmieniły się. Pierwszy raz widziałam go tak poruszonego... No i nie odpuścił, wydał na Jaskółę wyrok, żeby nie zdołał zrobić niczego złego po wyjściu z więzienia, co świadczy o ogromnym emocjonalnym zaangażowaniu w tę sprawę. Bo to sprawa osobista. Potem spotkałam jego żonę, Bożenę, i byłam pod wrażeniem jej urody, ale też byłam zdziwiona, że Brzeziński tak ją chowa, można powiedzieć, że chroni. Przed czym? Przed kim? A może nie chroni, lecz ona po prostu nie może żyć wśród ludzi? Nie dawało mi to spokoju. Poprosiłam więc Kota, żeby sprawdził, czy coś się stało trzydzieści lat temu, kiedy Bożena Brzezińska odeszła z pracy, i okazało się, że się stało... Brzeziński był wtedy w Paryżu, oficjalnie pracował w ambasadzie, ale naprawdę był szpiegiem.

– To wtedy odkrył ten przekręt gospodarczy, prawda?

– Och! On odkrył wiele przekrętów, ale akurat to osiągnięcie ujawniono, żeby go nieco udobruchać; na siłę zrobiono z niego bohatera, żeby wypchać mu usta nagrodami i pochwałami, i żeby nie mówił o tym, co się stało w Polsce. Był jakiś wyjazd pracowników departamentu Bożeny na Mazury, gdzie oczywiście wszyscy się schlali jak świnie, każdy spał z każdym... oprócz niej. Odmówiła picia i seksu, poszła do pokoju, ale trzech facetów władowało się do niego. Zgwałcili ją, pobili i poszli pić dalej, zostawiając nieprzytomną na podłodze. Obsługa hotelowa znalazła ją na wpół żywą, wezwano pogotowie, przewieziono do szpitala w Elku. Bardzo długo leżała na OIOM-ie, ale jej męża poinformowano dopiero po tygodniu.

– A co z tymi, co byli na imprezie?

– Wrócili do Warszawy, jakby nic się nie stało. Brzeziński w końcu wrócił, pojechał do szpitala, chciał wszystkich pozabijać. Awanturował się na milicji, ale nikt go nie słuchał. W dokumentacji medycznej wpisano, że jego żona po pijaku wypadła z balkonu. Z powodu braku odpowiedniej opieki ginekologicznej stała się bezpłodna. Jej mąż dowiedział się, kto ją skrzywdził, i pojechał na skargę do samego ministra, ale ten go nie przyjął na rozmowę, tylko wysłał jakiegoś sekretarza, który kazał mu się zamknąć i wracać do pracy.

– Kim byli napastnicy?

– Szef departamentu i jego zastępcy.

Łukasz pokręcił głową i westchnął.

– Boże... – jęknął cicho.

– Brzeziński zrozumiał, że jest bezsilny wobec systemu, że jeśli dalej będzie

próbował dochodzić sprawiedliwości, zostanie zniszczony. Wtedy właśnie miał swój „moment”, o którym mi mówił, przeblysł logicznego myślenia, że żyje w piekle na ziemi i że nie chce siedzieć bezczynnie. Kotowicz był na tyle dociekliwy, że sprawdził historie tych trzech gwałcicieli i znalazł dowody na to, że nie był to ich pierwszy raz. Molestowali pracownice departamentu, żony znajomych, przypadkowe kobiety... ale nigdy nikt nie postawił im zarzutów. Dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych jednemu z nich powinęła się noga i poszedł siedzieć za gwałt, ale tylko dlatego, że ktoś chciał się go pozbyć ze stanowiska i wziąć je dla siebie. Wtedy Brzeziński wpadł na pomysł, że tak trzeba robić z każdym: szukać kogoś innego, kto zakończy karierę albo życie tego czy innego skurwysyna.

– Tak jak zrobił z Jaskółą?

– Dokładnie! Pewnie domyślasz się, że oprawcy jego żony od dawna gryzą ziemię i że bardzo źle skończyli.

– Więc już nie powinien się tak angażować, skoro dokonał zemsty.

– Na konkretnych osobach tak, ale nie na systemie. – Justyna spojrzała na Łukasza. – On obwinia system, układ, w którym żyjemy, za to, że nie mógł na drodze postępowania karnego dochodzić sprawiedliwości.

– I chce to zmienić? – Łukasz zdawał się być sceptyczny.

– Próbuje. Wiem, że jego metody wyglądają dość... drastycznie, ale przynajmniej coś robi, angażuje się, nie jest obojętny. Widzę, że w jego piersi jest serce, a nie kamień.

Dotarli do wejścia do Parku Saskiego, gdzie Łukasz zaczął się nerwowo rozglądać wokół siebie.

– Gdzie oni są?

– Kto?

– Ci dwaj z naszą córką.

Justyna roześmiała się.

– Przepraszam, kochanie, nie powiedziałam ci, że poszli inną drogą na Plac Piłsudskiego, bo Nawi chciał zobaczyć zmianę warty. Pójdą od drugiej strony, więc powinniśmy wyjść sobie naprzeciw.

– OK. – Meyer odetchnął. – Więc to mi chciałaś powiedzieć, tak?

– Nie.

– Nie? Coś innego?

– Tak. Historia o Brzezińskich jest bonusem. Dzisiejsza opowieść będzie o mnie.

Łukasz stanął i popatrzył na Justynę, jakby nie dowierzał w to, co usłyszał.

– Chcesz... Chcesz powiedzieć mi... wszystko?

– Mhm. – Skinęła głową. – A zacznę od pokazania ci pewnego zdjęcia. – Wyjęła spod kurtki tablet i włączyła go. – To jest Sasha Bailey, pułkownik armii

amerykańskiej.

Łukasz wziął do ręki urządzenie i spojrzał na fotografię ciemnoskórego mężczyzny w mundurze.

– Łał! – Zamrugął powiekami. – Chyba zmienię orientację. Nawet Jacek nie jest takim superciachem. Miałaś z nim romans?

– Oddawaj to! – Justyna zirytowała się. – To porządny człowiek.

– Dzięki! Ja jestem twoim mężem. W jakim świetle mnie to stawia?

– Gadasz jak potłuczony. Sasha był adiutantem Wallace’a, a teraz jest w Warszawie attaché wojskowym.

– Niezłe stanowisko. Nie jest za młody?

– Jest młody. Szybko zrobił karierę, także dzięki Wallace’owi

– OK, tu się trochę pogubiłem.

– Posłuchaj... Kiedy byłam w Stargardzie, Wallace odwiedził naszą dywizję. Piastował jakieś wysokie stanowisko w Holandii i przyjechał do dowódcy, z którym się kumplował od czasów kursów generalskich w Stanach. Wizyta oficjalna, ale cały czas pili i grali w karty, a kiedy zjawili się w naszej jednostce, na mnie padło, żeby zawieźć ich do Choszczyna na zwiedzanie tamtejszego pułku.

– A więc... Ty go znałaś wcześniej, przed Afganistanem! – Łukasza olśniło.

– Tak. Niestety go znałam... – Justyna posmutniała. – Jechałam z nimi i... przez całą drogę szydzili ze mnie. Wallace mówił do mnie tak straszne rzeczy, że Jaskóła przy nim wydawał się być Matką Teresą. Dosłownie... zgwałcili mnie tam psychicznie. Dowódca śmiał się cały czas i, jakby tego było mało, opowiedział Wallace’owi moją historię o tym, że mnie wywalono przed mianowaniem, że jestem do niczego, że nie umiem biegać. Wallace na to, że w łóżku nie muszę i że on będzie robił pompki na mnie... za mnie. Kiedy dotarliśmy na miejsce, nie miałam siły wyjść z samochodu, zwłaszcza że powiedzieli, że mają wobec mnie plany na wieczór...

Ciało Łukasza stężało. Ścisnął dłoń Justyny tak mocno, że poczuła ból.

– Byłam wtedy na służbie, bo zgarnęli mnie z biura przepustek, więc miałam przy sobie broń. Wsiadłam i poszłam w stronę bramy... Przed jednostką był sklep, poszłam za niego i przeładowałam. Byłam wrakiem człowieka i nie wierzyłam w to, że cokolwiek zmieni się w moim życiu, że się poprawi. Teraz wiem, że nie miałam jasnego umysłu, byłam ofiarą przemocy, która ma zaburzenia w odbieraniu rzeczywistości, ale... jest też druga strona medalu. Tak jak Brzeziński po ataku na jego żonę, wiedziałam, że taki jest cały system i że nic nie mogę zrobić, nie pójdę na żandarmerię, nie zgłoszę tego, bo to nic nie da... I, kurwa, zabiłabym się, gdyby mnie ktoś nie powstrzymał.

– Ten cały Sasha?

– Nie, wtedy jeszcze nasza znajomość się nie zaczęła. On był w tym samochodzie z nami, ale milczał, więc jego też nienawidziłam. Poszedł ze swoim

generałem na zwiedzanie. Jak przechodziłam przez bramę, minęłam dziewczynę, która stała przy biurze przepustek i czekała na swoją matkę. Nie widziałam jej, ale ona szybko połapała się, że coś złego się dzieje. Zaalarmowała oficera dyżurnego i poszła za mną. I kiedy... włożyłam pistolet do ust... taki sam, jaki ty trzymasz w schowku w domu, ona dotknęła mojego ramienia i powiedziała: „Nie warto karać siebie za grzechy innych”. Zaczęłyśmy rozmawiać, choć w sumie to ona mówiła: o sobie, o matce, która pracuje w księgowości w jednostce i się nad nią znęca. Pokazała mi jakiegoś pułkownika, który wychodził przez bramę, i powiedziała, że to jej biologiczny ojciec, ale się do niej nie przyznaje, bo ma żonę i dziecko. I że też chciała się zabić, ale uznała, że to oni powinni iść się powiesić... – Justyna zaśmiała się. – Gadała i gadała, a ja wciąż chciałam sobie strzelić w usta. Ale powiedziała mi, że ma pomysł, jak mnie szybko wydostać z tej sytuacji. „Przyjdzie oficer dyżurny, oddasz mu broń i pojedziesz karetką do wojskowego szpitala psychiatrycznego, gdzie mam dobre wejścia, bo sama się tam leczyłam. Znikniesz i zyskasz czas, żeby się zastanowić, czy chcesz się zabić, czy chcesz zabić tych, co cię krzywdzą. A my tutaj powiemy, że straciłaś przytomność”. To było... Byłam w siódmym niebie. Okazało się, że jest rozwiązanie. Teraz! Zaraz! Oddałam broń, wsiaadłam do karetki i pojechałam do szpitala.

– A potem do Niemiec.

– Eh... Szpital był w porządku, ale to trwało parę tygodni. Mój lekarz, ten, którego poznałeś, podpowiedział, że trzeba się oderwać, zmienić środowisko. „Wyjedź, zarób kasę, zacznij od nowa”. Ale w Gross Gerau wpadłam w tak straszną depresję, że nie mogłam spać ani jeść. Aż nastał ten poranek, kiedy w wiadomościach zobaczyłam Wallace’a. CNN informowało, że został dowódcą wojsk NATO w Afganistanie i właśnie obejmuje obowiązki w Kabulu. Poczułam się tak, jakby ktoś strzelił mi tuż obok głowy. Byłam ogłuszona, obolała... Poprosiłam o wolne godziny i pojechałam na lotnisko, żeby to sobie przemyśleć. Jedząc hamburgera, rzuciłam Bogu wyzwanie, że jeśli da mi szansę, odnajdę Wallace’a i go zniszczę. Po minucie przy moim stoliku usiadł Harry. Po prostu spadł z nieba.

– Szukałaś go w Kabulu?

– Oczywiście! Kręciłam się w miejscach, gdzie mógł być, przejeżdżać, przechodzić... Potem spotkałam go tam, gdzie miało go nie być, ale byłam gotowa. Psychicznie byłam gotowa go dręczyć i zabić. Wtedy na scenę wkroczył Sasha. Porwałyśmy z Angie Wallace’a i jego ludzi przebranych w mundury szeregowych i sierżantów, zabrałyśmy im broń, sprzęt, wozy, a przy okazji godność i pewność siebie. De Soto miała i ma w Kabulu pełno sobie wiadomych miejsc, gdzie można spokojnie kogoś więzić i zabić, ale nie zauważyła, że jeden z ludzi Johna rozpoznał mnie... Bailey przyciągnął moją uwagę, więc wzięłam go na stronę i wysłuchałam, co ma mi do powiedzenia. To on powiedział o kompromitujących zdjęciach

w komórcie jego generała, on dał mi numery telefonów do CNN, NATO, Pentagonu. Nikt nie skojarzył dwóch rzeczy. Po pierwsze, skąd taka prowincjonalna gęś jak ja wiedziała, do kogo zadzwonić, a po drugie, że na zdjęciach z porwania nie ma Sashy Bailey.

– Wallace też się nie zorientował?

– Nie! Był zadowolony, że udało się uratować choć jednego z jego świty. Załatwił mu dobre stanowisko, polecił, komu trzeba... Chciał mieć kogoś swojego tam, na górze. No i miał. Sasha obiecał mi go przypilnować, sprawdzać, czy czegoś nie knuje przeciw nam, pacyfikować, jeśli stanowiłby zagrożenie. Ale przespał najważniejszy moment, bo był na szkoleniu dyplomatycznym, czego nie może sobie wcięż darować.

– Ale dlaczego go zdradził?

– Bo po to poszedł do wojska: żeby zniszczyć Wallace'a. Mówiłam ci, że wszystko, co nas spotkało, jest wynikiem osobistych porachunków, niezagojonych ran, zapomnianych przez świat krzywd. Starsza siostra Sashy była żołnierzem i została w brutalny sposób zgwałcona przez swojego dowódcę.

– Wallace'a.

– Tak. Nie był jeszcze wtedy generałem, ale przestępcą seksualnym był zawsze. I nigdy nie odpowiedział za swoje czyny. Mało tego – zawsze bronił gwałcicieli i morderców, opłacał adwokatów, którzy niszczyli żołnierzy zgłaszających napaści i gwałty. To on przyczynił się do tego, że ludzie skrzywdzeni nie tylko nie mogli dochodzić swoich praw, ale byli wyrzucani na margines, szkalowano ich, doprowadzano do samobójstw... Kiedy Sasha poszedł do wojska, był kolejnym człowiekiem, który odkrywa istnienie systemu oraz to, że nie można z nim walczyć jawnie. Tak jak Brzeziński, zszedł ze swoimi działaniami do podziemia. Dlatego między innymi nie ożenił się – był zbyt zajęty szukaniem sprawiedliwości.

– A co z jego siostrą?

– Zwariowała. Po latach nieskutecznej terapii, kilku próbach odebrania sobie życia, coś w niej złamało się na dobre. Jest w zakładzie zamkniętym, najlepszym, jaki Sasha mógł znaleźć i opłacić.

– A to stanowisko... To przypadek, że jest w Warszawie?

– Nie. – Justyna uśmiechnęła się. – I nie chodzi o mnie. Odkrył, że pracuje tutaj jakiś szpieg wojskowy, który też ma sporo na sumieniu, więc postarał się o tę placówkę. W tym miejscu, Łukaszu Meyer, zaczyna się nasza wspólna tajemnica.

– Zamieniam się w słuch.

– Nie powiedziałam moim kolegom o Sashy, choć wiedzą, że ktoś o takim imieniu istnieje. Nie dopytywali, bo po akcji z Wallace'em przeszła im złość na mnie za moje kłamstwa. Ale Sasha wie o tobie i będzie naszym sojusznikiem. Ten telefon, który chowam w pokoju Mariki, jest do łączności z nim i ty możesz z niego

korzystać, kiedy zajdzie potrzeba. On zna numer konta, gdzie trzymam pieniądze z poprzedniego pobytu w Afganistanie...

– Masz jeszcze jakąś kasę?!

– Mam. Uspokój się. Nie jest tego mało, ale uważam, że to naprawdę będzie nasze zabezpieczenie... Twoje, gdyby coś mi się stało, i Mariki, gdyby nam obojgu przytrafiło się coś złego. Sasha będzie wiedział, co zrobić, tak jak ja wiem, co zrobić, gdyby on... Wiem, jakie środki uruchomić, by zająć się jego siostrą.

– Rozumiem. – Łukasz pokiwał głową, po czym objął Justynę i mocno uściskał. – I dziękuję.

– Zasłużyłeś – odparła.

– Jak to? – Odsunął ją od siebie na wyciągnięcie ramion i spojrzał prosto w oczy.

– Nie byłam szczerą, bo nie wiedziałam, czy mogę ci ufać – powiedziała bardzo cicho. – Wiem, że to idiotyczne, ale mam z tym problem.

– Na zaufanie trzeba zapracować. Umiem to pojąć. – Objął ją ramieniem.

– Chodźmy, bo widzę przy fontannie naszych kolegów z Mariką. Czy oni... Co oni mają w dłoniach?

– Watę cukrową.

– Sprzedają ją jeszcze o tej porze roku?

– Najwyraźniej. Ale popatrz na nich z tym wózkiem. Wyglądają jak rambo-geje.

Łukasz parsknął.

– Jesteś okropna.

– A ty? Masz mi coś do powiedzenia, co przede mną taiłeś?

– Hm... – Zastanowił się. – Myślę, że w naszym ogrodzie jest przejście, ale ci nie mówiłem, bo nie chciałem cię denerwować.

– Jakie znów przejście? Portal do gry komputerowej?

– Nie, normalne. Jakaś furtka czy coś... Widziałem kilka razy kobietę pod naszą jabłonką, która zniknęła w malinach. Płot wygląda w tym miejscu normalnie, ale na wiosnę sprawdzę, czy ktoś nie zamaskował tam bramki. Justyś? – Popatrzył na jej bladą twarz. – Coś nie tak?

– Myślę, że musisz o tym powiedzieć Stefanowi.

– Dlaczego?

– Bo on od tygodni szuka tej kobiety.

– Nie rozumiem.

– Zapytaj ojca.

– OK.

– I jeszcze coś... – Justyna zwolniła kroku.

– Jakaś tajemnica?

– Chodzi o to, że Marika przesypia noce.

- To źle?
 - A my, dzięki temu, nie przesypiamy... – Spojrzała na niego, krzywiąc się nieco.
 - Bo miło spędzamy czas. W końcu. Masz z tym jakiś problem?
 - Nie, ale mam... konsekwencje tego miłego czasu.
 - Yy...
 - Owoce... Owoc... Mały, jeszcze malutki, ale urośnie...
- Tym razem Łukasz zrobił się blady jak ściana. Justyna uśmiechnęła się.
- Więc, kochanie... Teraz mogę powiedzieć, że wiesz już wszystko.

